

W obronie
tego, co
moje

Miasteczko Benevolence

BESTSELLEROWA AUTORKA NEW YORK TIMESA, USA TODAY ORAZ WALL STREET JOURNAL

LUCY SCORE

Lucy Score

W obronie tego, co moje
Miasteczko Benevolence

Przekład: Marta Czub

Tytuł oryginału: Protecting What's Mine: A Small Town Love Story (Benevolence #3)

Tłumaczenie: Marta Czub

Korekta językowa: Dominika Dziarmaga, Marysia Bernaciak

ISBN: 978-83-283-8754-6

Copyright © 2020 Lucy Score

Published by arrangement with Bookcase Literary Agency and Booklab Agency.

Polish edition copyright © 2022 by Helion S.A.

All rights reserved.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

https://editio.pl/user/opinie/wobmb3_ebook

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

- ♦ [Poleć książkę](#)
- ♦ [Kup w wersji papierowej](#)
- ♦ [Oceń książkę](#)

- ♦ [Księgarnia internetowa](#)
- ♦ [Lubię to!](#) » [nasza społeczność](#)

*Dla tych, którzy zjawiają się jako pierwsi,
żeby ochronić nas przed niebezpieczeństwem.*

Rozdział 1.

— Serio? I co potem, komendancie? Kot na drzewie?

Linc uśmiechnął się złośliwie do nowicjuszek siedzącej po stronie pasażera w jego wozie.

Skyler — mimo swojej płci lepiej znana jako Nowy — dopiero co skończyła studia licencjackie na wydziale nauk przeciwpożarowych na Uniwersytecie Purdue i — jak wszystkie żółtodzioby — podchodziła z dużą niecierpliwością do przyziemnych zadań dnia codziennego w jednostce strażackiej.

— Łamiesz podstawową zasadę, świeżynko — ostrzegł. — Nie wolno nawet pomyśleć słowa p-o-w-o-l-i. Wszyscy tego pożałujemy.

Włączywszy się do ruchu na autostradzie, sprawdził prędkość i pozostawił w tyle Benevolence. Silnik V8 jego SUV-a, wiśniowego samochodu komendanta, zamruczał z wdzięcznością, budząc się do życia.

— Po prostu myślałam, że będzie więcej akcji — poskarżyła się. — Zamiast tego jedziemy do marketu budowlanego po przedłużacze.

— Nie można wiecznie gasić pożarów czwartego stopnia i ratować topielców — stwierdził Linc, bębniąc palcami w rytm radia. Cieszył się z tego. Na wcześniejszym etapie swojej kariery on też żył dla akcji gaśniczych w budynkach, dla emocji związanych z wydobywaniem uwięzionych kierowców. Ale z czasem, wraz z nabywanymi doświadczeniem i mądrością, komendant straży pożarnej Lincoln Reed nauczył się doceniać drugą stronę pracy

strażaka. Szkolenie i edukację ludności. Plany zabezpieczeń przeciwpożarowych. Pomoc potrzebującym. Te zadania były równie ważne jak akcje ratunkowe.

Jasne, robota papierkowa była do bani. Ale miała swój cel. I to też potrafił docenić.

Był piękny dzień. Taki, w który opuszcza się szyby w samochodzie i zakłada okulary przeciwsłoneczne. Lato ocierało się o nadchodzącą jesień, czekając, aż nowa pora roku ograbi je z piorunów.

— A niech to. Co to jest, do cholery? — odezwała się Skyler i wyciągnęła przed siebie rękę. Kilkaset metrów dalej ponad betonową barierkę wytrysnęła fontanna iskier. Przed nimi pojawiło się morze czerwonych świateł, bo kolejne samochody hamowały gwałtownie. Wpadały w poślizg i zarzucało nimi na boki.

— O kurwa — mruknął Linc. Zwolnił i skręcił ostro w prawo. — Trzymaj się.

Wcisnął przycisk i upiorną ciszę tuż po wypadku przerwały światło koguta i wycie syren. Jadąc poboczem, wyminął pomarańczowy znak robót drogowych i przycisnął pedał gazu, by śmignąć obok zdumionych pasażerów unieruchomionych samochodów.

Przed ciężarówką ze składaną naczepą unosiła się chmura czarnego dymu. Znał ten zapach. Spalonej gumy, rozlanych chemikaliów i ognia.

— Nie wygląda to dobrze — powiedziała Skyler i zaczęła odpinać pas.

— Wezwij posiłki i wyłącz syrenę — zakomenderował. Zahamował, wrzucił luz i wyłączył silnik.

— Mamy karambol na autostradzie czterysta dwadzieścia dwa, znacznik trzydzieści trzy — usłyszał, jak Nowy mówi

do radia, podczas gdy on wyskakiwał z samochodu. — Na miejscu jest komendant straży pożarnej w Benevolence.

Linc otworzył luk bagażowy i wyciągnął swój kombinezon. Adrenalina mu sprzyjała, dzięki niej poruszał się szybko i efektywnie. W ciągu kilku sekund był ubrany i szedł już w kierunku wołania o pomoc, wciskając po drodze rękawice do kieszeni.

— Hej, panie! Co mogę zrobić? — zawołał kierowca ciężarówki przez otwarte okno kabiny.

— Niech pan poprosi kumpli na osiemnastu kółkach, żeby zablokowali ruch po obu stronach! — krzyknął do niego Linc. Będą musieli posadzić helikopter po drugiej stronie autostrady.

Facet zasalutował.

— Weź sprzęt! — krzyknął Linc do Skyler, gdy ta wyskoczyła z wozu od strony pasażera.

Kobieta, na oko pięćdziesięcioletnia, z rozcięciem na czole, z którego na jasnoniebieską koszulkę na ramiączkach kapłała krew, szła oszołomiona w jego kierunku. Wyglądała tak, jakby dopiero co skończyła zajęcia z jogi.

To było nieprzyjemne w tej pracy. Ciągłe przypominała, że w życiu wszystko może się zmienić w jednej chwili. Człowiek nigdy nie wiedział, kiedy jego codzienność gwałtownie stanie w miejscu. Kiedy jego plany i listy zadań do wykonania zostaną przerwane czymś, co wszystko zmieni.

— Proszę pani, jeśli jest pani w stanie iść, to proszę usunąć się na pobocze — powiedział i ścisnął ją za ramiona. — Może pani to zrobić?

Pokiwała powoli głową.

— Ja się nią zajmę. — Utykający mężczyzna w eleganckim garniturze podszedł do nich. Koszulę miał brudną od czegoś, co akurat jadł w momencie wypadku.

— Proszę ją zabrać jak najdalej od dymu. I proszę zgarnąć ze sobą po drodze każdego, kogo się panu uda — nakazał Linc.

Nie czekał, żeby sprawdzić, czy go posłuchali. Spomiędzy zmiażdżonego metalu wygrzebywały się kolejne osoby. Pod stopami, które nie planowały dziś stąpać po miejscu katastrofy, chrzęściło potłuczone szkło. Linc doszedł do tyłu ciężarówki, nadal wołając, żeby wszyscy się odsunęli, i wtedy uderzyła go fala gorąca.

Dwa samochody — jeep i znajdujący się przed nim sedan — zostały zmiażdżone między osiemnastokołowym tirem i murkiem rozdzielającym autostradę. Część silnikowa jeepa stała w płomieniach.

— O Boże. O Boże. On po prostu w nas wjechał. — Z tylnej części jeepa wyczołgała się dziewczyna, nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Trzęsa się tak bardzo, że dzwoniły jej zęby.

— Czy jest z tobą ktoś jeszcze? — zapytał Linc.

— N-n-n-nie. Nie miałam jak zahamować. Wszystko zdarzyło się tak szybko. Nie chciałam wjechać w tamten samochód.

— Skarbie, chcę, żebyś usunęła się na pobocze — powiedział z naciskiem Linc.

— Powinnam sprawdzić, czy nikomu nic się nie stało — powiedziała i wskazała drżącym palcem na sedana. — N-n-nikt stamtąd nie wysiadł.

Podbiegła do nich Skyler, zadyszana z emocji.

— Zabierz ją — polecił Linc. — Jest w szoku. Zaczynj triaż wśród reszty. Nie pozwól nikomu zbliżyć się do strefy wybuchu.

— Robi się — odpowiedziała spokojnie. Też się trzęsła, ale to był inny rodzaj reakcji fizjologicznej. Adrenalina spotykała się z przygotowaniem. — Poproszę panią ze mną.

Linc zaczął się zastanawiać, jak dostać się do sedana. Kabina tira została wgnieciona w barierkę i blokowała dostęp od przodu. Ogień uniemożliwiał dojście od tyłu.

— Jest tylko jedna droga — mruknął. Zdjął butlę tlenową i kask, a zamiast tego naciągnął na dłonie rękawice. Wsunął się pod podwozie niskiej naczepy. Na asfalt wyciekły jakieś płyny, tworząc kałuże i bajora i mocząc mu kombinezon. Niezły syf.

Z każdą chwilą żar stawał się coraz większy. Linc zatrzymał się na chwilę, żeby poprawić kaptur.

Serce biło mu rytmicznie w uszach, gdy wypełził spod podwozia.

— Niech nam ktoś pomoże!

Linc wcisnął się między tylne drzwi sedana i tira. Kierowca był przytomny i panikował za kierownicą, bo płomienie z jeepa zaczęły lizać już bagażnik jego samochodu.

Ponad betonową barierką wychylały się dwie osoby i ciągnęły bezskutecznie za drzwi od strony kierowcy. Ale nie było wystarczająco dużo miejsca, żeby je otworzyć.

— Kurwa mać — mruknął Linc. W sprawach z pogranicza życia i śmierci nigdy nic nie było łatwe.

— Proszę nam pomóc! — Wysoka, ciemnowłosa kobieta przewiesiła się ponad barierką. Na jej nadgarstkach podzwaniało pół tuzina kosztownych bransoletek, podczas

gdy ona ciągnęła za wygiętą ramę drzwi. Skojarzyła mu się z Wonder Woman. Pomagający jej mężczyzna miał metr pięćdziesiąt w kapeluszu i nie mógł ważyć więcej niż pięćdziesiąt pięć kilogramów. Miał na sobie krawat z kanarkiem Tweety. Linc założyłby się o pięć dolców, że był przypinany.

— Wszystko w porządku, kolego? — zapytał Linc kierowcę, wsuwając głowę przez otwarte okno z tyłu. Facet też rozkoszował się jazdą z opuszczonymi szybami tuż przed tym, jak rozpętało się piekło.

— Noga boli jak cholera i jestem zakleszczony.

To był postawny mężczyzna z krzaczastymi siwymi wąsami, które zrobiły się różowe na skutek rozbitego poduszka powietrzną nosa. Spocone włosy skleiły się w strąki.

— Wyciągniemy pana stąd, okej? — obiecał Linc. — Proszę się trzymać.

Rozległ się głośny trzask i z miejsca, w którym znajdował się bagażnik, wystrzelił metalowy pocisk.

— Jasna cholera! Co to było? — wykrzyknął Tweety. Wonder Woman skrzywiła się, ale nie zaprzestała bezowocnego szarpania za drzwi.

— Wystrzeliły podnośniki hydrauliczne w bagażniku — wyjaśnił Linc i wsunął się przez okno od strony pasażera na tylne siedzenie. W środku było gorąco jak w piekle.

— Proszę pana, nie wiem, czy to dobry pomysł — powiedział kierowca drżącym głosem. — Nie wiem, czy uda mi się stąd wydostać, a czułbym się fatalnie, gdyby starał się pan mnie uratować. Mam siedemdziesiąt dwa lata. Pan ma przed sobą dużo więcej życia niż ja.

Linc ścisnął mężczyznę za ramię. Czasem mocny fizyczny kontakt potrafił najszybciej uspokoić.

— Wszystko będzie dobrze. Proszę tylko robić to, co mówię, a obaj wieczorem napijemy się zimnego piwka.

Żar w samochodzie był nie do zniesienia. Ale Linc to zignorował. Przesunął się tak, żeby swoim ciałem odgrodzić zbliżający się ogień od fotela kierowcy. Kombinezon ochroni i jego, i kierowcę, przynajmniej przez kilka najbliższych minut.

— Jaki jest plan działania, panie strażaku? — chciała wiedzieć Wonder Woman, gdy ściągnął rękawice i zaczął grzebać w kieszeniach.

— Nie damy rady wyciągnąć go przez drzwi. Musi pani znaleźć gaśnicę i kogoś, kto użyje tego zbijaka do szkła — powiedział, wyciągając z kieszeni narzędzie. — Musimy działać szybko. — Przednia szyba była najgorszym możliwym rozwiązaniem. Szkło było dużo mocniejsze niż w bocznych oknach i odporne na uderzenia. Musiałoby się zdarzyć coś więcej niż cud, żeby wyciągnąć tamtędy kierowcę.

Kobieta wzięła od niego zbijak, spojrzała na kierowcę i zagryzła wargę.

— Skarbie, lepiej już idź. Tu się robi gorąco — powiedział mężczyzna i ścisnął jej dłoń.

Odpowiedziała mu uściskiem i obejrzała się przez ramię.

— Hej, halo! Potrzebny mi bohater do rozbijania szyb i cholerna gaśnica! Ale już! Pan pójdzie na poszukiwania — powiedziała i pchnęła lekko Tweety'ego, a potem odwróciła się z powrotem do kierowcy i uśmiechnęła się pogodnie. — Nigdzie mi się nie spieszy. Więc po prostu zaczekam tu sobie z panem, aż uda nam się rozwiązać tę sytuację. Proszę mnie uwzględnić w wyjściu na to zimne piwo.

Linc wyciągnął z kolejnej kieszeni rozcinacz do pasów bezpieczeństwa i złapał od przodu pas kierowcy.

— Rozetnę panu pas, a w międzyczasie opracujemy drogę ewakuacyjną.

— Dobrze — zarządził kierowca.

— Jak ma pan na imię? — zapytał Linc, zahaczając ostrze rozcinaka o pas.

— Nelson — odparł mężczyzna. — Nelson. Moja żona. Kupiłem jej kwiaty — powiedział.

Linc zacisnął zęby, chwycił mocniej pas i zaczął go piłować. Poczł zapach róż i zauważył bukiet na siedzeniu pasażera. Biało-różowy.

— Ma dziś urodziny — powiedział słabo Nelson.

— Mogą trochę zwiędnąć, zanim je pan wręczy, ale zrobi to pan — zapewnił Linc.

Kurwa. Pod tym kątem działanie było prawie niemożliwe. Zamiast wykonać czyste cięcie, przegryzał się nitka po nitce. Pot lał się z niego strumieniami i zamieniał kombinezon w cholerną saunę.

— Zorganizowałam panu ludzi — odezwała się Wonder Woman z oczami łzawiącymi od dymu. Włosy oklapły jej od potu i przykleiły się do czoła. — Jeden miał w samochodzie rozbijak do szyb.

Linc uwielbiał dobrze przygotowane postronne osoby.

— Co mamy robić? — Po drugiej stronie barierki pojawiło się dwóch mężczyzn. Trzymali w górze narzędzia.

— Wejdźcie na dach — polecił Linc. — Wyjdziemy przez szyberdach.

— Czy mogę prosić o jakiś koc? — zawołała Wonder Woman do zebranego wokół niej tłumu. — I gdzie są moje gaśnice? A reszta niech się stąd wynosi!

— Fantastycznie sprawdziłaby się pani przy zarządzaniu kryzysowym — powiedział jej Linc.

— Skarbie, mam w domu piątkę dzieci. Potrafię zarządzać podczas każdego cholernego kryzysu.

— Posłuchajcie, dajcie nam dwie minuty. Jeśli do tego czasu nie wyjdziemy, musicie się stąd usunąć — nakazał Linc.

— Trzy minuty — przekazała dalej.

Pojawił się koc, który zarzucili Nelsonowi na głowę, żeby osłonić go przed szkłem.

Czas przestał istnieć. Pozostało tylko intensywne gorąco i pełna koncentracja Linca. Pas w końcu ustąpił. Rozcinak wyślizgnął się z ręki strażaka i drasnął ją lekko. Linc usłyszał charakterystyczny szum jednorazowych gaśnic i syk płomieni. Ale w środku dalej było cholernie gorąco. Linc wciąż czuł nieznośny żar. Dobrzy samarytanie przypuścili atak na szyberdach i z góry posypały się odłamki szkła.

— Dzięki, kurwa, Bogu — mruknął Linc. Wcisnął rozcinak do kieszeni i naciągnął rękawice. Za późno. Już czuł bąble formujące się na prawej dłoni. Ale kim byłby strażak bez kilku poparzeń, którymi mógłby się pochwalić?

— Jasna cholera, komendancie. — W otwartym szyberdachu pojawiła się ładna buzia Skyler.

— Najwyższy czas, Nowy — krzyknął Linc. — Nelson, kolego, jest pan gotowy do wyjścia?

Żar robił się nie do wytrzymania. Linc miał wrażenie, że rozpuszcza mu mięśnie. Wnętrze samochodu wypełnił czarny dym, który następnie zaczął wylewać się przez otwarte okna.

— Ale przecież tak tu przyjemnie — zażartował mężczyzna, kaszląc i plując.

Linc wyszczerzył się w uśmiechu.

— Dobra. Na trzy Wonder Woman i ja dźwigniemy Nelsona do góry. Świeżynka i samarytanie wyciągną go górą i przeniosą przez barierkę. A potem wszyscy w nogi. Zrozumiano?

— Zrozumiano! — zawołali, jakby szkolili się razem od lat, a nie byli grupką połączonych przez los nieznajomych, którzy próbowali uratować komuś życie.

Tylna szyba roztrzaskała się za plecami Linca, a języki płomieni podchodziły coraz bliżej.

— Teraz! — wrzasnął.

Wciąż używając swojego ciała jak tarczy, objął Nelsona, żeby podnieść go z siedzenia. Ciężar, kąt, skręt. Poczł chrzest w prawym barku i ucieszył się z bólu, który odwrócił jego uwagę od piekielnego żaru. Wspólnymi siłami podnosili, pchali i ciągnęli, stękając i krzycząc.

Brzmiało to jak poród. Jak narodziny. Tylna kanapa już się paliła. Płomienie pożerały tapicerkę i tkaninę obiciową na suficie. Kończył im się czas.

Nagle Nelson zniknął w otworze szyberdachu. Linc posłał milczącą modlitwę dziękczynną, gdy mokasyny mężczyzny zniknęły mu z widoku, a spomiędzy trzaskania płomieni doszły go wyraźne radosne okrzyki.

— Niech pan wychodzi, komendancie! — wrzasnęła Skyler i wyciągnęła do niego rękę.

Podał jej lewą dłoń, łapczywie szukając tlenu, i pozwolił się wyciągnąć na powietrze, na słońce, pod niebieskie niebo przesłonięte gęstym czarnym dymem.

— Czekał! — Linc sięgnął do środka kontuzjowaną ręką i chwycił kwiaty. — Dobra. Wyciągnij mnie stąd, kurwa.

— Nigdy nie uważałam pana za romantyka — odezwała się Skyler przez zaciśnięte zęby, taszcząc jego sto kilogramów mięśni i sprzętu przez dach samochodu.

Wylądowali na masce, a zaraz potem dziewczyna przepchnęła go ponad barierką i oboje spadli na ziemię. Za nimi rozległ się głośny huk, bo wybuchła jedna z opon.

Ręce. Miał wrażenie, że tuzin rąk złapało go i podciągnęło do góry. Stali w otoczeniu aniołów. Zakrwawionych, posiniaczonych aniołów. Wszyscy płakali i śmiali się jednocześnie. Dziewczyna w stroju do softballa. Kobieta w ołówkowej spódnicy z zakrwawionymi kolanami. Dostarczyciel pizzy. Kierowca ciężarówki w koszuli Jimmy'ego Buffetta. Czarni. Biali. Bogaci. Biedni. Spotkali się razem, aby przeciwstawić się śmierci.

Bark Linca szarpał ból, kłykcie pulsowały. Ale złapał Skyler za rękę.

— Niech wszyscy się usuną!

Rozległy się syreny. Cała opera na ich cześć. Nadchodziła pomoc.

Posuwali się jak jedno ciało, przeciskając się pomiędzy stojącymi samochodami na drugą stronę autostrady. Warkocz Skyler nie był już porządnie zapleciony. Czarne kosmyki wysuwały się ze wszystkich stron, a ciemna skóra była pomazana sadzą i brudem. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego szeroko.

— Niezła robota jak na jeden dzień pracy, komendancie — powiedziała.

Przed nimi kuśtykał Nelson z rękami zaplecionymi na ramionach golfistów, którzy rozbili szybę. Linc zerknął ukradkiem przez ramię, a wtedy zbiornik z paliwem tak po prostu eksplodował, wyrzucając płomień na dziesięć metrów w górę.

Kwiaty w dłoni Linca były zwiędnięte i przysmalone. Ale przeżyją, podobnie jak mężczyzna, który je kupił.

Prawda. Niezła robota jak na jeden dzień pracy.

Rozdział 2.

Linc znajdował się na poboczu i przyciskał lewą dłonią ranę na nodze motocyklistki, a w tym czasie ratownik medyczny unieruchamiał kręgosłup nieprzytomnej kobiety.

Komendant czuł raczej, niż widział, sieć służb ratowniczych, która przenikała chaos i powoli zaczynała przywracać porządek. Ekipy straży pożarnej nadzorowały ruch drogowy i urządzały objazdy. Policja rozpoczęła skrupulatne śledztwo. Medyczne zespoły ratunkowe i ratownicy medyczni triażowali ofiary wypadku i udzielali im pomocy, organizując transport do najbliższych szpitali. Cała armia służb drogowych ustawiła się w gotowości do uprzątnięcia miejsca wypadku. Z każdą chwilą przybywała kolejna pomoc.

Linc wyczuł, że atmosfera wokół się zmieniła. Mężczyźni i kobiety w mundurach wnosili ze sobą spokój i poczucie kontroli nad sytuacją.

Ale tu, na tym skrawku ziemi porośniętej szeleszczącą, zbrązowiałą trawą poplamioną krwią, wciąż toczyła się walka na śmierć i życie. Dziewczyna została odnaleziona pięć metrów od rozbitego motocykla. Nieprzytomna, nieruchoma.

Wodospad potu, który zaczął płynąć w samochodzie, jeszcze nie ustał, choć Linc ściągnął już z siebie kurtkę. Będzie musiał wziąć sześć razy prysznic, żeby znów poczuć się jak człowiek.

Bark pulsował bólem. Prawa ręka zwisała bezwładnie z boku, ciało wciąż boleśnie płonęło. Ale w tej chwili były potrzebne wszystkie ręce z przeszkoleniem medycznym.

Wokół nich pojawiali się i znikali strażacy i policjanci, wszyscy zajęci swoimi zadaniami. Kontrolą ruchu drogowego. Sprzątaniem. Transportem pacjentów.

Linc spojrział na bladą, posiniaczoną twarz kobiety. Nie rozpoznał jej. Gdyby to się zdarzyło w Benevolence, z dużym prawdopodobieństwem wiedziałby, jak ma na imię. Może nawet na jakiej ulicy mieszka.

— Helikopter w drodze? — zapytał ratownika. Gaza, którą przyciskał do nogi ofiary, była już przesiąknięta krwią. Kobieta nie przeżyłaby transportu karetką.

— Leci. Będzie za dwie minuty.

— Ona jest w najgorszym stanie? — zapytał. Widział tylko niewielki wycinek tej masakry.

Ratownik rzucił mu przelotne spojrzenie.

— Mam cholerną nadzieję, że tak.

Istniało jednak prawdopodobieństwo, że były gorsze przypadki. Wskazywały na to szkielety minivanów i sedanów wokół nich.

Ale nie widać jeszcze worków, pomyślał ponuro. Jednak zważywszy na kilkanaście zmiażdżonych wraków, wydarzyłby się cud, gdyby nie trzeba było wzywać koronera.

Wypadki się zdarzały. Ludzie umierali.

Lecz to, co motywowało go do działania, co motywowało ich wszystkich, to fakt, że na miejscu każdego wypadku wydarzało się coś jeszcze.

Wśród zgniecionego metalu, ponad potłuczonym szkłem, nieznajomi pomagali nieznajomym. Postronne osoby

zamieniały się w bohaterów w najgorszym dniu życia kogoś innego. Ludzie roznosili butelki z wodą i łapali zwierzęta domowe. Uciskali rany, oferowali telefony komórkowe i pomocną dłoń. Zamykali obcych ludzi w mocnych objęciach i obiecywali szeptem, że wszystko będzie dobrze.

Ładna, młoda dziewczyna w zielonej sukience wycierała delikatnie krew z twarzy starszego mężczyzny, podczas gdy ratownik sprawdzał jego czynności życiowe. Żona mężczyzny przyciskała jego dłoń do swojej piersi. Po jej pomarszczonej twarzy spływały ciche łzy.

Lincowi nie zależało na tym, żeby inni przypinali mu łatkę bohatera. Został do tego przeszkolony. Miał za sobą wieloletnie doświadczenie. Wybrał ten zawód. Ale kobieta, która zapewne jechała na spotkanie z przyjaciółką, tego nie zrobiła. Kierowca ciężarówki, który pomagał utykającemu nastolatkowi, i nastoletnia dziewczyna opowiadająca cichym głosem żarty człowiekowi na noszach? To byli prawdziwi bohaterowie.

— Helikopter już prawie jest. — Ratownik przypiął do deski ortopedycznej pasek przy nodze. — Przenieśmy ją bliżej lądowiska.

Linc złapał deskę lewą ręką i skrzywił się, gdy wstali.

— Przepraszam, stary, nie wiedziałem, że jesteś potrzaskany — powiedział ratownik. — Ej! Potrzebny mi ktoś z dwiema zdrowymi rękami!

— To drobiazg — upierał się Linc. Jego bark zaprotestował.

— Cholera, komendancie. To musiał być naprawdę niezły przedłużacz. — Brody Lighthorse, łysy, wytatuowany kapitan straży pożarnej w Benevolence, a zarazem najlepszy przyjaciel Linca, wyłonił się spomiędzy wraków i chwycił z jednej strony deskę ortopedyczną.

— Nie mogę narzekać na nudę — odparł Linc. Biegł obok i dalej uciskał ranę, podczas gdy Brody i ratownik szybko lawirowali między samochodami i rannymi.

Helikopter wylądował gładko na przerywanej linii na pasie autostrady wiodącym na zachód. Drzwi cargo już się otwierały. Ze środka wyskoczyła lekarka.

— Co tu mamy, panowie?

Nawet wśród hałasu śmigieł chropawość jej głosu sprawiła, że zapomniał o bolącym barku. A to było, jeszcze zanim zobaczył jej oczy. W kolorze chłodnej, butelkowej zieleni. Pod jej lewym okiem biegła stara blizna, dodając ciekawej asymetrii do już przykuwającej wzrok twarzy.

Ratownik wyrecytował informacje — krwotok wewnętrzny, być może uszkodzenie kręgosłupa — a lekarka w tym czasie ściągnęła z szyi stetoskop. Miała długie nogi i pewny krok. Jej krótkie, ciemne włosy były ściągnięte z tyłu w nieskładną kitkę. Luźne, pofalowane kosmyki zdążyły już się wymknąć wokół jej twarzy. Usta miała pomalowane intensywnie czerwoną szminką.

— Wygląda na to, że macie tu niezły bałagan — odezwała się do Linca, przekrzykując śmigła. — Cieszę się, że mnie dostała się tylko jedna osoba.

Otworzył usta, ale język odmówił mu posłuszeństwa.

— Prawdziwy cud, pani doktor! — zawołał Brody. Szturchnął Linca łokciem w bok. — Odjęło ci mowę, komendancie?

— Zobaczmy, czy uda nam się wyprosić jeszcze jeden cud — powiedziała. — Załadujcie ją.

Gdy pielęgniarz lotniczy i ratownicy medyczni wsunęli deskę ortopedyczną do śmigłowca, spojrzenie lekarki powędrowało do Linca. Zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

Miał wrażenie, że jego język jest dwa razy za duży jak na jego usta.

Nigdy dotąd nie miał problemu z rozmową z kobietami. Cholera, pierwszego dnia w przedszkolu flirtował bezceremonialnie ze swoją nauczycielką.

Pielęgniarka — duży, przysadzisty brodac — podłączył kroplówkę, a spojrzenie lekarki skupiło się tymczasem na bezwładnym ramieniu Linca.

— Zbadasz sobie tę rękę, Lewusie? — zapytała.

Język w końcu mu się rozsuptał.

— Jeśli to pani będzie badać, Doktor Marzenie — wychrypiał.

Zamilkła na chwilę i uniosła jedną brew.

— Już dawno nikt tak mnie nie nazywał — stwierdziła. — Niezła próba, ale ja nie *bawię* się w lekarza.

Położywszy nacisk na słowie „bawić”, puściła do niego oko i zaczęła wsiadać na pokład.

— Podrywamy ptaszka!

Wycie silnika nasiliło się, a oni odsunęli się poza zasięg śmigieł. Linc patrzył przez chwilę, jak helikopter zawisa nad ziemią, a potem odlatuje w kierunku szpitala. Unosząc ze sobą zielonooką lekarkę.

— Wyrażna poprawa w porównaniu z doktorem Singhem — uznał Brody. Dotychczasowy lekarz pogotowia lotniczego był niski, okrągły i wiecznie skory do kłótni na temat północnowschodnich klubów sportowych.

— Tak — przyznał Linc. *Zdecydowana poprawa.*

— Masz w oczach serduszka — wyszczerzył się Brody.

— Chyba się zakochałem.

Rozdział 3.

Doktor Mackenzie O'Neil pochyliła się nad pacjentką, gdy helikopter wzniósł się w górę tak szybko, że aż poczuła łaskotanie w brzuchu. Ratownictwo lotnicze wiązało się z własnymi wyzwaniem, ale umiała im sprostać. Komunikacja z pacjentami w drodze do szpitala była zwykle niemożliwa, nawet gdy byli przytomni.

To była zabawa w zgadywanek, w której szło o wysoką stawkę. Balansowanie na wysokości między stabilizacją i gotowością na moment, gdy wszystko idzie na opak.

Leżąca przed nią nieprzytomna dziewczyna, na oko dwudziestoparoletnia, w dobrym stanie fizycznym, była tajemnicą, którą należało rozwiązać, aby ją uratować.

Mack kontynuowała szybkie, delikatne badanie fizykalne, a w tym czasie Bubba, nadzwyczajny pielęgniarz lotniczy, rozciął kurtkę i znajdującą się pod spodem koszulkę. Bubbie brakowało tylko dwóch centymetrów i kilku kilogramów do górnego limitu, uniemożliwiającego praktykowanie medycyny w ciasnej przestrzeni EC145. Ale był zwinny.

— Brzuch pacjentki jest twardy jak skała. Duże siniaki na klatce piersiowej — przekazała Mack, naciskając z każdej strony.

— Hemofiliczka, pani doktor? — zaświergotała Sally w słuchawkach ze swojego miejsca za drążkiem sterowniczym. Sally Taryfa lub inaczej ST, jak była zwana w zespole ratownictwa lotniczego w Centrum Medycznym Kepplera, była najlepszą pilotką, z którą Mack miała zaszczyt latać. Jej lądowanie było miękkie jak szept, miała refleks błyskawicy i zachowywała spokój w sytuacjach

stresowych. Była też bardzo drobna. Siedziała na poduszce, żeby łatwiej dosięgnąć manetek.

— Na to wygląda — potwierdziła lekarka do mikrofonu.

Usłyszała, jak Sally przekazuje informację przez radio szpitalowi.

— Bubs, jak tam ciśnienie? — zapytała Mack.

Pod względem fizycznym Bubba był dokładnym przeciwieństwem drobnej pilotki. On czarnoskóry, ona z jasnymi piegami. On przysadzisty, ona szczuplutka. Mack bawiły te przeciwieństwa. Pielęgniarz dalej wyglądał jak futbolista z drużyny uniwersyteckiej, którym był za czasów studiów pielęgniarskich. Pokręcił głową.

— Rośnie.

— Uzupełnijmy płyny, zobaczmy, czy uda się je ustabilizować. — Mack dokonała w głowie szybkich obliczeń. Do szpitala mieli jeszcze dziesięć minut. W tej chwili jej jedynym zadaniem było dostarczyć tam dziewczynę żywą.

Jeszcze raz ją osłuchiwała, wpatrzona w znajdujący się obok monitor.

— Tachykardia. Po prawej słycać płytszy oddech.

— Ma hipoksję — poinformował Bubba, odczytując zapis z pulsoksymetru. — Intubujemy?

Mack czuła, że pacjentka się jej wymyka.

— Tak. Tak zrobimy — zgodziła się.

Działali szybko w tandemie. To była dopiero jej trzecia zmiana i piąte wezwanie w nowej pracy, w nowym miejscu. Ale lubiła i szanowała swój zespół. Bubba nie miał problemu z przyjmowaniem poleceń od kobiety, która nie bała się ich wydawać. A ST z przyjemnością odgrywała rolę szofera.

Kiedy podchodzili do lądowania, skala zniszczeń na autostradzie pod nimi była ponuro fascynująca. Mack rozpoczęła swoją karierę medyczną od latania na pole bitwy i wyciągania stamtąd rannych żołnierzy. Zdarzało jej się latać śmigłowcem pod ostrzałem, przeżyła nawet lądowanie awaryjne. Ale tak makabryczny widok na rodzinnej ziemi budził dziwny niepokój.

Wyglądało na to, że kierowca osiemnastokołowego tira nie zauważył znaków o robotach drogowych i nie przygotował się do redukcji prędkości. Wbił się w stojące przed sobą pojazdy i spowodował katastrofę lądową na zasadzie reakcji łańcuchowej.

Pracujący na ziemi ludzie nie brali udziału w misjach w strefach wojennych. Nie mieli przeszkolenia wojskowego. To byli tatusiowie na zakupach, kobiety biznesu podczas przerwy obiadowej, nastolatki na wagarach. Lub — jak leżąca przed nią dziewczyna — zwyczajne, młode kobiety, które postanowiły wykorzystać ładne letnie popołudnie na przejażdżkę na motorze.

- Czas, ST? — zawołała.
- Dziewięć minut — nadeszła odpowiedź.
- Intubowałeś kiedyś w locie, Bubs? — zapytała Mack.
- Jestem dziewicą. Bądź dla mnie delikatna — odparł.
- Tracimy ją — zauważyła. — Zostań z nami, dziewczyno.

Działali szybko, odzywali się tylko wtedy, kiedy było to niezbędne. Czoło Mack pokryło się potem, a plecy wyjęczały skargę z powodu przygarbionej pozycji. Adrenalina mruczała w żyłach znajomą pieśń. Syrenią pieśń. Pieśń, której Mack będzie musiała zacząć się opierać... kiedyś.

Na monitorze wyświetliła się ciągła linia.

— Cholera — powiedziała i ponuro naładowała elektrody. Bubba rozpoczął RKO.

Życie i śmierć. Przyzwyczała się już, że codziennie przekracza tę linię. Że codziennie widzi katastrofy, których jedynie niewielki odsetek ludzi będzie naocznym świadkiem. Ratowniczką, lekarką pogotowia lotniczego, podobnie jak przedstawiciele wszystkich innych służb ratunkowych, była inaczej uformowana. Tego rodzaju ludzie wyszukiwali kryzysy, zamieniali się w narzędzia. Istniały protokoły umożliwiające radzenie sobie ze śmiercią, masakrą i traumą. Protokoły organizowały chaos, zapewniały mózgowi coś, o czym mógł myśleć poza horrorem związanym z utratą młodego życia.

Ręce jej się trzęsły, więc chwyciła mocniej „łyżki”.

— Odsunąć się.

Bubba odskoczył do tyłu.

Wciąż ją dziwiło, jakim sposobem mężczyzna jego postury mógł poruszać się z taką gracją w tak ciasnej przestrzeni. Praca na małej powierzchni nie była łatwa, ale oznaczała pewną wygodę. Wszystko, czego potrzebowała, znajdowało się na wyciągnięcie ręki.

Mack przyłożyła elektrody, posłała przesądnie modlitewne „błagam” i puściła prąd w młode serce, którego los znajdował się w jej rękach.

— Jest akcja serca! — zawołał Bubba.

Dzięki ci, Jezu.

— Intubujemy — powiedziała. Otarła ręką pot z czoła i obwiniła rzeczony pot o to, że kiedy za bardzo się wyprostowała, uderzyła czołem — częścią niezastłoniętą przez hełm — o metalową półkę nad noszami.

— Zajebicie — mruknęła.

Uderzenie z zaskoczenia sprawiło, że dłonie przestały jej drżeć, więc wsunęła gładko rurkę tracheotomijną do tchawicy pacjentki.

— Niezła robota, Mack — pochwalił ją Bubba w słuchawkach, gdy parametry się ustabilizowały.

Opatrzyli szybko jedną z ran na nodze. Widać już było szpital, słońce odbijało się od szyb. Setki samochodów znaczyły kropeczkami parking. Ludzie wchodzili i wychodzili z budynku jak mrówki.

Żołądek Mack znów opadł, bo helikopter zaczął schodzić niżej w stronę lądowiska na dachu. Pacjentka była stabilna. Mack wywiązała się ze swojego zadania.

Tuż za drzwiami czekał zespół urazowy. Białe fartuchy powiewały w powietrzu wzburzonym przez śmigła.

— Dobra robota — powiedział Bubba i wyciągnął nad pacjentką zaciśniętą rękę.

Stuknęła w nią pięścią.

— I *vice versa*, stary. Naprawdę ładna praca.

Płozy niemal jednocześnie dotknęły ziemi podczas gładkiego, płynnego lądowania.

— Skarbie, jesteśmy w domu — powiedziała śpiewnie ST.

Bubba odblokował drzwi, a Mack wyskoczyła i pochyliła się nisko. Pomogła zespołowi na dachu wyciągnąć nosze i przekazała im wszystko, co trzeba.

— Pacjentka wielourazowa, mniej więcej dwudziestoletnia, motocykl kontra samochód. W szoku. Zaintubowana — wyrecytowała czekającym lekarzom. — Straciliśmy ją, ale udało się przywrócić czynności życiowe. Jeden wstrząs.

— Przejmujemy pacjentkę, pani doktor! — zawołał chirurg urazowy, skinąwszy jej głową. Chwycił barierkę noszy na

kółkach i cały zespół wspólnie zawiózł bezimienną dziewczynę do środka.

— Kolejny dzień, kolejny punkt dobrej karmy — powiedziała ST, dołączając do nich na dachu.

— Myślisz, że z tego wyjdzie? — zapytał Bubba.

— Jest młoda i bez chorób towarzyszących. Ma spore szanse — oceniła Mack. Przeciągnęła ręce nad głową.

— To jej krew? — zapytała ST, kiwając brodą w kierunku rozmazanej plamy na czole Mack.

— Znów rąbnęłam się głową w półkę.

— To już dwa razy — powiedziała Sally, strzelając balonem z gumy. — Jeszcze raz i będziemy musieli zorganizować ci jeden z tych wielkich, okrągłych kasków.

Bubba dołączył do nich na skraju lądowiska i postukał palcem bliznę między swoimi brwiami.

— Przynajmniej nie trzeba było szyć podczas lotu — powiedział wesoło.

Sally zerknęła na zegarek.

— Wygląda na to, że nadszedł koniec zajęć, moi drodzy. Ktoś ma ochotę wrzucić coś na ruszt?

Mack w pierwszym odruchu chciała stanowczo odmówić. Była potwornie zmęczona i znów zaczęły trząść się jej ręce. Zaciśnęła pięści i wsunęła je do kieszeni kombinezonu lotniczego. Znalazła się tu po to, żeby zmienić otoczenie, zrobić sobie przerwę, zanim zastanowi się, co dalej. *Zacieśnianie więzi ze swoim zespołem jest dobre*, przypomniała sobie. Normalna sprawa. A ona zmuszała się do normalności.

— Jasne. Chętnie. Tylko najpierw wezmę prysznic.

— I plaster. — ST uśmiechnęła się znacząco i postukała się we własne, niezakrwawione czoło.

— Ja pasuję. Obiecałem swojej pani, że zabiorę dziś wieczorem dzieciaki na zakupy, żeby miała godzinę spokoju — powiedział Bubba i zasalutował. — Dobra robota, Mack.

— Wzajemnie, Bubs.

— Widzimy się na dole za pół godziny? Muszę zrobić kontrolę po locie — powiedziała ST i skinęła brodą w kierunku śmigłowca.

To była kolejna rzecz, którą Mack ceniła w pilotce. Latała wcześniej z pilotami, którzy skupiali się tylko na liście kontrolnej przed wylotem, a po wylądowaniu zostawiali maszynę, nawet nie rzuciwszy na nią okiem. Sally Taryfa podchodziła poważnie do swojej pracy, od początku do końca.

Mack weszła do środka i zeszła trzy piętra niżej do szatni, gdzie spędziła pięć przyjemnych minut pod gorącym jak ukrop prysznicem. Jej mięśnie rozluźniły się, gdy zmywała z siebie warstwę zaschniętego potu. Gdy była już wystarczająco czysta, przekręciła kurek na zimną wodę i zaczęła liczyć od sześćdziesięciu w dół, pozwalając, aby lodowaty strumień obudził jej mózg.

Miała ochotę na zieloną herbatę i kanapkę z całą górą wędliny. Pobawi się trochę z ST we wzajemne zapoznawanie się, a potem wróci do domu. Może rozpakuje jeszcze jeden karton, przeczyta jeszcze jedno zaległe opracowanie albo czasopismo medyczne. Wcześniej do łóżka. Wczesna pobudka. Trening. Śniadanie.

A potem pojedzie do rodzinnej praktyki lekarskiej w tej małej miejscinie, w której — Boże, dopomóż — spędzi najbliższe pół roku swojego życia.

Wyszła spod prysznic i wytarła się. Obejrzała rozcięcie na czole i przewróciła oczami.

— To ty chciałaś normalności — mruknęła do swojego odbicia w lustrze.

Rozczesała włosy grzebieniem, dmuchnęła na nie suszarką i założyła cywilne ubrania. Spojrzenie na zegar na ścianie uświadomiło jej, że ma jeszcze piętnaście minut.

Po raz pierwszy wróciła myślami do strażaka z autostrady.

Jej umysł zawsze robił przegląd wydarzeń i reakcji w dziwny, przypominający sen sposób. Zamiast odtwarzać w myślach akcję podczas lotu, zaczęła rozmyślać o niebieskookim strażaku z przetrąconym barkiem. Wyglądał bardziej jak ratownik na plaży. Opalony blondyn ze swobodnym, czarującym uśmiechem.

Do szatni weszły dwie pielęgniarki w szpitalnych fartuchach. Skinęły jej głową. Kobieta z krótką czupryną w kolorze srebrnego blondu otworzyła szafkę i ściągnęła z westchnieniem ulgi chodaki.

— Nie cierpię dwunastogodzinnej zmiany.

— Nie jest tak źle, jeśli możesz się zająć Komendantem Ciacho. — Druga pielęgniarka, smukła i zmęczona, klapnęła na ławkę. Długie ciemne włosy miała zebrane w gładki koński ogon. — Słyszałaś, co zrobił?

— Javier przedstawił mi ogólny zarys. Wlazł do płonącego samochodu niczym seksowny superbohater czy coś w tym stylu?

— Za pomocą tego swojego pięknego ciała odgrodził kierowcę od płomieni i rozciął mu w międzyczasie pas. Zwichnął bark, poparzył ręce, ale nie ruszył się z miejsca. Kazał jakimś przygodnym osobom wyciągnąć faceta przez szyberdach. A potem, kiedy nowicjuszka z jego własnego oddziału wyciągała jego piękny tyłek, zatrzymał się, żeby

zabrać z przedniego siedzenia kwiaty, które tamten facet kupił dla żony na urodziny.

— Zaraz zemdleję — westchnęła pierwsza pielęgniarka.

— Mdlej, mdlej. Teraz ma podwichnięcie barku i poparzenie trzeciego stopnia dłoni, która podobno jest w stanie doprowadzić do wielokrotnego orgazmu w niesłychanie krótkim czasie.

— Czy ten facet to może wysoki, przystojny blondyn? Typ flirciarza? — zapytała Mack.

Pierwsza pielęgniarka podniosła głowę, wciągając na nogi wysłużone spodenki gimnastyczne.

— Tak. Lincoln Reed. Komendant straży pożarnej w Benevolence. Był pierwszy na miejscu wypadku. Poznałeś go? — zapytała, zerkając na kombinezon lotniczy, który Mack wkładała do torby.

— Przelotnie.

— Jest na dole na SOR-ze. No wiesz, gdybyś miała ochotę go zbadać dwiema sprawnymi rękami — powiedziała druga pielęgniarka z błyskiem w oku.

Mack zastanowiła się chwilę.

— Może faktycznie tak zrobię.

— Tak w ogóle, jestem Nellie.

— Mack. Doktor O'Neil — przedstawiła się.

— Nowa lekarka pogotowia lotniczego. Miło cię poznać. Wykonałaś dziś dobrą robotę. Twoja dziewczyna jest na bloku operacyjnym. Nie ma uszkodzenia kręgosłupa. Jestem Sharon.

— Och... Dzięki za informację. — Pożegnała się i wyszła na korytarz.

Nie była przyzwyczajona do tego rodzaju informacji. Informacji o tym, co było później. Czy ktoś przeżył, czy nie. Jej zadaniem jako lekarki z pogotowia było zapewnienie pacjentowi najlepszej pomocy. Koniec pieśni. Przywykła do tego, że nie wiedziała. Było jej z tym dobrze.

Czasem lepiej było nie wiedzieć.

Przed oczami mignęły jej twarze. Twarze tych, których straciła.

Minęły ją dwie salowe, żartujące między sobą. Mack otrząsnęła się z własnych rozmyślań. Ze spoglądania wstecz nie wynikało nic dobrego.

Kierując się odruchem, zamiast skręcić na parking, poszła na SOR. Było tam stosunkowo spokojnie. Większość ofiar karambolu została przewieziona do szpitala powiatowego. Był mniejszy, ale znajdował się bliżej. Fakt, że Linc trafił tutaj, oznaczał, że nie chciał dokładać pracy tamtejszemu, już nadmiernie obciążonemu, oddziałowi ratunkowemu. Punkt dla niego.

Nie musiała specjalnie się rozglądać za swoim rozflirtowanym strażakiem. Wokół wydzielonego boksu zebrała się grupka zauroczonego personelu medycznego płci żeńskiej.

Komendant Ciacho ze swoimi szerokimi barami i swobodnym uśmiechem zajmował większość miejsca pomiędzy winylowymi zasłonkami. Tył jego lewej dłoni był zabandażowany, a prawa ręka znajdowała się na temblaku. Od razu wiedziała, że aż go świerzbi, żeby się tego pozbyć. Był podłączony do kroplówki, najprawdopodobniej z powodu odwodnienia wynikłego z walki z ogniem.

Mack przypomniała sobie o kwiatkach i zaczęła się zastanawiać, czy to prawda. Jeśli tak, to było to z jego strony cholernie romantyczne i nieodpowiedzialne.

Doktor Ling, jak wskazywał identyfikator marszczącej groźnie czoło kobiety, zerknęła znad laptopa.

— Jeśli nie jest pani członkiem rodziny, to musi pani zostać w poczekalni — powiedziała bez podnoszenia głowy.

— Doktor Marzenie należy do rodziny. To moja przyszła żona — powiedział Linc.

Mack roześmiała się i udała, że nie zauważa morderczych spojrzeń, które pielęgniarki rzuciły w jej kierunku. Uniosła swój identyfikator i zauważyła rozczarowanie na twarzy doktor Ling. Mack знаła lekarzy jej pokroju. Broniących swojego terytorium, odrobinę agresywnych. Ale zwykle bardzo, bardzo dobrych specjalistów.

— Jesteśmy starymi znajomymi — wyjaśniła Mack. — Miło znów cię zobaczyć, Lewusie. Jak skrzydło?

— Jak nowe, dzięki obecnej tu pani doktor.

— To w najmniejszym nawet stopniu nie jest prawda — oznajmiła sucho doktor Ling, a potem niechętnie dodała dla informacji Mack: — Częściowe zwichnięcie. Bark nastawiony, musi pozostać unieruchomiony. Komendant dostał stanowczy zakaz przeciążania zwichniętego barku.

— Jak tam nasza pacjentka? — zapytał Linc, przerzucając nogi na bok łóżka i wskazując na wenflon w ręce. Doktor Ling skinęła głową, a jedna z pielęgniarek przyskoczyła, żeby go usunąć. Mack była trochę rozczarowana, kiedy kobieta nie pocałowała plastra, który wygładziła delikatnie na maleńkiej dziurce po igle.

— Nie jestem pewna — powiedziała Mack, wsuwając dłoń do kieszeni szortów. — Doleciała w jednym kawałku. Jest operowana. Nie ma urazu kręgosłupa. Więcej nie wiem.

— Mogę się dla pana dowiedzieć, komendancie — powiedziała jedna z najmłodszych pielęgniarek. Stuprocentowa Amerykanka, z jasnymi lokami i ładnymi

niebieskimi oczami obwiedzionymi rzęsami, które mrugały z prędkością stu na godzinę.

— Będę wdzięczny, Lurlene.

Och, wszędzie bym rozpoznała tego szpanującego czarusia, pomyślała Mack, gdy Lurlene pobiegła do komputera. I jeszcze nie tak dawno nie miałyby problemu, żeby odbyć kilka przyjemnych rundek w łóżku z rzeczonym czarusiem. Ale rozpoczynała nowy rozdział w życiu.

Nowy, nudny rozdział w celibacie.

Wielka szkoda, że w tych oczach było coś, co jej się podobało, co rozpoznawała. Zgrabny, nieszkodliwy urok. Wyczerpanie, które starannie ukrywał.

Mężczyzna wstał i nawet nieustraszona doktor Ling postąpiła krok w tył, żeby zrobić mu miejsce.

Był wyższy, niż myślała. I trochę szerszy w barach. Ale nie miękki. Poza miejscem wokół oczu.

Budową ciała przypomniał jej sąsiada, którego przypadkowo podejrziała przez płot bladym świtem, gdy wykonywał katorżniczą serię ćwiczeń. Biskoptowy labrador z uciechą naśladował jego ruchy.

Całkiem niezła pobudka.

— Ma pani ochotę podwieźć rannego człowieka do domu, doktorko? — zapytał Linc.

Mack usłyszała, jak pół tuzina kobiet omdlewa w środku.

— Przykro mi, Lewusie. Mam plany.

Jak na zawołanie zza zasłonki wyłoniła się głowa ST. Dziewczyna uniosła pager.

— Hejka, doktorko. Trafił mi się kolejny kurs. Pilot z następnej zmiany się spóźnia. Przełożymy to?

Mack pomachała do niej.

— Spokojnego lotu, ST. Po następnej zmianie.

Linc uśmiechnął się szerzej.

— Wygląda na to, że jednak ma pani czas, żeby mnie odwieźć.

Rozdział 4.

Lincowi podobały się wątpliwości, które wyczytał na jej nieumalowanej twarzy. Świeżo po prysznicu — jej włosy pachniały lawendą i miodem — Doktor Marzenie wyglądała równie atrakcyjnie w krótkich spodenkach i koszulce Gwardii Narodowej, co w kombinezonie lotniczym.

— Gdzie mieszkasz? — zapytała, zagryzając nieuszminkowaną wargę. Widać było, że się namyślała.

— W małym miasteczku o nazwie Benevolence. Na pewno masz po drodze, gdziekolwiek jedziesz — powiedział wcielenie uroku osobistego. Fakt, że na miejscu zdarzenia zaniemówił na jej widok, jakby dostał pięścią w brzuch, trzeba będzie rzucić na ból w barku. Teraz, gdy był już obwiązany jak cholerny indyk i odpowiednio nawodniony, znów mógł się skupić na tych nieufnych zielonych oczach.

— Skarbie, nieważne, czy mieszka w Dakocie Południowej — odezwała się Janice, dyplomowana pielęgniarka, dwadzieścia lat starsza od niego i ledwie sięgająca metra pięćdziesięciu. — Odwieszysz naszego chłopca do domu, a podziękujesz nam później.

Sprawa przesądzona. Janice została jego ulubienicą.

W głębinach sportowej torby zadzwoniła komórka Linca. Sięgnął po nią odruchowo prawą ręką i się skrzywił.

Doktor Marzenie — zastanawiał się, czy znajomość jej prawdziwego imienia zaprzepaściłaby przyjemne fantazje, którym się oddawał, gdy doktor Ling bezlitośnie wciskała nasadę jego kości ramiennej do torebki stawowej — przewróciła oczami.

Wzięła od niego torbę i wyłowiła z niej telefon.

— Co tam, Lighthorse? — powiedział.

— Dzwonię kontrolnie. Dalej masz dwie ręce? — zapytał przyjaciel.

— Jak nowe. Prawdę mówiąc, jeśli jesteś jeszcze na miejscu wypadku, mogę tam podskoczyć i pomóc w uprzątnięciu — zaoferował się.

— Nie! — zaproponowały jednocześnie doktor Ling i Doktor Marzenie.

Brody zaśmiał się.

— Wygląda na to, że masz swoje nianie. Wszystko jest pod kontrolą. A tak w ogóle to była jazda po pijanemu. Kierowca, zanim wsiadł za kółko, wypił pięć kielonków w barze. Po wypadku uciekł, ale znalazł go patrol drogówki. Jedna ofiara śmiertelna. Siedemnastu rannych. W tym sześć osób poważnie.

Linc zaklął pod nosem.

O jedną osobę za dużo. Niepotrzebna śmierć z egoistycznych, bezsensownych powodów.

— Jedna to i tak lepiej, niż się spodziewałem — powiedział Brody.

— Ja też. Ale jednak.

— No. Ale jednak. Tak czy inaczej, kazałem żółtodziobowi zabrać Iskierkę do domu. Chcesz, żeby podskoczyła po ciebie do szpitala? I cię odwiozła?

Linc zerknął na Doktor Marzenie. Wkładała mu do torby zalecenia dla pacjenta, które zamierzał całkowicie zignorować.

— Nie. To już mam załatwione. Dzięki, że zająłeś się moją dziewczyną — powiedział.

— Twoja dziewczyna pewnie zdążyła już zezreć ci zasłony i nasikać do tosteru — stwierdził Brody.

To pewnie była prawda.

— Tak, dzięki. Do zobaczenia jutro w remizie.

— Wyłącznie lekkie obowiązki! — krzyknęła doktor Ling.

— Ugotowany — zarzął Brody. — Oszczędzaj siły na czterdzieści ton dokumentów.

Rozłączyli się, a Doktor Marzenie wzięła od niego telefon i schowała go do torby.

— Chodźmy, Lewusie.

— Chcesz zapytać o moją dziewczynę, prawda?

— Nie — odpowiedziała i przewiesiła sobie przez ramię jego torbę. — Gotowy?

— Doktor Ling. — Wyciągnął lewą rękę i uściśnął jej dłoń.

— Szanowne panie. Dziękuję za opiekę medyczną na najwyższym poziomie. Pięć gwiazdek dla wszystkich.

— Cieszymy się, że mogliśmy pomóc — powiedziała sucho lekarka.

Wyszedł z odgrodzonego zasłonkami boksu na ruchliwy SOR. Dzieciak, sądząc po odgłosach raczej mały, zawodził gdzieś żałośnie. Facet na sąsiednim łóżku przyciskał przesiąknięty krwią ręcznik do czoła i wpatrywał się żałośnie w swoje buty. Pielęgniarki — przynajmniej te płci żeńskiej — przystawały na tyle długo, żeby posłać Lincowi uśmiech przed pójściem do kolejnego pacjenta. Flirtowały rotacyjnie, wplatając mrugnięcie okiem czy słodki uśmiech pomiędzy pozostałe obowiązki.

— Komendancie! Niech pan zaczeka! — Lurlene podbiegła do nich z zaczerwienionymi policzkami. — Właśnie dostałam informację z sali operacyjnej. Splenektomia idzie dobrze. Rokowania też są dobre.

— Dzięki, skarbie. — Linc ścisnął ją za ramię.

— Powiedzieli, że w drodze do szpitala zatrzymała jej się akcja serca, ale pogotowie lotnicze ją przywróciło i zaintubowało pacjentkę. Miała dużo szczęścia.

— Owszem, miała — mruknął, myśląc o masakrze spowodowanej przez jednego człowieka i jego problem z alkoholem. — Niezła robota, doktoro.

Marzenie wyglądała na zawstydzoną.

— Gotowy? — spytała nagle.

Jego bardzo atrakcyjna szoferka wyglądała tak, jakby miała zaraz wyjść z siebie, jeśli choć chwilę dłużej będzie musiała przyjmować wyrazy uznania.

— Tak. — Linc wykorzystał fakt fizycznego wyczerpania i kontuzji i zarzucił jej zdrową rękę na ramiona. Kobieta zeszywniała na chwilę, a potem przełożyła torby, własną i jego, żeby lepiej poradzić sobie z jego ciężarem.

Już po pierwszym kroku Linc zorientował się, że to wcale nie była zabawa. Był słaby jak cholerny kociak. Wypruty z energii, głodny i zmęczony. Zacisnął zęby i spróbował zamaskować syknięcie towarzyszące wciągnięciu powietrza.

Lekarka objęła go w pasie. Nie oszukał jej. *Cholera.*

— Dobrze się dziś spisaliście, oboje — powiedziała niechętnie doktor Ling, gdy szli w stronę wyjścia.

— Dzięki. Pani też! — zawołała w odpowiedzi jego ładna pani doktor, służąca za kulę.

Szli powoli w kierunku poczekalni, ale zatrzymali się, żeby przepuścić pielęgniarkę prowadzącą w pośpiechu starszą kobietę.

— Mąż jest tutaj — mówiła pielęgniarka, odsłaniając zasłonę przy jednym z pierwszych boksów.

Nelson, w trochę gorszym stanie ze względu na zmęczenie, uśmiechnął się promiennie ze swojego łóżka. Głowę miał zabandażowaną, podobnie jak lewą rękę. Był podłączony do tyłu kabli, że za ich pomocą spokojnie można by było ożywić potwora Frankensteina. Ale żył i uśmiechał się do swojej żony jak zakochany nastolatek.

Linc poczuł, że Doktor Marzenie zwolniła kroku.

— Zostawiam cię samego na godzinę i sam zobacz, jakie są skutki! — wykrzyknęła żona Nelsona. Pochyliła się nad nim, odgarnęła grzywę siwych włosów i pocałowała go delikatnie w czoło.

— Ale mam co opowiadać — powiedział Nelson. — Proszę. To dla ciebie. — Wskazał na kwiaty, które pielęgniarka zapobiegliwie wsadziła do brzydkiego plastikowego dzbanka na lód. Bukiet był zwiędnięty i przysmalony, a gipsówka spalona na wiór.

— Och, Nelsonie. — Jego żona zalała się łzami i ostrożnie ułożyła się obok niego na łóżku.

Pacjent podniósł wzrok i zauważył Linca.

— Dziękuję — wyszeptał bezgłośnie.

Linc skinął Nelsonowi głową i chrząknął. Doktor Marzenie też chrząknęła. Dwoje stoickich przedstawicieli służb ratunkowych, którzy starali się nie pokazać po sobie uczuć.

— Chodźmy stąd, Marzenie — odezwał się łagodnie.

W milczeniu wyszli głównym wejściem na letni wieczór. Linc pocił się z wysiłku, żeby nie utykać i nie pojękiwać. Był boleśnie świadomy, że bardzo potrzebuje prysznic. Nie zrobił najlepszego pierwszego wrażenia.

— Możesz bardziej się na mnie oprzeć — powiedziała lekarka. — Dam sobie radę.

— E tam. Nic mi nie jest. To była tylko wymówka, żeby cię objąć — powiedział przez zaciśnięte zęby.

— Zostałeś oficjalnie przemianowany z Lewusa na Szpanera — stwierdziła Marzenie.

Linc spojrział przez ramię i upewnił się, że nie mieli już widowni.

— W takim razie... — Wsparł się o nią ciężko. Lawendowy zapach jej włosów doprowadzał jego zmysły do obłądu.

— Zaparkowałam dosyć daleko — poinformowała. — Zaczekaj tu, to podjadę.

— Nie ma mowy. Muszę pozostać w ruchu — sprzeciwił się. Jeśli się zatrzyma i usiądzie, zaśnie w ciągu sekundy. A chrapanie na ławce na przystanku autobusowym to nie był sposób na oczarowanie pięknej kobiety.

Westchnęła, po czym poznał, że знаła ten stan.

— Wedle woli. Uważasz, że powinniśmy się sobie przedstawić? — zapytała, gdy powolnym, zmudnym krokiem przesuwali się wzdłuż najdłuższego rzędu samochodów w historii parkingów.

— Nie. Co w tym fajnego? — odparł.

— Racja. W takim razie, żebyś miał na co czekać, Szpanerze, mój samochód ma klimatyzowane fotele.

Dobrze to wróżyło, bo po plecach spływał mu nowy strumień potu. Miał nadzieję, że spowodowany przez niego potop nie zepsuje elektryki w jej samochodzie.

— Już prawie jesteśmy — powiedziała.

Mimo że przełożył na nią znaczną część ciężaru swojego ciała, ona nie miała choćby przyspieszonego oddechu. Ponieważ zaciskał rękę na jej ramieniu, wyczuwał charakterystyczne napięcie dobrze rozwiniętych mięśni.

Doszli w końcu do wielkiego granatowego SUV-a. Oparła Linca o zderzak i wrzuciła torby do bagażnika.

— Dasz radę sam wsiąść czy ci pomóc?

Linc próbował znaleźć jakąś zalotną odpowiedź albo odpowiedni eufemizm, ale nic mu nie przyszło do głowy. Zrzucił winę na wyczerpanie i głód.

Lekarka uśmiechnęła się do niego tak, że aż poczuł to w brzuchu.

— Rozluźnij się, Szpanerze. Nie będziemy uprawiać seksu. Nie musisz się zastanawiać, jak mi zaimponować. Masz prawo być zmęczony.

— Dlaczego nie będziemy uprawiać seksu? — zapytał i opadł na siedzenie po stronie pasażera w nieskazitelnie utrzymanym samochodzie.

— Jestem tu nowa. Mogłabym być czarną wdową mordującą siekierą, z całym korowodem martwych mężów.

Zmierzył ją powoli wzrokiem i zatrzymał spojrzenie na gołym palcu serdecznym lewej ręki.

— Jestem gotów zaryzykować.

— No pewnie, że tak. I w innych okolicznościach, gdybyśmy poznali się kilka miesięcy temu, nie miałabym nic przeciwko, żeby wziąć twoje bardzo imponujące ciało w obroty.

Linc poczuł się odrobinę uprzedmiotowiony, ale potem stwierdził, że wcale mu to nie przeszkadza.

— Teraz muszę spytać, co się wydarzyło pomiędzy dawną i obecną Doktor Marzenie?

— Nie. Wcale nie musisz — odparła wesoło. Silnik zamruczał i ożył. — Tak samo jak ja nie pytam o twoją „dziewczynę”.

— Jeśli nie będziemy ze sobą sypiać, to zostaniemy przyjaciółmi. A przyjaciele mówią sobie wszystko — powiedział, zmieniając taktykę.

Uśmiechnęła się do niego i wrzuciła wsteczny.

— Zawsze chciałam mieć kumpla.

Roześmiał się. Była wygadana. A on był wystarczająco inteligentny, żeby uznać to za atrakcyjne.

Jego żołądek przerwał zabawę brutalnym przypomnieniem, że jest pusty.

— Posłuchaj, wiem, że dzielnie walczysz z moim urokiem osobistym. Ale co byś powiedziała na coś do jedzenia? Nie chcę naciskać — *kłamstwo* — ale mógłbym w tej chwili pożreć twoją bardzo kształtną rękę.

— Kanibalizm to z pewnością najbardziej interesująca propozycja, jaką mi dziś złożono — powiedziała, wyjeżdżając z miejsca parkingowego, i skierowała się w stronę autostrady, która biegła równoległe do szpitalnego parkingu.

Przez kilka minut jechali w ciszy. Linc rozmyślał o Nelsonie i jego żonie. Jeszcze minuta, a on, Nelson i wszyscy inni znajdujący się przy tym samochodzie ulegliby zwięgleniu.

Mieliśmy ogromne szczęście.

Opuścili autostradę dwa zjazdy przed Benevolence. Linc podziękował swoim szczęśliwym gwiazdom, gdy lekarka zatrzymała się na spękany asfaltowy parking przed jadłodajnią.

Pozwolił jej pomóc sobie wejść do środka, bardziej z konieczności niż z chęci flirtu. Usiedli w boksie przy stole z odrapanym blatem ze stali nierdzewnej, wyposażonym w błyszczący podajnik na serwetki.

— Chcesz mi opowiedzieć o wypadku? — zapytała i dała sygnał kelnerce. — Możemy wymienić się opowieściami wojennymi, dzięki temu wyjdziemy na bardziej heroicznym i pięknych.

— Marzenie, spójrz na nas. Nie da się lepiej wyglądać.

— Cii. Posłuchaj, Szpanerze, kiedy jest się tak atrakcyjnym jak ty i ja, to trzeba spróbować przynajmniej *udawać* skromnego. Nikt nie lubi pięknych zarozumiałców.

Uśmiechnął się do niej szeroko i stwierdził, że chyba w końcu poznał sobie równą.

Podeszła do nich kelnerka, rzeczowa kobieta, która kończyła właśnie zmianę. Spojrzała na nich znad okularów do czytania w niebieskich oprawkach.

— Co dla was, młodzieży?

Marzenie zamówiła zieloną herbatę i omlet z białek ze świeżymi owocami. Linc zdecydował się na beczkę kawy, trzy butelki wody i klopsa, a do tego kanapkę z indykiem.

Kelnerka nawet nie mrugnęła, ale Marzenie uśmiechnęła się znacząco.

— Musiałeś spalić sporo kalorii — stwierdziła.

Po złożeniu zamówienia zaczęli wymienić się opowieściami o dzisiejszym dniu pracy, o wezwaniu i ofiarach.

— To była jazda pod wpływem alkoholu. Kierowca ciężarówki był zalany w trupa i nie zauważył znaku o robotach drogowych. Po prostu wbił się w stojące samochody — powiedział Linc.

Westchnęła ciężko.

— Gdyby dzieciaki w szkole jazdy musiały obowiązkowo zobaczyć miejsce wypadku, to nikt nie pisałby esemesów podczas jazdy ani nie prowadził po alkoholu.

Rozpoznał to. Frustrację. Fakt, że tak wielu obrażeń, tak wielu zgonów dałoby się całkowicie uniknąć. Ale zawsze będą ludzie niezdolni do podjęcia właściwych decyzji. Zawsze kogoś skrzywdzą. A on i inni pokroju siedzącej naprzeciwko niego lekarki będą się zjawiać, żeby posprzątać bałagan.

Zaczął go osaczać wyczerpanie, którego napieranie czuł w głowie. Wziął kolejny łyk bardzo dobrej kawy i powstrzymał chęć, żeby ją wyłopać.

— Rozumiem, co mówisz. Przynajmniej każda z tych osób, które wrócą dziś do domu, będzie jeździła ostrożniej.

— Pielęgniarki z ostrego dyżuru rozplęwały się nad tym, że ocaliłeś tamte kwiaty — powiedziała Marzenie, popijając zieloną herbatę, do której wcisnęła solidną dawkę soku z cytryny. — Ale wygląda na to, że one zwykle rozplęwają się nad Komendantem Ciacho.

— A więc *wiesz*, jak się nazywam — zazartował.

Uniosła żartobliwie brwi.

— To twoja pierwsza intubacja podczas lotu? — zapytał. Miał wrażenie, że kobieta czuje się swobodniej podczas rozmowy o medycynie i akcjach ratowniczych, niż o sobie samej. Wykorzysta to dla własnych celów... kiedy będzie miał więcej siły.

— Trzecia — odpowiedziała. Oparła się wygodniej i położyła rękę na oparciu kanapy.

— Ale nie tutaj — domyślił się. — Pamiętałbym, gdybym zobaczył cię na miejscu jakiegoś wypadku.

— Jestem tu nowa — wyjaśniła.

Uśmiechnął się i odczekał chwilę, gdy nie raczyła powiedzieć nic więcej.

— Wcześniej przez kilka lat wojsko. — Przełamała się w końcu.

Wskazał na jej koszulkę z logo Gwardii Narodowej.

— Domyśliłem się.

— Powalająco przystojny i niesamowicie przenikliwy — stwierdziła i zatrzepotała rzęsami.

Podano im jedzenie. Talerze Linca zajęły większą część stołu. Zaczęli jeść.

Linc był wciąż zmęczony. Wciąż obolały. Ale jedzenie i towarzystwo pomagały.

Kiedy kelnerka położyła rachunek na stole, zdrowa dłoń Linca dotarła do niego pierwsza.

— To nasza pierwsza randka. Ja płacę.

— Bez urazy, ale to fatalna pierwsza randka. Śmierdzisz dymem i środkami odkażającymi.

— To afrodyzjaki dla przedstawicieli służb ratowniczych.

— Pozwolę ci zapłacić, ale wyłącznie w ramach zwrotu kosztów podwózki.

— Biorę, co się da.

Czekała cierpliwie, aż wyłowi jedną ręką gotówkę.

— No dobra, Szpanerze. Prowadź — powiedziała Marzenie i wysunęła się z boksu.

Po wjeździe do Benevolence Linc odegrał rolę przewodnika. Pokazywał ogólniak, remizę strażacką, niewielkie centrum, które wyglądało w zasadzie tak samo, odkąd się tu urodził. Zmiana nie była niczym złym. Ale było coś pokrzepiającego w niezmienności jego rodzinnego miasta.

Zaczęło się ściemniać. Świerszcze i żaby dawały z siebie wszystko podczas ostatnich sierpniowych występów.

I choć nie mógł się doczekać powrotu do swojego psa, do swojego łóżka, to nie był gotowy na zakończenie wspólnych chwil z Doktor Marzenie.

— Skręć tutaj. — Wskazał na kolejny znak drogowy. — Trzeci dom po lewej.

— To chyba jakiś *żart* — mruknęła pod nosem lekarka.

— No co? Nie widziałaś nigdy niesamowicie przystojnego mężczyzny, który mieszkałby na przebudowanej stacji benzynowej? — zażartował.

— Coś w tym stylu — odpowiedziała kpiąco. Bardzo chciał zrozumieć, co ją tak rozbawiło. — Wygląda na to, że ktoś się cieszy na twój widok. — Wskazała na duże okno od frontu.

Iskierka, jego jasna labradorka, chodząca katastrofa, skrobała pazurami w szybę, oszalała z emocji.

— Lęk separacyjny. Zwykle zostaje z kimś, ale w związku z dzisiejszym wezwaniem nowa pracownica przywiozła ją do domu. A tak swoją drogą, to jest właśnie moja dziewczynka — wyjaśnił, gdy przednie łapy Iskierki zaplątały się w ciężkie zasłony. Rozległ się przytłumiony łoskot, gdy zasłony razem z karniszem spadły na dół. Niezrażona tym suka podbiegła do drzwi, po czym w podskokach wróciła do okna.

— Ha. Chyba miałam rację, gdy wyobraziłam sobie ciebie z wymagającą blondynką — zażartowała lekarka.

Tak. Zdecydowanie nie mógł się doczekać ich kolejnego spotkania.

— Chcesz wstąpić na kieliszek przed snem? Zobaczyć mnie ze skomplikowaną brunetką?

— Miła propozycja, Szpanerze, ale dziękuję.

— Gdybym chciał się za tobą uganiać z większym uporem, to jak najlepiej to zrobić? — zapytał, kładąc zdrową rękę na klamce.

— Mam przeczucie, że znajdziesz sposób — zawyrokowała.

Z pewnością znajdzie. Po długim, gorącym prysznicu i przespanej nocy.

Linc otworzył drzwi lewą ręką.

— Do zobaczenia wkrótce, doktorco — powiedział.

— Co do tego nie mam wątpliwości.

Wziął swoją torbę i zsalutowawszy krótko, wszedł do domu, gdzie natychmiast został zalany bezwarunkową miłością.

Rozdział 5.

Bez otwierania oczu wiedziała, że dalej jest ciemno. Jej wewnętrzny zegar był prawdziwym cudem. Irytująco konsekwentnym cudem.

Piąta trzydzieści rano. Rozważała, czy nie naciągnąć poduszki na głowę i nie spróbować jeszcze zasnąć na kolejne pół godziny, ale to było na nic. Dzień się rozpoczął.

Zrzuciła z siebie pozostałość nakrycia, które przetrwało noc, i przeszła nad wcześniej skopaną narzutą. Kiepsko sypiąca doktor Mackenzie przyzwyczała się do funkcjonowania po kilku godzinach snu. W jej życiu było zbyt dużo adrenaliny.

Według standardów większości ludzi jej sypialnia była mała. Ale większość ludzi nie spędzała sporej części życia na wyjazdach do szpitali polowych w obcych krajach. Podwójny materac był wystarczająco wygodny na najbliższe pół roku. A w wolnej chwili Mack zapewne dokończy rozpakowywanie ubrań.

Przystanek w Benevolence w stanie Maryland był dla niej jak kolejna misja. Tymczasowa lokacja. Krótkoterminowa praca. Dziś miała się dowiedzieć dokładnie, w co się wpackowała.

Deski podłogowe zaskrzypiały pod jej bosymi stopami w drodze do łazienki. Była maleńka — podobnie jak reszta domu — ale właściciel zdołał wcisnąć do niej wystarczająco dużo miejsca do przechowywania w postaci toaletki, otwartych półek i kawałeczka bieliźniarki, żeby łazienka nadawała się do użytku.

Mack związała włosy gumką, zabezpieczając je w formie krótkiej kitki, i ochlapywała twarz zimną wodą tak długo, dopóki nie poczuła szczypania napływającej krwi.

Dziesięć minut później była już za drzwiami, z butami do biegania na nogach i rozgrzаныmi mięśniami.

Jak właśnie miała okazję się przekonać, końcówka sierpnia w Maryland oznaczała, że mimo wczesnych godzin porannych do ciała lepiły się macki letniej wilgoci. Mack skręciła w lewo i pobiegła wzdłuż ulicy, postanawiając przebiec się po nowej dla niej części miasta przed dotarciem na szlak nad jeziorem.

W miarę jak stopy wybijały równy rytm na chodniku, jej umysł ustalał porządek dnia. Pysznic. Śniadanie. Herbata. A potem pierwszy dzień pracy w towarzystwie doktor Dunnigan w prowadzonej przez nią przychodni rodzinnej, gdzie do marca Mack miała spędzać cztery dni w tygodniu.

Poczuła, jak wzdłuż kręgosłupa przeszywa ją nerwowy dreszcz. Roześmiała się na głos w cichej dzielnicy mieszkalnej. *Mack O'Neil, boisz się wyzwania?* Bardziej się bała, że nie będzie to dla niej wystarczające wyzwanie. Obawiała się, że spokojne małomiasteczkowe życie okaże się dla jej zdrowia gorsze niż poprzednia praca, łącząca się z dużym poziomem stresu.

Niewydolność kory nadnerczy. Nieuchronne wypalenie. Groźba wyczerpania.

Jako osoba zawodowo związana z medycyną zdawała sobie sprawę z zagrożeń płynących ze stawiania swojemu ciału nadmiernych wymagań przez zbyt długi czas. A mimo to nie przekroczyła tej granicy o centymetr czy dwa. Nie. Przebiegła dobre sto metrów w złym kierunku.

Zawsze potrafiła zrównoważyć ciężką pracę ostrą zabawą. A kiedy było to konieczne, w pełni zasłużonymi wakacjami na rajskiej wyspie, gdzie nie musiała się martwić o nic,

poza parasolkami w drinkach i nakładaniem kremu do opalania. Ale w ostatnim czasie nie była w stanie wystarczająco ostro się zabawić. Nie była w stanie wyrównać napięcia.

A była wystarczająco mądra, żeby zająć się problemem teraz, zanim będzie ją to kosztować za dużo.

Miała sześć miesięcy, żeby doprowadzić się do porządku. Sześć miesięcy rybiego oleju i warzyw, snu i medytacji.

Boże, miała nadzieję, że to nie potrwa aż tak długo.

Od zawsze dużo od siebie wymagała. A teraz nadeszła pora, żeby przestać wymagać i zacząć... robić to, co stanowiło tego przeciwieństwo.

Zerknęła na zegarek i zwolniła tempo, żeby utrzymać tętno na odpowiednim poziomie. Wystarczającym jak na trening, ale nie jak maksymalny sprint.

— Po prostu oddychaj — napomniała Mack samą siebie. Tylko tyle musiała robić. Oddychać i odpoczywać. I mieć nadzieję, że nie umrze z nudy.

Zrobiła długi, powolny wdech. Potem wypuściła powietrze. Beton pod stopami zamienił się w ziemię i sosnowe igły. Mack pozwoliła myślom przepływać swobodnie, gdy znalazła się na zalesionym terenie.

Po sześciu kilometrach była z powrotem pod drzwiami wynajętego domu. Rabaty kwiatowe — cholera, miała teraz rabaty — wymagały porządnego plewienia. Trawa urosła trochę za bardzo. Mack przypomniała sobie, że w garażu, zbyt małym na jej SUV-a, widziała ręczną kosiarkę.

Później znajdzie trochę czasu na prace ogrodnicze.

Wbiegła po równych, ceglanych stopniach i weszła do środka. Dom, a raczej chatka, przypominał miejsce z bajki. Drzwi wejściowe były zaokrąglone i pomalowane na odcień

błękitu, podkreślający żółte jak żonkile deskowanie. Z dworu wchodziło się prosto do salonu, który zajmował całą przednią część domu. Żółta sosnowa podłoga, urocze meble wbudowane w ścianę, a nawet schludny, ceglany kominek, przed którym — gdyby była tego typu człowiekiem — przyjemnie byłoby rozłożyć się z dobrą książką w mroźny wieczór.

Ale Mack nie była typem spędzającym mroźne wieczory z książką w rękę. Była typem, który wywieszał się do połowy z helikoptera, żeby przetransportować pacjentów z miejsca wypadku na śniegu do najbliższego szpitala.

— Jedna zmiana w tygodniu — przypomniawszy sobie, idąc krótkim korytarzem do kuchni. Cztery dni w przychodni. Jeden dzień w lotniczym pogotowiu ratunkowym.

W kuchni przydałby się mały remont, ale skrzypiące szafki pomalowane na jasnoniebiesko miały pewien wynikający z patyny urok. Drewniany blat układał się w krótkie L. Biała lodówka i kuchenka. Brak zmywarki. Ale gotowanie dla jednej osoby nie produkowało dużo naczyń.

Mack nastawiła czajnik i przygotowała składniki na koktajl proteinowy, śniadanie zapewniające wystarczającą wartość odżywczą. Upchała w blenderze owoce, jogurt, kiełki i zieleninę, dodała białka w proszku i nasion chia i pozwoliła urządzeniu działać.

Zostawiła czajnik i blender w spokoju i wykonała w jadalni, obok uroczego, zdobionego w ornamenty stołu, szybką serię desek, pompek i brzusków.

Gdy skończyła, czajnik gwizdał, a koktajl był tak gładki, jak to tylko możliwe.

Przeleciała oba płyny do odpowiednich naczyń i wyszła na taras.

Po pięciu dniach spędzonych w tym domu podglądanie seksownego sąsiada z łatwością weszło jej w krew. Oczywiście to będzie musiało się teraz zmienić, skoro poprzedniego wieczora odwiozła rzeczzonego sąsiada do domu.

Jak to w ogóle możliwe?, zastanawiała się. Najwyraźniej to wcale nie aż takie trudne w małym miasteczku.

Komendant Lincoln Reed nie spał. Ponad sięgającym piersi płotem, który rozdzielał oba domy, widziała, że się u niego świeciło.

— Mam nadzieję, że nie ćwicz — szepnęła pod nosem. Podobnie jak bywało z większością problemów zdrowotnych, częściowe zwichnięcie mogło okazać się podstępne, jeśli nie zapewniło się koniecznego odpoczynku.

Kociół, garnek, pomyślała beznamiętnie.

I wtedy go zobaczyła. Postawny, jasnowłosy osiłek pojawił się w oknie pomieszczenia, które wyglądało na małą, domową siłownię. Trzymał w ręce kawałek pizzy.

Śniadanie mistrzów.

Schylił się i potarł psa, a potem spojrzał na przymocowany do ściany drążek do podciągania.

— Ani się waż — mruknęła do kubka z herbatą Mack.

Bez koszulki i bez temblaka, Linc złapał się drążka obiema rękami i podciągnął całe ciało z zupełną lekkością.

Wielki macho-idiota. Znała ten typ. Spędziła wystarczającą część swojego dorosłego życia w otoczeniu tego rodzaju mężczyzn — i kobiet. Najpierw na akademii medycznej, a potem w wojsku. A teraz na własnym podwórku.

Po jednym podciągnięciu — zamiast swoich standardowych trzydziestu — opadł na podłogę jak kamień.

Pies przysunął się bliżej, aż w końcu wcisnął się mu prawie na kolana.

Mack z ociąganiem spojrzała na zegarek. Jeśli opuści medytację, będzie miała jeszcze moment.

Wizyta domowa pochłonie wolny czas pomiędzy chwilą obecną a pierwszym dniem w nowej pracy. Facet pewnie weźmie to za oznakę jej zainteresowania, ale prawdę mówiąc, nie przejmowała się tym na tyle, żeby nie iść.

Z westchnieniem odstawiła herbatę, wzięła wstrętny koktajl i poszła w kierunku prysznicza.

Rozdział 6.

Pukanie do drzwi Linca przed siódmą rano zwykle oznaczało, że towarzyszka z poprzedniego wieczoru czegoś zapomniała. Telefonu. Kluczyków od samochodu. A raz majtek.

Ale zeszłej nocy spał sam i śnił o ładnej pani doktor.

Przeciągnął przez głowę koszulkę, heroiczny wyczyn z jedną zdrową ręką, i poszedł w kierunku drzwi wejściowych. Iskierka deptała mu po piętach.

Zastanawiał się, czy wzrok go nie myli. Na betonowych stopniach stała kobieta, o której śnił i fantazjował. Miała na sobie wąskie granatowe spodnie i dopasowaną białą koszulkę polo, a w ręce torbę.

— Doktor Marzenie. Nie mogłaś przestać o mnie myśleć, prawda? — Oparł się o framugę. Iskierka wystawiła łeb pomiędzy jego kolanami.

— Nie mogłam przestać myśleć o krzywdzie, jaką zapewne sobie wyrządzasz, Szpanerze.

— Krzywdzie? — prychnął. — Odpoczywam. Zalecenie lekarza. — Podrapał się odruchowo w ramię i zaczął się zastanawiać, gdzie zostawił temblak. A tak, w kubie na śmieci w kuchni.

Wyminęła go i weszła prosto do pokoju od frontu, który służył jako salon i jaskinia męskich uciech w jednym, z gigantycznym, płaskim telewizorem, stołem bilardowym i barem zrobionym z czerwonych metalowych szafek.

— Chyba nie próbowałaś ćwiczyć, co? Zamienić skręcenia w zerwanie ścięgna? — złązała go, zerkając na neonowy

szylid reklamujący piwo na ścianie.

Albo ta kobieta była wróżką, albo zrobił się przewidywalny.

— Skoro tyle wiesz, mądralo, to co jadłem na śniadanie?

Rzuciła torbę na stół bilardowy i spojrzała na niego z namysłem. Blizna pod jej lewym okiem tworzyła ledwie widoczne wgłębienie pod powieką.

— Wyglądasz mi na faceta, który jada na śniadanie zimną pizzę.

Linc spojrział na swojego psa.

— Doniosłaś na mnie?

Ogon Iskierki chlasnął radośnie o biało-czarne kafle.

Twarz Doktor Marzenie złagodniała.

— Jest słodka. Widzę, że nie naprawiłeś jeszcze zasłon. — Dalej leżały w bezładnym stosie na podłodze w miejscu, w którym spadły poprzedniego wieczora.

— To praca na dwie ręce — wyjaśnił.

— Jak poparzenia? — zapytała swobodnym tonem, podnosząc karnisz i zmiętą draperię.

— Nie jest źle — powiedział, zerknąwszy na zabandażowaną rękę.

Kobieta przesunęła skórzany podnózek pod okno i podniosła karnisz oraz zasłony z podłogi. Oparła się o maszynę do pinballa Ms Pac-Man i wsunęła karnisz na miejsce.

— Dzięki.

Zeszła na podłogę i przesunęła podnózek na swoje miejsce.

— Pomyślałam, że wpadnę i ochrzanię cię za to, co wyczyniasz, cokolwiek to jest. I zmienię ci bandażę — powiedziała.

Iskierka podeszła do lekarki, merdając ogonem, i posadziła zadek na podłodze.

— Grzecznie prosi, żebyś natychmiast obdarzyła ją miłością — poinformował Linc.

To mógł być albo początek, albo koniec ich związku. Musiałby od razu pożegnać się z kobietą, która nie przytuliłaby jego sukki i nie powiedziała jej, że jest najśliczniejszą dziewczynką na świecie.

— Cześć. Miło cię poznać — powiedziała lekarka i poklepała psa niezręcznie po łbie. Iskierka miała zdezorientowaną minę.

— Nie bawiłaś się nigdy wcześniej z psem?

— Robię coś nie tak?

— Spróbuj ścisnąć jej pysk w rękach i powiedzieć jej, że jest śliczną dziewczynką — podpowiedział Linc.

— Jesteś śliczną dziewczynką — powtórzyła Marzenie, delikatnie ujmując dłońmi pysk Iskierki. Pies docenił jej wysiłek i polizał ją przyjaźnie po twarzy.

— Dobra robota. To znaczy, że cię lubi.

— Że mnie lubi czy że chce mnie zjeść? — zapytała kobieta, wciąż gładząc jedwabiste futro psa.

— W świecie psów to nie robi większej różnicy.

Słyszając jego głos, Iskierka przypomniała sobie o swojej bezwarunkowej miłości do niego i galopem znalazła się znów u jego boku.

— Gdzie mogę umyć ręce? Zabandażuję cię i możesz przez resztę dnia dalej ignorować zalecenia lekarzy — oznajmiła

Marzenie. Wstała i otrzepała spodnie z psiej sierści.

Wskazał na drzwi pomiędzy barem i telewizorem.

— To zdecydowanie męskie mieszkanie — powiedziała po powrocie, wycierając ręce w papierowy ręcznik.

— Wiele z tych rzeczy należało do mojego dziadka — wyjaśnił, wyciągając rękę w kierunku półek, na których wyeksponowano kolekcję pamiątek ze stacji benzynowej rodem z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku i bibelotów związanych ze strażą pożarną. — Budynek należał do niego, ale wtedy był jeszcze stacją benzynową i warsztatem samochodowym.

Marzenie wygrzebała z torby gazę i taśmę.

— Ciekawe — stwierdziła. Zauważył jej pytające spojrzenie rzucone na stojący w rogu kegerator. Ten dom należał bezsprzecznie do niego. Do lat siedemdziesiątych jego dziadek był właścicielem serwisu samochodowego. Linc kupił go kilka lat temu i rozpoczął eklektyczną renowację, składając tym samym hołd przeszłości budynku i swojemu własnemu zamiłowaniu do historii straży pożarnej.

— Gdzie możemy to zrobić? — zapytała, po czym uniosła dłoń, gdy otworzył usta. — Oszczędzę nam obojgu sugestii, żeby zrobić to w sypialni. Tu będzie okej.

Wybrała kanapę. Długi, niski skórzany mebel wypoczynkowy, na którym zwykle zasiadali jego kumple podczas meczu oraz wszyscy, którzy zjawiali się na kolejną rozgrywkę karcianą przy stole. Ponieważ nikt nie mógł zostać pominięty, Iskierka zajęła miejsce na końcu kanapy.

Usiedli naprzeciwko siebie. Marzenie ujęła jego zabandażowaną dłoń.

Poprzedniego wieczora mocno opierał się na lekarce w drodze do i z samochodu. Ale tym razem to *ona* dotykała

jego. Jej dotyk sprawiał mu przyjemność. Chłodny, kompetentny. Silny, ale była w nim też pewna delikatność.

Poparzenie na grzbiecie dłoni było zaognione, czerwone i pokryte pęcherzami. Ale miewał gorsze. I kiedyś znów będzie miał gorsze.

Marzenie delikatnie nałożyła na ranę cienką warstwę kremu na poparzenia i nakryła czystym kawałkiem gazy.

Siedział na kanapie, trzymając za rękę kobietę, której imienia nie znał... jeszcze.

Cokolwiek by o nim nie mówić, twarze towarzyszące mu w domu zawsze miały imię. Ale nie tym razem. Ta kobieta odrzuciła jego pierwsze zaproszenie do domu, a potem zjawiała się na jego progu z apteczką i drygiem do naprawy dekoracji okiennych.

— Postaraj się, żeby rana była czysta i nawilżona. Nie nadwyrażaj barku. Twoje ciało nie jest niezniszczalne — powiedziała i owinęła wokół jego dłoni kolejną warstwę taśmy.

— Powątpiewasz w moją wytrzymałość, Marzenie?

Iskierka zsunęła się z kanapy i położyła łeb na kolanach lekarki.

— Powątpiewam w twój zdrowy rozum, Szpanerze. — Przycisnęła taśmę mocno do jego dłoni i przykleiła ją do skóry. — A teraz powątpiewam też w swój własny, skoro tu przyszłam. — Ale pogłaskała znów Iskierkę, tym razem z większą pewnością. A kiedy pies zamachał radośnie ogonem, uśmiech Doktor Marzenie wyrażał czystą radość. — Jesteś bardzo dobrą dziewczynką. Opiekuj się tatusiem i nie pozwól mu robić głupot.

Iskierka przycisnęła się do lekarki, starając się znaleźć jak najbliżej milej pani.

— Gdzie ci się tak spieszy? Mogłabyś trochę zostać i dopilnować, żebym przestrzegął zaleceń lekarza — zaproponował.

— Idę do pracy.

— Znów lecisz? — chciał wiedzieć Linc. Ta kobieta była zagadką do rozwiązania.

Pokręciła głową.

— To robię tylko dla przyjemności. Żeby nie stracić werwy. Prawdziwa praca zaczyna się dziś.

— Na ostrym dyżurze? Na oddziale poparzeń? — zażartował, unosząc fachowo zabandażowaną rękę.

— Gorzej. — Skrzywiła się. — W praktyce lekarza rodzinnego.

Roześmiał się. Byli dla siebie stworzeni, tylko że ona nie miała o tym pojęcia.

— Umknęło mi coś śmiesznego?

Podobało mu się, że chyba jej nie przeszkadzało, iż ktoś się z niej śmieje. Że nie traktowała siebie zbyt poważnie.

— Po prostu myślę o tym, jak dużo mamy ze sobą wspólnego.

— Och, czyżby?

— Jestem komendantem straży pożarnej — powiedział. — Zawsze chciałem być strażakiem. I byłem dobry. Na tyle dobry, żeby awansować. Zgadnij, jak często komendant trafia do płonącego budynku?

Jej uśmiech wyrażał pełne zrozumienie.

— Mniej więcej tak często, jak lekarz rodzinny intubuje pacjenta w helikopterze?

— W punkt, Marzenie. Ty i ja, moja droga. Dwa ziarnka w korcu maku. Więc jeśli będziesz chciała wyrwać się trochę z kieratu...

— Wciąż niezbędnego kieratu — przypomniała mu.

Pokiwał głową, przyznając jej rację.

— Ktoś musi mierzyć temperaturę i wypisywać recepty.

— I ktoś musi organizować pracę chłopaków wbiegających prosto w ogień.

— I dziewczyn — powiedział z naciskiem, mrugając okiem.

— I dziewczyn — zgodziła się. Westchnęła i znów rozejrzała się po pokoju. — To miejsce do ciebie pasuje.

Kiedyś pasowało. Linc nie był pewny, czy to wciąż była prawda. Ostatnio zauważył, że do zadowolenia, które towarzyszyło mu od tak dawna, zaczął zakradać się niepokój.

— Kto to jest? — zapytała, kiwając głową w kierunku zdjęcia na ścianie.

— To moja siostra. Mieszka w Sedonie z trójką dzieci. A ty masz rodzinę?

— Rodzeństwo czy dzieci? — doprecyzowała.

— To lub to. Albo i jedno, i drugie.

Milczała chwilę. Na tyle długą, żeby wiedział, że to, co potem powiedziała, było albo kłamstwem, albo tylko niewielkim wycinkiem skomplikowanej historii.

— Nie. Nie mam. A tak w ogóle to muszę iść do pracy.

Podniósł się razem z nią i podszedł do drzwi. Iskierka dreptała mu po piętach.

— Powodzenia w porządkowaniu szpatulek, pani doktor.

— Miłej zabawy przy robocie papierkowej, komendancie.

Otworzył jej drzwi i z przyjemnością patrzył, jak idzie asfaltem w stronę chodnika.

Nie przyjechała samochodem, zauważył. *Ciekawe.*

Doktor Marzenie była zagadką, która aż prosiła się o rozwiązanie.

Rozdział 7.

Remiza strażacka w Benevolence znajdowała się w nowym dwupiętrowym budynku, w którym krany nie ciekły, kierowcy nie musieli uważać na żalösną dziesięciocentymetrową szparę w drzwiach garażowych, a meble nie śmierdziały po kilkadziesiąt lat przyjmowania pierdnieć strażaków.

Przenieśli się tu trzy lata temu po ciągnących się latami zbiórkach pieniędzy i po kilku hojnych dotacjach.

Ale w jakimś stopniu Linc w dalszym ciągu myślał z nostalgią o pierwotnej ceglanej remizie z zacinającą się bramą garażową, popękaną betonową posadzką i obitą boazerią częścią wypoczynkową, razem z jej skrzypiącą, nierówną podłogą.

— Dzień dobry! — zawołał, wchodząc przez otwarte stanowisko parkingowe. Nowa zmiana zaczynała się oficjalnie o siódmej rano, ale po większych akcjach ochotnicy zwykle zjawiali się wcześniej, żeby dowiedzieć się wszystkiego od swoich zmienników.

— Dobry, komendancie — odpowiedziała załoga.

— Jak bark? — zapytała zastępczyni komendanta Kelly Wu. Zwinnie zeskoczyła z silnika i zatrzasnęła maskę.

Podeszła powoli: metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, kruczoczarne włosy, które zawsze przycinała stylowo na krótko. Twierdziła, że w ten sposób lepiej się mieszczą pod kapturem i hełmem. To, czego jej brakowało w długich nogach, nadrabiała szybkim krokiem i obłądną siłą. W wieku czterdziestu pięciu lat brała dla przyjemności udział

w długodystansowych biegach przełajowych i robiła sobie razem z osiemnastoletnią córką tatuaze.

— Nówka nieśmigana — odparł. Choć bark bolał jak jasna cholera.

Iskierka biegała po remizie i witała się ze wszystkimi z jednakowym entuzjazmem. Dała się podrapać Kelly po głowie, po czym popędziła po schodach do kuchni, gdzie czekały na nią najróżniejsze psie przysmaki.

W garażu pachniało dieslem i środkami czyszczącymi. Dla Linca ten zapach oznaczał nowy początek. Bez względu na to, jaka aparatura i jaki sprzęt były w użyciu poprzedniego dnia, wszystko zostało zresetowane do stanu bliskiego niemal nowości.

Dwójka jego ochotników z dziennej zmiany robiła już przegląd wozów, sprawdzała apteczki i oświetlenie awaryjne, podczas gdy ekipa z nocnej zmiany opowiadała o akcji usuwania skutków karambolu.

Każdy dzień zaczynał się od dokładnego sprawdzenia sprzętu i pojazdów. Chowano na miejsce stroje ochronne, sprawdzano ekwipunek i czyszczono dokładnie wszystkie urządzenia.

Było coś satysfakcjonującego, niemal medytacyjnego w tej codziennej inspekcji. Dzięki niej byli gotowi na wszystko, zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

— Nie powinieneś mieć temblaka? — zapytała Kelly swoim najlepszym matczynym głosem.

— Nie powinnaś kupować dziecku następnego chomika?

— Nie zmieniaj tematu! — zawołała w odpowiedzi. — A to mam akurat w planie dziś wieczorem. Nadal nie jestem pewna, w jaki sposób ostatni futrzak wydostał się z tej cholernej kuli.

— Sama nazwałaś go Houdini.

— Mam tylko nadzieję, że nie znajdzie się w jakimś przewodzie wentylacyjnym czy gdzieś. — Westchnęła. — Bo wtedy będziemy mieć ich pięć.

Szyby okienne lśniły w porannym słońcu. Załoga była dumna z nowej remizy. Sobota była dniem sprzątanía. Dużo łatwiej — i przyjemniej — sprzątało się zupełnie nowy budynek, niż szorowało nagromadzony przez lata brud z dwudziestoletniego brązowego dywanu w kolorze kupy.

Nowa remiza jeszcze nie straciła uroku nowości.

— Streścić ci pokrótce, co się działo? — zapytała.

— Jeśli przy okazji dostanę kawę — ziewnął. Przestał się rozciągać, gdy poczuł ukłucie w barku.

Spał jak zabity, ale nie obraziłby się za jeszcze godzinę lub dwie snu.

Kelly weszła za nim na górę, gdzie oboje skręcili do kuchni.

— Siemanko, komendancie — przywitał go Zane „Schodziarz” Jones. W jednej ręce trzymał bajgla, w drugiej torbę sportową. Po ciężkiej akcji miejscowe delikatesy zawsze przysyłały im rano bajgle. Kolejna zaleta życia w małym miasteczku.

— Co tam, Schodziarzu?

— Podobno zwichnąłeś porządnie bark — odpowiedział mężczyzna. Był niski i krępy, ale miał wytrzymałość zawodowego sportowca. Zdobył swój przydomek, organizując zawody w hołdzie ofiarom 11 września. Sto dziesięć piętér na steperach w pełnym rynsztunku w miejscowej siłowni.

Linc wzruszył ramionami i zaraz tego pożałował.

— Nie jest źle. Lekarka była przesadnie ostrożna, jeśli chcesz znać moje zdanie.

— Mówisz o lekarce z ostrego dyżuru czy o tej, z którą jadłeś wczoraj kolację? — zapytała Kelly, wcielenie niewinności.

W Benevolence wieści roznosiły się lotem błyskawicy.

Uśmiechnął się do niej zagadkowo i zmienił temat.

— Jak idzie wyścig wąsa? — zapytał Zane’a. Część chłopaków rywalizowała ze sobą w konkursie na najdłuższy zarost jeszcze przed nadejściem Movember.

Zane pogładził się po smętnych kłaczkach nad górną wargą.

— Nieźle. To znaczy Harry jest na prowadzeniu, ale wydaje mi się, że idzie mi dobrze.

— To włochaty drań — zgodził się Linc, myśląc o wolontariuszu włoskiego pochodzenia, wyróżniającym się gęstymi włosami. — Dopilnuj tylko, żeby nie zapuszczał włosów z nosa.

— Wydaje mi się, że to pamięć mięśni. Facet zgolił swój kilkunastoletni zarost tylko po to, żeby wziąć udział w konkursie.

— Ja startuję w konkurencji na włosy na nogach — wtrąciła się Kelly. Napiała się kawy, tak bladej, że wyglądała prawie jak mleko.

— Błagam. Codziennie rysujesz sobie brwi — prychnął Zane.

Kelly poruszyła brwiami.

— Stawiam sto dolców, że jestem gotowa narysować sobie wąsy.

— Sto dolców? — powtórzył z namysłem Linc. — Może też powinienem przyłączyć się do tej akcji.

Na dźwięk jego głosu Iskierka podniosła łeb z miejsca, w którym schowała go pomiędzy poduszkami na kanapie w poszukiwaniu resztek jedzenia. Zerwała się z kanapy i podbiegła do swojego pana.

— Ten pies kocha cię bardziej niż cokolwiek innego na świecie — zauważył tęsknie Zane. Gość od sześciu miesięcy był sam i zaczynał przebąkiwać coś na temat chęci poznania miłej dziewczyny i ustatkowania się.

— Skoro mowa o akcji i k-o-c-h-a-n-i-u — odezwała się Kelly i spojrzała znacząco na Linca. — Jak poszła wczoraj kolacja z gwiazdą pogotowia lotniczego?

— To było żarcie na gruncie zawodowym — wyjaśnił Linc. Nie ujawniał swoich romansów, a już na pewno nie opowiadał o tym, że dostał kosza w kwestii pocałunku.

— Na gruncie zawodowym? Podobno ta kobieta jest zabójczo piękna, a ty praktycznie zaniemówiłeś, gdy wystawiła swoją śliczną buzię z helikoptera — powiedziała Kelly.

— A ja słyszałem, że zwichnął ramię, błagając ją, żeby mu zrobiła dobrze — oznajmił Zane i udał, że pada na kolana i składa prosząco ręce.

— Z przyjemnością przydzielam was na cały tydzień do mycia kibli — oznajmił Linc.

— Oj, komendancie. Dlaczego robisz takie rzeczy, skoro mamy już żółtodzioba? — zapytał Zane.

— Ten żółtodziób wyciągnął mnie wczoraj z płonącego samochodu.

— Po tym, jak bohatersko ocaliłeś bukiet — zauważyła Kelly. — Jeśli to ma jakiegokolwiek znaczenie, to gdybym

szukała jakiegoś przystojniaka, u mnie byś zapunktował. Mogę dopilnować, żeby ładna pani doktor usłyszała o twoim heroizmie i dać jej cynk, że jesteś dobrą partią.

— Zdejmuję cię z dyżuru przy sprzątanii toalet — zmienił zdanie Linc.

Zane ugryzł bajgla pod bacznym spojrzeniem Iskierki.

— Komendant nie potrzebuje twojej pomocy. Jeszcze tak się nie zdarzyło, żeby *nie* zdobył jakiejś dziewczyny.

Linc przeczesał ręką włosy. Nie rozpoznawał tego uczucia. Było przeciwieństwem pewności siebie, ale nie bardzo się tym przejmował. W Doktor Marzenie było coś, co nie dawało mu spokoju. Co kazało mu w sobie wątpić. Odbierało mu mowę, choć był wygadany, sprawiało, że jego podryw robił się toporny. Ta kobieta była wyzwaniem, a on nie miał na swoim koncie zbyt wielu wyzwań.

Iskierka, znudzona rozmową i brakiem smaczków, potruchtała korytarzem do jego gabinetu.

— Może moglibyśmy zająć się odprawą, Wu? — zasugerował Linc.

Kobieta poczęstowała się bajgłem z tacy na stole.

— Zaraz przyjdę — obiecała. — Chcesz pół?

Spojrzał na bajgla. Pomyślał o kawałku pizzy.

— Nie. Dzięki.

Poszedł wolnym krokiem do gabinetu. Iskierka leżała na posłaniu, wyglądając przez jedno jedyne wąskie okno znajdujące się w pokoju. Okładała radośnie ogonem dywan na widok tego, co przykuło jej uwagę, cokolwiek to było.

Linc klapnął na fotel przy biurku i uruchomił komputer. Błat był zawalony odręcznie zapisanymi karteczkami i papierami. Wszystko czekało, aż zostanie porządnie,

zwięźle skompilowane w codziennym raporcie, jego życiowym utrapieniu.

Rola komendanta miała swoje zalety. Ale codzienna papierologia do nich nie należała.

— A teraz poważnie, jak się czujesz? — zapytała Kelly. Usiadła na krześle naprzeciwko niego i ugryzła bajgla posmarowanego grubą warstwą serka kremowego.

— W porządku — powiedział. Otworzył pocztę elektroniczną i skrzywił się, gdy zobaczył liczbę nieprzeczytanych wiadomości.

— Komendancie. — Jej matczyzny głos wymagał odpowiedzi.

— Boli jak sam skurwysyn. Proszę. Zadowolona?

Uśmiechnęła się do niego.

— Że mój szef został ranny podczas wezwania? Tak, jestem wprost zachwycona. Dupek.

— Dla ciebie Komendant Duppek — powiedział zrzędliwie.

— No dobra, Komendancie Dupku, przejdźmy do rzeczy.

Streściła mu wydarzenia z nocnej zmiany i z akcji usuwania skutków wypadku. W dalszym ciągu tylko jedna ofiara śmiertelna.

— Załoga zebrała standardowe guzy i siniaki. Żółtodziób ma lekkie oparzenia po tym, jak wytargała twój zgrabny tyłek z samochodu, ale pod względem obrażeń ty wypadłeś najgorzej.

— Nie miała nic na sobie. — Westchnął. — Miała zająć się triażem.

— Na szczęście dla niej na miejscu trafił się laryngolog, którego mercedes został zamieniony w puszkę aluminiową.

Przejął triaż do przyjazdu karetki. Jak sobie poradziła podczas pierwszej poważnej akcji?

Linc przywołał w głowie wydarzenia.

— Dobrze. Nie straciła głowy. Była podekscytowana. Ale nie w stylu stukniętego klauna na rodeo.

— Będzie dobrym nabytkiem dla zespołu — zawyrokowała Kelly.

— Na to wygląda.

— To znaczy w dalszym ciągu musimy się z niej ponabijać.

— Oczywiście. To część procedury.

— Aha, ponieważ obijałeś się wczoraj na ostrym dyżurze, napisałam za ciebie wstępną wersję raportu.

— Wielkie dzięki, Wu.

— Jasne, pamiętaj o tym, kiedy poproszę cię o wolne Czwartego Lipca.

Wstała i strzepała okruszki ze spodni.

— Potrzebujesz czegoś jeszcze, zanim wyjdę?

— Nie. Mam nadzieję, że po wczoraj dziś będzie spokojnie. Idź do domu.

Kelly potargała entuzjastycznie Iskierkę, po czym zniknęła za drzwiami.

— Nie nadwyreżaj barku — zawołała.

— Tak, tak.

Wyszła, ale Kelly była dopiero pierwszą osobą w jego gabinecie tego dnia.

— Siema, szefie! Jak ramię? — Włochaty Harry wsadził głowę do środka.

— Ledwie cię poznałem bez wąsów — powiedział Linc. Odkąd sięgał pamięcią, facet nosił wąsy.

Harry musnął dłonią krótką szczecinkę nad wargą.

— Niedługo będą z powrotem. Podobno mieliście wczoraj niezły bajzel.

Jedną z najgorszych rzeczy dla strażaka była sytuacja, gdy ominęła go duża akcja.

— Było paskudnie — przyznał Linc. Odsunął w myślach raport i maile na kolejne dziesięć minut, żeby pogadać o pierdołach.

Najwyraźniej to był główny temat dnia.

Odprawa o ósmej trzydzieści została trzykrotnie zakłócona przez sąsiadów, którzy „tak tylko wpadli”. Większość przyniosła ze sobą coś smacznego, więc przerwy nie były do końca denerwujące. To była oznaka, że mieszkali w przyjaznej społeczności. Że wszyscy byli zaangażowani. Że każdemu zależało na życiu innych. Skutki wypadku, traumy były tu dalekosiężne. Rozchodziły się jak zmarszczki na powierzchni wody.

Po zapakowaniu dziennej zmiany do sali konferencyjnej na piętrze, na szkolenie z udzielania pomocy ofiarom o specjalnych potrzebach, Linc wrócił do gabinetu. Bolał go bark. Piekła go dłoń. Ale jego głowa pracowała nad innym problemem.

Nad pewną Doktor Marzenie.

Nie była w pełni odporna na jego urok. Wyglądało na to, że sprawiał jej przyjemność, nawet z nim flirtowała. Ale jasno dała mu do zrozumienia, że nie szuka w jego osobie żadnych ponadprogramowych rozrywek.

Fascynowało go jej naprzemiennie pojawiające się i znikające zainteresowanie jego osobą.

W przeszłości już się czymś takim sparzył. Silną, interesującą kobietą, która przykuła jego uwagę, rozbudziła w nim nadzieje i rozpałała jego wyobraźnię. Wtedy to nie wypaliło. Ale nigdy nie przestał mieć nadziei.

Końcówką długopisu wybijał rytm na biurku, rozważając sytuację. Mógł sobie pozwolić na jeszcze kilka siniaków, uznał. Lepiej żałować czegoś, co się zrobiło, niż czegoś, czego się nie zrobiło.

Wziął telefon i wybrał numer.

— Cześć, Glorio. Co byś powiedziała na to, żeby przygotować mi jeden z tych twoich ładnych bukietów?

Rozdział 8.

Przychodnia Dunnigan i Spółka mieściła się za liceum w bordowym jednopiętrowym budynku na drodze wyjazdowej z miasta. Betonowa rampa i schody, które prowadziły do drzwi wejściowych przychodni, były tak czyste, że można by z nich jeść. Poczekalnia pachniała lekko świeżą farbą.

W środku stały standardowe krzesła, jakie można znaleźć w poczekalniach przychodni w całym kraju: drewniane nogi i miętwozielona tapicerka. W kącie obok akwarium z rybkami znajdowały się małe stolik i krzeselka, uzupełnione o kolorowanki i grube kredki. Jakiegoś małego malarza trochę poniosło i namalował pomarańczowe zygzaki na ścianie w kolorze złamanej bieli.

W poczekalni siedziała matka ze szkrabem o zarumienionych policzkach na kolanach. Czytała mu przygody Żabka i Ropucha.

Dziewczyna siedząca w recepcji uniosła głowę. Wyglądała jak cheerleaderka. Błyszczące oczy. Sprężyste loki, których kolor przechodził z ciepłego brązu u nasady w błyszczący karmel na końcach. Idealny migocący makijaż. I uśmiech królowej piękności.

— Dzień dobry! Pani pewnie jest doktor O'Neil — odezwała się dziewczyna i podniosła się z miejsca. — Jestem Tuesday. Bardzo miło mi panią poznać.

O rany. Najprawdziwsza cheerleaderka.

No cóż, Mack chciała odmiany. Więc zamiast pilota wojskowego o ksywce Bzyk, który pluł tytoniem przez drzwi śmigłowca, miała teraz Tuesday. To znaczący krok naprzód.

— Witam. Tak. Tuesday. — Lata opieki nad nieprzytomnymi pacjentami najwyraźniej zdążyły jej odebrać umiejętność opieki nad przytomnymi.

Stres. To było poniekąd zabawne, że lekarka-twardzielka z pogotowia lotniczego stresowała się pracą w przychodni podstawowej opieki zdrowotnej.

Zza drzwi wypadła kobieta, niska, przyjemnie zaokrąglona, z krótko przyciętą czupryną kruczoczarnych włosów i makijażem mocniejszym niż u Cruelli De Mon. Miała na nogach nieskazitelnie białe ortopedyczne adidasy i fioletowy strój pielęgniarski.

— Freida, przyszła doktor O’Neil — oznajmiła radośnie Tuesday. Mack zastanawiała się, w którym miejscu piramidy znajdowała się Tuesday.

— Doktor O’Neil. Miło panią poznać — odezwała się Freida. Wyciągnęła rękę. Jej paznokcie były krótkie i niepolakierowane, ale nadrabiała czterema pierścionkami z oczkiem.

— Proszę mówić mi Mack — poprosiła, przypominając sobie, żeby utrzymywać kontakt wzrokowy z obiema nowymi koleżankami z pracy.

— W takim razie doktor Mack — poszła na kompromis Freida. — Proszę ze mną.

Mack nie wiedziała, dokąd idzie ani co na nią czeka. Ale w tej chwili to, co nieznanne, zapewniało jej znajomy komfort psychiczny. Nigdy dokładnie nie wiedziała, co zastanie po wylądowaniu helikoptera. Po prostu potraktuje całe to doświadczenie jako jedno nieznaczące, dziwne wezwanie.

Freida poprowadziła ją na koniec korytarza, a potem wzdłuż kolejnego, krótszego, po czym zatrzymała się i zapukała lekko w zamknięte drzwi.

— Hejka — rozległa się energiczna odpowiedź.

Freida otworzyła drzwi.

— Doktor D., przyszła doktor Mack.

Doktor Trish Dunnigan bez skruchy strzepywała cukier puder z fartucha. Mack z miejsca ją polubiła.

Wstała i strzepała okruchy do kubła na śmieci, po czym otarła dłoń o spodnie i podała ją Mack.

— Miło cię poznać. Witaj na pokładzie — powiedziała serdecznie. Uścisk jej dłoni był mocny i trochę lepki. Doktor Dunnigan była wysoka i raczej pulchna, a do tego miała zjawiskową szopę mocno kręconych rudych włosów. Uśmiechała się bez skrępowania.

— Dziękuję, doktor Dunnigan. Cieszę się, że tu jestem. — Cieszę się. Słowa odbiły się echem w jej głowie, a ona zastanawiała się przez chwilę, czy naprawdę wiedziała, co to znaczy się cieszyć. *Super. Teraz oprócz walki z wypaleniem musiała na dokładkę martwić się kryzysem egzystencjonalnym.*

— Mów mi Trish. Zamierzałam zacząć od uprzejmości, ale mam nieumówioną pacjentkę. Jeśli masz ochotę poobserwować, możemy od razu zacząć.

— Jak dla mnie okej.

Mack zostawiła w jej gabinecie torbę, kluczyki i telefon, i poszła za nią z powrotem do poczekalni.

— Cześć, Colleen. Jak się ma dzisiaj nasz maluch? — zapytała Trish.

— Znów gorączkuje. A to oznacza, że znów nie śpi — odpowiedziała mama.

— A to oznacza, że ty też nie, biedactwo. Chodźcie, zobaczymy, czy da się temu jakoś zaradzić.

Mack poszła za nimi do gabinetu lekarskiego i zamknęła drzwi. Zajęła miejsce w kącie, jak rezydentka na obchodzie,

i próbowała nie wyglądać zbyt groźnie.

Trish przeprowadziła szybko badanie fizykalne, podczas którego chłopiec z wyraźną determinacją usiłował wtopić się znów w ciało matki. Matka wyglądała na skrajnie wyczerpaną.

— Wygląda na to, że Tommy ma rinowirusa, który wszędzie teraz krąży — oznajmiła Trish.

— Nic poważnego. Dobrze — powiedziała Colleen i pokiwała głową. — Czy jestem okropną matką przez to, że naprawdę mam nadzieję, że można mu dać jakieś czarodziejskie lekarstwo na przeziębienie, po którym prześpi całą noc?

Rozległ się gromki śmiech Trish.

— Ha! — Pokręciła głową, trzęsąc przy tym lokami. — Kochana, to zupełnie normalne.

Ulga, że nie jest się złym człowiekiem, czasem pomagała tak samo bardzo jak prawdziwe lekarstwo. Mack wiedziała o tym z własnego doświadczenia.

— Oto moje zalecenia. Dopiero zaczęliśmy wasz powrót do zdrowia. Tommy dawał ci popalić, odkąd dowiedziałaś się, że jesteś w ciąży. Bez urazy, mały. Ja też dałam rodzicom w kość. Nie da się być rodzicem, pracownikiem czy żoną ani pełnić jakiegokolwiek innej funkcji, jeśli jest się zupełnie wyczerpanym. A zatem. Płyny. Lekkostrawne posiłki dla małego. Jeśli za dwa, trzy dni mu się nie poprawi, zadzwoń do przychodni. Obecna tu doktor Mack przepisze mu antybiotyk, jeśli uzna, że infekcja przerodziła się w infekcję bakteryjną. Dobrze?

Mack posłała kobiecie pokrzepiający uśmiech, a przynajmniej taką miała nadzieję.

— Dobrze. — Colleen urwała, bujając Tommy'ego na biodrze. — A co, jeśli on nie będzie mi pomagać?

— Twój mąż? Jeśli odmówi pomocy przy wychowywaniu dziecka, do którego powstania przyczynił się w pięćdziesięciu procentach, to zostawisz tatusia i Tommy'ego na dwie noce i wynajmiesz sobie pokój hotelowy. Na dwie noce. Nie jedną.

Mack zamrugła oczami. *Małomiasteczkowa lekarka zalecała pacjentce porzucenie męża.*

— Każdy może funkcjonować po jednej nieprzespanej nocy — ciągnęła Trish. — Ale musisz sprawić, żeby poczuł koszmar związany z chronicznym wyczerpaniem. Dwie nieprzespane noce dadzą mu zupełnie nową perspektywę na ostatnie trzy lata twojego życia. A jeśli tak się nie stanie, to donieś na niego jego matce. Ona go ustawi.

Colleen pokiwała głową z twarzą bez wyrazu.

— Hotel. Jego matka. Rozumiem.

— Dobrze. A teraz idźcie do recepcji po lizaka. Wszystko będzie dobrze.

Mack przyglądała się im.

— Czy to normalne? Tak się angażować w życie osobiste pacjentów? — zapytała z niepokojem. — Nie mam kwalifikacji do udzielania porad małżeńskich.

Rechot lekarki dało się pewnie słyszeć na sąsiedniej ulicy.

— Witaj w przychodni w małym miasteczku, Mack. Poradzisz sobie. Wierzę w ciebie.

— Nie mam żadnego doświadczenia w budowaniu relacji z pacjentami. W moim przypadku większość z nich jest od samego początku nieprzytomna. Przekazuję ich dalej, zanim odzyskają przytomność.

— Świetnie! W takim razie będziesz miała okazję się wiele nauczyć — powiedziała Trish i poklepała ją po ramieniu. — Nie chciałabym, żebyś się u nas nudziła. Tylko pamiętaj,

koncentrujemy się tu w dużej mierze na zapobieganiu. W dalszym ciągu ratujemy życie, ale w zwolnionym tempie.

To była zdecydowana zmiana biegu. Mack przywykła do tego, że nakładała metaforyczny opatrunek, a resztę zostawiała szpitalowi. Teraz sama miała się zająć tą resztą.

— Chodźmy, to w końcu cię oprowadzę — zaproponowała Trish.

Orowadzanie nie trwało długo. Dwa biura. Dwa gabinety lekarskie. Sala do radiografii i sonografii. Słoneczna kuchnia z nową lodówką i starym stołem. Magazynek, w którym przechowywano zarówno akcesoria lekarskie, jak i materiały biurowe. Pracownicy parkowali na tyłach. Biuro Mack było biurem Trish.

— Chcesz, żebym usunęła część z tych osobistych śmieci? — zapytała lekarka, zataczając ręką po stojącym w rogu regale, który ugiął się pod ciężarem zdjęć ze ślubu pań Dunnigan, oprawionych w ramki dyplomów i intrygującej liczby figurek z dużymi głowami.

Mack pokręciła głową.

— Nie, nie trzeba. Przecież tu wracasz. Nie muszę sobie personalizować przestrzeni.

— Tak czy siak, możesz spokojnie dodać jakieś zdjęcia lub przynajmniej zamówić nowe krzesło biurowe. To tutaj bywa humorzaste, jeśli nie jest się do niego przyzwyczajonym. — Aby to zademonstrować, klapnęła na nie i oparła się. Całe siedzenie przechyliło się do tyłu.

Mack wyciągnęła rękę, żeby ją złapać.

— Nie martw się — parsknęła Trish. — Jeszcze nie udało mu się mnie zrzucić. Jestem zawodowcem. Ale nie daj mu się podejść. Bywa podstępne.

Trish postawiła jej lunch. Pochłonęła połowę porcji spring rollsów oraz kanapkę z serem i wołowiną serwowaną w porze obiadowej.

— Wyczuwam twoją dietetyczną dezaprobatę — powiedziała, popijając kanapkę dużym łykiem mrożonej herbaty malinowej. — Ale mam właśnie wyruszyć w czteromiesięczną podróż dookoła świata z moją radykalną żoną wegetarianką. Będę miała szczęście, jeśli uda mi się raz w miesiącu zjeść ukradkiem cheeseburgera.

Mack się uśmiechnęła. Ta lekarka emanowała *normalnością*.

— No dobrze, podczas gdy ty wyjedziesz, żeby po kryjomu objadać się fast foodem, czy są jakieś obszary, na których powinnam się skoncentrować w twojej przychodni?

— Chcę po prostu mieć pewność, że moi pacjenci, moi przyjaciele, moi sąsiedzi znajdują się w najlepszych możliwych rękach.

Pod względem medycznym tak będzie. Ale jeśli każdy z nich szuka porad życiowych, to znaleźli się w czarnej dupie.

— Zrobię, co w mojej mocy — zapewniła.

— O więcej nie proszę. Jesteśmy małą, niezależną przychodnią. W tych czasach to praktycznie niespotykane. Ale wszystko działa sprawnie. Rozliczenia z ubezpieczycielem są zawsze niemiłe. Ale mamy od tego ludzi. Jeśli będziesz miała jakieś problemy, zaangażuj Freidę. Jest niesamowita. A Russell Robinson, twój zastępca, jest naprawdę wspaniałym lekarzem. Trochę afektowany jak na małomiasteczkowe gusta, ale uwielbiamy go za to. W razie pytań zwracaj się do niego. Będzie w przychodni dziś popołudniu.

— A co będziesz robić podczas dwóch pozostałych miesięcy wolnego?

— Dochodzić do siebie. Chcesz spring rollsa?

Rozdział 9.

Podczas gdy Trish zajęła się kontrolą zwichniętego nadgarstka i przypadkiem zapalenia spojówek, Mack usiadła w recepcji wciśnięta między Tuesday i Freidę, żeby na zmianę mogły jej wyjaśnić działanie bazy danych.

— Tutaj uzupełniasz kartę po wizycie — powiedziała Tuesday, wskazując na ekran laptopa paznokciem pomalowanym na kolor mieniącego się piasku.

— Pod żadnym pozorem *nie* pisz niczego, co nie powinno trafić do wiadomości pacjenta, bo te uwagi są automatycznie ładowane na portal pacjenta — wyjaśniła Freida, zamaszystym gestem omal nie trafiając Mack w prawą pierś.

— Powiedz jej o pani Moretcie — poprosiła z naciskiem Tuesday, podskakując na siedzeniu.

Mack zastrzygła uszami. Tak się składało, że znała w tym mieście pewnego Morettę.

Freida przewróciła oczami w ekstrawagancki i zabawny sposób.

— Poczciwa pani Moretta jest odrobinę...

— Lubi robić wszystko po swojemu — podpowiedziała dobrodusznie Tuesday. *Mita* cheerleaderka.

— Nie lubi, jak się jej mówi, żeby odstawiła wino i lody. — Freida była mniej dobroduszna i być może trochę bardziej twardo stąpała po ziemi.

Z pewnością mówiły o matce Aldo, a nie o jego żonie, uznała Mack.

— W każdym razie pani Moretta miała wyniki powyżej normy. Cholesterol, cukier, waga. Doktor D. starała się delikatnie zachęcić ją do rozważenia nieco zdrowszego trybu życia — powiedziała Freida.

Tuesday zmarszczyła uroczy nosek.

— A pani Moretta poczuła się z tą sugestią niekomfortowo i próbowała wyjaśnić...

— Na całe gardło — dodała Freida.

— W entuzjastyczny sposób...

— Ściany się trzęsły. Dzieci płakały.

— No więc pani Moretta poszła do domu, a my dopiero co wdrożyliśmy portal dla pacjenta — ciągnęła Tuesday, wyraźnie zadowolona z komentarzy Freidy.

— Godzinę później zamykamy, gotowi zakończyć dzień pracy, a tu dzwoni telefon. Zgadnij, kto dzwoni? — chciała wiedzieć Freida, dźgając Mack w ramię bardzo ostrym palcem.

— Pani Moretta?

— Zgadza się. Tuż po przeczytaniu uwag doktor D.

Mack zamaskowała uśmiech.

— A co tam było napisane?

— Że pacjentka agresywnie upierała się przy niezdrowej diecie.

— Pani Moretta czuła się urażona doborem słów.

— Kazała doktor D. pocałować się w swoją wielką dupę.

Mack parsknęła śmiechem i cieszyła się, że w poczekalni było pusto.

— Więc doktor D. musiała zadzwonić do pani D. i poprosić, żeby przełożyła rezerwację stolika w restauracji, bo musiała

iść przeprosić panią Morettę.

— Z kartonem chardonnay.

— Tylko uprzejme uwagi w karcie. Zrozumiałam — powiedziała Mack. Aż ją świerzbiło, żeby coś *zrobić*. Baza danych pacjentów była najprostszą możliwą wersją. Kobieta była gotowa wkroczyć do akcji.

Tuesday przewinęła kartę kolejnego pacjenta, w której Mack zwróciła na coś uwagę.

— Zaraz, dlaczego macie w karcie godziny pracy sąsiada pacjentki? — zapytała Mack. Były tam też uwzględnione mieszkające w innym stanie dzieci wraz z podaniem wykonywanej przez nie pracy. Widniała też uwaga na temat ulubionych ciastek kobiety.

Freida i Tuesday wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

— Im lepiej znamy naszych pacjentów, tym lepszy poziom opieki możemy im zapewnić — wyjaśniła Freida z zamaszystym ruchem ręki, jakby zwracała się do tłumu.

— Może nie wszyscy w ten sposób praktykują medycynę, lub może powinienem powiedzieć: prowadzą *firmę* — przerwał im męski głos, w którym pobrzmiwało zdecydowanie.

Doktor Russell Robinson był szczupłym, dobrze ubranym mężczyzną o ciemnej skórze, krótko przyciętych włosach i znamieniu w kształcie pieprzyka na prawym policzku. Miał zawadiacką muszkę pod białym fartuchem i marsa na czole.

— Doktor O'Neil. — Wyciągnął nad biurkiem rękę.

Najwyraźniej nie było miło mu ją poznać.

— Doktor Robinson. — Odwzajemniła silny uścisk dłoni.

— Doktor Robinson jest kardiologiem, częściowo na emeryturze — wyjaśniła Freida. — Pracuje zwykle w czwartki, piątki i co drugą sobotę. Ale zgodził się w tym i w

następnym tygodniu na dodatkową pomoc, podczas gdy ty będziesz się wdrażać.

— Moja żona jest doradczynią polityczną w Waszyngtonie — powiedział głosem podszytym dumą. — Dzielimy czas pomiędzy Benevolence i miastem. Zakładam, że będzie się pani faktycznie starać, żeby moja obecność nie była potrzebna w pełnym wymiarze godzin.

To nie było pytanie.

— Człowiek nie zajmuje się medycyną na pół gwizdka — oznajmiła stanowczo Mack.

— Nie. Ale niektórzy zajmują się medycyną, żeby zabawić się w Boga — stwierdził.

— Niekórzy. Inni owijają w bawełnę, zamiast przejść do rzeczy. — Mack zrobiła, co konieczne, żeby przetrwać dzieciństwo, ale jako osoba dorosła mówiła bez ogródek, co myśli. Jeśli był jakiś problem, mierzyła się z nim bezpośrednio.

Tuesday zachichotała nerwowo za jej plecami.

— Tutejsza opieka to nie linia produkcyjna, doktor O’Neil. Pacjenci są najważniejsi. Stawiamy na jakość życia. Więc jeśli uważa pani, że pani troska sprowadza się jedynie do wypisania recepty i założenia opatrunku, to proponuję, żeby oszczędziła pani nam wszystkim czasu i wróciła do ratownictwa.

— Jestem tu po to, żeby się nauczyć, jak działa przychodnia lekarza rodzinnego — odpowiedziała chłodno.

— Doktor Dunnigan wydaje się wierzyć, że jestem zdolna świadczyć opiekę na wymaganym poziomie. Jeśli więc ma pan jakieś zastrzeżenia co do moich umiejętności, proponuję, żeby omówił je pan z nią.

— Mam. W tej chwili omawiam je z panią. Proszę dobrze wykonywać swoją pracę, to nie będziemy mieli żadnych

problemów.

Facet był konkretny.

— W porządku — powiedziała.

Mężczyzna odwrócił się do Tuesday i Freidy, a jego twarz znacząco się rozpogodziła.

— Drogie panie. Jak zawsze miło was widzieć.

— Dzień dobry, doktorze Robinson — przywitała się wesoło Tuesday.

— Będę u siebie w gabinecie do czasu kolejnej wizyty, gdybyście czegoś potrzebowały — powiedział. Rzucił Mack ostatnie ostrzegawcze spojrzenie, po czym zniknął w głębi korytarza.

— Przepraszam za to. Doktor Robinson bardzo troszczy się o przychodnię i pacjentów — wyjaśniła Freida. — Jestem pewna, że wkrótce się do pani przekona.

— Tak, na pewno — powiedziała Mack.

— No więc to by było tyle — westchnęła Trish, zamykając za sobą na klucz tylne wejście.

Spojrzała z uczuciem na budynek i poklepała okno w milczącym pożegnaniu.

Nie jest jeszcze za późno, pomyślała głupio Mack.

Może Trish się rozmyśli i postanowi zostać w Benevolence. Mack mogłaby brać dyżury na SOR-ze w miejscowym szpitalu lub uznać, że to chrzani, zapełnić z powrotem ledwie rozpakowane pudła i uciec na kolejne ekstremalne stanowisko.

Ale wtedy Trish uśmiechnęła się i podała jej klucze.

Mack zawahała się przez ułamek sekundy, po czym wzięła breloczek.

— Bezpiecznej podróży — powiedziała do swojej szefowej, która miała niedługo zniknąć. — Przychodnia i pacjenci są w dobrych rękach.

Mack była tego pewna pod względem medycznym. Była znakomitym lekarzem. Nie miała jedynie pewności co do swojego podejścia do pacjenta. Ani czy sprosta ono wygórowanym standardom krytycznego doktora Robinsona.

— Nie przejmuj się Russem — powiedziała Trish, jakby czytała jej w myślach. — Zrobi się serdeczniejszy, gdy zrozumie, że nie przyjechałaś tu wyrabiać normy ani sprzedawać nerek na czarnym rynku.

— Nie przejmuj się doktorem Robinsonem ani mną, ani niczym innym. Mamy wszystko pod kontrolą — zapewniła Mack.

— Wiem, że tak. I wydaje mi się, że naprawdę spodoba ci się w Benevolence, Mackenzie.

Przed oczami pojawił jej się obraz rozebranego do pasa strażaka podglądanego z ogródka. Mack poczuła, że się rumieni.

— Jestem pewna, że te sześć miesięcy zapadnie mi w pamięć.

Rozdział 10.

Mack pojechała do domu z opuszczonymi oknami w samochodzie i pogłośnionym radiem. Miała zacząć oficjalnie w poniedziałek i na tę myśl czuła lekkie podenerwowanie. Będzie dobrze. Poradzi sobie. Nadęte powitanie doktora Robinsona pozwoliło jej tak naprawdę poczuć się swobodniej. Z jej doświadczenia wynikało, że w każdej pracy trafiali się stroszący piórka krytykanci. Dowiodła swojej wartości na znacznie bardziej niebezpiecznych polach bitwy, w starciu z ostrzejszą krytyką.

Podejmie wyzwanie i pokaże Robinsonowi, na co ją stać.

Mack skręciła na obsadzoną drzewami ulicę i złożyła osłonę przeciwsłoneczną. Zaczęła myśleć o kolacji. I o swoim sąsiedzie zza płotu.

Była zaskoczona za każdym razem, gdy jego niebieskie oczy bez ostrzeżenia przychodziły jej do głowy w ciągu dnia. Brak koncentracji to proszenie się o pozew o błąd w sztuce lekarskiej. Więc zapakowała mężczyznę w mentalne pudełko i wystawiła za drzwi swojego umysłu.

Głupio by zrobiła, gdyby w jakikolwiek sposób się zaangażowała. Bez względu na to, jak bardzo Linc był atrakcyjny. Albo interesujący. Albo bohaterski. No dobra, może dołączyła do grona pielęgniarek i również rozplýwała się w środku nad faktem, że Linc ocalił mężczyznę i jego kwiaty.

Ale.

Na metaforycznej ramie łóżka miała oznaczoną wystarczająco dużą liczbę przygodnych związków, żeby uznała, iż ta sfera jej życia wymaga zdecydowanej zmiany w ciągu najbliższych sześciu miesięcy. Żadnych romansów z seksownymi waźniakami. Dobrze jej zrobi, gdy da sobie pół roku na ochłonięcie.

Dzięki temu łatwiej jej będzie postanowić, co dalej. Jaki był rozsądny krok?

U wylotu ścieżki prowadzącej wokół jeziora pojawiła się galopująca postać. Gęste ciemne włosy. Spocone wytatuowane ciało. Proteza zamiast nogi.

Mack zatrzymała swojego SUV-a, wychyliła się z okna i zagwizdała.

Biegacz uniósł dłoń i wskazał na złotą obrączkę na palcu.

— Dzięki. Żonaty.

— Najlepsi zawsze są żonaci! — zawołała w odpowiedzi.

Mężczyzna zatrzymał się w pół kroku i odwrócił się do niej.

— A niech mnie...

W dwie sekundy znalazła się poza kabiną swojego SUV-a w spoconych, muskularnych ramionach Aldo Moretty.

— Doktor Marzenie! — powiedział i okręcił ją w powietrzu, po czym zamknął w miażdżącym niedźwiedzim uścisku.

Radość, gwałtowna i nieopanowana, ogarnęła ich oboje.

Towarzyszyła mu w najgorszym dniu jego życia. Było to coś, o czym żadne z nich nigdy nie zapomni.

— Mówiłaś, że przyjedziesz dopiero w przyszłym tygodniu — powiedział, przyciskając ją do piersi. Jej stopy wciąż dyndały nad chodnikiem.

— Doktor Dunnigan przyspieszyła swój wyjazd, więc oto jestem. — Nie chciało jej się informować go o tym, że była w mieście już od kilku dni. Nie chciała się narzucać. Woląa urządzić się w wynajętym domu i oswoić z nową codziennością, zanim zadzwoni do starego kumpla.

— I oto jesteś — powtórzył Aldo, uśmiechając się do niej promiennie.

Miał ciemne włosy i oliwkową karnację odziedziczoną po włoskich przodkach, a wszystko to połączone z budową ciała konia rasy Clydesdale. Cały aż kipiał energią, witalnością i szczęściem.

Amputacja w zasadzie nie spowolniła jego kroku. Jego żona, urocza latynoska Gloria, miała w tym spory udział.

— Jak tam oprzyrządowanie? — zapytała.

Postawił ją mocno na ziemi i zatańczył gigę.

— Całkiem nieźle. Dotrzymuje mi kroku.

— To o czymś świadczy. — Mack pokręciła głową. Twarz bolała ją od uśmiechania się. — Wspaniale cię widzieć.

Przyciągnął ją w kolejnym uścisku.

— Z wzajemnością. Naprawdę się cieszę, że wypaliło to zastępstwo u doktor Dunnigan.

— Ja też. — I teraz autentycznie się z tego cieszyła.

Za ich plecami zatrąbił samochód.

— Sprawileś sobie nową kobitkę, Moretta? — Chudy facet w brudnej czapeczce baseballowej wychylił się do połowy z okna od strony kierowcy w swoim pikapie, który rzeził tak, jakby poluzowały mu się świece.

— Pilnuj własnego nosa, Carl! — zawołał przyjaźnie Aldo w odpowiedzi. — To nie żadna kobitka. To doktorka, która uratowała mi życie.

— Nie do wiary! Niech tylko powiem o tym żonie!

— Postaraj się jej przy tym nie zaciążyć — żąartował Aldo.

Carl wyszczerzył się w uśmiechu i pokazał mu środkowy palec.

— Miło mi panią poznać, pani doktor! — Zatrąbił znów zawadiacko, a potem odjechał rozklekotanym wozem w stronę centrum.

— Wszyscy tutaj są bardzo przyjacielscy — zauważyła kpiąco Mack.

— Przyjacielscy i wścibscy. Nie zdziw się, jeśli zobaczysz, że Georgia Rae grzebie ci w śmietniku.

— Kto to jest Georgia Rae?

— Dlaczego miałbym ci psuć niespodziankę?

Tuż obok zabrzmiała syrena, przykuwając ich uwagę.

— Aldo Moretto, wypuść ładną panią doktor i przestań blokować przejazd — głos Lincolna Reeda rozległ się głośno i wyraźnie dzięki głośnikowi zamontowanemu na samochodzie komendanta.

— Widzę, że już zdążyłaś zwrócić na siebie uwagę naszego kochasia — zauważył Aldo i objął ją ramieniem.

— Nieoficjalnie — powiedziała wymijająco.

— Nie daj się nabrać na jego bajery. To wszystko tylko tani podryw — żąartował.

— Właśnie tego potrzebowałam. Gotowego do interwencji starszego brata — powiedziała dowcipnie.

Ramię w ramię podeszli do SUV-a Linca.

— Czy ty nie jesteś przypadkiem żonaty? — zapytał Linc przez otwarte okno.

— Szczęśliwie żonaty. I muszę zaraz napisać do Glorii, zanim całe miasto zwali nam się pod drzwi z plotkami, że obściskuję się publicznie z inną kobietą — powiedział Aldo.
— A więc jesteś fanem Doktor Marzenie?

Linc posłał Mack powolny uśmiech.

— To by wiele wyjaśniało.

— Lincolnie Reedzie, kobieciarzu i komendancie straży pożarnej w jednym, poznaj doktor Mackenzie „Na Drugie Mam Bohaterka” O’Neil — przedstawił Aldo.

Linc wyciągnął do niej zabandażowaną rękę.

— Naprawdę miło panią oficjalnie poznać, doktor O’Neil.

Mack przyjęła jego dłoń i zignorowała łaskotanie w brzuchu, gdy jego dłoń zacisnęła się sugestywnie na jej dłoni.

— Cała przyjemność po mojej stronie, komendancie — powiedziała, wcielenie niewinności.

— Tak będzie — zapewnił.

— Nawet nie zaczynaj, stary. Ona jest dla ciebie za dobra — zażartował Aldo, ale Mack zauważyła błysk w oczach Linca.

Nagle jego uśmiech zrobił się jeszcze bardziej czarujący, jego spojrzenie cieplejsze, a ona zaczęła się zastanawiać, czy tylko to sobie wyobraziła.

— Uważaj na tego gościa. Jest wielbicielem płci pięknej — powiedział Aldo i szturchnął przy tym Mack łokciem. — Kocha kobiety, ale potem je porzuca.

Obok nich przejechał samochód, wolniej niż mama idąca chodnikiem z podwójnym wózkiem. Kobieta za kierownicą gapiała się na nich, a Linc machnął do niej leniwie.

— Lepiej się stąd ruszcie, zanim całe Benevolence będzie mówić o waszym romansie — ostrzegł Linc. — Do zobaczenia, pani doktor.

— Powinnam przestać blokować przejazd — powiedziała Mack i skinęła kciukiem w kierunku swojego SUV-a.

— Impreza grillowa. W przyszłym tygodniu — oznajmił Aldo, celując w nią palcem. — Będziesz mogła poznać Glorię i dzieciaki. Zaprosiłbym cię dzisiaj, ale kilka dni temu wróciliśmy z Disneylandu i dalej toniemy w brudnych ciuchach oraz zastanawiamy się, w jaki sposób dzieciaki zapakowały pełną walizkę piachu.

Mack pokręciła głową i uśmiechnęła się szeroko.

— Widzę, że sporo się działo — zauważyła.

Przynajmniej u Aldo. Został odesłany do domu, odszedł z Gwardii Narodowej, ożenił się i założył rodzinę. Pięć lat temu jedyny piasek, jaki oglądał, to ten na pustyni. A teraz jeździł do Disneylandu na rodzinne wakacje.

Tymczasem ona w dalszym ciągu robiła to samo. Jej misje dobiegły końca. Ale czy to nie było zasadniczo to samo? Krótkoterminowy kontrakt?

— Brzmi wspaniale — powiedziała.

— Wyślę ci esemesa.

Mack pomachała do Aldo, gdy ten wznowił swój bieg. Czuła na sobie ciężkie spojrzenie Linca. Gapił się na nią przez przednią szybę.

— Wiesz, że nie składam się wyłącznie z mojej historii randkowej?

— Nie dlatego nie idę z tobą do łóżka, że lubisz kobiety — zapewniła go.

Odwrócił się do niej. — Może nie idę z tobą do łóżka ze względu na *moją* historię randkową.

— Zakończyłaś właśnie wieloletni związek? — domyślił się.

— Wręcz przeciwnie. Jeśli ty jesteś kobieciarzem, to ja jestem faceciarą. Tak czy inaczej, chcę sobie zrobić od tego przerwę.

— Może oboje powinniśmy spróbować czegoś innego. Po prostu będziemy musieli się pobrać — postanowił Linc z szerokim uśmiechem.

Odjechał i zostawił Mack mrugającą intensywnie powiekami.

Rozdział 11.

— Leah, jeśli przestaniesz próbować kopnąć brata w jajka, to może on przestanie być dla ciebie takim gnojkiem — zawołał Linc z patio, gdzie rozpalał grilla, na którym chciał upiec hot dogi i burgery, żeby wykarmić swoich małych zakładników. Tego dnia wstał wcześniej i do południa uporał się z całą robotą papierkową i konserwacyjną w remizie.

— Wujku Linc! Każ jej przestać! — wrzasnął Bryson, a jego głos załamał się w połowie wycia, manifestując w pełni rozwiniętą mutację.

— Po co? Jeśli ty przestaniesz jej zabierać pistolet na wodę, a ona przestanie cię kopać, to po prostu znajdziecie sobie inny powód do kłótni.

Starsza siostra Linca, Rebecca, dowiedziała się o jego dniu wolnym i podrzuciła mu na kilka godzin siostrzenicę i siostrzeńca, bo, jak to ujęła:

— Jeśli choć sekundę dłużej będę musiała słuchać ich kłótni, to wstąpię do programu ochrony świadków.

Kiedy zauważył, że aby zostać wciągniętym na listę, trzeba być świadkiem czegoś, co wymagało przeniesienia w inne miejsce, siostra zagroziła, że sama dopuści się przestępstwa.

Więc przez całe popołudnie miał być zabawiany i terroryzowany przez Brysona, lat trzynaście, i Leah, lat dziesięć.

Na stole piknikowym zadzwonił jego telefon.

— Cholera. Która to papla powiedziała cioci Chrście, że tu jesteście? — Oboje małych bandytów podniosło ręce.

W rodzinie Reedów wieści o darmowej opiece nad dziećmi szybko się roznosiły.

— Co tam, siostrzyczko?

— Jak się ma mój ulubiony brat?

— Świetnie. Jadę właśnie do remizy — skłamał. Leah wydała z siebie mrozący krew w żyłach wrzask. Aby ją uciszyć, rzucił w nią napelnionym wodą balonem, który trafił ją w ramię.

— Nieprawda. Pilnujesz dzieci Bekki, a ja stoję przed twoim domem z moimi.

Udał, że jęczy.

— Naprawdę? Jestem ranny. Jak mam przerywać ich bójki, gdy zaczną między sobą *Głodowe Igrzyska*?

Otworzyły się drzwi od tyłu i jego siostra Christa wsadziła głowę do środka.

— Niespodzianka! — Podczas gdy Becca była wysoka i wysportowana, Christa była niższa, krągłejsza i brzydziła się wszelkim wysiłkiem fizycznym. Obie miały charakterystyczne dla Reedów jasne włosy i dołeczki w brodzie.

Jej dwie córki weszły za nią na patio. Iskra uniosła łeb i ziewnęła rozdzierająco, zanim raczyła powitać nowych gości.

Christa stosownie się nad nią rozplynęła i dopiero potem dopuściła do niej dziewczynki z ich uściskami.

Bryson podbiegł do nich i rozpoczął skomplikowany kuzynowski uścisk dłoni z jedenastoletnią Samanthą. Kinley taszczyła ze sobą plecak pełen książek.

— Jeśli będą cię za bardzo męczyć, po prostu polej ich wodą z węża strażackiego — podsunęła, cmokając go donośnie w policzek. — Jak twój bark? Gdzie masz temblak?

- Mówisz jak Marzenie — poskarżył się Linc.
- Kto to jest Marzenie? — chciała wiedzieć jego siostra.
- Wujku Linc, dla nas też zrobisz hot dogi? — zapytała Samantha, pociągając nosem.
- To zależy, Mantha. Masz pięć dolców?

Samantha przez dwa pełne lata wściekała się na „chłopackie” przezwisko Sam i dodawała „mantha” do zdrobniałej wersji swojego imienia, aż zaczęli mówić na nią po prostu Mantha.

Uśmiechnęła się do niego lekko.

— Nie. Ale jeśli zagadasz mamę, to pewnie uda mi się dostać do jej torebki tak jak ostatnio. — Lincowi i Samancie przyświecała wspólna misja doprowadzenia Christy do szaleństwa.

Jego siostra przewróciła oczami i pociągnęła Samanthę za warkocz.

— Niezłe zagranie, czempionko. Ale teraz mama musi iść nastawić plecy pewnej miłej pani. Wrócę za godzinę, góra dwie, jeśli postanowię wstąpić do spożywczego, żeby wieczorem was nakarmić, moje potwory. Nie spalcie wujkowi Lincowi domu.

Jego siostra wyszła z ogrodu niemal tanecznym krokiem, ciesząc się z nowo zyskanej wolności. Linc nie miał jej tego za złe. Dwa lata temu przeszła przez gówniany rozwód, a on z przyjemnością wcielał się w rolę wujka, żeby dać jej chwilę wytchnienia, gdy tego potrzebowała.

Wrzucił na grilla jeszcze cztery hot dogi. Kinley była mała, ale dzieciak potrafił pochłaniać hot dogi jak pijany student wódkę. Iskierka westchnęła przy jego nodze i spojrzała na niego *Tym Wzrokiem*.

Wrzucił na grill jeszcze jednego hot doga.

Jego dom został zaprojektowany z myślą o kawalerskim stylu życia, co przypadkowo oznaczało też, że był świetny do zabawiania dzieci. Oprócz stołu bilardowego i lodówki z piwem, miał też zamrażarkę pełną hot dogów, serwer, na którym znajdowały się wszystkie znane ludzkości filmy dla dzieci i niekończący się zestaw pistoletów na strzałki.

— Co czytasz, Kins? — zapytał. Jego siostrzenica siedziała skulona na hamaku, który zawiesił specjalnie dla niej na desce kratownicy.

Kinley nie cierpiała, gdy przeszkadzano jej podczas czytania, o czym mu przypomniała ciężkim westchnieniem siedmiolatki, by na koniec mignąć okładką książki. *Przegląd dolegliwości psychicznych wraz z objawami i metodami diagnozy.*

Kinley, zaawansowana czytelniczka, miała wolną rękę w doborze lektur w miejscowej bibliotece.

— Kto chce się bawić nożami? — zawołał do trójki dzieciaków, które walczyły ze sobą w jakiejś skomplikowanej zabawie łączącej Gwiezdne Wojny i piratów, z patykami i efektami dźwiękowymi.

Cała trójka wyrzuciła patyki i przybiegła do niego.

— Ty masz cebulę — powiedział, kładąc ją przed Brysonem. — Prawdziwi mężczyźni płaczą. Pogódź się z tym.

— Ja chcę pomidora — powiedziała Leah, wyrażając swoje pragnienie wyciągniętymi rękami.

— Życie to jedno wielkie pasmo rozczarowań. Masz sałatę. Chcę, żebyś ją drobno posiekała, nie w takie wielkie kawały jak Czwartego Lipca.

Samantha czekała cierpliwie i uśmiechnęła się pod nosem, gdy dał jej pomidora.

— Dziękuję, wujku Linc.

Zabrał jej pomidora i dał zamiast tego kawałek sera.

— Nie bądź lizusem.

Dzieciaki zarżały. Iskierka rozpromieniła się i machając ogonem, podeszła do Samantha z nadzieją na kawałek sera.

— Pamiętajcie o zasadach bezpieczeństwa — powiedział, chodząc za nimi jak sierżant, podczas gdy dzieci wzięły do rąk noże do obierania.

— Nie dźgaj nożem siebie samego ani bliźniego swego — wyrecytowali.

— Dobrze. A teraz zabierajcie się do krojenia, gagatki.

Jedli grillowane mięso i niezdarnie pokrojone warzywa na papierowych talerzykach pod słonecznym, popołudniowym niebem, ciesząc się swoim towarzystwem.

Iskierka pożarła swojego hot doga, a potem robiła słodkie oczy do Kinley tak długo, aż ta odkroiła jej widelcem hojny kawałek burgera.

— Wujku Linc, dlaczego nie masz dzieci? — spytała ni z tego, ni z owego Kinley.

— Bo jeszcze żadnych nie zrobiłem. — Jego siostry rozmawiały ze swoimi dziećmi z niemal krępującą otwartością na temat procesu produkcji dzieci. A Linc dopiero zaczynał rozważać możliwość życia w rodzinie. Kiedyś. Jeśli pozna odpowiednią kobietę.

— Ale dużo ćwiczysz — zauważył Bryson.

Linc poruszył daszkiem czapki siostrzeńca.

— Mądrała.

— Mama mówi, że wujek nie jest gotowy się ustatkować — stwierdziła ze znawstwem Samantha.

— Może twoja mama powinna pilnować własnego nosa — powiedział Linc ku uciesze dzieciaków.

— Nie chcesz mieć dzieci?

— Najpierw musi znaleźć sobie żonę albo męża, głupolu — wtrąciła się Kinley. — Masz jakieś preferencje, wujku Linc?

— Wcale nie musi brać ślubu — powiedziała Leah. — Nasz tata mówi, że można mieć dzieci bez ślubu, ale przed podjęciem decyzji trzeba dopilnować, że ma się dobrą sytuację fajansową.

— *Finansową* — poprawił ją z pogardą Bryson. — Wujku Linc, dużo zarabiasz jako komendant straży pożarnej?

— Nie, siostrzeńcu. Niedużo. Ale na dniach ma ruszyć mój sklep z kulami kąpielowymi na Etsy.

Cztery pary oczu wbiły w niego spojrzenia. Albo nie zrozumieli żartu, albo nie wydał im się śmieszny.

— No to kto ma ochotę na wojnę na strzałki?

Walczyli o dominację na suchym letnim trawniku. Linc strzelał lewą ręką, żeby oszczędzać zwichnięty bark i poparzoną dłoń.

Stał przy płocie, Iskierka radośnie goniła Kinley, która przy użyciu swojego podręcznika psychologicznego osłaniała głowę, żeby nie dać się zastrzelić. Bryson, Leah i Samantha strzelali i darli się, dając upust dziecięcej radości.

Usłyszał otwieranie i zamykanie drzwi, więc zerknął nad płotem. Domek, który przylegał od tyłu do jego posesji, był na wynajem, a on zapomniał, że jego właściciel podpisał nową umowę.

Zamierzał tylko zerknąć. Może pomachać przyjaźnie i przeprosić za natężenie hałasu. Ale kiedy zobaczył, kto opiera się o balustradę małego, schludnego tarasu, zapomniał o wszystkim.

— To chyba jakiś żart.

Pomachała do niego palcami.

— Cześć, sąsiedzie.

— Przebiegła Doktor Marzenie.

— Czy to imię superbohaterki? — zapytała Leah. Jej różowe adidasy skrobały o płot, gdy próbowała wspiać się wyżej, żeby lepiej widzieć.

— Dzień dobry — powiedział Bryson, zniżając głos i chowając za plecami pistolet na strzałki. — Wujku Linc, możemy zostać na noc? — Wyglądało na to, że obu Reedom spodobała się ta sama kobieta.

— Macie za swoje! — zakrakała Samantha i zasypała ich w śmiertelnej szarży deszczem strzałek.

— Przepraszam na chwilę — odezwał się Linc do Mack, a potem przewrócił się na trawę w epickiej scenie śmierci.

Bryson i Leah poszli w jego ślad.

— Wygrałam! — krzyknęła Samantha, robiąc zwycięskie okrążenie wokół podwórka.

W sam środek czoła trafiła ją strzałka.

— Już nie, Mantho. — Kinley z zadowoleniem okręciła pistolet na palcu.

— To nie fair! — poskarżyła się Samantha. — Nie wiedziałam, że się bawisz!

— To się nazywa strategia. Mogłabyś czasem z tego korzystać — oznajmiła Kinley z wyższością.

— Znasz zasady, Mantho. Pokaż nam scenę śmierci. Niech będzie godna Oscara! — zawołał Linc.

Samantha tupnęła, a potem przyłożyła dłoń do czoła.

— Słabo mi! Widzę światło. Prababcia Mildred? To ty? — Kolana się pod nią ugięły. Zaniepokojona jękami Iskierka podbiegła do niej i polizała ją pocieszająco.

Ale Samanthy nie dało się przywrócić do życia. Padła na twarz, a potem podpełzła dwadzieścia kroków do swojej widowni.

— Zawsze pamiętajcie — wychrypiała — że jesteście głównie warci.

Z tymi słowami opuściła śmiertelny padół.

Iskierka, dezorientowana i zaniepokojona, położyła się obok Samanthy i polizała ją po uchu.

— Brawo! — Linc rozpoczął owację na stojąco, do której dołączyła reszta dzieciaków i Mack.

— Nie wiedziałam, że masz własną drużynę koszykarską — zażartowała Mack.

— Och, my nie jesteśmy jego dziećmi — odezwała się Samantha, powracając do życia.

— No tak, bo on nie umie się ustatkować — wtrąciła się Kinley znad książki.

— Woli ćwiczyć robienie dzieci, niż rzeczywiście je robić — powiedział Bryson i wzruszył ramionami w geście mówiącym „no i co poradzisz?”.

Dzieciak miał uroku na tony.

— Jest pani wolna? — zapytała Leah. — Lubi pani dzieci, hot dogi, strzałki i Iskierkę? — Leah ścisnęła pysk suki, jakby chciała podkreślić jej urok.

— Jeszcze nie wiemy, czy on woli panie, czy panów — przypomniała im Kinley.

— Panie! Wolę panie — powiedział z naciskiem Linc. — Nie żeby było coś złego w lubieniu panów albo i tych, i tych. Nieważne. Wolę panie, a wy z łaski swojej zamknijcie już jadaczki.

Mack się roześmiała. Niskim, głębokim, ochrypłym śmiechem, który ścisnął go za serce. A Linc uznał, że z radością już zawsze będzie przedmiotem wszystkich żartów, jeśli tylko dzięki temu będzie mógł znów usłyszeć ten dźwięk.

— Wiedzieliście, że wasz wujek doznał obrażeń? — zapytała Mack. Zeszła z tarasu i podeszła do sięgającego piersi płotu.

— Mama powiedziała, że uratował komuś życie — powiedziała Samantha, wiążąc swoje długie włosy w nierówny koński ogon. — Ma pani ładne włosy.

— Dziękuję — uśmiechnęła się Mack. — Ty też. Wujek Linc wybił sobie bark i się poparzył, i powinien odpoczywać. Wydaje mi się, że powinniście dziś się nim opiekować i dopilnować, żeby się nie przemęczał.

Doskoczyli do niego jak lwy do świeżo zabitej ofiary.

— Doktor Mack tylko żartuje. Kłamie — powiedział Linc desperacko, gdy Kinley złapała go za zdrową rękę i zaczęła ciągnąć w stronę domu. Pozostałe dzieciaki pchały go od tyłu.

— Dobrze się nim zajmiemy, doktor Mack — zapewnił ją z przekonaniem Bryson.

— Ja mogę mu zrobić kolację! Lubisz tosty z masłem orzechowym i posypką czekoladową? — zaczęła dopytywać się Leah.

— Może uda się wam przekonać go do drzemki! —
zawołała za nimi Mack, a Linc znów usłyszał ten jej
ochryply śmiech.

— Zapłacisz mi za to — ostrzegł.

— Baw się dobrze, komendancie.

Rozdział 12.

Mack ściągnęła lateksowe rękawiczki i dla pewności umyła jeszcze ręce.

— Ostre zapalenie spojówek, panie... — *Ech, cholera, jak on się nazywał?* Rzadko w ciągu ostatnich kilku lat praktykowania medycyny musiała znać i zapamiętać nazwisko pacjenta.

— Botham — odpowiedział mężczyzna. Próbowала nie gapić się z medyczną fascynacją na jego zaropiałe, czerwone, spuchnięte oko.

— Panie Botham, panu i... pańskiemu synowi nic nie będzie — zapewniła Mack. Niech to szlag. Musiała znaleźć jakieś metody mnemotechniczne, żeby szybko uczyć się imion. — Wypiszę receptę dla was obu. Jutro poprawią wam się samopoczucie i wzrok.

— Może po wykupieniu lekarstw w aptece pójdziemy na lody, co, Spence? — zapytał pan Botham swojego siedmioletniego syna.

Spencer. No tak.

Chłopiec się ożywił.

— Już wysyłam recepty. Zaraz powinny być gotowe do odebrania — poinformowała Mack, stukając niewprawnie w klawiaturę laptopa. Pisanie na komputerze i zapamiętywanie imion pacjentów nie były do tej pory istotnymi umiejętnościami w jej pracy. Popracuje nad nimi. — Ale obaj powinniście zostać w domu, bo zapalenie spojówek jest bardzo zaraźliwe. — *Co widać.*

— Dziękuję, pani doktor. Witamy w mieście — powiedział pan Botham i wyprowadził Spencera z gabinetu lekarskiego.

— Dziękuję! — zawołała za nimi.

Mack poczuła nagle, że swędzą ją oczy, i pohamowała potrzebę ponownego umycia rąk. Bothamowie byli tego dnia drugim i trzecim przypadkiem ostrego zapalenia spojówek. Szalony pierwszy dzień w przychodni lekarza rodzinnego.

Oderwała papier z leżanki i szybko przetrła lizolem łóżko, klamki i poręcze krzesła.

Zerknąwszy w systemie na listę pacjentów, zauważyła, że znalazło się tam o kilka wizyt więcej niż jeszcze tego dnia rano.

Skierowała się do rejestracji.

— Tuesday, czy to jakiś błąd w... — Mack nie dokończyła zdania. Poczekalnia była pełna. Prawie wszyscy w pomieszczeniu mieli przynajmniej jedno czerwone, zaropiałe oko. Podczas gdy większość pacjentów stanowiły dzieci w wieku wczesnoszkolnym, było też kilkoro dorosłych ze swędzącymi oczami. Najstarsza osoba w poczekalni mogła mieć jej zdaniem pod dziewięćdziesiątkę.

— O cholera — mruknęła pod nosem.

Będą musieli spuścić na poczekalnię bombę z lizolem.

— Miłego pierwszego dnia pracy — powiedziała Freida. — Pacjenci są umówieni co dziesięć minut.

— Dobrze — westchnęła Mack. — Kto ma umówioną wizytę i musi szybko stąd wyjść?

Mniej więcej połowa rąk się podniosła.

— Zaczniemy od państwa. A czy pozostali lubią pizzę? — zapytała.

Uzyskała apatyczną twierdzącą odpowiedź.

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła mały portfel.

— Tuesday, zadzwoń do jakiejś pizzerii i zamów kilka pizz oraz cokolwiek innego polecasz. — Rzuciła recepcjonistce kartę kredytową. — I na litość boską, nie pozwól, żeby ktokolwiek cię dotykał.

— Już się robi, doktor Mack — odpowiedziała wesoło Tuesday.

— Zaczniemy od pani — powiedziała Mack, zwracając się do udręczonej matki z trójką dzieci.

W ciągu trzech godzin efektywnej pracy w stylu ostrego dyżuru Mack zdołała prawie opróżnić poczekalnię. Przyjęła ostatniego pacjenta z zapaleniem spojówek i właśnie skończyła diagnozować przypadek zapalenia układu moczowego. Ostatnimi umówionymi pacjentami była dwójka gorączkujących dzieci.

Podkraśla z pomieszczenia socjalnego kawałek zimnej pizzy i szybko go pochłonęła. Zajrzała do poczekalni i zobaczyła, że jest pusta.

— Freida robi im podstawowe badania w drugim gabinecie — wyjaśniła Tuesday. — A to przyszło dla ciebie.

Mack zamrugała na widok bukietu dzikich kwiatów na recepcji.

— Są od komendanta Reeda — powiedziała Tuesday, niezdolna pohamować entuzjazmu.

Mack wyciągnęła z kwiatów otwarty bilecik.

Marzenie,

Dwa razy dowiadywałem się, gdzie jest Nemo, a dodatkowo nie mogę wyrzucić z głowy piosenek Vaiany. Poza tym nie cierpię przypalonych tostów z posypką czekoladową. Wyrazy wdzięczności. Powodzenia pierwszego dnia pracy.

Twój bardzo atrakcyjny sąsiad (Linc) (precyzuję na wypadek, gdybyś zauważyła, jak umięśniony jest pan Nabuki mieszkający dwa domy dalej).

Zagryzła wargę, żeby na jej twarz nie wypłynął sprzyjający plotkom uśmiech.

Tak, zdecydowanie miała słabość do seksownego komendanta straży pożarnej. A to nie było dobre.

Spotkała się z Freidą na korytarzu przed drugim gabinetem.

— Przeszłaś na emeryturę czy odeszłaś z wojska? — zapytała Freida.

Kobieta od rana po trochę ją maglowała.

Skąd pochodzisz?

Gdzie studiowałaś?

Byłaś zamężna?

Masz ulubieńca wśród braci Jonas?

Wszystko to było składową życia w małym miasteczku. Alternatywna rzeczywistość.

— Odmówiłam pozostania po ostatniej misji — powiedziała. — Nie miałam wystarczającego stażu, żeby przejść na emeryturę. — *Ani fizycznej i emocjonalnej wytrzymałości, żeby wytrwać kilka kolejnych lat.*

— Przyszły panie Garrison. Mama Harper, prawie ośmioletnia Ava i czteroletnia Sadie. Uprzedzam: to nie zapalenie spojówek.

— Dzięki Bogu. Czy mogłybyście z Tuesday wytrzeć przed wyjściem wszystkie powierzchnie w poczekalni?

— Szybciej byłoby ją spalić, ale drastyczne środki zachowamy na okres grypowy — stwierdziła Freida. — Piękne kwiaty. Nie wiedziałam, że znacie się z Linkiem.

— Jesteśmy sąsiadami — powiedziała Mack.

Brwi Freidy domagały się dokładniejszych informacji. Ale pacjentki czekały.

Mack zapukała krótko do drzwi gabinetu. Garrison. Harper, Ava i... cholera. Już zapomniała.

— Proszę!

— Pani Garrison, w czym mogę pomóc?

Harper Garrison była ładną blondynką o dużych szarych oczach i uśmiechu, który wydawał się przyklejony na stałe... i był szczery. Pewnie doskonale dogadywały się z Tuesday.

Jej córki były urocze. Ava podziwiała swoje błyszczące japonki za każdym razem, gdy odbijała małe nóżki od leżanki. Miała ciemne, kręcone włosy i duże ciemne oczy. Zero podobieństwa rodzinnego.

Sadie jednak była jak skóra zdjęta z matki. Miała cienkie włosy, tak jasne, że niemal platynowe. Szare oczy wyrażały nieufność.

Harper posadziła Sadie na stole obok siostry i objęła Mack z zaskoczenia.

— Och. Ach. To jakiś tutejszy zwyczaj? Obejmowanie lekarzy? — zapytała Mack.

— Jestem żoną Luke'a Garrisona i przyjaciółką Aldo — wyjaśniła Harper.

Wszystko nagle stało się jasne. Aldo w okresie rekonwalescencji po amputacji nogi poprosił o pomoc ówczesną dziewczynę swojego kumpla. Skończyło się tak, że nauczył ją biegać. Mack widziała zdjęcia z pięciokilometrowego biegu tamtego zamierchłego Czwartego Lipca, kiedy to Aldo Moretta przypomniał całemu miastu — i samemu sobie — z jakiej gliny jest ulepiony.

— Harper. Jasne. Miło cię poznać. — Z wszystkich opowieści wynikało, że żona Luke'a Garrisona jest jak promyk słońca. Wyglądało na to, że pogłoski były prawdziwe.

— A to są Ava i Sadie — powiedziała Harper, przedstawiając córki. Położyła z czułością dłonie na głowach dziewczynek. — To tylko połowa rodziny. Chłopcy są na szczęście zdrowi. Ale nasze dziewczynki nie czują się zbyt dobrze, prawda?

Ava pokręciła głową, a jej ciemne loki zatańczyły wokół twarzy. Sadie spojrzała na Mack takim wzrokiem, jakby się spodziewała, że lekarka skradnie jej duszę.

— Nie czujemy się dobrze — oznajmiła Ava, wciąż wybijając kłapkami rytm słyszalny tylko dla ośmiolatki. — Mama mówi, że nie możemy iść do szkoły, dopóki nie przestaniemy gorączkować i wymiotować.

— Mama ma rację. W takim razie może zbadam was szybko i zobaczymy, co możemy zrobić, żebyście lepiej się poczuli? — zaproponowała Mack. Nie miała dużej wprawy w rozmawianiu z dziećmi. Pomyślała o Linku na podwórku w otoczeniu siostrzeńców.

— Lubicie psy? — zapytała, naśladując Linca.

Ava opowiedziała Mack o ich dwóch psach — Loli i Maksie — podczas gdy Mack szybko ją badała. Powiększone węzły chłonne. Gorączka.

— Czy jesteś ostatnio głodna?

Ava pokręciła szybko głową.

— Nie.

Sadie siedziała jak Sfinks, podczas gdy Mack powtórzyła to samo badanie na jej osobie.

Mack zawiesiła sobie stetoskop na szyi, a Ava w tym czasie opowiadała o tym, jak tatuś i Lola ucięli sobie drzemkę na kanapie, podczas gdy mama plewiła w ogródku.

— Krąży teraz bardzo zaraźliwy wirus jelitówki — zaczęła Mack.

— Jasna cholera — mruknęła Harper.

— Dokładnie — przyznała Mack. — Zrób im czterdziestoosmiodzinną kwarantannę i dbaj o nawodnienie. Dużo elektrolitów i bulionu. Lekkostrawna dieta. Dobrze będą banany, ryż, prażone jabłka i tosty. Na początek łagodne jedzenie. Do jutra najgorsze powinno minąć, ale jeśli znów pojawią się wymioty lub biegunka...

— Kupa! — zawołała radośnie Ava.

— Tak, kupa — ciągnęła Mack ze śmiechem. — Zadzwoń do mnie, żebyśmy sprawdziły, czy się nie odwodniły.

Harper zapisywała wszystko zamasyście w notatniku, który wyciągnęła z przepastnej torby.

— No dobrze. Skoro już zdiagnozowałaś moje dzieci, to co robisz w piątek wieczorem? — zapytała.

Mack otworzyła usta i zorientowała się, że nie wie, co powiedzieć.

— Aldo wspominał, że chce urządzić grilla, ale ponieważ razem z Glorią są właśnie w trakcie budowy tarasu w ogródku, to zaproponowałam, żeby zrobić go u mnie. A

niech to. Dziewczynki, wiecie może, czy powiedziałam tatusiowi, że urządzamy grilla?

Ava przytknęła palec do brody, wcielenie głębokiego namysłu. Sadie wykonała pierwszy ludzki ruch.

— Chyba nie pofieciałaś tatusiowi. Losmafiałaś z cicią Głolią przez telefon i pofieciałaś: „Przypomnij mi, żebym pofieciała Lukofi”. A potem Lolę oplyskął skunks.

Harper uśmiechnęła się promiennie do córki.

— Potrzebuje chwili, żeby się oswoić, ale kiedy już to zrobi, trzeba się mieć na baczności.

Sadie rozplynęła się w opisie o tym, jak brzydko pachniała Lola i ile razy musiała zostać wykąpana.

Mack walczyła z odruchową chęcią zakończenia wizyty. Efektywność była w medycynie najważniejsza. A ona nie była pewna, czy czuje się komfortowo z zaproszeniem do domu pacjentki. Nawet jeśli mąż pacjentki był znajomym z wojska.

— No to co? Widzimy się w piątek o dziewiętnastej, tak? — powiedziała pogodnie Harper i pomogła córkom zejść z leżanki.

— Ym. Okej — powiedziała Mack, bo nie była zdolna wymyślić wystarczająco dobrej wymówki. O ile, oczywiście, dzieci nie będą nadal chore. Wtedy dom Garrisonów zostanie poddany kwarantannie. Nie żeby *chciała*, by dzieci były nadal chore, aby sama mogła wymigać się od spotkania towarzyskiego.

— Przygotuję dla pani brownie, doktor Mack — oznajmiła Ava, przez co Mack poczuła się jak potwór.

— Ava uwielbia piec — wyjaśniła Harper. — Większość jej wypieków jest jadalna — dodała, zabierając torbę, kluczyki i córki.

Poszły razem w kierunku recepcji.

— Siódma wieczorem w piątek. U nas w domu. Aldo ma adres. Przynieś jakąś przystawkę albo deser na wypadek, gdyby brownie się nie udało.

— Lubię kanapki lodowe — oznajmiła Sadie.

— Do zobaczenia w piątek — powiedziała Ava, wychodząc z gabinetu i splatając się z siostrą palcami. — Mamo, możemy zjeść lody, skoro i tak już jesteśmy chore?

— Mała, jeśli masz w tej chwili ochotę na lody, to jasne, że możesz je zjeść. Och! Piękne kwiaty — zawołała na widok wiązanki na biurku.

— Doktor Mack dostała je od komendanta Reeda — poinformowała radośnie Tuesday.

— Interesujące — rozpromieniła się podejrzliwie Harper.

Rozdział 13.

Mack zatrzymała się przy krawężniku przed dużym trzypiętrowym ceglany domem. Wyłączyła silnik i wzięła miskę z sałatką ziemniaczaną, którą przygotowała, oraz pudełko kanapek lodowych, kupionych pod wpływem impulsu w sklepie spożywczym Val. Wchodząc po schodkach na ganek, podziwiała skąpane w kwiatkach skrzynki i wygodne meble.

Na kocu twarzą do ziemi leżała lalka, a o ganek opierało się kilka dziecięcych rowerów.

Wszystko tu aż krzyczało: „Nie ma jak w domu”.

Przekaz, który został powtórzony słowo w słowo na wycieracze.

Mały grill w ogródku w gronie przyjaciół? Kim ona, do licha, była?

Nacisnęła dzwonek i czekała, gdy tymczasem za drzwiami eksplodował chór psiego ujadania i dziecięcych głosów.

Drzwi otworzyły się, a Mack uśmiechnęła się szeroko na widok kapitana Lucasa Garrisona. Na plecach siedział mu chłopiec, pod nogami kręcił się radosny pitbull, a z tyłu panował istny rozgardiasz.

— Doktor O’Neil — powiedział z uśmiechem, który w trakcie trwania misji nigdy nie pojawiał się aż tak szybko.
— Witam w centrum chaosu.

— Dziękuję za zaproszenie — odpowiedziała.

— To jest Henry, zdecydowanie za duży na jazdę na barana — powiedział Luke, a chłopak, który dusił go z całej

siły, wyszczerzył się w uśmiechu. — A to jest Lola.

— Ach, pies skonfrontowany ze skunksem — powiedziała Mack i opuściła rękę, żeby Lola mogła ją powąchać.

Lola powąchała ją delikatnie, a potem wysunęła jęzor Gene'a Simmonsa.

— Chodź na tyły domu. Reszta ekipy jest w ogródku.

Ekipa była najwyraźniej swobodnym określeniem połowy mieszkańców Benevolence.

Harper i ciemnowłosa elegantka, w której Mack rozpoznała Glorię Morettę, rozkładały jedzenie na stole i wrzeszczały na całą armię dzieciaków. Aldo w okularach przeciwsłonecznych pilnował grilla, z zimnym piwem w dłoni i szczypcami tak potężnymi, że można by nimi przerzucić na ruszcie krowę.

W ogródku była też jeszcze jedna para — on był wysoki i jasnowłosy, a ona była długonogą brunetką. Migdalili się przy palenisku, zamiast zająć się rozpalaniem ogniska.

— Idźcie do pokoju, jeśli macie zamiar zrobić nam więcej wnuków — zawołała kobieta w krótkich siwych włosach ze swojego miejsca na leżaku, z którego doglądała zabiegów grillowych Aldo. Migdaląca się para odsunęła się od siebie z zakłopotaniem.

Były też psy. Jeszcze dwa oprócz wyczyszczonej ze skunksa Loli. Oba niebędące Lolą psiaki były małe. Jeden był żyłasty i miał tylko jedno oko, co wcale go nie spowalniało, gdy pędził wokół ogrodzonego płotem podwórka. Drugi był tak mały, że wyglądał, jakby Lola mogła wziąć go omyłkowo za przekąskę.

— Łał — skomentowała Mack, ogarniając wzrokiem zamieszanie.

— Co ty nie powiesz. — Luke wyszczerzył się w uśmiechu. Zrzucił Henry’ego na trawę i przedstawił Mack swoich rodziców, zadziorną Claire i stoickiego Charliego. Migdała się para, Sophie i jej mąż Ty, miejscowy szeryf, sami się przedstawili. Sophie była ładna i energiczna w sposób, który kazał Mack nabrać przekonania, że kobiecie nigdy nie brakowało pewności siebie. Jej mąż ewidentnie uwielbiał ją i dwójkę ich dzieci, które kręciły się po ogródku z resztą dzieciaków.

— Miło poznać lekarkę, o której wszyscy mówią — powiedziała złośliwie Sophie.

— Zachowuj się, Soph — zażartowała Gloria. Podeszła do nich i zamknęła Mack w mocnym uścisku.

Mieszkańcy Benevolence naprawdę lubili niestosownie długie uściski.

— Chcę tylko powiedzieć, że to niesamowicie wielkoduszne z twojej strony, że jesteś taka miła dla kobiety, która obściskiwala się z twoim mężem na środku ulicy — zakpiła Sophie i uśmiechnęła się do nich, błyskając dołeczkiem.

— Nie zapominaj, że otrzymuje kwiaty od komendanta straży pożarnej — dodał Ty. Miał urodę Kena: obcięte na krótko włosy i swobodny uśmiech, który ułatwiał mu pracę w służbie publicznej. — Plotki głoszą, że jest modliszką. — Puścił do niej oko.

Mack się roześmiała.

— Mniam.

— Witaj w Benevolence, gdzie wszyscy wiedzą o tobie wszystko, a jeśli nie, to wymyślą coś ciekawszego — powiedziała Sophie. — Pracuję za barem w Remo, więc trafiają do mnie wszystkie miejscowe plotki.

Niedaleko huśtawek wybuchła kłótnia między kilkorgiem dzieci.

— Kto obstawiał pierwszy płacz dziesięć po siódmej? — zawołała Harper od stołu z jedzeniem.

— Ja! — wrzasnęła niska, krągła, głośna kobieta, która mogła być jedynie panią Iną Morettą.

— Ina dostaje garnek — powiedział Charlie, zerkając na zapisaną odręcznie kartkę, podczas gdy rodzice rzucili się w stronę awantury.

Kolejny pies, tym razem o jasnej, puszystej sierści, śmignął obok Mack. Podejrzanie przypominał... o cholera.

— Iskierka! — zawołały radośnie dzieciaki, które akurat się nie biły i nie płakały.

— Proszę, proszę. Czy to nie moja ulubiona sąsiadka i koleżanka? Mogliśmy przyjechać razem. — Szedł do niej komendant straży pożarnej Lincoln Reed w znoszonej koszulce Jednostki Straży Pożarnej w Benevolence i krótkich spodenkach, siłą rzeczy przyciągających uwagę do jego umięśnionych ud. Na głowie miał czapkę baseballową, dodającą mu chłopięcego uroku. Mack świadomie zignorowała przyspieszone bicie serca, które poczuła na jego widok.

— Nie wiedziałam, że tu będziesz — odpowiedziała swobodnie.

Podszedł do niej i oboje się odwrócili, żeby przyjrzeć się ogródkowym zabawom. Jego ramię otarło się o jej bark. Był bardzo *duży*, bardzo solidny. Zajmował dużo miejsca.

— Bardzo ładnie wyglądasz, Marzenie.

— Ym, dzięki — odpowiedziała Mack, przeczesując dłonią krótkie włosy. Pozwoliła, żeby same wyschły. Ale za to nałożyła warstwę lakieru do paznokci i nowy ulubiony

czerwony błyszczak, który, jak zapewniła Tuesday, „fantastycznie podkreślał” jej cerę. — Myślałam, że to małe rodzinne spotkanie.

Uśmiech Linca rozpałał bieliznę.

— Bo tak jest. Tylko że mamy tutaj duże rodziny. Ty i ja jesteśmy jedynymi niespokrewnionymi osobami.

Iskierka, która odczuła nagle potrzebę kontaktu ze swoim tatusiem, podbiegła do nich pędem. Usiadła na stopach Linca i spojrzała na niego wyczekująco.

— Czas na masowanie brzuszka — powiedział i pochylił się, żeby pogłaskać odsłonięty brzuch Iskry. Pies aż się trząsał z rozkoszy, dopóki Linc nie przerwał pieszczoty. Potem suka spojrzała na Mack.

— Dlaczego ona tak na mnie patrzy?

— Albo chce od ciebie sałatkę ziemniaczaną, albo żebyś pogłaskała ją po brzuchu.

Mack kucnęła obok niego i z wahaniem pogładziła Iskierkę po brzuchu. Pies zaczął się wić na plecach i postękiwać.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że jej się podoba. Lubi cię.

Lola podbiegła do nich, żeby sprawdzić, co się dzieje. Mack oderwała rękę od jedwabistego futra Iskierki, żeby pogłodzić krótką sierść pitbulla.

— Przychodzi ci to naturalnie — powiedział Linc, klepiąc mocno Lolę po boku.

Mała puchata kulka doskoczyła do nich i zaczęła ujadać, pilnując przy tym, żeby trzymać się poza zasięgiem ich rąk.

— Bitzy, zamknij się! — zawołali jednocześnie Sophie i Ty.

— Bierz ją, Iskra! — zażartował Linc.

— Harper! — warknął Luke. — Zapomniałaś mi wspomnieć o poszerzeniu listy gości? — Spojrzał brzydko na Linca.

Harper podbiegła do nich rozpromieniona. Wydawała się całkowicie odporna na humory Luke'a.

— Linc! Bardzo się cieszę, że udało ci się przyjść. Nie zwracaj uwagi na Luke'a — odezwała się do Mack. — On nienawidzi Linca.

— Wcale go nie *nienawidzę* — mruknął Luke. — Po prostu go nie lubię.

— Cóż, to już duży postęp — stwierdził Linc. Uniósł w górę paterę. — Przygotowałem tacę z owocami. Gdzie to dać?

Facet o takich udach, o takim uśmiechu pojawia się z własnoręcznie przygotowaną tacą owoców? Mack poczuła, że jej zainteresowanie seksualne wychodzi ze stanu hibernacji.

Harper rozplynęła się nad artystyczną kompozycją i zaniósła ją razem z sałatką owocową i kanapkami lodowymi Mack na stół.

— Lizus — mruknął Luke do Linca. Ale podał mu rękę.

— Dupek — odparł Linc i przyjaźnie ją uścisnął.

— Nie zwracaj na nich uwagi. — Gloria zamknęła Mack w kolejnym lekkim uścisku. Miała na sobie luźny czerwony top, a do tego szorty z podwyższonym stanem. Wokół kostki owijały się kolorowe rzemyki jej sandałów. — Dobrze cię widzieć, Mackenzie.

— Dzień dobry, doktor Mack! — krzyknęła Ava z ustawionej w rogu ogródka huśtawki.

— Czeeeeść! — Sadie podbiegła do Mack i przylgnęła całym ciałem do jej nóg.

Mack pochyliła się i niepewnie objęła dziewczynkę.

— Na ręce! — zażądała radośnie Sadie i Mack z heroizmem posadziła sobie małą na biodrze.

Sadie przycisnęła buzię do policzka Mack.

— Mua! Dobra, twoja kolej! — Wyciągnęła ręce do Linca i Mack z wdzięcznością przekazała mu dziecko.

Kiedys odebrała poród i miała dyżur na oddziale pediatrycznym na studiach. To byłoby tyle w kwestii jej doświadczenia z dziećmi.

Linc, popisując się umiejętnościami w kontaktach z małymi ludźmi, podrzucił dziewczynkę do góry. Zaśmiała się, a ten dźwięk zwrócił uwagę pozostałych dzieciaków.

— Teraz ja!

— Nie, *ja*!

Gloria uśmiechnęła się i pociągnęła Mack w kierunku grilla i swojego męża.

— Uwielbiam, gdy Linc się nimi zajmuje. Ma wrodzony talent do zajmowania się dziećmi. Dzieciaki go uwielbiają.

— Widziałam go w zeszły weekend z jego siostrzeńcem i siostrzenicami. Mam wrażenie, że przychodzi mu to naturalnie — przyznała Mack.

— Z pewnością nauczyłam się od niego kilku rzeczy — uśmiechnęła się Gloria.

Aldo odłożył szcypce i wziął do ręki piwo.

— Jak minął pierwszy tydzień na froncie małomiasteczkowej opieki zdrowotnej?

— No cóż, nie miałam pojęcia, że zapalenie spojówek jest tak zaraźliwe — zażartowała.

— Marzenie, chcesz coś do picia? — zawołał Linc spod lodówki.

W odpowiedzi uniosła w górę kciuk, a on podał jednemu z dzieci piwo i pokierował je do Mack.

— Marzenie, co? — powiedziała Gloria. — Słyszałam, że nasz przystojny komendant przysłał ci w tym tygodniu kwiaty.

— Zrobił to dla żartu — stwierdziła z przekonaniem Mack.

— Nie ma nic równie śmiesznego jak bukiet dzikich kwiatów.

Wtedy do niej dotarło. Gloria prowadziła kwiaciarnię w miasteczku.

— A ty zrobiłaś wiązanekę.

Uśmiechnęła się szybko.

— Przyznaję się do winy. Linc wpadł, żeby osobiście podpisać bilecik.

Obie kobiety spojrzały na mężczyznę, który objadał się przy stole i prowadził przy tym ożywioną dyskusję z Sadie.

To nic nie oznaczało. Tylko flirtowali. Flirciarze flirtowali.

— No cóż, dziękuję wam obojgu za tak miłe powitanie — powiedziała niezgrabnie Mack. *Boże, naprawdę nie umiała prowadzić zwyczajnej rozmowy.*

— Szybko zaczniesz się przy nas dusić — zawyrokował Aldo.

— Jak idzie w firmie? — zapytała go.

— Dobrze. Jesteśmy zavaleni robotą. Zatrudniamy kolejnego inżyniera. Projekt mostu okazał się potężnym przedsięwzięciem. — Mówiąc, objął ramieniem szczupłą barki Glorii. To był zwyczajny gest, Aldo chyba nawet nie

był go świadomy. Żona przytuliła się do niego, jakby jej miejsce zawsze było w jego ramionach.

To było... urocze. Romantyczne. Pięknie było zobaczyć, że mężczyzna, który tak wiele poświęcił, w końcu został wynagrodzony. *Co, do diaska, było w tym piwie? Elikzir miłosny?*

— Tatusiu! — Do Aldo podbiegła mała dziewczynka wietnamskiego pochodzenia, nie zważając na wielki, dymiący grill znajdujący się za jej plecami. Rzuciła się na mężczyznę z pewnością dziecka, które wiedziało, że tata zawsze je złapie.

— Tu jest moja córeczka — powiedział Aldo. Posadził ją sobie na biodrze i pocałował z głośnym cmoknięciem pomiędzy przekrzywionymi czarnymi kucykami. — Lucio, przywitaj się z doktor Mack.

— Cześć! Bardziej lubisz dinozaury czy kucyki? — chciała wiedzieć Lucia.

— Cześć. Hm. Dinozaury? — odpowiedziała Mack.

Lucia pokiwała z aprobatą głową.

— To dobrze. Ja też. Tatusiu, mogę zjeść jakąś przekąskę?

— Posłuchaj, ty mały wyjadaczu przekąsek — powiedziała Gloria, łaskocząc córeczkę pod pachami, a potem przesadziła ją sobie na biodro. — Kolacja będzie za piętnaście minut. Nie możesz zjeść przekąski, ale zjesz za to do ostatniego okruszka pyszną kolację i podziękujesz wszystkim, którzy ją przygotowali.

Lucia zmarszczyła brwi.

— Dobrze. A *potem* będę mogła zjeść przekąskę?

Mack stłumiła parsknięcie.

Aldo odprowadził wzrokiem oddalające się żonę i córkę, które wciąż się sprzeczały.

— Czy życie nie jest zdumiewające?

— Dokładnie pięć lat temu transportowałam cię w helikopterze przez pustynię — powiedziała w zamyśleniu Mack. — A teraz jesteś tutaj.

— A teraz jesteśmy tutaj — poprawił. — Chodź, poznasz najmłodszego członka rodziny.

Poszła za nim na drugą stronę ogrodu, gdzie przysadzista kobieta dudniącym głosem wyrażała uczucia niemowlakowi patrzącemu na nią wielkimi oczami.

— Jesteś najśłodszym maleństwem na całym świecie! — krzyczała pani Moretta.

— Mamo! Avery nie jest głucha. Przez ciebie popękają jej bębenki w uszach — powiedział Aldo, wyciągając dziecko z objęć matki.

— Wcale nie popękają jej bębenki! Uwielbia, kiedy do niej mówię!

— Mamo, to jest Mackenzie O’Neil. Wydaje mi się, że kiedyś nawrzeszczałaś na nią przez telefon.

Pani Moretta rzuciła Mack onieśmielające spojrzenie.

— To ty uratowałaś życie temu palantowi?

— Uch. Między innymi ja — odparła Mack.

Kobieta zamknęła ją w najwyraźniej typowym dla rodziny Morettów miażdżącym uścisku.

— Jak dla mnie jesteś w porządku, doktoro.

— Mamo, przestań, proszę, ją dusić — powiedział Aldo, próbując wepchnąć się między nie.

Pani Moretta niechętnie wypuściła Mack ze śmiertelnego uścisku.

— Dobra z ciebie dziewczyna, złotko — stwierdziła kobieta głosem na poziomie niemal typowej rozmowy.

— Skoro możesz już oddychać, to jest nasza córka, Avery — powiedział Aldo i uniósł w górę pucate niemowlę. Dziewczynka miała karnację Aldo, oczy Glorii i jak dotąd nie zaprezentowała jeszcze strun głosowych pani Moretty. Ale Mack nie wykluczała możliwości, że to robi.

Dzidzius posłał jej bezzębny, zaśliniony uśmiech, a Mack poczuła dziwne rozczulenie.

— Chcesz ją potrzymać? — zaproponował Aldo.

Mack uniosła obie dłonie i pokręciła głową w tym samym momencie.

— Nie, nie. Nie trzeba. Tak naprawdę nie wiem, jak...

— Pozwól, że specjalista zrobi ci demonstrację — powiedział Linc, przyłączając się do rozmowy. — Cześć, ślicznotko!

Oczy niemowlęcia rozszerzyły się, a po chwili namysłu dziewczynka zaśmiała się i wyciągnęła do niego pulchne rączki.

Aldo przekazał wprawnie Lincowi Avery. Mała patrzyła na niego w zachwycie. Dotknęła jego brody zaślinioną piąstką. Linc udał, że ją zjada, a Mack zakręciło się w głowie.

Poczuła się tak, jakby uruchomiła ostatnią drzemkę na swoim zegarze biologicznym. Ale nie była typem kobiety, która chciała mieć męża i dzieci. Nie była pewna, jakim konkretnie typem była, ale na tysiąc procent nie typem mamy.

Wzięła długi łyk piwa.

Do ich grona dołączyła tanecznym krokiem Harper i cmoknęła Avery w okrągły policzek.

— Bardzo się cieszę, że wszyscy mogliście dzisiaj przyjść. Byliśmy tak zajęci początkiem roku szkolnego, że prawie zapomniałam, jak wygląda życie towarzyskie.

— Będiesz miała okazję zapoznać się z kimś bardzo wyjątkowym! — krzyknęła tajemniczo pani Moretta.

Twarz Harper się rozjaśniła.

— Niech mi pani o wszystkim opowie, pani Moretto.

— Ma na imię Ricky i poznałam go przez aplikację randkową. Ma pięćdziesiąt cztery lata i na jego profilu jest napisane, że jest przedsiębiorcą.

— Mamo, to oznacza, że jest bezrobotny. I nie możesz tak po prostu zapraszać na spotkanie rodzinne faceta, którego nikt nie zna — gderał Aldo.

— A dlaczego niby nie, do cholery? James tak zrobił! — Pani Moretta wycelowwała oskarżycielsko palec w mężczyznę, który właśnie wchodził przez ogrodową furtkę.

Wyglądał jak Luke, a sposób, w jaki Sophie na wpół go objęła, a na wpół staranowała, podpowiedział Mack, że na pewno należał do rodziny.

W otwartej bramce stał za nim niepewnie jeszcze jeden mężczyzna z naczyniem nakrytym pokrywką.

— Przyszli! — Harper klasnęła w dłonie. — Ależ się cieszę!

— Idę się lepiej przyjrzeć! — ryknęła pani Moretta na całe podwórko. Harper deptała jej po piętach.

Claire i Charlie podnieśli się znad stosu wnuków i też ruszyli w kierunku nowoprzybyłych.

— Aktualizacja małomiasteczkowych plotek. To jest James, brat Luke'a i Sophie. Po wielu latach seryjnego umawiania się z kobietami zorientował się, że jest tak naprawdę gejem — wyjaśnił Aldo.

Linc odwrócił niemowlę w kierunku przybyłej pary.

— Widzisz tego miłego, przystojnego pana z wujkiem Jamesem, Aves? To jest Manny. Wujek James po raz pierwszy przyprowadził chłopaka, żeby poznał rodzinę, więc bądź miła i spróbuj na niego nie zwymiotować.

Mack przyglądała się, jak Harper obejmowała Jamesa i Manny'ego na przywitanie. Claire i Sophie wzięły Manny'ego pod rękę i zaprowadziły go do lodówki z piwem, podczas gdy James ścisnął się ze swoim tatą, Charliem.

— Moretta, hot dogi gotowe! — zawołał spod grilla Luke.

— Obowiązki wzywają.

— Zapomniał dziecka — powiedziała Mack.

— Czas na przyspieszony kurs trzymania niemowląt — oznajmił Linc. — No więc nasza Avery ma trzy miesiące. Woli więc być trzymana pionowo, żeby wszystko widzieć — powiedział i zademonstrował.

— Nie trzeba. Naprawdę. Nie muszę jej brać na rękę.

Ale on już wkładał jej w ramiona ruchliwe zawiniątko, więc złapała je mocno.

— Jeśli ją upuszczę, to będzie twoja wina — syknęła.

Avery uznała to widać za świetny dowcip. Jej śmiech wychodził z głębi brzucha i był absurdalnie uroczy.

— No tak, jesteś słodka — powiedziała jej Mack. Avery rozpromieniła się i zagulgotała.

— Widzisz? Przychodzi ci to naturalnie — powiedział Linc. Nachylił się, żeby zrobić minę nad ramieniem Mack.

Czuła zapach jego dezodorantu i żelu do kąpieli. Czuła ciepło emanujące z jego ciała. Czuła... bliskość. Intymność. Zupełnie nieodpowiednie odczucia w kontekście nowo wyznaczonych celów.

Odwróciła się i cofnęła o krok, żeby odsunąć się trochę od niego.

— Jak bark? — zapytała nagle.

Zrobił kilka powolnych okrążeń ręką.

— Dalej trochę obolały. Jak sobie radzisz z masażem? — zapytał drapieżnie.

— Mniej więcej tak dobrze jak z trzymaniem niemowląt.

— Aż tak dobrze? Może mogłabyś czasem przekraść się przez płot i...

Mack odwróciła się gwałtownie.

— Nie przy dziecku!

Rozdział 14.

To było studium normalności. Rodzice, pary, rodziny. Wszyscy spędzali miły piątkowy wieczór wśród najbliższych sobie osób. Mack poczuła dziwny, trwający od kilku dekad ból wywołany faktem, że takie rzeczy były dla niej zupełnie obce.

— Co myślisz? Chcesz tego spróbować? — Linc znów pojawił się przy niej. To się powtarzało raz za razem, przyciągali się nawzajem na tym podwórku.

— Czego spróbować?

— Małżeństwa. Dzieci. Grilla w ogródku w piątkowy wieczór, na który przychodzi połowa miasta. Mam w środę wolne. Moglibyśmy wpaść do sędziego pokoju.

Widziała, że flirtował. Ale było coś odurzającego w jego bliskości, w jego skupieniu na jej osobie.

— Nie, chyba nie mam potrzebnych do tego genów — westchnęła. — Ledwie potrafię rozpoznać zdrowy układ rodzinny, a co dopiero taki stworzyć.

— Poradziłabyś sobie — stwierdził z przekonaniem. — Pomógłbym ci.

— Doceniam twoją wiarę we mnie. Ale to dla mnie jak język obcy. — Uniosła piwo. — W ich wydaniu to wygląda tak łatwo.

— To dlatego, że widzisz końcowy rezultat przez wiele lat wylewanych krwi, potu i łez.

— Aldo zdecydowanie zasługuje na szczęśliwe zakończenie — powiedziała, a przed oczami mignęło jej

wspomnienie jego pobladłej twarzy pokrytej brudem i krwią. To, jak ścisnął za rękę jej drugą pacjentkę i rzucał dowcipami, podczas gdy ona z determinacją próbowała nie dopuścić do tego, żeby się wykrwawił.

— Każde z nich zasługuje, Marzenie. Tak jak ty.

— Ja mam za dużo trupów w szafie — powiedziała lekko. Pomiedzy jej dzieciństwem i chwilą obecną zbyt wiele się wydarzyło. Zbyt wiele przypominało jej o tym, że nie ma żadnych gwarancji.

— Wiesz, że Gloria była w przemocowym związku, którego omal nie przypłaciła życiem? — Linc powiedział to ze spokojem, jakby rozmawiali o pogodzie. — Albo że Harper straciła rodziców i wychowywała się w rodzinach zastępczych? Jako dwunastolatka pomogła wsadzić ojca zastępczego do więzienia za znęcanie się nad dziećmi. Zasłoniła własnym ciałem inne dziecko przed tym potworem i dorobiła się złamanych ręki i żeber. No i jest Garrison.

— Nie pałacie do siebie zbyt wielką miłością — zauważyła.

Linc wyszczerzył się w uśmiechu.

— Jemu zawsze się wydaje, że próbuję odbić mu jego kobiety.

— Ma dobry gust. — Patrzyła, jak Harper mierzwi włosy swojemu najstarszemu synowi, siedząc na kolanie Luke'a i mówiąc coś, co spowodowało wybuch śmiechu jej teścia. Harper była szczęśliwa. Dogłębnie, autentycznie szczęśliwa.

— Zawsze miał. Był już wcześniej żonaty. Ze swoją licealną miłością. Stracił ją w wypadku samochodowym w dniu, w którym wracał z misji. Jechała po niego. — W głosie Linca obecny był ton, którego nie była w stanie w pełni zidentyfikować.

— Jezu. — Pociągnęła długi łyk z butelki z piwem.

— W ich wydaniu to wygląda łatwo. Ale na pewno takie nie jest. To jest praca. Ciężka praca. Ale ty nie boisz się ubrudzić sobie rąk, Marzenie. Poradzisz sobie.

Chrząknęła, zaskoczona emocjami, które ją dławily.

— Masz zupełnie niewłaściwe podejście, Szpanerze — poskarżyła się, usiłując przywrócić lekki nastrój.

— Oświeć mnie.

— Nie możesz flirtować ze mną, mówiąc o ślubie i dzieciach. Jestem kobietą krótkich dystansów i braku zaangażowania. Żadnych zagmatwanych konsekwencji, których nikt nie jest w stanie przewidzieć. Żadnych długofalowych zobowiązań. Żadnego cackania się. To... — Wskazała na ognisko, przy którym tuliły się do siebie pary, a dzieciaki błagały, żeby upiec paczkę znalezionych gdzieś pianek. — To nie dla mnie. Jeśli chciałbyś naprawdę gdzieś ze mną zajść, obiecałbyś mi brak zasad, seks bez zobowiązań i rozstanie bez dramatu, gdy jedno z nas uzna, że jest gotowe ruszyć w dalszą drogę.

Odwzajemniła jego uśmiech. Swój rozpoznał swego.

Linc uniósł obie dłonie.

— Po prostu przedstawiam ci możliwości, Marzenie. Jesteśmy tacy sami. Ziarnka w korcu maku. Praktycznie czytamy sobie w myślach. Dlaczego mielibyśmy nie chcieć się ustatkować i pokazać reszcie tego miasteczka, co to znaczy szczęśliwe zakończenie?

Komendant był flirciarzem najlepszego sortu.

Mack westchnęła teatralnie.

— W takim razie będę chyba potrzebowała nowej pary butów.

— No dooobra. Może nie czytam ci jeszcze w myślach aż tak dobrze.

Podeszła do niego trochę bliżej, badając, na ile może sobie pozwolić.

— Ja za każdym razem depczę męskie serca i brudzę sobie buty tryskającą z nich krwią. Wygląda na to, że zgłaszasz się na ochotnika na moją kolejną ofiarę.

Śmiech Linca zadudnił głośno i z zachwytem.

— O czym wy tam rozmawiacie? — zaciekawiała się Claire.

— O pizzy — powiedzieli jednocześnie.

— Jak w korcu maku, Marzenie — szepnął pod nosem Linc. — Jak w korcu maku.

Dzieci zostały nakarmione i odesłane w kąt ogrodu, gdzie rozstawiono dmuchaną scenę i puszczone z projektora film, żeby dorośli mogli w spokoju zjeść i porozmawiać. Nałożono jedzenie na talerze, rozlano drinki, zajęto miejsca.

Ciekawym zrzędzeniem losu, jak uznała Mack, zjawili się spóźnialscy: Joni, matka pierwszej żony Luke'a, a razem z nią jej wieloletni chłopak Frank, zrędlivy brygadzysta z firmy budowlanej Luke'a.

Linc przywitał się z Joni jako jeden z pierwszych, a Mack z zaskoczeniem zauważyła, że wymienili wyjątkowo mocny uścisk. Z tego, co wiedziała, nic ich ze sobą nie łączyło. Prawdę mówiąc, kobieta nie miała też żadnych prawdziwych powiązań z tą rodziną. Jej córka Karen zmarła wiele lat temu. A mimo to Joni była tu, gawędząc z Iną Morettą i Claire, podczas gdy dzieciaki wołały na nią ciocia.

Jedynie negatywne wibracje, jakie wyczuwała Mack, pochodziły z niechęci Luke'a do Linca. A i ona wydawała się raczej nawykowa.

— O co chodzi z tym festiwalem sałatek, Garrison? — zapytał Linc ze swojego miejsca po lewej stronie Mack, gdzie napierał na nią szerokimi barami i muskularnymi udami.

Gospodarz wpatrywał się ponuro w swój talerz z warzywami.

— Przegrałem zakład — przyznał zrzędliwie.

— Pięć lat temu — wtrąciła stojąca obok niego Harper. — Odroczył konsekwencje aż do tego tygodnia. Ale wykorzystał już oficjalnie wszystkie przepustki i teraz musi zapłacić. — Na jej policzku mrugnął dołeczek.

— Robię się wychudzony, Harp — poskarżył się Luke, ale jego dłoń muskająca włosy żony była delikatna.

— Pewnie już obniżyłeś cholesterol o dwadzieścia jednostek — zażartowała i przytuliła się do niego.

— Nie wierzę, że każesz mi to robić przez cały tydzień — powiedział i zapatrzył się tęsknie na kurczaka na talerzu matki.

Claire na pokaz delektowała się nabitym na widelec kawałkiem.

— Aldo, ten kurczak jest *nieziemski* — powiedziała ze złośliwym uśmiechem. — W życiu nie jadłam czegoś równie pysznego.

— To podłe, mamó. Podłe — zajęczał Luke.

— Mamo! Tata powiedział, że babcia jest podła — zażartował Robbie, ich najstarszy syn, który przechodził obok, żeby dołożyć sobie na talerz. Miał szesnaście lat, a

dorośli dokuczali mu z powodu dziewczyn i pozwolenia na jazdy szkoleniowe.

— Słyszałam — powiedziała Harper i wyciągnęła rękę do syna.

— Dostanie szlaban — wtrącił się Henry, idąc za starszym bratem w stronę jedzenia.

— Dzieciaki są grzeczne? — spytała szeptem Harper Robbiego.

— Tak, zachowują się okej. Ale Lucia przekupiła Henry'ego, żeby przyniósł jej jeszcze jedno brownie.

— Tylko bardzo małe, proszę — westchnęła Gloria i przewróciła oczami.

— No wiesz, gdybyś nie robiła takich wspaniałych wypieków, Lu i ja nie byłibyśmy takimi łasuchami — wtrącił Aldo.

— To nie ja upiekłam brownie — zauważyła Gloria ze śmiechem. — Tylko nasza córka.

— Nauczyła się od ciebie — upierał się Aldo, całując Glorię w czubek głowy.

— Jestem pewna, że Avery odziedziczy po tobie zdolność do podnoszenia ciężarów — zakpiła, bujając na kolanach rzeczoną córkę.

— Przynajmniej mogę ciągle jeść desery — westchnął dramatycznie Luke z przodu stołu.

— Zawsze możemy podwoić stawkę lub wszystko anulować — zaproponowała Harper.

Luke zmrużył oczy.

— O co tym razem?

Harper spojrzała znacząco na Mack, a potem na Linca.

— Jak myślisz, Luke? Chcesz się znów ze mną założyć?

Podążył za jej wzrokiem, a potem się skrzywił.

— Mylisz się. Ona jest dla niego za mądra.

— Idziemy o zakład? — powiedziała Harper, tym razem z dużą pewnością siebie.

Luke znów spojrzał na Mack, a potem zmierzył Linca spod przymrużonych powiek.

— Nie.

— Dobrze. Mądry facet — powiedziała i poklepała go po udzie. — To teraz zajadaj warzywka.

Wrócił do swojej sałatki.

— Czy ja chcę wiedzieć, o co tu chodziło? — zapytała Mack Glorię.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko.

— Luke powiedział Harper, że gada bzdury, gdy zauważyła, że Aldo się we mnie kocha. Powiedział, że jeśli Aldo i ja kiedykolwiek zostaniemy parą, przejdzie na wegetarianizm.

— Nigdy nie powątpiewaj w geniusz swojej żony i serce swojego najlepszego przyjaciela — powiedział Aldo, przytrzymując talerz z kurczakiem przed nosem Luke'a.

— Luke ma szczęście, że jestem łaskawą boginią i skazałam go tylko na tydzień — rzekła beztrąsko Harper.

— Zmiana tematu! Jak idzie praca w małomiasteczkowej Ameryce, Mack? — zapytał Luke.

— Spokojniej, niż do tego przywykłam — odpowiedziała.

— To musi być dla ciebie drastyczna zmiana tempa — domyśliła się Joni.

— To prawda — potwierdziła Mack. — Ale wydaje mi się, że wyjdzie mi to na dobre. W dni wolne mam jeszcze dyżury w szpitalnym pogotowiu lotniczym.

— Tak czy inaczej to trudna zmiana — powiedział Aldo.

On i Luke dobrze to rozumieli.

Obaj wielokrotnie przechodzili z aktywnej walki do spokojnego życia domowego. Przejście w przeciągu kilku dni z ciągłego zawieszenia między życiem i śmiercią na załatwianie zwykłych sprawunków potrafiło człowieka oszołomić. To dlatego Mack cieszyła się, że może mieć dalej dyżury lotnicze. Jedna noga tu, druga tam.

— Cienka niebieska linia — powiedział Linc.

Zgromadzeni dorośli pokiwali głowami, a Mack uświadomiła sobie, że wszyscy mieli dogłębną świadomość tego, czym się zajmowali przedstawiciele służb ratowniczych i wojskowi, żeby chronić zwykłe, codzienne życie. W tej chwili znajdowali się tu policjant, komendant straży pożarnej i trójka wojskowych w otoczeniu ludzi, którzy ich kochali. Ludzi, których życie na zawsze się zmieniło na skutek wyboru ich ścieżki zawodowej, na skutek ich powołania.

Rozumieli, akceptowali i szanowali ich poświęcenie. I po raz pierwszy Mack zaczęła się zastanawiać, czy koniec końców nie było dla niej jednak nadziei. Czy nie było szansy na to, że piątkowe imprezy grillowe w towarzystwie przyjaciół i rodziny mogłyby stać się elementem jej przyszłości.

— Wiecie, co jest beznadziejne? — odezwał się Luke. — Humus.

Rozdział 15.

— I wtedy wprowadził się mój teść, więc teraz w każdy poniedziałek wieczorem jadamy lasagne, bo to przepis teściowej. Choć raz w życiu chciałabym zjeść na kolację to, na co ja mam ochotę, wie pani?

To było retoryczne „wie pani”. Mack nauczyła się tego po czterech poprzednich „wie pani”, które Ellen, rudowłosa matka dwójki dzieci z lekką nadwagą i podwyższonym ciśnieniem, rzuciła w trakcie pierwszych pięciu minut wizyty.

Tym razem Mack nie zawracała sobie głowy odpowiadaniem. Konwersacja podczas badania szyjki macicy nie wydawała się stosowna. Dziwne rozmowy i cytologia. Kolejny ekscytujący dzień w życiu Mack O’Neil.

— A do tego wszystkiego Barry i jego cholerne skarpety na podłodze obok kosza na brudną bieliznę. Noż ja pieprzę — przepraszam — Barry może podnieść deskę klozetową i zostawić ją w górze, ale nie może otworzyć cholernego kosza na pranie?

— Będzie lekkie uszczyplenie — powiedziała Mack, pobierając komórki ze ścianki szyjki macicy.

Pacjentka skrzywiła się, ale prowadziła dalej swój monolog.

Mack wsunęła próbkę do probówki i zakręciła wieczko.

— Czy miesiączki są regularne? — zapytała, odhaczając kolejne pytania ze standardowej listy podczas badania ginekologicznego.

— Wszystko jak należy. Jestem po prostu zestresowana. Ale kto nie jest? Ha. To znaczy mogłoby być gorzej. Mogłoby być dwóch Barrych.

— Jakieś nowe problemy zdrowotne w rodzinie? — zapytała Mack i wysunęła wziernik z miejsca, które pacjentka określiła mianem „kobiecej grotty”.

Ellen odetchnęła z ulgą i zsunęła się z fotela ginekologicznego.

— Nie, chyba że liczyć omdlenie mamy po lekach na nadciśnienie.

— Powinnyśmy porozmawiać o pani ciśnieniu — powiedziała Mack, zerkając na wyniki pomiaru, który wykonała wcześniej Freida. Były wysokie.

— Doktor Dunnigan dała mi czas do końca roku, żeby obniżyć ciśnienie naturalnymi metodami. Jeśli do Bożego Narodzenia nie będzie niższe, doktor wdroży leki. Nie cierpię leków, wie pani? Kolejna rzecz, o której trzeba pamiętać i którą trzeba się martwić.

Kiedy Ellen przeczesła dłonią włosy, Mack wyczuła lekki zapach dymu papierosowego.

— Wie pani, że palenie papierosów to nie najlepszy sposób na radzenie sobie ze stresem?

— Och, ha, ha. Ja nie palę — powiedziała Ellen z rozbieganym wzrokiem. Unikała patrzenia na lekarkę.

„Potajemny palacz”, zapisała Mack w swoich notatkach. Nieprzytomni pacjenci przynajmniej nie mogli kłamać.

— To dobrze, bo wysokie ciśnienie, cały ten stres i tabletki antykoncepcyjne to prosta droga do udaru.

Ellen milczała w nietypowy dla siebie sposób.

— A więc nie pali pani? — upewniła się Mack.

Pacjentka pokręciła głową.

— Nie. Nie palę.

Oko Mack zadrgało. Kłamanie w żywe oczy było dla niej czymś wyjątkowo nieprzyjemnym. Kłamstwo z ust osoby, która tak bardzo uwierzyła w stworzoną przez siebie wersję rzeczywistości, przypominało jej dzieciństwo. Ale Ellen nie była jej matką, uświadomiła sobie lekarka.

— To już wszystko, Ellen. Może się pani ubrać i podejść do recepcji — powiedziała. Zmusiła się do uśmiechu i wyszła z gabinetu.

W byciu lekarką fajne było to, że nigdy nie starczało czasu na uzalanie się nad sobą. Mack nie musiała mierzyć się ze swoimi irytującymi uczuciami związanymi z przeszłością, bo jej terażniejszość była zbyt intensywna.

Minęła się w korytarzu z Russellem, który wynurzył się z magazynku, i poszła w kierunku pomieszczenia socjalnego.

Lekarz skinął do niej krótko głową, na co mu nawet nie odpowiedziała. Ogłosili chwiejny, nieprzyjazny rozejm, co w żadnym stopniu jej nie przeszkadzało.

W drugim gabinecie siedział dziadek z wnukiem. Młodszy z nich z zapalem wymiotował do kubła na śmieci.

— Nic nie szkodzi, Tyrone, to żaden kłopot — zapewnił jego dziadek Leroy, ocierając czoło chłopca wilgotnym ręcznikiem papierowym, gdy tamten spojrzał wielkimi oczami na Mack, jakby został przyłapany na złym uczynku.

Posłała im obu współczujący uśmiech i zajrzała do karty.

— Cześć, Tyrone. Jak się czujesz? — *Głupie pytanie.*

— Czy czujesz się wystarczająco dobrze, żeby usiąść na leżance, skarbie? — zapytał dziadek.

Tyrone pokiwał ze znużeniem głową i z pomocą Leroya wdrapał się na leżankę.

Pod względem wzrostu i wagi był przeciętnym ośmiolatkiem. Ale w przeciwieństwie do przeciętnego ośmiolatka był ubrany jak miniaturka swojego dziadka, w krótkie spodenki, koszulkę i szelki. Mack nie umiała się zdecydować, czy to było urocze, czy trochę straszne.

— Zbadam cię teraz szybko, dobrze?

Chłopiec znów pokiwał głową.

— Okej — wychrypiał.

Podczas badania fizykalnego Leroy nie przestawał paplać. Jego córka była samotną matką, a on i Tyrone byli ze sobą blisko. Szkolna pielęgniarka zadzwoniła do niego, gdy Tyrone zwymiotował podczas lekcji.

Chłopiec miał powiększone węzły chłonne i dosyć wysoką temperaturę.

Mack wzięła szpatułkę.

— Sprawdzimy ci teraz gardło, kolego. Możesz szeroko otworzyć buzię i powiedzieć „aaa”?

Tyrone zrobił to, o co go poprosiła.

Migdałki biednego dziecka były pokryte białym nalotem i czerwonymi plamkami.

— Wygląda na gardło paciorkowcowe — powiedziała do dziadka i sięgnęła po wymazówkę.

— Jak wygląda gardło paciorkowcowe? — zapytał ochryłym głosem Tyrone.

— Na migdałkach jest biały nalot i czerwone kropki.

— Super!

— Badanie jest szybkie i możemy je wykonać na miejscu. Jeśli wynik wyjdzie dodatni — a wyjdzie — to przepiszę Tyrone’owi antybiotyk.

— Kiedy mu się poprawi? — zapytał Leroy.

— Po rozpoczęciu kuracji antybiotykowej w ciągu dnia lub dwóch powinien zacząć czuć się lepiej. Dużo płynów w połączeniu z antybiotykiem pomoże wypłukać z organizmu bakterie. W razie bólu może mu pan podawać paracetamol.

— Czy ja zarażam? — zapytał chłopiec.

— Tak, zarazasz. Ale po dwudziestu czterech godzinach od wzięcia lekarstwa już nie będziesz. Chcę, żebyś jeszcze raz powiedział „aaa”, żebyśmy mogła pobrać wymaz z gardła, dobrze? Obiecuję, że zrobię to szybko.

Wykonała sprawnie badanie, wkładając i wyciągając szpatułkę, zanim chłopiec zdążył się zakrztusić.

— A zatem lubisz różne obrzydlistwa, Tyrone? — zapytała.

— Tak!

— Chcesz, żebyśmy zrobiła zdjęcie twojego gardła? — zaproponowała. — Wtedy będziesz mógł wszystkim pokazać, jak wygląda, zanim zadziała lekarstwo. — *I nie nachuchasz przy tym na nikogo.*

— Byłoby super.

Zrobiła zdjęcie telefonem komórkowym dziadka.

— To było sprytne — stwierdził Leroy, gdy Tyrone podziwiał fotograficzny dowód na swoje paciorkowcowe gardło. — Teraz nie będzie próbował pokazać wszystkim tego w naturze.

Mack się uśmiechnęła. Może w końcu zaczęła wchodzić w rolę małomiasteczkowej lekarki.

To nie była dwunastogodzinna zmiana na SOR-ze ani wezwanie do wypadku. Ale dzień w przychodni lekarza

rodzinnego i tak był wyczerpujący.

Mack zamieszała odgrzaną zupę, której nie miała okazji zjeść za pierwszym razem, bo pojawił się pacjent ze skutkami ubocznymi podanych lekarstw.

Russell też był zajęty. Choć on przyjął mniej pacjentów niż ona. Pilnowała statystyk i czuła, że pod tym względem wygrała.

Przewróciła stronę czasopisma medycznego, nasłuchując odgłosów ewentualnych kłopotów w poczekalni.

Ale kłopoty same do niej przyszły. Do pomieszczenia socjalnego wszedł Russell. Biały fartuch powiewał za nim.

Położył przed nią gwałtownie kilka wydrukowanych stron.

— Co jest napisane w pierwszym zdaniu w uwagach w karcie Ellen Kowalski?

Mack odłożyła nieufnie periodyk.

— „Zapytać pacjentkę, czy zmieniła zdanie na temat przyjmowania leków na nerwicę”.

Cholera.

— Umknęły mi uwagi w karcie. Zadzwonię do niej...

— A teraz proszę przeczytać pierwszą uwagę w karcie Tyrone’a Mahoneya.

— Rozumiem. Zapomniałam sprawdzić uwagi w kartach pacjentów. To się więcej nie powtórzy.

— „Porozmawiać z Leroyem Mahoneyem na temat operacji oraz przyjmowania leków przeciwzkrzepowych”

— odczytał Russell z kartki znad okularów do czytania.

— Dlaczego to w ogóle znalazło się w karcie dziecka? — zapytała Mack, coraz bardziej poirytowana jego próbą zawstydzenia jej.

Podsunał jej znów kartkę.

— Bo Leroy na wszystkie możliwe sposoby unika wizyty lekarskiej. Przyjdzie do przychodni z wnukiem, ale odwołuje niemal wszystkie wizyty, na które go umówiliśmy od czasu jego operacji. Wykorzystujemy wizyty wnuka, żeby skontrolować stan dziadka. *Zwłaszcza* odkąd przestał odnawiać recepty na leki przeciwzakrzepowe.

Mack znów przeczytała kartę i westchnęła.

— Zajmę się tym — obiecała.

— Nie powinna mieć pani czym się zajmować. Czy to naprawdę takie trudne, poświęcić trzydzieści sekund na przeczytanie uwag w karcie, *doktor O’Neil*? Niedbalstwo odbywa się kosztem ludzkiego życia. A w ten sposób zamiast podziwiać żonę w sukni wieczorowej w drodze na bal charytatywny, siedzę w Benevolence w dzień wolny od pracy.

Mack odsunęła się od stołu i wstała.

— Niech pan posłucha, *doktorze Robinson*, rozumiem, że jest pan zły, że zamiast przekąsek i smokingów w towarzystwie żony musi pan być tutaj, ale sytuacja jest, jaka jest. A jeśli nie potrafi pan *nauczyć* mnie, jak stać się wystarczająco dobrą, żeby nie potrzebować opiekuna, to nie ma sensu się na mnie wściekać. Bo być może pan nie toleruje lekarzy, którzy praktykują medycynę inaczej niż pan, ale ja nie toleruję celowego okazywania braku szacunku. Popęłniłam błąd, naprawię go. To się więcej nie powtórzy. A pan musi po prostu przyjąć to do wiadomości.

Porzucając swoją znów zimną zupe, Mack wyminęła go — ignorując zszokowane miny Freidy, Tuesday i dwóch pacjentów w poczekalni — i poszła jak burza do swojego gabinetu, gdzie zatrzasnęła drzwi. Kilka sekund później usłyszała trzaskanie drzwi do gabinetu doktora Robinsona.

— Ubaw po pachy — powiedziała ze złością do siebie samej.

Zaburczało jej w brzuchu.

— A niech to.

Usiadła za biurkiem i podniosła słuchawkę telefonu, a potem pisnęła jak dziewczynka, gdy krzesło bez ostrzeżenia przechyliło się w tył.

— A niech to — mruknęła znów pod nosem. Odłożyła telefon i wzięła karteczkę samoprzylepną.

Kupić cholerne krzesło biurowe.

Ostrożnie przysunęła się z powrotem do blatu i wzięła znów słuchawkę.

— Hej, Tuesday, czy możesz przynieść mi moją zupę, jak znajdziesz chwilę?

W końcu przyjęła ostatniego pacjenta. Wypełniła ostatnią kartę. Zamknęła przychodnię. Nic nie dzieliło jej już od połędwicy, którą zamierzała dziś upiec na kolację, i kieliszka czerwonego wina, na które zasłużyła. Mack wygrzebała z torebki kluczyki i poszła w kierunku SUV-a.

Niestety okazało się, że Russell zaparkował swojego odlotowego luksusowego sedana obok jej wozu. Opierał się o maskę z rękami skrzyżowanymi na odprasowanej niebieskiej koszuli. Jego mucha w grochy nadawała mu bardziej przystępny wygląd, niż wskazywało na to jej doświadczenie.

Mack zastanawiała się, jak szybko rozniosłaby się plotka, że dwójka miejscowych lekarzy wdała się w bójkę na parkingu przed przychodnią.

— Doktor O’Neil.

Westchnęła lekko. *Okej*. Miała przed sobą jedną zrzędliwą, agresywną przeszkodę. Weźmie facetowi osobiście za złe, jeśli stanie na drodze do urzeczywistnienia jej marzeń o steku i winie.

— Doktorze Robinson.

— Zamanifestowałem dziś swoje stanowisko, ale niestety robiąc to, jednocześnie zrobiłem scenę.

— Tak. To prawda — powiedziała lekko.

— Przepraszam za to. Wiem, że mogę wydawać się ostry. Nie chodzi o to, że wątpię w pani umiejętności. Po prostu pani nie ufam. Jeszcze.

Szczerłość, nawet brutalna, była zdaniem Mack lepsza niż uprzejme kłamstwa.

— W porządku. Ale obojgu nam byłoby łatwiej, gdyby w ogóle dał mi pan jakąkolwiek szansę. Tu *jest* zupełnie inaczej niż tam, gdzie pracowałam wcześniej. Ale chcę tu być. I chcę świadczyć usługi medyczne na najwyższym możliwym poziomie. Ale nie mogę tego robić, jeśli na oczach pacjentów robi mi pan sceny na temat moich niedociągnięć.

— Rozumiem i przepraszam za brak profesjonalizmu.

— Przeprosiny przyjęte. A ja przepraszam za to, że umknęły mi uwagi w karcie. Jestem przyzwyczajona do nieprzytomnych pacjentów zawieszonych między życiem i śmiercią, a nie do tego, że mam na wyciągnięcie ręki dostęp do historii leczenia i informacji rodzinnych. Więcej tego nie przegapię.

— Dobrze.

— W porządku. — Znów sięgnęła po kluczyki.

— Czy jest pani pewna, że potrafi zbudować dobre stosunki z naszymi pacjentami? — zapytał, rozplatając ręce.

Odetchnęła. Szczerość.

— Nie. Nie jestem.

Pokiwał głową, przyjmując do wiadomości jej stwierdzenie.

— Zatem musimy nad tym popracować.

— Dobrze. Dziękuję.

— Życzę pani miłego wieczoru, doktor O’Neil — powiedział mężczyzna i odsunął się od maski swojego samochodu. — Aha, i niech pani nie zapomni w tym tygodniu skontaktować się z Ellen i Leroyem.

Stek i wino mogły zapewne zaczekać.

Rozdział 16.

Ellen nie miała ochoty zjawiać się znów w przychodni na rozmowę, ale zgodziła się na *happy hour* w Remo, rustykalnym barze, którego parking był w środę wieczorem pełny.

Mack przyjechała trochę wcześniej, zaparkowała na tyłach i odpowiedziała na kilka maili w telefonie. Paru znajomym z wojska. Rekruterowi, który chciał wiedzieć, jakie ma plany zawodowe po okresie spędzonym w małomiasteczkowej Ameryce.

Schowała telefon i kluczyki do małej kopertówki i ruszyła do wejścia. Ganek był wąski, a cedrowy gont lata świetności miał już za sobą, ale całość prezentowała się wyjątkowo schludnie jak na bar.

W środku hałas sąsiedzkich rozmów walczył o palnę pierwszeństwa z piosenką country lecącą z szafy grającej w rogu. Pachniało gorącymi skrzydełkami i piwem.

Mack zauważyła Ellen machającą do niej od baru, na lewo od morza zajętych stolików. Dzielne kelnerki uwijały się w całym tym bałaganie, dźwigając kufle z piwem i koszyki z apetyczną smażeniną.

— Cześć, Mackenzie — przywitała ją zza baru Sophie, siostra Luke'a. Miała na sobie przylegającą do ciała koszulkę polo z logo Remo. Włosy zebrała z boku głowy w zawadiacki kucyk, który podskakiwał, gdy kręciła w jednej ręce butelką wódki. Puściła wesoło oko do klienta w kombinezonie roboczym i czapeczce z logo John Deere, który miał co najmniej osiemdziesiątkę. — Co was tu dziś sprowadza?

— Babski wieczór — powiedziała Ellen, wesoło popijając przez rurkę zimny różowy koktajl.

A raczej babska zasadzka lekarska. Mack poczuła ukłucie wyrzutów sumienia za to, że nie wyraziła się jaśniej przez telefon. Wyglądało na to, że nie umiała zabrać się odpowiednio za relacje z pacjentami. Nienawidziła sprawiać zawodu.

Sophie naląła wódki do shakera.

— Dzisiaj mamy skrzydełka za połowę ceny. W promocji są też krążki cebulowe. Co podać, doktorco?

Mack przyjrzała się półkom na ścianie za uderzająco piękną barmanką i zauważyła butelkę znośnego merlot. Zamówiła kieliszek i przyglądała się, gdy Sophie jednocześnie nalewała dwa piwa z kija i sięgała po kieliszek do wina.

To był niesamowity widok, patrzeć na kogoś w swoim żywiole. A w tej chwili Mack czuła się bardzo nieswojo i nie na miejscu. Wzięła do ręki kieliszek z winem, gdy tylko Sophie go przed nią postawiła.

— Wiem, że powinnam zamówić sałatkę. Ale mam słabość do skrzydełek z Remo — powiedziała Ellen, wpatrując się żałośnie w menu.

Mack sumiennie otworzyła kartę.

— Może weźmiemy na spółkę sałatkę ogrodową i porcję skrzydełek?

Ellen rozpromieniła się, czym jeszcze mocniej wbiła nóż wyrzutów sumienia w pierś Mack.

— Wspaniały pomysł!

— Na patio są stoliki — powiedziała Sophie i kiwnęła głową w kierunku drzwi, stawiając na barze tacę

wypełnioną kuflami z piwem. — Podam wam tam jedzenie, jeśli macie ochotę na trochę świeżego powietrza.

— Doskonale! — Ellen zeskoczyła ze stołka i wzięła swojego drinka wielkości akwarium dla rybek.

Mack wzięła swoje wino i poszła za nową koleżanką, która usiłowała nie walnąć nikogo po drodze wielką torbą mamuśki.

Ellen wybrała stolik na środku patio, choć Mack wolałaby jakiś w rogu. Ale jej nowa koleżanka chyba lubiła przebywać w otoczeniu ludzi.

— Bardzo ci za to dziękuję — powiedziała Ellen z westchnieniem szczęścia. — Słyszysz to?

Mack rozejrzała się dookoła. Cichy szum rozmów, blaszany dźwięk muzyki dochodzący z kiepskiego głośnika zewnętrznego zamontowanego na elewacji.

— Co?

— Nikt mnie o *nic* nie prosi. Nie jestem mamą, żoną ani synową, wiesz? Tylko sobą.

— Kiedy ostatnim razem miałaś babski wieczór? — zapytała Mack, zastanawiając się, czy sama na jakimkolwiek kiedyś była.

— *Baby shower* się liczy?

Mack nie była ekspertką od życia towarzyskiego, ale nawet *ona* знаła odpowiedź na to pytanie.

— Nie liczy się.

— Słyszałam, że Lincoln Reed przysłał ci kwiaty — powiedziała Ellen, pochylając się i siorbiąc znów swój różowy alkohol.

Właśnie *dlatego* nie chodziła na babskie wieczory.

— To było tylko dla żartu. — *Głównie*.

— Nasz komendant nie żartuje w kwestii kobiet — stwierdziła z przekonaniem Ellen.

— Ma reputację — przyznała Mack.

Ellen zbyła jej komentarz machnięciem ręki.

— To głównie zabawa. To nie jest mizoginistyczny kobieciarz. Po prostu uwielbia kobiety i umawia się z nimi, seryjnie i monogamicznie, bez zamiaru ustatkowania się. Ale czy można go za to winić? Ja się ustatkowałam i spójrz na mnie. Mam dwoje dzieci, które mnie nie słuchają, męża, który traktuje mnie jak pralnię, a do tego mój samochód śmierdzi sprzętem sportowym i brudnymi stopami. — Nachyliła się konspiracyjnie. — Czasem myślę, że trzeba było po prostu dalej spotykać się z Linkiem.

Tym razem to Mack się nachyliła.

— Spotykałaś się z Linkiem?

To była osobista informacja i Mack nie była pewna, czy chciała ją znać.

Ellen wzburzyła swoje długie do ramion kasztanowe włosy.

— To było dziesięć lat i trzynaście kilogramów temu. Byliśmy na kilku randkach, zanim poznałam Barry'ego. Ten facet umie obchodzić się z kobietami, wiesz?

— Nie da się ukryć. — Kąciki ust Mack zadrgały w mimowolnym uśmiechu. — Dlaczego przestaliście się spotykać? — Świetnie. Teraz ona wtrącała się w prywatne życie pacjentki. Benevolence już zaczęło odciskać na niej swoje piętno.

Czy zacznie teraz wypytywać pacjentów z urazówki, co oznaczają ich tatuaże?

Ellen wzruszyła ramionami.

— A dlaczego ktokolwiek przestaje się spotykać z przystojnym strażakiem?

— No tak. Godziny pracy — domyśliła się Mack. Rozumiała, że dla „normalnych” ludzi ciągła dyspozycyjność, praca do późna i zagrożenie fizyczne nie miały większego sensu. Ale wiedziała też dokładnie, dlaczego niektórzy mieli powołanie do takich zawodów.

— Praca z narażeniem życia niespecjalnie sprzyja zakładaniu rodziny — potwierdziła Ellen. — Byłam gotowa na dzieci, dom i męża, który będzie spędzał z nami weekendy. Pierwszą miłością Linca jest jego praca. Rozstaliśmy się po przyjacielsku, na tyle, na ile to możliwe. W dalszym ciągu zdarza mi się puścić do niego oko w sklepie spożywczym.

Rozstania Mack były bardzo podobne. Nieskomplikowane. Bez konsekwencji. Bezbolesne.

— Czy on kiedykolwiek był z kimś w poważnym związku?
— zapytała Mack.

Ellen pokręciła ze śmiechem głową.

— Linc nie jest typem od poważnych związków. Lubi przyjemności, wiesz? Skoro wysłał ci kwiaty, powinnaś pójść za ciosem. Jeszcze nikt nigdy nie żałował romansu z Komendantem Ciacho.

Przyjemności.

Czy naprawdę zaszkodziłoby jej, gdyby pozwoliła sobie na odrobinę przyjemności podczas pobytu w tym mieście? Może nie. Ale stałoby to w sprzeczności z jej nowym kodeksem postępowania. Nowa Mackenzie O’Neil była zbyt skoncentrowana na odnajdywaniu samej siebie i na dbaniu o zdrowie, żeby wskakiwać do łóżka z przystojnym przygodnym znajomym.

Nowa Mackenzie O’Neil była prawdziwą nudziarą.

Z torebki Ellen dobiegł przesywający dzwonek telefonu.

— Uch. To Barry. Momencik. Czego chcesz, Bare?

Mack patrzyła, jak Ellen przewraca z dramatyzmem oczami.

— Nie. *Nie* powiedziałam mu, że może zjeść na kolację ciasto. Nie daj się na to nabrać. Stać cię na więcej, Barry. — „Wcale nie”, wyszeptała bezgłośnie.

Mack parsknęła śmiechem.

Sophie wyszła na patio, niosąc ich jedzenie. Klient, który przytrzymał jej drzwi, patrzył na nią z podziwem.

— Jeszcze raz to samo, drogie panie? — zapytała i postawiła na stole sałatkę, skrzydełka, talerze i serwetki.

Ellen pokiwała z zapalem głową.

— Uspokój się. Przygotuj mu kurczaka i połóż go do łóżka.

Mack spojrzała na swój kieliszek.

— Pewnie.

Sophie okręciła się na pięcie i wróciła z ich zamówieniem do środka.

— Uch. Tak. Wstąpię do sklepu w drodze do domu. Ale czy następnym razem nie mógłbyś pamiętać o takich rzeczach, gdy będę robiła listę zakupową? Mógłbyś choć raz ułatwić mi życie? Halo? Halo?

Strzelając iskrami z poirytowania, wcisnęła telefon z powrotem do torby.

— Rozłączył się, uwierzysz?

Mack nie była pewna, czy wierzyła, czy nie.

— To dlatego jestem taka zestresowana. Nie mogę mieć nawet dziesięciu minut spokoju, żeby ktoś zaraz czegoś ode mnie nie chciał. — Sięgnęła do torby i wyjęła z niej paczkę papierosów.

Mack chrząknęła.

— A niech to. Okej. Niech będzie. Skłamałam. Jestem zestresowana.

— No dobrze. Opowiedz mi o tym — powiedziała Mack, przekładając na talerz połowę sałatki.

Jadły skrzydełka i nabijały na widelec sałatę z winegretem, podczas gdy Ellen mówiła, a Mack słuchała. Miała już jaśniejszy obraz sytuacji. Obraz, który umknął jej w gabinecie, bo za bardzo się spieszyła, żeby przyjąć następnego pacjenta.

— Myślałaś o tym, żeby zacząć brać leki na nerwicę? — zapytała Mack, gdy Ellen opróżniła swoją beczkę stresu.

— Myślałam o tym i odrzuciłam ten pomysł — odparła wesoło Ellen. — Uważam na to, co w siebie wkładam.

— Nie zrozum mnie źle. Mówię to jako przyjaciółka, a nie lekarka. Ale naprawdę tak uważasz? — Mack spojrzała znacząco na skrzydełka, papierosy i drugą margaritę wielkości akwarium.

Ellen skrzywiła się.

— Nie mam prawa mieć słabości lub dwóch... lub trzech?

— Masz prawo dobrze się czuć, być zdrową. Stres nikomu nie służy.

— To co mam zrobić? Sprzedać dziecko i wziąć rozwód?

Mack rozejrzała się dookoła, żeby mieć pewność, że nikt nie podsłuchuje.

— Niczego takiego *nie* mówię. Mówię tylko, że masz wybór. Możesz zmienić trochę styl życia albo rozważyć przyjmowanie lekarstw, lub nawet obie te rzeczy naraz. Nie musisz tak się czuć. Ale tak będzie, jeśli nie przestaniesz postępować tak, jak postępujesz.

— Styl życia, czyli zdrowe jedzenie i ćwiczenia? Mówisz jak doktor Dunnigan i doktor Robinson, wiesz? — jęknęła Ellen.

— To wcale nie musi być tortura — powiedziała Mack. — Co lubiłaś robić, zanim pojawiły się dzieci?

Jej towarzyszka wzruszyła z posępną miną ramionami.

— Nie wiem. Włóczyć się od baru do baru i jeść taco o pierwszej w nocy?

Mack się roześmiała.

— A oprócz tego?

Twarz Ellen się rozjaśniła.

— Wiesz, co kiedyś bardzo lubiałam?

— Co?

— Pływać.

— Naprawdę? To świetny sport — powiedziała Mack. — Dlaczego przestałaś?

— Nie mogłam na siebie patrzeć w stroju kąpielowym.

Szczerowość. Z tym Mack potrafiła sobie poradzić.

— Oto moja propozycja. Daj sobie miesiąc. Znajdź miejsce do pływania. Włóż trochę większy wysiłek w kwestii jedzenia. Codziennie, bez względu na wszystko, znajdź trochę czasu dla siebie. I na litość boską, rzuć palenie. Potem znów się spotkamy i zobaczymy, jak się czujesz. I podejmiemy stosowne kroki.

— Jeszcze jedno babskie wyjście? — Ellen była tak podekscytowana, że Mack poczuła, iż w dziwny sposób jej to pochlebia, sprawia radość i wywołuje niewytłumaczalny smutek ze względu na obie z nich.

Lekarka wzruszyła ramionami.

— Jasne. Pewnie.

Ellen zagryzła wargi.

— Naprawdę uważasz, że dam radę?

— Oczywiście, że dasz. Spójrz na wszystko, co już robisz. Wychowujesz dzieci, prowadzisz dom, pracujesz, radzisz sobie z mężem i teściem. Najtrudniejszym już się zajmujesz. To jest dużo łatwiejsze.

Ellen kiwała głową.

— Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób.

— Zastąpisz po prostu złe nawyki dobrymi.

— Oooch! Możemy pomagać sobie nawzajem w osiągnięciu swoich celów — pisnęła Ellen i klasnęła przy tym w ręce. — Nad czym ty chcesz pracować?

— Och. Uch. Nad medytacją? Tak myślę. — Mack pogratulowała sobie, że nie powiedziała: „Nad wyperswadowaniem sobie pomysłu przespania się z Linkiem”.

— Brzmi wspaniale. Medytacja jest taka, no, uduchowiona — powiedziała Ellen do wnętrza swojej torby. Jej dłonie i twarz całkiem w niej zniknęły.

— Tak. Jasne.

— Mam! — Wyciągnęła triumfalnie notes i ołówek przyozdobiony śladami zębów. — No dobrze. Teraz to wszystko zapiszemy. Oprah mówi, że jeśli chcesz wyznaczyć sobie jakieś cele, muszą być bardzo wymierne i konkretne.

No cóż, skoro Oprah tak mówi...

Ellen zapisała porządnie własne cele na kartce, a potem podała ją Mack.

1. Pływać lub chodzić na spacer pięć razy w tygodniu.

2. Codziennie jeść na lunch sałatkę.

3. Rzucić boczek.

— Nie ma tu mowy o paleniu — zauważyła Mack.

— Boczek to palenie. Na wypadek, gdyby Barry albo dzieciaki znaleźli tę listę. Im też ściemniam.

— W porządku.

— A teraz ty dopisz swoje — nakazała Ellen. — To będzie oficjalny dokument. Czy mogę wypalić ostatniego...

— Nie — sprzeciwiła się stanowczo Mack, po czym napisała: „Medytować dziesięć minut dziennie”.

— Psujesz zabawę.

Mack parsknęła śmiechem i wzięła skrzydełko.

— Za wzajemną pomoc — powiedziała.

Ellen poczęstowała się kolejnym skrzydełkiem i stuknęła nim w skrzydełko Mack.

— Za seksownego strażaka, który idzie w naszą stronę.

Rozdział 17.

Linc wpadł na piwo i skrzydełka, a zamiast tego zastał swoją seksowną, powściągliwą sąsiadkę na kolacji z jedną z jego byłych.

— Drogie panie — powiedział, idąc przez patio. — Pewna barmanka zdradziła mi, że was tu znajdę.

Zaczął zapadać zmierzch. Zza baru wyszła kelnerka, żeby uruchomić grzejniki na patio i podłączyć podwieszane nad głowami lampki.

— Właśnie o tobie rozmawialiśmy. — Ellen uśmiechnęła się do niego promiennie. — Przysuń sobie krzesło, komendancie.

Pochylił się i cmoknął ją w policzek, a potem zrobił, co powiedziała.

— Mam nadzieję, że wszystko dobrze. Jak się mają Barry i dzieciaki?

Podczas gdy Ellen przekazywała mu najnowsze wiadomości na temat rodziny, Mack umyślnie unikała kontaktu wzrokowego. Ale kiedy przycisnął pod małym stolikiem kolano do jej kolana, nie odsunęła nogi.

— Jak twój dzień wolny? — zapytała Ellen, w końcu biorąc wdech.

Oderwał uwagę od nogi Mack.

— Dobrze. Zabrałem Iskierkę na długi spacer. Teraz jest u mojej siostry. — Nie mógł przestać patrzeć na Mack. Było w niej coś, co go przyciągało. Magnetyzm, grawitacja, orbitowanie.

To nie było zwykle, lekkie zadurzenie. Krył się w tym prawdziwy głód. Poczul go podczas grilla w zeszły piątek, kiedy zobaczył tęsknotę w jej oczach, gdy przyglądała się klanom Garrisonów i Morettów.

— A jak tobie minął dzień, doktoroko? — zapytał.

Kiedy wreszcie na niego spojrzała, odczuł zarówno ulgę, jak i podekscytowanie. Te chłodne zielone oczy kryły w sobie tajemnice, które chciał po kolei odkrywać. Chciał wiedzieć, skąd miała bliznę pod okiem. Chciał wiedzieć, jak by to było położyć dłoń na jej skórze. Jak by to było patrzeć na jej rozchylone usta, gdy w nią wchodzi.

Czas płynął wolniej, kiedy na niego patrzyła. A jego pierwotne instynkty biły na alarm.

Zaczął się wiercić, świadomy, że jego członek ożył we wzwodzie. Niestety to kazało mu tylko przycisnąć mocniej nogę do jej nogi. Jeśli zwykle ocieranie się nogami pod stołem go podniecało, to miał poważne problemy z samokontrolą.

— W porządku — odpowiedziała wreszcie.

Zrobiła to w sposób, który ewidentnie wskazywał na to, że chce zamknąć temat. Jakie tajemnice by mu zdradziła, podczas gdy on oddawałby cześć jej ciału?

Kurwa. Będzie musiał wyłączyć podgrzewanie wody, żeby przetrwać jakoś fakt, że ma ją zaraz za płotem, a mimo to nie może jej tknąć.

Zorientował się, że Ellen wodziła między nimi wzrokiem, jakby obserwowała mecz na Wimbledonie.

Kobieta zauważyła, że on zauważył, i skinęła znacząco głową w kierunku Mack.

— Doktor Mack obecnie z nikim się nie widuje, prawda? — zapytała głosem niewiniątka.

— Uch. Nie — odpowiedziała podejrzliwie Mack.

— Bo wiesz, Linc to naprawdę dobra partia — powiedziała Ellen.

— Tak słyszałam — odparła kpiąco Mack.

— To prawda — wtrącił się Linc, podkradając pomidorka koktajlowego z jej talerza. — Wyświadczyłaś sobie niedźwiedzią przysługę, gdybyś choć raz się ze mną nie umówiła.

— Linc podczas pierwszej randki jest *najlepszy*, wiesz?

Mężczyzna wyszczerzył się do Ellen w uśmiechu. To była jego zdaniem jedna z najlepszych rzeczy związanych z życiem w Benevolence. Nawet byłym dziewczynom zależało na jego szczęściu.

— O-o — odezwała się Ellen i mrugnęła do niego konspiracyjnie. — Chyba znów dzwoni Barry. Chyba powinnam iść do domu. Masz, Linc. Możesz dokończyć mojego drinka.

Wstała i zarzuciła gigantyczną torbę na ramię. Pewnie ważyła tyle samo, co jego kombinezon strażacki, uznał Linc.

— Nie słyszałam, żeby coś dzwoniło — powiedziała Mack.

— Och, bo przełączyłam telefon na wibracje. — Potrząsnęła torbą. — Znów dzwoni. Dzięki za babskie wyjście, doktor Mack. Do zobaczenia za miesiąc.

— Przecież nikt do niej nie dzwonił — stwierdziła Mack, odprowadzając pacjentkę wzrokiem.

Linc wziął porzuconą margaritę Ellen i się skrzywił.

— Wydaje mi się, że ona subtelnie usiłowała zostawić nas samych.

— Czy wszystkie twoje byłe dziewczyny aż tak starają się spiknąć cię z kolejnymi?

Linc zastanowił się nad tym i sięgnął po skrzydełko. Mack klepnęła go w rękę.

— To moje.

Z uśmiechem poczęstował się ostatnim skrzydełkiem z talerza Ellen.

— Może nie wszystkie. Ale znaczna większość.

— Jak wyglądało twoje najgorsze rozstanie? — zapytała zaciekawiona.

— E-e, Marzenie. To rozmowa na pierwszą randkę.

Obgryzła do czysta skrzydełko, przyglądając się mu.

— A dlaczego to nie jest randka? — zapytała. — Jest jedzenie. Alkohol. Rozmawiamy. Dzielnie staram się opierać twoim zalotom. — Wymieniała kolejne randkowe wymogi na palcach, z których następnie zlizywała pikantny sos.

Linc miał silne przekonanie, że w całym swoim życiu nie był aż tak podniecony. Wziął piwo, żeby zająć czymś ręce, bo miał chęć ulżyć gigantycznemu wzwodowi albo dotknąć Doktor Marzenie.

— To flirt, który ma doprowadzić do pierwszej randki — wyjaśnił. — Pierwsza Randka z Lincolnem Reedem to nie jest przypadkowe spotkanie. Pierwsza Randka z Lincolnem Reedem to starannie przygotowane doświadczenie opracowane z myślą o maksymalnej przyjemności.

Kobieta zaśmiała się głośno i długo, przez co stała się jeszcze ładniejsza.

— Teraz czuję się zaciekawiona — powiedziała, podpierając brodę na dłoni.

— Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć, jak to jest być ze mną na randce — powiedział, celując w nią kuflem z piwem. — Musisz tylko się zgodzić.

Westchnęła przeciągle.

— Chcę, żebyś wiedział, że mnie to kusi. Nawet bardzo. Ale.

Słowo zawisło między nimi w powietrzu. Zastanawiał się, czy zdawała sobie sprawę, że przysuwa się do niego, że jej noga napiera na jego nogę.

— Ale? — powtórzył.

— Nie po to tu jestem.

— A po co tu jesteś? — zapytał.

— Potrzebuję zmiany tempa.

Potrzebuję, a nie chcę, zauważył.

— Opowiesz mi o tym?

Zamilkła i upiła łyk wina.

— Znasz to uczucie towarzyszące dużej akcji? Kiedy działasz na pełnych obrotach, gdy w grę wchodzi ludzkie życie, a ty robisz, co trzeba, na autopilocie?

Pokiwał głową.

— Tak. To podniecenie. Wyrzut adrenaliny, kiedy czujesz się, jakbyś znajdował się poza czasem.

— Dokładnie. Lubię to. Nie, nieprawda. *Pożądam* tego — przyznała, wodząc palcem wskazującym po brzegu kieliszka.

— W pewnym stopniu każdy z nas tego pragnie.

— Zgadza się. Ale u mnie to zaczęło stanowić problem.

Pokiwał głową i czekał.

— Zaczęły mi się trząść ręce — wyznała. — A potem przestałam spać.

— Wypalenie.

— Wypalenie. Niewydolność nadnerczy. Co gorsza, ten haj to były jedyne chwile, kiedy w ogóle coś czułam.

Wykorzystał tę chwilę i złapał ją za rękę. Nie odsunęła jej. Siedziała i wpatrywała się w ich splecione palce.

Cholera, ależ to było naturalne.

— Co sprawia, że czujesz się odrętwiała, Marzenie?

Potrząsnęła głową.

— E-e. To rozmowa na pierwszą randkę.

Cholera. Zakocha się w tej kobiecie na całego i będzie bolało.

— Okej — powiedział. — Więc pojawia się wypalenie, a ty stwierdzasz, że konieczna jest całkowita zmiana stylu życia.

— I oto jestem. — Wskazała na siebie wolną ręką. — Żegnaj, Afganistanie. Witaj, Benevolence.

— Zamiana medycyny urazowej w strefie wojennej na praktykę lekarza rodzinnego w małym miasteczku — podsumował.

— Bingo. Nie byłam nawet w stanie wytrzymać jeszcze kilku lat i dotrzeć do emerytury. Odeszłam.

Linc ścisnął ją mocniej za rękę.

— I to cię wkurza.

Posłała mu niewyraźny, smutny uśmiech, który znów kazał mu zapatrzeć się na jej usta.

— Tak.

— I jesteś jeszcze bardziej wkurzona na to, że nie byłaś w stanie wytrzymać. Nie odeszłaś dlatego, że miałaś taką chęć. Odeszłaś, bo musiałaś.

Patrzył, jak zagryza dolną wargę.

— W porządku — zapewnił. — Możesz mi powiedzieć, co dziś miałem na śniadanie, jeśli chcesz.

— Odgrzane w mikrofalówce burrito — powiedziała. — Ale to już nie jest takie zabawne, skoro wiesz, że mogę ci zajrzeć do domu.

— Skoro mowa o zepsutej zabawie, zasłony w twojej sypialni są strasznie grube.

— Zaciemniają pokój, żebym mogła spać dłużej niż do świtu.

— I śpisz?

— Nie. Budzę się równo o piątej trzydzieści.

Z głośników popłynęła powolna piosenka country.

— Czemu się temu opierać? — zapytał i podciągnął ją do góry.

— Co robimy?

— Będziemy tańczyć.

— Nikt inny nie tańczy — powiedziała, rozglądając się po patio.

— Przedstawię ci mój pomysł, ale wyjdzie to lepiej, jeśli będziemy tańczyć.

— Czy dziewczyny z małego miasteczka naprawdę się na to biorą? — chciała wiedzieć Mack.

Wziął ją w ramiona.

— Lekarki z wielkiego miasta też.

Uniosła brew, ale pozwoliła mu przyciągnąć się bliżej.

— Najwyraźniej.

— Znajdź sobie pokój, komendancie! — ryknął ten sam chudy gość w brudnej czapeczce baseballowej co w

samochodzie na ulicy w poprzednim tygodniu. Siedział przy stoliku z grupką podobnie ubranych zawodników softballa.

— Zrób sobie wazektomię, Carl — odpowiedział z uśmiechem Linc.

Carl i jego kumple wybuchnęli śmiechem.

— Wracając do mojego pomysłu.

— Jeśli ten pomysł polega na tym, żebyśmy poszli ze sobą do łóżka, to dalej jestem zainteresowana, ale dalej do tego nie dojdzie — powiedziała.

— Wysłuchaj, co mam do powiedzenia — poprosił.

Przewróciła oczami zielonymi jak łąka.

— W porządku. Słucham.

— Wypiszę ci receptę.

— Trzymaj łapy z daleka od mojego bloczku z receptami, kolego.

— Receptę Komendanta Ciacho — doprecyzował.

— I co na niej będzie? Orgazmy?

Udał, że rozważa ten pomysł.

— To z pewnością podchodziłoby pod mój protokół. Zalecam ci rozrywkę.

— Rozrywkę? — wymówiła to słowo tak, jakby to było przekleństwo.

— Tak. No wiesz, robienie rzeczy, przy których śmiejesz się bez powodu — wyjaśnił.

Spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi.

— Żartujesz, prawda?

— Mówię śmiertelnie poważnie — upierał się. — Zgłaszam się na ochotnika na twojego trenera rozrywki.

— To miasto jest dziwne — powiedziała w zadumie.

Przycisnął ją mocniej do siebie.

— Skup się, Marzenie. Taka okazja więcej się nie powtórzy.

— No dobrze. Zamieniam się w słuch. Czym się zajmuje trener rozrywki?

— To znaczy poza zapewnianiem orgazmów?

Posłała mu miażdżące spojrzenie, a on się uśmiechnął.

— Pamiętaj, żeby zachować to spojrzenie dla naszych dzieci. Jeśli dziewczynki odziedziczą twój charakter, będą z nich niezłe ziółka.

Celowo nadepnęła mu na nogę.

W ramach odwetu odchylił ją tak, że jej ciało wygięło się w kierunku podłogi.

— Czy to jest rozrywka? Bo nie umiem stwierdzić — powiedziała poirytowana.

— Kotku, tańczymy pod rozgwieżdżonym niebem w środowy wieczór, a ludzie wokół gapią się na nas, jakbyśmy zwariowali. To jest rozrywka. — Podciągnął ją znów do góry.

— No cóż. Jeśli tylko na to cię stać — zakpiła.

— Ach, Marzenie. Robisz wszystko, żebym się w tobie coraz bardziej zakochawał.

Ujęła jego twarz obiema dłońmi i zajrzała mu w oczy.

— Co robisz?

— Sprawdzam ci źrenice.

— Nie doznałem urazu głowy. — *Tylko krew przestała mi tam dopływać.*

— Tylko się upewniam.

Kołysali się razem, gładko wchodząc w kolejną piosenkę. Między stolikami dołączyła do nich jeszcze jedna para. A potem kolejna, aż w końcu większość gości na patio tańczyła do Alabama Shakes.

Sophie wystawiła głowę za drzwi.

— Co tu się, u licha, wyprawia? Urządziliście sobie bal maturalny? Ktoś ma ochotę na jeszcze jedną kolejkę?

— Tak! — zakrzyknęło całe patio.

Mack pokręciła głową.

— Nie pasuję tu. — W tym stwierdzeniu kryło się coś znacznie więcej niż chwila zwątpienia. A Linc miał zamiar dowiedzieć się, co za tym stało. Z dużą ostrożnością.

— Jak dla mnie pasujesz całkiem nieźle — stwierdził i przyciągnął ją odrobinę bliżej.

— Sprawiasz, że bardzo trudno ci się oprzeć.

— Więc po co skazywać na posuchę nas oboje? — zapytał i poczuł się lżej, gdy się roześmiała. — Marzenie, naprawdę nie musisz aż tak bardzo się starać.

— Jeśli następne słowa, jakie padną z twoich ust, to „daj się ponieść”, to najprawdopodobniej zamorduję cię tu i teraz — ostrzegła.

— Rozważ po prostu moją propozycję. O więcej nie proszę. Dosłownie pokażę ci, co to jest dobra zabawa.

Parsknęła.

— To najgorszy tekst świata. Spodziewałam się po tobie czegoś więcej.

— Nie jestem w najlepszej formie. Trzymam w ramionach piękną kobietę, a w głowie mam pełno nieprzyzwoitych fantazji.

Zagryzła wargę.

— Nie będę cię pytać o te fantazje — oznajmiła.

— Zapiszę je dla ciebie. Może dodam kilka ilustracji.

Jej zegarek zawibrował przy jego ramieniu.

— Muszę się zbierać — powiedziała.

— Masz randkę?

— To moje powiadomienie, żeby szykować się do łóżka. Staram się zadbać o swoje zdrowie i dokonywać dobrych wyborów, pamiętasz?

— Odprowadzę cię do samochodu — zaoferował.

— Po co? Czy po zmierzchu gwałtownie wzrasta tu przestępczość? — zażartowała.

— Zdziwiłabyś się.

Przed wyjściem zapłacili i pożegnali się z Sophie.

— Możesz spokojnie czuć się obezwładniona wdzięcznością — powiedział, otwierając jej drzwi samochodu.

— Na wypadek gdybym zemdląca, mam w torbie lekarskiej inhalator z amoniakiem — powiedziała z powolnym uśmiechem, który miał z założenia zwać z nóg.

Linc nie należał do tych, którzy wycofują się z rzuconego im wyzwania albo unikają pewnej katastrofy.

— Naprawdę chcę cię teraz pocałować, Mackenzie.

Przekrzywiła głowę, zastanawiając się nad tym.

— Będziesz stopniowo kruszył moje mury obronne, aż pozostanie tylko gruz, prawda?

Zamknął ją pomiędzy swoimi rękami, uważając, żeby jej przy tym nie dotknąć.

— Taki mam plan.

Patrzył, jak ona podejmuje decyzję i rozkoszował się tym, gdy kobieta powoli, z pełną świadomością objęła go za szyję.

— To działa — powiedziała z westchnieniem, po czym przyłgnęła do niego wargami. Smakowała winem, pikantnym sosem i pożądaniem.

Jego dłonie zacisnęły się na drzwiach. W dalszym ciągu nie dotykał jej nigdzie poza tymi dzikimi, cudownymi ustami.

Lekarka nie była ani delikatna, ani nieśmiała. Nie trzeba jej było zachęcać. Nie, Mackenzie rzuciła się w pocałunek tak, jakby skakała w przepaść. Z brutalną uległością, która doprowadzała go do szaleństwa.

I dała mu przyzwolenie na więcej, gdy do niego przyłgnęła, gdy przycisnęła do niego swoje długie, szczupłe ciało. Dopiero wtedy Linc w końcu pozwolił sobie na to, żeby ją dotknąć.

Te usta, ostre i sarkastyczne, dokonywały czarów, gdy kobieta go całowała, pozwalając mu poczuć i jej smak. Jej zęby otarły się o jego dolną wargę, a jemu nagle zrobiło się czarno przed oczami.

Zaskoczenie. Doktor Mackenzie O'Neil nieustannie go zaskakiwała.

Jego dłonie pasowały do jej talii, bioder, pleców. Poszukiwały nowych krągłości, chciały je zapamiętać. Przygniatając ją do siebie, usłyszał i poczuł seksowne wibracje jej jęku, gdy przycisnęła się do jego erekcji.

— O rany. Okej. — Wsunęła dłonie między ich ciała i odepchnęła go lekko. Wystarczająco, żeby przestać, niewystarczająco, żeby ich rozłączyć.

Jej wargi były nabrzmiałe i zaróżowione. Jej włosy były zmierzwione, choć nie pamiętał, żeby wsunął w nie ręce. Te

wysokie kości policzkowe nosiły blady ślad rumieńca podekscytowania. A jej oczy tańczyły z podniecenia.

Nie żałowała.

— Teraz będę miała o czym myśleć — powiedziała i odepchnęła go o milimetr.

Wciąż czuł jej smak na swoich ustach.

— Propozycja jest nadal aktualna, Marzenie. — Opuścił rękę i chwycił jej dłoń. Te zielone oczy, teraz poważne, przyglądały się mu, gdy uniósł jej dłoń do ust.

— Bez zobowiązań? Bez oczekiwań? Bez komplikacji? — zapytała.

— Monogamiczna rozrywka bez oczekiwań — zapewnił.

Skinęła głową i wsunęła się za kierownicę.

— A dlaczego nie platoniczna rozrywka?

— Kotku, wydaje mi się, że ten pocałunek już odpowiedział na to pytanie.

Wbiła przed siebie wzrok przez przednią szybę.

— Zastanowię się nad twoją propozycją.

On też się zastanowi. Zamknął drzwi od jej samochodu i poklepał dach dłonią, która kilka sekund wcześniej wędrowała po jej ciele.

Mack odjechała, pozostawiając go wpatzonego w jej samochód.

— Oj, będą problemy — westchnął sam do siebie.

Rozdział 18.

Mack otworzyła sobie drzwi kliniki od zaplecza. Zeszłej nocy fatalnie spała. Za każdym razem, gdy zamykała oczy, czuła wargi Linca na swoich ustach, a potem przez kilka kolejnych minut fantazjowała o tym, że czuje je wszędzie indziej.

Otrząsała się z tego na tyle długo, żeby starannie rozważyć wszystkie wady i zalety wpuszczenia go poza pierwszą bazę. A potem, gdy tylko zamykała oczy, rozkoszny cykl zaczynał się od nowa.

Miała szczerą nadzieję, że facet musiał przynajmniej wziąć zimny prysznic.

— Dzień dobry, doktor O’Neil — przywitał ją od strony recepcji Russell. Pod białym fartuchem lekarskim miał fioletową koszulę oksfordzką i krawat w kolorze bakłażana. Mokasyny w kolorze koniaku lśniły pod zaprasowanymi w ostry kant spodniami.

Przesunął w jej stronę kubek na wynos.

— Zielona herbata z cytryną.

Tuesday i Freida wymieniły zadowolone spojrzenia. Przyjacielska równowaga w przychodni została przywrócona.

— Dziękuję. Dzień dobry — powiedziała, biorąc kubek. — Jak wam minął wieczór?

Rozmowa towarzyska. *I co? Potrafiła to zrobić. Potrafiła odsunąć na bok nieprzyzwoite myśli o nagim, seksownym strażaku. Potrafiła odkurzyć swoje umiejętności społeczne.*

— Poszłam na zajęcia ze spinningu, a potem byłam na smoothie z moim bratem, żeby mógł mi opowiedzieć o swoim nowym chłopaku, którego poznał na siłowni. A potem spędziłam z moim chłopakiem miłą, spokojny wieczór w domu — opowiedziała radośnie Tuesday.

Mack miała stosunkowo dużą pewność, że „spokojny wieczór w domu” oznaczał w przypadku tej dziewczyny Netfliksa i relaks.

— Mój mąż zrobił pranie. Wspaniały mężczyzna — odezwała się rozmarzonym głosem Freida i zamachała tanecznym ruchem rękami.

No dobra. Czyli Tuesday i Freida zaliczyły bzykanko. W porządku. Ludzie w związkach uprawiają seks.

— Moja żona mnie zaskoczyła, bo wróciła wcześniej do domu z długiego weekendu — odezwał się Russell. Mówił lekkim, a nawet przyjaznym tonem, ale Mack zauważyła w jego brązowych oczach błysk pozostały po smacznym, doprowadzonym do perfekcji seksie małżeńskim.

A niech to.

Wyobraziła sobie wiatr hulający w jej waginie.

Rozważyła już różne scenariusze i doszła do wniosku, że spowolnienie jej życia seksualnego na jakiś czas było niezbędne do realizacji Planu Nowa Mack. A teraz jedyne, o czym była w stanie myśleć, to Linc. I jego usta. I te tatuaże na jego piersi i bicepsach. I to, że widziała literę V na jego torsie, gdy jego szorty zsuwały się nisko na biodra.

— A co pani robiła, doktor Mack? — zapytał Russell.

Otworzyła usta, gotowa na standardowe „nic specjalnego”, ale uświadomiła sobie, że coś zrobiła.

— Spotkałam się z Ellen w Remo na kolacji i drinku. — Poczwała, że najlepiej będzie pominąć fakt, że tańczyła wolny

taniec z komendantem straży pożarnej, z którym później się całowała. Była zapewne granica, której w zwierzeniach nie należało przekraczać zbyt szybko.

Russell uniósł z aprobatą brwi.

— Jak miło. Dziś rano wpadłem na Ellen na basenie Związku Młodzieży Chrześcijańskiej.

Zaskoczona przyływem silnej radości, Mack zmusiła się, żeby powoli napić się herbaty.

— No i bardzo dobrze — powiedziała. Głupio było cieszyć się z tego, że pacjentka wzięła sobie do serca jej radę przez jeden dzień. Z dużym prawdopodobieństwem o siódmej wieczorem Ellen będzie już odgrzewać w mikrofalówce pieczone ziemniaki i drzeć się na swojego męża. Ale na Boga, i tak się *cieszyła*. I tak miała poczucie zwycięstwa.

— Doktor Mack, pomyślałem, że może miałyby pani ochotę towarzyszyć mi dziś podczas kilku wizyt, żeby trochę lepiej poznać niektórych z naszych pacjentów — zaproponował Russell.

— Z przyjemnością — powiedziała, jeszcze bardziej zaskoczona faktem, że powiedziała to szczerze.

Russell miał inne podejście do pacjentów niż Trish Dunnigan. Był uprzejmy, wielkowiejski. Jego rozmowy sprawiały, że pacjenci mieli wrażenie, jakby brali udział w eleganckim przyjęciu koktajlowym. Nie był przyjacielem, ale był powiernikiem.

Mack przeglądała kartę pacjenta i przysłuchiwała się rozmowie lekarza z panem Lewisem na temat emerytury, wycieczek do parków rozrywki z wnukami oraz, co nieuniknione, na temat cholesterolu i dobrej formy.

— Jestem zajęty. Dużo się dzieje — upierał się pan Lewis. Był krągłym, wesołym facetem. Miał wytatuowane oba przedramiona i wybuchał szybkim, zaraźliwym śmiechem.

Zwróciła uwagę, że kilka lat temu leczył się na depresję. Zauważyła też, że badanie Russella składało się między innymi z serii subtelnych pytań, które wydawały się zupełnie niewinne, ale miały wy badać obecny stan psychiczny pacjenta. Nie padło żadne: „Czy odczuwasz jakieś skutki uboczne leków na depresję?”.

Ale pojawiły się pytania o żonę — niedawno stwierdziła, że muszą spędzać razem więcej czasu i że ma wybrać między tańcem towarzyskim a lekcjami gotowania — i o spanie, o to, jak się czuł po zakończeniu kariery zawodowej po czterdziestu latach pracy.

Był żartownisiem. Na koniec każdej puenty puszczał oko do Mack, jakby była jego widownią.

Żartowali ze sobą, a pan Lewis droczył się z Russellem na temat jego niezbyt wybitnego występu podczas miejscowego turnieju squasha.

— Przynajmniej próbuję coś z siebie dać — powiedział Russell. Skrzyżował przed sobą ręce i oparł się o szafkę w gabinecie lekarskim. — A ty kiedy ostatnim razem w ogóle byłeś na polu golfowym?

— Pewnie z sześć tygodni temu. Dokucza mi łokieć — przyznał pacjent i pomasaował się po prawym łokciu.

— Wymówki. Obejrzyjmy go — powiedział Russell i przysunął się bliżej na stołku. Zbadał staw i kazał panu Lewisowi wykonać kilka ruchów ręką. — Kontuzja nosi wszelkie znamiona starego, dobrego łokcia tenisisty.

— Tenisisty? — Pacjent prychnął szyderczo. — Jestem golfistą! Jest pani pewna, że ten facet ukończył medycynę? — zapytał Mack.

— W takim razie łokcia golfisty.

— Po prostu uznałem, że mnie boli.

— Przez sześć tygodni? Daj spokój, chłopie — parsknął Russell. — Posłuchaj. Właśnie przeszedłeś na emeryturę. Chcę, żeby to były najlepsze lata twojego życia. Starzejemy się, chłopie. Zaczniemy miewać różne dolegliwości bólowe. Zaczniemy wydawać dziwne dźwięki podczas podnoszenia się z krzesła. Ale jeśli coś zaczyna boleć, nie przestawaj tego używać. Zgłoś się do mnie albo do doktor O’Neil.

— Nie lubię zawracać innym głowy — poskarżył się mężczyzna i znów pomasował łokieć dużą dłonią.

— Dbanie o siebie to nie jest zawracanie głowy — powiedziała Mack. — To mądre zachowanie. A pan wygląda mi na inteligentnego faceta.

— No cóż, nie byłem na medycynie — zarechotał. — Ale daję radę.

W pomieszczeniu socjalnym Russell zabrał się fachowo przy pomocy pałeczek za kolorowe sushi, które samodzielnie sobie zapakował.

— No dobrze, zróbmy podsumowanie.

Tego ranka przyjęli razem troje pacjentów. Mężczyzna prowadził wizytę dwójki z nich. Mack niezdarnie przełamywała lody podczas rozmowy z pacjentką cierpiącą na zapalenie oskrzeli i niezbyt poważnie potraktowany wysoki poziom cholesterolu.

Mack nabiła na widelec kawałek kruchej sałaty.

— Masz historię. Być może nawet przyjaciół.

Pokiwał głową i czekał.

— Równoważysz repertuar autorytetem. Ale dopytujesz się o sprawy osobiste z szacunkiem. „Jak się ma twoja żona? Od jak dawna jesteście małżeństwem?” — powtórzyła. — Badałeś jego stan psychiczny za pomocą niewinnych pytań, a przy tym pozostawiłeś mu przestrzeń na to, żeby poruszył tematy, na które chciałby porozmawiać.

— Słuszna ocena — oznajmił Russell. Wytarł usta lnianą serwetką wyciągniętą z torby z lunchem. — Teraz twoja kolej.

Skrzywiła się.

— Potrafisz zaintubować pacjenta w powietrzu, ale jeśli cię poprosić o rozmowę o pogodzie albo programach telewizyjnych, zamierasz — stwierdził.

Stłumiła westchnienie.

— Słuszna ocena.

— To coś, nad czym należy popracować, a nie czego trzeba się wstydzić.

— Nie powinnam radzić sobie z czymś aż tak źle.

Russell odłożył równo pałeczki na złożonej serwetce.

— Nie jest powodem do wstydu, gdy człowiek nie wie, jak coś zrobić. Nie jest powodem do wstydu, gdy człowiek się uczy i próbuje. Wstyd nigdy nie działa motywująco.

Chciała zaprzeczyć. W jej życiu wstyd był ciągłym czynnikiem motywującym. Ciężko pracowała, żeby odgrodzić się od rzeczy, od których musiała się odgrodzić, żeby raz za razem udowodniać, że jest wystarczająco dobra.

— Z tego, co mówią, Mackenzie, pod względem technicznym jesteś jednym z najlepszych lekarzy, jakich widziało to hrabstwo. To ogromny komplement. Co nie zwalnia cię z obowiązku, żeby nauczyć się lepiej

porozumiewać z pacjentami. Oboje wiemy, że stać cię na znacznie więcej niż tylko na to, żeby być parą kompetentnych dłoni w pogotowiu.

Wcale nie była pewna, czy sama to wie.

Russell milczał przez chwilę.

— Przetwarzam — powiedziała. — Przypuszczam, że twoja teoria oznacza, że wstyd nie działa także na pacjentów.

Klasnął w dłonie — zadbane paznokcie, gładka skóra.

— Dokładnie.

— Leroy Mahoney nie odpowiada na moje telefony — powiedziała. Pomyślała o wiadomościach, które mu pozostawiła. Użyła w nich takiego określenia jak pilna kwestia medyczna. Więc może niekoniecznie było to wypominanie mu zaniedbywania swojego zdrowia, ale nie było to również zbyt przyjazne podejście.

— Jego wnuk gra kilka razy w tygodniu w Małej Lidze w parku obok liceum. Dziadek tam będzie.

Indywidualne podejście. Uch.

Żałowała, że nie wzięła kilku dodatkowych zmian w szpitalu. Tam przynajmniej nie musiała ścigać pacjentów, żeby wydobyć z nich rutynowe informacje. Tam to ona rządziła, była w swoim żywiole. Pewna siebie.

— Nic nie dzieje się przypadkiem, Mackenzie — stwierdził z przekonaniem Russell. — Znalazłaś się tu z jakiegoś powodu.

Jasne, żeby niańczyć pacjentów i całować strażaków.

— Pewnie się tego dowiemy w swoim czasie — odparła.

— A teraz opowiedz mi o wolnym tańcu z komendantem straży pożarnej w Remo wczoraj wieczorem.

Widelec Mack uderzył w stół.

Freida i Tuesday wsadziły głowy przez drzwi.
— W końcu ją zapytałeś — powiedziała Freida.

Rozdział 19.

Wczesnym wieczorem na rozkaz Sally śmigłowiec wzniósł się gładko w niebo, a żołądek Mack jak zwykle opadł gwałtownie. W jej żyłach mruzczały zdenerwowanie i podekscytowanie. Przez kilka ostatnich dni było aż za spokojnie, przez co miała zdecydowanie za dużo czasu na myślenie o *tamtym pocałunku*.

Co doprowadziło ją do myślenia o wszystkich innych rzeczach, których przyczyną mógł być tamten pocałunek. Co doprowadziło ją do podjęcia wysiłku i wygrzebania z pudła przewodzącego wibratora.

Pacjentka z porządnym urazem była dokładnie tym, czego potrzebowała, żeby oczyścić głowę i przestać myśleć o komendancie Reedzie... i jego bardzo utalentowanych ustach. Oraz jego równie imponującym członku.

Ale teraz musiała ratować życie. Kobiety. Około dwudziestopięcioletniej. Nieporozumienie z drzewem na bocznej drodze. Uraz głowy. Mieli tam być za dwie minuty, wylądować za zgodą właściciela na pastwisku dla krów.

Podczas gdy jej palce poruszały się przy lekach i sprzęcie — sprawdzając je raz, a potem ponownie — Mack pozwoliła, żeby jej umysł wrócił na właściwe tory. W głowie pojawiła się seria scenariuszy i protokołów. Szkolenie, wykształcenie i doświadczenie stopiły się razem w instynkt.

Tutaj, pięćset metrów nad ziemią, była pewna swoich umiejętności i samej siebie. Znacznie bardziej niż w małym gabinecie lekarskim podczas rozmowy zapoznawczej z pacjentem z zapaleniem zatok.

— Załoga karetki mówi, że na ziemi są problemy. Agresywny pijany pasażer. Próbują położyć pacjentkę na noszach — ostrzegła rzeczowo Sally w słuchawkach.

Mack zerknęła na Bubbę. Pokażny mężczyzna stał wciśnięty w kąt i po raz trzeci sprawdzał zapasy osocza.

— Pracowałeś kiedyś jako bramkarz? — zapytała.

— Zawsze chciałem.

— To może być twoja szansa, jeśli załoga naziemna będzie potrzebowała pomocy.

— Jupiii.

Niecałą minutę później wylądowali na porośniętym trawą zielonym pastwisku. Mieszkańcy pastwiska, kilkanaście krów, zgromadzili się przy ślicznym jak z obrazka białym płocie kilkaset metrów od fruującego intruza.

Mack zobaczyła samochody służb ratunkowych i zmiażdżony wrak pikapa owinięty wokół niezłomnego dębu po drugiej stronie wiejskiej drogi.

— Chodźmy pomóc — powiedziała, biorąc do ręki torbę lekarską.

Razem z Bubbą wyszli z helikoptera i pobiegli pochyleni przez trawę. Sprawnie pokonali metrowy płot. Mack wdrapała się na niego jak na podstawowym treningu. Bubba przeskoczył go jak kowboj. Razem ruszyli w kierunku grupki ratowników medycznych kucających wokół leżącej na brzuchu ofiary.

Niemal każde miejsce wypadku składało się z tych samych zawodników. Jednostka straży pożarnej zajmowała się usuwaniem skutków wypadku. Świadkowie, najprawdopodobniej rodzina rolnika, zebrali się wokół

dużej, zakurzonej ciężarówce na polu niedaleko miejsca wypadku. Kilkoro innych gapiów, którzy wybrali się na wieczorną przejażdżkę, zatrzymało się na poboczu, żeby popatrzeć. Na miejsce właśnie zajechał policyjny radiowóz.

Był też Linc. Umundurowany, organizował pracę na miejscu wypadku. Posłał jej zadowolony z siebie uśmiezek i zasalutował lekko.

Skinęła głową na powitanie i przepchnęła się łokciami do ofiary. Znajdowali się przy niskiej barierce. Po drugiej stronie droga przechodziła w strome, trzymetrowe zbocze, u stóp którego płynął strumień.

— Co my tu mamy?

— Kobieta. Dwadzieścia pięć lat. Uderzyła głową w kierownicę. Nieprzytomna. Możliwe uszkodzenie kręgosłupa i kręgosłupa. Świadkowie mówią, że kretyn wyciągnął ją z samochodu.

— O kurwa — wyraziła się zwięźle Mack.

— Otóż to — zgodziła się ratowniczką medyczną po jej prawej stronie.

— Zostawcie moją dziewczynę w spokoju! — Mężczyzna, jeszcze praktycznie dziecko, był zalany w trupa... i całkiem możliwe, że również naćpany. Brakowało mu jednego kła, a w płatkach uszu miał dwucentymetrowe dziury. Jego czapeczka baseballowa czasy nowości miała za sobą, i to od jakichś piętnastu lat. Chłopak był chudy i narwany.

Mack wystarczająco często miała do czynienia z kolesiami jego typu, żeby wiedzieć, że nie warto było się do niego odzywać.

Próbował się wepchnąć do kręgu, ale Bubba wyrzucił go na obrzeża. Jeden z chłopaków Linca podszedł, żeby mu pomóc.

— Nie ruszaj się, chłopcze. Szeryf chce zamienić z tobą słowo — powiedział Bubba, wskazując na szeryfa Tya Adlera, który właśnie nadchodził.

— Kurwa! — wrzasnął pijany wariat. — Pierdol się!

Mack go zignorowała. Zbadali czynności życiowe pacjentki i zatamowali krew płynącą z rany na głowie. Dziewczyna miała jasne włosy, zafarbowane na końcówkach na różowo.

Dokonując oceny obrażeń, Mack wyłapywała fragmenty opowieści. Kłótnia z pijanym chłopakiem. Chłopak złapał za kierownicę i wjechał prosto w drzewo. Brak poduszek powietrznych.

Kolejna katastrofa, której można było uniknąć. To ją wkurzało.

— Połóżmy ją na desce. Musimy ją stąd zabrać. Na trzy — zarządziła Mack.

— Mówię wam. Zostawcie ją w spokoju! — wrzeszczał Chudzielec.

— Musisz się uspokoić, synu — powtarzał szeryf.

Mack przemieściła się na drugą stronę pacjentki i oparła się plecami o barierkę.

— Raz. Dwa. Trzy. — Jednocześnie podnieśli dziewczynę i wsunęli ją ostrożnie na deskę.

— Przypnijcie ją mocno. Musimy przenieść ją przez tamten płot — poinstruowała.

Zapiąwszy ciasno pacjentkę, unieśli ją. Chór działających wspólnie nieznanym zjednoczonych jednym celem.

— Uwaga! — Jeden z ratowników u szczytu noszy krzyknął ostrzegawczo.

Chudzielec wyrwał się Tyowi i rzucił się na nich, wrzeszcząc coś bez sensu podczas swojej szarży. Mack chciała zastąpić mu drogę. Powiedzieć, że przez niego jego dziewczyna leży nieprzytomna na noszach. Ale jej umiejętności były potrzebne tutaj. Nie stać ją było na luksus ulegania impulsywnemu wybuchowi.

Wtedy chudy dureń popełnił kolejny błąd.

Wymachując kościstymi łokciami, wcisnął się między Mack i stojącego przed nią ratownika.

— Katelyn, kotku! Powiedz im, że to nie moja wina! Powiedz, że to ty kierowałaś!

— Odsuń się, kurwa, od mojej pacjentki — warknęła Mack, obnażając zęby.

Widziała, jak nadchodzi. Jego cholerna koścista pięść wystrzeliła z większym entuzjazmem niż finezją. Ale Mack trzymała nosze. Gnojek trafił ją w policzek, aż zadzwoniło.

— Do licha ciężkiego. Opanujcie jakoś tego gościa! — wrzasnął Bubba z drugiej strony deski ortopedycznej.

Ty, powstrzymując się od komentarza, biegł w ich kierunku z dłonią na pistolecie. Ale Linc go ubiegł. Facet miał mord w tych swoich pięknych niebieskich oczach.

Mack odgrodziła się od Chudzielca ramieniem i biodrem.

— Usuń się!

Chłopak w kompletnym szale złapał ją za kołnierz, od czego nosze szarpnęły ostro. To tylko bardziej ją rozwścieczyło.

— Wpakujcie ją do śmigła — krzyknęła Mack i puściła deskę. Odwróciła się, zrobiła unik przed kolejnym kiepsko wymierzonym ciosem i odepchnęła gościa o krok.

— Odsuń się, kurwa! Tylko przez ciebie nie mogę teraz zająć się twoją dziewczyną!

Ale on dalej nacierał.

Super. Będzie musiała przywalić zasrańcowi. Wszyscy będą mieli przez to cholernie dużo roboty papierkowej.

— Uspokój się, do cholery, człowieku — odezwał się Ty. Był już na tyle blisko, że Mack widziała, jak na jego brodzie zaczyna wykwitać siniak. Po niespodziewanym ciosie.

— Odpierdol się!

Linc nadchodził z pełną parą jak pociąg towarowy. Ale zjawił się za późno. Chłopak złapał ją za ramiona i popchnął mocno. Nic by się nie stało, gdyby nie leżąca za nią torba lekarska, o którą zaplątała się jej noga. Przewróciła się i uderzyła tyłem ud o barierkę. A potem nagle poleciała po drugiej stronie w dół.

— Mack! — Usłyszała krzyk Linca.

Pamiętała, żeby się skulić, ale więcej nie dała rady zrobić, gdy jej ciało staczało się tyłem po zboczu.

Strumień. Strumień. Strumień.

Zatrzymała się gwałtownie, wbijając palce w jakieś rośliny i zawisając dwadzieścia centymetrów nad wodą. *Trudno byłoby jej przelknąć taki wstyd.*

Leżała tak pełną sekundę i miała akurat idealny widok na wściekłą pięść Linca, która trafiła idiotę w zęby.

Dzieciak przewrócił się i już nie wstał.

— Nic ci się nie stało, doktorko? — Linc zbiegł w dół zbocza. Przesunął dłońmi wzdłuż jej nóg i rąk.

— Nie — mruknęła, strzepując ziemię i liście z munduru lotniczego. — Nic mi nie jest. Muszę lecieć.

— Marzenie, zaliczyłaś niezły upadek. Jesteś pewna, że nie uderzyłaś się w głowę?

— Najważniejsze to zwinąć się w kulkę, Szpanerze. Jak tam kretyn?

— Dużo spokojniejszy.

Pomógł jej się podnieść i nie umknęło mu, gdy się skrzywiła.

Zaskoczył ją przeszywający ból w kostce. Fakt, że to była jej kontuzjowana kostka, tylko bardziej ją wkurzył.

— Cholera — syknęła.

— Noga? Kostka? — Objął ją w pasie.

— Nic mi nie jest. Tylko ją sobie skręciłam. Jeśli weźmiesz mnie teraz na rękę, to przysięgam na Boga, że cię zamorduję.

— Zrozumiałem. Wyłącznie stoickie wsparcie — powiedział z ręką na jej talii.

— Pomóc wam? — zawołał ktoś z góry.

Ratownik medyczny, inny strażak i sam szeryf pomogli im przedostać się z powrotem na drogę. Chudzielec był skuty kajdankami i oparty o koło radiowozu. Mack zauważyła zespół ratowników ładujący pacjentkę na pokład.

— Muszę lecieć — powtórzyła. Ale ścisnęła Linca mocno za rękę.

— Lepiej do mnie zadzwoń, Marzenie!

Machnęła na zgodę ręką i pobiegła, kuśtykając, do czekającego śmigłowca.

Dopiero gdy zaczęła wsiadać do helikoptera ze znacznym bólem, uświadomiła sobie, że Chudzielcowi brakowało teraz też przedniego zęba.

Wcisnęła na uszy słuchawki.

— No to jazda, ST.

Skoncentrowana na pacjentce, nie zauważyła, że Linc patrzył na śmigłowiec, dopóki ten nie zniknął mu z oczu.

Linc: Aktualizacja statusu?

Linc: Szpaner wzywa Doktor Marzenie.

Linc: Przynajmniej daj znać, czy doleciałaś do szpitala, czy rozbiłaś się gdzieś na pastwisku pełnym kóz.

Mack: Doleciałam. Pacjentka doznała uszkodzenia mózgu.

Linc: O kurwa.

Mack: Z ust mi to wyjąłeś.

Linc: A ty jak się czujesz? Mocno utykałaś.

Mack: Dobrze.

Linc: Przestań aż tyle gadać.

Mack: Nic poważnego. Właśnie mnie badają na ostrym dyżurze.

Linc: Napisz, kiedy wrócisz do domu.

Mack: Nie będę w towarzyskim nastroju.

Linc: Rozumiem. Chcę tylko wiedzieć, że dotarłaś bezpiecznie.

Mack: Już w domu.

Linc: Słodkich snów, Marzenie. Napisz, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

Rozdział 20.

Linc zapukał lekko w jasnoniebieskie drzwi domku. Ogon Iskierki obijał się w wyczekiwaniu o jego nogę. Było wcześnie. Przed siódmą rano. Ale wiedział, że już wstała.

Usłyszał powolne *stuk, stuk, stuk* zbliżające się po drugiej stronie drzwi i posłał do wizjera swój najbardziej czarujący uśmiech.

Drzwi się nie otworzyły.

— Otwórz, Marzenie. Wiem, że tam jesteś.

Cisza trwała jeszcze chwilę. Iskierka, zmęczona czekaniem na uwielbienie, skoczyła i oparła się przednimi łapami o boczne okienko, żeby zaanonsować swoje przybycie.

Linc zaliczył to na plus, gdy Mack otworzyła drzwi jego psu.

Na jej ładnej twarzy widniał grymas, a na lewej nodze but ortopedyczny.

— Nic poważnego, co? — zapytał.

Iskierka weszła radośnie do środka i zniknęła.

— Czego chcesz? — zapytała gderliwie Mack.

Na policzku miała porządnego siniaka po pięści tego chudego gnojka. Linc żałował, że nie zrobił mu znacznie więcej niż tylko wybicie jednego zęba. Spod rękawa bluzy wystawał bandaż. Wyobraził sobie, że ubranie skrywa dużo różnych siniaków i zadrapań.

— Przyszedłem dołączyć — powiedział, przeciskając się obok niej.

— Do czego?

— Do użalania się.

Uniósł torbę z zakupami.

— Wcale się nad sobą nie użalam — sprzeciwiła się.

Cały dom był urządzony w babcynym stylu. Kanapa, na której już rozgościła się Iskierka, była w spłowiałym jaskrawym kolorze i była obłożona wyszywanymi poduszkami. Regały w salonie były wypełnione tanimi powieściami i ceramicznymi figurkami. Telewizor był zdecydowanie za mały jak na taką przestrzeń, a szafka, na której stał, została pomalowana za pomocą szablonu w fiołki.

Założyłby się o pieniądze, że w kuchni stał słoik z ciasteczkami, a na górze przynajmniej na jednym meblu leżały koronkowe serwetki. Nic w tym pomieszczeniu nie odzwierciedlało charakteru seksownej, bohaterkiej lekarki, która tu zamieszkała.

— Jaki werdykt, pani doktor? — zapytał, przechodząc przez salon do miniaturowej kuchni. Położył na blacie torbę z pysznościami.

Usłyszał nierówny stukot podążający za nim do kuchni.

— Linc — wypowiedziała jego imię z takim westchnieniem, które od razu przywiodło mu na myśl różne łóżkowe fantazje. — Co robisz w moim domu?

Posadził ją na jednym z dwóch krzesel przy stole, który mógł ledwie pomieścić jeden talerz.

— Jestem po prostu miłym sąsiadem. Tak postępują mili ludzie w małych miasteczkach. — Kiedy nie poderwała się

do góry z krzesła, wiedział, że była zmęczona. — Słyszałem, że skończyły ci się zapasy.

Ponuro oparła brodę na dłoni.

— Złamanie awulsyjne. Kostka. Jestem oficjalnie uziemiona. Nie mogę latać z butem ortopedycznym.

Obolała, sfrustrowana i znudzona. Rozumiał to.

Wyciągnął z torby pudełko zielonej herbaty i nalał wodę do czajnika elektrycznego.

— Do bani — skwitował i włączył czajnik.

— Do bani to jest to, że tamta dziewczyna ma uszkodzony mózg — powiedziała, podminowana frustracją. — Nikt w tym wieku nie ma dobrego gustu w kwestii mężczyzn, a mimo to ona musiała za to zapłacić. Nie wiedzą, czy kiedykolwiek odzyska przytomność, nie mówiąc nawet o powrocie do normalnego życia. A *ja* wiem, że *oni* nie wiedzą, bo każdy w tym cholernym mieście wie wszystko.

Wstała i zaczęła kuśtykać po niedużej przestrzeni.

— A wszystko przez to, że jakiś głupi gnojek dokonał popieprzonych wyborów — powiedziała.

Bo on rozumiał, bo wiedział. Linc zahaczył palce o dekolt jej bluzy z kapturem i przyciągnął ją do siebie. Stała sztywno do czasu, aż jej nie objął. Miał wrażenie, jakby na małą chwilę dała sobie przyzwolenie na to, żeby się rozkleić.

— Przykro mi, że ona i ty musiałyście zapłacić za jego durnowate decyzje — powiedział. — I jestem naprawdę wściekły, że nie zrobiłem mu więcej.

— Wybiłeś mu ząb — przypomniała.

— To za mało jak na to, że ośmielił się tknąć moją ulubioną lekarzkę z pogotowia.

Westchnęła, przytulona do niego. Jej twarz wpasowała się dokładnie między jego szyję i pierś.

— Naprawdę dobrze przytulasz.

— To jedna z moich licznych umiejętności. Powinnaś zobaczyć, jak...

— Jeśli powiesz coś na temat swojego imponującego członka i zepsujesz tę chwilę, to dodam cię do listy rzeczy, na które jestem wściekła.

Zapisał alarm w czajniku.

— Chciałem powiedzieć, że powinnaś zobaczyć, jak parzę filiżankę herbaty. — Ścisnął ją jeszcze raz i pozwolił sobie na pocałunek w jej ciemne włosy.

— To nie oznacza, że będziemy uprawiać seks.

Zaprowadził ją z powrotem na krzesło.

— W tej konkretnej kwestii przyjmijmy postawę „pożyjemy, zobaczymy”.

W zielonych oczach Mack pojawił się błysk.

— Nie sądzisz, że mój sprzęt podiatryczny jest niesamowicie podniecający?

— Marzenie, w tobie wszystko jest niesamowicie podniecające. Nawet twoja źle ukierunkowana siła woli. — Odwrócił się znów do blatu kuchennego. Głównie po to, żeby skupić się na parzeniu herbaty. Ale częściowo dlatego, że widząc ją w takim stanie, bezbronną i smutną, miał ochotę wziąć ją w ramiona jak superbohater i naprawić cały jej cholerny świat.

A już wystarczająco przekroczył granicę.

— Ostatnia rzecz w programie uzalania się nad sobą — powiedziała. — Wkurza mnie, że jest mi siebie żal, kiedy

wiem, że *wkrótce* wrócę do normalnego życia. Tamta dziewczyna nie wróci, więc powinnam być wdzięczna.

Cholera. Czy w tej kobiecie nie było nic, czego by nie lubił?

— Przyjąłem do wiadomości — powiedział i postawił przed nią kubek.

Prychnęła.

— Co to, u licha, oznacza?

— To oznacza, że nie mam nic do dodania, ale cię słyszę.

Zakręciła torebką herbaty, przyglądając się mu w milczeniu.

Iskierka wyczuła potencjał ludzkiego zainteresowania i przydreptała do kuchni.

Przystanąła i usiadła wyczekująco przed Mack.

— Cześć — odezwała się lekarka do psa.

Suka uznała to za zaproszenie i położyła przednie łapy na kolanach kobiety.

— Masz — powiedział Linc i wyciągnął opakowanie psich smaczków.

— Co to jest? — zapytała Mack.

— To są s-m-a-c-z-k-i.

Iskierka zaczęła się trząść jak w delirium.

— Czy ona potrafi literować?

— Na to wygląda — ocenił.

— Czy dostała napadu padaczki?

— Nie. Po prostu bardzo lubi s-m-a-c-z-k-i. Możesz jej dać jeden i zyskać jej dozgonną miłość i uwielbienie. Teraz jeden. Resztę zostaw na później.

— Po co mi na później smaczki dla twojego psa? — zapytała podejrzliwie.

Zaczynała odzyskiwać grunt pod nogami, dała się złapać na trik z odwróceniem uwagi i odłożyć na bok uzalanie się nad sobą. Dokładnie tak jak chytrze zaplanował.

— Bo zostawiam ją pod twoją opieką — poinformował radośnie. Iskierka dorzuciła swoje dwa grosze i szczerką podekscytowana.

— To zemsta za twoich siostrzeńców, prawda?

Uniósł dłonie, wcielenie niewinności.

— Naprawdę wyświadczasz mi dużą przysługę. Dziś przypada woskowanie sprzętu, a ona wiecznie płacze się pod nogami i próbuje zeżreć wszystkie szmatki.

— Zmyślasz.

Tak było.

— Łamiesz mi serce, myśląc w ten sposób. Jestem zrozpaczony, Marzenie.

Jej usta zadrgały, a potem znów znieruchomiały.

— Linc. Nie mogę opiekować się twoim psem. Nie umiem zajmować się psem. — Mówiąc to, pogłaskała delikatnie Iskierkę po uszach.

— To proste — zapewnił. Włożył do lodówki mieszankę sałat i pierś z kurczaka. — Sama ci powie, czego chce, kiedy będzie tego chciała.

— Nie znam psiego języka.

Iskierka szturchnęła nosem torebkę smaczków, przypominając Mackenzie o ich istnieniu. Posłusznie wyciągnęła z woreczka przysmak i ostrożnie podała go psu. Trzęsąc się, suka zręcznie chwyciła smaczek. Zabezpieczywszy swój skarb, pobiegła do salonu, rzuciła się

na kanapę, okręciła trzy razy i padła z zadowolonym westchnieniem.

Mack roześmiała się mimowolnie.

— Nauczysz się — powiedział.

— Czy to masa na ciasteczka? — zapytała, patrząc, jak Linc chowa paczkę do lodówki.

— Owsiane z rodzynkami i czekoladą. Nie byłem pewny, jakiego rodzaju ciasteczek jesteś wielbicielką, ale ja mam słabość do owsianych z rodzynkami. Pomyślałem, że możesz zrobić nam deser, skoro ja szykuję dziś kolację.

— To strasznie bezczelne — zauważyła.

— Choć tyle mogę zrobić, skoro zajmujesz się dziś moją dziewczynką.

Po schowaniu zakupów wysunął drugie krzesło przy stoliku jak dla lalek i usiadł.

Wyciągnął rękę i złapał ją pod brodę, a potem ustawił jej twarz tak, żeby lepiej widzieć siniaki.

— Przepraszam, że nie byłem szybszy — powiedział.

— Chronienie mnie nie należy do twoich zadań — przypomniała mu.

— Wydaje mi się, że jeśli podzielimy się odpowiedzialnością, pójdzie nam lepiej. — Uwięził jej kolana między swoimi dłońmi.

Westchnęła.

— Nie dam dziś sobie rady z takimi naciskami, Szpanerze.

— Bo jesteś sfrustrowana, bezbronna i wkurzona, że jakiś dureń podjął gówniane decyzje, które doprowadziły do rzeczy, które nigdy nie powinny się wydarzyć. Tamta dziewczyna powinna iść dziś do pracy, a nie oddychać przez rurkę. Ty nie powinnaś utknąć w bucie ortopedycznym,

dysponując nagle czasem na pilnowanie psa. Jego matka straci syna, który trafi za kratki dlatego, że nie umiał być odpowiedzialny sam za siebie. A wszystkiemu dało się zapobiec.

Uszło z niej napięcie.

— Jak ty sobie z tym radzisz? — zapytała.

— Nie radzę. Ale nie zapomnę też o tym, co dobre. — Sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął kartkę. — Dlatego robimy to, co robimy.

Wzięła od niego kartkę i otworzyła ją.

— Zaproszenie na ślub? — Jej twarz złagodniała, gdy przeczytała to, co było napisane w środku. — Poprowadzisz pannę młodą do ołtarza?

Wziął od niej zaproszenie i schował je z powrotem do kieszeni. Jego własny skarb, jak sądził.

— To była pierwsza uratowana przeze mnie osoba. Byłem żółtodziobem, świeżo po szkole. Pożar w domu w Wigilię. Dziewczynka miała dziesięć lat i została uwięziona na drugim piętrze z wielgachnym domowym kotem, którego uratowała.

Wziął do ręki kubek Mack i spróbował jej herbaty. Skrzywił się i przesunął go z powrotem w jej stronę.

— Jej rodzice i brat byli już na zewnątrz. Jej mama błagała nas, żebyśmy ją odszukali. Nie byliśmy pewni, czy zdążymy na czas. To był duży dom. Jej brat powiedział nam, żeby poszukać na górze w pokoju telewizyjnym.

Wciąż to pamiętał. Widok tej twarzy w kącie, chude ręce zaplecione wokół wkurzonego kota. Nie był pewny, kto kogo chronił.

— Najpierw kazała mi zanieść do okna kota — wspominał Linc. — Nie podeszła do mnie, dopóki zwierzak nie był

bezpieczny.

Pamiętał wszystko. Ciężkiego, miauczącego kocura na rękach, gdy podawał go przez okno drugiemu strażakowi na drabinie.

Dom w środku stał w płomieniach, a mimo to lampki świąteczne rozwieszane wzdłuż rynny dalej się świeciły. Mimo grudniowych temperatur było gorąco jak w piekle. „No dobra, chodźmy” powiedziała mu, kaszląc, ale uśmiechając się jednocześnie, gdy wrócił po nią, skuloną na podłodze.

— Przez wszystkie te lata utrzymywałem z nią kontakt, z jej rodziną. Nie zapomina się tej pierwszej osoby — powiedział, wzruszając ramionami. — Kilka lat temu zmarł jej tata.

— A ona poprosiła, żebyś to ty poprowadził ją do ołtarza — domyśliła się Mack.

— Tak. Przydałaby mi się osoba towarzysząca.

— Cholera, Linc!

Wyszczrzył się w uśmiechu.

— Naprawdę jesteś beznadziejny.

— Moglibyśmy zostać miejscową parą.

— Choć brzmi kusząco, to wiesz, że nie szukam związku ani jeszcze większego zainteresowania moją osobą w tym miasteczku.

— A skoro o tym mowa, będziesz miała dziś gości.

— To znaczy jakichś innych poza czworonożnymi?

— Takich, którzy przynoszą zapiekanki. Takich, którzy wpadną „tylko się upewnić, że nic ci nie jest”.

Ta myśl wyraźnie ją przeraziła.

— Dlaczego?

— Bo osłoniłaś własnym ciałem pacjentkę przed kryminalistą i zostałam na skutek tego poturbowana. Bo jesteś bohaterką, doktoro.

Złapała go za rękę, a on bardzo się starał nie myśleć o tym, jak przyjemny był ten fizyczny kontakt.

— Nie ja jedna odniosłam obrażenia — zauważyła, oglądając jego posiniaczone i poranione kłykcie.

— Nikt nie będzie podnosił ręki na moją dziewczynę.

Posłała mu *to* spojrzenie, ale tym razem się z nim nie sprzeczała.

Postęp. Z trudem wywalczony postęp.

— Posłuchaj — powiedział, podnosząc się z miejsca. — Muszę iść. O siódmej jest zmiana warty. Napisz mi, jeśli będziesz czegoś potrzebować. Wrócę na czas, żeby zrobić ci kolację i zabrać Iskierkę. — Cmoknął ją w czubek głowy. Podobało mu się, że przychodziło mu to z taką naturalnością.

— Mogłeś mnie po prostu spytać! — zawołała za nim.

— Nie zgodziłabyś się — odpowiedział. — Bądź grzeczna u pani doktor, Iskierko.

Rozdział 21.

— Co? Czego chcesz? — Mack zapytała Iskierkę, wypakowując na stół jadalniany zawartość torby przygotowanej dla psiej opiekunki. Smaczki. Psia karma. Miski na wodę i jedzenie. Smycz i coś w rodzaju uprzęży, która wyglądała tak, jakby miała pasować na małego konia. I liścik. Zawierający według niej – nawet jeśli była w zrzędlwym, żalonym nastroju – całkiem zabawne rysuneczki.

Pies przysuwał się coraz bliżej i bliżej, aż przywarł do jej nogi i zaskomlał z nadzieją.

— Jesteś głodna? Bo według liściku od twojego taty już jadłaś śniadanie, a kolację masz dostać dopiero o siódmej. — Pokazała Iskierce kartkę, a suka natychmiast odgryzła jej kawałek. — Ej! Chyba nie powinnaś tego jeść. Wypluj to.

Iskierka połknęła papier, a potem zacharczała i wykrztusiła na niebieski pleciony dywanik tuż obok buta ortopedycznego Mack coś, co zasadniczo było papierową kulką.

— Grzeczna dziewczynka — pochwaliła sucho Mack.

Ogon suki omiótł podłogę w rytmie przedniej wycieraczki.

Mack przeczytała ostatni punkt w notce od Linca.

Lubi jeść papier. Nie pozwalaj jej.

Iskierka znów się do niej przysunęła.

— Musisz iść do łazienki? — To pewnie nie było po psiemu. — Musisz zrobić siusiu na dworze?

Iskierka spojrzała na nią z uwielbieniem.

— Nie mogę cię zabrać na... zaraz. — Przebiegła wzrokiem po liściku. *Zgadza się. „Spacer” to było kolejne słowo, które należało zawsze literować. — S-P-A-C-E-R.* Być może nie zauważyłaś, ale mam złamaną kostkę. Nie sprzyja to spacerowaniu...

Suka zaszczekała radośnie i zatańczyła na tylnych nogach. *O cholera. Zrobiła to. Rozemocjonowała puchatego, uroczego psa.*

Mack nie miała serca sprawiać mu rozczarowania. Poza tym od siedzenia w domu już dostawała świra.

— No dobrze. Ale wyjdziemy na bardzo krótko i będziemy szły bardzo powoli. Rozumiesz? — Iskierka była zbyt zajęta kręceniem się w kółko po kuchni jak najbardziej niezdarna, najbardziej podeksycytowana balerina świata.

Kostka zaprotestowała pulsującym bólem, ale Mack zdołała zejść, kuśtykając po schodkach, na chodnik, podczas gdy Iskierka brykała radośnie, zapięta na jaskraworóżowej smyczy. Dzień był piękny, co tylko pogorszyło zły nastrój Mack. Powinna być dzisiaj w powietrzu. Mogłaby iść pobiegać. Mogłaby skosić ten cholerny trawnik, który znów się tego domagał. A na frontowej rabacie rosły chwasty, których nie było tam ostatnio, gdy miała wolne.

— Jak sobie radzisz z pracami ogrodowymi? — zapytała psa. Ale Iskierka była akurat pochłonięta sikaniem w wysokiej trawie.

Zrobiły połowę małego kółka. Mack utykała, a Iskierka szła wolnym krokiem. Przyjemnie miękka, krągła kobieta w różowo-fioletowej luźnej sukience, która jakimś cudem wyglądała stylowo, zawołała do nich ze swojego ganku.

— Halo, halo! Czy to mała panna Iskierka?

Suka wysunęła pysk ponad sięgającym uda płotem i zamachała z podekscytowaniem ogonem. Tego psa cieszyło dosłownie wszystko. Wszystko było dla niego przygodą.

— Zgadza się — potwierdziła Mack.

Kobieta podniosła się z bujanego fotela i zeszła pospiesznie z ganku.

— A pani jest tą lekarką, która została wczoraj poturbowana przez tego idiotę. Słyszałam, że zmieszał sól kąpielową i alkohol. On zawsze był kompletnym zerem. Podobno jego matka odmówiła wpłacenia kaucji, więc chłopak jeszcze długo będzie gnął w więzieniu.

Kobieta była bardzo dobrze poinformowana.

Podeszła do płotu i wyciągnęła z ukrytej w sukience kieszonki psi smaczek.

— Kto jest najfajniejszą dziewczynką na świecie? — zapytała.

Iskierka klapnęła zadkiem na chodnik, a reszta jej ciała zadrżała z rozkoszy.

Mack zastanawiała się, kiedy sama była aż tak szczęśliwa. Całkiem możliwe, że nigdy.

— Masz, malutka. — Miła pani podała psu smaczek, a Iskierka wzięła go z zaskakującą gracją. — Jestem Valerie Washington. A pani jest doktor Mack. — Ubierała się i wypowiadała tak, jakby dobiegała osiemdziesiątki, ale na jej promiennej, mahoniowej twarzy nie dało się zauważyć ani jednej zmarszczki.

— To ja — potwierdziła. — Zajmuję się dziś psem komendanta Reeda.

— Bardzo sprytne posunięcie z jego strony — stwierdziła pani Washington. — Jeśli samym swoim urokiem osobistym nie jest w stanie przekonać kobiety do tego, żeby się z nim

umówiła, to sprawi, że zakocha się w naszej Iskierce. Zajdę do pani dziś popołudniu i przyniosę świeżo upieczone ciasteczka i składniki na Toma Collinsa, bo, skarbie, jeśli ktoś zasługuje na drinka, to właśnie pani. Muszę iść na trening ze sztangami, ale widzimy się później.

— Do widzenia? Dziękuję? — Mack uniosła w pożegnalnym geście rękę, podczas gdy pani Washington wróciła tanecznym krokiem do domu.

— Czy tobie wszyscy dają zawsze to, czego chcesz? — zapytała psa. Iskierka rzuciła jej zadowolone z siebie spojrzenie.

Ruszyły w żmudną drogę powrotną do domu Mack. Jej kostka, stopa i łydka złorzeczyły na nią na całego. Biodra, plecy i ramiona też przypominały, że zleciała głową w dół zbocza.

Była tak zdekoncentrowana, że omal nie potknęła się o kapitana Brody'ego Lighthorse'a, który klęczał na rabacie biegnącej wzdłuż ścieżki prowadzącej do jej domu.

— Co u...

Iskierka wpadła w istny szal.

— Cześć, Iskra, maleńka! — Brody ściągnął rękawice i potar mosił psa po całym ciele.

Na trawniku roilo się od strażaków. Jakaś młoda kobieta, najprawdopodobniej żółtodziób, energicznie kosiła trawę ręczną kosiarką. Starszy, krągły mężczyzna stał na drabinie i mył okna na piętrze.

Dwie kolejne osoby plewiły rabaty kwiatowe od frontu, a jeszcze inna oliwiła zawiasy w drzwiach, które piszczały jak upiór za każdym razem, gdy je otwierała.

Ktoś przyniósł ze sobą głośnik bezprzewodowy, z którego leciał na cały regulator pop z lat osiemdziesiątych. Wszyscy

bujali się w rytm muzyki z taneczną wprawą na bardzo zróżnicowanym poziomie.

— Co tu się dzieje? — zapytała Mack.

Brody wstał. Jego ogolona głowa lśniła w porannym słońcu. Na obu przedramionach widniały tatuaże, misterne plemienne wzory. Jego zęby oślepiały bielą na tle miedzianej skóry.

— SPB — Straż Pożarna w Benevolence, znana też jako Super Pomocni Bohaterowie — pomyślała, że wspomże siostrę w niedoli. Przykro nam, że przez jakiś czas zostałaś wyłączona z akcji. Do dupy.

To było do dupy.

— Dzięki. Ale nie musicie tego robić.

Brody wzruszył ramionami i znów sięgnął po rękawice.

— Tu nie ma żadnego przymusu. Zasłoniłaś własnym ciałem pacjentkę przed jakimś gnojem. Jesteś dobrym człowiekiem. Poza tym nie ma mowy, żebyś w najbliższym czasie mogła sama skosić trawnik.

Nie mylił się.

Mimo to wolałaby uważać się nad sobą w samotności. A teraz miała psa, który obwąchiwał tyłek strażaka z koślawymi wąsami i podwórko wypełnione połową miejscowej załogi strażackiej.

— Dzięki — powtórzyła. A potem przypomniła sobie o dobrych manierach. — Chcecie coś do picia? — Mogła im podać wodę z kranu. Albo mrożoną zieloną herbatę.

— Nie. Przynieśliśmy własną lodówkę turystyczną. Teraz chcemy tylko, żebyś poszła do domu, położyła się z uniesioną nogą i dała się obsługiwać.

— Nie potrzebuję obsługi zastępu strażaków — upierała się.

— My jesteśmy od prac ogrodowych i konserwatorskich. Obsługa kelnerska zjawi się później. Radzę się zdrzemnąć, żeby przygotować się psychicznie, albo przynajmniej już teraz zacząć pić.

Pomyślała o drinku, którego obiecała jej pani Washington.

— Ja nie robię sobie drzemek — odpowiedziała Mack.

Brody uśmiechnął się szeroko.

— Jak wolisz.

Odwróciła się w stronę domu, ale zaraz znów przystanęła.

— Jestem niegrzeczna. Jestem zmęczona. Wszystko mnie boli. I użalam się nad sobą. Przepraszam, że zachowuję się jak świnia — powiedziała.

— Masz do tego pełne prawo. Możesz się czuć, jak tylko zechcesz. Po prostu uznaj nas za elfy świętego mikołaja. Niedługo znikniemy ci z oczu.

— Dziękuję za wszystko — powiedziała. — Naprawdę.

— Moja żona z córkami upiekły chlebek cynamonowy. Jest na stole.

Mack zatrzymała się jeszcze, żeby zamienić parę słów ze Skyler Robinson, nowo upieczoną strażaczką i córką doktora Russella Robinsona. A potem zachwyciła się na głos lśniącymi oknami i niepiszczącymi drzwiami frontowymi, po czym w końcu pokuśtykała do środka.

Usiadła na kanapie. Iskierka, przywitawszy się ze wszystkimi swoimi przyjaciółmi, wdrapała się obok niej na sofę. Może drzemka nie była aż takim beznadziejnym pomysłem?

To była jej ostatnia myśl przed tym, zanim obudził ją dzwonek do drzwi. Iskierka zeskoczyła z kanapy i rzuciła się do wejścia, ujadając entuzjastycznie.

— Zaciekły pies obronny, co? — Mack powlokła obolałe ciało do drzwi i otworzyła je.

Dwie kobiety, swoje wierne kopie, uśmiechały się do niej szeroko. Ładne blondynki z dołeczkami na brodach. Były uderzająco podobne do...

— Cześć! Jestem Christa. A to Jillian. Jesteśmy siostrami Linca.

O-o.

Iskierka przywitała je i łaskawie przyjęła ich pieśczoty i komplementy.

— Cześć, jestem Głiffin. — Bardzo drobne dziecko o azjatyckich rysach wsunęło głowę między obie kobiety. Brakowało mu przedniego zęba. — To mój brat Mikey. Nie powinno go tu być, bo zwykle jest w szkole. Ale mama powiedziała, że nie możemy go zostawić samego w domu.

Mickey był o kilka lat starszy od Griffina — no chyba że tamten naprawdę miał na imię Głiffin. Był to mały osilek latynoskiego pochodzenia z gęstymi kręconymi włosami, samoprzylepnym tatuażem na chudym bicepsie, brązowymi oczami, które wyglądały tak, jakby były w stanie zaczarować każdego we wszystko. Tylko że dzisiaj były potwornie zaczerwienione.

Chłopiec kichnął trzy razy pod rząd.

— To alergia. Przysięgam. Nic zaraźliwego — powiedziała Christa, ta trochę wyższa z przybyłych kobiet. — Zobaczmy, gdzie mogę się z tym rozstawić. — Poklepała duży składany stół oparty o jej nogę.

— Co tu się dzieje? — chciała wiedzieć Mack i cofnęła się, gdy cała gromada weszła do domu.

— Chris jest kręgarką. Słyszałyśmy, że zaliczyłaś niezły upadek, więc pewnie jesteś dość mocno poobijana —

wyjaśniła Jillian, rozglądając się po salonie. — Ja natomiast nie mam żadnych wyjątkowych umiejętności. Więc podczas gdy ona będzie doprowadzać cię do porządku, ja przygotuję lunch i zajmę się wszystkim, co wymaga zrobienia. Pranie? Pranie to moja specjalność. I dopytam się też ciebie, co zrobić z tym małym kichaczem. Jego alergia sezonowa pogarsza mu się z roku na rok.

Mack otworzyła usta, ale nikt jej nie słuchał. Christa rozstawiła łóżko na środku salonu, fikuśny mebel do chiropraktyki.

— Torba, siostrzeńcu — zaordynowała, przywołując Griffina strzelaniem palcami.

Dziecko dźwignęło ze stękaniem torbę i wręczyło ciotce.

— Dobra robota. A teraz włącz telewizor doktor Mack i poszukaj dla brata pudełka chusteczek.

Jak na zawołanie Mickey otarł nos grzbietem dłoni.

— Wskakuj, doktor Mack. Możesz mi opowiedzieć, jakie masz zamiary względem mojego brata, podczas gdy ja sprawdzę, czym musimy się zająć.

Mack była wciąż półprzytomna po drzemce. Na skutek bólu niezbyt trzeźwo myślała. Chciała się sprzeciwić, ale zaraz potem się poddała. Położyła się twarzą w dół na stole i modliła, żeby wszystko jak najszybciej się skończyło i żeby wszyscy sobie stąd poszli.

— Uf — odezwała się Christa. — Bałam się, że możesz być jednym z tych lekarzy, którzy nazywają kręgarzy szarlatanami.

Mack roześmiała się słabo.

— Nie mówię, że nie jestem. Ale w tym momencie nie mogę się czuć gorzej. Więc możesz sobie poużywać.

Słyszała, że Jillian myje naczynia w kuchni. Słyszała, że dzieci sprzeczą się o to, co oglądać. Słyszała stukanie pazurów Iskierki na drewnianej posadzce.

Dłonie Christy przycisnęły odcinek lędźwiowy jej kręgosłupa i Mack jęknęła.

— Mój brat jest chyba w tobie zadurzony — powiedziała, przesuając metodycznie dłonie po plecach i biodrach Mack.

— Zadurzony? — zawołała Jillian z kuchni. — Czy to nowa technika prowadzenia przesłuchań? Gadanie jak stara babcia?

— Zamknij się, Jillybean.

— Mamo! Ciocia Chris powiedziała „zamknij się” — wrzasnął Griffin.

— Słyszałam. Niegrzeczna ciocia Chris!

— Wracając do przesłuchania — odezwała się z naciskiem Christa. — Głęboki wdech.

Mack ledwie zdążyła wciągnąć powietrze, gdy siostra Linca przycisnęła jej kości biodrowe mocno do stołu.

Poczuła opór i była przekonana, że złamie się na pół, ale nagle odetchnęła z ogromną ulgą, gdy coś słyszalnie się odblokowało.

— Lepiej?

— Tak — jęknęła Mack. — Dużo lepiej.

— To dobrze. — Christa przesuwała się w górę kręgosłupa. — Bo wiesz, Linc jest jedyny w swoim rodzaju. Ma reputację.

— Nie przeszkadza mi reputacja — przyznała Mack. — Po prostu nie szukam teraz... — Trzask. — ...niczego — wysapała.

— To, że niczego nie szukasz, wcale nie znaczy, że nie możesz czegoś znaleźć — stwierdziła wesoło Christa.

— To prawda — wtrąciła się Jillian, zaglądając do pokoju. — Wcale nie szukałam Vijaya, gdy dziesięć lat temu trafiłam do baru karaoke, a teraz spójrz na nas. Trzech chłopaków, akwarium pełne złotych rybek i zero czasu dla siebie.

To nie brzmiało jak życie dla Mack. To brzmiało jak kilkanaście katastrof, które codziennie tylko czekają, żeby się wydarzyć.

— Co wcale nie oznacza, że musiałybyś pójść tą samą drogą z Linkiem — powiedziała Christa, ugniatając kciukami miejsce pomiędzy łopatkami Mack.

— Ehe — jęknęła Mack.

— To fantastyczny facet. Możesz nam zaufać. Znamy go od urodzenia — powiedziała z przekonaniem Jillian. — Wydaje mi się, że bylibyście ze sobą bardzo szczęśliwi.

— Nie wydaje mi się, żeby jeden pocałunek oznaczał od razu wspólną przyszłość — wycedziła Mack przez zęby.

— Oooch! Pocałunek! Opowiedz coś więcej — pisnęła Christa.

Chłopcy w odruchu biernego oporu podgłośnili telewizor.

— Ściszcie! — krzyknęła Jillian. — Chcę się dowiedzieć czegoś o tym pocałunku!

Mack grzecznie odmówiła zdradzenia jakichkolwiek pikantnych szczegółów. Ale zaczęła się zastanawiać, dlaczego skończyło się na tym jednym pocałunku. Nie pocałował jej dziś rano, zanim porzucił ją ze swoim psem.

— Warto było spróbować — stwierdziła Christa, rozmasowując wszystkie spięte miejsca na plecach Mack.

Po masażu i lunchu złożonym z zupy z kurczakiem i kukurydzą oraz połowy kanapki z indykiem przygotowanych

przez Jillian, Mack poczuła się znów prawie jak człowiek. A przynajmniej na tyle, żeby szybko zbadać pociągającego nosem Mikeya.

— Jest już na tyle duży, że można by się zastanowić nad zastrzykami odczulającymi — powiedziała do Jillian.

— Zastrzykami? — Zaczerwienione brązowe oczy Mikeya zrobiły się wielkie.

— Boisz się igieł? — zapytała Mack.

Wzruszył kościstymi ramionami. Wcielenie ośmioletniej nonszalancji.

— To nic takiego.

— Gdyby jednak cię niepokoiły — ciągnęła — to mogę zdradzić ci trik, żeby aż tak bardzo się nie bać.

— Jaki trik?

Uszczypnęła go lekko w rękę.

— Poczujesz?

— Auć. Tak.

— Dobra. To tym razem zrób głęboki wdech.

Chłopiec wciągnął sceptycznie powietrze.

— Dobrze. A teraz wstrzymaj przez sekundę oddech. A potem zrób gwałtowny wydech.

Gdy dzieciak wydmuchiwał z przesadą powietrze, znów go uszczypnęła.

— Ej! Tym razem aż tak nie bolało — stwierdził.

— Na tym właśnie polega cały trik. Trzeba zrobić porządny wydech, to ciało skupi się bardziej na oddychaniu niż na małym ukłuciu.

— Doktor Mack, teraz mnie uszczypnij — zaczął dopominać się Griffin. Sprawilo jej to sporą przyjemność.

Pół godziny później Mack z wdzięcznością pożegnała siostry Linca. Miała poskładane pranie, wysprzątaną na błysk kuchnię i wyprowadzoną na siusiu Iskierkę. Nie zdążyła jeszcze wrócić na kanapę, gdy znów rozległo się pukanie do drzwi.

Na schodkach stali uśmiechnięci Aldo i Gloria.

— Cześć, koleżanko! Jak leci?

— Nie powinniście być teraz w pracy? — spytała ze znużeniem Mack.

— Postanowiliśmy odpuścić nasze cotygodniowe popołudniowe uciechy i zamiast tego wpaść do ciebie i sprawdzić, jak się czujesz — powiedział Aldo.

Gloria szturchnęła go łokciem.

— Nie każdy musi znać szczegóły naszego pożycia seksualnego, Moretta.

— Wspaniale! Jest impreza! — zawołała pani Washington, wlokąc ze sobą torbę z zakupami.

Ledwie wybiła pierwsza, a to już był najdłuższy dzień w życiu Mack.

Rozdział 22.

Linc po raz ostatni rzucił pobieżnie okiem na raport, a potem go przesłał.

To, jakim cudem jakiś prostak zdołał wcisnąć duży paluch do kranu w motelowej wannie, stanowiło jedną z nieodgadnionych tajemnic życia.

Zerknąwszy na zegarek, stwierdził, że mógłby wcisnąć jeszcze jedną godzinę roboty papierkowej przed wyjściem do domu. Albo mógł skrócić ten czas do pół godziny, a resztę wykorzystać na spotkanie z załogą na dole.

Drugi pomysł był dużo lepszy. Wyciągnął kalendarz jednostki, żeby przypomnieć sobie prace konserwatorskie i szkolenia przewidziane na resztę miesiąca.

Brody wszedł bez pukania i klapnął na wąskiej, twardej jak skała kanapie, która stała pod ścianą.

— Cysterna jest na rezerwie. Chcesz się przejechać na tankowanie?

— Jasne, że tak — odparł Linc, z wdzięcznością odsuwając się od komputera.

Zszedł za kapitanem na dół do garażu. Dzięki kilku spokojniejszym dniom miejsce było nieskazitelnie czyste. W tym tygodniu ćwiczyli ostro wejście przy użyciu siły i skoordynowany atak, a potem uszczelnili betonową posadzkę. Wszystkie urządzenia lśniły świeżą warstwą wosku.

Powietrze niemal namacalnie iskrzyło. To strażacy dostawali fioła z braku roboty. Jasne, przychodziły zwykłe wezwania. Fałszywy alarm w szkole średniej — dwukrotnie,

kilkukrotne asystowanie pogotowiu ratunkowemu, sławne już śledztwo w sprawie smrodu na Pine Avenue, który okazał się być wynikiem niesprawnej wentylacji w łazience i całego mnóstwa taco. No i była też fretka na drzewie, która wymagała pomocy. Do przewidzenia w takiej małej miejscinie.

Ale jak wskazywało doświadczenie, im dłużej jednostka nie była wzywana do dużej akcji, tym dziwniejsza stawała się załoga. Linc stwierdził, że proces już się zaczął, bo zauważył grupkę ochotników siedzącą wokół dziecięcego dmuchanego baseniku, usiłującą trafić ćwierćdolarówką do pływających w nim plastikowych kubków. Mężczyźni biorący udział w zawodach prezentowali na twarzy różne stadia zarostu. Kobiety — nie stał na tyle blisko, żeby móc to powiedzieć na pewno — w geście solidarności zobowiązały się w większości do tego, że zrezygnują z golenia nóg.

Dziwna i wspaniała wspólnota jednostki strażackiej.

— Hej, kapitanie! — Al, ochotnik z piętnastoletnim stażem i kierowca wozu strażackiego, pomachał do niego.

— Co zrobiłeś z wąsami, Al? — zapytał Linc. Mężczyzna pogładził się po tym, co stanowiło już tylko połowę rzadkich wąsów.

— Przegrałem zakład. Musiałem zgolić połowę. — Wyszczrzył się w uśmiechu. Wygrywanie i przegrywanie zakładów było sposobem na życie w Straży Pożarnej w Benevolence. Od czasu awansu na komendanta Linc unikał udziału w zakładach. Choć doskonale pamiętał ostatni, który przegrał. Musiał zafarbować włosy na niebiesko i mówić na siebie Papa Smerf.

— A co na to Rocco? — Dwa lata temu Al poślubił swojego wieloletniego partnera podczas ceremonii, w której wziął udział cały zastęp straży pożarnej. Szczęśliwi nowożeńcy

zostali przewiezieni z wesela na tyle wozu strażackiego w zaimprovizowanej naprędcie paradzie po Benevolence. Linc był przygotowany na gromy z rady miejskiej i zamierzał pokryć koszty paliwa z własnej kieszeni, ale tymczasem okazało się, że sam burmistrz zjawił się z prezentem ślubnym i gratulacjami dla szczęśliwej pary.

— Rocco zagroził, że zgoli mi drugą połowę, jeśli do czasu piętnastych urodzin jego siostrzenicy wąsy nie będą wyglądać lepiej. Wydaje mi się, że już sama taka motywacja sprawi, że szybciej mi odrosną — stwierdził optymistycznie Al.

Linc wspiał się na miejsce od strony pasażera w kanciastej cysternie. Brody wyprowadził kolosa z zatoki i wyjechał powoli na drogę, biorąc szeroki zakręt. Dziewięć tysięcy litrów wody chlupotało za nimi w zbiorniku, gotowe do zrobienia z nich dobrego użytku.

— Twoja doktorka nie przywykła do tego, że ludzie są dla niej mili — stwierdził Brody bez zbędnych wstępów.

— Wiem coś o tym — powiedział Linc, nasuwając okulary przeciwsłoneczne.

— Siłą rzeczy zastanawiam się, co się za tym kryje — powiedział w zamyśleniu Brody. — Mówiła ci kiedyś, skąd ma tę bliznę?

Linc pokręcił głową i zerknął na kumpla.

— Myślisz, że te dwie rzeczy mają ze sobą jakiś związek?

— Mam takie przeczucie — powiedział Brody i poklepał się ręką na wysokości serca.

Linc też je miał.

— Niespecjalnie chce mówić o tym, skąd pochodzi.

— Mógłbyś spytać — zasugerował Brody. — Skoro i tak tańczycie wolnego w Remo i w ogóle.

Linc uśmiechnął się pod nosem. Jego przyjaciel wiedział, w którym momencie najlepiej wystąpić z dobrą plotką.

— Mógłbym. Ale to wcale nie oznacza, że uzyskam odpowiedź. — Poszedłby o to o zakład.

— Silny, milczący typ — westchnął kumpel. Zwolnił cysterne za rogiem i pomachał grupce dzieciaków, które wróciły ze szkoły i bardzo chciały pobawić się w ogródku przed domem.

— Zgadza się.

— Mógłbyś ją sprawdzić. Zrobić rozeznanie.

— I zepsuć całą przyjemność poznawania się? — Linc z przykrością musiał przyznać, że to samo przyszło mu już do głowy. Ale odrzucił pomysł, gdy wyobraził sobie jej słuszną wściekłość w reakcji na naruszenie jej prywatności.

Lepiej być cierpliwym. Żeby zdobyć jej zaufanie.

— Nie słyszałem, żebyś ostatnio chadzał na wieczory dla singli — zauważył Brody, biorąc szeroki zakręt na stację benzynową. Zatrąbił.

— Nie byłem ostatnio zainteresowany.

Brody uśmiechnął się szeroko.

— Najwyższa, kurna, pora. Choć panią doktor trzeba będzie chyba trochę przekonać.

— Mam dar przekonywania — powiedział niezrażony Linc.

— Kochanie, wróciłem! — zawołał Linc zza nieskrzypiących już siatkowych drzwi w domu Mack. Zapadł wieczór, który można było uznać za jesienny. Powietrze było chłodniejsze, wręcz rześkie. Wszystkie okna w domku były otwarte na oścież i zapraszały do środka wieczorną bryzę.

Iskierka zrobiła radosne okrażenie wokół salonu i dopiero potem rzuciła się do drzwi.

— Nie traktuj tego zbyt poważnie — powiedziała Mack. Utykając, podeszła, żeby otworzyć mu drzwi. — Zrobiła to samo, gdy wyszłam z łazienki.

— Jak się miewa moja śliczna dziewczynka? — zapytał, tarmosząc jedną ręką sierść psa.

— Miałabym się lepiej, gdyby ciągle ktoś nie przychodził do mojego domu — odpowiedziała Mack, a jej usta zadrżały.

— Długi dzień pełen interakcji społecznych? — zapytał, zauważając, że mimo narzekania wydawała się być w lepszym nastroju niż rano.

Skinęła kciukiem za ramię na stolik kawowy, na którym leżały trzy torebki prezentowe i kosz z owocami.

— Nawet nie masz pojęcia.

— Dorastałem tutaj — odpowiedział. — Potrafię to sobie wyobrazić.

— Ktoś mógłby pomyśleć, że wyleczyłam raka z jedną ręką przywiązaną do pleców — powiedziała, usuwając się mu z utykaniem z drogi, gdy wszedł do środka. — Robiłam tylko to, co do mnie należy.

— I ludzie są za to wdzięczni, Marzenie. Ja też. — Wyciągnął teatralnym gestem zza pleców bujny bukiet polnych kwiatów.

Kobieta westchnęła, po czym poznał, że trafił w jej słaby punkt. W Mackenzie O’Neil nie było nic, co sugerowałoby delikatność i romantyzm. Ale lubiła kwiaty.

— Przez ciebie nasi sąsiedzi nabiorą mylnych przekonań — poskarżyła się.

— Mam nadzieję, że ty nabierzesz właściwych. Poza tym pomyślałem, że kwiaty, które dostałaś pierwszego dnia

pracy, musiały się już zamienić w potpourri.

Mackenzie przewróciła oczami, ale zanurzyła twarz w kwiatach.

— To jednocześnie wzruszające i zupełnie niepotrzebne. Tak samo jak przysłanie tu zastępu straży pożarnej, żeby zajął się moim ogródkiem.

— Nie ma za co — powiedział z przebiegłym uśmiechem.

— Dziękuję — odrzekła sucho.

Linc wciągnął nosem powietrze.

— Ktoś się bawił w Betty Crocker.

— W Betty Crocker i Betty Ford — powiedziała i skinęła głową w kierunku dzbanka na drewnianym blacie. — Tom Collins dzięki uprzejmości pani Washington.

— Niech Bóg błogosławi małe miasteczka — stwierdził z namaszczeniem Linc. — Może nalejesz dwa kieliszki tego Toma Collinsa i usadzisz swój zadek na tarasie, a ja w tym czasie odpalę grilla? Porozmawiamy o tym, jak nam minął dzień, jak stare, dobre małżeństwo.

— Jesteś beznadziejny, Reed. Naprawdę beznadziejny.

Ale tak właśnie zrobili. Linc wstawił kwiaty do wody i przyniósł poduszki z kanapy, żeby położyć nogę Mack wyżej na krześle. I podczas gdy on grillował zamarynowaną pierś z kurczaka, a Iskierka bawiła się w ogrodzie, próbując łapać owady, wymienili się opowieściami o minionym dniu.

— Siedmiu strażaków, Christa i Jillian — twoje siostry wypytywały mnie o to, czy się spotykamy — Gloria i Aldo z ciastem, które możemy zjeść razem z ciasteczkami. Pani Washington z dostawą alkoholu, za którą jestem jej bardzo wdzięczna. Harper i Sophie przyniosły lody do ciasta. Moja nowa znajoma Ellen wpadła z koszem owoców w ramach dbania o zdrowie i z kilkoma płytami, żeby zapewnić mi

rozrywkę. A w czasie przerwy obiadowej pojawili się Tuesday, Freida i Russell, żeby mi przekazać, że jutro też mam wolne. — Odliczyła ich wszystkich na palcach i starała się przy tym zrobić poirytowaną minę.

Ale widział, że była wzruszona. Poirytowana, jasne. Ale również wzruszona.

Uraczyli się wielką porcją sałatki z idealnie zgrillowanym kurczakiem i drugą szklaneczką Toma Collinsa dla każdego... bo czemu nie?

— Co to za ciasto? — zapytał Linc. Gloria Moretta cieszyła się w pełni zasłużoną sławą grzesznego anioła w kuchni.

— Szarlotka z tą fikuśną koronkową skorupką — powiedziała.

— Podgrzeję ciasto — zaproponował.

— Przyniosę lody.

Pomógł jej wstać z krzesła, a ponieważ wszyscy ludzie ją opuszczali, Iskierka przebiegła przez ogród i ubiegła ich w drodze do drzwi.

— Jak ci dzisiaj poszło z moją małą? — zapytał Linc.

Zauważył czułość, z jaką Mack spojrzała na psa, gdy Iskra wsunęła pysk w szparę w drzwiach, żeby je otworzyć.

— Była miłym towarzystwem. Jest raczej z tych domagających się uwagi — powiedziała Mack. — Ale przyjemnie było mieć ją przy sobie. Chyba zaczynam rozumieć psi język. — W odpowiedzi Iskierka usiadła, blokując wejście, i spojrzała z miłością na ładną lekarkę.

Linc postanowił, że *ożeni się z Mack i będą mieli dom pełen dzieci i biskoptowych labradorów.*

— Z drogi, ślicznotko — nakazał, szturchając psa, żeby się usunął.

Zauważył, że Mack się skrzywiła, gdy przeniosła ciężar ciała na drugą nogę. Zaprowadził ją do maleńkiego kuchennego stołu i posadził na krześle. Lekarze byli najgorszymi pacjentami. Pewnie pół dnia spędziła na nogach.

— Jestem zmęczona odpoczywaniem.

— No cóż, ta złamana kość się nie zrośnie, jeśli będziesz robić półmaratony przy jej użyciu, prawda?

— Nikt nie lubi przemądrzalców — powiedziała marudnie.

— Podam ci składniki. Nałożysz deser na talerze. Punkty za prezencję — powiedział.

Znalazł ciasto w lodówce, miseczki w szafce przy zlewie, a lody w teraz już pustej zamrażarce.

— Przyjrzyj się po raz ostatni ideałowi, zanim zmasakruję go i pokroję na kawałki — powiedział, unosząc w górę ciasto. Podziwiali je przez całe trzy sekundy.

— No dobra, jak dla mnie możesz masakrować — uznała Mack.

Dzwonek do drzwi zatrajkotał w trakcie drugiego dźgnięcia nożem. Gdy Mack tylko jęknęła i przygarbiła się na krześle, Linc poszedł zobaczyć, kto przyszedł. Iskierka, jak zauważył, została razem z Mack... i z ciastem.

Szeryf Ty Adler, w mundurze, z radiowozem zaparkowanym na podjeździe Mack, zdjął czapkę.

— Dbasz o reputację dobrego sąsiada? — zapytał Linca z uśmiechem.

— Dbasz o reputację dobrego gliniarza? — odpalił Linc.

— Żałuję, że to nie jest wizyta towarzyska. Czy pani domu jest na miejscu, czy może tylko się włamałeś, żeby wachać jej majtki pod jej nieobecność?

— Błagam, powiedz, że nie wymyśliłeś tego na podstawie prawdziwego wezwania — poprosił Linc.

— Zdziwiłbyś się.

— Jeśli przyszedłeś, żeby powiedzieć, że ten gnojek trafi na długi czas do więzienia, to jesteś akurat na czas, żeby dostać szarlotkę z lodami.

— Możemy przedyskutować ten temat — powiedział Ty, rozmasowując siniaka na brodzie.

— Wchodź. Mack, mamy towarzystwo w postaci oficera policji. — Słyszając zamykanie siatkowych drzwi, Iskierka porzuciła czuwanie i przytruchtała do salonu, żeby odpowiednio się przywitać.

Linc zaprowadził psa i mężczyznę do kuchni Mack, gdzie wyciągnął z szafki jeszcze jedną miskę.

— Doktor O’Neil — przywitał się formalnie Ty.

— Mów mi Mack — powiedziała. — Siadaj.

Usiadł naprzeciwko niej na krześle i spojrzał na ciasto.

— Wygląda mi na to, że popełniono tu jeszcze jedną zbrodnię. Kto, u licha, zamordował to śliczne biedactwo? A jeśli to była pani, pani doktor, to proszę mi przypomnieć, żebym nie pozwolił się pani nigdy operować.

— Smakuje tak samo — powiedział Linc, nakładając trzeci kawałek ciasta do miseczki. — Podgrzać? — zapytał.

— A da się jeść inaczej? — odpowiedział pytaniem Ty.

Linc włożył ciasto do mikrofalówki, a tymczasem Ty przypomniał zeznanie Mack, które złożyła na ostrym dyżurze, podczas gdy zrzędliva doktor Ling sprawdzała jej prześwietlenie.

— No więc zatrzymaliśmy Micka Kersha pod kilkoma zarzutami związanymi z wypadkiem, ale to nie on siedział

za kierownicą, więc bez świadka z samochodu każdy przyzwoity obrońca z urzędu znajdzie słabe punkty w jego zeznaniu złożonym na haju na miejscu wypadku.

— To za mało. Ta dziewczyna nie odzyska przytomności w najbliższym czasie. A nawet jeśli, nigdy nie będzie już taka sama, jak była, zanim wsiadła z nim do samochodu — odezwała się Mack.

— Dlatego tu jestem. Znam tę dziewczynę i jej rodzinę. Im to też nie wystarczy. Jeśli zgodzisz się wnieść oskarżenie, będziemy mieli ciężkie przestępstwo za napaść z pobiciem przedstawiciela służb mundurowych.

— Oczywiście — powiedziała Mack bez wahania. Linc postawił przed nią miskę z szarlotką i lodami, udekorowanymi ciasteczkami.

— Zanim się do czegoś zobowiążesz, chłopak ma rodzinę. Rodzinę, która niekoniecznie dba o to, co naprawdę się wydarzyło, ani jakie przestępstwo popełniono. Jego ojciec, Jethro, wpadł raz czy dwa razy za pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego. Było też kilka wezwań do przemocy domowej, które do niczego nigdy nie doprowadziły. Jego wujek, Abner, miał odsiadkę za posiadanie i rozprowadzanie narkotyków. Obaj z uporem twierdzili, że zostali wrobieni.

— Nie boję się zemsty — powiedziała.

Ale Linc zauważył, że mówiąc to, odłożyła łyżeczkę.

— Ty też powinieneś na siebie uważać, komendancie — powiedział Ty, zwracając się do Linca. — Obaj już gadają, że pobieś ich chłopaka.

— Bronilem koleżanki ze służb ratowniczych. Nikt, kto był na miejscu wypadku, nie uzna, że jeden cios w twarz to w tym konkretnym przypadku nadmierne użycie siły. Z przyjemnością porozmawiam z Kershami.

— Chcę, żebyście oboje mieli świadomość sytuacji, żebyście uważali.

— Ale i tak chcesz, żebym wniosła skargę i zeznawała? — upewniła się Mack.

— Tak.

Wyciągnęła telefon z kieszeni krótkich spodenek.

— W szpitalu poprosiłam, żeby zrobili mi zdjęcia obrażeń.
— Zaczęła przeglądać fotografie, a Linc poczuł nawrót zimnej furii. Żałował, że nie miał okazji zrobić więcej, niż tylko wybić skurwielowi ząb, którego pewnie i tak nie będzie mu brakowało.

Iskierka, wyczuwając jego nastrój, podeszła do niego i oparła się o jego nogę.

— Gdzie moje ciasto, komendancie? — zapytał Ty, kończąc sprawę.

Rozdział 23.

Trzask kija zerwał połowę widowni z miejsc. Nogi małego Antona młóciły powietrze, gdy pędził w kierunku pierwszej bazy. Był najmniejszy w drużynie, ale dzieciak potrafił uderzyć jak dwukrotnie większy zawodnik.

— Ładny singiel, Anton! — Linc klaskał z całą resztą zebranych ze swojego miejsca na ławce rezerwowych, skąd razem z głównym trenerem, Lukiem Garrisonem, zawiadywał resztą drużyny Benevolence Spider Pigs.

— Zasłaniasz mi boisko, *trenerze* — zganił Linca Luke.

— Może w takim razie powinieneś się przesunąć, *trenerze* — zasugerował Linc.

— Może *ty* powinieneś się przesunąć — odparował Luke.

— Czy wy znów się kłócicie? — zapytał siostrzeniec Linca, Brandon, ze swojego miejsca na automacie z chłodzoną wodą. — Pamiętajcie, że nie wolno wam się przy nas kłócić?

— Nie kłócimy się, Bran — skłamał Linc.

— No pewnie, właściwie to jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi — warknął Luke.

Brandon nie dał się przekonać.

— Czy walnąłbym w ten sposób trenera Luke'a w ramię, gdybyśmy się kłócili? — zapytał Linc, rąbiąc swojego przyjaciela-nieprzyjaciela w ramię mocniej niż to konieczne.

— Au. A czy ja siłowałbym się tak z twoim wujkiem, gdybyśmy się kłócili?

Przepychali się, aż w końcu podeszła do nich sędzina.

— Chłopaki, skończycie to przedstawienie, czy znów mam was wyrzucić? — zapytała uprzejmie.

Linc popchnął po raz ostatni Luke'a i uśmiechnął się do niej promiennie.

— Wszystko gra. Słowo harcerza.

Sędzina pokręciła z rezygnacją głową.

— Dlaczego nie znajdziesz sobie trenera pomocniczego, którego będziesz lubić? — zapytała Luke'a.

— To dupek — stwierdził Luke. — Ale zna się na grze i nie pozwala dzieciakom namawiać się przeciwko mnie.

Linc udał, że ociera łzę.

— To najmilsza rzecz, jaką mi kiedykolwiek powiedziałaś, stary.

Luke pokazał mu ukradkiem środkowy palec.

— Usiądźcie po przeciwnych stronach ławki rezerwowych, bo naskarzę na was waszym matkom — nakazała sędzina, po czym wróciła na płytę boiska.

Trenerzy posłusznie udali się na swoje miejsca i wznowiono grę.

Podczas gdy chwytacz podnosił się po złym podaniu, Iskierka zastrzygła uszami i podbiegła do płotu.

Linc zauważył Mack. Utykając, szła w stronę trybun w seksownych spodenkach treningowych, dzięki którym mogła założyć nieporęczny but ortopedyczny, i w bluzie z logo Gwardii Narodowej.

Zatrzymała się, żeby pogłaskać Iskierkę przez oczka płotu, a potem popatrzyła w jego stronę. Przez okulary przeciwsłoneczne nie widział jej oczu i jej blizny. Ale i tak poczuł na sobie ciepło jej spojrzenia. Podbiegł, żeby zabrać psa i przywitać się z dziewczyną.

— Nie wiedziałem, że lubisz baseball, Marzenie.

Uniosła w górę wypełnionego dodatkami hot doga, w którego Iskierka wpatrywała się żałośnie.

— Lubię stadionowe jedzenie i możliwość wyrwania się z domu. — Nie minęło jeszcze czterdzieści osiem godzin od jej kontuzji, a już chodziła po ścianach.

— I trenera-asystenta. Nie zapominaj, że jego też lubisz.
— Wyszczrzył się w uśmiechu.

Zadrżały jej kąciki ust.

— Tak. Jest w porządku. Jeszcze raz dziękuję za wczorajszą kolację.

— Powinnaś pozwolić mi kiedyś przygotować ci śniadanie.

— Ej, trenerze! Zainteresujesz się meczem czy nie? — zawołał Luke.

Marzenie uśmiechnęła się szeroko.

— Ktoś tu ma kłopoty — stwierdziła śpiewnie.

— Jeśli zaczekasz na mnie po meczu, to zabiorę cię na lody — zaproponował. Nie wspomniał przy tym, że zabierze też całą drużynę młodocianych baseballistów.

— Przez tę kontuzję i twoje dokarmianie stracę dobrą formę.

— Jeden kawałek ciasta i jedna gałka lodów cię nie zabiją. Poza tym możesz korzystać z mojej domowej siłowni, kiedy tylko zechcesz. Zrobię ci miejsce.

— W to nie wątpię — powiedziała. — Mam wrażenie, że potrzebują cię na boisku, trenerze.

Linc odwrócił się i zobaczył gromadę leżących na sobie chłopaków pomiędzy drugą i trzecią bazą. Nie był w stanie stwierdzić, czy się bili, czy świętowali.

Posłał jej ostatni uśmiech i pobiegł w stronę zamieszania.

Później w ciągu meczu rozglądał się za nią w tłumie i znalazł ją na pierwszej ławce obok dziadka Tyrone'a. Wyglądali na pogrążonych w głębokiej rozmowie, gdy piłka przeleciała nad płotem.

— Ej, Mack! — zawołał ostrzegawczo.

Ale to nie było konieczne.

Złapała ją gołymi rękami trzydzieści centymetrów od twarzy Leroya Mahoneya, bez uszczerbku na resztkach swojego hot doga. Uśmiech, jaki mu posłała, odrzucając piłkę, był iście diabelski.

— *Nie rób sobie nadziei* — odezwał się Luke, stając obok niego, żeby sprowadzić go na ziemię.

— Chyba już to sobie ustaliliśmy, że nie jesteśmy kumplami z gatunku tych, którzy doradzają sobie w sprawach uczuciowych — ostrzegł go Linc. Już się szykował. Na gadkę w stylu „nie jesteś dla niej wystarczająco dobry”.

— Słuchaj, stary — powiedział Luke, zaskakując go swoją powagą. — Umiem rozpoznać problemy, kiedy je zobaczę. Ta kobieta musi poradzić sobie z jakimś syfem, zanim będzie się nadawała do związku. Nie rób sobie nadziei.

Linc był wzruszony.

— Chwila moment. Zaczekaj. Czy ty starasz się ochronić moje uczucia?

Luke wzruszył ramionami.

— Nie utrudniaj sprawy. Mówię tylko, że coś jest nie tak i jeśli ona nie poradzi sobie ze swoim bajzlem, to sytuacja szybko zrobi się nieciekawa.

Facet gadał na podstawie własnego doświadczenia. Linc przypomniał sobie ich śmieszna i dramatyczną jednocześnie

bójkę sprzed ośmiu lat w chłodni w sklepie spożywczym.

Luke omal nie stracił wtedy Harper i musiał bardzo się postarać, żeby ją odzyskać.

— Czuję się bardziej komfortowo, gdy mnie nienawidzisz
— przyznał Linc.

Rozdział 24.

Leroy Mahoney był dużym mężczyzną w koszulce reklamowej i krótkich dżinsowych spodniach na szelkach. Nosił oślepiająco białe adidasy z nieco bardziej zszarzałymi białymi skarpetkami podciągniętymi pod same kolana. Za każdym razem, gdy wstawał, żeby dopingować drużynę, z plastikowego kubka wychlapywała się mu cola zero.

— Witaj, Leroy — odezwała się Mack. Udawała, że nie zauważyła skruszonego spojrzenia, które jej posłał.

— Och, dzień dobry, doktor Mack. — Jego wąsy się poruszyły. — Ech, przepraszam, że nie oddzwoniłem. Przy Tyrone jest co robić, a poza tym zgubiłem telefon.

Jak na zawołanie z jego kieszeni dobiegł wesoły dzwonek w rytmie polki.

— Chyba jest w pańskich spodniach — odpowiedziała usłużnie.

Mężczyzna zaśmiał się nerwowo i wyłowił telefon. Wcisnął przycisk wyciszający połączenie. Mack wiedziała, że dokładnie to samo robił, gdy ona dzwoniła.

Usiadła obok niego na metalowej ławce, nie będąc w stanie powstrzymać westchnienia, które wymknęło się jej, gdy zdjęła ciężar ze stopy.

Leroy spojrział na jej but ortopedyczny.

— Przykro mi, że stała się pani krzywdą — powiedział.

— Dziękuję — odparła. Tym razem to ona czuła się skrepowana. — Jak się czuje Tyrone? — zapytała, zmieniając temat.

— Kilka dni odpoczynku, cztery seanse *Narzeczonej dla księcia* i wszystko wróciło do normy. Tak jak pani mówiła.

— To dobrze. — Skinęła głową w kierunku chłopca z kolanami poplamionymi trawą. — Gra na lewym polu?

Leroy rozpromienił się, roztaczając aurę dumnego dziadka, a Mack przez ułamek sekundy zastanawiała się, jak by to było mieć w życiu takiego dziadka Leroya.

— Robi duże postępy. Ma wrodzony talent, podobnie jak jego dziadek.

— Pan też grał? — zapytała, kupując czas gryzem hot doga.

Zerwał się na nogi razem z resztą widzów po wysokiej piłce rzuconej na lewe pole.

— Łap, Tyrone!

Mack siedziała dalej, żeby oszczędzać kostkę przed mozolnym powrotem na parking.

Wnuk mężczyzny podbiegł wzdłuż porośniętego trawą zapola, krzywiąc się w skupieniu. Piłka trafiła w jego rękawicę i — na szczęście — w niej pozostała.

— *Out!* — wrzasnęła sędzina, przekrzykując wiwatujący tłum.

Leroy zatańczył z zaskakującą werwą.

— Brawo, młody! — Odwrócił się do niej i przybił jej solidną piątkę, a potem powtórzył to samo z całym rzędem siedzących na ławce.

Spider Pigs zeszli z boiska z okrzykami radości na ustach.

Wzrok Mack powędrował do jasnowłosego, umięśnionego trenera, który przybijał dzieciakom po prawej i lewej piątce.

Poczuła zupełnie jej obce kobiece zadowolenie na widok Linca w otoczeniu drużyny. A potem natychmiast odsunęła

od siebie to uczucie. Nie była kobietą, która rozpływała się na myśl o przystojnym dryblasie trzymającym w silnych ramionach niemowlę. Z większym prawdopodobieństwem zrobiłyby na niej wrażenie ładne, porządne szwy założone na ranę albo czystość techniczna podnoszenia ciężarów z przysiadu.

Lub też niezwykle istotna zdolność do skutecznego zapewniania satysfakcji seksualnej.

Gdy się nad tym zastanowiła, była pewna, że Linc potrafiłby się wywiązać z każdego z tych zadań.

Cholera. Przez to, że nie zgadzała się na seks z tym mężczyzną, tylko więcej o tym myślała. Klasyczny zakazany owoc.

Jej telefon zawibrował.

Dostała esemesa od Ellen, do którego dołączono selfie w czepku pływackim.

Ellen: Pięć basenów w kierunku nowej mnie za mną. Nie cierpię jarmużu. Ale toleruję rukolę. I nie zamordowałam jeszcze nikogo w domu! Jak idzie medytacja? Znalazłam przydatną apkę!

Mack postanowiła odpowiedzieć później... po tym, jak już zacznie medytować. W tej samej chwili, w której zaczęła chować telefon z powrotem do kieszeni, ten znów się odezwał.

Andrea: Kenzie, CIĄGLE nie ma przelewu od ciebie, a ja muszę zapłacić czynsz! Spodziewałam się po tobie większej odpowiedzialności.

Jeden dzień spóźnienia.

Jeden cholerny dzień, bo jakiś dureń złamał jej stopę.

Nie powinna była być odpowiedzialna za Andreę. Kobieta była dorosła. Mack wiedziała, że jej poczucie winy jest

nieuzasadnione. Ale dużo łatwiej było robić co miesiąc przelew, niż odbyć tę rozmowę. Zająć stanowisko. Bo wiedziała, że gdy to zrobi, to będzie ostatni raz.

Mackenzie spokojnie zdusiła w sobie chęć ciśnięcia telefonu do stojącego przed nimi kubła na śmieci. Odepchnęła od siebie skutki emocjonalne, które tego rodzaju esemesy zawsze w niej wywoływały. Miała pilniejsze sprawy na głowie.

Chrząknęła.

— Wie pan co, Leroyu. Od ostatniej wizyty kontrolnej minęło sporo czasu — powiedziała, wracając uwagą do celu, z jakim się tu zjawiała, gdy mężczyzna usiadł z powrotem na ławkę.

Starszy pan westchnął ciężko.

— Mówi pani jak doktor Dunnigan. Kazała się pani tym zająć przed wyjazdem?

— Powinniśmy umówić pana na wizytę. Nie było pana u nas od ponad dwóch lat. Od czasu operacji na biodro. Chirurg napisał, że nie zjawił się pan na ostatniej wizycie kontrolnej.

Leroy mruknął coś pod nosem na temat doktora donosiciela.

— Po prostu zależy nam na pańskim zdrowiu — naciskała.
— Jest Tyrone, który bardzo na panu polega. Chcę, żeby był pan na tyle zdrowy, żeby jeszcze przez długi czas móc grać z nim w piłkę. Ale nie pomogę panu, jeśli nie zjawi się pan na badanie. Nie wiemy nawet, czy bierze pan jeszcze leki przeciwzakrzepowe.

— Nie biorę — powiedział.

Widząc jego przygarbione ramiona, zrobiło jej się przykro, że musiała odwrócić jego uwagę od wyczynów sportowych

Tyrone'a.

— Mam nadwagę — powiedział Leroy. — Jestem stary. Nikt inny nie musi mi tego mówić. — Jego usta zacisnęły się w wąską, stanowczą linijkę pod białymi węsami.

— Kto to panu powiedział? — Na pewno nie było to coś, co mogliby powiedzieć Trish albo Russell.

— Chirurg. Powiedział, że operacja jest stratą czasu, jeśli nie wezmę się w garść i nie zadbam o swoje zdrowie.

— Auć — powiedziała współczująco Mack. I znów to zawstydzanie. Zamiast zmotywować go do działania, wstyd sprawił, że Leroy zupełnie porzucił temat. Russell miał rację. Niektórym lekarzom nie zależało na swoich pacjentach tak po ludzku. Ale ona nie będzie jednym z nich. — Proszę posłuchać, jest pan w dobrej formie. Nie ma innej możliwości, skoro dotrzymuje pan kroku ośmiolatkowi. I nie wszyscy lekarze są...

Leroy spojrzał najpierw w lewo, potem w prawo, a potem szepnął:

— Dupkami?

— Dokładnie.

Nie wydawał się przekonany.

— Jestem tu po to, żeby pomóc panu znaleźć sposób na to, żeby jeszcze przez wiele lat zachować zdrowie. Ta operacja pewnie wytrąciła pana z równowagi. Wiem, że rekonwalescencja była długa i skomplikowana, a pański chirurg wygląda mi na palanta. Ale zostawmy to za sobą. Możemy wspólnie podjąć konkretne działania, dzięki którym nic takiego już więcej się nie zdarzy.

— Nie może mnie zabraknąć. Tyrone mnie potrzebuje. Jego mama mnie potrzebuje.

I Leroy też ich potrzebował.

— W takim razie zacznijmy od badania — oznajmiła stanowczo.

Otworzyła planer wizyt na telefonie.

— Pasuje panu przyszedł wtorek?

Mack pokuśtykała w stronę parkingu, czując, jakby oprócz wygranej Benevolence Spider Pigs sama też odniosła zwycięstwo. Przesuwał ją aż do Halloween całą litanią wymówek. Ale udało jej się umówić go na badanie i pobranie krwi. Dorzuciła do tego przyjacielską groźbę, że jeśli nie przyjdzie, osobiście zjawi się na jego progu z torbą lekarską.

— Dzień dobry, pani doktor. — Georgia Rae w pudrowoniebieskim sweterku haftowanym srebrną nitką w kwiaty pomachała do niej z jednego ze stoisk.

— Doktor Mack. — Chudy Carl, mężczyzna liczący opinie oraz dzieci skinął jej głową. Na jednym ręku trzymał niemowlę, a do pasa miał przywiązaną smycz z drugim brzdącem.

Mack pomachała mu i poszła szybciej w stronę parkingu.

Po umówieniu Leroya na wizytę zerknęła pobieżnie okiem na wysypkę na stopie i porozmawiała z matką piątki dzieci, która zasugerowała, żeby Mack otworzyła społeczną klinikę szczepień na gripę.

Pomysł nie wydał jej się głupi. Postanowiła później go przemyśleć.

— Próbujesz nam się wymknąć, Marzenie?

Odwróciła się i zobaczyła pędzącą do niej Iskierkę. Ogon i język powiewały za nią. Również Linc szedł w jej stronę. Jego powitanie było nieco bardziej zachowawcze niż psa, ale w dalszym ciągu wyczuwała jego entuzjazm w nieco lubieżnym spojrzeniu, jakim obrzucił jej nogi.

Wokół nich zgromadziła się grupka dzieciaków w strojach poplamionych trawą, o najróżniejszej karnacji i ze zróżnicowanym brakiem w uzębieniu.

— Trenerze komendancie Lincu, idziemy na lody? Idziemy?

Dzieciaki były równie podekscytowane co Iskierka.

— Jeśli uda mi się przekonać obecną tu doktor Mack, żeby poszła z nami.

Wszyscy zwrócili na nią smutne spojrzenia szczeniaczków. Iskierka dorzuciła własne.

— Prosimy, doktor Mack! Prosimy! — Chłopiec z goglami nałożonymi na okulary i ze smarkami w nosie złożył ręce pod brodą.

Chudy młodzieniec z uroczym afro wystającym spod czapeczki przekrzywił głowę i puścił do niej zalotnie oko. Nadchodził łamacz damskich serc.

— Prosimy!

Lincoln Reed *nie* grał fair.

Posłała mu spojrzenie z dokładnie takim przesłaniem.

On w odpowiedzi mrugnął do niej zadziornie. Pewność siebie tego mężczyzny była wręcz niepohamowana. I pociągało ją to.

Cień wcześniejszego esemesa zasnuwał jej myśli i przygasał rodzącą się chęć do zabawy. Nigdy nie pozbędzie się cieni przeszłości. A Linc razem ze swoimi siostrami, siostrzenicami i siostrzeńcami pochodził z ciepłej rodziny o solidnych podstawach. To nie tylko było niedopasowanie. To była istna katastrofa. Mack nie miała pojęcia, jak być produktywną partnerką w zdrowym związku dwojga dorosłych ludzi.

Poczuła, że robi jej się smutno i źle. Jak gdyby toksyczna przeszłość przenikała przez jej pory, aby zakłócić teraźniejszość.

Coś mokrego i puchatego szturchnęło jej dłoń. Spojrzała na Iskierkę, która śmiała się do niej z bezwarunkową psią miłością.

— Widzi pani, doktor Mack? Nawet Iskra chce lodów — zauważył jeden sprytny mały manipulant.

Uśmiechnęła się z przymusem. Ale kiedy podniosła wzrok, spojrzenie Linca wwiercało się w nią, jakby był w stanie zajrzeć pod pozory kompetentnej dorosłej. Jakby był w stanie dojrzyć brzydotę pod jej skórą.

— Proszę, Marzenie — powiedział słodko.

Nie mogła w żaden sposób zmienić przeszłości ani jej wpływu na chwilę obecną. Ale mogła zgodzić się na lody i skraść maleńką chwilę zabawy. Nawet jeśli tak naprawdę jej się nie należała.

— No to chyba idziemy na lody — powiedziała z wymuszoną lekkością.

— Tak! — Wiwaty z powodu lodów były równie głośne, co z powodu wygranego meczu.

— A możemy jechać z panią, doktor Mack? — zapytał ciemnowłosy chłopiec z rozmarzonymi brązowymi oczami i plamą po Gatorade na bluzie.

Gdy zdumiona Mack zapakowała do samochodu sześciu baseballistów — których rodzice z niewyjaśnionych powodów z pełnym zaufaniem powierzyli jej życie swoich dzieci — Linc podjechał obok jej SUV-a. Z okna pasażera wychylała się Iskierka. Uśmiech, który posłał Mack, trafił ją prosto w serce.

Żałowała, że sytuacja nie jest inna. Bo z przyjemnością uraczyłaby się porcją dużych, jasnowłosych, przystojnych kłopotów.

Rozdział 25.

Linc patrzył, jak Mack wykonuje kolejną serię z hantlami na jego ławeczce. But ortopedyczny oparła o skrzynkę, którą przyniósł z garażu. Minał tydzień od wypadku, a kiedy okazywane jej przez miejscowych troska i dbałość straciły swój urok, zaczęła dostawać świra z braku zajęcia, tak samo jak jego ludzie w remizie.

W ciągu tygodnia dostali wezwanie do czterech stłuczek, trzech fałszywych alarmów i kota, który utknął w rynnie. Ukończyli wszystkie zaplanowane szkolenia, co było nowym, nudnym rekordem. Mack przez cały tydzień przekładała papiery i toczyła się na krześle na kółkach po przychodni, zajmując się niezagrażającymi życiu chorobami i urazami, podczas gdy jej współpracownicy mieli na nią oko i pilnowali, żeby za bardzo się nie wysilała.

Ale Linc wyczuwał coś więcej niż zniecierpliwienie, coś, co kryło się głębiej. Pod bardzo atrakcyjną powierzchnią Mackenzie coś narastało. Miał wrażenie, jakby ciemna chmura gęstego czarnego dymu zawisła nad nimi i między nimi. Zasłaniając mu widok.

Mack wypuściła powietrze z rękami w górze, a potem powoli opuściła hantle.

— Medytowałam dzisiaj. Przez piętnaście cholernych minut — poskarżyła się.

— A to niedobrze? — zapytał, zaciskając zęby podczas wykonywania pompek na poręczach.

Mack usiadła i opuściła hantle na podłogę.

— Miałam piętnaście wolnych minut, bo nie mam nic innego do roboty. Przeczytałam wszystkie czasopisma medyczne, które zgromadziłam przez ostatnie pół roku. Nadrobiłam wszystkie podcasty, które śledzę. Nie mam nic do zrobienia w ogródku, bo twoja ekipa znów skosiła mi wczoraj trawnik — za co, swoją drogą, jeszcze raz dziękuję. Nie mogę biegać. Nie mogę latać. Mogę jedynie gapić się na te ściany w kolorze żonkili i wypisywać recepty na ZUM i katar sienny.

— Tak, tak. Przestań jójczyć. Mój zespół jest na finiszu konkursu na najdłuższy zarost — poskarżył się Linc. — Al przegrał kolejny zakład i musiał zgolić jedną brew. Kobiety mierzą długość włosów na nogach. Chłopaki wyglądają jak gliniarze ze *Strazy wiejskiej*, tylko są mniej zadbani.

Mack wstała, a on opadł z barierek. Patrzyli na siebie, spoceni, sfrustrowani.

Linc miał dość czekania. Dość niecałowania jej. Przysunął się. Położył ręce na jej biodrach i patrzył na iskry, które zapaliły się w jej oczach. *W jego ulubionym odcieniu zieleni*, uznał.

Jego ciało natychmiast na nią zareagowało. Członek obudził się do życia. Puls przyspieszył. Każdy zmysł działał na najwyższych obrotach, bo dotykał Mackenzie O’Neil. Czuł, jakby wchodził w ogień.

Denerwowała się. Puls u podstawy jej szczupłej szyi trzepotał. Linc bardzo pragnął dotknąć tego miejsca ustami. Ale koncentrował się na jej wargach. Zdecydowanie lubiła czerwoną szminkę. Chciał ją rozmazać. Chciał zmusić ją do wyjścia zza swoich murów na wystarczająco długo, żeby zniszczyć te idealne czerwone linie.

Zburzenie idealnego wyglądu Doktor Marzenie było jego nowym celem w życiu.

— Pocałuję cię teraz — oznajmił.

Ciężkie powieki przesłoniły oczy, gdy jej wzrok powędrował do jego warg. Zastanawiał się, czy wiedziała, że kiwa głową. Niespiesznie przesunął dłonie w górę jej ciała, do ramion, do delikatnej szyi, a następnie ujął dłońmi jej twarz.

Romans nie umarł. W tym pomieszczeniu był żywym, oddychającym tworem.

Linc znieruchomiał. Na odległość oddechu od tych bardzo czerwonych ust. Oddychała ciężko i zauważył, że on też. Stali w ten sposób, oddychając tym samym powietrzem. Czując pulsowanie pożądania, które budziło się między nimi jak smok.

Ona pierwsza się wyłamała. A on dziękował bogom w niebiosach, gdy jej usta natarły na jego. Całowała go tak, jakby było jej to potrzebne do przetrwania, jakby *on* był jej potrzebny. Nie było tam delikatnych muśnięć, smakowania. Pożerała go. Okręciła się i przygniotła go do ściany. Jedną jej dłoń wystrzeliła w górę i pociągnęła go mocno za włosy. Druga wsunęła się pod jego koszulkę i dotknęła nagiej, spoconej skóry.

Jego członek był tak twardy, jakby miał się zaraz rozerwać, a wtedy ona wcisnęła się w niego biodrami. Czując, że zamazuje mu się wzrok, znów ich okręcił tak, że tym razem to ona znalazła się plecami pod ścianą. Przez chwilę oboje mocowali się o prowadzenie, a potem uznali, że to nie ma znaczenia, skoro atak był wzajemny.

Linc wsunął dużą dłoń pod jej koszulkę i ujął jedną idealną pierś.

Mack posłusznie zdjęła z siebie koszulkę i rzuciła ją przez jego ramię.

— Niech Bóg błogosławi Amerykę — wyszeptał, zanim rzucił się znów w pocałunek.

Mackenzie zaśmiała się prosto w jego usta.

— Czy to sprośności w wydaniu omdlewającego strażaka?

— Kotku, mam ochotę wyciągnąć na wierzch fiuta i rzucić cię na kolana. Mam ochotę oprzeć się o ścianę i kazać ci go obciążać, aż zaczną ci łzawić oczy. A jak skończę, chcę mieć wszędzie na sobie twój tusz i szminkę.

Wytrzeszczyła oczy. A potem się uśmiechnęła. Drapieżnym uśmiechem rekina.

— Tak lepiej — szepnęła i wsunęła mu dłonie do spodenek.

„Umrze na stojąco z tą piękną kobietą ściskającą jego członek” — Linc miał nadzieję, że taki napis znajdzie się na jego nagrobku.

— Na litość boską, kobieto, zwolnij.

— Nie. — Musnęła kciukiem niesprawiedliwie wrażliwą główkę jego członka, z której już ciekło jak z cholernego sita. — Chcę, żebyś padł na kolana i patrzył na mnie z dołu, gdy będziesz mnie lizać.

Właśnie. Martwy.

— Wydaje mi się, że czekałem na ciebie całe życie. — Jego wyznanie, ten jęk, ten szept, ta modlitwa, wszystko zepsuło.

Tak po prostu nieustraszona lekarka pogotowia lotniczego straciła zimną krew. Poczul, jak zeszywniała, jak jej mięśnie zamieniły się w beton. Jak jej kręgosłup zeszywniał jak stal.

Wypuściła go ze swojej dłoni, gumka od jego spodenek strzeliła z powrotem na brzuch niczym obraza dla jego wzvodu. Skrzywił się, ale się nie poruszył.

— Co się stało? — zapytał.

— Nic — odpowiedziała, starając się wyswobodzić z jego ramion. — Po prostu nie mam ochoty tego teraz robić.

— Boisz się — nazwał rzecz po imieniu, prosto i bez złośliwości.

Zareagowała tak, jakby ją uderzył. Natrafił na słaby punkt.

Usta Mack wykręciły się w nieprzyjemnym grymasie. Ale on i tak to zobaczył. Błysk strachu w zielonych oczach. Cienie zaakcentowały jej bliznę.

— Nie boję się.

Wymówiła chłodno każde słowo. A on się zastanawiał, czy uważała, że przez to staną się one prawdziwe.

— Podobamy się sobie. Oboje jesteśmy wolni. Oboje zainteresowani. Ale coś cię powstrzymuje, a ja sądzę, że tym czymś jest strach.

— Kiedy zaczynasz rzucać takimi tekstami, to naprawdę zabija nastrój, Szpanerze.

Czuł wcześniej ich bliskość, gdy ich ciała przyciskały się do siebie, gdy ich serca waliły jak szalone. Nie odczytywał błędnie sygnałów, nie wymyślił sobie tego. Ona go *pragnęła*. On jej *pożądał*. Ale ten czarny dym stworzył między nimi nieprzeniknioną zaporę.

— Co jest nie tak ze szczerością, Marzenie?

— Odsuń się, Szpanerze — powiedziała, wciskając rękę między nich.

Rozumiejąc jej strach, zapewnił jej przestrzeń. Usiadł na ławeczce do podnoszenia ciężarów, którą zwolniła. Nie miał zamiaru uciekać przed tą rozmową.

— Porozmawiaj ze mną, Mackenzie. Powiedz mi, o co chodzi.

— Co chcesz usłyszeć? — zapytała, podnosząc koszulkę z podłogi.

Było mu żal, że stracił widok jej gładkiego stanika sportowego w malinowym kolorze. Widok jej brzucha, który chciał lizać i kąsać, na który chciał się spuścić i na którym chciał kłaść głowę.

— Myślałem, że wyraziłem się jasno. Pragnę cię.

— W jakiej roli? Dupy do szybkiego rżnięcia? Dziewczyny na stałe? Bo nie jestem ani jednym, ani drugim. — Jej słowa były ostre, twarde.

— Powiedz mi, czego *ty* chcesz, Mackenzie.

— Ja pierwsza cię zapytałam.

W porządku. Prawda.

— Najpierw chcę zobaczyć tę szminkę rozmazaną na twoich ustach, na moich ustach, na moim fiucie i w każdym innym miejscu, w które zechcesz mnie pocałować. Bo dla ciebie, Marzenie, nie ma miejsc zakazanych. Potem chcę poczuć, jak się wokół mnie zaciskasz. Chcę cię trzymać, gdy będziesz szczytować. Chcę mieć orgazm razem z tobą. A potem chcę zjeść z tobą w łóżku lody. A potem pomyślałem, że moglibyśmy ze sobą chodzić na tyle długo, żeby udało mi się przekonać cię, że przeznaczenie sprowadziło cię tu dokładnie w momencie, kiedy oboje tego potrzebowaliśmy. Weźmiemy ślub. Wesele pewnie będzie duże, bo cała remiza będzie chciała się zjawić, a sama wiesz, że mam też dużą rodzinę. Iskierka będzie naszą dziewczynką od kwiatów. Będziemy żyć razem długo i szczęśliwie. Co powiesz na dzieci? Ja nie miałbym nic przeciwko dwójce. Ale wolę ciebie.

Oparła się o ścianę i wypuściła szybko powietrze.

— Przyjechałam tu tylko na pół roku — przypomniała.

— Taki masz plan. Plany można zmienić.

— To mówią ludzie, gdy chodzi o plany kogoś innego.

— Kotku, proszę cię tylko o to, żebyś otworzyła się na taką możliwość.

— Na możliwość czego? Pieprzenia się z tobą po to, żeby jedno z nas rzuciło to drugie po kilku tygodniach? Czy porzucenia kariery, którą wymarzyłam sobie w wieku sześciu lat, na rzecz zamieniania się w małomiasteczkową żonę?

Nie był pewny, która opcja bardziej ją przerażała.

— W porządku. Przeprowadzimy się. Tam, gdzie będzie wymagała tego twoja praca. Ja i Iskierka pojedziemy z tobą.

— Linc. — Jej głos się załamał. — Nie uprawialiśmy jeszcze nawet seksu, a ty już planujesz wspólną przyszłość.

— Możemy temu dość szybko zaradzić. — Jego fiut zadrgał aprobująco. — Ale wolałbym najpierw z tobą porozmawiać. Co cię tak wzburzyło, Mackenzie?

— Wzburzyło? — Zaczęła przechadzać się przed nim.

Dało się wyczuć jej poirytowanie. Poirytowanie i znów ten strach.

— To, że na mnie naciskasz, jest mało atrakcyjne.

Poczuł, że sam też cały sztywnieje. *A więc oboje umieli wynajdować swoje słabe punkty.*

— Nie naciskam na ciebie. To nie ja włożyłem twoją rękę w moje majtki. To nie ja ściągnąłem z ciebie koszulkę.

Wytrącił ją teraz z równowagi, widział to. Policzki miała zarumienione. Oczy szkliste.

— Fakt, że przywykłeś do tego, że dobierasz się kobietom do majtek, wcale nie oznacza, że dobierzesz się do moich — powiedziała.

— Co to, do cholery, ma znaczyć, Mack? — Teraz on się wściekł.

— Mówię tylko, że twoja pewność siebie nie oznacza, że muszę się z tobą bzykać.

— Masz cholerną rację, że nie. A teraz mi powiedz, o co tu tak naprawdę chodzi. Bo ja się nie wstydzę tego, jak żyję. Tego, jak traktuję ludzi.

— Skaczesz z kwiatka na kwiatek, do nikogo za bardzo się nie zbliżasz. A teraz nagle twierdzisz, że ja jestem „inna” i że jestem „wyjątkowa”, i że muszę ze wszystkiego zrezygnować, żebym mogła być inna i wyjątkowa dla ciebie.

Linc zacisnął dłonie w pięści na kolanach.

— Tym razem ci wybaczę. Bo jesteś wściekła i przestraszona. Ale nie przerzucaj na mnie *własnych* problemów. Byłem z tobą tylko i wyłącznie szczerzy.

— Chcesz powiedzieć, że ja nie byłam z tobą szczerą?

— Chcę powiedzieć, że nie jesteś szczerą sama ze sobą. Boisz się, bo coś czujesz. Ja też to czuję. Ale różnica polega na tym, że ja jestem gotowy na tę przygodę. Nie interesuje mnie chowanie się przed tym. Może tobie jest lepiej, gdy nic nie czujesz?

Mack wyrzuciła ręce w powietrze.

— Nie mogę uwierzyć, że prawie...

— Co? — zapytał, wstając. — Pozwoliłaś sobie poczuć coś naprawdę? Po raz pierwszy w życiu nie miałaś pełnej kontroli?

— Wal się, Linc.

— I wzajemnie, Marzenie — powiedział, przeciskając się obok niej do drzwi. — Trafisz do wyjścia.

Nie pozwoli jej na kłótnię, do której aż się rwała. Nie da jej powodu, który mogłaby wykorzystać, żeby się wycofać. Żeby zrezygnować. Żeby się schować.

Chciał zostać na siłowni. Wyładować z siebie wściekłość na worku bokserskim. Wkurzało go, że nawet po tym, jak wbiła w niego swoje pazury, jak na niego naskoczyła, on wciąż miał z jej powodu erekcję. Wciąż jej pragnął. Rozpaczliwie.

Ale był tylko życzliwym, dobrym facetem bez prawdziwych uczuć. Czy też męską dziwką.

Drzwi wejściowe zamknęły się z trzaskiem.

Wyszła. Jej szminka pozostała nietknięta. W przeciwieństwie do jego serca.

Rozdział 26.

Mack pokuśtykała do swojego domu, a dym szedł jej uszami. Wieczorne utykanie wzdłuż ulicy w niewielkim stopniu załagodziło jej wściekłość.

— Jak on *śmiał* — powiedziała do pustego salonu. Weszła z impetem do kuchni z zamiarem zaparzenia sobie herbaty. Ale zgodnie ze swoim nowym zwyczajem wyjrzała najpierw przez okno. Linc był dalej na siłowni. Nie miał na sobie koszulki. Nawet z tej odległości widziała pot lśniący na jego idealnym ciele. Uderzył zaciekle worek z taką furią, że poczuła jej echo w swoim ciele. Odwróciła się plecami do tego widoku.

— Z góry coś sobie zakłada. Mówi, że mam manię na punkcie kontroli i że jestem tchórzem. — Nie zrobił tego. Tak właściwie. Nie w tych słowach. Ale *zasugerował* to.

— Nie ma prawa mnie osądzać — mruknęła pod nosem i otworzyła lodówkę.

Na drzwiach stała otwarta butelka białego wina. Nalała sobie kieliszek prawie po sam brzeg.

Była wzburzona. Z butem ortopedycznym nie mogła biegać. Nie mogła trenować tak jak zwykle. To o to chodziło.

A może o to, że powiedział prawdę.

Cichutki głos w jej głowie nie był mile widziany. I wkurzał.

— Sama decyduję, z kim chcę sypiać i kiedy — powiedziała na głos.

Chciała się z nim przespać. Chciała sięść na nim okrakiem i ujeżdżać go na ławeczce do wyciskania ciężarów, przyciśnięta klatką piersiową, mieszając ich pot, oddychając ciężko.

Ale pomyślała o swoich cieniach. O bliznach. I zmieniła zdanie. Zamknęła oczy. Nie zmieniła zdania. Stchórzyła.

Zerknęła jeszcze raz przez okno. Linc dalej boksował. Brutalnie. Ostro.

Umiała uszanować wściekłość.

Nie wyładował na niej swojej wściekłości. Nie dał się sprowokować do kłótni. I przez to wygrał.

— Co się ze mną dzieje? — Spojrzała w dół, ale uświadomiła sobie, że nie ma obok siebie puchatego biszkoptowego labradora, czekającego na jej wyznania. Była sama. Jak zawsze.

Mack wzięła wino do salonu i włączyła telewizor. Skoro nie mogła wybiegać wściekłości, to może uda jej się zabić ją gapieniem się w ekran.

Ale jedyne, co widziała, to uraza w oczach Linca. Sposób, w jaki przyjął cios, który mu zadała. Był z nią szczerzy i autentyczny. To ona robiła uniki i strzelała na oślep.

Dlaczego?

Bo cholerny komendant miał rację. Bała się. Bała się tak, że cała się trzęsła w swoim bucie ortopedycznym.

Przez niego zaczęła chcieć rzeczy, których nie powinna była chcieć. Przez niego poczuła rzeczy, których nie powinna była czuć. Lincoln Reed był czarującym, dobrze zbudowanym, seksownym zakłóceniem jej planów. Nie popełniła błędu, kończąc sprawę, zanim jeszcze się zaczęła.

Ale zrobiła to w brzydki sposób. Niepotrzebnie go zraniła. Gorzej, oskarżyła go o to, że wywierał na nią presję.

Kiedy stała się takim cholernym tchórzem?

— Cholera jasna.

Wyłączyła telewizor, zostawiła wino na stoliku kawowym i pokuśtykała na górę.

Wzięła długi, gorący prysznic z nadzieją, że zmyje z siebie choć trochę nienawiści do samej siebie. Część lodowatego strachu, który zgromadził się w jej brzuchu. Zamknęła oczy pod strumieniem wody i dała upust swoim myślom o dłoniach Linca na swoim ciele, o jego ustach. O sprośności wymieszanej ze słodyczą.

Pragnęła Lincolna Reeeda. I z jakiegoś powodu to ją bez reszty przerażało.

Przeniosła ciężar ciała na zdrową nogę i sięgnęła po szampon. Próbowwała zrozumieć, dlaczego nie miała odwagi wpuścić tego mężczyzny do swojego łóżka.

Uwielbiała dobry romans. Ten zew krwi. Spokój płynący z faktu, że znało się dokładnie oczekiwania — czy raczej ich brak. *Linc jasno wyraził swoje oczekiwania*, pomyślała.

Facet chciał za dużo, za dużo od niej wymagał.

Ale nie zawinił niczym poza szczerością.

Cholera jasna. Będzie musiała go przeprosić.

To było najbardziej wkurzające w byciu dorosłym. Chciała wierzyć w słuszność swojego gniewu, a nie mierzyć się z własnymi niedoskonałościami, z własną odpowiedzialnością za problem.

Bycie odpowiedzialnym dorosłym było do bani. Niemal czuła urok wyborów dokonywanych przez jej matkę. Żadnego poczucia odpowiedzialności ani empatii. Andrea — Auhn-DREA-ah, nigdy Andrea — O’Neil-Leyva-Mann, czy jakkolwiek się teraz nazywała, była zdolna troszczyć się tylko o jedną osobę w życiu. Tylko na to miała ochotę. Nie

miało znaczenia, ilu mężów czy chłopaków miała, ile dzieci miała. Nic nie liczyło się bardziej niż jej własne zachcianki i potrzeby. Nic nie wymagało zaspokojenia wcześniej niż jej własne uzależnienia.

Woda zaczęła robić się zimna. Podobnie jak palce zaciśnięte wokół jej serca na myśl o matce. Wciąż niespokojna, Mack wyszła spod prysznicza i wytarła się. Rozczesała grzebieniem włosy. Była tak zmęczona, że chciała jedynie iść do łóżka. Ale myśl o tym, że jutro w przychodni miałyby mieć rozczochrane od poduszki włosy, kazała jej sięgnąć z niechęcią po suszarkę.

Z suchymi włosami, bolącą głową i zranionym sercem wsunęła z powrotem but — zalecenie lekarza — i bez entuzjazmu powlekła się do sypialni.

Włączyła lampkę nocną i z rozdrażnieniem pozwoliła opaść ręcznikowi. Leżał przez pełne dwie sekundy na podłodze, zanim stwierdziła, że rano będzie na sobie tylko bardziej wściekła za to, że zostawiła mokry ręcznik na podłodze, więc rozwiesiła go na drzwiach, żeby wysechł.

Zagryzła wargi i ulegając ciekawości, wyjrzała przez okno w sypialni. Na górze u niego paliło się światło. Pewnie też szykował się do spania. Sam.

Czy nie spędziła wystarczająco dużo czasu sama?

Czy dwoje ludzi mogło zawrzeć ze sobą układ, w którym każde z nich chciało czegoś innego? Czy mogli zdobyć się na jakiś słaby kompromis?

Zobowiązania, obietnice. Na tym zależało Lincowi z bliżej niezrozumiałych dla niej powodów. Nie widziała w nich żadnego pożytku, zawsze zakładała po prostu, że pewnego dnia, gdy już trafi tam, gdzie będzie chciała zostać, te zobowiązania i obietnice same naturalnie się pojawią.

Zauważyła ruch w jego sypialni. Dużą, umięśnioną rękę, a potem resztę...

Dobry Boże. Ten facet był *nagi*.

Ona była naga.

Wpatrywali się w siebie przez szyby i niemożliwą do przekroczenia przestrzeń zielonej trawy. Płot między nimi stanowił zarówno fizyczną, jak i metaforyczną granicę.

Komendant Reed w całej swojej nagiej okazałości zapierał dech w piersiach. Miał ciało gladiatora. Szeroką, wytatuowaną pierś. Masywne bicepsy i duże dłonie. Umięśnione uda. A pomiędzy nimi...

— Tak, zdecydowanie muszę przeprosić — wymruczała. Odrętwienie po prysznicu prysło, gdy jej policzki zapłonęły gorącym rumieńcem.

Linc obserwował ją chłodnym, beznamiętnym wzrokiem. Była zbyt daleko, żeby widzieć jego zaciśnięte szczęki, poruszenie na wpół gotowego członka. Ale wyczuwała przyciąganie i odpychanie złości, przykrości i pożądania, które być może byłyby zdolne wszystko jej wybaczyć.

Pragnęła tego ciała. Wyobrażała je sobie nad sobą, w sobie i pod sobą. Jej kolana zadrżały i otworzyła usta, żeby coś mu powiedzieć, cokolwiek.

Ale on zaciągnął wtedy zasłony i znów zostawił ją samą.

Tej nocy Mack śniła. Mroczne, pełne cieni sny, które ścisnęły ją za serce, mroziły krew w żyłach.

Pokój. Gorący i duszny. Z rozpadającym się dywanem w kolorze żaby Kermita. Podwójny materac na podłodze i miękki różowy koc. Jej nieodłączny towarzysz wszystkich przeprowadzek i nowych mężczyzn, do których mama

kazała jej mówić „wujku”. To była jedyna rzecz w tym miejscu, która zapewniała jej jakikolwiek komfort psychiczny.

Tanie drzwi równie dobrze mogły być stalową kryptą. Jej małe rączki nie były w stanie otworzyć zamka. Było ciemno. Będzie miała kłopoty, gdy mama wróci do domu i zobaczy, że przeznaczyła róg maleńkiego pokoju na toaletę. Nie miała wyjścia. To nie była jej wina.

Ale takie sprawy jak wyjście czy wina nie miały dla mamy znaczenia.

Okno. Przyklejone do framugi resztkami farby. Zajęło jej to wiele godzin, może nawet cały dzień. Nie była pewna. Ale stopniowo udało jej się je otworzyć przy pomocy drzwiczek od resoraka. Ziemia była tak strasznie daleko. Ale powiew powietrza na twarzy był cudowny. Osuszył łzy i dawał poczucie ogromnego zwycięstwa.

Czy mogła skoczyć? Bała się. Czy ziemia była gorsza niż ten gorący, duszny pokój? Gorsza niż brak jedzenia i samotność?

Nagle sceneria się zmieniła. Nie była już sama. Na ziemi stał Linc.

— Złapię cię — obiecał.

Ufała mu. Wierzyła. Zaczęła spadać.

Na śnieżnobiałym prześcieradle była twarz, która powoli zaczęła robić się czerwona. *Jego* twarz. Twarz martwego mężczyzny. Tego, którego zabiła.

Mack obudziła się, rozpaczliwie łapiąc ustami powietrze.

Przerzuciła nogi na brzeg łóżka, nieporadnie kopiąc butem w barierkę.

Przyłożyła rękę do blizny. Fantomowy ból sprawił, że skóra wydawała się lepka. Było ledwie po czwartej. I nie było

mowy, żeby mogła z powrotem zasnąć.

Dwie i pół godziny później rozpakowała wszystkie pozostałe pudła z przeprowadzki i starannie ułożyła kartony w garażu, który był zbyt mały, żeby zmieścić jej SUV-a, potem zaś wzięła telefon i wybrała numer.

Rozległ się radosny głos Violet.

— Rezydencja Nguyenów, mówi Violet.

— Cześć, Vi. Tu Mack.

Dziewczynie udało się odpowiedzieć w rozbawiony i poirytowany sposób jednocześnie.

— *Wiem, że to ty.*

— Nie wiedziałam, że telefon stacjonarny twoich rodziców ma system rozpoznawania numerów — powiedziała Mack.

— Bo nie ma. Co nie oznacza, że nie potrafię rozpoznać twojego głosu. Jezu, Mack. Czasem mi się wydaje, że tobie się wydaje, że jesteś kimś obcym.

Swobodna, niemal siostrzana sprzeczka była jak balsam na duszę Mack. Usiadła na kuchennym krześle i oparła nogę na stole.

— Jak ci idzie w szkole? Jakies kłopoty z tą idiotką z zeszłego roku?

— O. Mój. Boże. No więc czaisz? Pojawiłam się pierwszego dnia w szkole, gotowa wyłożyć kawę na ławę i poważnie z nią porozmawiać, tak jak mi mówiłaś, co nie?

— Tak.

— No więc przychodzę, gotowa zachować pełen spokój i takie tam. Powiedzieć jej, że nie zgadzam się dłużej na to, żeby okazywała mnie lub komukolwiek innemu taki brak szacunku. Wtedy jedna z koleżaneczek Lynetty przechodzi obok i zaczyna gadać: „Słyszałaś o Lynecie?”. A ja na to:

„Nie”. A ona wtedy mówi: „Lynetta została przyłapana latem na znęcaniu się online nad jakimś głupawym ósmoklasistą i jej rodzice tak się wściekli, że wysłali ją do szkoły z internatem dla wrednych dziewczyn”.

— Żartujesz sobie — powiedziała Mack, znając wymaganą odpowiedź.

— *Dokładnie* to samo powiedziałam. Więc w nowym roku szkolnym nie ma Lynetty i dziesiąta klasa to, krótko mówiąc, najlepszy rok w moim życiu — oznajmiła Violet.

— To wspaniale.

— Prawda? Oj, zaczekaj. Muszę zjeść śniadanie przed szkołą. Chcesz pogadać z mamą?

— Tak, byłoby super — powiedziała Mack.

— Ej, przyjedź kiedyś do domu, zanim naprawdę staniesz się obca, dobra? — powiedziała Violet. Nie czekała na odpowiedź. — Mamoooo! Dzwoni Mack!

— Mack! — Radość i zaskoczenie w głosie Dottie Nguyen wywołały w Mack poczucie winy, ale jednocześnie przyniosły ulgę.

— Cześć, Dottie.

— Właśnie o tobie myślałam. Jak tam Benevolence? Przyzwyczajasz się jakoś do roli małomiasteczkowej lekarki? Ludzie mówią na ciebie „doktorka”?

Oczywiście, że Dottie pamiętała nazwę miasta, którą Mack wspomniała przelotnie, kiedy mówiła Nguyenom, że się przenosi. Troska i zainteresowanie tej kobiety szczegółami stanowiły rażący kontrast dla egoistycznej egzystencji matki Mack.

— Faktycznie mówią na mnie „doktorka” — zaśmiała się.

— Kiedy możemy cię odwiedzić? — Chciała wiedzieć Dottie.

I pytała szczerze.

Serce Mack ścisnęło się odrobinę. Zawsze była wdzięczna — boleśnie, żałośnie wdzięczna — za Dottie i Winstona Nguyenów (zwanych żartobliwie Win-Win) i te dziesięć tygodni, które spędziła z nimi w dzieciństwie. Za nieznanym, którzy natychmiast udowodnili, że byli dużo większą stałą w jej życiu niż jacykolwiek krewni z krwi i kości, jakich Mack знаła. Wszyscy płakali, kiedy się wyprowadzała. Całymi latami żałowała, że nie mogła zostać u nich dłużej. Po ukończeniu osiemnastu lat odszukała Dottie na Facebooku i wysłała jej wiadomość: „Pewnie mnie nie pamiętasz, ale...”.

Dottie pamiętała. I bardzo się ucieszyła. Zasypała ją pytaniami na temat tego, jak się miała i co porabiała. A kiedy Mack przyznała się, że marzy o medycynie, Winston, chudy, energiczny podiatra z całym zbiorem fatalnych żartów o stopach, doradził jej, jakie kursy przygotowujące na medycynę wybrać. Zaproponowali, że pomogą jej opłacić studia. Nie zgodziła się. Wzięła sobie za punkt honoru, żeby zrobić wszystko samodzielnie. Ale na wspomnienie tej szczodrej oferty oczy niezłomnej Mack nadal zachodziły łzami.

— Vi właśnie mnie pytała, kiedy ja do was przyjadę. — Violet była dzieckiem, które Dottie i Winston mogli zatrzymać. Mack jednocześnie bardzo się ucieszyła ze względu na nich, jak i poczuła głęboki smutek, że to nie mogła być ona. Ale decyzja nie leżała ani w rękach Nguyenów, ani w jej własnych.

— Nie ma powodu, żeby nie zrobić i tego, i tego — stwierdziła Dottie. — Jakie masz plany na Święto Dziękczynienia?

Mack roześmiała się, czując, jak ucisk w piersi odpuszcza.

— Jeszcze nawet nie wybrałam cukierków dla dzieciaków.

— Znam cię, Mackenzie. Jeśli cię nie przyprę do muru i nie zmuszę do zapisania daty w kalendarzu, to się nigdy nie wydarzy. Przyjedziemy do ciebie na Święto Dziękczynienia — postanowiła.

Mack poczuła lekkie ukłucie paniki.

— Mój dom jest wielkości domku dla lalek.

— Zatrzymamy się w hotelu.

— Nie umiem przygotować świątecznej kolacji i mogę mieć dyżur.

— Win zrobi z nas kuchcików. I dobrze wiem, że to twoje miasteczko ma opiekę świąteczną, która będzie otwarta w Święto Dziękczynienia. Więc *jeśli* dostaniesz wezwanie do przychodni, to zaczekamy na ciebie z kolacją. Ale masz całkowity zakaz brania dyżuru w pogotowiu lotniczym tego dnia. Zrozumiałaś?

— A skoro o tym mowa — powiedziała Mack, wpatrując się w brzydki but ortopedyczny na nodze. — Nie mogę brać dyżurów w powietrzu, dopóki nie zdejmą mi buta ortopedycznego.

Na chwilę zapadła cisza, a potem rozległ się okrzyk Dottie:

— Dlaczego nosisz but ortopedyczny, Mackenzie?

Mack przekazała jej złagodzoną wersję wydarzeń.

— Co to za miasto? Czy on był na metamfetaminie? Czy ty mieszkasz w centrum narkotykowym? — dopytywała się Dottie.

Mack się roześmiała.

— Nie. Obiecuję. To naprawdę bardzo miłe miasteczko. I między innymi z tego powodu dzwonię. Jest taki jeden facet.

Kolejna chwila ciszy, w trakcie której słychać było, jak Dottie otwiera jednoporcjową paczkę chipsów. To była jej jedna jedyna wada.

— Opowiedz mi *wszystko*. Ale bądź przygotowana na powrót do tematu złamanej kostki, żebym mogła wzbudzić w tobie poczucie winy za to, że nie powiedziałaś nam zaraz po tym, jak to się stało. Jesteś dla nas ważna, Mackenzie O’Neil.

— Wiem. I dziękuję. I przepraszam.

— Dobrze. To teraz mów.

Rozdział 27.

— Dzień dobry, Mackenzie. — Russell złączył entuzjastycznie obie ręce. — Zgadnij, co dziś będziesz robiła?

Już była wykończona, a ledwie przestąpiła próg swojego gabinetu. Nie była gotowa na żadnego rodzaju entuzjazm.

But ortopedyczny wkurzał ją dziś znacznie bardziej niż zwykle. Cholera, wszystko ją wkurzało. Cały porządek został zburzony i nic tego nie zmieni, dopóki nie rozwiąże sprawy z Linkiem. Ale musiała wymyślić, jak go przeprosić. Starannie to zorganizować. Dać mu kilka dni na ochłonięcie. Potrzebowała przynajmniej dwóch lub trzech dni. *Może najpierw stworzy zarys pomysłu, a potem przeniesie go na diagram Venna?*

Nie lubiła się płaszczyć. Ale zachowała się okropnie i Linc zasługiwał na prawdziwe przeprosiny.

— Co mam dziś robić?

Ostrożnie opuściła się na fotel, którego jeszcze nie wymieniła. To była w tej chwili kwestia zasad. Była zdeterminowana, żeby doczekać, aż krzesło dokona żywota. Nie wytrzyma dużo dłużej. Huknęło okropnie i opuściło ją dziesięć centymetrów. Ale sam fotel pozostał nienaruszony, a ona utrzymała pozycję siedzącą.

Russell przyglądał się z rozbawieniem jej dramatowi z meblem w roli głównej.

— Razem z Freidą pojedziecie do remizy na badanie okresowe strażaków — wyszczerzył się w szerokim uśmiechu.

O cholera.

— Nie wydaje mi się, żeby to był najlepszy pomysł — próbowała się wykręcić.

— Och, ale niespecjalnie masz wybór — powiedział i usiadł na krześle naprzeciwko jej biurka, stykając końce palców. — Bo widzisz, lekarz, który przeprowadza to badanie, musi zbadać prawie czterdziestu pacjentów. Przysadzistych, pierdzących strażaków, którzy niezbyt dobrze przyjmują wiadomość, że grozi im wydalenie ze służby z powodu niespełnienia wymogów fizycznych.

— Twoja córka jest jednym z tych przysadzistych, pierdzących strażaków — przypomniała mu. — I o jakich wymogach mówimy?

— Podobnie jak twój przyjaciel płci męskiej — powiedział, znacząco przekrzywiając głowę. — Benevolence co roku kontroluje sprawność fizyczną strażaków. Remiza dysponuje własnym zestawem testów sprawdzających wydolność oddechową, siłę i wytrzymałość. Tego rodzaju rzeczy. Ale strażacy muszą też co roku poddać się badaniu lekarskiemu.

Cholera do kwadratu.

— Linc nie darzy mnie w tej chwili zbyt przyjacielskimi uczuciami — poinformowała.

— Masz ochotę o tym porozmawiać? — zapytał Russell.

A ona zdała sobie sprawę, że mężczyzna pyta szczerze. I było to jednocześnie pocieszające, jak i przerażające.

— Wolę przez jakiś czas sama z tym pobyć — powiedziała.

— Tylko nie rób tego zbyt ostentacyjnie — ostrzegł. — Freida to wyczuje i dorwie się do ciebie.

— Co wyczuję? — Freida stanęła w drzwiach, ubrana w strój pielęgniarski z motywem miniaturowych strażaków i

dalmatyńczyków.

— Ładny fartuch — powiedziała Mack.

— Kupiłam specjalnie na dzisiejszą okazję. Uwielbiam dzień badań okresowych strażaków! Kiedy jedziemy? Co wyczuję?

Jednostka Straży Pożarnej w Benevolence mieściła się w dużym dwupiętrowym budynku, który zajmował połowę przecznicy w południowej części miasta. Trzy ogromne boksy garażowe, wszystkie otwarte na świeżą, jesienną bryzę, mieściły w sobie lśniące wozy strażackie — wraz z wyposażeniem — i czekały w gotowości na wezwanie do działania.

Podłogi, wypolerowany beton, wyglądały na tak czyste, że można by z nich jeść. Wzdłuż jednej ściany stały metalowe szafki w kolorze wiśniowym, wypełnione sprzętem ochrony osobistej. W środku pachniało dieslem, olejem i pastą do podłóg.

— Dzień dobry, pani doktor. — Zastępczyni komendanta Kelly Wu była ostrą kobietą o zdolnościach przywódczych, która nie bała się ubrudzić sobie rąk. Jak dowodził tego smar, który właśnie wycierała w ścierkę.

— Miło cię widzieć, Kelly — przywitała się Mack. Rozejrzała się, ale nie zobaczyła Linca. Czowała łaskotanie w żołądku, podobnie jak miało to miejsce, gdy jechała na miejsce wypadku. Stres i podekscytowanie. Kłótnia podniosła jej adrenalinę i Mack się zastanawiała, czy przeprosiny zadziałają tak samo.

— W tym samym miejscu co zwykle? — zapytała Freida, klepiąc swoją torbę lekarską.

— Jasne. Rozstawiliśmy parawany, żebyście mogli przemieszczać się pomiędzy pacjentami — poinformowała Kelly i skinęła głową w kierunku schodów.

Linc pewnie tam był. *Dalej był zły? Dalej myślał o tym, jak fatalnie się zachowała? Postanowił dać sobie z nią spokój? A może nawet zainteresował się już jakąś mniej frustrującą kobietą? Na przykład jedną z pielęgniarek z SOR-u?*

Russell miał rację, pomyślała, krzywiąc się. *Wstyd w niczym nie pomagał.*

Spieprzyła sprawę. Teraz się do tego przyzna. A jeśli on nie będzie już zainteresowany zabawą w rozbieranego, jego strata. Była świetna w łóżku.

— Pomóc wam z torbami? — zaproponowała Kelly.

— Nie, dzięki — odparła Mack, mocniej łapiąc za swoją. — Damy radę.

Freida wyglądała na rozczarowaną.

— Ale każesz im zdjąć koszulki, prawda? — wyszeptała w drodze na górę.

Schody prowadziły do pomieszczenia rekreacyjnego z kuchnią wciśniętą w rogu i fotelami ustawionymi w półkolu naprzeciwko telewizora wielkości billboardu. W innej części pokoju znajdowały się stół bilardowy oraz kilka kanap i stolików. Między strefę telewizyjną i bilardową wciśnięto składany stół ustawiony naprzeciwko dwóch prowizorycznie wydzielonych boksów zabiegowych, które przypominały bardziej dziecięce namioty z koców.

— Pani doktor, Freido. — Z korytarza wyszedł Brody Lighthorse z kubkiem kawy w ręku.

— Mam nadzieję, że ta kawa jest czarna, a ty jesteś na czczo przed pobraniem krwi — powiedziała Mack, patrząc na kubek.

— To nie nasze pierwsze rodeo. I tylko uprzedzam, że wszyscy już marudzą, że są głodni. — W jego głosie dało się wyczuć delikatną wrogość. Ale Mack od urodzenia była zaprogramowana, żeby wyczuwać subtelne podteksty.

— Najpierw pobierzemy wam krew, a potem zaprosimy po kolei na badanie — postanowiła.

— Dobrze — odparł. Posłał jej przeciągłe, milczące spojrzenie.

Miała neodparte wrażenie, że Linc mógł wspomnieć o jej nieprzyjemnym wybuchu z poprzedniego wieczora. Wszyscy już pewnie o nim wiedzieli. W brzuchu znów poczuła znajome, nieprzyjemne zwoje wstydu.

— Zbiorę załogę — powiedział i zniknął na dole schodów. Mack postanowiła zignorować złe wibracje i zdenerwowanie i pomogła Freidzie rozstawić stanowiska do pobierania krwi. Minutę później w całym budynku w głośnikach zatrzeszczał głos Brody'ego.

— Załoga Straży Pożarnej w Benevolence, proszę zgłosić się na drugie piętro na badania lekarskie.

Z każdego zakątka budynku dobiegły jęki.

To będzie paskudny dzień.

Linc, jak zauważyła Mack, celowo ustawił się do Freidy na pobranie krwi. Ale był zbyt uprzejmy, żeby całkowicie ignorować jej obecność.

— Miło panią widzieć, doktoro — powiedział. Mówił lekkim, wręcz przyjacielskim tonem. Ale brakowało w nim tego podszeptu mówiącego: „Wiesz, że mnie pragniesz”. Uleciała intymność, która była między nimi od pierwszej rozmowy. Na skutek tego, co zrobiła Mack.

— Auć! — Niski, krępy strażak z dobrze nawoskowanymi, podkręconymi do góry wąsami, jęknął, gdy wbiła mu igłę w żyłę.

— Nie bądź taką jęczydupą — prychnęła Skyler, córka Russella, z drugiego końca stołu.

— Nie jestem jęczydupą! Sama jesteś jęczydupą. — Nadał się, a potem podkręcił koniec wąsa.

— Dzieci — napomniała spokojnie Mack.

— Przepraszamy, doktorko.

Linc zniknął wkrótce po pobraniu krwi, a Mack przeszła do badań lekarskich.

— Mam nadzieję, że wszyscy macie dziś na sobie bieliznę, bo po wejściu za zasłonkę proszę, żebyście się rozebrali. Zrozumiano?

— Po co ta zwłoka? — Jeden z przysadzistych, potencjalnie pierdzących strażaków ściągnął przez głowę koszulkę i zakręcił nią z entuzjazmem, jeśli nie z wprawą tancerza erotycznego. Rozległy się gwizdy i pokrzykiwania. W ciągu trzydziestu sekund kilkanaście pierwszych pacjentów rozebrało się do bielizny. Jakiś mądrała puścił piosenkę *Pony Ginuwine'a*. Wszędzie spadały sztuki odzieży.

Zane i Skyler zderzali się do rytmu pośladkami. Jeden z większych, starszych strażaków używał ściągniętych spodni jak nitki dentystycznej do tyłka. Jakiś młody ochotnik wskoczył na stół bilardowy i zaczął robić pompki, podczas gdy kilku innych strażaków i Freida rzucali na niego banknoty jednodolarowe.

To była najbardziej absurdalna, najśmieszniejsza scena, jakiej kiedykolwiek była świadkiem w godzinach pracy.

— Pilnujcie, żeby za bardzo nie skoczyło wam tętno! — zawołała Mack, przekrzykując muzykę. Strażak z połową

wąsów i tylko jedną brwią podszedł do niej wolnym krokiem i przywołał ją skinieniem palca.

Pokręciła głową, ale on nie dał za wygraną i przyciągnął ją do siebie, aby zatańczyć sztywne tango.

— Uwielbiam badania okresowe w remizie! — zawołała Freida, przerzucając się na pięciodolarówki.

Kiedy komendant Reed wszedł do prowizorycznego gabinetu, Mack była już porządnie zmęczona. Strażacy zapobiegliwie dostarczyli jej jeden ze stołków na kółkach do prac mechanicznych, żeby mogła się na nim przemieszczać, zamiast kuśtykać pomiędzy strefami badań. Ale po trzydziestu dwóch przebadanych pacjentach była wykończona, głodna i nie w sosie.

— Nie mamy zielonej herbaty, ale może masz ochotę na kawę — powiedział i skinął kciukiem w kierunku kuchni.

Pomimo chłodu i dystansu, Linc w dalszym ciągu był wcieleniem uprzejmości. A ona czuła się przez to jeszcze gorzej.

— Dzięki. Już prawie skończyłam — powiedziała. — Usiądź.

Ściągnął jedną ręką przez głowę koszulkę tym ruchem, który najwyraźniej opanowali do perfekcji wszyscy seksowni faceci, i siadł obok niej na krześle.

Zaschło jej w ustach. A starannie przygotowane przeprosiny uleciały jej z głowy.

Zwiotczały jej mięśnie.

— Zaczniemy od zmierzenia temperatury i ciśnienia krwi — wychrypiała, a potem chrząknęła. Linc wyciągnął rękę, żeby założyła mu ciśnieniomierz. Zacisnęła go wokół jego

bicepsa, bardzo pilnując, żeby nie dotknąć jego skóry ani nie wpatrywać się zbyt długo w jego nagą pierś.

Po umieszczeniu termometru w jego rozkosznych ustach wzięła się w garść i zdobyła się na wyznanie.

— Jestem ci winna przeprosiny.

— Co ty nie powiesz — mruknął z termometrem w buzi.

— Ty nic nie mów. Wczoraj wieczorem byłam sfrustrowana... wieloma rzeczami. Oberwało się tobie i to nie było w porządku. Przepraszam. Świadomie starałam się trafić w twój czuły punkt i sprawić ci przykrość. I jest mi wstyd z powodu swojego niedojrzałego zachowania.

Odczytała wynik pomiaru ciśnienia i zapisała go w laptopie.

— Ty okazywałeś mi wyłącznie cierpliwość i życzliwość, a ja wysyłałam ci sto sprzecznych sygnałów — przyznała. — Przyjechałam tu, mając pewien plan, w którym nie było miejsca na ciebie. Ale nie było też w nim tego. — Postukała się w swój but ortopedyczny.

— Mogę coś powiedzieć? — wymruczał.

— Nie. Bo zaburzysz pomiar temperatury. Tak czy inaczej, nie mam wzorca zdrowego związku. Co w żaden sposób nie tłumaczy tego, że wczoraj wieczorem zachowałam się jak skończona świnia — powiedziała. — Nie powinnam była tak się zachowywać. Ale mam bagaż. Moja matka. Wystarczy powiedzieć, że nie nadawała się do opieki nad dziećmi. Dorastałam, nie wiedząc, co mnie czeka po powrocie do domu. Zadowolona, trzeźwa mama. Pijana, emocjonalnie rozchwiana mama. A może na wpół spakowane kartony, bo wyrzucili nas z domu albo właśnie poznała nowego wujka, który miał odegrać wobec nas rolę rycerza na białym koniu.

Zapiszczał termometr. Ale żadne z nich nie ruszyło się, żeby go wyciągnąć.

— Nigdy nie stworzyłam żadnego związku. Nie wiem, jak wygląda zdrowy związek. Jak funkcjonuje. Robię w gacie na myśl o tym, że mogłabym sprawić komuś zawód. Przyjechałam tu, żeby doprowadzić się do porządku. Ale ty tak bardzo mnie kusisz. I teraz nie jestem pewna, czy chcę lub nawet potrafię trzymać się pierwotnego planu. Wczoraj wieczorem — urwała i wypuściła powietrze z ust. — Nie podobało mi się to, co zobaczyłam w lustrze. Więc może mój plan wymaga weryfikacji.

Linc wyciągnął sobie z ust termometr i podał go jej.

— Czy teraz mogę coś powiedzieć? — zapytał. Jego niebieskie oczy miały nieodgadniony wyraz.

W budynku rozległ się alarm. Poczula jego vibracje w całym ciele.

— Duża akcja, chłopaki i dziewczyny — zapiał Zane, zbiegając po schodach. — Dajcie z siebie wszystko.

Linc zacisnął zęby i naciągnął koszulkę.

— Porozmawiamy — zapowiedział.

Mack pokiwała głową.

— Idź. Zabiorę Iskierkę do domu.

Jego spojrzenie odrobinę złagodniało. Skinął głową.

— Dzięki, doktorko.

I zaraz potem go nie było.

Rozdział 28.

To był paskudny pożar w małym bloku mieszkalnym w północnej części miasta. Zaczął się na trzecim piętrze i posuwał się naprzód jak skończony skurwysyn.

Żar, jaki bił z budynku, wymusił cofnięcie wozu dowodzenia i kierownictwa akcją ratowniczo-gaśniczą pół ulicy dalej.

Było gorąco. Sąsiedzi, dziesiątki ludzi, którzy ustawili się za barykadą, już byli spoceni. Na wszelki wypadek ewakuowano mieszkańców pobliskich budynków. Zorganizowano objazd dla samochodów, a załoga Linca była już w środku i sprawdzała po kolei mieszkania. Oddział z Baylorsville został postawiony w stan pogotowia na wypadek, gdyby potrzebne było wsparcie lub przejęcie innych przychodzących wezwań.

Ale na chwilę obecną ekipa Linca miała sytuację pod kontrolą.

Podręcznikowa reakcja.

Większość mieszkańców została zlokalizowana. Ale była wciąż jedna rodzina z trzeciego piętra, na temat której nikt nic nie wiedział.

Operatorka wozu strażackiego odezwała się w radiu.

— Centrum dowodzenia. Operator. Otwieram zdziwę. Jest gorąco, szefie!

— Przyjąłem, Lucille. Potrzebujesz pomocy?

— Nie — odpowiedziała. — Nie chcę, żeby przysmalił się któryś z tych pięknych wąsów. Bez odbioru.

— Przyjąłem. Melduj się.

Posłał jeden z zespołów z węzłem strażackim na tył budynku, gdzie operatorka otwierała dach.

— Zatopcie to piekło — nakazał. — Przeszukać budynek i podjąć akcję ratunkową. Wu, raport sytuacyjny.

Rozległy się trzaski, a zaraz potem spokojny głos jego zastępczyni.

— Przeszukaliśmy dwa segmenty na trzecim piętrze. Ale nie mam zaufania do tego dachu, że utrzyma dwa segmenty po wschodniej stronie. Gęsty dym. Duże płomienie w kierunku schodów. Brak spryskiwaczy. Ogień postępuje szybko. Poza tym schody przeciwpożarowe z tyłu to jakiś żart.

— Wyślę od wschodniej strony ekipę z drabiną — obiecał Linc. — Uważaj na głowę. Lucille otwiera z tyłu zachodni róg.

Wu milczała przez chwilę.

— Komendancie, słyhać szczekanie psa. Sprawdzimy jeszcze raz.

Podbiegł do niego chudy ochotnik.

— Komendancie. Jeden z mieszkańców mówi, że jego zdaniem w ostatnim segmencie od wschodu ktoś jest w domu. W rodzinie jest starsza kobieta, teściowa, oraz wielgachny pies.

— Potrzebna mi ekipa z drabiną na trzecie piętro po wschodniej stronie — podał przez radio Linc.

W środku budynku rozległ się łoskot, który Linc wyczuł pod stopami na ulicy.

— Czy ktoś mi może powiedzieć, co to, kurwa, było? — zawołał.

— Jasna cholera. Komendancie. Właśnie zawaliły się schody. Nikomu nic się nie stało, no, prawie, ale utknęliśmy na trzecim po zachodniej. Nie mamy jak wyjść — zaraportowała Kelly.

— Trzymaj się, Wu. Już po was idziemy.

Linc przywołał machnięciem ręki jednego z ochotników i wcisnął się w jego kombinezon ochronny. Sam był weteranem w jednostce, spędził z nimi dwadzieścia pięć lat, i na skutek chorego kolana nie zajmował się bezpośrednio zadaniami ratowniczymi.

— Co tam, szefie?

— Mam zespół uwięziony na trzecim po zachodniej stronie, możliwe mniejsze obrażenia. I potencjalnie uwięzioną osobę na trzecim po wschodniej. Uruchom drugi stopień alarmowy. Wezwij oddział z Bayersville — zalecił Linc, podając mężczyźnie radiostację. — Trzeba natychmiast wysłać drabinę na zachodnią stronę.

Taki był protokół. Najpierw ratowano strażaków. Bo w przeciwnym razie nikt by nie został uratowany. Ale on miał zaufanie do swojego zespołu, a sam miał dwie sprawne ręce do pracy i był już umundurowany.

Wyminął wóz z drabiną, który wyjeżdżał z za budynku, i zobaczył Skyler, która machała do kierowcy z otwartego okna na trzecim piętrze.

Podbiegł do samochodu i wziął swój aparat tlenowy. Zarzucił butlę i po sekundzie ruszył do akcji. Wciąż zapinając zbiornik, zrównał się z drugim wozem. Ciężar ekwipunku był dobrze znajomy, uspokajał.

— Zabieramy cię na trzecie? — domyślił się kierowca.

— Tak. Ktoś może być uwięziony.

Nie brał już tak często udziału w akcjach jak kiedyś. Rola komendanta wiązała się z innymi obowiązkami. Ale kiedy tylko miał szansę, to z niej korzystał.

W radiu rozległa się informacja o pożarze drugiego stopnia.

— Komunikat z centrum dowodzenia przy Chestnut Street. Uruchomić drugi stopień alarmowy — powiedział Sam.

Schody pożarowe na tyłach budynku nie nadawały się do użytku. Wsporniki były przeżarte rdzą, a na trzecim piętrze konstrukcja całkowicie oderwała się od ceglanej elewacji.

Zaledwie minutę później załoga z wozu oparła drabinę o budynek od frontu, z dala od płomieni. Wszedł po niej ostrożnym, ale pewnym krokiem na trzecie piętro do dużego frontowego okna w tym segmencie. Poczuł, że drabina się chwieje, bo ktoś wchodził za nim.

— Komendant do centrum dowodzenia. Zaraz wchodzę na trzecie piętro po wschodniej stronie. Ograniczona widoczność. — Dym w środku był już gęsty jak mgła. I to dym stanowił prawdziwe zagrożenie.

— Uważaj tam — rozległo się ostrzeżenie Sama przez radio.

Wtedy Linc to usłyszał. Niewyraźnie poprzez trzask płomieni i wycie syren. Szczekanie psa.

Wyszkolenie i doświadczenie były jego przewodnikiem. Wentylacja. Wejście. Przeszukanie. Wyciągnął z kieszeni młotek i ostrym uderzeniem rozbił szkło.

— Jest tu ktoś? — zawołał w głąb pomieszczenia, oczyszczając jednocześnie framugę ze szkła. Z okna wydobyły się kłęby dymu, przesłaniając mu widok. Ale znów dało się słyszeć szczekanie. Bardziej uporczywe. Bardziej bezradne.

— Komendant Reed wchodzi do budynku na trzecim piętrze po wschodniej stronie w celu przeszukania i ewakuacji — powiedział do radia.

Opuścił się na dół z parapetu i skulił się. To był mały, kwadratowy salon z taną kanapą, która za minutę lub dwie miała stanąć w płomieniach. Te piękne czerwone i pomarańczowe jęzory już przedzierały się przez przeciwległą ścianę, wchodząc do mieszkania niczym piekielny upiór.

Szkolenie nakazywało, żeby ratownicy przeszukiwali pomieszczenia na czworakach, chowając głowy przed trującym dymem. Ale gdy tylko pozwalały na to okoliczności, Linc pozostawał na stojąco, bo w ten sposób poruszał się szybciej i szybciej przeszukiwał dane pomieszczenie.

Szczekanie zamieniło się teraz w samotne wycie gdzieś na tyłach mieszkania.

— Pokój od frontu czysty — powiedział na potrzeby strażaka czekającego na szczycie drabiny.

Wybrał drogę po wytartym dywanie do kuchni. Było tam tak gorąco, że linoleum odklejało się od podłogi. Tu dym był jeszcze gęstszy. Jeśli była tu jakakolwiek żywa istota, to jej godziny były policzone.

Wsluchał się w radiowe komunikaty. Jego załoga poszukiwawczo-ratownicza wydostała się z budynku. Byli bezpieczni i zajęli się obsługą węży strażackich. Pozostała część bloku została przeszukana. Na miejscu zdarzenia zbierały się kolejne jednostki.

Od wąskiego korytarza odchodziły trzy sypialnie. Otworzył kopniakiem pierwsze drzwi i przeszukał szybko pomieszczenie. Jedno podwójne łóżko. Łóżeczko niemowlęce. Oba puste. Na całe, kurwa, szczęście. Sprawdził w szafie i pod łóżkiem, po czym cofnął się na

korytarz. Druga sypialnia też była pusta. Pchnął trzecie drzwi i tym razem opadł na kolana. W środku znalazł na podłodze mokry ręcznik. Uszczelniał drzwi i blokował dym do czasu, póki on sam nie otworzył drzwi.

Widoczność była praktycznie zerowa, bo dym wpadł razem z nim do środka.

Płomienie pożerały ściany i lizały starannie posłane łóżko. Zobaczył pod oknem ciało, a obok niego psa. Podpełzł bliżej.

Pies zamachał powoli ogonem. Ciało należało do kobiety. Starszej, słabej. Nieprzytomnej. Przez rękawicę nie mógł wyczuć pulsu, ale nie było czasu sprawdzać.

— Hej, kolego. Zabierzmy was stąd — powiedział Linc przez maskę.

— Centrum dowodzenia do komendanta Straży Pożarnej Benevolence — zatrzeszczało radio. — Operator przekazuje, że dach lada moment runie. Zabieraj się stamtąd.

— Przyjąłem. Znalazłem dwoje poszkodowanych. Jedną nieprzytomną kobietę, jednego wielkiego psa. Trzecie piętro. Sypialnia od tyłu. Wydobywam ofiary.

— Przyjąłem. Czekam przy oknie.

Płomienie już po nich szły. Hipnotyzujące jęzory, zmysłowe serpentyny oranżu i czerwieni. Czerń zamykała się wokół nich. Czerń i żar. Przez wszystkie swoje warstwy ochronne Linc słyszał ryk potwora.

Pot, każda kropla wody w jego ciele była siłą wypychana przez pory na jego skórze. Rozległy się dudnienie i ryk. Poczul, że drży pod nim podłoga i modlił się, żeby sufit w małym pokoju wytrzymał jeszcze chwilę.

— Co to, kurwa, było? — krzyknął Linc.

Pies zaskomlał żałośnie i podpełzł bliżej niego.

— Czy ktoś widzi, co się dzieje? — zawołał Sam.

— Wóz 21 do centrum dowodzenia. Zapadł się sufit w pokoju od frontu w segmencie wschodnim.

I w ten oto sposób Linc został uwięziony w płonącym mieszkaniu z cudzą babcią i psem, którym została minuta lub dwie życia.

— W sypialni od tyłu jest okno. Podstawcie drabinę! — krzyknął do radia.

— Przyjąłem, szefie.

Wstał i wsunął dłonie w rękawicach pod pachy kobiety. Była drobna i pociągnięcie ją na tak krótką odległość do okna nie wymagało dużego wysiłku. Pies podpełzł na brzuchu za nimi. Jego skomlenie było ledwie słyszalne wśród warczenia ognia. Znajdowali się w trzewiach bestii i było tylko kwestią czasu, zanim spadnie na nich dach, całkowicie ich przygniatając.

Linc oparł kobietę o siebie i napał na okno. Ulżyło mu, gdy ustąpiło o centymetr, potem kolejny. Powietrze. Nie czuł go przez maskę. Ale tam było.

Oddychał w urywany sposób, więc ostrożnie spowolnił oddech, żeby starczyło mu powietrza.

— Na miejscu. Okno się zablokowało — zaraportował.

Pies z ulgą wcisnął nos przez szparę, ale zaraz potem odwrócił się znów z oddaniem do bezwładnej, niedającej oznak życia kobiety w ramionach Linca. Na zmianę brał oddech, a potem lizał swoją panią.

Linc miał wrażenie, że upłynęły całe godziny, a gdy mijały cenne sekundy, stracił znów zupełnie widoczność. Pokój wypełniły zdolne przesłonić całe niebo kłęby dymu, czarne i gorące. Jeszcze minuta i już nie będzie kogo ratować.

Przy użyciu własnego ciała osłonił kobietę i psa przed płomieniami, które zamykały się wokół nich.

Dał się słyszeć warkot silnika, a potem udało mu się dostrzec wóz z drabiną zajmujący pozycję, w połowie na ulicy, w połowie na trawniku. Drabina zaczęła jechać w jego stronę.

Linc wcisnął rękę za okno i pomachał.

Głuche łupnięcie drabiny o cegłę oznaczało ocalenie.

Tak samo jak walenie w szkło. Pies znów zaczął szczekać.

— Drużyna ratownicza na pozycji. Okno się zacięło. Komendancie, lepiej się odsuń. Rozbiję szybę.

— Dawaj — powiedział, pochylając się nad swoimi podopiecznymi, gdy szyba za nimi została rozbita i zasypały ich odłamki szkła.

Poczuł raczej, niż usłyszał żalosne skomlenie psa.

— Będzie dobrze, stary. — Obiecał. — Wytrzymaj.

Dym wylał się teraz przez otwór okienny. Ale i tak zobaczył duże dłonie Zane'a w rękawicach, a potem całą resztę mężczyzny, który wdrapał się do środka.

— W samą porę, Schodziarzu.

— Lubię mieć wielkie wejście.

Linc dosłownie wcisnął kobietę w jego ramiona. Zane przytrzymał ofiarę za ręce, podczas gdy drugi strażak złapał ją za nogi. A potem obaj zniknęli. Zniknęli na drabinie w kłębach dymu.

— Twoja kolej, kolego — oznajmił Linc i kucnął, żeby odnaleźć psa. — Postaraj się mnie nie ugryźć, dobra? Ale wybaczę ci, jeśli to zrobisz, bo sytuacja jest przerażająca, tyle że to tylko spowolni nasz odwrót.

Nie dało się tego zrobić delikatnie. Poruszał się po omacku. Uklęknął i wsunął głowę w hełmie pod brzuch psa.

— Założę cię na siebie jak szal babci Lily, ale wyjdiesz stąd — zapewnił.

Pies jęknął, a potem opadł apatycznie na jego ramiona.

— Teraz spokojnie — powiedział Linc, gdy wychodził przez okno, starając się wyczuć szczelbę przez rękawice i buty. — Jeszcze chwila.

Znalazł pierwszy szczelbę, a potem drugi. I w tej samej chwili, w której wyszedł przez okno na drabinę, sufit w środku runął.

Alle-kurwa-luja.

— Dach się zapada — wydyszał do radia i zaczął schodzić na dół, jak najszybciej zdołał pod trzydziestokilogramowym ciężarem bezwładnego psa. — Zabierzcie nas stąd.

Gruz spadał na nich, gdy drabina zaczęła odsuwać się chybotliwie od budynku.

— Na całe, kurwa, szczęście — westchnął. Pies polizał go po masce.

— Ładny szaliczek, szefie! — zawołał Zane z dołu drabiny.

Na ziemi ratownicy medyczni znaleźli puls u nieprzytomnej kobiety i założyli jej maskę tlenową, jeszcze zanim Linc zdążył zejść z wozu. Zane, dalej w swojej masce, pomógł mu ściągnąć psa z ramion na rozłożony na ziemi koc.

Pies był słaby. Miał mocno przysmalone futro. A na jednej z łap widniało paskudne rozcięcie. Ale spojrzał na Linca i zamachał ogonem. Linc ściągnął hełm i maskę i wziął głęboki oddech.

— Proszę. — Khalil, mierzący dwa metry były rozgrywający w drużynie koszykarskiej liceum w

Benevolence, podał Lincowi maskę tlenową.

Pokręcił głową.

— Nie potrzebuję.

— Ty nie, ale twojemu kumpłowi się przyda.

Razem założyli delikatnie maskę na wdzięczny nos psa.

— Dobry chłopak — pochwalił Linc. — Uratowałeś babcię.

Ogon psa zamerdał lekko, a jego oczy się zamknęły. Linc mógłby przysiąc, że pies się uśmiechał.

Rozdział 29.

Był późny wieczór i deszcz walił w okna domku. Już dawno minęła pora, kiedy zwykle kładła się spać, ale Mack nie miała ochoty przyznać, że chce poczekać, aż zobaczy światło u Linca.

Ponieważ sama pracowała w ratownictwie, miała szczególną perspektywę. Wiedziała dokładnie, z jak dużym przeszkoleniem i z jak dokładnym protokołem działania wiązał się udział w akcji ratowniczej. Miała również pełną świadomość tego, jak wiele rzeczy mogło się skomplikować podczas rutynowego wezwania.

Przewróciła stronę powieści — bo miała teraz czas na beletrystykę — i poprawiła poduszkę pod butem ortopedycznym.

Iskierka chrapała z zadowoleniem. Jej puchaty łeb leżał na łydce Mack. Jeśli zacznie częściej zajmować się psami, będzie potrzebowała większej kanapy.

Zauważyła błysk światła w ogródku na tyłach domu i wyciągnęła szyję.

— Tatuś chyba wrócił do domu — poinformowała psa. Ale Iskierka była zbyt pochłonięta snami o królikach i lodach waniliowych, żeby zareagować.

Mack wysunęła ostrożnie nogę spod głowy psa i zamiast niej podłożyła poduszkę. Pokuśtykała cicho do kuchni i zerknęła na światła u Linca.

— Dobrze — szepnęła.

Przestraszyło ją ciche pukanie do tylnych drzwi. Po drugiej stronie szyby stał Lincoln Reed.

Brudny, w świetle samotnej lampy na ganku. Popiół i sadza spływały po jego twarzy i przedramionach. Deszcz całkowicie przemoczył jego T-shirt. Niebieskie oczy płonęły jaśniej niż jakikolwiek płomień.

Mack wiedziała, co się stanie, jeśli otworzy drzwi. On też to wiedział. Przeszył ich elektryzujący dreszcz, bo oboje rozumieli sytuację.

Serce waliło jej w piersi. Znajome macki adrenaliny rozbudziły się w jej brzuchu niczym uśpiony smok.

Pragnęła *tego*. Pragnęła *jego*.

Sięgnęła do klamki i powoli uchyliła drzwi. Kolejna pauza. Kolejne uderzenie serca, gdy wpatrywali się w siebie nawzajem. Pociąg fizyczny był tak namacalny, że zastanawiała się, jakim cudem wcześniej mogła pomyśleć, że uda jej się go zignorować.

— Każ mi iść do domu, Marzenie — wychrypiał Linc.

W tym momencie niczego nie pragnęła bardziej niż rąk tego mężczyzny na swoim ciele.

Pokręciła głową. I więcej nie było trzeba. Linc wszedł do środka. Wkroczył w jej przestrzeń osobistą, w jej ramiona.

Pachniał dymem i deszczem. Jego skóra była mokra i gorąca pod jej niecierpliwymi dłońmi, które wędrowały po rękach, ramionach, plecach. Poczowała promieniującą z niego energię i rozpoznała adrenalinę, pozostałość akcji ratowniczej, na którą sen nie pomagał.

Były inne sposoby, żeby ją wypalić, żeby płynąć na jej fali, aż krew znów stanie się chłodna.

Linc ostrożnie zamknął za sobą drzwi. A potem jego usta zamknęły się na jej. Zęby i języki splotły się ze sobą. Wargi miażdżyły się nawzajem. Jego dłonie wsunęły się pod jej koszulkę i spoczęły na jej skórze na wysokości talii. Kciuki

muskały ciało tuż pod piersiami. Mack wciągnęła jego zapach, poczuła jego smak.

Pozwoliła mu się poprowadzić w głąb kuchni.

Posadził ją na blacie. Deszcz walił miarowo w okno nad zlewem.

— Linc.

— Nie zmieniaj zdania. Proszę, Marzenie.

Ujęła dłońmi jego twarz.

— Nie zmieniam zdania. Po prostu lubię dźwięk twojego imienia, kiedy mnie dotykasz.

Linc przylgnął czołem do jej czoła.

— Jezu. Powalasz mnie.

— Mam nadzieję, że zamierzasz odwzajemnić się tym samym — powiedziała, kęsając go w brodę.

Linc wydał niski, gardłowy pomruk i wsunął dłoń w jej włosy. Złapał ją mocno.

Zobaczyła, że zaciska szczęki, że żyły pulsują mu na szyi, podczas gdy delikatnie rozluźnił uchwyt.

— Nie musisz być taki delikatny, Szpanerze. Nie jestem wątłym kwiatuszkiem.

— Nie, nie jesteś — stwierdził. Jego palce znów zacisnęły się na jej włosach, testując ją. Odchylił jej głowę i przylgnął do jej ust.

Od siły jego pożądania jej serce puściło się w szaleńczy galop.

Przesunęła dłonie w górę jego piersi i wbiła paznokcie w jego ramiona. Mięśnie napięły się do granic pod jej dotykiem. Jego dłonie wielbiły jej skórę, gładząc

płaszczynę jej brzucha, subtelne zbocza talii i bioder, aż w końcu, w końcu pagórki jej piersi.

Dzięki Bogu nie zawracała sobie dziś wieczorem głowy zakładaniem stanika. Gdyby to zrobiła, wciąż by nie wiedziała, jakie to uczucie, gdy brodawki twardnieją pod dotykiem szorstkich palców Linca.

Jej głowa opadła w tył, stukając lekko w jasnoniebieskie drzwiczki szafki.

— Wszystko w porządku?

Ale ona była zbyt zajęta przyciąganiem go do siebie, zaciskaniem nóg wokół jego bioder w usilnym pragnieniu, żeby go poczuć.

— Chwała niech będzie spodniom dresowym — jęknęła, gdy jego gruby członek, którego dres nawet nie próbował okiełznać, przycisnął się do jej łechtaczki.

Duży, twardy, o nieodpartym uroku, tak samo jak cała reszta tego mężczyzny.

Ucisk, który poczuła między nogami, zanim ją dotknął, przybrał na sile i zamienił się w tępe pulsowanie.

Teraz już wiedziała, co to znaczy żądza. Pragnienie. Chuć. Potrzeba.

Wszystko, co знаła wcześniej, było jedynie wyblakłą czarno-białą fotografią. Ale ciało Linca przyciskające ją do szafki i blatu w kuchni było ostrym zdjęciem w jaskrawych kolorach.

Właśnie *tego* jej brakowało.

Właśnie *jego* jej brakowało.

Przytłaczał ją zasięg jej ciągu myślowego, tsunami fizycznych doznań. Przerazały ją nie na żarty. *To* była sytuacja z pogranicza życia i śmierci. A świadomość tego jeszcze bardziej ją podniecała.

Wsunęła rękę między ich ciała i pociągnęła w dół jego spodnie. Jego fiut triumfalnie odzyskał wolność.

A te niebieskie oczy wwierciły się w nią, gdy zacisnęła palce wokół członka. Gładziła go raz za razem i rozkoszowała się drzeniem, które przetoczyło się przez jego ciało, wilgocią, która zaczęła się sączyć z gładkiej główki.

Pragnął jej. Pożądał jej. Czuła to w kościach. A ta wiedza była potęgą.

Wsunęła śmiało drugą dłoń w jego majtki i objęła jego jądra.

— Marzenie, jeśli nie przestaniesz patrzeć na mnie w ten sposób i dotykać mnie w ten sposób, to oboje przeżyjemy ogromne rozczarowanie — wycedził przez zaciśnięte zęby.

— Zmusz mnie.

Jego nozdrza zafalowały na dźwięk rzuconego przez nią wyzwania. Stwierdziła, że w życiu nie widziała niczego seksowniejszego. A przynajmniej do chwili, kiedy Linc zsunął dłonie wzdłuż jej bioder i przyciągnął ją mocno do siebie. Obciągnęła mu znów, tym razem mocniej, drażniąc się z nim. Główka jego wzwiedzonego członka była zgnieciona między nimi. Tkanina jej spodenek zrobiła się całkiem mokra. Za każdym razem, gdy go gładziła, on przyciskał się do jej wygłodniałej łechtaczki.

Zniecierpliwiony Linc chwycił jej szorty i pociągnął.

Cholernie się cieszyła, że ogoliła nogi.

— Pieprz się ze mną, Mackenzie — wyszeptał, gładząc jej nagie uda aż do bioder.

— Taki mam zamiar. — Jej oddech już zaczął się rwać. Znów po niego sięgnęła, ale ją powstrzymał i przygwoździł jej dłonie do szafki za jej plecami.

Oboje spojrzeli w dół. Jego członek z nabrzmiętymi żyłami wyciągał się w kierunku jej pulsującej, pustej cipki. Jej mięśnie zaciskały się w próżni, czekając z niecierpliwością na to, żeby ją wypełnił.

— Potrzebna mi prezerwatywa — powiedział.

Oblizwał dwa palce jak lizaki, a Mack omal nie straciła przytomności, patrząc, jak wsuwa je w jej wilgotne ciało.

— Przyszedłeś tu napalony i zainteresowany i nie przyniosłeś ze sobą gumki? — Jej głos drżał z pożądania. Te dwa palce w środku były cudowne.

— Nie chciałem niczego z góry zakładać. — Powoli, z istic świętą cierpliwością, wyciągnął z niej palce.

— Możesz zakładać, co ci się żywnie podoba, Szpanerze. — Ostatnie słowo wypowiedziała z sykiem, bo Linc wsunął w nią palce z powrotem i zgiął je w środku.

Wszelka drętwa, którą w sobie miała, stopniała, a następnie zawrzała.

— Muszę w ciebie wejść. Poczuć, jak się wokół mnie zamykasz, jak mnie wyciskasz.

Jak na komendę jej ścianki zadrgały spazmatycznie wokół jego wprawnych palców.

— Chcę wiedzieć, jak to jest, gdy szczytujesz ze mną w środku, Mackenzie. Muszę to wiedzieć.

Nie miała pojęcia, jakim cudem miał tak cholernie dużo do powiedzenia, podczas gdy jej ciało rwało się w szwach. Nie przestawał mówić, nie przestawał pompować ją palcami, a jej ciało witało to z ochotą, błagało o to.

— Chcę patrzeć, jak szczytujesz. Chcę *doprowadzić* cię do orgazmu. Chcę cię widzieć, gdy nie będziesz czuć nic poza przyjemnością.

Ona też chciała go dotykać. Robić to, co on robił jej. Doprowadzić go do utraty kontroli. Ale jej dłonie, jej palce ścisnęły konwulsyjnie brzeg blatu kuchennego. Zaraz dojdzie na blacie roboczym w swojej kuchni, a ten cudowny fiut nawet nie zdąży się w niej znaleźć.

To nie wydawało się właściwe.

Ale fakt, że nie było właściwe, nie powstrzymał wcale orgazmu, który w niej narastał.

Który niósł ją jak grzbiet fali. W górę i w górę, coraz wyżej, aż eksplodowała.

— Kurwa. Tak, Mackenzie. Ujeżdżaj moją rękę, kotku — zanucił Linc. Podsunął jej kolana wyżej, otworzył je szerzej. Wcisnął w nią mocniej palce. A ona zacisnęła się wokół niego, zamknęła się jak klamra w pięknym, pełnym udręki oddaniu.

— Linc — wydyszała, starając się wrócić duszą do ciała.

— Teraz naprawdę muszę dostać cholerną prezerwatywę.

— Na górce. W sypialni — powiedziała i opadła na jego pierś. Dudnienie jego serca uspokajało ją. Rozpadła się przy nim na kawałki, a on nie był na to obojętny.

— Chodźmy, Marzenie. Mam zamiar przeżyć więcej twoich orgazmów.

Zaplótł sobie jej nogi w pasie i ściągnął ją z blatu.

Przyłgnęła do niego, wiedząc, że niemal na pewno jej nogi nie będą w stanie jej utrzymać.

— Nie obudź Iskry. Śpi na kanapie.

Wielki strażak wbiegł po schodach z dorosłą kobietą na rękach, cicho jak ninja.

— To było imponujące — szepnęła.

— Jestem bardzo zmotywowany — odpowiedział, pchając drzwi.

— To łazienka — parsknęła.

— Mogłabyś mnie trochę pokierować.

— Ja już miałam orgazm — odpowiedziała z zadowoleniem.

— Marzenie, chyba nie chcesz, żeby to był twój ostatni tej nocy.

— Słuszna uwaga. Następne drzwi po prawej.

Upadli na łóżko, a Mack upajała się jego dużym ciałem rozciągniętym nad nią. Pasowali do siebie jak dwa zagubione elementy układanki. On był gorący i twardy, każdy jego skrawek. Przez co ona dla odmiany czuła się miękka i delikatna.

— Chcę cię dotykać — syknęła i wsunęła dłoń między ich ciała. Zacisnęła rękę na jego fiucie przez miękkie bawełniane spodnie. Główka jego członka znów stoczyła zwycięsko bitwę o wolność. To była najbardziej erotyczna rzecz, jaką widziała w życiu. — Uwielbiam, kurwa, spodnie dresowe.

Linc wcisnął się niecierpliwie w jej dłoń.

— Będę je nosił codziennie, jeśli to cię podnieca.

Zaczęła zsuwać jego spodnie niżej i niżej, i niżej. Dopóki jego fantastyczny członek nie wyskoczył na wierzch.

— Chcę cię polizać — powiedziała.

— Nie tym razem. Tym razem musi być szybko i ostro. Znajdź sobie coś, czego możesz się złapać.

Ścisnęła mocniej jego fiuta.

— Bardzo śmieszne. — Pochylił głowę nad jej piersiami i wsunął sutek w usta. Kiedy jego zęby zamknęły się na

wrażliwym wzgórką, Mack syknęła. Pamiętając, że to ona jest górą, pogładziła mocno jego wzwód.

Wszystkiego było za dużo. Za dużo odczuć. Za dużo doznań elektryzujących jej nerwy. Przesyłających nieskładne komunikaty do jej mózgu.

— Chcę być na górze — zażądała. Potrzebowała tego. Potrzebowała mieć kontrolę, zanim całkiem straci rozum.

— Tylko żeby było szybko i mocno, Marzenie. Ujeżdżaj mnie, aż oboje dojdziemy.

Przekręcił się na plecy. Ich nogi były zaplątane w pościel, w na wpół ściągnięte spodnie i w ten cholerny but ortopedyczny. Leżąc na Lincu, Mack sięgnęła do szafki nocnej po prezerwatywę i rozerwała opakowanie. Trzęsły jej się ręce, gdy po niego sięgała. Zauważył to i przytrzymał jej dłoń. Razem, w grzesznym momencie intymności, naciągnęli prezerwatywę na jego nabrzmiały członek.

Mack wyczuwała pulsowanie jego krwi pod powierzchnią. Wiedziała, że pragnął tego równie mocno, co ona.

I zajęła przynależne jej miejsce na jego fiucie.

— Patrz — nakazała, ustawiając gładką główkę w odpowiednim miejscu. — Patrz.

Wsuwała go w siebie centymetr za centymetrem. Wystarczająco, żeby pot skropił jego czoło, a jego żuchwa się zacisnęła. To było jednocześnie za dużo i niewystarczająco. Patrzył na miejsce, w którym się połączyli.

Jeden centymetr cudownej, nieprzyzwoitej przyjemności.

— W dalszym ciągu nie wiem, czy mogę ci dać coś więcej niż to — szepnęła.

Wbił w nią swoje spojrzenie.

— Wezmę, cokolwiek jesteś mi w stanie dać, Mackenzie.

Nie mogła prosić o więcej.

Jego palce zacisnęły się na jej biodrach tak mocno, że zostawiły ślady. Ale to ona sprawowała kontrolę. Wiedząc, że na nią patrzy, osunęła się na dół, jednym płynnym ruchem wciągając go coraz bardziej w głąb siebie. Linc wyprężył się na łóżku, gdy ostatni centymetr jego członka trafił na miejsce. Mack czuła, jak ją wypełnia, czuła go niemal w swoim brzuchu.

Zakołysała przekornie biodrami.

— Widzę gwiazdy, Marzenie.

I znów słodycz posypana sprośnością. Czy istniało coś seksowniejszego?

— Jeszcze nic nie widziałeś — zapowiedziała i zaczęła się poruszać. Początkowo kołysała się powoli, a potem stopniowo zwiększała prędkość. Jego gruby członek wsuwał się i wysuwał, żyły i zgrubienia, niemożliwie wręcz gładka, gorąca skóra. Był jak skrojony na miarę, żeby ją pieprzyć.

Linc przesunął dłonie po jej ciele, zatrzymując się przy piersiach, które obdarzył szczególną uwagą.

— Przysuń się bliżej — zażądał.

Wypełniła polecenie i pochyliła się nad nim, podczas gdy on objął ją jedną silną ręką. Cudownie było znaleźć się tak blisko niego. Czuła się jednocześnie bezpiecznie i dziko.

Chwycił drugą ręką jej pierś i przysunął ją sobie do ust. Rozkosz jego ust na niej, jego fiuta w środku, dostarczyła jej aż nadto doznań. I całkowicie uniemożliwiła myślenie.

Mack stanowiła kumulację doznań. Jej misją było odnalezienie rozkoszy.

Linc zwiększył tempo, wbijając się w nią mocno. Jej uda zaczęły się trząść, a delikatne wewnętrzne mięśnie

zadrzały. Nie żartował, mówiąc o kolejnych orgazmach. Właśnie doprowadzał ją do kolejnego.

Ssąc i całując jej piersi, mruzczał różne sprośności.

Mack uległa szaleńczemu rytmowi i zapomniała o swojej potrzebie kontroli. Teraz wymagała czegoś innego. Czegoś, co rozkwitało w niej jak wybuch bomby atomowej.

Linc stękał cicho przy jej piersi. Jej brodawka stwardniała w niemożliwym wręcz stopniu w jego ustach.

Rozchyliła szerzej nogi, pozwalając, żeby się w nią wbijał. Jego biodra nacierały na nią w równym rytmie.

Zaczęło się. Poczwała, jak zaczyna napływać od palców u stóp, wypalając wszystko po drodze.

Zacisnęła się spazmatycznie wokół jego fiuta, a on warknął:

— Właśnie tak, Mackenzie.

Wypowiedział jej imię, prowadząc ją wytrwale do orgazmu.

— Chcesz więcej? — zapytał szorstkim głosem.

— A jest w ogóle coś więcej? — Ostatnie słowa niemal wykrzyczała, bo jej ciało zawisło nad przepaścią. Nad otchłanią. Musiała tylko się w nią rzucić. Ale...

Palec Linca odnalazł jej tyłek, wsunął się pomiędzy pośladki i przycisnął do niej.

— Nigdy wcześniej nikt inny nie wzbudził we mnie takiego pożądania — wycedził.

— O Boże — syknęła.

— Trzymaj się mnie, Marzenie. Nie puszczę cię.

Jego palec wsunął się w nią w tym samym momencie, gdy szczególnie sprawne pchnięcie poruszyło jakiś punkt

rozkoszy gdzieś głęboko w niej. Jego język lizał jej sutek.

Eksplodowali jednocześnie.

Linc zeszywniał pod nią, zacisnął zęby, napiął szczęki i wytrysnął do prezerwatywy, podczas gdy Mack zacisnęła się wokół niego jak pięść. I doszli w ten sposób, kołysząc się i drżąc, trzęsąc się, gdy ekstaza przetaczała się przez ich ciała, całkowicie ich pustosząc.

Rozdział 30.

Mack, pogwizdując, otworzyła sobie drzwi do przychodni od strony zaplecza.

Przyszła wcześniej. Była pierwsza, co jej w zupełności odpowiadało. Położyła odtłuszczone waniliowe latte i earl greya z podwójną śmietanką na blacie w recepcji dla Tuesday i Freidy. Cappuccino trafiło na uporządkowane biurko Russella.

Zabrała swoją zieloną herbatę do gabinetu i włączyła światło.

Ponieważ była sama, podkręciła głośność na dość wiekowych głośnikach komputerowych i puściła piosenkę, którą miała w głowie po przebudzeniu.

Podśpiewując do *Somebody to Love* Freddiego Mercury'ego, opadła na krzesło, zachwycona całą gamą obolałych mięśni, które dawały o sobie znać.

Uprawiała seks. Nieziemski seks. Z facetem, który naprawdę jej się podobał. I obudziła się we własnym łóżku na brudnej od sadzy pościeli, wciśnięta pomiędzy mężczyzną i psa. Poćwiczyli razem. Hantle, pompki, brzuszki. A przy śniadaniu Linc opowiedział jej o akcji ratunkowej z poprzedniego wieczora.

Uczucie było... miłe. Czowała się *szczęśliwa*. Atmosfera została oczyszczona. Sytuacja była jasna.

Linc wiedział, że ona nie szuka niczego na stałe. Ona wiedziała, że on tak. Mieli sprzeczne cele i szczerze sobie o tym powiedzieli. Uda im się to jakoś zorganizować. Cokolwiek to było.

Oczywiście będzie musiała uważać i zachować odpowiedni dystans. Z pewnością nie mogła spędzić z nim dwóch nocy pod rząd. W ten sposób wysłałaby niewłaściwy komunikat. Musiała zachować kontrolę, a wtedy wszyscy będą dobrze się bawić.

To będzie wspaniały dzień.

Krzesło miało własne poglądy na temat jej pozytywnego nastawienia. Przechyliło się gwałtownie. Nie miała czasu niczego się złapać, bo poleciała w tył. Jej stopy zamajtały nad głową, gdy razem z fotelem przewróciła się z dużą siłą na podłogę.

Patrzyła na but ortopedyczny i sufit. I zaczęła się śmiać.

Tak ją znaleźli.

— Czy ona jest pijana? — zapytała w drzwiach Freida.

— Napoje. Muzyka. Śmiech. Nie jest pijana — stwierdziła z przekonaniem Tuesday. — Doktor Mack zaliczyła bzykanko.

— Do góry — powiedział Russell i podciągnął ją na nogi.

Potknęła się o własny but ortopedyczny.

— Przysięgam, że nie jestem pijana.

— Spójrzcie na jej twarz — powiedziała wesoło Tuesday teatralnym szeptem. — Jaka ona zadowolona i zaspokojona. Jaka rozrzewniona.

— To musiał być komendant Reed — uznała Freida. — Miło wiedzieć, że się pogodziliście.

— Gratulacje — powiedział Russell i uśmiechnął się do niej promiennie.

— Czuję się w tej chwili bardzo niekomfortowo — oznajmiła Mack.

— Słonko, i tak powinno być po nocy spędzonej z komendantem Reedem. — Freida zamachała wesoło rękami.

— Żebyście tylko nie przeholowały, drogie panie — poprosił Russell. — Tego rodzaju dysfunkcyjna zażyłość w miejscu pracy jest dla Mackenzie nowością.

Mack się roześmiała. Łączyła ją silna więź z załogą helikoptera, który lądował awaryjnie w kurzawie na środku cholernej pustyni w Afganistanie. A większość życia zawodowego spędziła w otoczeniu żołnierzy, którzy nigdy nie słyszeli o tym, że nie opowiada się o swoich podbojach seksualnych. Ale to było coś zupełnie innego.

— Po prostu cieszymy się twoim szczęściem — zapewniła Tuesday. Włosy miała zaplecione z boku głowy w jakiś skomplikowany warkocz, który wyglądał jak rodem z Pinteresta. — I dziękuję za latte.

— Słyszałam, że wczoraj nieźle się hajcowało. Ale nie było ofiar, dzięki twojemu przyjacielowi płci męskiej — zauważyła Freida.

— Może zastanów się nad zamówieniem nowego krzesła? — zasugerował Russell, wyprowadzając Freidę i Tuesday za drzwi. — I dziękuję za kawę.

Pozostawiona sam na sam z Freddie Mercurym, Mack kopnęła krzesło, a dopiero potem je podniosła. Rozważyła swoje opcje, a następnie usiadła ostrożnie, starając się nie dotykać oparcia, i zaczęła sprawdzać umówione na ten dzień wizyty.

Przyszedł sześćioletni Dalton McDowell z gorączką, która zaczęła się kilka dni wcześniej, a w nocy mocno podskoczyła.

— Zabraliśmy go we wtorek w nocy na ostry dyżur — wyjaśniła jego matka, znekana kobieta w krzywo zapiętym białym swetrze. — Powiedzieli, że najprawdopodobniej to paciorkowiec i dali nam receptę, ale wcale mu się nie poprawia. Wczoraj zwymiotował.

Biedny dzieciak cały się trząsał w swojej małej bluzie z kapturem.

— Zobaczmy. Dalton, kolego, czy coś cię boli?

Zauważyła, że miał czerwone oczy.

Wzruszył apatycznie ramionami.

— Dużo wymiotowałem — powiedział.

— Jesteś głodny?

Znów wzruszył ramionami.

— Nie ma normalnego apetytu. Od wielu dni nie prosił o nic do jedzenia — przekazała pani McDowell.

— Zmierzę ci temperaturę, dobrze?

Chłopiec pokiwał głową i zgarbił się, podczas gdy Mack wsunęła mu do ust termometr. Odwróciła się do laptopa i zapisała kilka uwag.

— Czy miał kontakt z kimś, kto miał podobne objawy?

— Nie słyszałam o żadnej infekcji w szkole, a na pewno bym o niej wiedziała. Rodzice dzieci z jego klasy są ze sobą dość zżyci i kiedy ktoś ma jelitówkę, jesteśmy na to przygotowani.

Mack przejrzała kartę pacjenta i zauważyła notatkę na samym dole. *Ciekawe.*

— Wyjeżdżaliście ostatnio pod namiot? — zapytała, zwracając się znów do chłopca.

Mama Daltona uśmiechnęła się mimo niepokoju.

— W zeszły weekend. Cała nasza piątka w jednym namiocie. Urządziliśmy sobie pieszą wycieczkę, prawda, kochanie?

Chłopiec pokiwał głową, a termometr zapiszczał.

Czterdzieści stopni.

Mack poczuła ciche obracanie trybików w głowie, gdy wstępnie zaczęła kojarzyć fakty. Ostatnie czasopismo medyczne, które niespokojnie przejrzała, zanim zabrała się wczoraj za czytanie powieści.

— Wiem, że pewnie jest ci zimno, ale muszę obejrzeć ci ręce i stopy. Możemy na chwilę zdjąć bluzę i buty? Zaraz będziesz mógł z powrotem je założyć — obiecała.

— Chyba tak — powiedział chłopiec ledwo słyszalnym szeptem.

— Zachowuje się zupełnie jak nie on — poinformowała cicho jego mama. — Boję się, że to coś poważnego.

Przy pomocy pani McDowell Mack zdjęła chłopcu bluzę, adidasy i skarpetki.

Dziecko trzęsło się, gdy Mack wodziła dłońmi po jego rękach, po czym odwróciła je tak, żeby sprawdzić wnętrze dłoni. Potem zrobiła to samo z jego stopami.

Brak wysypki.

— Czy przypominasz sobie, żeby coś cię pogryzło, gdy byliście pod namiotem? — zapytała chłopca i podała mu bluzę. Zamiast ją założyć, Dalton posłużył się nią jak kocem i położył się na leżance.

— Wszyscy byliśmy trochę pogryzieni przez komary — powiedziała pani McDowell. — Pierwszego wieczoru zapomnieliśmy o sprayu na owady i musieliśmy wysłać po niego tatę do domu, prawda? — Znow zwróciła się do

Mack. — Ale chyba nie sądzi pani, że to jakiś wirus Zachodniego Nilu, prawda?

— Myślę, że to może być wynik ukąszenia przez kleszcza — powiedziała Mack. Wyciągnęła z szafki szlafrok dla dorosłych i nakryła nim chłopca. Zacisnął go wokół siebie jak pelerynę.

— To znaczy borelioza? — zapytała matka z szeroko rozwartymi oczami.

— Pani McDowell, czy słyszała pani o gorączce plamistej Gór Skalistych?

— O czym?

— O gorączce plamistej Gór Skalistych. To infekcja bakteryjna wywołana przez ugryzienie kleszcza. Jest to rzadka choroba, niemniej jednak zdarza się coraz częściej. Większość chorych nawet nie pamięta ugryzienia. U większości osób pojawia się wysypka.

— Dalton nie ma wysypki.

— Jest niewielki odsetek pacjentów, u których ona nie występuje, co utrudnia postawienie diagnozy. Ale przypuszczam, że jedno z tych ukąszeń nie pochodziło od komara. Pani syn jest bardzo chory.

Pani McDowell objęła syna rękami, jakby mogła ochronić go przed bakterią, która panoszyła się w jego ciele.

— O Boże. Co mamy robić?

— Dobrze pani zrobiła, że z nim przyszła — powiedziała Mack i wstała. — Od razu zaczniemy podawanie antybiotyku. Pojedziecie też na ostry dyżur. Chcę, żeby Dalton był pod kontrolą. Dobrze?

— Czy on wyzdrowieje? — zapytała.

— Jeśli będę miała coś do powiedzenia w tej kwestii, to wyzdrowieje.

Mack nie chciała kazać pani McDowell jechać samej, więc zapakowała matkę i syna do swojego SUV-a, wstąpiła po drodze do apteki, własnoręcznie zaaplikowała chłopcu pierwszą dawkę antybiotyku i pojechała szybko na SOR w Centrum Medycznym Kepplera, zawiadamiając po drodze o tym, że jadą.

Kiedy zajechała przed główne wejście, obok stała doktor Ling. Jej biały fartuch powiewał na wietrze, a dwójka sanitariuszy stała obok w gotowości z noszami. Pani McDowell zbladła.

— Naprawdę pani chce, żeby podeszli do tego poważnie — powiedziała Mack, ściskając ją za rękę. — To dobrze. Freida zadzwoniła do pani męża. Już tu jedzie. Pani mama odbierze resztę dzieciaków z autobusu szkolnego.

Pani McDowell pokiwała głową z zaszklonymi oczami i wysiadła z samochodu. Poszła szybko za noszami, na których leżał jej synek.

Mack zaparkowała i weszła do budynku.

Rozdział 31.

Zanim Mack wróciła do przychodni, zrobiło się późne popołudnie. Dalton McDowell wydobreje. Na wyniki badań laboratoryjnych potwierdzających gorączkę plamistą Gór Skalistych trzeba było jeszcze trochę poczekać, ale doktor Ling — po krótkim sprawdzeniu faktów w internecie — zgodziła się z diagnozą.

Podali dziecku doksycyklinę, a Mack została z panią McDowell do czasu przybycia jej męża, który wpadł na ostry dyżur ubrany w kombinezon do czyszczenia szamba. I choć personel szpitalny w pełni wspierał drobnych przedsiębiorców, to smród był nie do wytrzymania i doktor Ling kazała mu przebrać się w zestaw ubrań lekarskich.

Mack zmarszczyła brwi, gdy zajechała na parking przed przychodnią i zobaczyła, że jest pusty.

Nie mieli na dziś umówionych żadnych wizyt po piętnastej, ale zawsze było coś do zrobienia. Zaparkowała i podeszła do drzwi na zapleczu. Gdy szukała kluczy, jej wzrok przykuła kartka przyklejona do okna. Był na niej nieudolny szkic imitujący receptę.

Nazwisko pacjenta: Mackenzie O'Neil

W piątek proszę skończyć pracę wcześniej i spotkać się ze współpracownikami w Remo na uroczystego drinka.

Powtarzać kurację tyle, ile będzie trzeba

Roześmiała się i zerwała kartę z szyby.

Kręcąc głową, złożyła ją równo i schowała do torebki. To był dobry dzień. Ale to nie oznaczało, że powinna zwinąć się wcześniej z pracy. Było co robić i...

Ale w sumie dlaczego nie? Było piękne jesienne piątkowe popołudnie, a ona uratowała komuś życie.

Zasłużyła na odrobinę rozrywki, do cholery.

Wyciągnęła telefon i wybrała numer, zanim zdążyłaby sobie przypomnieć, że miała się z nim dziś nie spotykać. To, że zapraszała go na drinka, wcale nie oznaczało, że musiała spędzić z nim noc. Brak konsekwencji był kluczowy dla przygodnych związków. Dzięki temu nie rosły oczekiwania.

— Marzenie. — Głos Linca zabrzmiał jak miód.

— Robisz coś ważnego, Szpanerze? — zapytała.

— Nic, czego nie można by skończyć później.

— Masz ochotę spotkać się ze mną w Remo na drinka?

— Oczywiście. Daj mi dziesięć minut. Co będziemy świętować?

Zagryzła wargi, a potem uśmiechnęła się szeroko.

— Piątek.

Linc parsknął cicho.

— Widzimy się na miejscu.

Poczuła, że przepływa przez nią fala czegoś dobrego i ciepłego.

— Nie mogę się doczekać.

Dunnigan i wspólnicy zarekwirowali połowę pustego baru Remo. Było jeszcze wcześnie. Ale jej ekipa nadrabiała braki w liczebności natężeniem hałasu. Kiedy Mack weszła do środka, rozległy się wiwaty.

— Chodź po pierwszą kolejkę na koszt firmy! — zawołała Sophie zza baru.

— Co to wszystko znaczy? — zapytała Mack. Podeszła sztywno do baru i usiadła na stołku, który dla niej zakleпали. Wskazała na nowe piwo IPA z kija.

— Uratowałaś dziś ludzkie życie — powiedziała Tuesday i zaczęła klaskać. Miała przed sobą wysoką, wąską szklanę czegoś, co zdaniem Mack musiało być jakimś gatunkiem alkoholu o niskiej zawartości węglowodanów.

— Jesteś bohaterką! — powiedziała Freida, unosząc swoją mrożoną margaritę.

— Za zdrowie doktor O’Neil, która uratowała życie dziecka — powiedział Russell, wznosząc kieliszek z czerwonym winem.

Sophie podsunęła Mack piwo. Ta niechętnie uniosła kufel.

— Za piątkowe popołudnia.

— Zdrówko!

— Po twoim wyjściu sprawdziliśmy — paplała Tuesday.

— Nigdy o czymś takim nie słyszałam — dodała Freida.

— Ludzie na to *umierają*. Zwłaszcza kiedy nie występuje u nich wysypka. Skąd wiedziałaś? — pisnęła Tuesday.

— Pamiętałam z artykułu w czasopiśmie medycznym. Jest coraz więcej przypadków. Globalne ocieplenie. Więcej kleszczy. Czasem nie ma wysypki.

Freida poklepała ją po plecach.

— To było prawie lepsze niż badania okresowe w remizie.

Tuesday wydała głuchy okrzyk.

— O Boże. Właśnie coś do mnie dotarło. Jesteś jak ten zręczliwy, wredny lekarz z tego starego serialu. On też utykał!

Mack domyśliła się, że to był przynajmniej jej drugi drink z niską zawartością węglowodanów.

— W przeciwieństwie do House'a nie jestem uzależniona od vicodinu. Żeby była jasność.

Tuesday uznała, że to przezabawne i omal nie spadła ze stołka barowego.

— Gratulacje, doktoro — powiedziała Sophie i podsunęła jej kartę dań. — Lepiej wciśnij w Tuesday jakieś jedzenie, zanim poprosi o trzeciego drinka.

Zamówili *quesadille* i frytki. Bo czemu nie?

Gdy Tuesday i Freida poszły przypuścić atak na szafę grającą, Russell usiadł obok niej na stołku.

— Ja bym się nie domyślił — przyznał. — Gdyby ten chłopiec zjawił się w moim gabinecie, a nie w twoim, całkiem możliwe, że nie dożyłby weekendu.

Mack odsunęła od siebie tę myśl.

— To nic takiego — powiedziała. Byli lekarzami. Zostali do tego przeszkoleni.

— Dla tej rodziny to coś bardzo wielkiego. Nie zapominaj o tym — powiedział.

Pokiwała głową.

— Pamiętałam, żeby sprawdzić uwagi w karcie pacjenta. Oni lubią wyjeżdżać pod namiot. Wyjazd pod namiot oznacza ukąszenia owadów.

— Jestem z ciebie bardzo dumny, Mackenzie — oznajmił Russell.

Nie chciała, żeby to miało znaczenie. Nie uważała, że to powinno mieć znaczenie. Ale i tak miało. Znów to poczuła, tę lekkość w sercu.

— Dzięki, Russell.

— Wygląda na to, że ktoś jeszcze ma o tobie wysokie mniemanie — powiedział i wskazał kieliszkiem na drzwi wejściowe.

Lincoln Reed w wytartych džinsach i obcisłym szarym T-shircie szedł niespiesznie w jej stronę, wpatrując się w nią z tym czarującym uśmiechem na twarzy.

Lups lups.

Jej serce wyraziło podekscytowanie nierównym stukotem. To tylko resztki hormonów, powiedziała sobie. *Nic skomplikowanego.*

— Cześć, Marzenie — przywitał się Linc.

Spodziewała się, że usiądzie obok niej na pustym stołku, ale zamiast tego podszedł prosto do niej, wsunął jej dłonie pod brodę i we włosy. A potem pocałował ją tak, że zaparło jej dech i pomieszało w głowie.

— Uff! Czy to tylko coś ze mną, czy zrobiło się tu gorąco? — zawołała Sophie z drugiego końca baru, gdzie wachlowała się kartą dań.

Zdecydowanie nie chodziło tylko o Sophie.

Pocałunek sprawił, że Mack na chwilę zaniemówiła i oblała się rumieńcem.

— Hej — wyszeptała w końcu, kiedy odzyskała zdolność mówienia.

— Oooh — zanuciła Freida, rozchlapując z kieliszka margaritę.

Linc wyszczerzył się w uśmiechu, a Mack poczuła, że jej usta wzięły z niego przykład.

— Jak ci minął dzień? — zapytał.

— Doktor Mack uratowała dziś życie dziecku — powiedziała Sophie i podała Lincowi piwo.

Uniósł kufel w kierunku Mack.

— Gratulacje.

— Komendant Reed uratował dwa istnienia wczoraj wieczorem — odparowała Mack.

— Proszę, proszę, trafił mi się dziś bar pełen bohaterów — powiedziała wesoło Sophie.

— Dzień jak co dzień, droga pani — powiedział Linc i mrugnął do niej z przesadą.

Ale tak faktycznie było. Ich praca polegała na ratowaniu życia. A teraz były trzy dusze, które będą żyć dalej. Dawało to Mack poczucie satysfakcji. Poczucie dumy.

Wcześniej też ratowała ludzi. Wielokrotnie. Ale bliskość sprawiała, że ten przypadek był inny. Będzie widywała Daltona w sklepie spożywczym albo na boisku. Będzie wpadać na jego rodziców we włoskiej restauracji. Będą ze sobą połączeni. Na zawsze.

Nie siląc się na subtelności, Linc przyciągnął do siebie jej stółek. Ustawił ją razem z nim między swoimi umiejętnymi nogami.

— Wyglądasz na szczęśliwą — zauważył.

Wzruszyła ramionami i wzięła piwo.

— To był dobry dzień.

— A wczorajsza noc?

Żartobliwie otaksowała go wzrokiem, zaczynając od ładnych niebieskich oczu i przesuwając się w dół do wyraźnego wybrzuszenia na dzinsach.

— Wczorajsza noc też była znośna.

Uszczypnęła ją, na co się roześmiała.

Na brodzie miał drobne zadrapanie.

— Co ci się tu stało? — zapytała, dotykając palcem miejsce obok skaleczenia. — Nie miałeś tego wczoraj w nocy. — *Jej wnętrza ud by to zauważyły.*

Uwięził jej dłoń w swoich rękach.

— Męska rana poniesiona podczas męskich zadań.

— Aha. Trzeba było po prostu powiedzieć, że spadłeś z toalety — zażartowała.

— Jesteś piękna, kiedy jesteś dowcipna.

— A gdzie nasza dziewczynka? — zapytała, żeby zmienić temat.

— Iskierka zabawia dziś rodzinę mojej siostry Rebeki. Jest zakochana w moim szwagrze.

— Ona jest we wszystkich zakochana.

— Miłość to miłość, Marzenie.

Drzwi do baru otworzyły się i do środka weszła grupka robotników świeżo po wypłacie. Przekomarzali się i szturchali nawzajem łokciami.

Za nimi zjawiała się spragniona grupa higienistek dentystycznych.

Piosenka z szafy grającej urwała się gwałtownie i zaczęła się następna.

Tuesday i Freida wydały okrzyk radości i zeskoczyły ze swoich stołków przy pierwszych brzękliwych taktach piosenki.

— Zapraszamy, doktor Mack! Chodźmy zatańczyć — powiedziała Tuesday. Złapała Mack za nadgarstki i pociągnęła.

— Co to jest, do cholery? — zapytała, gdy dziewczyny zaczęły ciągnąć ją w stronę miejsca przed pustą sceną, które widocznie robiło za parkiet.

— *Down to the Honkytonk!* Ani się waż mówić, że ci się nie podoba — oznajmiła Freida.

— Co to jest Honkytonk?

— Po prostu słuchaj piosenki i rób to co my — powiedziała Tuesday.

Piosenka zwróciła uwagę kilku innych osób w barze. Dołączały do nich, ustawiając się na drewnianej podłodze twarzą do drzwi.

— Mam tylko jedną sprawną stopę — przypomniała Mack.

Linc odstawił kufel z piwem na bar i przyłączył się do niej.

— Powtarzaj za mną, doktoro.

— Ty umiesz tańczyć?

Ale jej pytanie i jego odpowiedź zaginęły w skoordynowanym waleniu obcasami. I wszystkie pytania odeszły w niepamięć, gdy Mack starała się naśladować ruch nogami ustawionych w rząd ludzi.

Tuesday pokazywała kroki taneczne — bo przynajmniej tym był według Mack układ krok-obrót-skrzyżowanie i krok po kwadracie z obrotem — a niewielki tłumek je powtarzał.

Mack musiała przyznać, że piosenka wpadała w ucho. Wszyscy dokoła zaczęli śpiewać.

W wykonaniu Linca ten układ choreograficzny wyglądał cholernie seksownie. Mężczyzna zahaczył kciuki o przednie kieszenie i poruszał odrapanymi butami do rytmu.

Sophie wyskoczyła zza baru, a za nią jeden z kucharzy, i gładko włączyli się do rzędu na przodzie.

Mack uznała, że odniosła zwycięstwo, gdy we właściwym momencie udało jej się klasnąć ze wszystkimi.

Kiedy zaczął się fragment o Sheili, która wypila za dużo tequili, cały bar zagwizdał, łącznie z czterema strażakami,

którzy właśnie weszli do środka.

Pod koniec utworu na parkiecie nie dało się wcisnąć szpilki, a przy kontuarze ustawiła się bardzo cierpliwa kolejka na trzy rzędy.

Sophie pobiegła obsługiwać klientów.

— Wszyscy dostaną rabat, jeśli pierwszy zamówiony drink będzie z kija — wrzasnęła.

Kiedy Mack zaczęła kierować się w stronę baru, Linc zatrzymał ją, kładąc jej rękę na ramieniu.

— Jeszcze jeden — poprosił.

— Co jeszcze jeden?

— Taniec.

Piosenka była wolna i Mack ulżyło, że musiała tylko wsunąć się w ramiona Linca. Nie było tu żadnej skomplikowanej choreografii. Tylko uznanie dla przystojnego mężczyzny, który przyszedł, żeby z nią świętować. Dwa ciała, które zaczęły się poznawać. Proste. Słodkie.

Wyczuła jakiś męski zapach.

— Pachniesz trocinami i... — Przysunęła się bliżej i znów powąchała. — Farbą?

— Wyobraź sobie — powiedział i okręcił ją powoli, a potem znów ją do siebie przyciągnął. — Jak tam twoja kostka?

— Nie będę kłamać, nie sędzę, żebym poradziła sobie lepiej z tamtą choreografią, mając dwie zdrowe nogi.

— Wszystko mi się w tobie podoba, Marzenie.

Zagryzła wargę z fałszywą skromnością. Nie mogła się pohamować.

— Ty mi się też dosyć podobasz, Szpanerze.

— Dziś wieczorem u mnie? — zapytał ochrypłym głosem.

— Tak.

Uśmiechnął się szeroko.

— To dobrze. Mam większe łóżko.

Znów ją odepchnął. A za każdym razem, kiedy przyciągał ją z powrotem w ramiona, czuła łaskotanie w brzuchu. Czuła coś na kształt radości.

Obok niej pojawił się Russell, trzymając pod ramię olśniewająco piękną kobietę, która wyglądała elegancko nawet w dżinsach i kaszmirowym swetrze.

— Doktor O’Neil, to moja żona, Denise. Denise, to Mackenzie O’Neil.

— Dużo o pani słyszałam — powiedziała Denise z serdecznym uśmiechem. Podała jej dłoń, na której widniał duży, gustowny diament.

— Wyobrażam sobie — powiedziała Mack i uścisnęła jej rękę.

— Komendancie Reed, jak radzi sobie nasza córka pod pańską opieką? — zapytała Denise. W jej pytaniu nie było żadnych podtekstów. Przekaz był jasny: dbaj o moją córkę. Bo inaczej się policzymy.

— Skyler jest świetnym dodatkiem dla naszej jednostki. Zachowuje spokój w sytuacjach stresowych — powiedział Linc.

Denise szturchnęła męża.

— Ma to po mnie.

— Choć jej podejście do szorowania toalet pozostawia wiele do życzenia.

— A to ma po mnie — stwierdził Russell.

— Porozmawiamy później — obiecała Denise. — Najpierw zatańczę z tym przystojnym lekarzem.

Robinsonowie znaleźli sobie własny kąt na parkiecie, a Mack znów trafiła w ramiona Linca. Piosenka mówiła o tym, żeby nie dać się zwieść miłosnym balladom i nie wpaść w pułapkę romantyzmu. To było coś dla niej.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Linc się jej przygląda. W jego oczach była czułość przecząca pewnemu sobie uśmieszkowi, który mieszkał na stałe na jego utalentowanych ustach.

Zmiękły jej kolana. *Odrobinę. To tylko dlatego, że zapomniała, jak zadbać o stabilne stawy,* powiedziała sobie.

— Potrzebujesz przerwy? — zapytał Linc, błędnie składając żenującą reakcję na karb jej kontuzji.

— Tak. — *I jeszcze jednego piwa.*

Rozdział 32.

Nastrój w Remo był świąteczny, jakby każdy tego wieczora coś świętował. Załoga Linca opowiedziała mu o wezwaniach, które przyszły. Wezwaniach. W liczbie mnogiej.

Odpowiedzieli na wezwanie dotyczące zaginionej osoby, dziecka zamkniętego w samochodzie i pożaru ogrodowej altanki, który przeniósł się na wyschnięte pastwisko jakiegoś rolnika. Wszystkie trzy akcje zakończyły się sukcesem. I w ten oto sposób okres posuchy w jednostce oficjalnie dobiegł końca.

Napisał esemesa do Aldo, bo do baru wpadła pani Moretta z kolejnym nowym chłopakiem. Był to wysoki, czarnoskóry mężczyzna z tak szerokimi barkami, że Linc zastanawiał się, czy jego sportowy płaszcz został uszyty na miarę.

— W latach osiemdziesiątych grał dla Steelersów! — ryknęła pani Moretta do wszystkich, którzy chcieli słuchać.

Linc: Twoja mama jest tu z nowym tatusiem.

Aldo: On jest dla niej za dobry. Poproszę go, żeby mnie adoptował, kiedy wróci mu rozum i ucieknie z krzykiem do Pittsburgha.

Georgia Rae, nieodzowna małomiasteczkowa plotkarka, świętowała narodziny swojego siódmego wnuka i przez dobre dwadzieścia minut przepytowała zarówno Linca, jak i Mack na temat ich najnowszych heroiczych wyczynów. Linc widział, że Mack dziękuje Bogu za tajemnicę lekarską, która zabezpieczała ją przed większością pytań.

Po zjedzeniu przystawek nadszedł czas na zamówienie kolacji. Mack przerzuciła się z piwa na wodę i Linc zrobił to samo. Zastanawiali się, kto następnego dnia będzie miał większego kaca: Tuesday czy porucznik Linca, Zane Jones. Facet warzył własne piwo, ale został podstępem namówiony do przerzucenia się z Tuesday na szoty Fireballa.

— Dobrze, że żadne z nich jutro nie pracuje — zauważyła Mack.

— Tak czy siak, przejedziemy obok jego mieszkania na sygnale — zapowiedział wesoło Linc.

— Wredne.

— Ale śmieszne.

Koło ósmej do środka wszedł szeryf Ty po cywilnemu i kiedy jego żona wychyliła się nad barem, żeby go przywitać, złożył na ustach Sophie pocałunek z rodzaju tych, po jakich rodzą się dzieci.

— Dobry wieczór — odezwał się Ty do Linca i Mack, gdy język wrócił z powrotem do jego własnych ust.

— Szeryfie — powiedziała Mack.

— Jutro wnosimy oskarżenie — poinformował Ty, z miejsca przechodząc do rzeczy. — Chciałem was po prostu uprzedzić.

— Doceniamy to.

— Jeśli ktoś będzie wyrażał swoje niezadowolenie, dajcie mi znać.

— Zrobi się.

Linc popatrzył na Tya i niezbyt subtelnie skinął głową w kierunku męskiej łazienki, po czym przeprosił i się oddalił.

Ty spotkał się z nim przy pisuarach, zachowując stosowny dystans.

— Spodziewasz się kłopotów? — zapytał Linc. Rozpiął dzinsy i bardzo się starał, by się nie obsikać, bo jego członek był ciągle na wpół sztywny z powodu wielkich zielonych oczu i wyszczekanych ust czekających przy barze.

Ty westchnął.

— Nie wykluczałbym tego. Kershowie nie słyną z rozsądku i przyjmowania odpowiedzialności za swoje postępowanie.

— Więc po prostu oczekujesz, że Mack i rodzina tamtej dziewczyny sami sobie poradzą?

Ty złamał męski kodeks pisuarowy i rzucił mu spojrzenie mówiące „do reszty zgłupiałeś?”.

— Nie oczekuję. I wal się, skoro uznałeś, że mogłoby tak być. Przez kolejny tydzień czy dwa będę posyłał regularne patrole do ich domów, żeby mieć oko na sytuację.

— Oczy na własnego ptaszka, szeryfie — powiedział Linc.
— A co z przychodnią?

— To też. Byłoby dobrze, gdyby jakiś zaufany sąsiad zaczął nalegać na zainstalowanie jakiegoś prostego systemu alarmowego i nowych zamków — podsunął Ty.

Sam je zainstaluję, postanowił Linc, zapinając spodnie. Mack radziła sobie w strefach wojennych i w każdej możliwej sytuacji awaryjnej. Jednak nie miała jeszcze do czynienia z rodziną buraków i ignorantów nastawioną na zemstę. To była zupełnie inna bestia, która wymagała innego rodzaju czujności.

Wrócił do baru, gdzie podano już ich kolację.

— Jak tam, kowboje? Dobrze się bawiliście podczas męskiej rozmowy na temat tego, jak chronić biedny, delikatny ród kobiecy? — zapytała Mack, trzepocząc rzęsami znad sałatki z kurczakiem.

— Chodzisz w bucie ortopedycznym. Nie dasz rady uciec przed zagrożeniem — zaczął Linc.

— A na jakiej podstawie sądzisz, że bym uciekała? — odparowała.

Dlatego właśnie zrobił dziś to, co zrobił. I dlatego dziś wieczorem przejrzy ofertę nowych zamków.

— Pokłóćmy się na ten temat wieczorem, kiedy będziemy nadzy — zaproponował.

— Kłótnia podczas seksu? Hm. Podoba mi się — stwierdziła.

Zza baru wyszła Sophie.

— Cześć, piękna — powiedział Ty. Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

Spojrzała na niego rozpromieniona.

— Zgadnij, kto nie ma dziś dzieci, bo zostają na noc u moich rodziców, i kto został wykopany wcześniej z baru?

— Czy ona też ma dwa kciuki i potrafi wyczyniać językiem te przedziwnie cudowne rzeczy? — zapytał.

Sophie zarzuciła mu ze śmiechem ręce na szyję.

— Zatańczmy, szeryfie.

— Tak jest, psze pani!

Linc odprowadził ich wzrokiem. Ogarnęło go silne uczucie, jakby ktoś nakrył go kocem. Chciał tego. Żony. Partnerki. Historii starego bólu, żartów zrozumiałych tylko dla nich dwojga i dobrych wspomnień. Chciał pełen pakiet.

A doktor Mackenzie O’Neil była pierwszą kobietą w jego życiu, z którą był sobie w stanie to wszystko wyobrazić.

Musnął palcem zadrapanie na brodzie, którego dorobił się rano. Tak, był gotowy na wyboje po drodze.

Postanowili zakończyć wieczór, a Linc uparł się, że odprowadzi ją do domu.

— Przyjdę później do ciebie. Nie musisz kroczyć za mną jak cień — poskarżyła się Mack.

— Może chcę zobaczyć, czy Gloria nie podrzuciła ci jeszcze jakichś ciast?

— A może sądzisz, że znajdziesz w mojej szafie przyczajonego Kersha?

— Nie. Masz za małą szafę. Myślałem raczej o piwnicy.

— Byłam w wojsku, Linc. Potrafię się obronić — stwierdziła kpiąco.

— Fakt, że chcę dopilnować, żebyś *nie musiała* się bronić, w żaden sposób nie sugeruje, iż nie uważam, że *nie jesteś* w stanie sobie poradzić. Gdybyś miała obie nogi zdrowe, byłoby mi żal kogoś, kto spróbowałby ukryć się w twojej piwnicy.

To chyba ją ułagodziło.

Zaparkował na ulicy i podszedł z nią do drzwi.

— Zachowujesz się absurdalnie — gderała.

— Ja wolę myśleć, że zachowuję się szarmancko i czarująco.

Wpuściła ich do środka i włączyła światło w salonie.

— Ale na noc tu wracam — zapowiedziała, kładąc torebkę i torbę lekarską dokładnie przy drzwiach wejściowych.

Na opór były lepsze sposoby niż zderzanie się głowami jak barany. A Linc potrafił być bardzo przekonujący, jeśli tylko tego chciał.

— Teraz tak mówisz — powiedział, zakradając się do jadalni, a następnie zaglądając do kuchni. — Ale kiedy położysz się w tym wielkim, luksusowym łóżku, kiedy

zobaczysz prysznic z hydromasażem, to łzy staną ci w oczach. A wtedy zrobi mi się ciebie żal. A ja nie cierpię żałować pięknych lekarek.

— Hydromasaż, mówisz? — Uniosła z zainteresowaniem brew.

— Zapakuj na wszelki wypadek torbę. Nie będę nalegał, żebyś z niej skorzystała. Ale będziesz ją miała przy sobie, gdybyś uległa urokom mojego niezwykle wygodnego materaca.

— Lepiej żeby ten materac był naprawdę dobry, bo inaczej będę bardzo rozczarowana.

— Marzenie, nie wyolbrzymiam zalet niczego, co znajduje się w mojej sypialni.

— W takim razie lepiej się dobrze nawodnić. Chcesz wody? — zaproponowała przez ramię, ruszając do lodówki.

Spodziewał się tego, więc nie był rozczarowany, kiedy usłyszał jej oburzone westchnienie.

— Wyciąłeś dziurę w moim płocie!

— Tak właściwie to w moim — powiedział, wchodząc za nią do kuchni. — I to jest furтка. Ułatwia zakradanie się do twojego lub do mojego łóżka. Poza tym teraz będę mógł ci kosić trawnik bez konieczności objeżdżania całej ulicy.

Na jej uroczej twarzy odmalowała się cała gama emocji. Większość z nich stanowiły różne odcienie irytacji.

— Boję się, że coś jest z tobą nie tak, i że wykracza to poza moją wiedzę medyczną — powiedziała mu w końcu.

— Będę szczery. Upadłem na twarz, przeskakując dziś rano przez ten durny płot. Wylądowałem w krzakach. — Pogładził się po zadrapaniu na brodzie. — Poczulem, że muszę rozwiązać ten problem piłą łańcuchową.

Mack wybuchła śmiechem.

Rozdział 33.

Facet nie kłamał na temat swojego łóżka.

Ani na temat prysznicza.

Skorzystała z tego drugiego zeszłego wieczoru po dwóch satysfakcjonujących rundach wyczynowego seksu. Zapomnieli, że mieli się kłócić. Ale ona pobiła go w liczbie orgazmów i uznała to za swoje zwycięstwo.

Co do łóżka, to było dużym, pięknym spełnieniem marzeń. Podwójny materac zajmował większą część przestrzeni na poddaszu. Był wystarczająco miękki, żeby delikatnie objąć wszystkie obolałe części ciała, ale jednocześnie na tyle twardy, żeby Mack nie miała wrażenia, że zapada się w chmurze.

Pościel była czysta i dobrej jakości. Były też poduszki. Bardzo dużo poduszek. Były rozpustą, o której zapomniała w ciągu lat wyjazdów na misje albo kładzenia się na maleńkich pryczach w ambulansach lotniczych. Ale teraz sobie o tym przypomniała. Przycisnęła twarz do poduszki, na której jeszcze niedawno leżała głowa Linca, i westchnęła.

Nie zamierzała zostawać na noc. Ale mężczyzna śpiewający Beyoncé pod prysznicem udowodnił, że jest dużo bardziej przekonujący, niż sądziła.

Mack przeciągnęła się, gdy wschodzące słońce oświetliło pokój.

Pokój był urządony po spartańsku, co doceniło jej zamiłowanie do porządku. Przy ścianie naprzeciwko łóżka znajdowały się dość nijaka komoda i dwa stoliki nocne do

kompletu. W rogu stały dwa kosze czystego, poskładanego prania.

Założyła bluzę z kapturem z logo Jednostki Straży Pożarnej i zeszła na paluszkach na dół, żeby nie zakłócić zabawnej interpretacji *Irreplaceable*.

Betonowa podłoga była chłodna pod bosymi stopami. Na blacie zobaczyła ekspres do kawy. Z miłym zaskoczeniem znalazła obok pudełko kapsulek z zieloną herbatą. Stał tam też kubek, który wyglądał na podejrzenie nowy.

Najfajniejsza lekarka z urazówki na świecie.

Parsknęła i włączyła ekspres.

Czas oczekiwania na podgrzanie wody wykorzystała na myszkowanie. Kuchnia była niewiele większa od jej własnej. Jedna ściana z szafkami i blatem. Proste szare meble kuchenne. Biały blat. Otworzyła szafkę obok kuchenki.

Najwyraźniej nie ona jedna myszkowała. Nieotwarty pojemnik z jej ulubionym białkiem w proszku leżał na półce obok ogromnej tuby preparatu wspomagającego budowę mięśni, typowo męskiego, typowo strażackiego. W lodówce i zamrażarce znalazła akceptowalne składniki na koktajl i zabrała się do szykowania podwójnej porcji.

Kiedy Linc zszedł na dół, ubrany w koszulkę polo z logo straży i spodnie bojówki, pogwizdując melodię, która tym razem przypominała balladę Hall and Oates, miała już gotowe dwie porcje smoothie na wynos.

Linc był nieprzyzwoicie wręcz przystojny. Seksowny. Uroczy. Patrzenie na komendanta Reeda szybko zaczęło stawać się jej ulubioną rozrywką.

— Podoba mi się to — powiedział i okręcił czapeczkę daszkiem do tyłu, żeby móc bez przeszkód pocałować Mack.

— Co? Mała kobietka na bosy w twojej kuchni? — zakpiła, kiedy się odsunął. Zaskoczona, że jej ciało może w takim tempie aż tak się podniecić po małym porannym cmoknięciu.

Uszczypnął ją w goły tyłek pod bluzą.

— Mądrała. Ty ubrana wyłącznie w moją bluzę z potarganymi włosami i rozmarzonym wzrokiem.

— Zamknij się. Wcale nie jest rozmarzony.

— Szkoda, że nie mogę zostać i udowodnić ci, że się mylisz — powiedział. Wziął do ręki smoothie i napił się na próbę. — Mmm. Seksowna lekarka w mojej bluzie i zdrowe śniadanie. Chyba uratuję dziś świat.

— Lepiej, żeby tak było. — Spojrzała na zegar ścienny, mechaniczną kombinację trybików i kół zębatach. — Wczesnie wychodzisz.

— Muszę odebrać Iskierkę od siostry. W dni wolne od pracy Bec nie należy do rannych ptaszków. — Uśmiechnął się szeroko.

— Ja mogę ją odebrać — zaproponowała. I tak większość dnia spędzi w domu. Nie zaszkodzi jej odrobina puchatego towarzystwa.

Twarz Linca się rozjaśniła.

— Nie nadinterpretuj sytuacji — powiedziała obronnym tonem. — Lubię twojego psa. Mam dziś wolne. Mogę ją odebrać o rozsądnej porze. To *nie* jest propozycja małżeństwa.

Zerknął na swój zegarek, a potem z szelmowskim uśmiechem znów na nią.

— To daje mi piętnaście minut, które mogę wykorzystać na coś innego.

— Na przykład na co? — zapytała podejrzliwie.

Osunął się wzdłuż jej ciała i uklęknął przed nią na podłodze.

— Och. Na *to* — powiedziała bez tchu.

Duże, zgrubiałe dłonie przesunęły się w górę jej ud, aż dotarły do brzegu bluzy. Miękki materiał podwinął się, gdy podciągnął go jej do pasa.

Mack rozstawiła szerzej nogi i pogratulowała sobie, że w tak przychylny i pełen szacunku sposób podeszła do naprawdę wspaniałej porannej rutyny Linca.

— Wczoraj w nocy marzyłem o tym, żeby zrobić ci dobrze językiem — powiedział, omiatając gorącym oddechem jej skórę.

Patrzyła zafascynowana, jak przycisnął usta do szczytu jej ud. Wbijając w nią przy tym spojrzenie swoich niebieskich oczu. Z jej gardła wydobył się jęk, gdy jego język, ten cholernie utalentowany język, wysunął się i wpełzł pomiędzy jej wargi sromowe.

— Nie mogę się nasycić twoim smakiem. — Jakby w celu demonstracji, wsunął w nią dwa palce. Rozłożyła szerzej nogi i patrzyła, jak wyciągnął palce, a potem je oblizał. Zatrzęsły się pod nią kolana, co nie umknęło jego uwadze.

— Połóż się na podłodze i rozłóż nogi, Marzenie.

— Co ty masz z tymi kuchniami? — mruknęła, choć zrobiła, jak kazał.

— Chodzi raczej o ciebie w kuchniach albo w dowolnym innym pomieszczeniu — jęknął, gdy otworzyła się przed nim.

— Podłoga jest czysta? — zapytała.

— Tak czysta, że można z niej jeść. — Z tymi słowami zanurzył głowę między nogi, a jej zakręciło się w głowie. Jego język przypuszczał niepohamowany atak na

łechtaczkę. Jego palce — czy teraz były trzy? — wsuwały się w nią, rozciągając jej kanał do granic możliwości. Ależ jej się to podobało.

Nie mogła zaprzecić się lewą stopą z powodu buta ortopedycznego. Ale to nie miało już znaczenia, bo Linc zarzucił sobie jej nogi na ramiona. Pożerał ją.

— Patrz na mnie, kiedy cię liżę, Mackenzie. Patrz na mnie.

Uniosła głowę, a ich spojrzenia się spotkały. Mięśnie jej brzucha napięły się, gdy zbyt intensywnie używane wewnętrzne mięśnie zadrżały lekko.

— Kotku, czuję to — jęknął nabożnie Linc. Leżał na brzuchu, jego biodra wbijały się w twardy beton. — Zaciśnij się na moich palcach.

Zamknęła się na nim, a zmiana doznań sprawiła, że zacisnęła zęby. To było jak przejście orgazmu ze strefy „być może” do strefy „na pewno”.

Linc wrócił do znęcania się nad nią językiem, który w nią wsuwał.

Nie mogła przestać na niego patrzeć, gdy pieprzył ją ustami i palcami.

— Linc!

Warknął w odpowiedzi.

Uniosła biodra i przycisnęła się mocniej do jego ust, błagając o wszystko, co mógł jej dać.

— Jasna cholera. Uwielbiam to, z jaką łapczywością mnie pragniesz. To, jak wwiercasz się w moją twarz, bo nie możesz nad sobą zapanować.

Zaraz dojdzie. Albo umrze. Albo jedno i drugie.

— Nie waż się, kurwa, hamować, Marzenie.

Nie zrobiła tego. Nie mogła. Wyszarpnął z niej orgazm i nie ustawał, gdy ona leciała na łeb na szyję, podczas gdy każdy jej mięsień zaciskał się i rozluźniał w pięknej, okrutnej ekstazie.

Jej głowa uderzyła z głuchym łupnięciem o podłogę. Nogi były jak z waty, krew szumiała w ciele, bo nawet teraz wtórne wstrząsy oblewały palce Linca sokami.

Mężczyzna jęknął, jakby cierpiał.

— Daj mi swojego fiuta — wydyszała.

— Muszę wyjść za pięć minut, Marzenie.

— Potrzebuję tylko czterech — odpowiedziała i wysunęła się spod niego. — Wstawaj.

Zamienili się miejscami. Ona na kolanach przed nim. On patrzył z pierwotną męską dumą, gdy uklękła przed nim i rozpięła mu pasek. Wyswobodziła go ze spodni i rozkoszowała się ciężkim, nabrzmiętym członkiem.

Podciągnął koszulkę i wcisnął ją sobie pod brodę, żeby patrzeć, jak Mack otwiera usta.

— Kurwa — jęknął.

Patrzyła mu prosto w oczy, biorąc w usta koniuszek jego członka. Gorący, twardy, gładki. Użyła dłoni. Języka. Zębów, żeby obciągać go w całości. Teraz to *jego* kolana się trzęsły, gdy koniuszkiem języka przesuwawała po nabrzmiętych żyłach. Kiedy zaczęła drażnić wilgotną szczelinę na szczycie, syknął.

Świadoma ograniczonego czasu, przestała się bawić i przypuściła na niego atak mocnymi pieszczotami. Kiedy wsunęła go aż po samo gardło i zostawiła go tam, Linc wyrzucił z siebie ciąg niezrozumiałych przekleństw.

— Żałuję, że to nie twoja słodka cipka. Że nie jestem w tobie. — Z jego ust wydobył się zbolący jęk, a Mack poczuła

smak pierwszych kropel jego ekstazy.

Mruknęła z aprobatą i zacisnęła mocniej rękę u podstawy jego członka.

Linc automatycznie zacisnął dłonie na jej włosach. Pieprzył jej usta gwałtownymi, płytkimi pchnięciami.

— Żałuję, że nie mogę dojść w twojej cipce, kotku.

Ale nie mógł. Szczytował w jej ustach.

Oczy Mack zaszklily się od siły, od natężenia, od pierwotności jego orgazmu. Poczwała się potężna, niepokonana, gdy patrzyła, jak Linc odchyła głowę w tył, jak napinają się ścięgna na jego szyi. To *ona* go do tego doprowadziła. To *ona* sprawiła, że tak się poczuł.

Linc wydał triumfalny okrzyk i wytrysnął w jej usta.

Po kilku sekundach, po kilku kolejnych nerwowych pchnięciach, osunął się obok niej na podłogę.

Patrzyła z fascynacją, jak ten niesamowity okaz męskości wstrząsnął się po raz ostatni, wyrzucił z siebie po raz ostatni spermę, która pociekła na jego wyrzeźbione mięśnie brzucha.

— Jasna cholera, Marzenie.

— No i popatrz. Została ci jeszcze cała minuta do dyspozycji — zauważyła.

— Okrutna kusicielko. Będzie mi potrzebna, żebym mógł w ogóle stanąć na nogach. Zjemy dziś razem kolację?

Powinna była powiedzieć „nie”. Już spędzili ze sobą dwie ostatnie noce. Wysyłała mu niewłaściwy przekaz.

— Sprawdzę, co mam w planach — powiedziała wymijająco.

— Będę potrzebował kroplówki, żeby uniknąć odwodnienia — stwierdził, podnosząc się na nogi. Podał jej

rękę i pomógł jej wstać.

— Znam kogoś, kto może w tym pomóc — powiedziała i wskazała na swój kubek.

Wyszczерzył się w chłopięcym uśmiechu, a ona znów poczuła to nierówne szarpnięcie w piersi. Powinna umówić się na EKG.

Linc pospiesznie podciągnął spodnie.

— Dzięki, że bierzesz dziś Iskierkę. — Pocałował ją, mocno w usta i delikatnie w czubek głowy, po czym wziął swoje smoothie i poszedł w stronę drzwi.

Roześmiała się, kiedy potknął się na progu.

— Kręci mi się w głowie.

— Nie zapomnij zapiąć rozporka, Szpanerze — powiedziała mu.

— Nie zapomnij zgłosić wszelkich podejrzanych osób czających się w piwnicy — powiedział. A potem spowaźniał. — Mówię serio, Mackenzie. Jeśli zauważysz coś, co wzbudzi twój niepokój, zadzwoń do Tya, a potem do mnie.

Zasalutowała.

— Rozkaz, komendancie!

Znów w żartobliwym nastroju, puścił do niej oko.

— Kolacja dziś wieczorem — zawołał przez ramię. — I nie zapomnij o medytacji!

Mniej więcej trzydzieści sekund po tym, jak zamknęły się za nim drzwi, telefon Mack zabrzączał na blacie.

Linc: Jeszcze raz dziękuję. Za Iskrę. I za oral.

Mack: Nie bądź dziwny.

Linc: Możesz skorzystać znów z prysznica. Hasło do Wi-Fi to Alarm4Stopnia. Wprowadź się do mnie, jeśli chcesz, albo zaczekaj na mnie, to przeniosę ciężary.

Mack: Widzę, że seks oralny uszkadza ci mózg.

Rozdział 34.

Siostra Linca, Rebecca — kolejna replika DNA Reedów — wykazała się większą subtelnością podczas przesłuchania pod tytułem „jaki masz zamiary względem mojego brata”. Ubrana w piżamę i szlafrok, z kubkiem kawy w ręce, zaprosiła Mack do swojego schludnego dwupiętrowego domu.

Odcięła jej drogę ucieczki i zaczęła przepytować, jak długo zamierzała zostać w mieście i czy podobała jej się praca lekarki w małym miasteczku. Jednocześnie powtarzała dzieciom, żeby ściszyły telewizor i przypominała mężowi, żeby pojechał wymienić olej w samochodzie.

Mack zabrała Iskierkę do siebie i spędziły pozostałą część poranka na pracach ogrodowych na tyłach domu, bo najwyraźniej nie wystarczyło raz wyplewić rabaty. Podczas gdy Iskierka biegała między podwórkiem od frontu i ogródkiem z tyłu, przynosząc Mack wszystkie możliwe psie zabawki i patyki, jakie tylko znalazła, Mack zerknęła kilka razy z namysłem na otwartą furtkę, wciąż nie do końca pewna, co o tym myśleć.

Bezczelne. Tak. Wygodne. Również tak.

Linc systematycznie odpierał jej twierdzenia, że nie szuka niczego poważnego ani skomplikowanego. Co oznaczało, że sama będzie musiała stawić jeszcze mocniejszy opór. Może dziś po kolacji. Bo w końcu miała jego psa. To jasne, że w którymś momencie będzie musiała się z nim zobaczyć.

Tak. *Jutro* wyznaczy wyraźniejsze granice.

Po lunchu i popołudniowej medytacji zabrała Iskierkę na lody i śmiała się z tego, że pies merdał ogonem jak metronom, pożerając małą porcję lodów waniliowych.

Było po trzeciej. I lody były jej jedynym pomysłem na „rozrywkę”. Przychodnia była zamknięta, więc nie było po co tam wpadać, chyba że chciała znów spaść z krzesła.

Może przygotowywanie kolacji okaże się dobrą rozrywką?

Zapakowała więc Iskierkę do swojego SUV-a i pojechała do sklepu spożywczego.

— Jestem beznadziejna — poskarżyła się psu siedzącemu na siedzeniu pasażera, gdy jechała w stronę domu ze stekami i warzywami na grilla. — Poza lodami i zakupami spożywczymi nie przychodzi mi do głowy nic spontanicznego.

Iskierka spojrzała na nią i zamrugła.

— Nie. Drzemka *nie* jest spontaniczną rozrywką.

Próbowała właśnie wyjaśnić swój kłopot psu, więc wjechała na podjazd, nie zauważywszy zardzewiałego pikapa zaparkowanego przy ulicy.

Iskierka szczeękła ostrzegawczo na dźwięk zatraskiwania drzwi samochodu. Mack podniosła głowę znad toreb wypakowywanych z bagażnika.

Mężczyzna był wysoki, chudy jak szczapa w sposób, który sugerował kiepskie wybory życiowe. Był po pięćdziesiątce, jeśli miałyby zgadywać. Szedł tak, jakby przyświecał mu jakiś cel.

— To pani jest O’Neil, ta doktorka? — zapytał. Miał żółte zęby, brudne palce i koszulkę. Na jego prawym przedramieniu wyrastała paskudna opuchlizna. Pachniał niewyraźnie olejem silnikowym.

— Zgadza się — powiedziała, rzucając torby pod nogi, żeby mieć wolne ręce.

— Jeśli mój bratanek pójdzie do więzienia, to będzie pani wina — powiedział i splunął na trawę obok podjazdu.

— Pański bratanek już jest w więzieniu. I to jego wina.

— Nie zrobił nic złego.

Iskierka znów szczeknęła.

— Przez niego jego dziewczyna trafiła na OIOM, a ja mam złamaną kostkę — powiedziała.

Nie bała się go w walce wręcz. Potrafiła bez trudu pokonać kogoś większego i silniejszego od siebie. Ale jeśli miał broń, no cóż, lepiej żeby dowiedziała się o tym prędzej niż później.

— Moi nie lubią, kiedy ktoś wściubia nosa w nasze sprawy.

— Czy jest pan uzbrojony, panie Kersh?

Prychnął i zignorował jej pytanie.

— Chłopak był na haju. Nie może odpowiadać za swoje czyny, kiedy bierze to gównno.

Westchnęła ciężko.

— Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za własne czyny, panie Kersh. Pański bratanek jest dorosły. Dokonał pewnych wyborów. Złych wyborów. Może to będzie moment zwrotny w jego życiu.

Jego śmiech był pozbawiony wesołości i zakończył się suchym kaszlem. Zauważyła, że jego lewa ręka pocierała lekko opuchliznę na prawej.

— Jak dla mnie to nie żaden punkt zwrotny — stwierdził.

— Nic dobrego z tego dla niego nie wyniknie.

— Nie wycofam zarzutów, panie Kersh. A jeśli choć trochę zależy panu na bratanku, to pozwoli pan, żeby system prawny zrobił swoje. Pański bratanek będzie miał największą szansę na lepsze życie, jeśli zbierze cięgi i odsiedzi swoje. W więzieniu przejdzie odwyk, pójdzie do szkoły, nauczy się zawodu. Jeśli ta dziewczyna przeżyje, to wyjdzie, zanim się pan obejrzy.

— Nie może pani zaatakować mojej rodziny i nie spodziewać się wizyty od nas — powiedział, niemal z westchnieniem żalu. Pomyślała, że może wcale nie ma przekonania do swoich gróźb.

— Nie atakuję was. Postępuję zgodnie z zasadami. Od jak dawna ma pan tego czyraka? — zapytała.

— He?

Wskazała na jego rękę, a on nakrył gulę drugą ręką.

— To czyrak, ropień. Czy był pan z tym u lekarza?

— Nie. Mam to dopiero od dwóch tygodni.

Jego odpowiedź była krótka, ale jej przekaz był jasny. Nie wyglądał na osobę, która miałaby większe zaufanie do personelu medycznego niż do przedstawicieli prawa.

— Niech pan posłucha, jeśli nie przyszedł pan tu po to, żeby mnie pobić, i nie ma pan przy sobie broni, to mogę obejrzeć w środku pańską rękę.

Miał skołowaną minę. I nie wyglądał groźnie, uznała.

Iskierka najwyraźniej się z nią zgadzała. Zrezygnowała z pozy psa obronnego i tarzała się na grzbiecie na trawie.

Mack uniosła rękę.

— Jestem lekarzem. Wydaje mi się, że to sprawia ból. Mogę pomóc.

— Nie jestem uzbrojony — powiedział, wciąż trzymając się za rękę. — Ale nie zapłacę za leczenie.

— Pańska opłata polega na tym, żeby mnie pan wysłuchał, gdy mówię, że nie wycofam zarzutów. Nie żywię urazy do pańskiego bratanka. — To nie była do końca prawda. W dalszym ciągu żałowała, że nie miała szansy sama wybić mu zębów. — Ale zrobił, co zrobił, i musi zapłacić za swoje błędy.

— Nie zgadzam się.

— O ile tylko zgadzamy się, że się nie zgadzamy, może mi pan pomóc wnieść torby do środka, a ja obejrzę pańską rękę.

Wzięła dwie torby i weszła razem z Iskierką do domu. Uśmiechnęła się pod nosem, kiedy usłyszała, że drzwi wejściowe znów się otwierają.

Mężczyzna stał w milczeniu na progu kuchni, trzymając w rękach resztę pakunków.

— Może je pan postawić na blacie i usiąść przy stole — powiedziała. Włączyła górne światło i otworzyła torbę lekarską. Wyciągnęła na stół gaziki nasączone alkoholem, gazę, sól fizjologiczną, taśmę, skalpel i strzykawkę.

— Chwila moment — powiedział mężczyzna, wytrzeszczając wodniste niebieskie oczy na widok skalpela i igły.

— Proszę się nie martwić — uspokoiła. — Jestem profesjonalistką.

— Nigdy wcześniej nie znałem lekarza kobiety — przyznał.

— Czym się pan zajmuje zawodowo, panie Kersh?

— Pracuję w warsztacie u Shorty'ego. Po drugiej stronie miasta.

W jego głosie pobrzmiwała duma.

— Naprawdę? — zapytała Mack. Naciągnęła rękawiczki, a potem otworzyła podkładkę pochłaniającą i położyła ją na stole pod jego ręką.

— Shorty dał mnie z początku do zmiany opon, wymiany oleju. Do prostych rzeczy. W zeszłym tygodniu zamontowałem w jeepie nowy silnik i mam papiery do wykonywania przeglądów rejestracyjnych.

— Muszę wymienić olej i to jakieś osiem tysięcy kilometrów temu — powiedziała, delikatnie obmacując opuchniętą, wrażliwą skórę. Była czerwona i gorąca w dotyku.

— Naprawdę nie powinna pani aż tak długo z tym czekać — złajał ją Kersh.

— Jeśli przyjadę na wymianę, obiecuje pan, że nie dosypie mi cukru do baku?

— Najpierw zobaczymy, jak pójdzie sprawa z tym ropniem. Zaśmiała się.

— Słusznie. No dobrze. Więc najpierw zdezynfekuję panu skórę alkoholem. Zrobię panu zastrzyk ze środkiem znieczulającym. A potem przy użyciu skalpela zrobię nacięcie. Niczego pan nie poczuje.

— Nie potrzebuję żadnych leków dla mięczaków.

— Wszyscy duzi, męscy faceci tak mówią, zanim zaczną kłąć i płakać — powiedziała wesoło. Przetarła miejsce wacikiem nasączonym alkoholem i rozpakowała strzykawkę. — Poczujecie pan lekkie ukłucie.

Odwrócił wzrok, kiedy wbiła igłę, co skojarzyło jej się z małym chłopcem, który próbował być dzielny. Krzywiąc się, zrobił wdech przez zęby. Iskierka, słodka, niewinna dusza, położyła głowę na kolanie Kersha.

Spojrzał na nią.

— Ładny pies — powiedział.

Iskierka zamerdała radośnie ogonem.

— Bez dwóch zdań — zgodziła się Mack. — Już — powiedziała, wyciągając igłę i wyrzucając ją do pudełka na ostre przedmioty.

Mężczyzna odetchnął z ulgą.

— Miał pan w ostatnim czasie gorączkę? — zapytała, rozdzierając opakowanie ze skalpelem.

— Nie wiem.

— Ropień to infekcja bakteryjna. Muszę go otworzyć i opróżnić. Potem założę panu ładny, czysty opatrunek i dam antybiotyk, który będzie pan przyjmować dokładnie zgodnie z zaleceniami. Nie chce pan tego schrzanić i stracić kawałka ręki.

— Nie chcę.

Wstała i zmoczyła ściereczkę kuchenną w gorącej wodzie, a potem położyła ją na ropniu.

— Zaczekamy chwilę, żeby znieczulenie zaczęło działać. Chce pan się napić wody?

— Dobrze — powiedział. — Dziękuję.

Nalała wody do dwóch szklanek i postawiła jedną przed nim.

— No dobrze. Zobaczmy, co tu mamy, panie Kersh.

— Proszę mówić mi Abner — odezwał się łagodnie.

To był bąbel wypełniony prawdziwym paskudztwem i Mack cieszyła się, że mężczyzna akurat dzisiaj postanowił przyjść do niej z pogroźkami. Ostrożnie wycisnęła całą ropę, następnie przemyła ranę solą fizjologiczną.

— Już teraz powinien pan czuć się dziesięć razy lepiej — domyśliła się.

— Chyba tak — powiedział niepewnie.

Jeszcze raz przepłukała ranę, a potem nałożyła na nią krem antybakteryjny i ciasno ją zabandażowała.

Właśnie przyklejała ostatni kawałek taśmy, kiedy przestraszyło ich pukanie do drzwi siatkowych.

— Policja Benevolence, otwierać!

Kersh spał się, a Iskierka rzuciła się z ujadaniem do nowo przybyłej osoby.

— Drzwi są otwarte! — zawołała Mack. — Proszę się nie martwić — powiedziała cicho do pacjenta.

— Doktor O’Neil?

— Jestem w kuchni.

Do środka weszła zastępczyni szeryfa. Marszczyła groźnie ciemne brwi. Jej czarne włosy były gładko zebrane w sterczącego kucyka.

— Doktor O’Neil. Jestem oficer Tahir. Zauważyłam podejrzanego pojazd przed pani miejscem zamieszkania.

Mack patrzyła, jak policjantka obejmuje wzrokiem stertę zakrwawionej gazy, skalpel. Kuchnia faktycznie przypominała trochę miejsce zbrodni.

— Nie ma tu nic podejrzanego, pani oficer — powiedziała pogodnie. — Po prostu badam rękę pacjenta.

Radiostacja policjantki zatrzeszczała, ale Mack nie zrozumiała słów. Kiedy kobieta odwróciła się, żeby odpowiedzieć, Mack wyciągnęła z torby małą buteleczkę.

— Panie Kersh, to jest doksycyklina, antybiotyk. Który będzie pan przyjmował dokładnie zgodnie z zaleceniami.

Mężczyzna wodził niespokojnie wzrokiem między nią i policjantką.

— Dobrze? — upewniła się Mack.

Kersh spojrział na swoją porządnie zabandażowaną rękę.

— Mogę pracować?

— Oczywiście. Proszę tylko uważać na ranę przez kilka dni. Nie zachlapać jej olejem silnikowym. Wydrukuję panu instrukcje dbania o ranę. Najważniejsze, żeby jej nie zabrudzić.

Zastępczyni szeryfa skończyła rozmowę radiową i poszła za Mack do salonu.

— Doktor O’Neil, muszę zadać pani kilka pytań.

— Yhm — powiedziała Mack. Otworzyła laptop i ściągnęła przygotowaną przez przychodnię ulotkę dotyczącą dbania o ranę. Nacisnęła *Drukuj*, a mała drukarka, którą wcisnęła na półkę pomiędzy ceramiczną żabę i wstawioną w ramkę koronkową serwetkę, wypluła kartki.

— Czy czuje się pani zagrożona? — zapytała policjantka.

— Czuję się całkowicie bezpieczna. W przeciwnym razie nie zaprosiłabym go do domu.

— Szeryf nie jest zadowolony.

Jej radio znów zatrzeszczało, a usta oficer Tahir zadrgały. Zgodnie z komunikatem komendant Reed też nie był zadowolony.

Cholera.

— Rozumiem.

Wzięła kartki i poszła z powrotem do kuchni.

— Dobrze. Tu są pańskie instrukcje. W razie pytań albo problemów ze zmianą opatrunku wie pan, gdzie mnie

znaleźć. Pańska recepta jest już w aptece przy Main.

Mężczyzna spojrział na swoją zabandażowaną rękę, a potem znowu na nią. Podniósł się i wyciągnął rękę.

— Dziękuję.

— Bardzo proszę — powiedziała i uścisnęła jego dłoń.

— Zgadzą się, że się nie zgadzamy?

Pokiwała głową.

— Tak.

Odprowadziła go do drzwi.

— Abnerze, czasem lojalność względem rodziny oznacza, że trzeba pozwolić jej członkom samodzielnie rozwiązać swoje problemy.

Milczał przez chwilę, a potem popatrzył na nią i na zastępczynię szeryfa.

— Być może. Ale nawet jeśli przekona pani do tego co poniektórych z nas, to wcale nie oznacza, że przekona pani wszystkich.

Oficer Tahir nie spodobały się te słowa. Ale Mack wzięła je za to, czym były. Nie za groźbę, ale za ostrzeżenie.

— Rozumiem.

Zaczął się oddalać chodnikiem, z kartką i torebką z gazą i taśmą w ręce. Zatrzymał się i zawołał:

— Proszę nie zapomnieć przyjechać na wymianę oleju!

Abner ruszył spod domu i zdążył skrócić za róg, zanim na podjeździe zatrzymał się z piskiem opon samochód komendanta Straży Pożarnej w Benevolence. Wkurzony na maksa Linc nie zawracał sobie głowy wyłączaniem silnika ani zamykaniem drzwi. Był zbyt zajęty podbieganiem do niej.

— Teraz mogą się pani przydać te kajdanki — ostrzegła policjantkę Mack.

— Bez wątpienia, skarbie.

— Co ty sobie myślałaś? — chciał wiedzieć, naskakując na nią.

— Myślałam sobie, że ten człowiek nie stanowi żadnego zagrożenia i że ma ranę, którą trzeba oczyścić.

Linc odwrócił się od niej i wziął głęboki wdech. A potem kolejny.

— Linc?

Uniósł nad ramieniem palec.

— Daj mi chwilę, bo inaczej powiem coś, co wykorzystasz przeciwko mnie.

Zrozumiała i doceniła jego powściągliwość.

— Zaczekam — powiedziała cicho.

Oficer Tahir przewróciła oczami na widok tej błazenady.

Linc odwrócił się znów do Mack i złożył przed sobą ręce.

— Mackenzie.

— Tak?

— Będę naprawdę wdzięczny, jeśli przeprowadzisz mnie przez swój proces myślowy dotyczący sprowadzenia Kersha do swojego domu i pozwolenia mu na rzucanie gróźb pod twoim adresem.

Jego broda miała nerwowy tik, który ją fascynował, a Linc mówił takim głosem, jakby ktoś go dusił.

— Przepraszam, że cię zaniepokoiłam — zaczęła. Jego twarz odrobinę złagodniała. — Ale to nie twoja rola...

Znów zrobił się ostry i wściekły. Pokręcił zawzięcie głową.

— E-e. Nie. Nie masz prawa mi mówić, że nie wolno mi się o ciebie martwić. Zależy mi na tobie, Marzenie.

— Zaczekam na zewnątrz — postanowiła policjantka. — Chodź, Iskra. Możesz posiedzieć ze mną i powąchać kwiatki.

Tahir i Iskierka wyszły z domu i zamknęły za sobą drzwi.

— Wiem, że chcesz udawać, że chodzi tylko o ciebie. Że jesteś w tym sama. Że to, w co razem się angażujemy, się nie liczy. Ale oboje wiemy, że tak nie jest. Nie wolno ci być nieostrożną. I nie wolno ci ryzykować w głupi sposób — powiedział to niskim głosem.

Mack zrobiła krok naprzód tak, że stanęli ze sobą nos w nos.

— Dobrze — warknęła. — Ale *tobie* nie wolno wychodzić z założenia, że jestem nieostrożna i że ryzykuję w głupi sposób. Masz mieć do mnie zaufanie, że potrafię się o siebie zatroszczyć, do cholery.

— Dobrze. A ty pozwolisz mi sobie pomagać, jeśli kiedykolwiek będziesz tego potrzebować.

— Okej. Jak sobie chcesz.

— W porządku.

— Wspaniale.

— Cudownie. — Przytulił ją mocno. — Masz być bezpieczna, Marzenie. Dopiero zaczynam cię poznawać.

Jej serce uruchomiło w piersi program suszarki bębnowej.

— On nie stanowił dla mnie zagrożenia — powtórzyła z uporem. — Iskierka go polubiła. I jeśli już, to tylko mnie ostrzegał przed resztą swojej rodziny.

Linc wydał z siebie pomruk, który miał oznaczać, że nie do końca się z nią zgadza.

— Opatrzyłam mu ropień i pojadę do jego warsztatu na wymianę oleju. I nie jestem głupia, Linc.

— Nie, nie jesteś — powiedział, odchylając w górę jej brodę. — Ale mnie przestraszyłaś.

— Przepraszam, że cię przestraszyłam. Dziękuję, że nie włączyłeś koguta i syren.

— Przepraszam za to, że być może byłem bliski tego, żeby prawie przesadzić z reakcją.

Rozdział 35.

— Linc? — Wołająca go po imieniu Mackenzie O’Neil szybko stała się jego najulubieńszą rzeczą pod słońcem.

— Jestem w garażu — zawołał, przekrzykując muzykę.

Przyzwyczaili się do przechodzenia pomiędzy swoimi domami przez tylną furtkę.

— Co-to-jest? — zapytała, zatrzymując się w drzwiach.

Poklepał szmatką lśniący czerwony zderzak.

— To jest Betsy. — Betsy była zabytkowym wozem strażackim z otwartą kabiną i drewnianą drabiną. Linc odrestaurował wszystko z miłością, własnymi rękami. Kupił wóz na eBayu od prywatnego sprzedawcy w Nowym Jorku i pojechał potem z Brodym, żeby sprowadzić maszynę do domu.

Renowacja zajęła mu pięć lat, trochę tu, trochę tam, po kawałku, z obsesyjnym polowaniem na części. Ale było w przywracaniu do życia kawałka historii coś, co naprawdę mu się podobało. Hołd składany temu, skąd się wywodził.

— Nie wierzę, że masz w garażu wóz strażacki.

— Nie wierzę, że nigdy nie byłaś w moim garażu. Powinnaś lepiej mnie szpiegować, skoro uprawiamy seks.

— Przeszukałam twój stolik nocny, szafkę z lekarstwami i czasopisma, które trzymasz w łazience. A tak swoją drogą, „Świat nauki”, Szpanerze?

— To w garażach faceci zawsze chowają najlepsze rzeczy — powiedział, wstając i składając na jej ustach żartobliwy pocałunek.

— A ty byłeś w moim? — zapytała, przypatrując się Betsy.
Parsknął.

— Marzenie, jestem facetem. Byłem w twoim garażu, żeby skontrolować zagrożenie pożarowe, w piwnicy, żeby upewnić się, że nie ma robaków, gryzoni ani złoczyńców. Wsadziłem nawet głowę w ten mały schowek na strychu.

— A czego tam szukałeś?

— Trupów — odparł z kamienną twarzą. — Omal nie utknąłem w tej maleńkiej szafie w pokoju gościnnym.

Roześmiała się. Ostatnio coraz częściej to robiła. Co było elementem jego diabelskiego planu, żeby zatrzymać ją tu na zawsze.

— Skoro mowa o garażach, zastanawiałam się, czy znalazłbyś czas, żeby mi pomóc w jednej rzeczy?

Prośenie o pomoc w jakiegokolwiek sprawie było dla Doktor Marzenie gigantycznym wyzwaniem.

Wytarł rękę w szmatkę i rzucił ją na stół roboczy.

— Powiedz tylko słowo, a tak się stanie.

— Najpierw muszę się upewnić, że nie zaczniesz panikować i nie zarzucisz mnie swoim testosteronem.

— Aha — powiedział, biorąc się pod biodra.

— Chcę, żebyś mi pomógł podrzucić mojego SUV-a do warsztatu Shorty'ego na wymianę oleju.

— Aha — powtórzył Linc. I zaczął odliczać od dziesięciu.

Przyglądała się mu uważnie.

— Nie jesteś tym zachwycony — zauważyła.

— Nie jestem — przyznał spokojnie. — Ale *postanawiam* zaufać twojej ocenie.

Uśmiechnęła się do niego promiennie, przez co poczuł się jak bohater.

— Dziękuję, Komendancie Ciacho.

— Wyprowadzę tylko Betsy z garażu i mogę jechać.

— Pojedziesz *tym*? — zapytała, wytrzeszczając zielone oczy.

— Nie mów o Betsy w taki sposób — poprosił. Znalazł rzuconą gdzieś wcześniej bluzę i przeciągnął ją przez głowę.

— Chciałam przez to spytać, czy Betsy jest dopuszczona do ruchu drogowego?

Linc poklepał zabytkową tablicę rejestracyjną.

— No jasne. Zwykle ładuję na nią dzieciaki podczas parady Czwartego Lipca. Uwielbia być w centrum zainteresowania.

— Niezły z ciebie gość, Lincolnie Reedzie.

Poszedł za nią do garażu i zczekał, aż wrzuci klucze do schowka. Kiedy wdrapała się obok niego, a Iskierka zasiadła między nimi, podał jej bluzę i włączył ogrzewanie.

— Droga powrotna do domu nie zajmie aż tak dużo czasu — stwierdziła.

— Zabieram moje ulubione dziewczyny na przejażdżkę. Masz z tym jakiś problem, Marzenie?

Uśmiechnęła się szeroko i zanurkowała w za dużą bluzę z logo straży pożarnej.

— Nie. Mam czas.

Następnego dnia Linc sam znalazł wolną chwilę. Nie „przekraczał granic”. Wyświadczał swojej dziewczynie przysługę, odbierając za nią jej SUV-a. Jeśli przy okazji zamieni parę słów z jednym z mechaników w warsztacie, to trudno.

— Dzięki za podwiezienie — powiedziała Kelly, gdy zajechała na parking przed warsztatem. Wyglądało na to, że Shorty i jego ekipa mieli dziś ręce pełne roboty. W środku otwartych zatoczek warsztatowych na podnośnikach znajdowały się samochody, a następne stały w kolejce na parking, czekając na zmianę opon, wymianę oleju i sprawdzenie tłumików.

— Z przyjemnością dopilnuję, żebyś nie został aresztowany — powiedziała. Zaparkowała i rozpięła pas.

— Nie musisz iść ze mną — sprzeciwił się.

— To mnie poprosiłeś o podwiezienie, a nie Brody’ego — powiedziała tylko.

To była prawda. Brody pozwoliłby mu narobić rabanu i czekałby spokojnie z boku do czasu, aż padnie pierwszy cios. A potem przyłączyłby się do bijatyki. Kelly Wu, wraz ze swoim matczynym podejściem, dopilnuje, żeby ograniczyć do minimum rozlew krwi.

— Muszę z nim porozmawiać — upierał się Linc.

— Tak, musisz — zgodziła się, idąc z nim w kierunku wejścia.

— Pilnuj po prostu, żebym za bardzo się nie wygłupił, okej?

— Zrobi się. Co tu się, do cholery, dzieje?

Kelly w mgnieniu oka zamieniła spokój, luz i opanowanie na zimną furię.

Linc podążył za jej wzrokiem do SUV-a Mack zaparkowanego obok budynku. Zespół zdenerwowanych pracowników warsztatu stał z przyrządami do szorowania, podczas gdy szeryf i zastępczyni Tahir robili zdjęcia.

„DZIFKA”, wypisano niezdarnie na masce białą farbą w sprayu, która zrobiła zacieki.

— Dżifka? Oooo cholera — powiedziała Kelly.

Ale Linc już szedł przez parking.

— Kersh! — warknął.

Chudy mężczyzna z świeżym opatrunkiem na rękę i gigantyczną gąbką w dłoni spojrzał na niego z wytrzeszczonymi oczami.

Kelly złapała Linca za tył koszulki, gdy ten szedł naprzód jak taran.

— Spokojnie, kowboju — powiedziała, zapierając się obcasami o asfalt.

Spowolniło go to, ale nie zatrzymało.

Abner Kersh uniósł w górę rękę.

— Nie miałem z tym nic wspólnego — powiedział. — Tak już było, gdy przyszliśmy rano.

Linc złapał faceta za przód kombinezonu.

— Kto to zrobił?

— Spokojnie, komendancie — nakazał Ty, stając pomiędzy nimi. — To Abner zadzwonił ze zgłoszeniem.

— Ja bym tego nie zrobił — powiedział Abner kategorycznie. — Przysięgam. Shorty, musisz mi uwierzyć — odezwał się do szefa, niskiego, krągłego mężczyzny o gęstych ciemnych włosach z niebieską bandaną na głowie.

Linc nie był pewny, czy Kersh bardziej się bał jego, czy swojego szefa.

— Wiem, Ab — powiedział Shorty, kładąc dłoń na jego ramieniu. — Ręczę za niego, komendancie. To jeden z moich najlepszych ludzi. Nie naraziłby w taki sposób swojej roboty. Poza tym zna ortografię.

— Znam. Tam powinno być „w” — powiedział Abner i pokiwał z zapalem głową.

Linc zmusił się do odzyskania spokoju. Ale Kelly, bardzo dobrze go znając, dalej trzymała go za koszulkę.

— Ja i doktorka zawarliśmy układ. To nie byłem ja — powiedział Kersh już spokojniej.

Linc mu wierzył. Czyż Mackenzie nie byłaby tym zachwycona? Ale w dalszym ciągu były pytania, które wymagały odpowiedzi.

— W takim razie kto to zrobił? — Chciał wiedzieć.

Kersh wbił wzrok w swoje stopy.

— Nie wiem.

Ty spojrzał na Linca. Obaj wiedzieli, kto za tym stał. Brat Abnera, Jethro, był niepiśmiennym gnojkiem, który latami chował urazę do ludzi. Obiłby chętnie mordę za obrazę sprzed dwudziestu lat.

— Dowiemy się, jeśli to pański brat jest za to odpowiedzialny — poinformowała oficer Tahir.

— Nie wiem, kto to zrobił — powiedział Kersh niezbyt przekonującym głosem. Bawił się bandażem na ręce. — Ale może ktoś z nas zauważył puszkę sprayu za kontenerem na śmieci. Może to jest dowód. — Wzruszył ramionami i wbił wzrok w popękany asfalt.

— Nie pozwoliłem nikomu jej dotykać na wypadek, gdyby były na niej odciski palców — powiedział Shorty, pokazując

drogę.

Linc i Abner zostali na miejscu, stojąc naprzeciwko siebie.

— Chcę, żebyś przekazał swojej rodzinie wiadomość — powiedział Linc. — Doktor O’Neil jest nietykalna.

— Zrozumiałem. I hipotetycznie mówiąc, domyślam się, że nie zgodzi się na to, żeby ktokolwiek więcej robił jej problemy — powiedział nieufnie Abner.

— Dobrze — odparł Linc.

Abner podrapał się po karku.

— Ta doktorka wydaje się miłą kobietą.

— Jest też przerażająca. Więc jeśli ktoś będzie na tyle głupi, żeby się na niej mścić, będzie miał do czynienia ze mną, a jeśli uda mu się mnie pokonać, to Mackenzie sama go załatwi — oznajmił kamiennym głosem Linc.

— Zrozumiałem — Abner pokiwał głową.

Kelly westchnęła.

— Dobra. Koniec tej próby sił. Czy to gównno zejdzie z karoserii?

Abner odwrócił się do SUV-a.

— Wygląda na farbę wodną. Za moment to zmyjemy.

— Umyjcie samochód, a potem go zawoskujcie — powiedział Linc.

— Okej.

Ty zrobił potrzebne zdjęcia i zapakował do woreczka wyrzuconą puszkę po farbie w sprayu.

W czasie, gdy pracownicy warsztatu zajmowali się napisem, Linc stał w miejscu i patrzył na zniszczony samochód swojej dziewczyny.

— Niech ci nawet nie przyjdzie do głowy, żeby jej nie powiedzieć — odezwała się Kelly.

Linc jęknął i wyciągnął telefon.

Rozdział 36.

Minął tydzień, a potem kolejny bez dalszych problemów ze strony rodziny Kershów po akcie wandalizmu w warsztacie samochodowym. Odciski palców na puszcze wskazały na Jethro, który głośno i z pijacką werwą zaprzeczył, że był w to zaangażowany, a potem zamachnął się na oficer Tahir, która z przyjemnością posłała faceta na dupsko. Wkrótce miały zostać wniesione przeciwko niemu zarzuty.

Mack się nie martwiła.

Linc popadł w przesadę i zmienił wszystkie zamki w jej domu. Zaczął przebąkiwać coś o tym, że skontaktuje się z właścicielem, żeby wymienić rozklekotane przesuwne szklane drzwi tarasowe i żeby zainstalować system kamer dozorowych, ale Mack sprzeciwiła się stanowczo obu tym pomysłom.

Październik pysznił się w tym roku wspaniałymi oranżami, rdzawą czerwienią i słoneczną żółcią. Było chłodno i rześko. Mack dała się namówić Sophie, Glorii i Harper na półdniową wyprawę na zakupy, żeby zaopatrzyć się w cieplejsze ubrania.

Nie *potrzebowała* czterech nowych swetrów, nawet jeśli były tak miękkie jak futro Iskierki. Ani sukienki, która naprawdę będzie na niej dobrze wyglądała, kiedy pozbędzie się już wreszcie tego cholernego buta ortopedycznego.

Jej plan, żeby trzymać Linca na dystans, zawodził w zasadzie każdej nocy, kiedy nie pracował na drugą zmianę. Kiedy miał nocki, Mack brała do siebie Iskierkę. Zabrała ją nawet kilka razy do przychodni, gdzie pies dokonywał swoich czarów na chorych lub zestresowanych pacjentach.

Jej kostka ładnie się zrastała — kto twierdził, że lekarze są najgorszymi pacjentami? — i ortopeda był pewny, że w listopadzie Mack zostanie uwolniona od buta ortopedycznego.

Jesień była porą zmian. Nowych początków i końców.

Mack nie była pewna, do której z tych kategorii zaliczał się Lincoln Reed. Ale obie możliwości ją stresowały. Linc zabierał ją i Iskierkę na pływanie kajakiem po jeziorze i na oglądanie jesiennych liści podczas powolnych, krętych przejażdżek po okolicy. Kupili wtedy cydr jabłkowy w przydrożnym straganie i pozwali do zdjęć z dynią ważącą sto trzydzieści kilogramów.

Mack pomagała przy zapisach na zawody w gotowaniu chilli w remizie i wybrała się na wielkie otwarcie wyremontowanego tarasu u Morettów. W jesiennym słońcu, wśród opadających liści zajadali się *enchiladami* matki Glorii. Pani Moretta w dalszym ciągu spotykała się z futbolistą, którego wiecznie nie dopuszczała do słowa, ale jemu najwyraźniej to nie przeszkadzało.

W pracy Mack musiała wysłać pierwszego pacjenta do onkologa, a kolejnego do kardiologa. Fizycznie współodczuwała ich niepokój.

Założyła szwy futboliście z ogólniaka. Po długiej rozmowie na temat szacunku do samej siebie, prawa do mówienia „nie” w każdym momencie i tego, jak dziecko może zaprzepaścić plany pójścia na studia, przepisała pigułki antykoncepcyjne bardzo podekscytowanej siedemnastolatce, której matka posłała Mack w poczekalni dzielny, łzawy uśmiech.

Była zajęta, ale stosunek spraw związanych z pracą do spraw osobistych uległ drastycznej zmianie. W dalszym ciągu nie była uwzględniana w grafiku pogotowia lotniczego i miała trzy dni w tygodniu na robienie tego, co

jej się żywnie podoba. Zaczęła gotować. I ćwiczyć kilka razy w tygodniu na siłowni u Linca. Tęskniła za bieganiem, ale trening siłowy miał swoje plusy. A mianowicie możliwość patrzenia na spoconego, gołego do pasa Linca, który przenosił wielkie obciążniki.

Medytacja nadal... nie przychodziła łatwo. Ale Mack potrafiła wytrwać podczas sesji. Zwłaszcza po tym, jak Ellen poinformowała o dwudziestym wyjściu na basen, przysyłając zdjęcie swojej rozpromienionej, mokrej osoby.

Wszystko dobrze się układało. I to też nie dawało jej spokoju. Bo taka sytuacja w życiu nigdy nie trwała długo.

Zaproszenie dla Mack na Dzień Służb Ratowniczych w szkole podstawowej w Benevolence było miłą niespodzianką. Aby zrobić na dzieciach wrażenie, przedstawiciele służb ratowniczych rywalizowali między sobą o najbardziej dramatyczne wejście. Policja zjawiała się z włączonymi syrenami i kogutami, zatrzymując się z piskiem opon na parkingu przed boiskiem, gdzie zgromadziła się cała szkoła.

Wozy strażackie wjechały na sygnale i odstawiły pokaz z wyciąganiem węży strażackich i drabin.

Ale zespół Mack pobił ich wszystkich.

Po raz pierwszy od czasu założenia buta ortopedycznego była w powietrzu i czuła się tak, jakby wróciła do domu.

Helikopter przeleciał z pochylonym kadłubem tuż nad wierzchołkami drzew. Kiedy otworzyło się pod nimi boisko, opadł dramatycznie. Mack patrzyła, jak dzieciaki machają z podekscytowaniem. Widziała, że nauczyciele i inni pracownicy odciągają wszystkich na bezpieczną odległość od miejsca lądowania.

ST zrobiła na pokaz obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni, po czym posadziła maszynę dokładnie na samym środku boiska do piłki nożnej.

— To się nazywa lądowanie — powiedział Bubba.

ST dała im sygnał do wyjścia, więc Mack i Bubba rozłączyli zestawy radiowe i wysiedli z helikoptera.

— Mam wrażenie, jakbyśmy kroczyli jak jacyś bohaterowie w zwolnionym tempie — szepnął Bubba, gdy szli — i utykali — w kierunku gromady uczniów podstawówki.

— Powinniśmy ściągnąć hełmy i potrząsnąć pokazowo włosami — zaproponowała Mack.

Z megafonu rozległ się znajomy głos.

— Doktor Mack, zniszczyła pani moje wejście — zażartował Linc z wozu dowodzenia.

Dzieciaki miały okazję obejrzeć wszystkie pojazdy, co rozpałało w bystrych, młodych umysłach najróżniejsze pomysły na przyszłą karierę zawodową. Zakładały kaski i rozwijały węże strażackie. Siadały na miejscu pilota w helikopterze i na miejscu kierowcy w radiowozie. Bawiły się w poszkodowanych i załogę karetki.

Ava Garrison podbiegła do Mack i uściskała ją mocno, po czym wróciła biegiem do grupki koleżanek. Kilkoro innych małych pacjentów przywitało się głośno.

— Dzień dobry, doktor Mack!

Obok niej pojawiła się długonoga dziewczynka w warkoczach, z uroczą przerwą między przednimi zębami.

— Cześć, jestem Samantha. Poznałyśmy się kiedyś w ogródku mojego wujka.

— Jasne. Jesteś siostrzenicą komendanta Reeda — powiedziała Mack, przypominając sobie bitwę na strzałki i będącą jej następstwem scenę śmierci.

— A ty jesteś jego dziewczyną — oznajmiła Samantha.

— No cóż. Nie rozmawialiśmy tak naprawdę o etykietach i...

— Nie panikuj. — Dziewczynka wypuściła podmuch powietrza, od którego uniosła się grzywka na jej czole. — Nie przyszłam rozmawiać o tym. Mam inną sprawę.

— Dobrze. Może wejdziemy do mojego gabinetu? — powiedziała Mack i wskazała na helikopter.

Wsiadły do środka.

— No więc myślę, że chciałabym być albo koronerem, albo przedsiębiorcą pogrzebowym — oznajmiła Samantha, machając nogami ze swojego miejsca na noszach.

Dzieciaki.

— Aha.

Samantha zmierzyła ją chłodnym wzrokiem.

— Wiem, że to się może wydawać dziwne. Ale każdy umiera. To pewna praca.

Mack zamrugła oczami i nie była pewna, czy dziwniejsze jest to, że jedenastolatka zastanawia się nad pracą przedsiębiorcy pogrzebowego, czy raczej to, że decydującym czynnikiem jest pewność zatrudnienia.

— To prawda.

— Ale wszyscy też chorują albo mają wypadki — powiedziała Samantha.

— To też prawda.

— Więc może chciałabym być lekarzem i pracować z żywymi ludźmi. No bo latanie helikopterem jest ekstra i można ratować ludziom życie tak jak wujek Linc.

— Masz jeszcze czas na podjęcie decyzji — zauważyła Mack.

— Nie za wiele. Jeśli będę chciała zostać lekarzem, to oznacza dobry kurs przygotowujący na medycynę i wybranie, na którą akademię medyczną chcę iść jeszcze przed ukończeniem szkoły średniej. A spójrzmy prawdzie w oczy, przeprowadzanie sekcji zwłok płazów na biologii i uczenie się prawidłowego mycia rąk na lekcjach higieny to żadne przygotowanie.

Dziewczyna wiedziała, o czym mówi. Mack odnotowała w pamięci, żeby powiedzieć Lincowi, że powinien porozmawiać z siostrą na temat uruchomienia blokady rodzicielskiej w wyszukiwarkach internetowych.

— Kiedy pani postanowiła, że chce być lekarzem? — spytała dziewczynka.

Mack chrząknęła, gdy w jej głowie pojawiło się wspomnienie tak wyraźne, jakby to wydarzyło się wczoraj.

— Miałam sześć lat.

— No widzi pani — oburzyła się Samantha. — Jestem już pięć lat do tyłu!

— Sześć lat to zdecydowanie za wcześnie dla kogokolwiek, żeby decydować o tym, co chce robić w przyszłości. Masz jeszcze mnóstwo czasu, żeby podjąć taką decyzję i wybrać uczelnię.

— To skąd pani o tym wiedziała w wieku sześciu lat? — zapytała Samantha, okręcając w palcach końcówkę jednego z warkoczyków. — Była pani jednym z tych małych geniuszy? Skończyła pani medycynę w wieku osiemnastu lat?

— Co takiego? Nie! Złamałam kostkę i musiałam jechać do szpitala. Lekarz był dla mnie miły i dzięki niemu przestała mnie boleć noga.

Samantha spojrzała w dół.

— Widać nie był zbyt dobry, skoro nadal nosi pani gips.

— To jest but ortopedyczny i zupełnie inny uraz — wyjaśniła Mack, nagle obronnym tonem.

— Ta sama kostka?

Mądrała.

— Tak. Ta sama kostka.

— W takim razie pewnie nie zrosła się prawidłowo.

— Wątpię, żeby to była wina lekarza.

— Jak ją pani złamała?

— Wskoczyłam z okna na piętrze. — Mack pożałowała tego w momencie, w którym słowa wydobyły się z jej ust, ale Samantha w ogóle się tym nie przejęła.

— Czy to wtedy dorobiła się też pani tej superanckiej blizny?

Mack zacisnęła zęby.

— Nie.

Cholera, dziewczyna mogłaby nauczyć swoją mamę i ciotki kilku rzeczy na temat wyciągania informacji.

— Czy ty zamęczasz moją przyjaciółkę, Mantho?

Linc, litościwy ratownik, wsadził głowę do wnętrza helikoptera.

— Wiedziałeś, że doktor Mack w wieku sześciu lat wyskoczyła z okna na pierwszym piętrze i złamała nogę, i właśnie w taki sposób postanowiła, że zostanie lekarzem?

Mack udawała, że jest zbyt zajęta przepinaniem sprzączki w uprząży, żeby spojrzeć mu w oczy.

— Naprawdę? — powiedział lekko Linc.

— Ale to nie wtedy dorobiła się swojej blizny. O tym mi nie chce opowiedzieć — ciągnęła Samantha.

— Mantho!

Mack siłą rzeczy roześmiała się, słysząc ojcowskie połajanie w głosie Linca.

— No co? — rzuciła ze złością dziewczynka.

— Ludzie nie muszą ci o wszystkim opowiadać, dziecko — wyjaśnił.

— Nie sądzisz, że na świecie żyłoby się lepiej, gdyby ludzie byli ze sobą szczerzy?

— Nie — odpowiedzieli jednocześnie Linc i Mack, a potem wymienili się uśmiechami.

Samantha przewróciła oczami.

— Ale wy jesteście dziwni.

— Tak, tak — powiedział Linc. Złapał siostrzenicę pod pachami i zsadził ją z noszy. — A teraz zmykaj stąd, żebym mógł pocałować tę ładną panią doktor na osobności.

Udało im się wykonać jeden bardzo dokładny pocałunek, zanim zostali wezwani do środka. Ponieważ uczniowie — i dorośli — byli już porządnie zmęczeni, wszyscy zgromadzili się w szkolnej auli. Pachniało tam klejem w sztyfcie i ravioli.

Mack śmiała się z resztą zgromadzonych, gdy strażacy przebierali się w swoje stroje ochronne — oczywiście rywalizując ze sobą o to, kto zrobi to pierwszy — a potem zatańczyli na scenie taniec z „nicią dentystyczną”. Sądząc po otaczających ją radosnych buziach, domyślała się, że jeśli któreś z tych dzieci kiedykolwiek zetknie się ze

strażakiem podczas jakiegoś wypadku, to poczuje radość, a nie strach. To było mądre, zabawne zagranie.

I musiała przyznać, że *jej własny* strażak mógł się zdecydowanie pochwalić kilkoma ładnymi ruchami tanecznymi.

Po występie dyrektor szkoły zaprosił wszystkich przedstawicieli służb ratowniczych na scenę, na krótką pogadankę z dziećmi.

Uczniowie zapytali Linca, czy ma dalmatyńczyka. Ku ich uciesze, przedstawił im Iskierkę, która przeszła przez aulę, wężąc w poszukiwaniu psich smaczków.

Zapytali szeryfa Adlera o łapanie złoczyńców i o to, czy brał udział w pościgu samochodowym.

Chcieli wiedzieć, ile wzrostu ma Bubba i czy Sally zabierze ich helikopterem do domu.

Jakiś dzieciak w okularach z grubymi szklami i koszulką z Iron Manem podniósł rękę.

— Doktor Mack, powiedziałem tacie, że chcę zostać lekarzem, ale on mi powiedział, że to za duża odpowiedzialność, bo rozchodzi się o życie i śmierć, i że powinienem zostać księgowym albo kimś, kto nie musi walczyć o ludzkie życie. No więc, czy kiedyś pani kogoś zabiła?

Nauczycielka trzymająca przed dzieckiem mikrofon odsunęła go szybko i syknęła „to niestosowne”, podczas gdy inne zgromadzone dzieci ochnęły.

Chłopiec wruszył ramionami i patrzył wyczekująco na Mack.

Otworzyła usta, ale nic się z nich nie wydobyło.

Przed oczami jej umysłu przesuwały się szybko kolejne twarze. Nie oglądała jednak swojego życia, tylko kres życia

innych. Niektórych straciła w drodze. Do innych dotarła za późno. Kilka osób przegrało walkę już po tym, jak dostarczyła je do szpitala. A pierwsza osoba zmarła na ostrym dyżurze, jeszcze zanim ona sama skończyła medycynę. Miała jej krew na rękach.

Tamtej nocy straciła pacjenta, a po kilku minutach sama się nim stała.

Jej palce musnęły bliznę, jakby wciąż mogła wyczuć w tym miejscu swoją krew. Trzęsła jej się ręka.

Linc sięgnął po trzymany przez dyrektora mikrofon.

— Odpowiadając na twoje pytanie, Tony Starku, każdy z nas robi wszystko, co tylko się da, żeby uratować każde istnienie. Czasem się nie udaje. Ale w większości przypadków tak. Dlatego właśnie to bardzo ważne, żebyście wy — wskazał na uczniów — wiedzieli, co zrobić w razie wypadku.

— Co wtedy zrobić? — odezwała się z pierwszego rzędu drobna pierwszoklasistka. Włosy miała zebrane w koński ogon zrobiony z dziesiątek cieniutkich warkoczyków.

— Zapinać pasy — powiedział Linc do mikrofonu. — Powtórzcie za mną, młodzieży.

— Zapinać pasy — powtórzyli.

— Przebieg drogi ewakuacyjnej — ciągnął. — Czujniki dymu. Usunięcie się na pobocze, żeby umożliwić przejazd służbom ratunkowym na drodze. Resuscytacja krążeniowo-oddechowa i pierwsza pomoc.

Dzieci powtarzały po nim każde słowo, jakby próbowały wbić je sobie do głowy. A Mack naprawdę miała nadzieję, że tak było. Beztroska kończyła się ludzką krzywdą.

— Każdy z was jest przyszłym bohaterem — powiedział im Linc. — Musicie po prostu wiedzieć, co robić, gdy zdarzy

się wypadek.

Oddał mikrofon dyrektorowi i usiadł znów obok Mack.

— Jesteś moim bohaterem — szepnęła.

— Najwyższa pora, żebyś to przyznała — powiedział, kładąc rękę na oparciu jej krzesła i pozwalając swoim palcom gładzić jej szyję.

Rozdział 37.

Po spotkaniu w auli Linc wyprowadził Mack na zewnątrz.

— Nie musisz lecieć z powrotem helikopterem — powiedział. — Mogę cię podrzucić do samochodu.

Nie podobało mu się to, jak zbladła po pytaniu tamtego dzieciaka i jak zaczęły trząść się jej ręce. Tajemnice. Ukrywała je.

— Jesteś w pracy — przypomniała mu.

— Jestem komendantem. Jaki sens być szefem, jeśli nie mogę zabawić się w szofera mojej dziewczyny w odjazdowym wozie?

— Uroczo. Ale nie. Przez kilka godzin będę pomagać podczas inwentaryzacji w bazie.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

Pokiwała głową i nabrała powietrza.

— Tak. Dzieciaki rozbudzają po prostu najróżniejsze emocje.

— To wcale nie była mętna odpowiedź — zauważył.

Zatrzymała się i odwróciła do niego.

— Skoro mowa o dzieciakach. Jesteś oszustem, Szpanerze.

Celowo zmieniała temat. Zgodzi się na to... na razie.

— O czym ty mówisz?

— Mimo że takiego zgrywasz, wcale nie jesteś tym flirciarzem i imprezowiczem, który odhacza kolejne podboje na ramie łózka.

— Ile porcji tego paskudnego hawajskiego ponczu wypilaś, doktorco?

— Cztery. I nie zmieniaj tematu. Widziałam cię. Widziałam cię wśród tych wszystkich dzieci. Szykujesz się do bycia tatą. Masz na sobie wypisaną chęć założenia rodziny.

— Nieprawda. — Podciągnął rękaw koszuli i zaprezentował jej tatuaż. — Mam tu wypisane coś innego. Straż Pożarna Benevolence.

Pokręciła głową.

— Widzę cię, Lincolnie Reedzie. Możesz zgrywać podrywacza. Ale ja cię *widzę*.

Stali tam i patrzyli na siebie przez długą chwilę. Linc chciał zażartować, powiedzieć coś zalotnego. Ale tak jak podczas ich pierwszego spotkania odjęło mu mowę i pewność siebie.

Ona nie chciała tego co on, przypomniał sobie. Wystawiał się tylko na porządnego kopa w tyłek, gdy ona będzie miała dość. I będzie bolało bardziej, bo była jedyną osobą, która go rozumiała, naprawdę rozumiała.

— Będiesz kiedyś wspaniałym tatą — powiedziała z czułością Mack.

Wciąż nie znajdował w sobie żadnych słów, gdy wspięła się na palce i wycisnęła pocałunek na jego policzku.

— Dzięki za ratunek na sali — powiedziała. Z tymi słowami odwróciła się i pokuśtykała w stronę helikoptera.

Ty czekał na niego na parkingu, oparty o maskę wozu dowodzenia.

— Było więcej problemów z Kershami? — zapytał kumpel.

— Co? Aha. Nie. — Linc podrapał się po brodzie.

— Inne problemy?

— Czyż kobiety nie są dziwne? — zapytał Linc.

— Dość mocno się zdenerwowała — przyznał Ty.

— Powiedziała mojej siostrzenicy, że postanowiła zostać lekarką w wieku sześciu lat, gdy wyskoczyła z okna na pierwszym piętrze. Złamała kostkę.

— Wyskoczyła — powtórzył Ty.

Linc pokiwał głową.

— Lubi adrenalinę, to jasne. Ale...

— To niemożliwe, żeby Mackenzie O'Neil wyskoczyła z okna dla zabawy — dokończył za niego Ty.

— Dokładnie.

— Czy to wtedy dorobiła się tej blizny?

Linc poczuł, że jego usta wykręca grymas.

— Nie według przesłuchania przeprowadzonego przez Manthę. Mack nie chciała powiedzieć, jak się jej dorobiła, powiedziała tylko, że nie miało to związku z upadkiem.

— Próbowalesz kiedyś sam ją zapytać?

Linc pokręcił głową.

— Nie. Stwierdziłem, że po prostu uzbroję się w cierpliwość. Kiedy będzie gotowa, sama opowie mi swoją historię.

— To brzmi pięknie i szlachetnie, i w ogóle — powiedział Ty. — Ale jesteś pewny, że sam nie bronisz się przed bliskością?

— Och, bliskości nam nie brakuje — odparował Linc.

Ty wbił palec w jego pierś.

— Otóż to, panie dowcipnisiu i flirciarzu. Możesz twierdzić, że jesteś gotowy na prawdziwy związek. Ale jeśli nie umiesz się teraz zdobyć na trudne rozmowy, to kiedy twoim zdaniem się na nie odważysz?

— Co pan stara się mi powiedzieć, szeryfie?

— Wstrzymujesz się. Czekasz, aż ona się spakuje i odejdzie.

— Ale ona przecież *naprawdę* się spakuje i odejdzie — sprzeciwił się Linc. — Co według ciebie mam z tym zrobić?

— Nikt cię nie zrani, jeśli twoje serce jest zamknięte w piersi na cztery spusty — wyjaśnił Ty. — Może najwyższy czas wyciągnąć je na wierzch.

— Chryste. Co oni dodali do tego hawajskiego ponczu?

— Proszę bardzo, żartuj, ile chcesz, przyjacielu. Ale jedyny sposób, żeby któregoś dnia zdobyć serce jakiejś bardzo cierplivej kobiety, to pozwolić sobie na całkowitą bezbronność.

Linc zamrugał oczami.

— No co? — Ty wzruszył ramionami. — Soph kupiła nową książkę Oprah. Jest całkiem niezła.

— Chcesz mi powiedzieć, że nie zdobyłeś Sophie Garrison dzięki temu, że lansowałeś się w ogólniaku, a potem wybrałeś zawód z mundurem, który podkreśla twój tyłek i twój autorytet? — zapytał Linc.

Ty obejrzał się przez ramię na swój tyłek.

— Naprawdę nieźle wygląda w tych spodniach, co?

— Oj, żebyś wiedział, brachu.

— A odpowiadając na twoje pytanie, nie. Soph nie dawała się nabrać na żaden lans. Zerwaliśmy ze sobą. Chciała rozwinąć skrzydła. Zadziałało dopiero, kiedy otworzyłem się

przed nią i powiedziałem, że jest dla mnie tą jedyną, ale że jeśli nie chce się angażować, to co prawda złamie mi serce i zawsze będę za nią tęsknić, ale moje życie się nie skończy.

— Daj spokój. Chcesz mi powiedzieć, że te głupoty zadziały? — zapytał Linc.

Ty podstawił Lincowi pod nos swoją obrączkę ślubną.

— To plus cholernie romantyczne oświadczyzny. Poza tym dobrze też działa zrobienie jej raz na jakiś czas dziecka i składanie prania. I odmawianie tylko co szóstej lub co siódmej rzeczy, o którą mnie prosi.

Teraz to Ty sobie żartowałeś. Ale Linc znał gościa i wiedział, że bardzo kochał i szanował swoją żonę. Razem tworzyli naprawdę zgrany zespół.

— Słyszysz, co mówicie ty i Oprah — powiedział Tyowi. — Ale doktorka postawiła sprawę jasno. Jest tu tylko na chwilę.

— A ty jesteś za wielkim tchórzem, żeby ją poprosić, aby została na zawsze. Pewnie rzucasz na prawo i lewo żartami na temat ślubu i dzieci. Ale tylko w ten swój czarujący sposób zawodowego flirciarza — powiedział Ty, całkiem nieźle naśladując Linca, który napina bicepsy i puszcza oko do jakichś wyobrażonych kobiet.

Prawda była cholernie bolesna.

— Nie zgadzam się z nazywaniem mnie tchórzem — stwierdził Linc.

— Ale?

— Ale możesz mieć w pewnym sensie niejako, ale nie do końca, tylko dość zbliżoną rację. Poza tym mrugam jedynie prawym okiem, więc musisz poćwiczyć rolę.

Zademonstrował, a Ty zachwiał się do tyłu.

— Cholera. Kiedy to zrobiłeś, jakbym usłyszał dzwon.

— Ćwicz dalej — powiedział Linc.

Linc i jego zastęp wrócili do remizy i przez kilka kolejnych godzin odpowiadali na łatwe zgłoszenia. Linc tkwił właśnie po uszy w planowaniu wielkich oświadczeń, gdy jego telefon zasygnalizował nadchodzące połączenie wideo.

— Jilly — powiedział.

— Jak się ma mój ulubiony brat?

— Nie.

— Nawet jeszcze o nic nie spytałam. Mógłbyś się okazać choć na tyle miły i dać mi zadać pytanie, zanim odmówisz.

— W porządku — mruknął.

— Mogę podrzucić chłopców do remizy?

— Nie.

— Zanim odmówisz...

— Już to zrobiłem. Dwa razy.

— Posłuchaj. Pamiętasz, że ciągle mnie prosili o psa?

Linc ścisnął sobie grzbiet nosa. Jego siostra dobrze wiedziała, jaką kartą zagrać.

— Nie zaczynaj, Jillian. — Wykorzysta jego miłość do psów przeciwko niemu.

— Więc kontaktowałam się ze schroniskiem, z którego wzięłam Iskierkę.

O cholera. Skończy się tak, że jego siostrzeńcy będą biegać po remizie jak wariaci.

— To nie fair. To jest remiza, a nie przedszkole.

— Mają idealnego psa — ciągnęła. — Ma sześć lat. Uwielbia dzieci. I biedak nigdy dotąd nie miał domu. Jego poprzedni właściciel trzymał go przywiązanego do żerdzi...

— Nienawidzę cię. Przywieź chłopaków, ale zaprzęgnę ich do roboty — zastrzegł.

— Jesteś najlepszy — zaświergotała Jillian.

Brandon, Mikey i Griffin wyglądali jak przedstawiciele bardzo młodej delegacji Narodów Zjednoczonych. Jillian była jasnowłosą, niebieskooką siatkarką. Zakochała się bez pamięci w magistrze farmacji z Filipin, którego pasją były kolarstwo i skrzydełka w ostrym sosie. Urodził im się Brandon, najstarszy syn, który odziedziczył włosy po ojcu, a praktycznie całą resztę po Reedach. Potem Jilly i Vijay załapali bakcyła adopcji i w kolejnych latach dołączyli do rodziny Mikeya z sierocińca w Wenezueli i Griffina z opieki zastępczej.

— Wujek komendant Linc — powiedział Griffin, podchodząc energicznym krokiem do miejsca, w którym Linc opierał się o wóz strażacki. Chłopiec zawsze się spieszył, choć z godnością.

— Hej, Griff. Jak leci?

— Wujku komendancie Lincu, czy mama chce nas porzucić? — zapytał Brandon, zmarszczywszy z niepokojem brwi.

Griffin przewrócił oczami, podczas gdy Mikey z rękami w kieszeniach spodni dresowych oglądał wóz, chodząc wokół niego.

Brandon został ostatnio na noc u kolegi, którego rodzice nie pilnowali go aż tak dobrze, jak był do tego przyzwyczajony Brandon. Obejrzeliby razem horror o

dzieciach, które rodzice porzucili, sprzedawszy je do cyrku obwoźnego. Przez ostatni tydzień spał na podłodze przed sypialnią rodziców.

Pies by pomógł, przewidywał Linc.

— Nie sądzę — powiedział, mierzwiąc gęste, ciemne włosy siostrzeńca. — Chyba po prostu miała coś do załatwienia.

— Jeśli nas porzuci, to czy zamieszkaż z nami i z tatą? — zapytał poważnie Brandon.

— Oczywiście — obiecał Linc. — Pięciu kawalerów w jednym domu, używających życia?

— Czy kawaler jest wtedy, kiedy pojawiają się wszystkie panie, żeby z nim zamieszkać i trzeba wybrać najładniejszą albo taką, która cały czas wrzeszczy i płacze? — Chciał wiedzieć Mikey.

Kolejna ofiara braku kontroli podczas oglądania telewizji.
Nie mógł się doczekać, kiedy powie o tym Jillian.

— To ktoś zupełnie inny — zapewnił go Linc.

Jego siostrzeńcy ustawili się przed nim z wyczekiwaniem.

— No więc?

— Co no więc?

— Dasz nam jeść albo coś?

— Lepiej. Najpierw dam wam zadanie do wykonania. Musicie zasłużyć na grillowany ser. — Wskazał na otwartą zatokę, przed którą na asfalcie stał wóz z drabiną.

— Jakie zadanie? — zapytał podejrzliwie Mikey.

Linc wziął wiadra i gąbki, które miał przygotowane na stole roboczym.

— Umyjcie mój wóz drabiniasty.

Któregoś dnia, pomyślał Linc, patrząc, jak chłopcy walczą o dostęp do wozu, jego siostrzeńcy nie będą tak podekscytowani perspektywą szorowania sprzętu pożarniczego metr od podłogi. Któregoś dnia nie będą się tak cieszyć na myśl o odwiedzeniu go. Będą zbyt zajęci szkołą, sportem i dziewczynami — albo chłopakami. Więc wykorzysta te chwile, póki trwają, zanim znikną na zawsze.

Wykorzysta je i będzie liczył, będzie miał szczerą nadzieję, że Mackenzie O’Neil da mu szansę i pozwoli im obojgu zaznać takiego życia.

Rozdział 38.

Stało się. Oficjalnie straciła rozum, uznała Mack, taszcząc ostatnią partię zakupów spożywczych do kuchni. Wszędzie leżały torby. Wszędzie leżało jedzenie. A ponieważ nie można było podawać jedzenia prosto z toreb na zakupy albo sklepowych opakowań, musiała dokupić zastawę stołową, miski, papierowe talerze, sztućce.

Potem pojawiła się kwestia miejsc do siedzenia. Nie mogła zaprosić kilkunastu osób i stłoczyć ich wokół czteroosobowego stołu jadalnianego. Choć tak naprawdę kto mógł się domyślić, że wszyscy przyjmą zaproszenie na ostatnią chwilę.

Kupiła więc stół piknikowy i kilka składanych krzeseł ogrodowych w sklepie meblowym U Boba. Stół miał zostać przywieziony za dziesięć minut.

— A co, jeśli wszyscy jednocześnie będą chcieli skorzystać z toalety? — Mack jęknęła pod nosem, rozładowując dziesięć ton płodów rolnych przeznaczonych na patery z owocami i warzywami, które jej zdaniem miło będzie podgryzać.

Zamarła. A co, jeśli nikt się nie pojawi?

Zostawiwszy wszystko, jak było — *Czy dzieciom w ogóle będą smakować te małe lody w kubeczkach?* — wyszła szybko tylnymi drzwiami i pobiegła przez ogród do furtki.

Zapukała do Linca od tyłu.

Drzwi były otwarte. Nigdy ich nie zamykał, więc czasem Mack po prostu wchodziła. Ale w przypiływie paniki, której sama była źródłem, stała jak wrośnięta w ziemię. Przestała

pukać dopiero, kiedy Iskierka podskoczyła do szybki, a zaraz za nią pojawił się zdumiony Linc.

Otworzył drzwi z szerokim uśmiechem.

— Popełniłam straszny błąd. Miałam dobry dzień. Była ładna pogoda. A potem złe siły przejęły władzę nad moim ciałem i zaczęły zapraszać ludzi na imprezę. Dziś wieczorem. U mnie. Jesteś oczywiście zaproszony. Właściwie od tego powinnam była zacząć. Tak czy inaczej, nie wiem, co robić. Mam w kuchni pełno jedzenia, ale co zrobię, jeśli nikt się nie pojawi, albo jeśli wszyscy będą musieli iść do łazienki w tym samym momencie i robi się kolejka? Czy kupiłam wystarczająco dużo piwa? A wina? Czy dzieci lubią lody w kubeczkach?

Linc zatrzymał ją, łapiąc za ramiona i całując mocno w usta.

Kiedy się odsunął, mózg Mack znów był spokojny.

— Marzenie?

— Tak?

— Czego potrzebujesz?

— Pomocy?

Miał naturalne zdolności. W ciągu pięciu minut rozpakował całe zakupy spożywcze i podzielił produkty w zależności od kolejności przygotowania. Podczas gdy ona nadzorowała dostawę stołu, Linc zjawił się z dużą plastikową torbą opisaną „IMPREZZZKA” i zaczął wyładowywać z niej rzeczy.

Mack kroїła owoce oraz warzywa i wrzucała pierś kurczaka do woreczków z marynatą.

— Jedzenie będziemy trzymać w środku, w ten sposób wszyscy będą mogli usiąść na tarasie albo przy stole

piknikowym, bo wieczór jest ładny — powiedział jej, wynosząc na taras dwie duże lodówki turystyczne. — Piwo w tej. Woda, cola i napoje dla dzieci w tej.

— Nie mam napojów dla dzieci — jęknęła.

— Marzenie, ja mam trzydzieści siedem tysięcy siostrzenic i siostrzeńców. Mam napoje dla dzieci — zapewnił.

— Zwrócę ci pieniądze — powiedziała.

Wszedł po schodach i położył jej ręce na biodrach.

—

— Jesteś zachwycająca, kiedy wcielasz się w doktor O’Neil na miejscu wypadku. Jesteś piękna, kiedy próbujesz tańczyć do choreografii. Ale ta oszalała z nerwów kobieta z obłąkanym wzrokiem, która chce po prostu, żeby jej znajomi dobrze się bawili, jest absolutnie urocza.

— Zamknij się. — Wypuściła powoli powietrze i poddała się. Objęła go za szyję i na krótką chwilę wtuliła twarz w jego pierś. Linc był stabilny. Dobry.

Iskierka wkroczyła do środka z brudnym od ziemi pyskiem i kawałkiem czegoś, co wyglądało na solidną porcję pniaka w zębach.

— Cholera — powiedział Linc, puszczając Mack.

Suka wypuściła ubłocony kawałek drewna na podłogę i zamerdała wyczekująco. Od czubka nosa po koniec ogona była pokryta warstwą brudu i błota.

Biało-czarna szachownica na podłodze została naznaczona odciskami łap i rozmazaną ziemią.

— Posprzątam tu — obiecał Linc i zerknął na zegarek. — Przysięgam.

Mack zaczęła się śmiać i nie mogła przestać. Iskierka uznała jej przyływ wesołości za komplement i skoczyła na

Mack, odbijając na jej piersiach dwie idealne błotne łapy.

— Iskra! — Linc złapał psa za obrożę. — To żadna impreza, jeśli nie trzeba w trakcie wykąpać psa — wyjaśnił i wyprowadził siłą błotnego potwora tylnymi drzwiami.

— W takim razie to będzie czadowa impreza — stwierdziła Mack, rozglądając się po tragicznie ubrudzonej kuchni.

Podczas gdy ona szorowała podłogę, on pobiegł po lód, o którym zapomniała. Wrócił ze składnikami na jakiś sos z sekretnej przepisy i z kolejnym bukietem kwiatów. Ze sklepu spożywczego.

— Pomyślałem, że czas na kolejny bukiet — powiedział i wsadził wiązankę żółtych, pomarańczowych i czerwonych kwiatów do wazonu. Pocałował Mack w czubek głowy. — Rozpalę grilla i wsadzę napoje do lodu. A potem zdradzę ci mój sekretny przepis na sos do pikantnego kurczaka.

Mack przerwała szorowanie podłogi i spojrzała na kwiaty.

Iskierka żałośnie przycisnęła wciąż ubłocony nos do szyby przesuwanych drzwi, machając z nadzieją ogonem. Mack poczuła zapach rozpalanego grilla i usłyszała muzykę, którą Linc puścił z bezprzewodowego głośnika. Nie pomyślała o muzyce. Nie miała pojęcia, jak bardzo lubiła świeże kwiaty. Nie miała świadomości, jak bardzo pokocha — zazwyczaj — grzecznego psa. I nie była gotowa na sąsiada-szpanera o wytatuowanym ciele i czarującym uśmiechu.

Poczuła dziwne ściskanie w sercu.

— O rany — szepnęła, przykładając dłoń do piersi.

A więc to *takie* uczucie. Nie było sensu z tym walczyć.

Zakochała się w Lincolnie Reedzie.

Półtorej godziny później, kiedy w jej ogródku na tyłach domu było pełno ludzi, Mack wciąż dochodziła do siebie. Z głośników płynęła muzyka, mieszanina popu i country. Zapach grillowanego mięsa i świec cytronelowych niósł się w powietrzu wraz z wieczorną bryzą. Ktoś gdzieś palił liście.

Ellen pojawiła się z wielką miską sałatki cesar i sześciopakiem wody gazowanej z domieszką alkoholu. Aldo i Gloria przyszedli z córkami i ciastem z orzechami pekan. Luke i Harper byli bez dzieci dzięki uprzejmości brata Luke'a, Jamesa, i jego chłopaka, którzy zabrali je do siebie na noc. Para pojawiła się z hot dogami i bułkami do hamburgerów oraz ze swoimi psami, które baraszkowały z Iskierką i robiły słodkie oczy do każdego, kto stał przy grillu. Harper miała świeżą malinkę wystającą spod dekoltu swetra, a Luke zadowolony z siebie uśmiech przylepiony na stałe do twarzy.

Freida i jej mąż przynieśli sałatkę ziemniaczaną oraz krewetki i przyjechali w połowie dyskusji na temat tego, czy wakacyjny dom we współwłasności w Cabo to dobry pomysł. Russell i Denise zjawili się z dwoma butelkami bardzo dobrego wina i zapiekanką makaronową z truflami i wtrącili swoje trzy grosze do rozmowy na temat nieruchomości wakacyjnej. Tuesday miała przyjść, ale razem z chłopakiem pojechała na weekend do Pensylwanii na piętnastokilometrowy bieg w błocie.

Wszyscy nakładali sobie jedzenie na talerze i prowadzili rozmowy. *Praca. Jedzenie. Dzieci. Futbol. Medycyna.*

Właśnie tak to sobie wyobrażała i nie mogła wprost uwierzyć, że to się działo w jej własnym ogródku. Przesadziła. Teraz to widziała, gdy na schodach tarasu rozkoszowała się w ciszy kieliszkiem wina. Było zdecydowanie za dużo jedzenia. Stół piknikowy, choć stanowił przyjemne uzupełnienie ogródka, nie okazał się aż

tak niezbędny, jak sądziła, bo jej goście pojawili się z własnymi krzesłami. Co najmniej przez pięć najbliższych dni będzie jeść świeże owoce i warzywa. I nie ma takiej opcji, żeby jedna trzylatka była w stanie zjeść dwa tuziny lodów w kubeczkach. Ale i tak było idealnie.

Przyglądała się imprezie, która okazała się całkiem udana, gdy trzyletnia córka Aldo, Lucia, podeszła do niej w podskokach. Jej słodkie okrągłe policzki nosiły ślady lodów, w smak których powątpiewała wcześniej Mack, a usta były zabarwione na czerwono od soczków w kartonikach przyniesionych przez Linca.

— Cześć! — przywitała się Lucia.

— Cześć.

— Przewróciłam się i upadłam na buzię, bo biegałam, kiedy nie powinnam — poinformowała dziewczynka i wskazała na zadrapanie na brodzie.

— Auć — powiedziała Mack.

— A ty jak zrobiłaś sobie bubeę? — zapytała Lucia i dźgnęła paluszką bliznę pod okiem Mack.

Mack odsunęła się odrobinę, żeby nie stracić oka.

— Och, to było bardzo dawno temu.

— To było przez wypadek czy specjalnie? — Chciała wiedzieć Lucia. — Mama mówi, że czasem, kiedy ludziom dzieje się krzywda, to nie przez wypadek. Ale że i tak mogą wyzdrowieć.

Mack zaczęła tracić kontrolę nad przebiegiem rozmowy.

— Och, no chyba to było specjalnie.

Lucia położyła swoje pulchne piąstki na biodrach.

— Ludziom nie wolno krzywdzić innych ludzi — pouczyła.

— Nie, nie wolno — przyznała Mack. — Ale już nic mi nie jest.

— Mamie też już nic nie jest — powiedziała i skinęła współczująco głową. — Czasem całuję jej stare buby, żeby na pewno nie bolęły.

— To bardzo miłe z twojej strony — powiedziała Mack, a jej gardło zacisnęło się boleśnie.

Lucia nachyliła się i cmoknęła lekko oko Mack.

— Masz. Teraz twoja buba też już nie będzie bolęła.

Oszołomiona Mack patrzyła, jak dziewczynka oddała się w podskokach. Jej oczy zaszyły gorącymi łzami, które odpędziła mruganiem.

Poczuła na ramieniu czyjąś dłoń i podskoczyła.

Linc usiadł obok niej, a świeżo wykąpana Iskierka wcisnęła się z drugiej strony pod rękę Mack. Linc nic nie mówił.

— Coś mi wpadło do oka — powiedziała nieudolnie Mack.

Linc pogładził ją po plecach, a ona chciała mu powiedzieć. Wyrzucić z siebie słowa, które w niej narastały i domagały się wydostania na wolność. Miała uczucia. Tak wiele, że nie wiedziała, co z nimi wszystkimi zrobić.

Zamiast tego oparła się głową o ramię Linca i postanowiła, że przez jakiś czas po prostu będzie je wszystkie odczuwać przed podjęciem jakichś pochopnych decyzji.

Rozdział 39.

Linc spierał się o baseball z Lukiem i zerkał na Mack, która dołączyła do rozmowy z Denise i Freidą po drugiej stronie ogródka.

Poczuł, że ktoś go ciągnie za koszulkę.

— Komendancie Oczko! Mogę narysować ci obrazek? — spytała Lucia, patrząc na niego tymi swoimi dużymi, pięknymi wietnamskimi oczami.

— Bardzo bym chciał dostać obrazek — odpowiedział.

— To poczebuję papier — powiedziała.

— Przyniosłam kredki i cztery kolorowanki — odezwała się Gloria, która pojawiła się za córką. — Ale ona upiera się przy kartkach.

— Zapytam Marzenie — powiedział Linc, udając, że nie zauważa spojrzeń, jakie wymienili między sobą Gloria i Luke. Jeśli ludzi dziwił jego związek z Mackenzie, to równie dobrze mogli jak najszybciej przejść nad tym do porządku dziennego.

Wcisnął się do rozmowy dziewczyn, które rozprawiły o tym, czy Harper powinna ubiegać się w przyszłym roku o stanowisko burmistrza Benevolence.

— Czy masz papier, który mogłaby zarekwirować pewna trzylatka? — zapytał.

Mack uśmiechnęła się do niego w zupełnie nowy, łagodny, rozmarzony sposób, który sprawiał, że miał ochotę wyrzucić wszystkich gości i całować ją przez resztę nocy.

— Pewnie — odparła. — W salonie na półce obok kominka jest zeszyt.

— Dzięki. — To mówiąc, pocałował ją. Nie mógł się pohamować. Zostawił ją wśród chóralnego ochnięcia Freidy oraz Denise i poszedł do domu w obstawie trzech psów. — Zachowujcie się — ostrzegł je.

Znalazł notes, a w zasadzie szkicownik, na szczycie stosu czasopism medycznych i otworzył go. Narysowany węglem portret zaskoczył go i zaintrygował. Przedstawiał młodą kobietę o roześmianych oczach i gęstych, czarnych włosach, które skręcały się i wiły jak szalone wokół twarzy. Odwrócił stronę i znalazł kolejny portret, mężczyznę z włosami obciętymi na jeża, zmarszczkami wokół oczu i zaciśniętymi w wąską, płaską linijkę ustami. Miał na sobie mundur ozdobiony odznakami świadczącymi o bogatym doświadczeniu wojskowym.

— Nie ten — powiedziała Mack, wbiegając bez tchu do pokoju. — Zapomniałam. Notes jest na stoliku.

— Mackenzie, te rysunki są niesamowite.

Wyglądała tak, jakby zrobiło jej się niedobrze.

— Co się stało? O co chodzi? — zapytał, zamykając szkicownik.

Zagryzła wargi i wzięła zeszyt ze spiralną oprawą leżący obok kanapy.

— To moi zmarli — wyjaśniła w końcu.

— Pacjenci, których straciłaś — doprecyzował z nadzieją, że kobieta, dla której bez reszty stracił głowę, nie wyznała mu właśnie, że jest seryjną morderczynią.

Pokiwała głową.

Ulżyło mu.

— Rysunki są naprawdę dobre.

Wzruszyła ostro ramionami.

— Dziękuję. Zaczęłam je robić po dniu służb mundurowych. Jako nastolatka szkicowałam. Pomyślałam, że może jeśli przeniosę ich na papier, to nie będę musiała cały czas nosić ich w sobie.

Rozumiał to. On też nosił w sobie cienie. Robili to wszyscy przedstawiciele służb ratowniczych, a ten ciężar stawał się czasem zbyt duży.

— Kim ona była? — zapytał, znów otwierając szkicownik na pierwszym portrecie.

— Tak naprawdę o większości z nich nie wiem zbyt dużo — powiedziała Mack, wpatrując się w kobietę na otwartej stronie. — Ją straciłam jako ostatnią w Afganistanie. Była sanitariuszką i tłumaczką, dostała się w krzyżowy ogień. Wiedziałam, że nie przeżyje transportu do bazy. Ale zamiast usiąść przy niej i trzymać ją za rękę, przetoczyłam jej osocze i opatrzyłam jej rany. Wiedziałam, że nie przeżyje. Jej serce zatrzymało się na pięć minut i już nie wznowiło pracy. A ja nie dowiedziałam się, jak miała na imię ani o kim myślała, gdy odchodziła. Wiedziałam tylko, że ma za niskie ciśnienie krwi i że stanęło jej serce.

— Do tego zostałaś przeszkolona — przypomniał jej.

— Ale ona nie tego potrzebowała. Mój sanitariusz podczas tamtego lotu nachylił się nad nią i przez cały czas szeptał jej coś do ucha. Wkurzało mnie, że nie podaje mi wystarczająco szybko tego, czego potrzebowałam, bo próbuje w tym czasie zbudować więź z osobą, która i tak nie przeżyje. I to brzmi strasznie — wyznała. — Ale tak naprawdę byłam wściekła na siebie za to, że nie potrafiłam zaoferować jej tego rodzaju wsparcia. Potrafiłam podać jej środki przeciwbólowe. Ale to dzięki niemu umarła z tym lekkim uśmiechem na ustach. Obiecał, że powie jej mamie,

że była najlepszą mamą na świecie. A ja robiłam tylko to, do czego mnie przeszkolono.

— Powiedział jej? — zapytał Linc.

— Pewnie tak. Nie wiem. Po tamtym kursie postanowiłam, że czas odejść. Że czas zacząć robić coś innego. Moja misja dobiegła końca. A ja postanowiłam, że już nie wrócę.

Jego lekarka zawsze zdawała się iść naprzód, nigdy nie oglądała się za siebie.

— I trafiłaś tutaj — stwierdził. Chciał przerzucić kolejne strony i przyjrzeć się narysowanym przez nią twarzom.

— Z ogródkiem wypełnionym ludźmi i domem pełnym psów — powiedziała Mack i uśmiechnęła się blado, gdy Lola położyła się na grzbiecie na jej kanapie z łapami uniesionymi w powietrzu.

Iskierka gryzła piszczącą zabawkę w kształcie tacy, którą Mack dla niej kupiła, a Max gryzł puchaty ogon Iskry.

Linc stwierdził, że ta kobieta była cudem. Chodzącym, mówiącym, pełnym blizn, pięknym cudem, a przecież ledwie zaczął ją poznawać.

— Czuję, że im lepiej cię znam, tym częściej chcę z tobą być, Mackenzie. — Nie było to wyznanie miłości ani żądanie wspólnego „i żyli długo i szczęśliwie”. Ale to już było coś.

Mack wypuściła uspokajająco powietrze.

— A ja może nie jestem już tak niechętna myśli o tym, żeby tu zostać — powiedziała.

Stali rozdzieleni stolikiem kawowym i całym życiem niewypowiedzianych słów. Ale tyle na razie musiało wystarczyć.

Otworzyły się tylne drzwi.

— Mack, gdzie mogę przewinąć dziecko oraz czy masz jakąś plandekę i kombinezon ochronny? — zapytał Aldo, trzymając w wyciągniętych rękach Avery. Niemowlę śmierdziało jak szambo i śmiało się do rozpuku.

Rozdział 40.

W chłodną niedzielę tuż przed Halloween Iskierka została zawezwana do domu Jillian, żeby nauczyć nowego psa przestać zjadać poduszki, skarpetki i bochenki chleba podkradane z blatu w kuchni. Linc zaproponował Mack, żeby pojechała razem z nim.

Patrzyli z samochodu, jak Iskierka wbiegła na pełnej parze przez otwarte drzwi wejściowe, a Jillian pomachała im pospiesznie.

— Nie zepsuj naszej dziewczynki! — zawołał Linc przez okno samochodu.

— O cholera — parsknęła Mack. Zobaczyli przez duże okno od frontu, jak Iskra, a zaraz za nią nowy pies, Mięśniak, rzucają się na kanapę. Usłyszeli huk spadających na podłogę zasłon i karniszy.

— Tak. Nauczy Mięśniaka wszystkiego, co potrafi — powiedział Linc. Wrzucił wsteczny bieg i wyjechał z podjazdu.

— Nie powinniśmy tam iść i pomóc? — zapytała Mack, dalej się śmiejąc.

— A po jaką cholere? Masz ochotę na małą przejażdżkę? — zapytał, biorąc ją za rękę.

— Jestem do twojej dyspozycji — powiedziała.

Zastanawiał się, czy zauważyła swobodę, jaka zaczęła towarzyszyć ich codzienności. To, że wspólne łóżko i pies stały się czymś naturalnym.

— Dobrze. W takim razie pojedziemy na wycieczkę.

Stara remiza znajdowała się na wąskiej działce na samym końcu Main Street. Po jednej stronie były dwa piętra, a po drugiej długa, niska dobudówka. Farba odchodziła od drzwi garażowych. Okna były tak brudne, że nie było widać, co jest w środku. Ale cegły, dach, szkielet budynku trzymały się tak dobrze, jak przez dziesiątki lat, kiedy budynek pełnił swoją funkcję.

— Łał — powiedziała Mack, kiedy Linc wpuścił ich do środka bocznymi drzwiami.

Pod warstwą stęchłego zapachu, który unosił się we wszystkich starych budynkach, dalej dało się wyczuć słaby zapach diesla. Betonowe podłogi były poplamione od dekad używania. Odsłonięta cegła w głównym garażu była marzeniem konserwatora, choć paskudna zielona boazeria w pomieszczeniu socjalnym na drugim piętrze pozostawiała wiele do życzenia.

— To był mój drugi dom, gdy byłem dzieckiem — powiedział jej Linc, kiedy deptali po starych plamach z oleju i pochylali głowy pod pajęczynami.

To miejsce wiązało się dla niego z wieloma wspomnieniami, z duchami minionych czasów i ludzi, którzy dawno odeszli. Dziecięcymi marzeniami i doświadczeniami człowieka, który dopiero wkroczył w dorosłość. Z tej właśnie zatoczki wyjechał na swoją pierwszą akcję. Tutaj chodził i zbierał „próbki spalin” do torebek śniadaniowych przy wybuchach śmiechu reszty załogi. Tu świętował uratowanie pierwszego człowieka i oplakiwał pierwszą ofiarę. Wszystko działo się w tych murach.

— Jest rura zjazdowa — powiedziała z uciechą Mack.

— Trzeba było przestać jej używać po tym, jak jeden z poruczników źle wylądował i pękła mu kość piszczelowa — przypomniał sobie. — Zacząłem przychodzić tu do wujka, gdy miałem pięć albo sześć lat. Strażacy pozwalali mi

przymierzać swoje hełmy i wspinać się na wóz strażacki. Raz siedziałem wujkowi na kolanach, gdy wyprowadzał wóz z garażu. Mogłem włączyć światła.

— I złapałeś bakcyła — stwierdziła.

— Tak. Dla mnie nigdy nie liczyło się nic poza ogniem.

Pokiwała głową z pełnym zrozumieniem.

— Tutaj miałem robione zdjęcia przed bale maturalnym — poinformował ją i pokazał miejsce przy dużej bramie.

— Z kim poszedłeś na bal? — zapytała z uśmiechem.

— Z nikim. Byłem umówiony z dziewczyną, ale się rozmyśliła.

— Kto mógł odmówić Lincolnowi Reedowi? — zażartowała.

— Karen Aucker.

— I co się stało z tą Karen Aucker?

— Została Karen Garrison, a kilka lat później zginęła w wypadku samochodowym. — Mówił spokojnym głosem. Ale to nie pomogło w stłumieniu emocji. — Chodź, pokażę ci górę.

Odwrócił się, bo nie chciał, żeby Mack zobaczyła jego smutek.

Poszła za nim po skrzypiących schodach na drugie piętro. Dywan był tu wystrzępiony, a od ściany odchodziła znów ta okropna boazeria. Linc zatrzymał się przed jednym z okien, które wychodziło na Main Street i na miasto będące domem wszystkich jego wspomnień.

— Przykro mi — powiedziała Mack. Położyła dłoń na jego ramieniu. — Słyszałam, że Luke cię nie lubi, bo zaprosiłeś jego żonę na randkę.

Westchnął.

— Byliśmy jeszcze dzieciakami. Luke chciał iść do wojska, ale zależało mu, żeby Karen poszła na studia. Karen chciała ślubu. Z tego powodu zerwali, a mnie się chyba wydawało, że mam szansę.

— Podobała ci się — uzupełniła.

Podobała. Bardzo.

— Była mądra i ładna. Twardo stąpała po ziemi, podobnie jak inna znana mi osoba — powiedział, zerkając na Mack. — Tak czy inaczej, kiedy dowiedziałem się o ich rozstaniu, odczekałem z szacunku dwadzieścia cztery godziny i pojawiłem się na jej progu z bukietem stokrotek — jej ulubionych kwiatów — które ukradłem mamie z rabaty. Zaprosiłem Karen na randkę, a ona się zgodziła. Byłem wniebowzięty.

Wciąż pamiętał to uczucie. Zwycięstwo, na które tyle było trzeba czekać. Zdobyć dziewczynę, o której marzył, odkąd skończył trzynaście czy czternaście lat.

— Zabrałem ją na kolację do włoskiej knajpki. Było jej smutno z powodu Luke'a, ale starałem się ją rozweselić swoim urokiem osobistym. Podziałało. Rozmawialiśmy i śmialiśmy się. Rozbudziłem w sobie nadzieję. Zaproponowałem więc, że skoro ona nie ma z kim iść na bal maturalny i ja nie mam z kim iść na bal maturalny, to powinniśmy pójść razem.

Bardzo dobrze pamiętał, jak wyglądała, gdy ją zapytał. Z perspektywy czasu widział jej wahanie. Ale w wieku osiemnastu lat zauważył tylko to, że się zgodziła.

— Powiedziała „tak” — ciągnął. — Byłem pewny, że w końcu mnie zauważyła.

Zasłuchana Mack oparła się o ceglany mur pomiędzy brudnymi oknami.

— Następnego dnia pobiliśmy się z Garrisonem. Naskoczył na mnie, chcąc wiedzieć, dlaczego przystawiam się do jego dziewczyny. Ja chciałem wiedzieć, dlaczego pozwolił jej odejść, skoro to jego dziewczyna. Daliśmy sobie po pysku kilka razy. Nic poważnego. Moretta nas rozdzielił. A Garrison odszedł wściekły. Karen zadzwoniła do mnie tego samego wieczora. „Dobra wiadomość! Nie muszę ci psuć reputacji kawalera. Wróciliśmy do siebie z Lukiem. Zabiera mnie na bal”.

Mack skrzywiła się.

— Auć.

Linc wsunął dłonie do kieszeni.

— To było tylko zauroczenie. Miałem osiemnaście lat. Nie wiedziałem nic o życiu i o miłości.

Czasem miał wrażenie, jakby nadal tak było.

— Wiedziałeś, jakie są jej ulubione kwiaty. I robi ci się smutno, gdy o niej mówisz. Uczucia to uczucia, czy masz osiemnaście, czy osiemdziesiąt lat.

— Ona nie traktowała mnie poważnie. Powiedziała, że jestem dobrym kumplem, który pomógł przemówić Luke’owi do rozumu.

— Świńskie posunięcie — stwierdziła Mack.

— Miała osiemnaście lat i była zakochana.

— Aha, czyli *Karen* mogła być zakochana, ale ty byłeś tylko zauroczony? — zauważyła Mack.

— Dziewczyny są bardziej dojrzałe emocjonalnie niż chłopacy — sprzeciwił się.

— Niech będzie. Ale to wcale nie oznacza, że twoje uczucia nie były prawdziwe.

Były prawdziwe. Na tyle prawdziwe, że nawet wiele lat później, kiedy przybył na miejsce wypadku, w którym straciła życie, znieruchomiał. Kiedy się zjawili, już nie żyła. A on nie mógł uwolnić się od gdybania.

Co by było, gdyby o nią zawalczył?

Co by było, gdyby wybrała jego zamiast Luke'a?

Co by było, gdyby zdołała zobaczyć w nim kogoś więcej niż nastoletniego flirciarza?

Ale ani on tego nie zrobił, ani ona.

I w którymś momencie przestał wierzyć, że istnieje coś poza lekkim, seryjnym flirtem. Był dobrym człowiekiem, ale nigdy nie był wystarczająco dobry, żeby zbudować z kimś związek.

— Byłem tam. Na miejscu wypadku — powiedział, a wspomnienia napłynęły tak, jak czasem to miało miejsce w środku nocy, gdy nie mógł spać. — Pamiętam, że pomyślałem wtedy, że to oficjalnie koniec. Nawet nie wiedziałem, że wciąż żywiłem nadzieję, iż któregoś dnia ona mnie dostrzeże. Że mnie wybierze. Mieszkaliśmy w tym samym mieście, wszędzie na siebie wpadaliśmy. Nie chodzi o to, że miałem nadzieję, że się rozwiedzie. Nie jestem aż takim gnojkiem. Ale chyba cały czas liczyłem na to, że któregoś dnia będę miał szansę. Że któregoś dnia to zdobędę. A potem wszystko się skończyło. Szansa znikła.

Mack nic nie powiedziała, tylko odsunęła się od ściany. Objęła go po prostu w pasie i przytuliła mocno.

— Przepraszam, że zepsułem nastrój — wyszeptał Linc w czubek jej głowy.

— Nie bądź głupi — powiedziała. — Zapytaj mnie, skąd mam bliznę.

Znieruchomiał na krótką chwilę.

— Jesteś pewna, że chcesz, żebym zapytał?

— Opowiadamy sobie o różnych bolesnych sprawach. Ty opowiadasz. I ja opowiadam.

Podsunał jej brodę do góry, żeby na niego spojrzała.

— Skąd masz tę bliznę, Marzenie? — zapytał i powiódł palcem po nierównym śladzie w kolorze kości słoniowej.

Mack nabrała powietrza i wypuściła je powoli.

— Byłam rezydentką na SOR-ze w Teksasie. Przywieziono pacjenta. Z wypadku samochodowego. Znałam go, ale brakowało rąk do pracy i chodziło o jego życie. Zajął się nim, zrobiłam wszystko, co potrafiłam zrobić, ale to nie wystarczyło. Nie odzyskał przytomności. Przewidziałam, że tak będzie. — Jej spojrzenie było nieobecne.

— Straciłam pacjenta. Po raz pierwszy. Jego dziewczyna — ją też znałam — była... zrozpaczona. — mówiła przez ściśnięte gardło Mack. — Kiedy jej powiedziałam, że zmarł, rozbiła szklany wazon w dyżurce pielęgniarek i rzuciła się na mnie z wielkim odłamkiem. Trzeba było dwóch sanitariuszy i jednego naprawdę wkurzonego pielęgniarza, żeby ją ode mnie odciągnąć. Nie byłam nawet w stanie się bronić. Ona w kółko tylko powtarzała, że go zabiłam. Zakończyłam zmianę zakładaniem szwów.

— Wystarczająco źle, że straciłaś pacjenta, ale żeby ktoś cię jeszcze za to winił?

— Na całe gardło. W moim miejscu pracy, gdzie bardzo się starałam udowodnić swoją wartość — wspominała Mack. — Była naćpana. Okazało się, że on też. Przedawkował. Być może wylizałby się z samych obrażeń po wypadku. Zrobiłam wszystko, co mogłam. Ale i tak czułam się odpowiedzialna. Nawet teraz, kiedy uczę się nowej procedury, nowego protokołu, zastanawiam się, czy udałoby mi się go uratować, gdybym wiedziała więcej.

— Duchy — powiedział Linc.

Jej spojrzenie powróciło do niego.

— Tak. Zawsze tam są, czają się gdzieś z tyłu.

— Jak odprawić egzorcyzmy? — zażartował. A potem skrzywił się. Ty miał rację. Ukrywał się.

— Może trzeba po prostu żyć dalej i zostawić je za sobą — powiedziała w zamyśleniu Mack.

— Czasem to trudny wybór — stwierdził, wsuwając pofalowany kosmyk włosów za jej ucho. — Wiedzieć, kiedy porzucić przeszłość, a kiedy budować na jej podwalinach.

Przesunęła dłonie w górę jego klatki piersiowej, na ramiona, i zaplotła palce za jego szyję.

— Myślę, że teraz powinieneś zapomnieć o przeszłości i mnie pocałować.

Zaczął cofać ją powoli, aż przycisnęła się znowu do ściany. Jej piersi rozpląszczyły się pod naciskiem jego torsu. Jego członek stwardniał między nimi, krew pulsowała w pragnieniu, żeby się w niej znaleźć.

— Jak mam cię całować, Marzenie?

Oblizła wargi, a różowy koniuszek jej języka rozpalił żądzę, która zapłonęła w środku.

— Całuj mnie tak, jakby nic innego się nie liczyło — szepnęła. Jej zielone oczy były poważne, proszące. A on nie potrafił odmówić jej niczego, czego pragnęła.

Rozdział 41.

Pocałunek zmienił się z delikatnego i słodkiego w coś bardziej mrocznego, lubieżnego. Mack upajała się nim. Linc przywarł do niej wargami, drapiąc jej usta zębami, póki się nie poddała i nie otworzyła dla niego warg z cichutkim jękiem. Przygwoździł ją do ściany biodrami. Jego gorący i twardy wzwód wciskał się w jej brzuch, a dłonie zdawały się być wszędzie jednocześnie.

Ciągnęły ją za włosy, wpijały się w jej biodra, a zaraz potem wsuwały pod bluzę, odsuwając warstwy znajdujące się na drodze do naelektryzowanej skóry.

Jego język brał w posiadanie jej usta, jakby były odległym, górskim szczytem. Czymś, co trzeba zdobyć w zwycięski, triumfalny sposób. Chciała, żeby posiadał resztę jej ciała. Żeby wziął ją całą, aż nie pozostanie już nic, co mogłaby dać.

Linc przerwał pocałunek i ściągnął jej przez głowę bluzę z kapturem, a potem koszulkę. Zanurzył twarz między jej piersi i wypuścił z ust zbolący jęk. Jego biodra nacierały na nią płytkimi pchnięciami, od których narastało pulsowanie między jej nogami.

Potrzebował tego. Potrzebował jej. A ona pragnęła być w ten sposób potrzebna.

Odepchnęła go od siebie na tyle, żeby zdjąć mu przez głowę koszulkę, a potem zatopiła zęby w tatuażu na jego piersi.

— Jesteś cholernie piękny — powiedziała mu, pieszcząc językiem jego brodawkę sutkową.

— O kurwa — wydyszał. — Jeśli się nie zgadzasz, żebym wziął cię teraz pod tą ścianą, to musisz to powiedzieć, Mackenzie.

W uszach dudniło jej przyspieszone bicie serca. Przedzierała się przez nią gwałtowna, pierwotna żądza.

— Zerznij mnie pod tą ścianą.

Zaklął paskudnie, jakby coś w nim wyzwoliła. Jednym zdesperowanym ruchem ściągnął z niej spodenki i bieliznę. Udało jej się wyswobodzić jedną stopę, zanim nie podsadził jej wyżej i nie zaplótł sobie jej nóg wokół bioder. Trudno jej było utrzymać równowagę przez but ortopedyczny, ale ręce Linca trzymały ją mocno, a ceglana ściana podpierała ją od tyłu.

— Chwała Bogu za spodenki gimnastyczne — szepnęła. Sięgnęła między nich i wyswobodziła jego członek.

Linc jęknął gardłowo, gdy chwyciła jego fiuta. Przyciskając ją do muru, pociągnął w dół jej stanik i chciwie przywarł wargami do jednego sutka.

Poczuła się jak trafiona piorunem. Jej całe ciało ożyło i zapłonęło żywym ogniem. To dekadentkie, rozpaczliwe zasysanie jej piersi, twardy jak marmur członek w jej dłoni, który znajdował się ledwie kilka centymetrów od miejsca, w którym go potrzebowała.

— Nie mamy prezerwatywy — szepnęła.

Linc rzucił litanie przekleństw przy jej piersi, a potem przesunął zębami po jej wysklepionej brodawce.

Mack jęknęła cicho.

— Jeśli ty się zgadzasz, ja też się zgadzam.

Wypuścił z ust jej pierś ze słyszalnym cmoknięciem.

— Tak?

Zobaczyła tak dużo w tych niebieskich oczach. Dużo więcej niż zwykle, nieskomplikowane pożądanie. Dopuszczenie go do siebie, zaufanie mu, dużo dla niego znaczyło. Dla niej też.

— Tak.

— Ja nigdy...

— Ja też nie — przyznała. — Ale chcę ciebie w ten sposób. Bez niczego między nami.

Linc nie powiedział już ani słowa. Jego szczęki zacisnęły się, przez co wybrzuszyły się ścięgna na jego szyi, on natomiast wszedł w nią centymetr za idealnym centymetrem. Te niebieskie oczy wwierały się w nią, jakby chciał zobaczyć ją od środka, jakby chciał odsłonić wszystkie jej tajemnice.

— Mackenzie — wypowiedział przeciągle jej imię, zanurzając się w niej.

Nie mogła mówić. Nie mogła oddychać, gdy na nią natarł, gdy ją rozciągał, żeby zrobić miejsce. Rozkosz tak intensywna, że nie miała pewności, czy ją wytrzyma, była podszyta nutą bólu. Nagle Linc wypełnił ją całkowicie i znieruchomiał, podczas gdy ona przyzwyczajala się do niego.

Pełna. Cudownie pełna. Zanurzył się w niej głęboko i bez osłony, a ona upajała się tym, że została wzięta w posiadanie. Była czystym czuciem. Czula szorstkie kłusanie cegły na plecach. Gorący, twardy mięsień przylegający do niej z przodu. I ten wspaniały członek łączący ich oboje w najbardziej intymny możliwy sposób.

Nie czuła się teraz pusta i smutna. Cała promieniała.

Linc pochylił głowę i zamknął usta na jej drugiej piersi, ssąc i liżąc, aż Mack zaczęła się przy nim wic, rozpaczliwie

pragnąc więcej tarcia, więcej ruchu. Krzyknęła, gdy wykonał płytkie pchnięcie biodrami.

— Marzyłem o tym, kotku — szepnął pomiędzy wprawnymi pieszczotami swojego języka.

— O czym?

— O tym, żeby wejść w ciebie bez niczego. Czuć, jak dochodzisz na moim fiucie, czuć to mocne, wygłodniałe ściskanie. Gorącą powódź, gdy doprowadzę cię do ekstazy. Gdy cię wypełnię, szczytując w tobie. Czyniąc cię swoją.

Był cholernie pierwotny, podobnie jak ich wzajemna żądza. Biologia. Miłość i pożądanie splecione w nierozzerwalne więzy.

Złapał ją za biodra, a potem wysunął się powoli, po czym wbił znów z powrotem. Mocno. Wpiła paznokcie w jego ramiona.

— Jeszcze.

— Podoba ci się, jak się z tobą pieprzę, Marzenie? — Jego gorący oddech owiewał jej twarzy i włosy, gdy znów niemal całkowicie z niej wyszedł. Nienawidziła tego, jak czuło się jej ciało bez niego. Puste. Ale nagle on znów w nią wchodził i wszystko wracało do porządku. Może to był sekretny rytm życia. Pustka istniała po to, żeby docenić pełnię.

— Boże, tak — jęknęła.

Jego palce chwyciły zaborczo wypukłości jej bioder. Wbijał się w nią teraz szybciej. Mack wysunęła do przodu biodra i ścisnęła go udami. Pot lepił się do ich skóry. Mack ugryzła Linca w brodę. W szyję. W ramię.

Wbijał się w nią jak młot pneumatyczny. W szaleńczym rytmie, którego nie była w stanie utrzymać. Mogła tylko brać. Zakreśliło jej się w głowie z pożądania. Przywarła do niego.

Z ustami przy jej skórze, Linc wypowiadał z jękiem sprośne nonsensy. Mówił jej na tysiąc różnych sposobów, jak bardzo uwielbia jej ciało. Jak dobrze mu w niej. Jak bardzo do siebie pasowali. Była o włos od orgazmu, ale chciała szczytować razem z nim. Chciała dojść z nim jednocześnie.

Jej mięśnie zadrżały, uda zwały się wokół jego bioder, wewnętrzne ściany zamknęły się wokół jego członka, gdy wbijał się w nią raz za razem. Jej piersi podskakiwały między nimi z każdym silnym pchnięciem.

— Czuję, że jesteś już bardzo blisko, Mackenzie — szepnęła jej do ucha. Stękał za każdym razem, gdy jego członek w pełni w niej osiadał. — Czuję, jak ściskasz mojego fiuta. Doprowadzę cię do ekstazy i poczuję się wtedy jak cholerny bohater.

— Chcę, żebyś doszedł razem ze mną. We mnie.

Jego przesłonięte ciężkimi powiekami oczy rozszerzyły się. W zdumieniu? W zaskoczeniu? Nie była pewna.

— Nie zasługuję na ciebie — wycedził.

— Zasługujesz. A teraz weź to, co twoje. — Tym razem go pocałowała. Jej zęby zatrzasnęły się na jego dolnej wardze. Ich ciała straciły panowanie nad sobą, pędziły w kierunku czegoś tak potężnego, tak pierwotnego, że było to zapisane w ich DNA. Linc przyciskał ją do siebie mocno, podczas gdy ona żłobiła bruzdy na jego plecach, prężąc się przy nim, aż główka jego członka trafiła w jakieś czarodziejskie miejsce.

— Właśnie tak, kotku — powiedział. — Tego właśnie chcę.

Jej mięśnie zatrzepotały wokół jego prącia, gdy znów się w niej zanurzył. Czowała go, czuła, że w niesamowity sposób robi się jeszcze twardszy, jeszcze bardziej nabrzmiały, gdy pędził w pogoni za własną ekstazą.

— Przez ciebie zaraz dojdę, Mackenzie.

Krzyknęła głucho, gdy trzepotanie zmieniło prędkość, gdy spadła głową w dół w przepaść rozkoszy. Jej ciało zacisnęło się, a potem rozluźniło, bo pierwsza fala rozkoszy dotarła aż po same koniuszki jej palców i zamknęła jej ścianki wokół grubego członka.

Jego gardłowe stękanie było rozdzierające, gdy wbijał się w nią, przygwożdżając do ściany i nie pozwalając jej się ruszyć. Czowała to, ten gorący strumień głęboko w cipce, kiedy jej mięśnie znów się zacisnęły. Linc poruszył się, dopasowując jej fale do własnych tak, żeby za każdym razem, gdy drżały jej wewnętrzne ściany, on był w niej całkowicie zanurzony.

Patrzyli sobie w oczy, nie chcąc utracić ani sekundy z tej pierwotności. Linc był cholernie piękny, gdy szczytował. Silny. Potężny. Bezbronny. Tu. Teraz.

W tej chwili nie było żadnej przeszłości, którą trzeba było pokonać. Żadnych duchów, które trzeba przegonić. W tej chwili były tylko ich bliźniacze bicia serc oraz rozkosz, którą dawali i brali.

Mack oddychała ciężko. Z jej gardła wydobywały się jęki, gdy oboje ujeżdżali się nawzajem w ekstazie. Pot znaczył kroplami jej pierś i spływał po plecach. A kiedy było po wszystkim, podczas gdy Linc był nadal w niej zanurzony, podczas gdy ich puls dudnił zwycięsko jednym głosem, Linc zasypał delikatnymi pocałunkami jej twarz. Szeptał jej do uszu słowa uwielbienia i wdzięczności, podczas gdy ich ciała trwały w jedności.

Rozdział 42.

Telefon Mack zadzwonił po raz piąty pod stertą teczek na jej biurku. Uporczywie. Znajdowała się w przychodni. To była jej wymówka, żeby nie odbierać. Jasne, przychodnia była nieczynna od godziny, ale ona naprawdę nie miała ochoty zakończyć dnia w przykry sposób.

Odczekała całą minutę, a potem odsłuchiwała nagraną wiadomość.

„Mackenzie, tu twoja matka. To bardzo ważne. Zadzwoń”. Głos był melodyjny i miał nosowe brzmienie, charakterystyczne dla Teksasu, pomimo że jej matka urodziła się i wychowała w Delaware, a teraz mieszkała w Illinois.

— *Mężczyźni uwielbiają* piękności z południa, Mackenzie — zawsze powtarzała. Andrea O’Neil-Leyva-Mann była specjalistką w kwestii tego, co uwielbiają mężczyźni.

Mack z uporem skupiła się znów na odwołaniu do ubezpieczalni, nad którym pracowała. Jej pacjent potrzebował drogiego lekarstwa, którego sfinansowania firma ubezpieczeniowa dwukrotnie mu odmówiła. To było ważne. Skończyła pismo i dołączyła niezbędną dokumentację. A potem przekopowała wszystkie pliki do karty pacjenta i ustawiła sobie powiadomienie, żeby w poniedziałek skontaktować się z ubezpieczycielem.

Po wykonaniu tego wszystkiego oficjalnie zakończyła dzień pracy. I skończyły się też jej wymówki, żeby nie oddzwaniać do matki.

Czy była zdrowym dorosłym człowiekiem, skoro unikała zbędnego stresu? A może to był ten niedojrzały mechanizm obronny, pozostałość burzliwego dzieciństwa?

Wzięła telefon i znalazła numer do matki. „Andrea”. Nie mama. Andrea nie zasłużyła na takie miano.

— Mackenzie! — zapiszczała jej matka po odebraniu, a Mack automatycznie przełączyła się na tryb uważnego nasłuchiwania wszelkich sygnałów świadczących o spożyciu alkoholu, ulubionym hobby jej matki.

— Cześć, mammo.

— Próbuję się do ciebie dodzwonić od kilku tygodni — poskarżyła się Andrea.

Minęły cztery godziny.

— Byłam zajęta. Czego potrzebujesz?

— No cóż, jak dobrze wiesz, w przyszły weekend mam urodziny, a minęło *dużo* czasu, odkąd byłaś w domu. Byłabym *zachwycona*, gdybyś mogła przyjechać na małą uroczystość.

Mack rozmasowała tępy ból w karku. Mimo podatności na wyrzuty sumienia, nie była w „domu” od dwóch lat.

— Wendy też będzie? — zapytała Mack. To była jej automatyczna wymówka w kwestii spotkań rodzinnych.

— Nie żartuj, Mackenzie. Nie pytałabym cię, gdybym wiedziała, że twoja siostra tu będzie. Wyprowadziła się wieki temu. Będziemy tylko we dwie. — Matka westchnęła ze smutkiem. — Szczerze mówiąc, ostatnio czuję się trochę samotna.

— Z nikim się nie spotykasz? — Zasady Mack związane z matką były proste. Po pierwsze, pieniądze na czynsz szły wyłącznie pod warunkiem, że Andrea była trzeźwa. Po drugie, Mack nie miała obowiązku już nigdy poznawać

kolejnego „Wujka” Jakiegoś tam ani odbudowywać relacji z siostrą. Nie poznała ostatnich dwóch mężów swojej matki i trzymała się swojego postanowienia, gdy dostała zaproszenia na ślub.

Ale mimo to posłała prezenty. Co ją irytowało.

— Jestem sama, samiutka jak palec — westchnęła Andrea.
— Obawiam się, że zaczyna być po mnie widać mój wiek, co odstrasza wszystkich wolnych kawalerów.

— Pijesz, mamó? — Niektóre matki i córki rozmawiały o pracy, o przepisach na kolację, o książkach albo o dzieciach. Mack monitorowała trzeźwość matki.

— *Oczywiście*, że nie. Jestem absolutnie trzeźwa, skarbie.

Mack do tego stopnia usunęła się z życia matki, że nie była już w stanie odróżnić przez telefon kłamstwa od prawdy. A w głowie Andrei jedno równało się czasem drugiemu.

— Prawdę mówiąc, mamy więcej powodów do świętowania niż tylko moje urodziny. W zeszłym tygodniu dostałam medal za rok trzeźwości — powiadomiła Andrea, znów wesoło.

— Gratulacje, mamó — powiedziała Mack, klikając na pulpicie w ikonę kalendarza.

Nie było nowego ojczyrna. Nie było Wendy. I nie było pijackich wybuchów złości.

Pewnie mogłaby się wyrwać na kilka dni. Maksymalnie trzy. A potem znów przez dwa lata mogłaby się migać od odwiedzin. Zresetować poczucie winy.

— Możesz spać w pokoju gościnnym. I może mogłabyś mnie zabrać na jakąś dobrą kolację? — W głosie Andrei zabrzmiała nadzieja.

— Brzmi miło. Powinno mi się udać wyrwać. — Mack zignorowała chorobliwy, zimny strach, który wślizgnął się do jej brzucha. Jej matka była chora. Córki, a zwłaszcza lekarki, nie odchodzą od pacjenta dlatego, że jest chory.

Po drugiej stronie słuchawki usłyszała gwałtowne ujadanie.

— Cicho, Gigi!

— Kupiłaś sobie psa? — zapytała Mack.

— Tak! Kilka miesięcy temu. To zupełnie maleństwo, ale szczeka jak wielki pies. Tak czy inaczej, zerknęłam sobie na loty z Filadelfii...

— Nie mieszkam już w Filadelfii — powiedziała Mack. — Jestem w Maryland.

Ona nie miała pojęcia, że matka sprawiła sobie psa, tak samo jak Andrea nie wiedziała, że Mack się przeprowadziła.

— Aha. To chyba miło, prawda?

I to by było tyle, jeśli chodzi o ich błahe rozmowy. Mack obiecała, że potwierdzi termin przyjazdu. Andrea radośnie wzięła na siebie obowiązek zarezerwowania stolika na kolację urodzinową.

Pewnie wybierze jakieś eleganckie miejsce z talerzami ze złotą obwódką, białymi obrusami i maleńkimi porcjami. Jeśli było coś, co jej matka kochała bardziej niż alkohol, to była to gra pozorów. Zdaniem Andrei najważniejszą rzeczą na świecie było zachowanie pewnego poziomu poważania. Nigdy nie pokazywała się bez makijażu, sztucznych rzęs i butów na obcasie. Nawet kiedy była zalana w trupa.

Był taki czas, kiedy Mack uważała, że jej matka jest piękna. Ale brzydka prawda, której nie dało się ukryć pod warstwą żadnej szminki i ładnej sukienki, nigdy nie pozostawała zbyt długo w ukryciu.

Mack rozłączyła się, czując się tak, jak zawsze się czuła po rozmowie z matką: niespokojna, zdenerwowana i jakby chora. Uznała, że przydałby się jej w tej chwili mocny uścisk i może jakiś radosny pies. Wzięła kluczyki.

Brama do zatoki garażowej w remizie była otwarta na oścież. Wolontariusze z drugiej zmiany wchodzili i wychodzili, zajęci zwykłymi zadaniami. Jasne światła, lśniące wozy i ludzie robiący to, do czego się zobowiązali. Balsam na jej skołataną duszę.

Zaparkowała i wysiadła. Zrobiło jej się teraz głupio.

Powinna była najpierw wysłać esemesa albo najlepiej pojechać prosto do domu. Przecież i tak nie zamierzała powiedzieć Lincowi o matce. To by otworzyło drzwi do jej dzieciństwa. A nie było powodu, żeby się w tym babrać. Przetrwała. Nie była ofiarą. A patrzenie w przyszłość było zdrowsze niż oglądanie się do tyłu.

Ale rozległo się radosne szczekanie i Iskierka już pędziła w jej stronę.

— Cześć, koleżanko — powiedziała Mack, klękając, żeby porządnie potarmosić psa. Uległa swojej potrzebie pocieszenia i schowała twarz w miękkim, jasnym futrze.

Iskra skradła jej buziaka, a Mack roześmiała się, zastanawiając, czy jej matka odnalazła tego rodzaju radość ze swoim psem.

— Chciałbym zgłosić próbę porwania psa! — zawołał Linc przez megafon, wychodząc z garażu. — Proszę puścić tego psa, droga pani.

Wstała, otrzepała spodnie z ziemi i psiej sierści. Linc był ubrany w bojówki i T-shirt z długim rękawem z logo jednostki, który przylegał do niego jak druga skóra.

Czapeczkę baseballową miał odwróconą daszkiem do tyłu, a na brodzie miał smugę smaru. Dokładnie tego potrzebowała. Tego zadziornego uśmiechu. Oraz mocnego uścisku, który jej zaserwował, gdy wkroczyła prosto w jego ramiona.

— Ale miła niespodzianka — powiedział. Odsunął się i wziął ją na ręce wśród gwizdów i okrzyków uznania swojej załogi.

— Cześć — powiedziała, czując, że lód w jej brzuchu stopił się w coś płynnego i ciepłego.

— Jak ci minął dzień, Marzenie? — zapytał Linc, stawiając ją na ziemię i obejmując za ramiona.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, rozległ się alarm.

Wszyscy poderwali się do działania.

— Co tam mamy? — zapytał Linc, przekrzykując hałas i wciągając ją do środka.

— Samochód wjechał w budynek. Być może zatrzymanie akcji serca! — wrzasnął Brody, zakładając uniform.

— Masz ochotę na przejażdżkę, doktorko? — zaproponował Linc.

Lekarz pogotowia na miejscu wypadku był zawsze dobrym pomysłem.

— Jedziemy.

Wzięła swoją torbę lekarską i wsiadła do wozu komendanta. Kilka sekund później Linc siadał już za kierownicę, mając na sobie dolną część munduru. Przypięta do smyczy Iskierka przyglądała się żałośnie, jak odjeżdżali.

— Bądź grzeczna! — krzyknął do niej Linc przez otwarte okno.

Przyzwyczajona do świateł, syren i prędkości Mack sprawdziła po drodze po raz trzeci zawartość torby, podczas gdy Linc pozostawał w łączności radiowej z dyspozytornią, zbierając informacje. Wóz jechał za nimi, karetka też już była w drodze.

Wyjechali poza granice miasta i skręcili w stronę pól i domów z dużymi podwórzami.

Zapadł zmierzch, powietrze było chłodne.

— Jesteśmy — poinformował Linc. — Dowodzenie dojeżdża na miejsce wypadku.

Wysiedli razem z samochodu i podbiegli do rozbitego auta.

To był sedan, czy też to, co z niego pozostało, wgnieciony w ganek schludnego białego domu ranczerskiego, który stał przy drodze. Kierowca nadal znajdował się za kierownicą.

— Nie oddycha i nie wyczuwam pulsu — powiedział mężczyzna w dżinsach i flanelowej koszuli ze swojego miejsca przy otwartych drzwiach od strony kierowcy.

— Dzięki. Wyciągnijmy go — powiedziała Mack.

— Jestem z tobą — powiedział Linc. Złapał lekką plandekę rzuconą przez Brody'ego i rozłożył ją na ziemi kilka kroków od samochodu. — Lighthorse, przejmij dowodzenie i wprowadź do środka inżynierów. Niech sprawdzą, czy konstrukcja budynku nie została uszkodzona.

— Już się robi, szefie.

Karetka jeszcze nie przyjechała i trzeba było Mack, Linca i jeszcze jednego strażaka, żeby wydostać mężczyznę zza kierownicy i położyć na ziemi. Twarz miał zakrwawioną po zderzeniu z poduszką powietrzną.

— Dziadziuś! — W ramionach żony farmera płakał chłopiec.

Mack zaklęła soczyście.

— Co jest? — zapytał Linc.

— To Leroy Mahoney. Tam jest jego wnuk, Tyrone — powiedziała, rozcinając sweter Leroya na środku. — Brak pulsu. Nie oddycha. — Zaczęły mu już sinieć wargi.

— Kurwa — syknął Linc.

— Idź — powiedziała z naciskiem. — Zajmij się chłopcem. Ma do ciebie zaufanie.

— Lighthorse, zastąp mnie! — zawołał.

Brody podszedł i opadł na kolana.

— Co tu mamy, doktorko?

— Sześćdziesięcioośmioletni mężczyzna. Możliwy zawał STEMI. Zaczynamy RKO do czasu przybycia karetki z defibrylatorem. Sprawdź, czy nie ma innych obrażeń. — Zaczęła masaż serca, podczas gdy Brody sprawdzał zbyt nieruchome ciało Leroya. — Dajcie tu jakieś światło.

Nie podniosła wzroku, kiedy reflektor oświetlił plandekę. Nie zwracała uwagi na syreny nadjeżdżającej karetki ani na zespół inżynierów szykujący się do wejścia do domu. Jedyne, co istniało w jej świecie, to nieruchome serce Leroya Mahoneya.

Po wykonaniu oddechu ratunkowego sprawdziła czynności życiowe mężczyzny.

— Brak pulsu. Nie oddycha.

— Możliwe złamanie nadgarstka, trzeba zaszyć czoło. Nie jestem pewny co do uszkodzeń szyi i kręgosłupa — zaraportował Brody, gdy zaczęła kolejną rundę uciśnięć.

— Podaj mi epinefrynę z torby — powiedziała, licząc w myślach uciśnięcia. — Przednia kieszeń, na samej górze.

Gdzieś za nią zrobiło się zamieszanie.

— Proszę pani, proszę, żeby się pani odsunęła. — Stał nad nią ratownik medyczny.

— Jestem doktor O’Neil, a nie żadna pani, i zasłania mi pan światło — warknęła. — Muszę natychmiast podłączyć go do kroplówki. I ktoś z was musi zbadać chłopca. Siedział na tylnym siedzeniu.

Jeden z ratowników pobiegł do dziecka, zaś mężczyzna od „pani” uklęknął naprzeciwko niej i zdjął torbę.

— Podała mu już pani epinefrynę?

— Nie. — Pot spływał jej po plecach jak strumień. — Trzecia runda uciśnięć. Nie oddycha, brak pulsu.

Leroy został podłączony do kroplówki i założono mu drugi wenflon. Ratownik wyciągnął epinefrynę. Kolejny założył elektrody.

— Ładuję.

— Dawaj.

— Nic — powiedział, odczytując zapis z przenośnego ekranu.

— Defibryluj go i wezwij helikopter — zdecydowała, ocierając czoło przedramieniem. Jej kostka bolała na skutek niewygodnej pozycji.

Wykonała jeszcze jedną serię uciśnięć, kolejny impuls elektryczny. Kolejny zastrzyk z epinefryny. Podłączyli go do kroplówki z płynami. Dalej nic.

— Kurwa mać — mruknęła.

Nie odważyła się spojrzeć na Tyrone’a. Ale słyszała uspokajający głos Linca i ciche szlochanie dziecka.

— Nie zrobisz mi dzisiaj tego, Leroy — warknęła. — Jeszcze raz.

I jeszcze, i jeszcze, powtarzali w kółko procedurę.

— Wygląda na to, że ma krwotok wewnętrzny — powiedział ratownik, zauważając silne fioletowe sińce wokół klatki piersiowej Leroya.

— Helikopter będzie za osiem minut — poinformował Brody.

— Nie mamy ośmiu minut — stwierdziła Mack. — Połóżcie go na desce ortopedycznej i podajcie mi skalpel.

— Co chce pani zrobić? — zapytał ratownik.

— Otwieramy go.

Rozdział 43.

Linc praktycznie wychował się w takiej scenerii. Mrugające światła, szybkie, skoordynowane działania mężczyzn i kobiet, którzy stali pomiędzy horrorem i tłumem gapiów. Twarze skąpane w czerwieni i niebieskości. Napięcie dziesiątek ludzi połączonych wspólną modlitwą, wspólną nadzieją.

Ale widział też, kiedy działo się coś niezwykłego.

Ponieważ Tyronem zajął się ratownik, Linc wrócił do miejsca, w którym pracowała Mack. Wydawała rozkazy, a jej dłonie w rękawiczkach poruszały się ze zdecydowaniem.

— Nie może go pani tutaj otworzyć — ostrzegł stojący naprzeciwko niej ratownik.

— Później się pan będzie ze mną spierał. Kiedy go otworzę, pan zajmie się krwotokiem i zostawi mi miejsce na masaż serca.

— Nie wiemy, czy facet nie jest na lekach przeciwwakrzepowych — spróbował jeszcze raz. — Może nam się wykrwawić na miejscu.

— Facet nazywa się Leroy i *wiem*, że nie jest na lekach przeciwwakrzepowych, bo jestem jego cholernym lekarzem rodzinnym. I nie pozwolę mu umrzeć na oczach wnuka, więc weź się, kurwa, do roboty.

Uderzyła go. Fala miłości i dumy tak wielka, tak potężna, że aż ugięły się pod nim kolana.

— Do roboty, pani doktor. Wykonywała pani już kiedyś tę procedurę?

— Nie — odparła Mack i wsunęła skalpel w pierś Leroya Mahoneya.

— Jasna cholera. Czy ona...

— Tak — potwierdził Linc Brody'emu, gdy jego kapitan podszedł z bladą twarzą.

Brody wziął radio.

— Centrala, tu wóz 231 na miejscu wypadku przy Mulberry Road. Lekarka wykonuje na miejscu masaż na otwartym sercu. — Zapadła chwila ciszy.

— Przyjąłem, wóz 231. Przekażę, żeby helikopter się pospieszył — rozległa się spokojna odpowiedź.

Na miejscu wypadku zapanowała cisza, a Linc wyobraził sobie kilkanaście modlitw unoszących się w ciemność ponad światłem reflektorów.

— Zatamaj krwotok — zaordynowała Mack. Miała ręce zanurzone po nadgarstki w piersi drugiego człowieka. Linc poczuł, że kręci mu się w głowie. Nie był pewny, czy spowodowała to miłość, czy surrealizm przyglądania się, jak jego dziewczyna bawi się w Boga z ludzkim życiem.

— Pięknie — powiedziała. Jej twarz była studium koncentracji w świetle reflektorów. Linc usłyszał niewyraźny dźwięk nadlatującego helikoptera.

— Krwawienie opanowane — poinformował szorstko ratownik.

— Dobrze. Czekaj. Chyba coś mam — powiedziała Mack. Wszyscy wstrzymali oddech.

Tyrone pojawił się u boku Linca z zabandażowaną ręką. Oczy miał zapuchnięte od płaczu.

— Dziadziuś? — wyszeptał złamanym głosem.

Linc objął go i przytulił mocno.

— Mam akcję! — Twarz Mack wyrażała triumf.

Wstrzymywane powietrze uszło z ust zebranych z głośnym świstem.

— Mam puls na nadgarstku — zawołał ratownik od strony stóp Leroya.

— Tak, kurwa! — szepnął Linc.

— Ciśnienie krwi się stabilizuje — zauważył ratownik. — Przybiłbym pani piątkę, gdyby nie była pani teraz po łokcie w pacjencie.

— Co się odwlecze, to nie uciecze! — zawołała Mack. — Silna akcja serca!

Rozległ się okrzyk radości, jakiego Linc nigdy w życiu nie słyszał. Jego chłopaki wystawiły głowy z okna na pierwszym piętrze i wrzasnęły razem ze zbieraniną sąsiadów i ratowników.

Były łzy, głośne modlitwy dziękczynne. Feta trwała nadal, gdy helikopter wylądował na pastwisku, a Mack szybko zaszywała pacjenta.

Linc patrzył, jak pochyliła się nisko i zobaczył, że usta Leroya ledwie się poruszają.

— Tyrone'owi nic nie jest, Leroyu. Masz moje zapewnienie — powiedziała. — Trzymaj się, bo inaczej naprawdę się wkurzę.

Linc w życiu nie czuł większej dumy niż wtedy, gdy zobaczył profesjonalny podziw na twarzy lekarza pogotowia lotniczego po raporcie otrzymanym od Mack.

— Nigdy czegoś takiego nie widziałem — powiedział, gdy ratownicy i strażacy przenosili Leroya na deskę ortopedyczną.

— Mnie to nie dziwi — powiedział olbrzymi pielęgniarz z szerokim uśmiechem. Podał Mack rękę w rękawiczce i

pomógł jej się podnieść. — Jesteś niezmierną lekarką, O'Neil.

— Dzięki, Bubba — powiedziała. — Dbajcie o mojego pacjenta.

Lekarz z pogotowia lotniczego spojrzął na jej ortezę i pokręcił głową.

— Kto by pomyślał, że superbohaterowie noszą buty ortopedyczne? — Z tymi słowami odwrócił się i pobiegł z noszami do czekającego helikoptera.

Zdejmując rękawiczki, Mack odprowadzała ich wzrokiem. Stała nieruchomo, gdy helikopter uniósł się w górę. Kiedy się odwróciła i potknęła o swój but ortopedyczny, Linc był przy niej, żeby ją przytrzymać.

— Marzenie — powiedział i objął ją mocno, gdy oparła się o niego bezwładnie.

— W życiu nie byłam tak szczęśliwa, głodna i zmęczona — wyznała.

— Doktor Mack. Czy mój dziadek wyzdrowieje? — zapytał Tyrone.

Mack przyciągnęła go do wspólnego uścisku.

— Ma dużą szansę, młody. Twój dziadziuś to niezły twardziel.

— Boję się — szepnął chłopiec. — Rozmawialiśmy o tym, co zapakować jutro do szkoły na lunch. Nie lubię pieczeni. Dziadziuś się śmiał i nagle bum!

— To nie była twoja wina. Nie odwróciłeś jego uwagi ani nie spowodowałeś wypadku. Serce twojego dziadka wybrało ten moment, żeby przestać prawidłowo działać.

Linc ścisnął mocno dzieciaka.

— Zadzwoniliśmy już do twojej mamy, Tyrone. Spotka się z nami w szpitalu. Więc może zajedziemy do was do domu i weźmiemy trochę rzeczy, których dziadek może potrzebować w szpitalu?

Zapakowali Tyrone'a do samochodu komendanta, zapakowali torbę ze wszystkim, co siedmiolatek uznał za niezbędne dla swojego dziadka — w tym spodnie sztruksowe, pilot do telewizora i ulubionego misia Tyrone'a — i zawieźli chłopca wraz z torbą do szpitala.

Mama Tyrone'a, córka Leroya, była już na miejscu. Na policzkach miała rozmazany tusz do rzęs. Uścisnęła każdego z nich wyjątkowo mocno. Zaczekali z nią przez godzinę.

Z sali operacyjnej wyszła pielęgniarka z dobrymi wieściami. Minimalne uszkodzenie mięśnia sercowego. Chirurg zakładał stent i był pewny, że pacjent w pełni odzyska zdrowie. Mama Tyrone'a wybuchnęła płaczem, a Mack zapewniła chłopca, że to były łyzy szczęścia.

Tym razem to Linc wioził wycieńczoną, obolałą Mackenzie ze szpitala do domu.

— Pizza — powiedziała z zamkniętymi oczami i głową opartą o zagłówek. — Piwo. Gorąca kąpiel.

— Telewizor — dodał Linc.

— Pies — odezwali się jednocześnie.

— To było bardzo dobre zakończenie wątpliwej jakości dnia — westchnęła i wyciągnęła ręce w kierunku deski rozdzielczej.

Później tego samego wieczoru, po piwie, pizzy, kąpieli i czułościach z psem, przytulili się do siebie na dużym łóżku Linca. Jej plecy przyciskały się do jego torsu. Jego ręka przytrzymywała ją blisko.

Linc zaczekał, aż jej oddech spowolni. A kiedy był już pewny, że twardo spała, wtulił twarz w jej kark.

— Jestem w tobie bez reszty zakochany, Mackenzie O'Neil.

Rozdział 44.

Mack nie była do końca pewna, czego się spodziewała, kiedy otworzyła tylne drzwi. Ale na pewno nie było to siedmioro dzieci przebranych za wszystko, co się da, od robota, poprzez disneyowską księżniczkę, po jakiegoś rodzaju żywego trupa i morderczego gula w jednym. Iskierka miała na sobie błyszczącą spódniczkę baletową i naszyjnik ze sztucznych pereł. Materiałowa tiara znajdowała się już pod jej brodą.

Linc był w rajtuzach. Chciała zobaczyć resztę jego przebrania, ale rajtuzy w niestosowny sposób podkreślały jego anatomię.

Chrząknął, więc niechętnie oderwała wzrok od jego krocza. Superman. No jasne, że był przebrany za Supermana.

— Wesołego Halloween! — zawołały chórem dzieci.

— Wesołego Halloween — odpowiedziała. — Cukierki są od frontu.

— Nie przyszliśmy po cukierki — oznajmiła Samantha rzeczowym tonem.

— No! Przyszliśmy po ciebie na cukielek albo psikus!— powiedział Griffin i tym posunięciem popsuł efekt swojego przebrania za Dartha Vadera.

Mack poczuła, że jej usta otwierają się i tworzą kształt idealnego O.

— Gdzie wasi rodzice? — zapytała w końcu.

— Nasze mamy są u wujka komendanta Linca — wyjaśnił przez zatkany nos wampir Mikey. — A tatusiowie malują nasz salon. Taka tradycja.

— My faceci przegraliśmy pięć lat temu zakład. Więc w każde Halloween moje siostry zamawiają pizzę i piją za dużo wina, rozdając w międzyczasie cukierki. Moi szwagrowie zajmują się jednym domowym projektem remontowym — i piją przy tym za dużo piwa — a ja chodzę z tymi potworami po mieście — wyjaśnił Linc. Przynajmniej tak sądziła, że to Linc, ale znów wpatrywała się w jego krocze i nie była pewna.

— Zabieramy wózek, żeby cię wozić, jeśli się zmęczysz — obiecał żarliwie Brandon.

— Mówiłeś, że się zgodzi, jeśli nie damy jej czasu na namysł — poskarżył się Bryson.

Linc zepchnął chłopaka ze schodka prosto w krzaki. Reszta dzieciaków się roześmiała.

— Nie słuchaj go. I nie zastanawiaj się. Po prostu się zgódź i załóż to na siebie. — Rzucił jej torbę zakupową.

Mack zajrzała do środka.

— Nie ma mowy. Absolutnie.

— Dzieci. Uruchomcie smutne minki — polecił Linc, pstrykając palcami.

Sześć par oczu podniosło na nią żałośnie wzrok. Siedem, jeśli liczyć Iskierkę. Osiem, jeśli liczyć twarz Brysona wystającą spomiędzy krzaków.

— Nie założę tego na siebie — powiedziała Lincowi.

— To Halloween. Musisz być przebrana. Takie są zasady — upierał się.

— Proszę, doktor Mack? — błagał Mikey, przyciskając ręce do piersi. — Proszę?

— Niech to szlag.

Pięć minut później Mack kręciła głową przed lustrem.

— Nie pokażę się w tym publicznie.

— Mówisz tak tylko dlatego, że zapomniałaś bransoletek — powiedział Linc ze swojego miejsca na jej łóżku. Wziął z narzuty parę plastikowych kółek.

— Spódnica jest kompletnie niestosowna.

— Ja jestem w rajtuzach. Pójdziemy jako pan i doktor Niestosowni — upierał się, wsuwając bransoletki na miejsce. — Poza tym ty masz pelerynę, pod którą wszystko się schowa i pokaże dopiero później.

— A co będzie później? — zapytała. Wciąż wpatrywała się w swoje odbicie.

— Superman i Wonder Woman wkraczają w kostiumach do akcji — powiedział, zrywając się z jej materaca. — Prawdę mówiąc, nie wiem, dlaczego my tu ciągle gadamy. Każda minuta, którą teraz marnujemy, oddziela nas od chwili, kiedy będę mógł dobrać się Wonder Woman pod spódnicę.

Mack skrzyżowała nadgarstki i wyciągnęła je przed siebie.

— Zostaw mnie w spokoju, paskudny Supermanie. Jeśli będziesz się obnosił ze wzwodem w tych rajtuzach, to jakieś dziecko straci oko, a ty dostaniesz dożywotni zakaz udziału w obchodach Halloween.

— Twoja argumentacja jest słuszna, ale twoja spódniczka krótka. Trudno jest się skupić na tym, co ważniejsze.

— Dlaczego na dole jest tak cicho? — zapytała, poprawiając opaskę na głowie.

— Co takiego? — Gapił się na jej nogi.

— Na dole jest siedmioro dzieci i pies, a panuje cisza jak w bibliotece.

— Cholera. — Linc wypadł z pokoju i zbiegł ze schodów. — Do diabła, dzieciaki! To nie jest wasz dom. Nie możecie po prostu odgrzewać sobie resztek jedzenia!

— Nie wierzę, że to robię — syknęła Mack do Linca, gdy dzieciaki szły ścieżką w stronę żółtego jednopiętrowego domu ozdobionego tańczącymi szkieletami i ręcznie wycinanymi dyniami.

— Cukierek albo psikus! — wrzasnęły jednym głosem dzieci, gdy otworzyły się drzwi.

— Dzień dobry, doktor Mack! Dzień dobry, komendancie Linc — zawołał niski ninja z plastikowym nunczako, przebiegając obok z torbą pełną łupów.

— Ten ninja wie, jak się nazywam — zdziwiła się Mack.

— Marzenie, każdy wie, jak się nazywasz. Całe miasto o tobie mówi. „Lekarka ratuje pacjenta operacją na otwartym sercu w terenie” — powiedział, cytując nagłówek z miejscowej gazety, który pojawił się wcześniej w tym tygodniu.

— A teraz jestem przebrana za Wonder Woman.

— Spokojnie. Weź sobie cukierka — powiedział, wyciągając minibatonik zza pleców.

— Czy to się wzięło stąd, skąd myślę, że się wzięło?

— Mam sekretną skrytkę na cukierki w pasie, a nie w moim zgrabnym tyłku.

Odpakowała cukierek i roześmiała się, gdy dzieci przybiegły do nich z powrotem.

— Domowa kukurydza karmelowa — pisnęła Samantha.

Iskierka powąchała torebki z przysmakami, które Joni Aucker wręczyła im podczas ostatniego przystanku. Mack powstrzymała się od zapytania Linca, czy dziwnie się czuł, wpadając na matkę dziewczyny, którą kiedyś kochał. Jasne, zaczęli się sobie zwierzać, ale ich związek dalej obracał się głównie wokół rewelacyjnego seksu i żartobliwych przekomarzanek. Lepiej było nie przesadzać.

— Naprawdę nie musiałeś zabierać wózka — powiedziała Mack. — Moja kostka jest już w porządku. I za żadne skarby nie wsiadłabym z własnej woli do czegoś takiego.

— Och, tak naprawdę to nie dla ciebie — odparł Linc. — To na wypadek, gdyby dzieciaki zaczęły jęczeć, że nie mają siły taszczyć wszystkich swoich słodyczy, albo gdyby któreś z nich przedawkowało cukier i zaliczyło atak hysterii — w tym roku obstawiam, że to będzie Kinley — albo gdyby panna Iskierka zrobiła się zbyt śpiąca, żeby dalej iść.

Pies, słysząc swoje imię, podskoczył w miejscu.

— Domyślam się, że „cukierek albo psikus” to twój ulubiony wieczór w roku, co? — zapytała Mack psa.

Iskierka szczeękła radośnie, a Mack posłusznie dała jej smaczek.

— Doktor Mack, jakie są twoje ulubione cukierki? — zapytał Mikey, trzepocząc długimi rzęsami.

— Znajdź sobie własną dziewczynę, Czarusiu — powiedział Linc, żartobliwie szturchając siostrzeńca łokciem.

— Dokąd teraz, wujku komendancie Linku? — chciała wiedzieć Roszpunka Leah.

— Do Morettów — postanowił.

Kolorowa grupka przebranych dzieci wydała okrzyk radości.

— Co jest takiego fajnego w domu Morettów w dniu Halloween? — zapytała Mack, gdy Linc splótł z nią palce.

— Zobaczysz — powiedział, ściskając jej dłoń.

Aldo i Gloria byli Królem i Królową małomiasteczkowego Halloween. Przebrali się za Sonny'ego i Cher, co najwyraźniej było ich prywatnym uroczym żarcikiem, o który Mack chciała zapytać później Glorię.

Ich garaż był przekształcony w niezbyt przerażający nawiedzony dom. Aldo obsługiwał przy ulicy grilla i rozdawał przebierańcom hot dogi, hamburgery, soczki w kartoniku i zimne piwo. Gloria, jej matka i matka Aldo obsługiwały gry świąteczne przy stolikach na podwórku od frontu. Wszędzie leżały ciasta, cukierki i tace z warzywami, wokół toczyły się rozmowy.

Siostrzenice i siostrzeńcy Linca rozpierzchli się na trawniku w kierunku gier, garażu i pomarańczowo-czarnego dmuchanego domku do skakania.

— Łał — zdołała wydobyć z siebie Mack.

Jej przystojny pomagier sięgnął do lodówki i wyciągnął dwa piwa.

— Wonder Woman?

— Czy tu nie obowiązuje zakaz spożywania alkoholu w miejscach publicznych? — zażartowała.

— Każde z nas wypije po jednym — wyjaśnił. — Potem możesz mi pomóc odwieźć moje pijane siostry i szwagrów do domu.

— Co to był za zakład? — chciała wiedzieć.

— Naprawdę głupi — powiedział.

— Doktor Mack! W samą porę! — Ellen, przebrana za policjantkę z odznaką „Rozrywkowa Policja”, podeszła do

nich pospiesznie. Uściskała Mack mocno, a do Linca puściła oko, co on odwzajemnił.

— Ellen, wyglądasz świetnie — powiedziała Mack. To była prawda. Jej pacjentka i koleżanka w jednym promieniała. Jej twarz wyglądała jaśniej i szczuplej. A w oczach widać było zdecydowany błysk.

— Czuję się świetnie — powiedziała. — Nie miałam pojęcia, jak bardzo brakowało mi pływania, wiesz? I wiesz co?

— Co?

— Mój mąż zaczął chodzić ze mną na siłownię. Kiedy ja pływam, on podnosi sztangi, a potem chodzimy razem przez dwadzieścia minut, zanim pójdzie do pracy. Od dwóch tygodni nie musiałam na niego wrzeszczeć na temat bokserek! I zaczęłam szykować z teściem kolację. Facet w życiu nie używał mikrofalówki ani nie ładował zmywarki. A teraz na Pinterencie wyszukuje przepisy na sos bolognese.

Mack się roześmiała.

— To wspaniale.

— Czy wciąż jesteśmy umówione na przyszły tydzień? — zapytała Ellen.

— Tak. Pewnie — odparła Mack. — Babski wieczór.

— Świetnie! Masz coś przeciwko temu, żebym przyprowadziła kilka koleżanek? No wiesz, żeby zrobić z tego prawdziwy babski wieczór?

— Uch. Nie, nie mam. — Może sama zaprosi Glorię, Harper i Sophie, pomyślała Mack. A potem zaczęła się zastanawiać, kim do cholery była, że miała koleżanki, które mogła gdzieś zaprosić.

— Cudownie. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu. Lepiej pójdę po dzieci. Są niebezpiecznie blisko fazy „zaraz zacznę

rzygać cukierkami na dmuchańcu”. Świetne rajtuzy, Linc!
— Ellen odbiegła i dźgnęła dmuchaną ścianę plastikową pałką policyjną. — Wszyscy Kowalscy mają natychmiast opuścić dmuchany dom!

— W tej chwili odłóżcie piwo! — Gloria-Cher ze swoim pucołowatym niemowlęciem podbiegła do nich.

— Dlaczego? — zapytał Linc. — To tylko dla dzieci?

Szturchnęła go żartobliwie.

— Nie. Czeka na was szampan. — Pocałowała go w policzek, a potem to samo zrobiła z Mack.

Gloria Moretta była szczęśliwa. Do głębi swojego jestestwa. A Mack nagle instynktownie zapragnęła doświadczyć tego uczucia.

— Co świętujemy? — zapytała Mack.

— Głuptasie. Uratowałaś Leroya Mahoneya na oczach jego ukochanego wnuka, wykonując na poboczu operację na otwartym sercu. A tak na marginesie, świetne przebranie — powiedziała z uśmiechem Gloria. Skinęła na stojącego przy grillu Aldo.

— Och, ja... To Linc zorganizował mi kostium. — Mack poczuła, że płoną jej policzki.

— Chodź. — Gloria złapała Mack za rękę i pociągnęła ją w stronę ganku na przedzie domu w stylu rzemieślniczym.

Stał tam jeszcze jeden stół i nie jedna, nie dwie, ale cztery butelki szampana chłodziły się w wiaderkach z lodem w kształcie czaszek pośród morza plastikowych kieliszków.

Aldo wszedł za nimi po schodach. Lincowi zaserwował lekkie uderzenie pięścią w ramię, a Mack swój charakterystyczny uścisk, na koniec zaś polaskotał swoje dziecko pod bródką. A potem, nie zważając na widownię,

ujął swoimi dużymi dłońmi twarz Glorii i pocałował ją delikatnie.

Linc zasłonił dla żartu oczy Mack.

— Jeśli zaczną się rozbierać, wychodzimy.

Po pocałunku i chwili czułości Aldo odwrócił się twarzą do ogródka.

— Hej, Rozrywkowa Policja — zawołał do Ellen. — Możesz z łaski swojej zagwizdać?

Ellen usłużnie wydobyła z gwizdka przeszywający dźwięk i zebrany tłum się uciszył.

— Wesołego Halloween wszystkim — powiedział Aldo, obejmując Glorię.

— Wesołego Halloween! — zawołali wszyscy w odpowiedzi.

— Chcieliśmy poświęcić chwilę na to, żeby podziękować pewnej bardzo wyjątkowej osobie za jej dobre uczynki — powiedział Aldo.

— O Boże — syknęła Mack. Linc uśmiechnął się do niej szeroko. — Wiedziałaś?

— Nie przyszlabyś, gdybym ci powiedział.

Matka Glorii zaczęła krzątać się na ganku i otworzyła pierwszą butelkę szampana.

— Większość z was zna doktor Mackenzie O'Neil — powiedział Aldo, machając w jej kierunku.

Wiwaty narastały i stawały się niezwykle żenujące. Mack chciała schować się pod peleryną Linca, ale on trzymał ją mocno w miejscu.

— Zaslugujesz na to, Marzenie. Przyjmij to — szepnął.

— Wiecie, że obecna tu doktor Mack uratowała mi życie. Gdyby nie ona, nie byłoby tego wszystkiego — powiedział.

— Och nie — szepnęła Mack. Poczowała uścisk w gardle, do oczu napłynęły jej łzy.

— Staraj się nie mrugać — zasugerował Linc.

Otworzyła oczy przerażająco szeroko i wpatrywała się pustym wzrokiem w lampę na ganku.

— Gdyby nie ona, nie byłoby mnie tu. Nie grillowałbym hot dogów z moją piękną żoną i dwiema idealnymi córeczkami. Jest jeszcze kilka innych osób, które też chciały ci podziękować.

Pani Moretta jęknęła i wysmarkała nos w chusteczkę z motywem dyni.

— Przepraszam. Możesz mówić dalej — huknęła.

Nie mrugaj. Nie mrugaj. Nie mrugaj.

Otworzono kolejną butelkę szampana i zaczęto rozlewać jej zawartość do kieliszków.

— O cholera — wychrypiała Mack, gdy po schodach ganku zaczęli wchodzić Dalton oraz pan i pani McDowell — wszyscy przebrani za Iniemamocnych. Dalton podbiegł do niej i wręczył jej rysunek, na którym gigantyczny kleszcz gryzł narysowaną kreskami postać chłopca, a dalej narysowana kreskami postać z piersiami i wielką blizną na twarzy kopała kleszcza. Mack się roześmiała.

— Dziękujemy za *wszystko* — szepnęła pani McDowell, zamykając ją w uścisku.

Mack nie wiedziała, co powiedzieć, nie wiedziała, czy jest w stanie coś powiedzieć. Pokiwała więc tylko głową i pozwoliła się obejmować.

— Świetna robota, doktoro — powiedział pan McDowell głosem ściśniętym z emocji. — Naprawdę świetna.

— Dzięki — wydusiła z siebie. Mówiła takim głosem, jakby połknęła kilkanaście żyletek. Szczypały ją oczy, więc wróciła do trybu niemrugania.

McDowellowie wzięli swojego szampana, a Dalton soczek w kartoniku i odsunęli się na bok.

Na ganku zjawily się dwie kolejne osoby. Mack przez chwilę zastanawiała się, jakie obciążenie wytrzyma ganek, ale potem uznała, że to nie ma znaczenia, bo dotarło do niej, że Tyrone Mahoney był przebrany w mały kombinezon lotniczy, a w ręce trzymał miniaturową torbę lekarską. Odręcznie zrobiona plakietka głosiła „Dr Mack”. Chłopiec przebrał się na Halloween za nią.

— O cholera — szepnęła. Zamrugła i gorąca łza wymknęła jej się z kącika oka.

Linc ścisnął ją za ramię i sam też chrząknął.

— Trzymaj się.

Tyrone i jego mama wyściskali ją mocno.

— Dziadzius jest jeszcze w szpitalu, ale kazał przekazać pani podziękowania — powiedział Tyrone z szerokim, promiennym uśmiechem. — A ja kiedyś też zostanę lekarzem, tak jak pani.

Odebrało jej mowę. Ale to w niczym nie przeszkadzało, bo mama Tyrone'a, urocza młoda kobieta w garsonce, która najprawdopodobniej wcale nie była przebraniem, tylko oznaczała „właśnie wróciłam do domu z pracy na czas, żeby pójść zbierać cukierki”, wybuchła płaczem i uściskała ją mocno.

— Dziękuję — szepnęła przez łzy.

— Za doktor Mack — powiedział Aldo, unosząc szampana.

— Za doktor Mack! — odpowiedział zebrany w ogrodzie tłum.

Wóz strażacki, który nadjechał niezauważony, przyłączył się do świętowania światłami i trąbieniem.

Mack nigdy w życiu nie czuła się bardziej skrepowana.

Ani szczęśliwsza.

To uczucie towarzyszyło jej w drodze do domu. W chłodny, jesienny wieczór, w serdecznym, małym miasteczku, Linc, jej chłopak Superman i strażak w jednym, niósł na barana ziewającego Griffina. Mack ciągnęła Kinley i Iskierkę w wózku i słuchała Samantha, która mówiła o kursach przygotowujących na medycynę. W brzuchu czuła ciepło od szampana, a błysk w oku Linca powiedział jej, że nie zapomniał o misji odkrycia, co Wonder Woman miała dziś na sobie pod spódnicą.

Może, ale tylko może, mogłaby się do tego przyzwyczać.

Rozdział 45.

— Jasna cholera — mruknął Linc do swojego odbicia w lustrze. Stanowisko komendanta straży pożarnej nieczęsto wymagało od niego krawata, dlatego raz na jakiś czas musiał wygooglować, jak wiązać to cholerstwo.

— Potrzebujesz pomocy?

Mackenzie pojawiła się za nim w lustrze, zjawiskowa w sięgającej podłogi jasnoszarej sukni z subtelnym wycięciem między piersiami.

— Łał. — Zapomniał o krawacie i odwrócił się, żeby lepiej spojrzeć. — Łał.

Jej czerwone usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, oczy były zmrużone. Zrobiła coś z makijażem, dzięki czemu jej oczy wydawały się ciemniejsze, większe. Jej usta rozkosznie pełniejsze.

— Kupiłam to sobie, kiedy dziewczyny zmusiły mnie do wyprawy na zakupy. A co jest najlepsze w tej sukience? — zapytała.

— Jeśli pytasz mnie, to najlepsze jest to, co masz pod spodem. Mogę stracić przytomność, gdy będę prowadził pannę młodą do ołtarza.

Drażniąc się z nim, uniosła dół sukni.

— Ledwie widać but ortopedyczny.

— Jesteś piękna, wiesz o tym, Marzenie?

— Ty też nie jesteś najgorszy, Szpanerze — odparła. Przynęła palce do jego krawata.

Linc przełożył ręce na jej krągły tyłek, podczas gdy ona zręcznie wiązała krawat.

— Jak się nauczyłaś to robić? — zapytał, spoglądając ze zmarszczonym czołem w dół, gdzie produkowała idealny węzeł.

Wyraźnie zawstydzona, wzruszyła ramionami.

— Widziałam raz, jak moi przybrani rodzice szykowali się na randkę. Mama pomogła tacie zawiązać krawat. Nauczyłam się.

Linc odczekał chwilę.

— Przybrani rodzice, hm? Wiesz, że któregoś dnia czeka nas długa rozmowa?

Złapała go za nadgarstek i sprawdziła godzinę na zegarku.

— Tak, ale nie dziś. Musisz zaprowadzić pannę młodą do ołtarza.

Panna młoda tryskała większą radością niż bąbelki szampana, którego pełne kieliszki kelnerzy rozdawali gościom zajmującym miejsca na ceremonię w starej stodole. Dwustuletnie krokwie nad ich głowami zostały obwieszane świecącymi światłami. Dziesiątki białych krzeseł stały wzdłuż nawy prowadzącej do ołtarza zrobionego ze splecionych gałęzi i lampek. Każda płaska powierzchnia została ozdobiona feerią jesiennych kwiatów, dyni i zdjęć państwa młodych, od czasów dzieciństwa do chwili obecnej.

Nastrój był uroczysty. Mindy wsunęła rękę pod łokieć Linca.

— Jesteś gotowy na swoją pierwszą podróż do ołtarza, komendancie? — zażartowała. Była drobną blondynką, podobnie jak wiele lat temu. Ale zamiast piżamy i krzywych

warkoczyków miała na sobie koronkową suknię z długim rękawem, a włosy upięte w idealną fryzurę. Brązowe oczy lśniły podekscytowaniem.

— Słuchaj, czy mamy pewność, że Bill jest dla ciebie wystarczająco dobry? — zapytał Linc, gdy ostatnia drużna posłała Mindy pocałunek, zanim dziewczyna ruszyła w stronę ołtarza.

— Jest bardziej niż wystarczająco dobry — zapewniła. — Jest niesamowicie dobry, serdeczny, mądry i zabawny. Przypomina mi tatę. — Jej głos załamał się lekko, a Linc ścisnął jej dłoń.

— Przykro mi, że go tu nie ma, Min.

Jej uśmiech był smutny.

— Tak samo mnie nazywał.

— To może jednak tu jest.

— Nie przegapiłby tego — powiedziała. W jej oczach lśniły łzy.

Drużna dała Lincowi znak.

— Jesteś gotowa wyjść za mąż?

— Zróbmy to.

To była wielka chwila. W momencie, w którym Bill zauważył Mindy, oboje odetchnęli z ulgą. Pewni swojej decyzji. Szczęśliwi. Po doprowadzeniu panny młodej do ołtarza i narzeczonego, Linc zajął miejsce w drugim rzędzie obok Mackenzie, która uśmiechnęła się do niego promiennie.

Podawała mu kieliszek.

— Niezła dostawa, Szpanerze.

Może to przez światła, może przez szampana, a może przez to, w jaki sposób szczęśliwa para patrzyła na siebie

podczas składania przysięgi, ale w Lincu zrodziły się pewne uczucia.

Mama Mindy siedziała w przednim rzędzie. Jej ramiona trzęsły się od cichego płaczu. Jej córka właśnie zaczynała małżeństwo, podczas gdy ona zbyt szybko straciła swojego partnera. Początki i końce. I to, co pomiędzy. Linc chciał tego wszystkiego bez wyjątku.

Mack sięgnęła nad krzesłem i podała smutnej kobiecie chusteczkę. Gdy ocierała sobie oczy, Linc ścisnął ją pokrzepiająco za ramię.

Trzymając później w ramionach Mackenzie na parkiecie, podczas gdy zespół grał jakiś jazzowy kawałek, w dalszym ciągu rozmyślał. Może to przez grę świateł, a może coś więcej. Mack wydawała się lżejsza, swobodniejsza.

- Jak twoja kostka?
- Trochę obolała, ale dobrze. Niedługo ściągną mi but.
- Wyglądasz na szczęśliwą — powiedział, przyciągając ją bliżej siebie. Nigdy nie była wystarczająco blisko.
- Czuję się szczęśliwa — przyznała.
- Czy to odpowiedni moment, żeby cię zapytać o plany na Święto Dziękczynienia? Bo moje siostry pytały. Moi rodzice nie dadzą rady się zjawić. Przyjadą na kilka tygodni w Boże Narodzenie. Ale reszta rodziny będzie.

Zmyliła krok.

- Święto Dziękczynienia w gronie rodziny?
- A jest jakieś inne?
- W gronie przyjaciół.
- Racja.

— Być może będę miała kilkoro gości na Święto Dziękczynienia — powiedziała asekuracyjnie.

— Przyrowadź ich. U ciebie i tak jest za mało miejsca na duży rodzinny posiłek.

Musnęła palcami kłapy jego marynarki.

— Czyli mówisz, że ja i moi goście możemy przyłączyć się do uroczystości z twoją rodziną i nie będę musiała szykować całej kolacji?

Uśmiechnął się szeroko.

— Będiesz miała szczęście, jeśli moje siostry pozwolą ci otworzyć paczkę bułek.

— To bardzo kusząca propozycja. Zapytam moich gości — powiedziała.

Wrócili do stolika. Siedziała przy nim ciekawa mieszanka przyjaciół Billa, na których składali się nauczyciele, i znajomych Mindy z biura. Linc położył rękę na oparciu krzesła Mack, a jego palce zataczały leniwe kółka na jej ręce. Rozmowa toczyła się swobodnie.

— Przepraszam, czy mogę prosić o uwagę? — powiedziała Mindy do mikrofonu pożyczonego od zespołu.

Zebrani ucichli.

— Wiem, że już wznosiliśmy toast weselny, ale jest jeszcze jeden, który trzeba wznieść.

Bill podszedł do niej z dwoma nowymi kieliszkami szampana.

— Dzięki, mężulku — powiedziała, na co goście się zaśmiali. — Tak czy inaczej, jak wielu z was wie, dawno, dawno temu w moim rodzinnym domu był pożar.

— O raj — szepnął Linc.

Mack ścisnęła Linca za udo.

— Ha. Teraz twoja kolej, palancie.

— Omal wtedy nie zginęłam — ciągnęła Mindy. — Była Wigilia Bożego Narodzenia, a ja utknęłam w pokoju z Zadziosem, naszym siedmiokilowym kotem. Dym był bardzo gęsty. Nic nie widziałam. Ledwie byłam w stanie oddychać. Zaczęłam tracić nadzieję. Wiedziałam, że tata mnie nie uratuje. Że ja nie będę w stanie uratować Zadziora. Że nie otworzę tej sterty prezentów zapakowanych przez rodziców. I wtedy spomiędzy dymu wyłonił się mój osobisty bohater. Zjawił się wtedy, gdy potrzebowałam go najbardziej. Strażak Lincoln Reed zaryzykował własnym życiem, żeby uratować mnie i Zadziora, który w czasie akcji ratunkowej udowodnił zasadność swojego imienia.

Zebrani zaśmiali się serdecznie.

— Bez komendanta Reeda ten piękny, idealny dzień nie byłby możliwy. Nie stałabym tu w tej pięknej sukni, mówiąc „tak” temu oto cudownemu mężczyźnie. Nie byłoby powodu, żeby wszyscy ludzie, których tak bardzo kocham, zebrali się razem, pili szampana i tańczyli.

Gardło Linca ścisnęło się tak mocno, jakby miał się udusić. Złapał za krawat, próbując go rozluźnić.

Mackenzie przysunęła się do niego.

— Postaraj się nie mrugać.

Mindy i Bill unieśli kieliszki.

— Za komendanta Reeda. Mojego bohatera. Dziękuję ci za każdy dzień, który minął od czasu tamtego wydarzenia.

— Za komendanta Reeda!

— Dobra robota, komendancie — szepnęła Mack i stuknęła się z nim kieliszkiem.

— Będę miał traumę związaną z dźwiękiem strzelającego korka szampana — poskarżył się wśród oklasków.

Telefon Mack zawibrował w jej torebce kopertowej. Sprawdziła wyświetlacz i zmarszczyła brwi.

— O co chodzi? — zapytał Linc, nachylając się.

— To Trish Dunnigan. Pewnie dzwoni tylko kontrolnie. Pójdę odebrać — powiedziała i przepaszając, oddaliła się od stolika.

Linc odprowadził ją wzrokiem i znów poczuł tę tęsknotę.

Chciał ją zapytać, pchnąć sprawy dalej. Wszystko dobrze się układało. Między *nimi* dobrze się układało. To była szansa na coś prawdziwego. Początek.

Ale nie zapytał. Gdyby to zrobił, a ona powiedziała by „nie”, to byłby koniec jego nadziei.

Wytrwał pięć minut osobistych podziękowań ze strony panny młodej, jej matki i kilkunastu przyjaciół i członków rodziny, po czym wymknął się bocznymi drzwiami.

Była pierwsza sobota listopada, wieczorne powietrze zapowiadało już nadchodzącą zimą. Księżyc na niebie był niemal w pełni i malował pola upiorną poświatą.

Linc wciągnął powietrze w płuca, po czym wypuścił je w postaci srebrnej chmurki.

— Wszystko w porządku? — zapytała Mack, rozcierając sobie ręce i wychodząc na dwór.

Skrzyła się w świetle księżycy, zimowa królowa, cała w srebrze.

— O co chodzi, że ludzie nagle wyskakują z tymi wielkimi podziękowaniami? — mruknął, odwracając wzrok.

— Spójrzmy prawdzie w oczy, Szpanerze. Robisz coś ważnego. Robimy coś ważnego. Życie innych zmienia się dzięki temu, co robimy. — Objęła go w pasie od tyłu i przytuliła twarz do jego pleców. — Jesteś dobrym człowiekiem, Lincolnie Reedzie.

To zostać. Chciał wypowiedzieć na głos słowa, które miał na końcu języka. Chciał, żeby wydostały się na zewnątrz. Ale nie chciał usłyszeć odpowiedzi.

Że był dobry na trochę. Że był dobrym przyjacielem. I niewiele więcej.

Zamiast tego odwrócił się, wziął Mackenzie w ramiona i wciągnął w płuca jej zapach.

Rozdział 46.

Mack zignorowała złe przecucia, które ogarnęły ją, gdy zajechała przed schludną szeregówkę matki. Miejsce to, jak każde inne, w którym kiedykolwiek mieszkała jej matka, nigdy nie będzie domem Mack. Ale to było jedno z przyjemniejszych osiedli, na których osiedliła się Andrea. Przyglądając się elewacji z czerwonej cegły, Mack domyślała się, że jej comiesięczny przelew na czynsz stanowił znaczącą pomoc. Betonowe schody były zamiecione, ale w donicy na skraju podestu znajdowały się szczątki jakichś letnich kwiatów.

— Nie będzie tak źle. To tylko kilka dni — mruknęła sama do siebie.

Wciąż zwlekając, wyciągnęła telefon i napisała esemesa.

Mack: Właśnie dojechałam do mamy. Mam nadzieję, że Iskierka dotrzyma ci towarzystwa, Szpanerze.

Czekała z nadzieją na odpowiedź. A kiedy nie nadeszła, uznała, że zachowuje się jak idiotka i schowała telefon do torebki.

Zaproponował, że z nią pojedzie, kiedy powiedziała mu o zorganizowanym na poczekaniu wyjeździe. Mimo wszystko absurdalny pomysł. Ale zrobiło jej się ciepło na sercu i z jeszcze większą determinacją postanowiła przetrwać odwiedzin.

Spojrzała w lusterku wstecznym na walizkę. Nie było sensu już teraz wnosić jej do środka. Bez trudu będzie mogła wyjść i zabrać ją, gdy zajdzie taka potrzeba. Albo odjechać, nie robiąc sceny, jeśli sytuacja się skomplikuje.

— Mackenzie! — Jej matka przywitała ją wylewnym i nietypowym dla siebie uściskiem. — Tak się cieszę, że przyjechałaś. Wchodź. Wchodź.

Andrea była ubrana w różowy strój do joggingu. Miała długie paznokcie pomalowane w srebrnym kolorze kuli dyskotekowej. Jej włosy — teraz platynowy blond — zostały zebrane i upięte na czubku głowy. Mack poczuła wyrzuty sumienia z powodu ulgi, która ją ogarnęła. Już nie wyglądały z mamą tak samo. Może to oznaczało, że wszelkie inne podobieństwa też zniknęły.

Ale ulga nie trwała długo. Nigdy tak nie było, gdy w grę wchodziła jej matka.

Pierwszym sygnałem, że coś jest nie tak, była para męskich mokasynów na podłodze w przedpokoju.

— Czyje to? — zapytała Mack, wyswobadzając się z uścisku i pokazując na buty.

— Och, te stare buciory? Tony’ego.

Jak na zawołanie na korytarz wyszedł mężczyzna z wielkim brzuchem i koszulką do kręgli. Jego wysokie czoło było częściowo zasłonięte tłustą zaczeską.

— Och, cześć. Ty musisz być Kenzie — powiedział. Zdaniem Mack brzmiał bardziej jak mieszkaniec Bronksu niż Illinois. — Zacząłem już sądzić, że twoja mama stroi sobie ze mnie żarty, mówiąc, że ma dwie córki. Nie bywasz u niej?

— Mackenzie jest lekarką wojskową — wtrąciła się Andrea.

Mack nie zawracała sobie głowy wyprowadzaniem jej z błędu. I tak by do niej nie dotarło, sądząc po kieliszku wina, który jej matka podniosła ze stolika kawowego.

— Cześć — przywitała się bezbarwnym głosem z Tonym.
— A więc jesteście parą? — Nie była nawet w stanie udawać zainteresowania.

— Ha! Nawet kimś więcej — prychnął.

Andrea pokazowo uniosła lewą dłoń i pisnęła, gdy duży różowy diament, który zdaniem Mack na osiemdziesiąt pięć procent był sztuczny, błysnął w świetle jarzeniówki.

— Bierzemy ślub! Niespodzianka!

Mack wiedziała, jakiej reakcji się od niej oczekuje, ale nie była w stanie się na nią zdobyć. Jej matka nie była sama. Nie była trzeźwa. Po prostu przerzuciła się na kolejnego męża, ciężko powiedzieć którego z kolei, i zapewne chciała wymóc na Mack jakiś prezent z okazji ślubu. A Mack, Bóg raczy wiedzieć jak długo, płaciła za niego czynsz.

— Tak sobie pomyślałam, że byłoby romantycznie polecieć na miesiąc miodowy do Meksyku — zaczęła Andrea. Złączyła dłonie pod brodą i spojrzała na Mack, przekrzywiwszy głowę.

A więc o to chodziło.

W ciasnym holu było za ciepło. Światło było ostre i podkreślało głębokie bruzdy wyżłobione na twarzy jej matki, wokół oczu, na czole. Jej skóra, kiedyś świeża i urocza, teraz zrobiła się ziemista.

— Dolać ci, misiaczku-słodziaczku? — zaproponował Tony, machając butelką wina.

— Dobrze wiesz, jak sprawić, żeby dziewczyna poczuła się wyjątkowo — zachichotała Andrea.

Mack zebrało się na wymioty. Po raz kolejny wszystko okazało się kłamstwem. A ona dała się nabrać. Nie tylko dała się nabrać, ale kupiła bilet lotniczy, wynajęła SUV-a i

pokazała się na progu domu matki. Nie była pewna, kto ją bardziej rozczarował — ona sama czy jej matka.

W tej samej chwili usłyszała hałas na schodach, zobaczyła białe stopy i znajome ciemne wytatuowane wokół kostki. Zalała ją fala wściekłości, nagłej i niepohamowanej.

— Co to za wrzaski? — zapytała Wendy, ziewając. Widać, że dopiero wstała z łóżka, choć była szesnasta. Tak samo jak Mack, miała ciemne włosy, ale uzupełniła je o jasnofioletowe pasemka i treski. Wczorajszy makijaż był rozmazany pod rozczochraną, nierówną grzywką. Była chudsza, niż zapamiętała Mack. Bledsza. Ale Mack nie zrobiła tego błędu i nie wzięła tego za słabość.

— Przyjechała twoja siostra i właśnie przekazaliśmy jej dobrą nowinę — oznajmiła z przesadną emfazą Andrea. — Wendy przeprowadziła się znów do domu! Czy to nie wspaniale? — zagruchała do Mack.

Wendy spojrzała zimno na Mack. Zeszła po schodach i przepchnęła się obok siostry, żeby dostać się do różowej torebki wiszącej na haczyku za drzwiami. Sięgnęła do środka i wyciągnęła paczkę papierosów, a potem zapaliła jednego.

— Co ty tu robisz? — zapytała.

— Mack przyjechała pomóc nam urządzić moje urodziny. Zabiera nas wszystkich jutro na kolację — poinformowała radośnie Andrea. — Moje dziewczynki zawsze robią mi niespodzianki — powiedziała Tony'emu nie do końca zgodnie z prawdą.

Dokładnie w tej samej chwili Mack zauważyła drżenie dłoni matki, chwiejny krok w dziesięciocentymetrowych szpilkach z piórkami, które było widać poniżej spodni do joggingu.

Andrea kochała alkohol wielką miłością i zawsze była dobra w ukrywaniu tego.

— Jesteś pijana? — zapytała Mack.

Andrea czknęła i zasłoniła dłonią usta.

— Ups!

Tony roześmiał się uroczo. Wendy dmuchnęła dymem prosto w twarz Mack.

— Mówiłaś, że będziemy same — powiedziała Mack. — Mówiłaś, że jesteś trzeźwa i że *jej* tu nie będzie, że jesteś zupełnie sama na urodziny.

Andrea zbyła te słowa machnięciem ręki, wychlapując z kieliszka wino na spodnie.

— O czym ty, na Boga, opowiadasz? Przysięgam, że ta dziewczyna powinna być pisarką, bo wymyśla *niestworzone* historie.

— Co za bzdura — mruknęła pod nosem Wendy. — Wychodzę — oznajmiła.

— Nie chcesz wybrać się na rodzinną kolację? — poprosiła Andrea.

— Jeśli o mnie chodzi, to ona nie jest członkiem rodziny — stwierdziła Wendy, gasząc papierosa na torebce Mack.

— Mogę z tobą porozmawiać na zewnątrz? — zapytała Mack siostrę.

Nie czekała na odpowiedź, tylko wzięła torebkę i wyszła za drzwi. Czekala pełną minutę na schodach, zanim drzwi za nią otworzyły się, a potem zamknęły.

— O co tym razem chodzi? Zabiłaś następnego pacjenta? — chciała wiedzieć Wendy. Naciągnęła mocniej na ramiona czarną bluzę z kapturem. Miała w ręce kolejnego papierosa i kieliszek wina, które nalewał Tony, cokolwiek to było.

— Mama znów pije. Jest pijana — stwierdziła rzeczowym tonem Mack.

— No i?

— Mówiła, że jest trzeźwa.

— Och, przestań pierdolić, Pollyanno. — Wendy podrapała się bezmyślnie w strup na grzbiecie dłoni. — Jakby ci w ogóle zależało na tej rodzinie. Nigdy ci nie zależało. Zawsze byliśmy z mamą same. Od kiedy ci zależy na rodzinie?

— A jak, kurwa, myślisz, kto płaci czynsz, Wendy? Bo na pewno nie ty ani ta Barbie, która urwała się z przyjęcia koktajlowego.

— Ico? Oczekujesz może, że będę wdzięczna? Oczekujesz, że zadowolę się mizernymi sześcioma tysiącami i czynszem? Jesteś mi winna dużo więcej.

— Nie, nie jestem — odpowiedziała Mack. — Ale myślałam, że przynajmniej zależy ci na mamie.

— Przestań się, kurwa, mądrzyć, *doktor* O’Neil. Jesteś żałosna. Ty odeszłaś. To ja tu zostałam i muszę się wszystkim zajmować.

— Tak? I jak się tym zajmujesz? Masz pracę? A te ślady na dłoni? Nie masz już miejsca na żyłach?

— Pierdol się, idiotko. Idź zabić kilku innych pacjentów. Może wtedy poczujesz się wyjątkowo?

Mack roześmiała się suchym, pozbawionym humoru śmiechem.

— Skończyłam z wami. Więzy krwi nie oznaczają, że muszę być z tobą na zawsze związana. Ani z nią. Powodzenia w samodzielnym opłacaniu czynszu.

Ponieważ była zajęta gratulowaniem sobie w duchu tego, że zostawiła walizkę w samochodzie, nie zauważyła w porę chudej nogi z cierniowym tatuażem, która wysunęła się

naprzód. Ale Mack była szybsza niż w dzieciństwie. Upadając, złapała Wendy i pociągnęła za sobą.

Stoczyły się bezwładnie z sześciu cementowych schodów na sam dół.

— Zabiłaś go! Zabiłaś go, kurwa! Teraz twoja kolej, żeby umrzeć! — wrzasnęła Wendy. Wpadła w nagłą furję. Jej paznokcie rozorały policzek Mack w tym samym miejscu, w którym dziesięć lat wcześniej zrobiły jej bliznę.

Mack zamachnęła się i wymierzyła piękny cios prosto w nos Wendy. Chrząst, zarówno sam dźwięk, jak i odczucie fizyczne, były niezwykle satysfakcjonujące.

— Zostań tu. Skończyłam z tobą — powiedziała i odwróciła się w stronę samochodu.

Ale Wendy nigdy nie nauczyła się rozpoznawać, kiedy było po walce. Rzuciła się do kolan Mack i ścięła ją na ziemię, na zimny chodnik.

— Zostaw mnie — powiedziała Mack z lodowatym spokojem. Krew siostry kapła jej na sweter.

Ale Wendy też nauczyła się w międzyczasie kilku sztuczek. Zaplotła ramię wokół gardła Mack i ścisnęła mocno.

— Co tu się, u licha, dzieje? — zawołał Tony od drzwi wejściowych. — Czy to normalne, Andi?

— Nie zwracaj na nie uwagi — poprosiła jej matka. — Wracaj do środka. Przyszykujemy jakieś drinki.

Mack skoczyła do przodu, niestabilnie z powodu buta ortopedycznego, i starała się zrzucić z siebie siostrę, czując, że wzrok jej się zamazuje.

— Będę tu, kiedy będziesz umierać — syknęła Wendy do jej ucha. — I będę się śmiać.

Kierując się już wyłącznie instynktem przetrwania, Mack walnęła Wendy łokciem gdzieś w brzuch. Uścisk siostry

zelżał, więc Mack zrzuciła ją z siebie i wciągnęła z drzeniem powietrze.

— Skończyłam z tą rodziną — wychrypiała.

— Ona się na mnie rzuciła, Tony — poskarżyła się Wendy. Do jej oczu napłynęły krokodyle łzy. — Groziła mi. To pieprzona psychopatka! Powiedziała, że zabije mnie i mamę!

— Chwila, chwila — powiedział zdumiony Tony.

Kostka Mack zaprotestowała, gdy odwróciła się, żeby wsiąść do wypożyczonego samochodu.

— Jeśli znów złamałaś mi kostkę, to cię pozwę — zapowiedziała siostrze. — Upewnij się, że będziesz mogła zapłacić adwokatowi igłami do zastrzyków podskórnych. Aha, Tony, uciekaj, zanim podpiszesz intercyzę. Ona miała już pięciu mężów.

Andrea udała wdzięczne omdlenie na szczycie schodów.

Wendy porzuciła pozorowanie ofiary i znów zbiła Mack z nóg.

Mack była lekarzem z urazówki. Z pogotowia. Lekarzem rodzinnym. Mackenzie O’Neil nie wdawała się w burdy na chodniku z byłymi członkami rodziny.

Przeturlała się i przygniotła brzuch siostry.

— A teraz posłuchaj. Skończyłam z tobą. Jeśli kiedykolwiek się do mnie zbliżysz, jeśli choćby pomyślisz, żeby poprosić mnie o kasę, nie spodoba ci się to, co zastaniesz.

Zacisnęły się wokół niej owłosione ręce. Idiota Tony ściągnął ją z Wendy i unieruchomił wielkimi łapskami dokładnie w tej samej chwili, w której nadszedł radiowóz na sygnale.

Rozdział 47.

Mogła zadzwonić z lotniska do Linca, żeby po nią przyjechał. Ale nie była w stanie znieść myśli, że miałyby zobaczyć ją w takim stanie, posiniaczoną i pobitą. Wściekłą. Zmęczoną. Obrzydzoną samą sobą.

Więc zamiast tego zadzwoniła po Russella i kazała mu obiecać, że nie będzie zadawał żadnych pytań.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie na nią na chodniku przed lotniskiem, żeby wyciągnąć z torby butelkę supersilnego tylenolu.

— Nigdy więcej tam nie pojedziesz — oznajmił tylko.

— Nie, nie pojedę — zgodziła się.

Piętnaście godzin po tym, jak poleciała, pełna nadziei, Mack wróciła kompletnie jej pozbawiona. Towarzyszył jej tylko ból.

Była idiotką.

I tchórzem.

Nie włączyła w domu świateł, żeby nie zaalarmować Linca o swoim wcześniejszym powrocie.

Jak, u licha, powie mu o tym, co się stało? Przecież nie mogła go unikać do czasu, aż znikną jej siniaki, aż zagoją się rany.

Ale przerażała ją myśl o tym, że miałyby się dowiedzieć, skąd pochodzi, z jakiej gliny jest ulepiona.

Ze znużeniem zostawiła walizkę za drzwiami i rzuciła się twarzą w dół na kanapę. W kieszeni dżinsów zawibrował

telefon.

Wyciągnęła go i odczytała wiadomości. Linc odpowiedział wcześniej na jej esemesa. A potem wysłał zdjęcie zadowolonej Iskierki z błyszczącym niebieskim językiem i znakiem mówiącym: „Zjadłam butelkę brokatu i teraz mam świecą kupę!”.

Linc: Jak tam? Tęsknisz za mną? Chcesz, żebym przyleciał?

Linc: Rozmawiałaś ze swoimi gośćmi o Święcie Dziękczynienia? Wspomniałem o tym siostron i podekscytowały się jak chihuahua na haju cukrowym.

Linc: Zaczynam się martwić, Marzenie. Potrzebujesz czegoś?

Linc: Zadzwoń.

I była też najnowsza wiadomość:

Linc: Co jest, do cholery, grane, Mackenzie? Gdzie jesteś?

Nie mogła tego zrobić. Nie mogła wziąć telefonu i do niego zadzwonić ani wyjść do ogródka i zapukać do jego drzwi. Nie mogła włączyć go do rozmowy ze swoją rodziną. Zawsze by już inaczej na nią patrzył.

Obolała i nieszczęśliwa, wyłączyła telefon i powlokła się na górę, gdzie zasnęła niespokojnym snem.

Obudziła się o świcie. Wciąż obolała. Ale teraz dodatkowo czuła tępy ból w piersi. Niepotrzebnie zmartwiła Linca. To było niesprawiedliwe, niedojrzałe.

Przekręciła się i sięgnęła po telefon.

Czekało na nią więcej niż tuzin wiadomości od Linca.

Wciąż niegotowa na rozmowę w cztery oczy, Mack stchórzyła i wysłała esemesa.

Mack: Przepraszam za ciszę w eterze. Nic mi nie jest. Porozmawiamy później.

Sekundę po wysłaniu wiadomości zadzwonił jej telefon.

— Linc — westchnęła.

— Co się, kurwa, dzieje, Mackenzie? — Chciał wiedzieć.

— Słuchaj, wynikła pewna sprawa. Byłam zajęta. Nie muszę przecież ciągle ci się spowiadać — odpowiedziała obronnym tonem. I w tym momencie sama siebie znienawidziła.

— Gówno prawda. Przyleciałaś wcześniej z wizyty i zaszyłaś się w domu, nic mi nie mówiąc.

— Russell ci powiedział?

— Kiedy zadzwoniłem do niego dziesięć minut temu, żeby spytać, czy miał od ciebie jakieś wiadomości — warknął.

Cholera. Cholera. Cholera.

— Powiedział, że niespodziewanie wróciłaś i że podrzucił cię wczoraj wieczorem do domu. — Wiedziała, że Russell nie wygadał się ze wszystkiego, bo Linc nie zjawił się bezpośrednio w jej sypialni, wrzeszcząc i żądając okazania obrażeń.

— Nic mi nie jest.

— Idę do ciebie.

— Nie. Nie idziesz, Linc — powiedziała i wystrzeliła z łóżka. Sięgnęła po bluzę i spodnie od dresu. Cokolwiek, żeby ukryć dowody tego, skąd wróciła.

— Dlaczego nie, do cholery?

— Bo nie chcę. Nie chcę, żebyś przychodził. Nie chcę rozmawiać. Chcę zostać sama.

Po jego stronie słuchawki zapadła cisza. Jakaś jej część miała nadzieję, modliła się, żeby jej nie posłuchał. Że w każdej chwili usłyszy pukanie, żądanie, żeby go wpuściła. Ale potem by ją zobaczył i by się dowiedział.

— A więc tego chcesz? — zapytał gorzko.

— Tak — powiedziała zdesperowana. — Potrzebuję... czasu.

— A więc to koniec? Tak po prostu?

Mack zeszła szybko na dół. Zobaczyła go, jak stoi w słabym świetle poranka na jej tarasie, z telefonem przyciśniętym do ucha. Ramiona przygarbione, grymas na pięknej twarzy.

Iskierka stała za nim i merdała ogonem w porannej mgle.

— Tego nie powiedziałam — zaprzeczyła.

Spojrzał na nią, widząc ją przez szybę.

— Wpuść mnie, Mack — powiedział cicho.

— Nie. Sama muszę się zająć pewnymi sprawami.

— Wpuść mnie, Mack, albo to koniec — powiedział.

Nie. Wcale tego nie chciała. Dlaczego musiała wybierać? Kiedy przestanie ciągle coś tracić z powodu swojej rodziny?

Pokręciła głową, ale nie była w stanie wydobyć z siebie słów.

Nie mogła nic zrobić, jak tylko stać i patrzeć, jak Linc się rozłącza i odchodzi od niej.

Iskierka stała przez chwilę na tarasie. Wodziła wzrokiem między ludźmi, po czym poszła za Linkiem.

Kolejny nóż wbity w jej już poturbowane serce.

To było głupie. Cholernie głupie. Po prostu wyjaśni... bez wdawania się w szczegóły. W sposób, który nie wzbudzi jego litości ani nie pokaże mu, jak bardzo była skrzywiona.

Będzie musiał jej wysłuchać. Znów ją do siebie dopuścić.

A potem pomyślała o starej remizie. O Karen. O cierpieniu, jakie z niego emanowało na wspomnienie o odrzuceniu przez kobietę, na której mu zależało.

Wstyd i wyrzuty sumienia powaliły ją na kolana. Osunęła się na podłogę w kuchni.

Rozdział 48.

Linc wpadł do remizy jak chmura gradowa. Iskierka, nie będąc wielbicieleką Linca Ponuraka, czmychnęła w poszukiwaniu bardziej przyjaznych twarzy.

— Myślałem, że masz dziś wolne, szefie! — zawołał Zane spod wozu z drabiną. Zane, podobnie jak reszta mężczyzn, znów wrócił do krótkiej szczecinki, bo zaczął się prawdziwy Movember.

Linc nie zawracał sobie głowy odpowiadaniem. Zamiast tego poszedł wkurzony na górę i zdecydowanie trzasnął drzwiami do swojego gabinetu.

— O-o — zanuciła Skyler.

— Niedobrze — przyznał Zane.

Nie *chował* się. Po prostu nie otwierał drzwi. Ani nie odbierał telefonu. Chciał tylko tu zostać, dopóki nie przestanie czuć absolutnie niczego.

Przewidział to. Od początku wiedział, że Mackenzie O'Neil roztrzaska jego serce na tysiąc kawałków. A potem faktycznie to zrobiła, tylko on był idiotą, którego to zaskoczyło.

Rozległo się krótkie pukanie do drzwi.

— Idź. Sobie — warknął.

Osoba, która otworzyła drzwi, musiała być albo kretyńcem, albo kimś bardzo odważnym. A nawet nie jedna, tylko kilka osób. Do pokoju weszły kobiety. Jego siostry, a za nimi

Harper, Gloria i Sophie wtłoczyły się do środka i zamknęły za sobą drzwi.

— Cześć, kolego — powiedziała Rebecca.

— Jak leci, młody? — zapytała Christa.

— To nie jest dobry moment — powiedział, wpatrując się w podanie o grant na monitorze komputera, na które się gapił przez ostatnie pół godziny.

— Słyszałyśmy o rozstaniu — powiedziała Sophie, siadając na krześle naprzeciwko niego.

No jasne, że słyszały. Cholerne miasto i jego cholernie długi język.

— Możesz liczyć na nasze wsparcie — powiedziała Jillian.

— Chcesz porozmawiać? — zaoferowała Harper.

Ścisnął grzbiet nosa.

— Posłuchajcie. Doceniam wasze wsparcie. Ale naprawdę nie jestem w tej chwili zainteresowany jakąkolwiek rozmową.

— Przykro mi — powiedziała Gloria, kładąc na jego biurku świeże ciasto dyniowe. Pachniało cynamonem i smutkiem.

— Naprawdę myślałam, że ona będzie tą jedyną — powiedziała Christa.

— Ja też — przyznała Sophie. — Byliście dla siebie stworzeni. W niebie namiętnego seksu. Poza tym strażak i lekarka pogotowia? Kto lepiej zrozumie waszą pracę?

— Czy wy wszystkie nie powinnyście być w pracy? — zapytał Linc.

— Jesteśmy z tobą, braciszku — powiedziała Rebecca i posłała mu spojrzenie tak pełne współczucia, że przez chwilę rozważał wyskoczenie przez okno, żeby tylko od tego uciec.

— Czy powiedziała, dlaczego chce się rozstać? — zapytała Harper.

— To nie ona ze mną zerwała, tylko ja z nią — odparł.

Kilka par kobiecych oczu spojrzało na niego bystro.

— Co takiego zrobiłeś? — Chciała wiedzieć Christa.

— I tak by to zrobiła. Po prostu ją ubiegłem.

Gloria zabrała z biurka ciasto.

— Moment, skoro wy jesteście tutaj, gdzie są faceci? — zapytał Linc.

Harper i Gloria wymienili spojrzenia.

— Nie wiedzą, że tu jesteśmy — powiedziała Harper.

— Obiecałyśmy, że nie będziemy się w to mieszać — dodała Gloria.

— I w ten właśnie sposób się nie mieszacie?

— Czy możemy wrócić do tego fragmentu, w którym *ty* zerwałeś z *nią*? — zapytała Jillian.

— Słuchajcie. To nie ma znaczenia. I tak by do tego doszło. Ona zawsze zamierzała odejść. Zawsze zamierzała mnie zostawić. To ja jestem idiotą, który miał nadzieję, że zmieni zdanie.

Harper przycisnęła wewnątrz dłoni do oczu i wypuściła powietrze z ust.

— Okej. Przeanalizujmy to. Soph, stań przy tablicy.

Podczas gdy kobiety rozrysowywały oś czasu jego związku z Mackenzie, Linc żałował z całego serca, że nie trzymał w szufladzie biurka butelki whisky jak jego poprzednik.

— A więc ona wraca niespodziewanie do domu po wizycie u matki, o której nigdy nie mówi? — sprecyzowała Sophie.

— Wspominała o rodzicach zastępczych, ale w Chicago miała odwiedzić matkę — powiedziała Christa.

— Rodzice zastępczy oznaczają, że w jej dzieciństwie jest pewna... mówiąc ogólnie, *niespójność* — zauważyła Harper. Wiedziała o tym z własnego doświadczenia. — Albo coś gorszego. Znacznie gorszego.

— W wieku sześciu lat została zabrana z domu rodzinnego na skutek zaniedbań rodzicielskich — oznajmiła Sophie, rysując strzałkę pomiędzy osią czasu i napisanymi na czerwono słowami „gówniane dzieciństwo”.

Wszyscy znieruchomieli. Linc uniósł się nad krzesłem.

— Co takiego?

Sophie wskazała na bluzę z logo Wydziału Policji w Benevolence, którą miała na sobie.

— Wiecie, że jestem żoną Tya, prawda?

— Czy ona w ogóle z tobą o tym rozmawiała? O okresie dorastania? — zapytała go Harper.

— A może byliście zbyt zajęci konstruowaniem bomby z opóźnionym zapłonem? — Chciała wiedzieć Rebecca.— No co? Daj spokój. Tak się wkręciłeś w Karen Aucker, a potem wmówiłeś sobie, że nikt nigdy nie uzna, że warto spróbować zbudować z tobą trwały związek.

Siostry Linca pokiwały głowami z irytującą zgodnością.

— Karen? — Szare oczy Harper zrobiły się wielkie. — Och, Linc. Tak mi przykro. To musiało być dla ciebie naprawdę straszne.

Zbył te słowa machnięciem ręki. Chciał, żeby one wszystkie zwyczajnie sobie poszły.

— Czy możecie po prostu wyjść z mojego gabinetu i zostawić mnie, do cholery, w spokoju?

— Nie ma mowy — oznajmiła stanowczo Gloria. — Nie wyjdziemy, póki nie zasłużysz sobie z powrotem na to ciasto.

— Prawda jest taka, że ona nie ufała mi na tyle, żeby powiedzieć o tym wszystkim. Nie powiedziała, że wróciła do domu. Nie potrzebowała mnie.

Wszystkie zaczęły mówić jednocześnie. Atmosfera współczucia w pokoju zaczęła zanikać, a zamiast niej pojawiły się ostre oskarżenia.

— Chwileczkę, drogie panie, ja się tym zajmę — powiedziała Gloria. — Linc, pozwól, że ci wyjaśnię, na czym polega uczucie wstydu.

— Glorio, nie musisz...

— Nie. Ja mówię. Ty słuchasz. Zmarnowałam dekadę swojego życia na człowieka, który był więcej niż potworem. Wstydziłam się. Wstydziłam się, że zostałam. Że myślałam, że on się zmieni. Miałam wrażenie, że jego zło w jakiś sposób skaziło i mnie.

— Wcale nie wiemy, czy Mackenzie ma jakąś głęboką traumę z dzieciństwa.

— Złamała pieprzoną nogę, wyskakując z okna na piętrze, ty kretynie — warknęła Christa. — Tak, Samantha mi powiedziała. A teraz wiemy, że mniej więcej w tym samym czasie zabrano ją z domu rodzinnego. To *nie* jest normalne dzieciństwo.

— Coś się musiało wydarzyć, kiedy tam pojechała — domyśliła się Harper, wpatrując się w tablicę, jakby znajdowały się na niej odpowiedzi na tajemnice omawianej kobiety.

— Coś na tyle złego, że wróciła jeszcze tego samego dnia, w którym wyjechała, i zamiast do Linca, zadzwoniła do

doktora Robinsona, żeby odebrał ją z lotniska — zastanawiała się na głos Sophie.

— Stawiam na jakąś emocjonalną kłótnię z matką. Coś nią wstrząsnęło i sprawiło, że zamknęła się w sobie. Nie chciała, żeby Linc widział ją w takim stanie — powiedziała Gloria.

Linc nie mógł nic na to poradzić. Położył dłoń na ramieniu Glorii. W ramach wsparcia.

Sięgnęła do jego ręki i ścisnęła ją.

— Czy nie powinniśmy znajdować się już na takim etapie, że możemy opowiedzieć sobie nawzajem o kłótni z rodzicem? — zapytał Linc, trzymając się kurczowo nadziei, że właśnie pokazowo nie spieprzył sprawy.

— Czy nie powinienes być na etapie, żeby poprosić ją, żeby nie odchodziła? — zapytała Rebecca i skrzyżowała przed sobą ręce.

— Dlaczego to ja powinienem się odsłaniać, skoro ona najwyraźniej nie jest gotowa zrobić tego samego? — odparował. *Dlaczego powinien wystawiać się na kolejne rany? Kolejne zranienia?*

Po prostu będzie robił to, co zawsze. Koncentrował się na tym, co dobre. Na przyjemnościach. Żadnych zobowiązań. Żadnych oczekiwań. Żadnej odpowiedzialności ani obowiązków.

Ale chciał tych rzeczy. Każdej jednej. I chciał ich z Mackenzie.

— A co ci powiedziała na temat tego, że doktor Dunnigan poprosiła, żeby została na stałe? — Chciała wiedzieć Harper.

— Co? — Zerwał się z krzesła tak szybko, że przewróciło się na ziemię.

— Ups. Domyślam się, że o tym nie wspomniała — powiedziała skruszona Harper.

— Dlatego. Właśnie dlatego nie mieliśmy nigdy szansy — powiedział Linc, celując w Harper palcem. — Ona nie potrafi mi nawet powiedzieć, że Dunnigan chce, żeby została.

— A ty nie mogłeś jej powiedzieć, że ją kochasz — oznajmiła Christa.

W pokoju zaległa cisza.

— Czyny mówią więcej niż słowa — powiedział z uporem. — Nie chciała mnie nawet dziś rano wpuścić, żeby porozmawiać.

— Ze strachu ludzie zachowują się jak durnie — powiedziała Gloria. — To nie wymówka. Ale powód.

— Jeśli żadne z was nie jest gotowe zebrać się na odwagę i powiedzieć tego, co należy powiedzieć, to może rzeczywiście nie jesteście sobie pisani — powiedziała ze smutkiem Jillian.

Linc spojrział ze złością na tablicę, na kliniczną rozpiskę jego zbyt krótkiego romansu.

Rozdział 49.

— Otwórz, doktorco! — zawołał Aldo zza drzwi wejściowych Mackenzie.

Mack udawała, że go nie słyszy, i dalej gapiała się w wyłączony telewizor.

— Może jej nie ma? — usłyszała głos Luke'a. — Nieważne. Jest w salonie.

— Policja z Benevolence. Otwierać! — zażądał Ty swoim najbardziej autorytatywnym głosem.

— Zostawcie mnie — mruknęła pod nosem Mack. Dlaczego nie mogli jej po prostu zostawić w spokoju?

— Wygląda na wkurzoną — doniósł Luke spod okna, gdy wstała.

Rozsunęła zasuwkę i uchyliła drzwi.

— Czego chcecie? — zapytała.

— Co ci się stało w twarz? — Chciał wiedzieć Ty. Wepchnął się do środka i odchylił jej brodę, żeby odwrócić do światła imponujących rozmiarów limo.

— Jasna cholera, Mack. — Aldo niemal trząśł się z wściekłości. Mack wiedziała, że jej widok rozbudził w nim dawne uczucia. Rozumiała nieracjonalne poczucie bezradności, kiedy z popiołów przeszłości wynurzał się jakiś cień.

— Nic się nie stało. Nic mi nie jest — powiedziała z uporem.

— To nie Linc ci to zrobił, prawda? Bo jeśli to on, to już jest martwy — stwierdził Luke.

— Jezu. Nie! Linc nie miał z tym nic wspólnego. Po co tu przyszliście?

— Zerwaliście ze sobą. Przyszliśmy zobaczyć, czy nic ci nie jest. A tak w ogóle, jeśli nasze żony by pytały, to nigdy nas tu nie było — wyjaśnił Aldo. — A teraz wróćmy do tego lima.

— Wpadłaś na Kershów? — zapytał Ty, sięgając po radiostację.

— Nie! Przestań. To się stało wczoraj w Chicago. I nie ma nic wspólnego z nikim tutejszym, więc odpuśćcie sobie.

— Wniesiesz oskarżenie — zdecydował Luke. — Znajdźmy jej prawnika. Możemy sprawdzić, czy nasz prawnik od patentu ma kogoś znajomego. Od spraw kryminalnych i cywilnych, tak, Ty?

— Rozmawiałaś z policją w Chicago? — zapytał rzeczowym tonem Ty.

— Weź sobie kogoś agresywnego — zasugerował Aldo. — Kogoś, kto wyciągnie papier toaletowy z domu tego skurwiela w ramach ugody.

— Przestańcie. — Mack uniosła dłonie. Niestety na skutek ruchu rękawy jej luźnego swetra podjechały do góry.

— Jezu Chryste — powiedział Ty, podciągając wyżej jeden z rękawów. — Jesteś zmasakrowana.

— Boże, chłopaki. Doceniam zainteresowanie. Ale sama się tym zajmę. Więc chciałabym, żebyście wynieśli się z mojego domu.

— Nigdzie nie idziemy — oznajmił stanowczo Aldo.

— Owszem, idziecie. I nie wniosę żadnego oskarżenia. *Sama* omal nie zostałam aresztowana. Możecie iść do domu

i nigdy więcej nie wrócimy do tematu. Zrozumieliście?

— Czy ty kiedykolwiek poznałaś kogoś z nas? — zapytał Luke. — Bo to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem.

— Powiem ci coś, Mack. Tylko dlatego, że ci się wydaje, że możesz sama sobie z czymś poradzić, wcale nie oznacza, że musisz — powiedział Aldo. — Nie możesz przez całe życie być niezależna od innych. Zwłaszcza nie w sytuacji, gdy jest mnóstwo ludzi gotowych ci pomóc. Pozwól nam sobie pomóc.

— Nie możecie. Nikt nie może — powiedziała. To był *jej* problem. I musiała znaleźć rozwiązanie. — Nie pociągnę nikogo za sobą.

— Zadzwoń w parę miejsc — oznajmił krótko Ty. — A kiedy wrócę, utniemy sobie pogawędkę.

Ty wyszedł na zewnątrz.

— Aldo, pamiętasz tamtą sytuację z pudłami? — zapytał Luke.

— Tak. Przerażające. Życie dwóch kobiet schludnie spakowane w kartony, jakbyś mógł je po prostu tam schować. Cholernie dziwaczne. Cieszę się, że masz już to za sobą.

— Teraz moja kolej stać się głosem rozsądku — powiedział mu Luke.

— Rozumiem. Pójdę zaparzyć kawę — poinformował Aldo, idąc do kuchni.

— Rozgość się! — zawołała za nim sarkastycznie Mack.

— Siadaj — powiedział Luke.

Była na tyle zmęczona, na tyle obolała, że posłuchała. Luke usiadł obok niej na kanapie, zajmując zdecydowanie za dużo miejsca.

— Chodzi o to, Mack, że przypominasz mi pewnego głupiego skurwiela, którego kiedyś znałem.

— Chyba skończyliśmy rozmowę — powiedziała, podnosząc się z miejsca.

— Siadaj — warknął.

Usiadła.

— Ten głupi skurwiel to ja.

— Okeeej.

— Wyrzuciłem Harper z domu, z łóżka, z życia, bo byłem głupim skurwielem i tchórzem. Ta kobieta jest dla mnie wszystkim. Dała mi życie, które wydawało się dla mnie niedostępne, bo była na tyle odważna, żeby walczyć o to, czego pragnęła. Była gotowa zebrać cięgi i zaczekać, aż dureń, którym byłem, wreszcie zrozumie. Myślałem, że moja przeszłość determinuje to, kim byłem. Myślałem, że wyznacza bieg mojego życia. Myślałem, że przeżyta trauma definiowała moją osobę.

Mack wpatrywała się w pusty kominek i próbowała udawać, że ciało i dusza wcale jej nie bolą. Że jego słowa nie rezonują w jej kościach jak kościelne dzwony.

— Za bardzo się bałem, żeby pozwolić sobie ją kochać, potrzebować jej. A Harper, ta piękna, dobra, uparta kobieta kochała mnie tak bardzo, że nie pozwoliła mi się odciąć. Prawie ją straciłem, Mack — powiedział i popatrzył na nią. — A ty stracisz Linca. Jasne, nie pałam do gościa miłością, ale jeśli teraz nie przepracujesz swojego gówna, to nigdy nie będziesz miała szansy na to, co ja odnalazłem z Harper. Zawsze będziesz samotna.

Do cholery. To bolało.

— Ale posłuchaj, jeśli Linc zobaczył cię w takim stanie i odszedł albo pozwolił odejść tobie, to może to nie jest

odpowiedni facet.

— Nie widział mnie. Prawie wcale. Nie wpuściłam go do domu.

Luke westchnął.

— Uwierz, chciałbym nienawidzić tego gościa do końca życia. Ale może powinnaś była go wpuścić. A on na pewno powinien był bardziej postawić na swoim — powiedział Luke. — Konkluzja jest taka, że oboje spieprzyliście sprawę. A teraz oboje musicie zdecydować, czy jesteście na tyle odważni, żeby spróbować na poważnie.

Spróbować na poważnie. Czy mogła w ogóle dążyć do czegoś takiego po tym, jak została wychowana?

— Ja nawet nie wiem, jak wygląda zdrowy związek — wyznała, opadając na poduszkę kanapy.

— To otwórz, do cholery, oczy, Mack. Spójrz na Glorię i Aldo. Spójrz na Soph i Tya. Na moich rodziców. Cholera, ja i Harper też nieźle sobie radzimy. Bo się kochamy. Bo mamy do siebie zaufanie, że udźwigniemy trudne sprawy. Bo wiemy, że zawsze, ale to zawsze będziemy się wspierać. Nie dałaś Lincowi szansy, żeby dał ci wsparcie. Gwarantuję ci, że gdybyś do niego zadzwoniła i poprosiła, żeby odebrał cię z lotniska, to by się zjawiał.

— Ale wtedy zobaczyłby to, Luke. — Wskazała na swoją twarz. — Zobaczyłby ofiarę, która potrzebuje ratunku, a nie kobietę, z którą być może mógłby spędzić resztę życia.

Luke westchnął ciężko.

— Przemawia przez ciebie głupi skurwiol. Wniosek jest taki: albo macie do siebie zaufanie, że przetrwacie razem trudne chwile, albo nie.

— Kawa gotowa! — zawołał Aldo z kuchni. — I zaparzyłem też to zielone herbaciane gówno dla ciebie, Marzenie.

Przezvisko zrobiło swoje.

Mack schowała twarz w dłoniach i krzyknęła, bo nacisnęła na siniaki.

— Wszystko mnie wkurza.

Ty wrócił do środka i zatrzasnął drzwi.

— Zimno na dworze. Ale mam ciekawe informacje z komisariatu dzielnicowego twojej matki — oznajmił Ty, mierząc ją chłodnym spojrzeniem.

Jej historia, jej przeszłość zaczęły wyciekać, były trucizną, która wpływała i zatrzymywała bliskich jej ludzi.

— Wniesiesz oskarżenie — powiedział jej Ty. — Nie opuszczę tego domu, dopóki się nie zgodzisz. — Aby tego dowieść, ściągnął buty i usiadł wygodnie na fotelu naprzeciwko kominka.

Aldo podsunął mu kubek kawy.

— Wniesienie oskarżenia tylko pogorszy sprawę — upierała się.

— Widzisz? — zapytał Luke, wskazując na Tya. — Tak właśnie się robi. Zostajesz.

Mack chciała, żeby Linc został.

Żałowała, że nie miała odwagi poprosić go, żeby został. Ale żadne z nich nie postarało się wystarczająco bardzo. A to mówiło samo za siebie.

— Zostajesz? — zapytał Luke Tya.

— Nigdzie mi się nie spieszy. Zostanę tak długo, aż nasza doktorka zrozumie, że zbłądziła.

— Ja tak samo — powiedział Aldo.

— A ja mam sprawę do załatwienia — powiedział Luke, podnosząc się z miejsca.

— Trzymaj lewą gardę — powiedział mu Aldo, stawiając przed Tyem kubek z kawą. — Moja kolej, Marzenie. Porozmawiajmy na temat okazywania słabości.

— O Boże. Chłopaki. Jesteście najbardziej męskimi przyjaciółkami, jakie kiedykolwiek miałam.

— Oglądałem dużo Oprah, kiedy przechodziłem rekonwalescencję po utracie nogi w eksplozji — powiedział wesoło Aldo. — A potem Ty zmusił mnie do przeczytania takiej jednej książki.

— Oglądałeś odcinek z „wczuwaniem się w czyjąś sytuację”? — przerwał mu Ty.

— O tak, kurwa.

Ty uderzył się pięścią w pierś.

— Za każdym razem trafia mnie prosto w serce.

— Muszę się napić — westchnęła Mack.

Rozdział 50.

Drzwi do gabinetu Linca otworzyły się gwałtownie. Pozbycie się kobiet zajęło mu ponad godzinę. Wstał, gotowy spławić kolejną wścibską osobę o dobrych zamiarach. Nie był jednak przygotowany na to, że Luke Garrison wejdzie za jego biurko i trafi go pięścią prosto w twarz.

— Co jest, kurwa? — Chciał wiedzieć Linc. Złapał się za brodę.

Pięść Luke'a znów wystrzeliła, a on ledwie zdołał się przed nią uchylić, odbiła się tylko od jego szczęki.

— Kiedyś wbiłeś mi trochę rozumu do głowy. Teraz moja kolej, ty durniu — powiedział Luke.

Linc zablokował kolejny cios i sam w celu obrony uderzył Luke'a w brzuch.

— I to jest postawa! — stęknął Luke. Złapał Linca za rękę i przeciągnął przez biurko. Monitor zleciał na ziemię.

— O co ci chodzi? — Chciał wiedzieć Linc, wyswobodziwszy się. Strzelił Luke'owi szybko w zęby i z satysfakcją patrzył, jak jego głowa odskakuje do tyłu.

— Hej, szefie... O cholera.

— Nie wtrącaj się, Lighthouse — polecił Luke. — Trzeba skopać tyłek temu idiocie.

— Nie będę się spierał.

— Po czyjej ty jesteś stronie, Lighthouse? — poskarżył się Linc. Luke wykorzystał jego dekoncentrację i rąbnął go dwa razy w brzuch, aż go zatkało.

— W końcu masz kobietę, z którą chcesz spędzić resztę życia, i czekałeś tylko na wymówkę, żeby spieprzyć sprawę.

— A nie mówiłem? — odezwał się Brody do kogoś na korytarzu.

— Wcale tego nie spieprzyłem! To ona mnie odrzuciła — sprzeciwił się Linc.

Wymienili szybkie ciosy.

— Co tu się, do cholery, dzieje? Auć.

W drzwiach do gabinetu gęstniał tłumek.

— Wiadomo, kto wygrywa?

— Normalnie zachowałbym się lojalnie i powiedział, że szef, ale Garrison jest dość wkurzony.

— Jest różnica między odrzuceniem a porzuceniem, ty kretynie — powiedział Luke, gdy zaczęli się siłować. Trafił go łokciem, aż Lincowi zadzwoniło w uszach.

— Ona pierwsza się poddała — powiedział Linc, stękając, bo próbował unieruchomić Luke'a chwytem zapaśniczym. Przewrócili się na ziemię w plątaninie nóg i niezrozumiałych przekleństw.

— Czy ty w ogóle na nią *spojrzałeś*, gdy zalewał ją falą nagromadzonych przez życie durnowatych niepewności? — Chciał wiedzieć Luke.

— Wal się, dupku.

— Widziałeś jej siniaki?

Linc zamarł, co jego przeciwnik natychmiast wykorzystał. Luke przeturlał się, zajmując górną pozycję i dwa razy strzelił Linca pięścią w twarz.

Linc poczuł krew i strach. Mackenzie była ranna.

— Jakie siniaki?

Luke znów się zamachnął, ale Linc uniósł obie dłonie.

— Do jasnej cholery! Jakie siniaki? Jest ranna?

Luke złapał go za poły koszuli i potrząsnął nim.

— To coś, co powinieneś był sam sprawdzić, zamiast dokładać jej jak niepewny siebie dupek.

Nabuzowany przyływem świeżej furii skierowanej na nieznane sobie zagrożenie, Linc zrzucił z siebie Luke'a i poderwał się z ziemi.

— Choolewca — powiedziała Skyler, gdy mu się porządnie przyjrzała.

Twarz miał ciężką i opuchniętą. Na czole widniało rozcięcie, z którego ciekła krew, zamazując mu wzrok. Zastanawiał się, czy ma złamany nos. Obejrzał się na Luke'a, który podnosił się, podpierając na krześle. Facet miał pod okiem rozcięcie, a drugie na brodzie. Na policzku i wokół oka już zaczęły formować się siniaki.

— Z drogi — warknął Linc na strażaków zgromadzonych w drzwiach.

— Lepiej, żebyś był w drodze do jej domu, żeby błagać o litość! — wrzasnął za nim Luke.

Linc pokazał mu nad ramieniem środkowy palec.

— Pierdol się, Garrison. Niech ktoś zajmie się moim psem.

Z tymi słowami zbiegł po schodach do samochodu komendanta. Włączył światła i syreny, i nie oglądając się za siebie, wyjechał z parkingu.

— Otwórz drzwi, Mackenzie — powiedział, znów waląc w drzwi domku. — Nie ruszę się stąd, dopóki nie wyjdiesz. Wiem, że tam jesteś.

— Nie ma mnie tam. Jestem tu, więc możesz już iść.

Odwrócił się na pięcie i zobaczył ją za sobą na chodniku. Była ubrana w getry do biegania i koszulkę z długim rękawem. Miała nisko nasuniętą czapkę z daszkiem, ale i tak widział. Czerwone usta. Zaczerwieniona twarz, włosy wilgotne od potu. Oczy czerwone, pewnie od łez, które on — największy dupek wszechświata — spowodował. Ale to, co przykuło jego uwagę, to ogromne limo pod okiem.

Wokół szyi układały się kolejne siniaki.

Podszedł do niej, w ledwie hamowanej chęci mordy, która w nim narastała. Wyciągnął rękę w jej kierunku, ale znieruchomiał, gdy Mack się skrzywiła.

Cholera jasna. Czuł się jak potwór.

Żałował, że nie ma tu Luke'a, żeby mógł go powalić na ziemię.

— Kto, kurwa, śmiał cię tknąć? — zapytał, gratulując sobie faktu, że mówił spokojnym głosem.

— Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie? — zapytała ze znużeniem. Ominęła go szerokim łukiem, idąc do domu.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Linc wpadł za nią.

— Mackenzie!

Znalazł ją w kuchni, pijącą łapczywie wodę.

— Idź sobie, Linc. Mam dość gości na dziś.

Rozstawił szeroko nogi i skrzyżował przed sobą ręce.

— Nigdzie się stąd nie ruszę. Powiedz mi, kto ci, do cholery, to zrobił.

Popatrzyła na niego, ale tak naprawdę, i wytrzeszczyła oczy.

— Jezu. Co ci się, do licha, stało w twarz?

— Luke Garrison.

— Żartujesz sobie ze mnie, prawda? Powiedział, że musi załatwić coś, a nie kogoś.

— Przestań zmieniać temat. Kto cię, kurwa, uderzył?

— Moja siostra.

— Przecież nie masz siostry — zaproponował.

— Skłamałam.

Nie był pewny, co dalej powiedzieć, więc usiadł na kuchennym krześle.

— Skłamałam. Zataiłam informacje na temat mojego życia. I nie zwróciłam się do ciebie, kiedy sprawy przyjęły zły obrót u mojej matki. — Ściągnęła z rąk rękawiczki i podciągnęła rękawy, a Linca szlag trafił, gdy zobaczył sińce na jej rękach.

Złapał ją za rękę i podciągnął wyżej rękawy, żeby przyjrzeć się śladom, które wyglądały jak odbicie mięsistych łapsk.

— To pamiątka po nowym chłopaku mojej mamy — odezwała się gorzko.

Pod swoją blizną miała kilka krótkich zadrapań. Wyglądały na ślady po paznokciach.

— Sąsiedzi słusznie wezwali policję, a moja kochana mamusia i psychotyczna siostrzyczka powiedziały policjantom, że to ja zaczęłam.

Puścił jej ręce i wyciągnął telefon. Wybrał na oślep numer, bo wzrok przesłaniała mu czerwona chmura wściekłości.

— Jillian? Chcę, żebyś zabukowała mi lot do Chicago. Na dzisiaj.

Oczy Mackenzie wytrzeszczyły się z przerażenia.

— Ani się waż!

— Nie uciekasz z domu, co? — zapytała siostra.

— Pojadę przekazać osobiście rodzinie Mack, że jeśli choć pomyślą o wysłaniu do niej esemesa, to ja z nimi *skończę* — powiedział zwięźle.

— Przestań — powiedziała Mack. — Nie możesz tam jechać.

— Skończysz z nimi. Zrozumiałam. Zmieścisz się na środkowym siedzeniu? — zapytała Jillian.

— Nie możesz się z nimi spotkać — szepnęła Mack. Trzęsa się tak bardzo, że szczękały jej zęby. Chyba nie zdawała sobie sprawy, że po policzkach płynęły jej łzy.

— Oddzwonię do ciebie, Jills — powiedział i się rozłączył. Złapał Mack mocniej, niż zamierzał, i przyciągnął ją do siebie. — Już dobrze. Już w porządku, kotku. Po prostu się przytul.

Mack z uporem stała przez chwilę sztywno w jego objęciach, ale potem powoli objęła go mocno w pasie. Uczucia. Wściekłość, miłość, strach i nadzieja boksowały go od środka.

— Już dobrze, Mackenzie — zapewnił, gładząc ją po włosach, po plecach.

Poprzysiągł sobie, że tak będzie. Niezależnie od wszystkiego. Dopilnuje tego, żeby było dobrze.

— Czy Iskierka jest z tobą? — zapytała cicho.

— Nie, kotuś. Ale mogę ją sprowadzić.

Mack westchnęła przy nim, a on zanurzył dłoń w jej włosach i przycisnął do siebie.

— To chyba na razie będziesz musiał mi wystarczyć.

— Musisz ze mną porozmawiać. A potem ja muszę porozmawiać z tobą — powiedział szorstko. — A może to ja powinienem zacząć.

— Mogę najpierw wziąć prysznic?

Skierował ich oboje w stronę schodów.

— Co robisz?

— Idę z tobą pod prysznic. Nie mam zamiaru spuścić z ciebie wzroku, Marzenie.

Na górze oboje rozebrali się w maleńkiej łazience. Linc stłumił wściekłość, gdy zobaczył siniaki na żebrach Mack. Zadrapania na jej ramionach.

Na widok odcisków dłoni, na oko męskiej, na jej bicepsach i przedramionach, zacisnął zęby tak mocno, że rozboleła go głowa.

Mack była silna. Szybko wylize się z ran. Ale on pragnął sprawiedliwości. Chciał zniszczyć ludzi, którzy zrobili jej coś takiego. Którzy z głupoty, z egoizmu próbowali zranić tę, którą kochał.

Przekręcił wodę pod prysznicem tak, żeby prawie parzyła, a potem wsunął Mack delikatnie pod strumień. Kabina była tak ciasna, że nie było sposobu, żeby się nie dotykali. Linc nawet nie próbował dać jej przestrzeni, tylko gładził dłońmi jej ciało, upewniał sam siebie, że nic jej się *nie stało*. Że tu *była*.

— Pozwól — powiedział i wziął od niej butelkę. Szampon, który wycisnął sobie na rękę, pachniał kwiatami i ziołami. Jak najdelikatniej się dało, wmasował go w jej włosy powolnymi, okrężnymi ruchami.

Mack westchnęła i przytrzymała się ściany, obrócona plecami do jego torsu. Jego fiut miał własne mniemanie na temat jej wilgotnego, nagiego ciała ocierającego się o

niego. Entuzjastyczne. Ale Linc nie miał zamiaru dopuścić, żeby cokolwiek odwiodło go od tego, co musiał zrobić, co musiał powiedzieć.

Mackenzie okręciła się w jego ramionach. Brodawki jej stwardniały, gdy otarły się o jego pierś. Na skutek dotyku jej ręce obsypały się gęsią skórką.

— Ja to zrobię — zaproponowała.

Bez słowa podał jej szampon i uklęknął przed nią. Oparł twarz między jej piersiami, podczas gdy jej dłonie masowały delikatnie jego włosy. Jej dotyk, miękkie kragłości jej piersi, równe bicie serca uspokoiły go trochę.

Wycisnął pocałunek na wysokości jej serca i usłyszał drżący oddech.

Podniosła do góry jego brodę, żeby lepiej przyjrzeć się jego twarzy.

— Potrzebna mi moja torba lekarska — powiedziała, dotykając delikatnie rozcięcia na jego czole. — Opatrzę ci rany tak, że nie będzie śladu. — A potem gestem tak czystym, tak słodkim, że złamał jego zmiażdżone serce, musnęła wargami jego rozcięte czoło.

— Kocham cię, Mackenzie.

Rozdział 51.

Serce Mack zgubiło rytm w piersi.

— Kocham cię — powtórzył Linc i pocałował ją w brzuch. Położył szeroko dłonie na jej plecach, na jej żebrach i przytrzymał ją mocno, w pełni bezpieczną.

Mack chciała się roześmiać i rozplakać, więc ostatecznie zrobiła po trochę z jednego i z drugiego, przyciskając go do siebie.

Linc podniósł się ostrożnie, wciąż ją do siebie tuląc, a potem zakręcił wodę.

— Odbądźmy tę rozmowę — powiedziała i sięgnęła po jeden z puchatych ręczników na haczyku.

— Bez względu na to, co powiesz, Marzenie, i tak będę cię kochać — powiedział, przyjmując podany mu ręcznik.

— Pewnie się przekonamy — powiedziała cicho.

Poszedł za nią do sypialni i pozwolił się pchnąć na materac.

— Zostań tu — powiedziała i zniknęła na dole, żeby wziąć swoją torbę lekarską spod drzwi.

Wróciła i zastała go ułożonego na poduszkach. Zajmował większą część łóżka. Kiedy weszła, jego niebieskie oczy otworzyły się, a ona poczuła załązki nadziei tak silne, że aż się tego bała.

— Potrzebuję chwili, żeby przyjąć pewne rzeczy do wiadomości — zaczęła. Usiadła obok niego i otworzyła torbę. — Żeby się z nimi oswoić.

Zacisnął palce wokół jej nadgarstka, gdy zbliżyła rękę z gazikiem antyseptycznym.

— Nie ma sprawy. Będę ci po prostu to powtarzał, dopóki nie znajdziesz się na tym samym etapie, Marzenie. Kocham cię. Nigdy nie powiedziałem tego nikomu spoza rodziny. No, może Brody’emu. Ale nigdy nie powiedziałem tego nikomu w takim sensie. Kocham cię. Kochałem cię. Będę cię kochał i naprawdę bardzo, bardzo chcę, żebyś została, albo jeśli nie chcesz zostać, żebym mógł wyjechać z tobą. Ale będę ci to powtarzał, dopóki nie będziesz na to gotowa.

Mack poczuła, że jej usta wyginają się w uśmiechu.

— Nie o to mi chodziło. Kocham cię, Linc. Wiedziałam o tym od...

Ale musiała urwać, bo zerwał się z łóżka i pocałował ją. Jego palce wsunęły się w jej mokre włosy, usta przyłgnęły mocno do jej warg. A potem język wsunął się do jej ust delikatnie, stanowczo biorąc ją w posiadanie. Mack rozplynęła się w pocałunku. Pławiła się w nim, ogrzewała, wierzyła.

Ale były rzeczy, o których musiał się dowiedzieć. Cofnęła się.

— Od imprezy grillowej.

— Od imprezy grillowej? — powtórzył, a potem syknął, gdy podstępnie przycisnęła do rozcięcia gazik nasączony alkoholem.

— Kiedy wpadłeś tu z kwiatami ze sklepu spożywczego i składnikami na sos, a potem wykąpałeś swojego psa węzłem ogrodowym. Od tamtej chwili wiedziałam, że cię kocham, ale dopiero teraz zebrałam się na odwagę, żeby ci powiedzieć. — Nachyliła się i podmuchała na ranę.

— To może zbierzesz się na odwagę i opowiesz mi pozostałe rzeczy, a potem przez resztę dnia będziemy mogli

się migdalić? — zaproponował.

— Mam nadzieję, że dalej będziesz mnie chciał... po tym.

— Odwróciła wzrok i zaczęła porządkować materiały opatrunkowe na kołdrze.

— Marzenie, prowadziłaś kiedyś pseudohodowlę psów?

Spojrzała na niego i pokręciła głową.

— Czy zamordowałaś z zimną krwią jakichś członków mojej rodziny?

— Nic mi na ten temat nie wiadomo. — Uśmiechnęła się i posmarowała mu ranę neosporinem.

— Czy kiedykolwiek wyrzuciłaś z okna samochodu torbę ze śmieciami z fast foodu, bo nie chciało ci się szukać śmietnika?

— Boże! Nie! — Przykleiła mu plaster.

— Więc nic, co powiesz, nie zmieni tego, co do ciebie czuję.

Chciała mu wierzyć, ale za bardzo się bała mieć nadzieję.

— Proszę — powiedziała, wręczając mu dwa worki z lodem. — Nie wiem, gdzie chcesz to przyłożyć, bo mam wrażenie, że masz obitą całą twarz.

— Powinnaś zobaczyć tego drugiego — odparł, przykładając jedno opakowanie do brody, a drugie do oka.

— A skoro o tym mowa. Mam siostrę, choć twierdziłam co innego.

— Mam nadzieję, że twoja siostra też ma pamiątkę po tobie — powiedział ponuro Linc.

— Złamałam jej nos. Twój nie jest złamany, tak na marginesie.

— To dlatego, że moja chrząstka jest dużo silniejsza niż pięść tego mięczaka Luke'a.

— Cała twarz robi ci się fioletowa.

— Wróćmy do twojej okropnej siostry.

Mack chciała się do niego przytulić. Przycisnąć twarz do jego piersi i pozwolić, żeby jego ciepło ją rozmroziło. Ale to była rozmowa, która wymagała kontaktu wzrokowego.

— Jest ode mnie starsza o kilka lat. Nigdy nie byliśmy ze sobą blisko. Nigdy się nie dogadywałyśmy. Z nią zawsze było coś... nie w porządku. — Mack zaczęła skubać nitkę na kołdrze. — Ale nic w tym dziwnego. Nasza matka jest alkoholiczką, która zmienia mężczyzn jak rękawiczki i jedną nieperspektywiczną pracę na kolejną. Nigdy nie mieszkaliśmy długo w jednym miejscu. Nie płaciłyśmy czynszu. Odcinali nam prąd. Albo Andrea — moja matka — poznawała kogoś nowego. Kogoś, kto miał się nią opiekować. Czasem po prostu znikwała na dzień lub dwa, a potem wracała do domu na czworakach, w brudnych ubraniach i z rozmazanym makijażem, pachnąc dymem i mężczyznami. Raz, kiedy miałam sześć lat, nie wróciła z pracy do domu.

Dłoń Linca powędrowała na jej kostkę i zacisnęła się na niej.

— Moją siostrę, Wendy, wkurzało, że się skarżę, że jestem głodna. Zamknęła mnie na klucz w moim pokoju. Bez jedzenia. Bez wody. Po burzy odcięło prąd. To był sierpień w Teksasie, więc było strasznie gorąco. Bez wentylatora. Bez klimatyzacji. Bez wody. Czekałam i czekałam, aż w końcu nie mogłam dłużej czekać. Więc wypchnęłam moskitierę i wyskoczyłam z okna na piętrze.

Linc zaklął soczyście.

— Sąsiad z domu obok usłyszał mój płacz. Złamałam kostkę. Ale byłam szczęśliwa, że w końcu jestem wolna. W szpitalu były upragnione klimatyzacja, jedzenie i woda. Lekarz był dla mnie bardzo miły. — Uśmiechnęła się, przypominając go sobie. — Doktor Vishnu. Grube szkła w okularach, łysy. Jego akcent brzmiał w moich uszach jak muzyka.

— Jak długo byłaś zamknięta?

— Dwa dni?

Linc zacisnął wolną dłoń w pięść.

— Kiedy wysiadł prąd, Wendy poszła do koleżanki. Pływała u nich w basenie, kiedy ja siedziałam w karetkce.

— To jakiś pieprzony potwór.

— To dziecko wychowane przez narcystyczną alkoholiczkę.

— Kotku, tak samo jak ty. To żadne usprawiedliwienie.

— To żadne usprawiedliwienie. Okłamała policję i powiedziała, że mama wyszła tylko do sklepu, a ja próbowałam uciec.

— Ale nie dali się na to nabrać?

— Mama nie wróciła do domu przez kolejne dwa dni. I nie umiała wyjaśnić, dlaczego zamek w moim pokoju był zamknięty od zewnątrz. Zabrali jej nas obie. Dla mnie mogłoby być na dłużej. Moi rodzice zastępczy — to właśnie oni przyjeżdżają na Święto Dziękczynienia — byli cudowni. Normalni. Dobrzy. Kochający. Płakałam, kiedy musiałam wracać. Andrea stawiała się w sądzie w różowej garsonce, jakby właśnie wyszła z jakiegoś klubu rekreacyjnego. Ze łzami w oczach tłumaczyła, że popełniła błąd, że jest chora. Powiedziała, że od ośmiu tygodni chodzi codziennie na spotkania AA. Przyprowadziła swojego sponsora. Powiedział

sędziemu, że moja matka jest trzeźwa, skruszona i gotowa zrobić wszystko, żeby odzyskać dzieci.

— Sponsora, czyli nowego chłopaka? — domyślił się Linc.

— Dokładnie. Pracownik socjalny odwiózł mnie do domu, a dziesięć minut później byliśmy już spakowane i jechałyśmy na północ. Zostawiłyśmy dom, nowego chłopaka i zarządzenie sądu, żeby stawiać się na kontrolę do wyznaczonego przez sąd pracownika socjalnego — opowiadała. — Zrzuciła winę na mnie. Czuła się *zażenowana* całym tym prawnym zamieszaniem. To nie stawiało jej w dobrym świetle. I to był jeszcze jeden powód dla Wendy, żeby mnie znienawidzić.

— Co było potem?

— Dalej to samo. Ciągłe się przeprowadzałyśmy, bo Andrea szukała idealnego mężczyzny albo pracy. Wendy dalej była okropna. Niekoniecznie aż tak, żeby znów mnie zamykać samą na czterdzieści osiem godzin. Ale w niezdrowy sposób. Wykradała Andrei pieniądze z portfela i zwała winę na mnie. Chowala mi w pokoju różne rzeczy, na przykład zdechłego ptaka albo bransoletkę tenisową, którą któryś z chłopaków dał Andrei. Raz zepchnęła mnie ze schodów.

Linc zamknął oczy. Zaciskał mocno szczęki.

— Niech ci nie będzie mnie żal. Nie jestem ofiarą — powiedziała ostro.

Nie była ofiarą. Przetrwała.

Kiedy otworzył oczy, jego niebieskie tęczęwki płonęły.

— Może być mi żal małej dziewczynki, której zabrakło bohatera — powiedział. — I mogę też zмагаć się z faktem, że marzę o tym, żeby móc zrzucić twoją siostrę ze schodów.

Mack uśmiechnęła się pod nosem.

— W wieku dwunastu lat zaczęłam rosnać. Okres gwałtownego wzrostu nałożył się z czasem, kiedy na wuefie mieliśmy lekcję samoobrony. Chłonełam wszystko jak gąbka. Nauczycielka poświęciła mi dodatkowy czas po szkole. Z perspektywy czasu myślę, że widziała siniaki i miała pewne podejrzenia. Kiedy następnym razem Wendy spróbowała ze mną zadrzeć na oczach swoich przyjaciół, popchnęłam ją na ziemię. Jej znajomi uznali to za superśmieszne. Przez to tylko bardziej mnie znienawidziła, ale przynajmniej wiedziała, że nie będę już dłużej potulnie tego znosić.

— Jak to przetrwałaś? — zapytał. Chciał ją do siebie przyciągnąć, ale się odsunęła.

— Najpierw musisz usłyszeć wszystko do końca.

— Słucham. — Jego palce zaplotły się z jej palcami.

— Wendy zamieniła się ze złego dziecka w jeszcze gorszą nastolatkę. Kradła w sklepach, eksperymentowała z narkotykami, znęcała się nad innymi. Ukradła o jeden raz za dużo. Została aresztowana, nawet nie pamiętam za co, i wysłana do poprawczaka. Nadal pamiętam, jak odprowadzałam ją wzrokiem. W tamtej chwili to był najlepszy dzień w moim życiu.

— Mackenzie. — Cierpiał z jej powodu. Słyszała to w jego głosie. Mężczyzna, który wychowywał się w dobrej rodzinie, otoczony miłością i nie znał niczego innego.

— Tak czy inaczej, kiedy wyszła, była już pełnoletnia i nigdy nie wróciła do domu. Ja wyjechałam zaraz po maturze. Sama utrzymywałam się na studiach, najpierw w college'u przygotowującym do medycyny — dzięki inspiracji miłego lekarza, który nastawił mi kostkę — a potem na akademii medycznej. Kiedy naprawdę chciałam być jak najdalej, mieszkałam w Teksasie. Ale wtedy Andrea miała

tylko mnie. A ja czułam się za nią odpowiedzialna. W zasadzie było tak do niedawna.

— Wysyłałaś jej pieniądze? — zapytał Linc.

Mack pokiwała zawstydzona głową.

— Wysyłałam. Co miesiąc, jak w zegarku. Teraz z tym koniec. Nie jestem jej już nic winna.

— Kotku, nigdy nie byłaś. Nie prosiłaś się o przyjście na ten świat. Nie prosiłaś jej, żeby została twoją matką. — Spróbował znów ją do siebie przyciągnąć.

— To jeszcze nie wszystko — westchnęła.

— Nie chcę cię pospieszać, ale nie dam rady dużo dłużej patrzeć, jak siedzisz taka smutna, Marzenie. Muszę cię przytulić.

Nabrała powietrza, po czym je wypuściła.

— No dobra, no to tak. Byłam rezydentem na ostrym dyżurze w Dallas. Wendy i mama znów się pogodziły. Mieszkały razem w jakiejś norze, w której Andrea piła butelki taniego dżinu, a Wendy brała Bóg raczy wiedzieć jakie narkotyki. Wendy miała chłopaka.

Mack wyswobodziła się z objęć Linca i sięgnęła po coś z boku łóżka. Na stoliku nocnym znalazła szkicownik i otworzyła go na ostatnim rysunku.

— To on. Powell Coleman III. Miał mustanga i fundusz powierniczy. Miał też dość poważny problem z narkotykami. Dla mojej siostry to wszystko razem było bardzo atrakcyjnym połączeniem. Nigdy go nie poznałam. Dopiero tej nocy, kiedy został przywieziony na pogotowie podczas mojego dyżuru.

Linc wpatrywał się intensywnie w portret.

— Wygląda na dupka — oznajmił w końcu.

— Cóż, dupek wsiadł do swojego mustanga z moją siostrą na fotelu pasażera i wjechał nim z dużą prędkością w betonową barierę. Zżył też, jak się okazało, śmiertelną dawkę heroiny. Zrobiłam wszystko, co mogłam, ale nie udało mi się go uratować.

— Niektórych nie da się uratować, Marzenie — powiedział i założył wilgotne pasmo włosów za jej ucho. — I dobrze o tym wiesz.

— Teraz już to wiem. I chyba wtedy też wiedziałam. Ale musiałam wyjść do poczekalni i jej powiedzieć. Powiedzieć mojej siostrze, że Powell Coleman III już nigdy nie zabierze jej na przejażdżkę. Rzuciła się na mnie. Zaczęła wrzeszczeć i płakać. Krzyczeć, że go zamordowałam. Że zabiłam jej chłopaka, a ona zabije mnie.

— Mackenzie?

— Tak?

— Nienawidzę twojej siostry.

Mack była zaskoczona, gdy poczuła narastający śmiech. Pozwoliła mu wypełnić pustą przestrzeń w środku, pozwoliła mu zanieść się w ciepłe, solidne objęcia Linca. W pewien sposób dawało jej otuchę to, że jego fiut pod białym frotowym ręcznikiem był wciąż twardy. Nadal jej pragnął.

— Ja też nie jestem jej wielbicielek. Pozwała mnie.

Zesztywniał przy niej.

— Robisz sobie jaja.

Jej usta wygięły się w uśmiechu przy jego piersi.

— Nie. Znalazła jakiegoś szemranego adwokacie. W pozwie wymieniła mnie osobiście obok szpitala.

— Przegrała — stwierdził bez wahania.

— Przegrała — potwierdziła. — Ale i tak jej zapłaciłam. Dałam jej wszystkie swoje oszczędności. Planowałam pracę dla organizacji non profit, która szkoliła lekarzy traumatologów w krajach trzeciego świata. Płacili fatalnie, ale uznałam, że przez rok dam radę żyć z oszczędności.

— A ona ci to zabrała.

— Tak, ale znalazłam Gwardię Narodową. Która doprowadziła mnie do Aldo. Który doprowadził mnie do ciebie.

Linc pocałował ją w czubek głowy.

— Kocham cię, doktor Mackenzie O’Neil.

— Dalej?

— Zawsze. A teraz mi opowiedz, co się, kurwa, wydarzyło, gdy po raz ostatni w życiu pojechałaś odwiedzić swoją okropną matkę.

Przekazała mu szczegóły, uspokoiła go łagodnym głaskaniem po klatce piersiowej, kiedy aż się trząsał z chęci, by stanąć w jej obronie.

— Na pewno złamałaś jej nos? — zapytał.

— Na pewno. Słysząc było chrzęst. Bardzo przyjemny.

— Grzeczna dziewczynka.

— Dzięki, że mnie wysłuchałeś — szepnęła.

— Dzięki, że mi się zwierzyłaś.

Oboje milczeli przez dłuższą chwilę.

— A więc plan jest następujący — zaczął.

Roześmiała się.

— Jaki jest plan, komendancie?

Podparł się na łokciu, żeby spojrzeć na nią z góry.

— Zapłaciłaś już wystarczająco dużo. Za coś, za co w ogóle nie powinnaś była płacić.

— Nie możesz ich nigdy poznać — powiedziała żarliwie. — Wiem, jak to brzmi. Ale nie mogę znieść myśli, że miałbyś zostać skalany przez samo skojarzenie.

— Skalany? — parsknął.

— Nie chcę, żebym ci się kiedykolwiek z nimi kojarzyła. Jestem bardzo podobna do mamy. — Przyznanie się do tego sprawiało jej ból.

— Marzenie, w tobie nie ma nic z nich. Udowadniasz to każdego cholernego dnia. A teraz wróćmy do tego, co zrobimy. Już nigdy więcej się z tobą nie spotkają, nie będą z tobą rozmawiać ani w żaden sposób się z tobą komunikować. Nigdy więcej — powiedział cicho. — Nigdy więcej nie wyślesz im ani grosza. Jeśli one zostawią cię w spokoju, ja też je zostawię w spokoju.

Mack była podejrzliwa.

— Aż się trzęsiesz z wściekłości, a mimo to jesteś gotowy obiecać mi, że nic nie zrobisz?

— Dopóki one będą się trzymać od ciebie z daleka, ja będę się trzymać z daleka od nich — zapewnił. — A teraz może opowiesz mi o tym, że Dunnigan zaproponowała ci pracę na stałe.

Rozdziawiła usta na kształt litery O.

— Och. O tym.

— Tak. O tym.

Rozdział 52.

Zasnęli. Za oknami przesłoniętymi zasłonami zapadł wieczór. Wyczerpani emocjonalnie, wtulili się w siebie, tworząc plątaninę nóg, rąk, ręczników i kołdry. Linc obudził się w ciemności, czując zapach rumianku unoszący się znad wciąż wilgotnych włosów Mack. Czując słodki jak miód żar jej ciała przyciśniętego do niego.

Jego członek, boleśnie twardy, wciskał się w miękkie krągłości jej pośladków. Zadrgał w pierwotnej potrzebie, by ją zaanektować, chronić, kochać.

Mack poruszyła się przy nim. Z jej nieumalowanych ust wydobyło się senne westchnienie.

Kochał ją w takim wydaniu. Kochał ją w każdym wydaniu.

— Będziemy musieli porozmawiać o tym, co dalej, Marzenie — szepnął, muskając ustami jej ucho. — Bo ja nigdy nie pozwolę ci odejść.

Kiedy nie odpowiedziała, pocałował ją w kark, a potem zaczął przesuwać się pocałunkami wzdłuż jej kręgosłupa. Zatrzymał się, aby poświęcić szczególną uwagę każdemu siniakowi, każdemu zadrapaniu. I za każdym razem, gdy muskał wargami jej rany, zapewniał ich oboje: *nigdy więcej*.

Westchnęła leciutko, gdy dotarł do jej bioder i zatopił zęby w zgrabnej krągłości.

— Jesteś cholernie piękna, Mackenzie. Jesteś moja.

— Kocham cię, Linc. Bardzo — szepnęła przy poduszce.

Nigdy nie będzie miał dość tych słów.

— Marzenie, nie ma wyboru. Jesteś dla mnie tą jedyną.

— Dziękuję, że wciąż mnie chcesz.

Jego serce cierpiało z powodu małej dziewczynki, której nie chciała własna matka, której nienawidziła własna siostra. Ale była teraz tu z nim, a on poświęci resztę życia na to, żeby wymazać wszelką niepewność, jaką te potwory w nią wlały.

Potrzebował pierścionka. I planu.

Mack przewróciła się na brzuch. Przywitały go gładkie wzgórza jej pośladków. Jego fiut zadrgał w potrzebie podboju.

Smakując ją, nachylił się i musnął wargami krągłości spektakularnego pośladka. A potem zatopił w nim zęby.

Z ust Mack wydobył się cichy okrzyk, od którego jego członek zrobił się jeszcze twardszy.

— Uwielbiam każdy cholerny skrawek twojego ciała, Mackenzie — szepnął, przesuwając wargami po jej ciele, rozkoszując się gęsią skórką, którą się obsypała. Znów ją ugryzł, tym razem niżej, w miejscu, w którym udo spotykało się z pośladkiem.

Zadrżała.

— Uwielbiam to, jak mnie dotykasz.

— Jak cię dotykam?

— Z miłością.

Po tym delikatnym wyznaniu Linc rozchylił jej pośladki. Jego język wsunął się i zaczął pieścić zakazany owoc. Jej głowa uniosła się z westchnieniem z poduszki, ale reszta ciała pozostała nieruchoma jak posąg.

— Czy to jest okej? — zapytał.

— Tak — szepnęła. — Boże, tak. Wszystko, co mi robisz, to magia.

Pragnął jej. Każdego cholernego centymetra jej ciała.

Jego fiut pulsował w nieustannym sygnale SOS, nawet gdy Linc, nie spiesząc się, bawił się językiem, poruszał wargami. Mack zaczęła się pod nim wić. Błagać o więcej.

Z sercem w gardle i krwią dudniącą w żyłach, Linc przesunął się w górę jej ciała, nakrywając jej plecy swoją pierśią. Jego wzwód odnalazł wejście do domu w miejscu połączenia jej ud. Czuł wilgoć, gorąco, żądzę.

Kiedy zakołysała przy nim swoim tyłkiem, jego wzrok skoncentrował się na jednym.

— Trzymaj się mocno, Marzenie — powiedział i zacisnął jej palce wokół półokrągłego zagłówka.

Ustawił się na wysokości jej otworu i wszedł w nią jednym szybkim pchnięciem.

Zaklął.

— Twoja cipka tak cudownie zaciska się na moim fiucie, kotku.

Mack jęknęła, a potem krzyknęła, kiedy się poruszył. To była cudowna tortura, to tarcie, to przesuwanie.

Chwycił od tyłu jej brodę i zaczął szeptać sprośne słowa uwielbienia, na przemian wchodząc w nią i wychodząc z niej.

— Jesteś grzeczną dziewczynką, Mackenzie. Uwielbiam czuć, jak się zaciskasz na moim fiucie, jakbyś chciała wycisnąć z niego ostatnią kropelkę spermy.

— Ależ ty jesteś nieprzyzwoity, Linc — jęknęła.

— Czuję, jaka mokra się przez to robisz. Jaka mokra się robisz dla mnie.

Pchnął mocniej, przygniatając jej biodra do materaca i wchodząc w nią głęboko. Szarpnęła się, a on musiał

odetchnąć głębiej. Musiał powstrzymać chęć, żeby nacierać na nią raz za razem brutalnie, aż cała jego sperma wypłynie z niej i wsiąknie w materac.

— Nie powstrzymuj się teraz — syknęła.

Mężczyzna miał ograniczone zasoby samokontroli. Poderwał ją do góry na czworaka.

— Zawsze będę ci dawał to, o co mnie poprosisz — obiecał drapieźnie. Jego biodra wyrwały się do przodu, a on zanurzył w niej swojego pulsującego fiuta. Nie był w stanie złapać oddechu. Pot zrosił jego skórę, gdy bez przerwy nacierał na Mack. Mack oparła się na łokciach i zakołysała się przy nim.

Te słodkie pośladki go zwodziły. Włożył do ust dwa palce i polizał.

— Stój spokojnie — polecił, czując, jak zadrżała na koniuszku jego członka, gdy się z niej wysunął. — Nie ruszaj się.

Wilgotnymi palcami dotknął jej szczeliny, aż odnalazł małą, ciasną rozetkę mięśni.

— Trzymaj się mocno, kotku.

Jednym płynnym ruchem zatopił palce w jej tyłku i jednocześnie wsunął w nią fiuta.

Dźwięk, który wydobył się z jej ust, był obłądny.

Pieprzył ją fiutem i palcami. Kołysał się w niej, zabierając ich oboje na sam szczyt. Raz za razem wbijał się w nią, aż oboje dyszeli i drżeli. W ostatniej sekundzie wycofał się i znieruchomiał.

To było za mało. Potrzebował od niej znacznie więcej.

— Skarbie, muszę cię widzieć. — Wycedził te słowa przez zęby głosem bardziej szorstkim niż ludzkim.

— Pozwól mi dojść, Linc — błagała. — Proszę!

— Nie, dopóki nie będę mógł patrzeć ci w oczy. — Tak ostrożnie, jak to tylko możliwe, przesunął ją niżej, samemu się z niej wycofując. — Przekręć się. Właśnie tak, kotku. Rozłóż szerzej nogi.

Ułożył się między jej nogami, a ich spojrzenia się spotkały.

— Chcesz dojść, kotku?

Pokiwała głową, a on czuł pulsowanie jej żądz wokół koniuszka swojego członka.

Trzymał się nieruchomo, pozwalając, by łączył ich tylko jeden centymetr.

— Spójrz na mnie, Mackenzie.

Otworzyła swoje zielone oczy.

— Należysz do mnie. A ja do ciebie. To jest to. Zrozumiałaś? — Drażniąc się z nią, wykonał połowiczne pchnięcie i wszedł w nią o centymetr głębiej. Fakt, że nie był w niej w pełni zanurzony, doprowadzał go do szaleństwa. Że nie czuł jej mięśni zaciskających się wokół każdej żyły i każdego zgrubienia na jego wzwiedzionym członku.

— Jestem twoja, Szpanerze. Na dobre i na złe, jestem cała twoja.

Tyle wystarczyło. Dopóki nie wsunie obrączki na jej palec, dopóki ona nie wypowie słów przysięgi, tyle wystarczy. Zacisnął biodra i zanurzył się w niej aż po jądra. Krzyknęła, a on przytrzymał ją mocniej, przycisnął bliżej siebie. Jej paznokcie wbiły się w jego ramiona. Ból był piękny, gdy wwiercił się w nią do końca.

Czuł trzepotanie jej mięśni, wiedział, że była blisko. Jego nasienie wystrzeliło z jąder, zdawało się wędrować w górę kręgosłupa. Nachylił się, pochylił głowę, żeby polizać sutek.

Jej brodawka stwardniała, wybrzuszyła się i wyciągnęła w jego stronę.

Do środka i na zewnątrz. Raz za razem, aż nie było żadnego rymu ani powodu. Nie było rytmu ani finezji. Tylko pierwotna, biologiczna potrzeba, żeby poczuć i zobaczyć, jak ona szczytuje. Potrzeba, żeby jej to dać.

A kiedy jęknęła, kiedy te zielone oczy się otworzyły, wiedział, że przepadł. Czuł szarpanie we własnych jądrach, czuł rozkoszne palenie własnej ejakulacji, która wystrzeliła z jego członka.

— Mackenzie — wycedził przez zaciśnięte zęby.

Zamykała się wokół niego, co było cholernym cudem, wzięwszy pod uwagę, że on w niej szczytował, szczytował i szczytował. A ona zamykała się wokół niego, ścisnęła go.

Jej wygłodniałe spazmy doły jego fiuta, opróżniały jądra, gdy się w nią wylewał. Dając jej wszystko, co miał, wszystko, czym był.

— Linc — szepnęła, zaplatając wokół niego ręce, niesiona na fali niszczycielskich wtórnych wstrząsów na jego nadal twardym członku. — Linc.

Rozdział 53.

Następnego dnia rano na stoliku nocnym zadzwonił telefon Mack. Linc przez ostatnie pół godziny przyglądał się Mackenzie śpiącej w jego ramionach. Dochodziła ósma, a ona dalej spała. Nie chcąc jej przeszkadzać, sięgnął po komórkę.

Andrea.

To mówiło samo za siebie, że kobieta widniała w telefonie swojej córki jako Andrea, a nie Mama.

Wysunął się z łóżka i zszedł z telefonem po schodach.

Iskierka poszła za nim.

— Halo — odebrał ostro.

— Och, dzwonię do mojej córki Kenzie.

— Jeśli ma pani na myśli Mackenzie, to ona nie ma pani nic do powiedzenia — odezwał się zimno Linc. Otworzył tylne drzwi i wypuścił Iskierkę na dwór, żeby mogła pobiegać po oszronionej trawie.

— Niech pan nie będzie niemądry. Jestem jej *matką*. Doszło między nami do drobnego nieporozumienia. To wszystko. Jeśli poprosi ją pan do telefonu, wszystko jej wyjaśnię.

— Pani nieporozumienie równa się napaści, Andreo.

— Moje imię wymawia się Auhn-DREA-uh — poprawiła.

— Nie ma znaczenia, jak się je wymawia, bo pani relacja z Mackenzie jest oficjalnie zakończona.

— Och, skarbie, pan nic nie rozumie. Miałyśmy z Kenzie drobną sprzeczkę i muszę tylko zamienić z nią słówko. Muszę zapłacić czynsz do...

— To już pani problem. Nie jej — powiedział.

— Jestem jej *matką*. Jesteśmy *rodziną*.

Nacisk, z jakim wypowiedziała te słowa, zadzwonił pustką w jego uszach.

— Na taki tytuł trzeba sobie zasłużyć, droga pani, a pani na niego nie zasłużyła. Przez całe życie nie zrobiła pani dla Mackenzie absolutnie nic. Ona nie ma dłużej obowiązku pani ratować.

— Co pan sobie, u licha, wyobraża? Że kim pan jest? — Andrea porzuciła słodki jak cukier południowy akcent.

— Jestem mężczyzną, który przekona Mackenzie, żeby któregoś dnia została jego żoną.

— Nie wspominała o panu, gdy tu była.

— Ma pani na myśli wtedy, gdy pani druga córka zaatakowała ją na ulicy? Po co by miała to robić? Po co miałyby mówić pani o czymkolwiek, co dla niej ważne?

— Jesteśmy rodziną. — Andrea wróciła do pochlebstw.

Linc pomyślał o swoich rodzicach, siostrach, siostrzenicach i siostrzeńcach. *To* była rodzina.

— Pani nie rozumie znaczenia tego słowa. Pani i pani druga córka nie jesteście więcej mile widziane w pobliżu Mackenzie. Koniec z pieniędzmi. Koniec ze wzbudzaniem w niej poczucia winy. Ona jest moja, a ja chronię, co moje.

— Pan nic nie rozumie. *Muszę* z nią porozmawiać! Policja szukała Wendy, a ja przypadkiem zapomniałam zapłacić za prąd...

— Proszę do niej nie dzwonić. Nie pisać. Ani nawet nie myśleć o tym, żeby się tu pokazać. Nigdy. Jak dla pani Mackenzie jest sierotą. Nigdy pani na nią nie zasługiwała.

— Och, a pan owszem? — warknęła.

— Nie, ale na pewno cholernie się o to postaram.

Rozłączył się.

— Co robisz? — zapytała Mack.

Odwrócił się i zobaczył ją w drzwiach kuchni. Zaspaną i seksowną. Miała na sobie jego T-shirt z poprzedniego wieczora. Nawet z plamami krwi na bawełnie, z siniakami na twarzy, była zachwycająca.

— Wyrzucam śmieci — powiedział niewinnie.

— Wrzeszczałeś na moją matkę. Groziłeś jej.

— Tak. A teraz zastanawiam się, jak zablokować jej numer w twoim telefonie. Skończyłaś z nią. Na zawsze, Mackenzie. Ona nie jest już dłużej twoim problemem.

— Czy mówiłeś poważnie? — zapytała.

— Na temat tego, że jesteś sierotą?

— Na temat tego, że chcesz mnie przekonać, żebym została twoją żoną — powiedziała.

Ups. Stała tam chwilę.

Linc rzucił jej telefon na blat i zaczął jakby nigdy nic grzebać w lodówce.

— Może — powiedział.

— Bo jeśli mówiłeś poważnie, to nie miałabym z tym problemu.

Wystawił głowę nad drzwiami lodówki.

— Czy mówisz to, co myślę, że mówisz?

— Mówię, że jeśli oboje jesteśmy na tak, to czemu nie? Nie miałabym nic przeciwko przyjemnemu ślubowi w stodole.

Pokonał kuchnię dwoma szybkimi krokami i wziął Mack na rękę.

— Tak dla jasności. Jeszcze oficjalnie ci się nie oświadczam. Nie zrobiłbym tego bez pierścionka, no i chcę poznać twoich rodziców. Twoich *prawdziwych* rodziców — powiedział. — Kiedy przyjadą na Święto Dziękczynienia.

Jej oczy zaszyły łzami.

— A ja jeszcze oficjalnie się nie zgadzam.

— Ale temat jest na stole? — upewnił się, niemal bojąc się oddychać na wypadek, gdyby ten delikatny rozejm miał prysnąć jak bańka mydlana.

Pokiwała głową.

— Jest na stole.

— Więc zostajemy tutaj czy wyprowadzamy się, kiedy skończysz kontrakt w przychodni? — zapytał, przekrzywiając głowę i wstrzymując oddech.

— Zostajemy tutaj.

Pocałował ją i okręcił dokoła, aż oboje jęknęli.

— Ten cały Garrison potrafi przywalić — mruknął Linc.

Mack sięgnęła po ibuprofen.

— Ale z nas para. Co powie Georgia Rae, kiedy zobaczy nasze twarze?

— Jedyni w swoim rodzaju, Marzenie. Ty i ja.

— Dziękuję, że stanąłeś w mojej obronie, choć nie musiałeś.

— Dziękuję, że pozwoliłaś mi przyjąć za siebie kilka ciosów.

— Kocham cię, Linc.

Połknął kapsułki, które mu podała, i przysunął się bliżej.

— Ja też cię kocham, Marzenie. Już nigdy nie będziesz sama — zapewnił.

— Będę się musiała do tego przyzwyczaić. Pewnie znów coś spieprzę, raz czy dwa.

— Ja nie spieprzę — zażartował. — A tak przy okazji, Andrea mówiła, że policja szukała twojej siostry.

Westchnęła.

— Czas, żeby to ona zapłaciła.

Rozdział 54.

— Och! Ściągnęli ci but! Ale choolewcia, dziewczyno. Kto ci to zrobił z twarzą? — Ellen wydawała się jednocześnie zafascynowana i przerażona, kiedy otworzyła drzwi swojego dwupoziomowego domu. Na skrzynce pocztowej były balony, jakby miały oznaczać miejsce imprezy urodzinowej dla dziecka, a na podjeździe i na ulicy stało zaparkowanych kilkanaście samochodów.

— Uch, cześć. Pomyliłam dni? — zapytała Mack.

Za plecami Ellen rozległ się głośny wybuch śmiechu.

— Nie! Przyszłaś w samą porę — odpowiedziała gospodyni i wciągnęła Mack za rękę do środka.

Dom wyglądał tak, jakby został zaprojektowany pod koniec lat siedemdziesiątych i poddawany chaotycznym remontom w ciągu kolejnych dziesięcioleci. Dywan na schodach był w kolorze zupy z zielonego groszku, a ściany w korytarzu wyłożono tapetą z motywem budek dla ptaków. Odrywała się pod sufitem pokrytym tynkiem strukturalnym.

— Barry, przywitaj się z doktor Mack.

Włochata ręka uniosła się znad dużego brązowego skórzanego segmentu wypoczynkowego widocznego przez białe metalowe szczebelki balustrady, która odgradzała salon na piętrze.

— Witam!

— Pilnuj, żeby dzieciaki nie wchodziły do sutereny, wiesz? — krzyknęła Ellen, a potem odwróciła się do Mack i powiedziała radośnie. — Chodź na dół. Jesteśmy wszystkie w pokoju dziennym.

— Wszystkie?

Ale jej pytanie utonęło w kolejnej salwie śmiechu.

— Drogie panie, zobaczcie, kto przyszedł! — Ellen wyciągnęła w kierunku Mack rękę w wielkim geście tadam.

Rozległ się spontaniczny aplauz, który urwał się gwałtownie, gdy kolejni goście zauważali posiniaczoną twarz Mack.

Powinna była znacznie hojniej zaaplikować makijaż, uświadomiła sobie Mack.

— Co ci się stało?

— Chyba nie wpadłaś znów na Kershów, co?

— Wolałabym nie widzieć, jak wygląda ten drugi gość po tym, jak Linc z nim skończył.

— Przestańcie, doktor Mac pewnie sama umie się obronić.

— Nic się nie stało. Nic mi nie jest — upierała się Mack. — To nic takiego.

— Jaka skromna. Słyszałam, że ostatnie „nic takiego” polegało na tym, że sturlała się pięć metrów w dół podczas wezwania do wypadku. Wdrapała się z powrotem na górę, walnęła gościa w jakieś wyjątkowo wrażliwe miejsce i teraz przestał widzieć.

Cholerne małe miasteczka.

— Naprawdę powinnaś zacząć bardziej o siebie dbać, a nie chodzić wiecznie cała zabandażowana — zasugerowała Mariana Brewster.

Powitania zamieniły się w nieskładną mieszanicę twarzy i imion, których Mack nie miała szans zapamiętać.

— To moja bratowa, Tiffany. A to sąsiadka, która mieszka dwa domy dalej, Marie. Moje koleżanki z pracy, Sandra i

Ellen. Dwie Ellen! Syn Madison jest razem z moim synem w drużynie piłkarskiej i we wtorki, i czwartki jeżdżą razem...

Były tam Harper i Gloria. Mack rozpoznała też Beth z biura Garrison Construction, przyglądającą się przekąskom rozstawionym na koźle i na stoliku ze sklejki. Kobiety siedziały wszędzie — na wytartych kanapach, na tapicerowanym fotelu bujanym, a dwie dzieliły nawet żółty winylowy worek sako. Talerze pełne przystawek i miski z przekąskami zajmowały każdą dostępną powierzchnię. Jeśli grała jakaś muzyka, to Mack jej nie słyszała wśród szmeru damskich rozmów.

Nastrój był lekki, imprezowy.

— Widzisz przystawki? — zapytała Ellen. — Mamy paterę z warzywami, paterę z owocami, szaszłyki z grillowanego kurczaka, które zrobił mój teść. Woda jest z ogórkiem i cytryną, jak w spa!

— Bardzo miło — powiedziała nieco oszołomiona Mack.

— I zdrowo! — Ellen szturchnęła ją łokciem. — Schudłam trzy kilogramy. Trzy! Dasz wiarę?

— To fantastycznie — przyznała Mack. — Jak idzie pływanie?

— Cudownie! — Przeciągnęła wszystkie trzy sylaby w słowie. — I o tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać. Pewnie powinnam najpierw pogadać z tobą, zanim zrzuciłam ci na głowę kilkanaście dodatkowych kobitek na babski wieczór. Ale kiedy zaczęłam wszystkim opowiadać, co robię, dziewczyny miały pytania.

Pytania dotyczące odpowiedniej diety i ćwiczeń? Czy nie od tego był internet?

Mack się zaniepokoiła. Jeśli spotkanie miało się zamienić w wywiad z lekarką, to będzie musiała zablefować i powiedzieć, że dostała niespodziewane wezwanie. Mogła

założyć zacisk na tętnicy i uratować kończynę w razie konieczności, ale wykład na temat zdrowego odżywiania wykraczał poza jej kompetencje.

— Zaczęłyśmy rozmawiać i wpadłyśmy na szalony pomysł, który chciałyśmy z tobą skonsultować, wiesz?

— Okej.

Ellen klasnęła w ręce.

— Drogie panie, opowiedzmy doktor Mack o naszym pomysśle.

Grupka się uciszyła. Ktoś włączył telewizor zawieszony na ścianie pod okropną, wypchaną głową barana.

— Przygotowałyśmy prezentację w PowerPoincie — oznajmiła kobieta w kręconych włosach w odcieniu między pszenicą a jasnorudym.

— Dawaj, Roberta!

— Tutaj. Możesz usiąść tutaj — powiedziała Harper i poklepała poduszkę obok siebie.

Mack wcisnęła się między Harper a drugą kobietę, w której rozpoznała Peggy Sue Marsico ze sklepu spożywczego i ze spotkań Małej Ligi, gdzie śpiewała hymn.

— My, przepracowane, zastaje z braku ćwiczeń, uzależnione od gotowców mieszkanki Benevolence w stanie Maryland, chcemy zaproponować społeczne rozwiązanie naszego problemu — zaczęła Ellen.

Nie uda jej się wysłać do Linca esemesa z prośbą o ratunek tak, żeby żadna z siedzących po jej bokach kobiet go nie przeczytała. Utknęła na dobre.

— Cholera. Nie działa — powiedziała kobieta z pilotem w ręce, potrząsając nim mocno. Jej obfity biust podskakiwał w ewidentnie źle dobranym staniku.

— Daj mi to klikadło — zażądała Peggy Sue.

Zmagaly się z technologią. W pewnym momencie przewinęły nawet szybko całą prezentację do góry nogami.

Harper zakasłała.

— Ehm, ile jest tych slajdów? — zapytała.

— Czterdzieści osiem — odparła pogodnie Ellen. — Zrobiłyśmy nawet diagramy kołowe.

Słodki Jezu.

— Może powinniśmy po prostu zrobić podsumowanie? — podsunęła usłużnie Harper.

— Tak! — powiedziała Mack, wysuwając się ze swojego miejsca na kanapie spomiędzy siedzących na niej kobiet. — Może podsumujecie?

— Rany, nie wiem, czy uda nam się tak łatwo to streścić. — Ellen zmarszczyła brwi.

— Chcemy stworzyć klub aktywizujący, który łączyłby spotkania towarzyskie z jakiegoś rodzaju ćwiczeniami fizycznymi albo tematem związanym ze zdrowym jedzeniem — oznajmiła Harper.

— No w sumie to dobre podsumowanie.

— Nie spędzamy wystarczająco dużo czasu z koleżankami, a kiedy tak się dzieje, to spotkania są skoncentrowane całkowicie na jedzeniu i/lub alkoholu — poskarżyła się Beth. — Chcemy zorganizować coś, co to zmieni. Oczywiście z profesjonalnym wsparciem.

Mack zaczęła rozumieć.

— I chcecie, żebym ja to zorganizowała?

Kilkanaście głów pokiwało entuzjastycznie.

— Masz, jak wiadomo, odpowiednie wykształcenie — zaczęła Ellen. — Nie jesteś też zawałona dziećmi, zajęciami sportowymi, zwierzętami domowymi, minivanami z ciekącym olejem i pięcioma pełnymi pralkami dziennie na dokładkę do pracy zawodowej. Nie mówię, że nie jesteś bardzo, bardzo zapracowana ani że twój czas nie jest ważny, wiesz?

Mack pokiwała głową.

— Wiem.

— Zrozumiemy, jeśli się nie zgodzisz — odezwała się do niej Harper. — Mack ma bardzo wymagającą pracę i chłopaka — przypomniała pozostałym kobietom.

W pokoju rozległ się pomruk kobiecej aprobaty.

— Boże, gdyby Harry patrzył na mnie w ten sposób, w jaki komendant Reed patrzy na doktor Mack, to chyba nie przeżyłabym nocy — powiedziała Georgia Rae, wachlując się papierowym talerzykiem.

— Widać, że kobieta ma kondycję — stwierdziła kolejna pani w krzywo zapiętym czerwonym swetrze i butach ortopedycznych.

— I właśnie dlatego potrzebny jest nam ten klub. Jeśli nie zacznę czegoś robić, to dalej będę kontynuować robienie niczego i nawet nie będę potrzebowała kondycji na seksownego chłopaka o wybujałych potrzebach seksualnych, bo będę zbyt zmęczona, żeby takiego sobie znaleźć.

Klub Aktywizujący. Z zajęciami takimi jak wspólne marsze albo przygotowanie do biegu na pięć kilometrów. Zimowe trekkingi albo treningi w parku. Może mogłaby wypożyczyć ze szpitala dietetyka na comiesięczne warsztaty zdrowego gotowania albo wycieczkę do sklepu spożywczego.

Pomysł nie był zły. Prawdę mówiąc, był nawet ekscytujący.

— Widzimy, o ile szczęśliwsza jest Ellen po tym, jak dokonała zaledwie kilku zmian w swoim stylu życia. A co, jeśli wszystkie byśmy coś zmieniły? — zapytała Beth. — Co, jeśli życie każdej z nas zmieniłoby się na lepsze?

— To jest naprawdę interesująca propozycja — odezwała się Mack. — Zastanowię się trochę nad tym, jeśli nie macie nic przeciwko?

W pokoju dało się zobaczyć kilka zadowolonych z siebie uśmiechów i Mack wiedziała, że one wiedziały, że ją mają.

Później w drodze do domu, z brzuchem pełnym słupek marchewek i spring rollsów, wybrała numer do Linca.

— Marzenie. Wracasz do domu? — Jego głos rozlał się w jej brzuchu jak ciepły miód. Chyba jej apetyczny chłopak nie był jedyną osobą o wybujałych potrzebach seksualnych.

— Wracam. Co myślisz o tym, żeby raz na miesiąc urządzić w remizie pokaz filmów na temat zdrowia i wellness? — zapytała Mack. — Może połączyć to z badaniem ciśnienia krwi i poziomem cholesterolu? Ze szczepieniem na grypę? Dorzucić do tego szkolenie z pierwszej pomocy? Moglibyśmy zrobić to na zasadzie dobrowolnych datków, a wpływy przeznaczyć na potrzeby jednostki.

— Na jakie babskie wieczory ty chodzisz, Marzenie?

— Na takie z prezentacją w PowerPoincie oraz z dużą grupą bardzo przekonujących kobiet.

Rozdział 55.

Haust porannego powietrza w połowie listopada był odświeżającym wstrząsem dla organizmu. Kilka dni wcześniej dostała zielone światło od swojego lekarza i drugą rzeczą, o której myślała zaraz po obudzeniu, było wiązanie butów do biegania.

Pierwszą było to, jak bardzo tęskni za budzeniem się z ręką Linca obejmującą ją ciasno w pasie. Kiedy chodził na drugą zmianę, spała u siebie. A to zmusiło ją do myślenia o ich układzie mieszkaniowym.

I choć czuła się komfortowo w jego wyremontowanej stacji benzynowej przerobionej na męską jaskinię, to uświadomiła sobie, że będą musieli podjąć pewne decyzje. Wynajmowany przez nią dom był za mały dla rodziny. A dom Linca wcale nie był dużo większy. Nie miał wydzielonych pokoi. Tylko poddasze do spania.

Teraz jej stopy bębniły o chodnik w równym tempie obok stóp Aldo i Harper, a ona czuła się wolna.

— Czy to jakaś bioniczna noga? — wydyszała, gdy dobiegli na szczyt stromej, sennej osiedlowej uliczki. Aldo zlitował się nad nią i się zatrzymał.

— Tak. Ma magiczne moce — powiedziała Harper, wciągając powietrze.

— Może odpuść sobie trochę. Przez dwa miesiące byłaś niesprawna — zasugerował.

— Chcę tylko powiedzieć, że mam dwie zdrowe nogi. Powinnam być w stanie skopać ci tyłek.

— Kobieto, litości — prychnął Aldo.

— To Moc Moretty — westchnęła Harper i przewróciła oczami. — On jest nadczłowiekiem.

Nawet podczas wolnego joggingu Mack sama czuła się trochę nadczłowiekiem. Jej fizyczne bóle i dolegliwości powoli znikwały. Co ważniejsze jednak, jej serce też zdrowiało.

Dotarli do jeziora, gdzie Aldo i Harper oddzielili się od niej i ruszyli na szlak biegowy. Mack zawróciła w stronę domu, zwalniając tempo, gdy wbiegła w spokojne uliczki.

Zastanawiała się, jaki dom będą mieli z Linkiem. Żadne z nich nie było typem nadającym się do domu w stylu farmerskim z ogrodem. Beżowa szeregowka, która wyglądała dokładnie tak samo jak ta sąsiadów, też nie wydawała się pasować.

Coś wymyśli. Coś *wymyślą*. Poprawiła się w myślach z dreszczem podniecenia. Powiedziała Lincowi wszystko, a on mimo to z nią został. Nadal ją kochał. Nadal jej pragnął. Ten cud jeszcze nie stracił swojego uroku.

Mack skręciła w kolejną ulicę. Jeszcze półtora kilometra. W chłodzie wczesnego poranka było jej ciepło i czuła się rozluźniona.

Poczuła mrowienie między łopatkami. Drobnny znak ostrzegawczy. Niebezpieczeństwo.

Ostrożnie wyciągnęła słuchawki z uszu i zatrzymała się, udając, że musi rozciągnąć łydki przy krawężniku. Nikogo nie zauważyła. Nie było żadnych podejrzanych samochodów. Żadnych zamaskowanych przestępców, którzy szukali kogoś, komu mogliby zrobić krzywdę. Ale w dalszym ciągu czuła znajome mrowienie.

Czy chodziło o tego drugiego Kersha? Od czasu aktu wandalizmu na tym froncie była cisza.

Po powrocie do domu zamelduje się szeryfowi. Tak dla pewności.

Nie była w szczytowej formie fizycznej. Nie po wielu tygodniach spędzonych w bucie ortopedycznym oraz przy ostatnio zdobytych sińcach i zadrapaniach. Ale nigdy nie stanie się łatwym celem.

Jej wewnętrzny system ostrzegawczy wykształcił się z konieczności w dzieciństwie. Nauczyła się, kiedy mogła bezpiecznie podejść do matki, a kiedy rozsądniej było nie wychylać się ze swojego pokoju. Z wiekiem system się rozwijał. Ostrzegał ją przed podejrzanymi facetami w zapyziałych barach i uruchomił czerwony sygnał alarmowy na kilka sekund przed tym, jak w helikopterze przewożącym ją i pacjenta zepsuł się silnik, zmuszając ich do lądowania awaryjnego na pustyni.

Protokoły. Treningi. Dzięki temu nie stała się ofiarą, tylko potrafiła przetrwać.

Nie mogła znajdować się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Nie tutaj, wśród rodzin, które właśnie rozpoczynały dzień, szykowały się do szkoły i do pracy. Nie znajdowała się już w strefie wojennej. Jej życie nie musiało stanowić już kruchej równowagi między życiem, śmiercią i adrenaliną.

Pobiegła od niechcienia w kierunku małego parczku pół przecznicy od szkoły średniej. Drzewa i wyposażenie placu zabaw oznaczały schronienie. Miejsce, w którym można się ukryć i obserwować.

Prawie zdążyła dobiec do wysypanego cedrowymi wiórami placu zabaw, gdy usłyszała gwizd.

— Tu jest moja dziewczynka!

Mack okręciła się gwałtownie i zgięła w pasie z ulgi na widok Linca, który w spodniach do biegania i koszulce z

długim rękawem uśmiechał się do niej szeroko.

— Co ty tu robisz?

Uniósł zegarek.

— Skończyłem kilka minut wcześniej i pomyślałem, że dogonię moją dziewczynę.

— Cześć — powiedziała, gdy podniósł ją do góry i zakręcił się razem z nią.

— Cześć, Marzenie. — Pozwolił jej osunąć się wzdłuż swojego ciała w grzesznie dekadentckim ruchu, który nie nadawał się na widok publiczny. Mack pocałowała go lekko w usta.

— Możesz być moim partnerem do biegania — powiedziała mu.

— Z chęcią się na to piszę, pod warunkiem, że nie zagrozi to mojej pozycji partnera od orgazmów na golasa — zażartował.

— No wiesz, jeśli pobiegniemy wystarczająco szybko — zastanawiała się na głos — moglibyśmy znaleźć czas na pikantny seks pod prysznicem, zanim ty pójdziesz spać, a ja pojedę do przychodni.

— Wiedziałem, że kocham cię nie bez powodu.

— A więc Święto Dziękczynienia... — zaczęła Mack.

— Plan jest następujący. Zaprosimy gości do mnie. Miejsca jest mało, ale przynajmniej będę na swoim terytorium, gdy twój tata zastępczy zacznie gadkę w stylu: „A więc jakie są twoje intencje względem Mackenzie?” — zaczął parodię Linc.

Roześmiała się, gdy skręcili za róg.

— Jesteś szurnięty.

— Moje siostry zostały już poinstruowane, żeby mnie chwalić. Stworzyłem listę dziesięciu najbardziej spektakularnych akcji ratunkowych i mają polecenie zacząć o nich opowiadać, jeśli coś zacznie iść nie tak.

— Nic nie pójdzie nie tak, ty dziwaku — roześmiała się Mack. — Pokochasz Dottie i Wina, a także Violet. To dobrzy ludzie i chcą, żebym była szczęśliwa. A ty ze swoim gigantycznym członkiem, bohaterką osobowością i kochanym, ślicznym psem podbijecie ich serca w ciągu kilku sekund.

— W pełni aprobuję kolejność moich zalet.

Skręcili w następną ulicę, zbliżając się do domu i wspomnianego prysznicza.

— Myślisz, że Iskierka chciałaby mieć małego braciszka albo siostrzyczkę? — zaczęła się zastanawiać Mack.

— Rasy ludzkiej czy psiej?

— Psiej. Na razie.

— Powinniśmy zapytać ją o zdanie, ale tak. Myślę, że ucieszyłaby się z drugiego psa.

— A jeśli będziemy mieli drugiego psa, to moglibyśmy porozmawiać o układzie mieszkaniowym — powiedziała, zagryzając wargi.

Linc uwielbiał swoją stację benzynową. W pełni do niego pasowała.

— Ścigamy się do znaku „stop” — powiedział i skinął głową na koniec ulicy.

Mack wystartowała. Nawet po dwóch miesiącach w unieruchomieniu pobiła go o dwa kroki.

Objął ją za ramiona i poszli razem do domu.

— A co do tego układu mieszkaniowego.

— Mój dom nie jest *mój*.

— A do tego jest wielkości pudełka na buty.

— No właśnie. Za to twój jest hymnem pochwalnym na cześć kawalerskiego stylu życia — zauważyła. — Choć absolutnie uwielbiam twoją stację benzynową.

— No pewnie, że tak — powiedział przyjaźnie Linc. Pocałował ją w czubek głowy. — Ale będzie nam potrzeba więcej miejsca dla psów.

— I może dla innych stworzeń... w stylu małych ludzi. — Mack poczuła, że serce powędrowało jej do gardła. Wyrażała swoje pragnienie — kiepsko — ale podejmowała taką próbę.

Postęp.

Linc uśmiechnął się do niej promiennie.

— Znajdziemy odpowiedni dom dla naszej menażerii złożonej z psów i stworzeń w rodzaju małych ludzi — zapewnił.

— Z dużym prysznicem nadającym się do uprawiania seksu po bieganiu?

Zatrzymał ją na chodniku.

— Marzenie, cokolwiek zechcesz. Wystarczy tylko, że poprosisz. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby dać ci cokolwiek zechcesz.

Rozdział 56.

— Tak, możesz dostać kolację za pięć sekund. Jezu. Pozwól mi chociaż otworzyć drzwi — mówiła Mack do Iskierki, która skomlała i stepowała obok niej przy drzwiach wejściowych.

Do Święta Dziękczynienia zostały trzy dni. Linc nadal pracował na drugą zmianę, a Mack przejęła główne obowiązki rodzicielskie w stosunku do Iskierki. Dziś zabrała psa do przychodni. Suka umiliła sobie dzień drzemkami na posłaniu w gabinecie Mack i zabawianiem pacjentów w poczekalni.

Mack wyciągnęła klucze z torebki i zmarszczyła w ciemności brwi po dotknięciu klamki. Mosiądz był szorstki i odrapany. Wydało jej się to dziwne. Nie przypominała sobie, żeby wcześniej taki był.

Pies wpadł do środka, gdy tylko otworzyły się drzwi. Mack poszła za nim. Światła były wyłączone, w salonie panował chłód, będący konsekwencją pustego domu w zimowy dzień. Ale mimo to... Coś tu nie grało. Męczyło ją to.

Przecież chyba nie zostawiła książki na podłodze, prawda?

Poduszki na kanapie też były inaczej ułożone.

Iskierka węszyła po pokoju, bo jakiś tajemniczy zapach zwrócił jej uwagę.

Mack odłożyła torbę lekarską za drzwiami i włączyła światło.

Z powodu okresu grypowego to był długi dzień. Odwodnieni pacjenci i wykończeni opiekunowie

utrzymywali ich przez cały dzień na nogach. Pewnie tylko coś jej się wydawało.

W kuchni wszystko wyglądało tak samo. Poza kubkiem w zlewie. Mack nie miała rano czasu na herbatę. W drodze do przychodni przejechała przez restaurację dla zmotoryzowanych.

Może Linc wpadł z jakąś misją ukochanego. Może zrobił sobie kawę.

Jej uwagę przykuła Iskierka, która obwąchiwała tylne drzwi. Wyrobione przesuwne drzwi nie były zatrzaśnięte i wypadły z szyny. Na podłodze leżała mała kupka drewnianych strużyn.

— Cholera — mruknęła Mack.

Wybrała numer Linca.

— Cześć, śliczna — odebrał.

— Cześć. Byłeś dziś u mnie w domu?

Od razu zmienił żartobliwy ton na poważny.

— Nie. Spałem u siebie, potem poćwiczyłem i pojechałem prosto do remizy.

— Wydaje mi się, że ktoś tu był.

— Mackenzie, idź do mnie i zaczekaj tam — polecił.

— Nie wydaje mi się, żeby dalej tu był — stwierdziła.

— Do mnie. Będę za pięć minut. Idź w tej chwili i nie rozłączaj się.

— Przesadzasz.

— A ty przesadzasz w drugą stronę.

— Dobra. Iskra, chodź. — Pies wbiegł do kuchni z kłaczkiem kurzu przyklejonym do nosa. — Idziemy do domu tatusia.

Słyszała, jak Linc mówi coś do kogoś po drugiej stronie słuchawki, a potem dobiegło ją zatrzasnięcie drzwi samochodu.

— Wydaje mi się, że przesadzamy — upierała się. Otworzyła furtkę w ogrodzie i weszła na jego podwórko.

— Lepiej dmuchać na zimne — stwierdził.

Usłyszała z daleka dźwięk syren.

— Lepiej, żebyś nie przyjeżdżał na sygnale. Nic mi nie jest. Wchodzę właśnie do twojego domu — oznajmiła, otwierając tylne drzwi.

— Jesteś w środku? Zamknęłaś drzwi na klucz?

Mack spojrzała na psa i przewróciła oczami, mówiąc bezgłośnie „przesadza”. Zamknęła zasuwkę.

— Jestem oficjalnie zamknięta od środka.

Syreny ucichły.

Dwie minuty później przyjechał Linc i zastał Mack popijającą herbatę na kanapie z nogami podwiniętymi pod siebie. Iskierka tarzała się na plecach po podłodze.

— Nie jest ci teraz trochę głupio? — zapytała, gdy wpadł do środka.

— Nie.

Przed dom Linca zajechał radiowóz.

— Serio, Linc? Policja?

Zastępczyni szeryfa Hiya Tahir wysiadła z wozu i poprawiła pas.

— Przesadzasz — powiedziała poirytowana Mack.

— To się jeszcze okaże — powiedział łagodnie i objął ją mocno, uspokajająco.

Przeszukanie domu Mack ujawniło brak kilku rzeczy. Butelki wina, pary małych diamentowych kolczyków, które dostała od rodziców zastępczych z okazji ukończenia medycyny oraz dwustu dolarów w gotówce, które trzymała w kuchennej szafce w pustym pudełku po kapsułkach do ekspresu.

Słaby zamek w tylnych drzwiach został wyważony, a Mack widziała trybiki obracające się w głowie Linc.

— Nie widzę żadnych innych zniszczeń — powiedziała, oglądając swoją sypialnię pod czujnym spojrzeniem oficer Tahir.

— A gdzie twój szkicownik, Marzenie? — zapytał Linc, zaglądając do szuflady w jej szafce nocnej.

— Jest... Powinien być tam — powiedziała, zmarszczywszy brwi. Ołówki węglowe i gumka były na swoim miejscu. Ale zeszyt nie.

— Zaginął? — zapytała policjantka.

— Po co ktoś miałby go zabierać? — zapytała Mack samą siebie. Zajrzała pod łóżko na wypadek, gdyby przypadkiem źle go odłożyła.

Mrowienie między łopatkami wróciło. Coś się nie zgadzało.

— Doktor O’Neil, czy zna pani kogoś, kto mógłby chcieć zrobić pani krzywdę? — zapytała oficer Tahir.

— To znaczy poza Kershami? — wtrącił się Linc.

— Zadamy wszystkie niezbędne pytania, komendancie — odparła policjantka.

— Ktoś się tu włamał — powiedział zwięźle Linc. — Uważa pani, że zadawanie pytań zapewni Mackenzie

bezpieczeństwo?

— Linc. — Mack położyła dłoń na jego rękę. — Jestem bezpieczna.

— Chcę, żebyś dziś w nocy spała ze mną w remizie — powiedział, zaciskając szczęki.

— Nie zostanę w fabryce strażackich bąków.

— Nie zostaniesz tu sama.

— Razem z Iskierką pójdziemy do ciebie. To moja ostateczna oferta.

— Chcę, żeby przyjeżdżały patrole — naciskał.

— Co godzinę będziemy wysyłać radiowóz — zaproponowała policjantka. — To pewnie tylko wygłupy jakichś dzieciaków. Ale ostrożność nie zaszkodzi.

Mack zaczęła, aż Linc odprowadzi oficer Tahir do radiowozu, a potem wyciągnęła telefon.

— Proszę, proszę, kto to dzwoni. Córka, która się mnie wyrzekła — przygadała Andrea po odebraniu telefonu.

— Gdzie jest Wendy? — zapytała beznamiętnym tonem Mack.

— A jakie to ma znaczenie? Znów spróbujesz doprowadzić do jej aresztowania?

— Gdzie ona jest, Andreo?

— Andreo? Jestem twoją *matką*. Masz mi okazywać szacunek, na jaki zasługuję!

— Kiedy zasłużysz na mój szacunek, z przyjemnością ci go okażę. Gdzie jest Wendy?

— Pod prysznicem, szykuje się do pracy.

— Ma pracę?

- Nie udawaj, że nas znasz, Kenzie.
 - Nie nazywaj mnie Kenzie.
 - Potrzebuję pieniędzy, Ken... Mackenzie.
 - To już nie jest mój problem. Wiecznie mnie tylko okłamywałaś i wykorzystywałaś. Te czeki nie były po to, żebyś mogła utrzymywać swojego chłopaka i moją siostrę, która nigdy dobrze mi nie życzyła.
 - Wendy ma ciężki okres od śmierci Powella.
 - Zamknęła mnie w pokoju na dwa dni, gdy miała dziesięć lat.
 - To normalne rzeczy między siostrami. Zawsze byłaś przewrażliwiona, Kenzie.
 - A ty zawsze byłaś zakłamaną alkoholiczką, która nie miała najmniejszego zamiaru się zmienić.
- Mack rozłączyła się w chwili, gdy jej matka zaczęła wyrzucać z siebie kolejne kłamstwa, kolejne wymówki.
- Nie musiała już tego wysłuchiwać.
- Minutę później Linc wszedł z powrotem do środka.
- Chodź — powiedział.
 - Gdzie idziemy?
 - Kupić ten cholerny system dozorowy, którego nie powinienem był wcześniej za twoją namową odpuścić.

Rozdział 57.

Dzień przed Świętem Dziękczynienia Mack usiadła ostrożnie na krześle biurowym w swoim gabinecie i szybko wpisała notatki z wizyty ostatniego pacjenta do portalu.

Usta jej zadrgały, gdy dodała uwagę: „Tak trzymać! Świetna robota!”. Siedemdziesięcioletni Jimmy McGuire zjawił się na zaległym badaniu lekarskim po oświeceniu, jakiego doznał jego kumpel Leroy Mahoney. Dwaj koledzy od wędkowania postanowili zacząć chodzić razem na spacer i spróbować diety peskatariańskiej. Jimmy w ciągu dwóch tygodni schudł już dwa kilogramy, a Mack była pewna, że jego markery zapalne i cholesterol będą zupełnie inne, gdy za trzy miesiące powtórzy badanie krwi.

Mając kilka wolnych minut, otworzyła w telefonie nową wygodną aplikację do kontrolowania bezpieczeństwa w domu i parsknęła, znów oglądając nagranie z kamery z widokiem na ogródek od tyłu, na którym widać było nocny patrol złożony z Linca i Iskierki. Obaj ochroniarze zatrzymali się, żeby jednocześnie wysikać się na trawniku przed powrotem do jej łóżka.

Mężczyźni.

Na biurku zadzwonił telefon stacjonarny. Kiedy sięgnęła po słuchawkę, krzesło szarpnęło pod nią ostrzegawczo.

Unieruchomiła je — i siebie — a potem odebrała telefon.

— Co tam?

— Masz pacjentów z ulicy — oznajmiła wesoło Tuesday.

— W liczbie mnogiej? Grypa czy zapalenie spojówek?

Tuesday się roześmiała.

— Ani jedno, ani drugie, ale zdecydowanie chcesz to zobaczyć.

Mack wstała z krzesła, a potem kopnęła je szybko na bok.

Wsunęła sobie do kieszeni fartucha karteczkę z napisem „zamówić nowe krzesło, do cholery” i wyszła zza rogu prosto na recepcję.

— Niespodzianka!

Mack wpatrywała się z otwartą buzią w Dottie, Wina i Violet Nguyenów, którzy szczerzyli się do niej jak z portretu rodzinnego JC Penney.

— Przyjechaliście wcześniej! — zawołała, gdy została zamknięta w silnych objęciach Dottie. Zawsze trwały dłużej, niż Mack się spodziewała, i zawsze czuła się dzięki temu... bezpiecznie.

— Wyglądasz bardzo poważnie — pisnęła Dottie. Była centymetr czy dwa niższa od Mack i zawsze nosiła krótką, kędzierzawą fryzurę okalającą twarz. Uwielbiała golfy i kolczyki z jakimś motywem. Dziś miała na sobie obie te rzeczy.

Win ubrany w sportowe dockersy podiatry oraz koszulę w kratę i najki, szturchnął Mack.

— Słyszałaś o podiatrze, który miał zły dzień? — Poruszył brwiami nad okularami w srebrnych oprawkach.

Mack zacisnęła usta. Facet przeniósł ojcowskie żarty na jeszcze większe niziny, bo łączył je z kiepskimi kawałami podiatrycznymi.

— Nie.

— Obniżył swoją stopę życiową.

— Tato! — Violet przewróciła oczami. Była niższa niż Mack i, jak to nastolatka, chodziła wiecznie przygarbiona, z uśmiechem rozbawienia na ustach. Przechodziła właśnie przez uroczą fazę fascynacji Nirvaną i grungem z Seattle oraz eksperymentowała z makijażem oczu i flanelą.

Mack się roześmiała. Nic nie mogła na to poradzić.

— Okropne.

Win przyciągnął ją w swoje objęcia.

— Dobrze wyglądasz, doktor O’Neil.

Jej siniaki wreszcie zbladły na tyle, że mogła je ukryć pod warstwą makijażu — na całe szczęście. Nie czuła szczególnej potrzeby opowiadania Nguyenom o ostatnich i ostatecznych zarazem przebojach ze swoją rodziną. Widzieli już wystarczająco dużo. Wyglądało na to, że w końcu nadszedł czas, żeby skupili się na przyszłości.

Objęła Violet za ramiona i ścisnęła ją mocno.

— Kolczyk w nosie, co? — zapytała Mack, dotykając maleńkiego kolczyka w kształcie serduszka w nosie Violet.

— Super, nie? — Faktycznie był super.

— Pasuje do ciebie.

— Tuesday, mogłabyś nam zrobić zdjęcie? — poprosiła Dottie. Wyciągnęła z torebki masywny, niemal zabytkowy aparat cyfrowy i podała go recepcjonistce.

Tuesday spojrzała na ten antyk z obawą i fascynacją. Dottie uwielbiała zdjęcia. Niektóre dzieci, które przyjeła z Winem pod swój dach, nie miały fotograficznej dokumentacji swojego dzieciństwa. Więc Nguyenowie starali się upamiętniać każdą możliwą chwilę dzieci, które trafiły pod ich opiekę.

Kiedy Mack pierwszy raz spotkała się z Nguyenami jako dorosła, Dottie sprezentowała jej album ze zdjęciami z ich

wspólnych dziesięciu tygodni. Do tej pory to był jedyny album ze zdjęciami w posiadaniu Mack. Jej matka zgubiła gdzieś po drodze zdjęcia z okresu niemowlęcego Mack, albo w jakimś na wpół pustym mieszkaniu, albo w domu jednego z licznych „wujków”.

— Mogę zrobić kilka telefonem, nałożyć jakieś śmieszne filtry. Potem je pani prześlę esemesem — zaproponowała Tuesday. Kilka dni wcześniej przez piętnaście minut swojej przerwy obiadowej tłumaczyła Mack działanie aplikacji do obróbki zdjęć.

Violet prychnęła, a potem objęła matkę, która pewnie zrozumiała z tego zdania co drugie słowo.

— Możesz je przesłać do mnie albo do Mack. Potem prześlemy je mamie — podsunęła dziewczyna.

— Chodź tutaj, Mack — powiedziała z naciskiem Dottie, obejmując ramieniem ją i Violet. Win wcisnął się obok Mack.

— Powiedzcie „kaczy dziób” — poleciła Tuesday.

— Kaczy dziób!

Mack dodała w myślach do swojej karteczki w kieszeni notatkę: „Kupić Dottie na święta smartfona”.

Przykleili do ust sztuczne uśmiechy i pozwolili Tuesday zabawić się w Annie Leibovitz, zanim Dottie poprosiła Tuesday, Freidę i Russella, żeby przyłączyli się do „jednego z tych selfie”.

Podczas gdy ona wznosiła achy i ochy na cześć zdolności fotograficznych Tuesday, Win wcisnął ręce w kieszenie i kiwając się na piętach, rzucał tęskne komentarze na temat lunchu. Następne w kolejce miały być żarty na temat hipoglikemii oraz dwadzieścia pytań na temat miejscowych restauracji i ich najlepszych dań.

— Idź — powiedział Russell, kiedy Mack na niego spojrzała. — I tak zamykamy wcześniej. Zabierz rodzinę na lunch.

Rodzinę. To słowo zazwyczaj stawało jej ością w gardle. Oni nie należeli do niej. Ani prawnie, ani biologicznie. Ale, do cholery, mieli miejsce w jej sercu, tam, gdzie liczyło się to najbardziej. Dottie i Win byli najlepszymi rodzicami, jakich mogła sobie wymarzyć.

— Może sprawdź, czy twój przyjaciel płci męskiej może do nas dołączyć? — zasugerowała radośnie Dottie.

— Linc? Och, pewnie będzie zajęty. — Plan miał być taki, że Mack zabierze dziś wieczorem Nguyenów na przyjemną kolację, podczas gdy Linc będzie pracował na nocną zmianę. Mieli go oficjalnie poznać następnego dnia.

— Wydaje mi się, że boisz się go nam przedstawić — zauważyła Violet. — To oznacza, że wstydzisz się nas czy jego?

— Na pewno jego — stwierdziła Dottie, przyłączając się do zabawy. — My jesteśmy super.

Byli super.

— Możesz do niego zadzwonić w drodze do restauracji — zasugerował Win, zerkając nad ramieniem Freidy, która przedstawiała mu lokalne opcje obiadowe. — Jakie specjalności dnia mają w środy? O, patrz tu. Mają je wypisane online.

Mack zaczęła się pocić. Nie taki był plan. Ale czy ona trzymała się jakiegokolwiek planu, odkąd tu przyjechała? Westchnęła, wyciągnęła komórkę z kieszeni fartucha lekarskiego i napisała do Linca esemesa.

Mack: Trochę bez uprzedzenia, ale moja rodzina zastępcza przyjechała wcześniej. Idziemy na lunch do

jadłodajni. Chcesz ich poznać? Nie ma problemu, jeśli nie możesz.

Tak byłoby swobodniej, niż zapraszać ich wszystkich do siebie do domu na kolację. To wydawało się zbyt oficjalne. Swoboda była dobra. Swoboda oznaczała, że nie będzie musiała odpowiadać na pytania dotyczące przyszłości.

Linc: Nie mogę się doczekać, aż ich poznam. Kończę akcję, ale dołączę później. PS Obiecuję, że im nie powiem, jaka jesteś piękna nago.

Twarz Mack zrobiła się czerwona jak burak.

— O-o. Co to za mina? — chciała wiedzieć Dottie. Jej instynktowi macierzyńskiemu nic nie umknęło.

— Nic! — Mack zakasłała. — Uch, może pojedziemy moim samochodem? Linc ma wezwanie.

Owszem, czuła się głupio, że denerwowała się tym, iż jej byli rodzice zastępczy mieli poznać jej dorosłego chłopaka. I tak, wiedziała, że to niemądre. Ale czasem fakty nie zmieniały uczuć.

Pół godziny później, przy kanapkach z pieczoną wołowiną, chrupiących frytkach i, no dobra, nudnej sałatce dla Mack, zobaczyli razem z resztą klientów, jak przed restaurację zajeżdża wóz dowodzenia z włączonymi światłami.

— O Boże. Nie — szepnęła Mack.

Powalający Linc, w spodniach od munduru i z twarzą brudną od sadzy oraz świeżo zabandażowaną lewą dłoń, wysiadł z samochodu, pomachał kilku gapiom i ruszył powoli w stronę wejścia.

Wyglądał jak lalka Ken w wersji strażackiej. A Mack nie umiała zdecydować, czy czuje większą dumę, czy

zażenowanie.

— To *on*? — syknęła Dottie. — Och, dobra robota, skarbie.

— O Boże, Mack. Jeśli to *on*, to przysięgam, że przestanę cię nazywać smutną singielką — odezwała się Violet. Zostawiła na oknie rozsmarowany ślad po makijażu.

— Nieźle. A więc *on* zawodowo gasi pożary i ratuje ludziom życie. Czy potrafi wymienić wszystkie kości śródstopia? — Chciał wiedzieć Win.

Nagle Linc znalazł się w środku i podszedł do nich.

— Cześć, Marzenie. — Pocałował ją w policzek i wręczył Mack, Dottie i Violet po jednej róży wyciągniętej zza pleców.

Kobiety rozplynęły się w zachwycie.

— Mały pożar w chłodni w kwiaciarni — powiedział. — Gloria przesyła pozdrowienia. Wy musicie być rodzicami Mackenzie. Jestem Linc. — Podał Winowi rękę.

Popisywał się. Przed jej rodziną. A ona kochała go za to jeszcze bardziej.

Rozdział 58.

Mack obudziła się w środku nocy w ciszy. Coś wyrwało ją ze snu. To nie było stopniowe przebudzenie pomiędzy jedną a drugą fazą snu. Coś siłą wyciągnęło ją ze snu w stan jawy.

W półmroku zobaczyła Iskierkę, która usiadła obok niej na łóżku i przekrzywiła głowę.

Trzecia nad ranem. To oznaczało oficjalny początek Święta Dziękczynienia.

— Co się dzieje, kochana? — wychrypiała. Drapało ją w gardle, jakby było podrażnione.

Nagle jej zmysły zaczęły działać. W powietrzu czuć było ostry zapach, coś gorzkiego, gryzącego. Coś było nie tak.

Z dołu dobiegał hałas. Szuranie, głucho walenie.

To mógł być Linc. Może wrócił wcześniej z pracy. Ale to nie były jego kroki.

Pistolet znajdował się w schowku w szafie na płaszcze na parterze. Zbyt późno się zorientowała, że to naprawdę głupie miejsce.

Zapaliła nocną lampkę i wzięła telefon. Trzęsącymi się palcami wysłała esemesa do Linca.

Pokój wydawał się zamglony. Mack zamrugła oczami, starając się wyostrzyć wzrok.

Mack: Jesteś u mnie?

Na schodach dało się słyszeć kroki.

Jeszcze zanim drzwi się otworzyły, wiedziała, że to nie on. Postać w drzwiach była obramowana upiorną

pomarańczową poświatą. To nie był Linc. I to nie wschód słońca rozjaśniał wnętrze jej domu.

Tylko pożar.

Z gardła Iskierki wydobyło się niskie, ostrzegawcze warczenie. Jej ciało zeszywniało w pozycji obronnej między Mack i przybyłą osobą.

Do środka leniwie napływał ciemny dym, lepiąc się do sufitu.

Mack na oślep nacisnęła przycisk połączenia awaryjnego w telefonie, a przynajmniej miała nadzieję, że to zrobiła.

— Co tu się dzieje? — zawołała, naciągając na twarz prześcieradło, bo dym gryzł ją w gardło i w płuca.

Postać weszła do środka, wyciągając rękę w kierunku Mack.

Celując do niej z pistoletu.

Iskierka warknęła, a ręka z pistoletem skierowała się w stronę psa.

— Nie! — powiedziała Mack i pociągnęła Iskierkę do tyłu. Postać zamknęła drzwi i wyszczerzyła się w maniakałnym uśmiechu.

— Zgadnij, kto koniec końców wygra, Kenzie?

— Jezu. Co ty zrobiłaś, Wendy?

Wendy stała między Mack i drzwiami, schodami, drogą ucieczki.

— Wszystko mi zabrałaś. Nie mogłaś znieść widoku mojego szczęścia. Teraz moja kolej odebrać wszystko tobie.

Na logikę Mack wiedziała, że nie ma sensu dyskutować ze świrem. Nie było możliwości, żeby jej siostra dostrzegła prawdę. Ale w tej chwili, z adrenaliną krążącą w jej ciele, z pragnieniem, żeby dożyć Święta Dziękczynienia, kiedy to

mieli się zebrać ludzie, których kochała najbardziej, czuła się nieustraszona.

— Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby go ocalić, Wendy. Wszystko. On zmarł jeszcze zanim dotarł do szpitala.

— Zabiłaś go! — wrzasnęła.

— Przysięgam, że nie, Wendy. Bardzo się starałam go ocalić. Starałam się ocalić go dla ciebie. — Musiała zmusić ją do mówienia. Musiała wciągnąć ją w rozmowę do czasu przyjazdu policji albo do chwili, gdy dym zrobi się tak gęsty, że nic nie będzie widać. Wtedy zabierze Iskierkę na dach i uciekną. Jakoś.

— Nie dostaniesz tego, co sama mi zabrałaś.

— Niczego ci nie zabrałam!

— Zabiłaś go! Zrobiłaś to tylko po to, żeby mnie zranić. A teraz ja będę patrzeć, jak płoniesz. I zabiję twojego strażaka, kiedy wejdzie tymi drzwiami, żeby cię uratować!

— Gdzie podłożyłaś ogień, Wendy? — zapytała Mack, zsuwając się z łóżka i mając szczerą nadzieję, że połączenie się nawiązało. Że ktoś w dyspozytorni słyszał, co się dzieje. Na wypadek, gdyby nie przeżyła. Chciała, żeby znali prawdę.

Wendy zachichotała.

— W garażu. Stwierdziłam, że dzięki temu będziemy miały czas na rozmowę, a twój facet będzie miał czas tu dotrzeć, zanim oboje umrzecie.

— Kocham Linca — powiedziała Mack. Nie dla Wendy, ale dla niego. Jeśli nie przeżyje, pozostanie nagranie z jej wyznaniem. — Odłóż broń, Wendy. Nie chcesz strzelać do przedstawicieli służb ratunkowych. Chcesz skrzywdzić tylko mnie. — Zrobiła krok w kierunku siostry.

— Nie ruszaj się! — Pistolet znów w nią celował. — Nie zmuszaj mnie, żebym cię zastrzeliła, zanim dotrze do ciebie dym. Twój chłopak cię znajdzie — powiedziała radośnie. — Znajdzie twoje ciało i będzie wiedział, że nie mógł cię uratować.

— Naprawdę zabijesz nas oboje?

— Będę patrzeć, jak płoniecie — powiedziała z przerażającym uśmiechem. Zaśmiała się.

Iskierka zaskomlała.

W pokoju zrobiło się goręcej i ciemniej. Warstwa dymu pod sufitem zaczęła gęstnieć.

Ekran jej telefonu świecił się niewyraźnie, na wpół ukryty pod poduszką.

Proszę, niech ktoś tego słucha.

Było dziwnie cicho, za wyjątkiem trzaskania ognia, który pochłaniał domek pod nimi.

Wendy kaszlnęła w ramię, na jedną sekundę kierując pistolet w ziemię.

— Nie zabiłam Powella — powiedziała Mack.

— Nieprawda. Zabiłaś. On krzyczał. Tamtej nocy w samochodzie. Nic nie widziałam. Było ciemno, była mgła. Powell śpiewał, a może krzyczał — wymruczała i znów zakaszła.

Jeśli Mack udałoby się ją rozbroić, była szansa, że uda im się wydostać z Iskierką.

Suka przysunęła się bliżej brzegu łóżka. Dach był stromy, ale może uda im się zejść po schodach albo wyjść oknem na dach.

Boże. Wendy znowu uwięziła ją w sypialni na piętrze. Ale Mack nie miała już sześciu lat. I miała cholerną motywację

do życia.

Zrobiło się potwornie gorąco. Linc zajmował się tym zawodowo, wchodzeniem w płomienie. *Linc*. Dym bardzo zgęstniał. Ktoś na pewno zauważył płomienie. Ktoś musiał już zgłosić pożar. Ktoś przyjedzie.

Pot płynął strumieniami po plecach Mack. Włosy lepiły się jej do twarzy.

— Powell przedawkował. Miał w organizmie za dużo heroiny — poinformowała Mack.

— Ja wzięłam metadon. Naćpaliśmy się dla zabawy. Ale nie zauważyłam bariery. — Wendy westchnęła z rozmarzeniem i siadła na brzegu łóżka. — Ale widziałam, jak jego głowa uderza w deskę rozdzielczą.

Mack ściągnęła Iskierkę z łóżka, przycisnęła ją do podłogi, chroniąc przed dymem.

— Zostań, malutka.

Nagle do niej dotarło. Paskudna prawda.

— To ty kierowałaś tamtej nocy. Nie Powell, tylko ty.

Jej siostra zabiła Powella. Jej siostra i jej własne złe decyzje.

— Zamknij się! Zamknij się, kurwa! — Wendy zerwała się z materaca. Trzęsła jej się ręka, gdy odciągała zabezpieczenie w rewolwerze.

W pokoju było bardzo ciemno. Jakby dym wszystko wymazywał.

— *Wiesz, że to nie była moja wina. Sama siebie winisz. Ale łatwiej jest rzucić winę na mnie.*

Mack zdawało się, że słyszy syreny. Miała nadzieję, że to nie ułuda, nie halucynacje.

Wycie było coraz głośniejsze. To nie była jej wyobraźnia.

Pomoc. Linc.

Musiała się stąd wydostać. Musiała wydostać Iskierkę. Mieli przed sobą przyszłość. Cała ich trójka. Czekwały na nich pocałunki. Czekwały niezłożone jeszcze przysięgi. Czekwały nienarodzone dzieci.

Miała zamiar walczyć o niego, o ich przyszłość.

Rzuciła się na siostrę.

W jej uszach zabrzmiał wystrzał z pistoletu.

Rozdział 59.

— Naprawdę nie czuję różnicy — oznajmił Linc. Ściągnął z oczu opaskę i popatrzył na stojące przed nim dwie miseczki chili.

— Serio? Ja użyłem papryczek chipotle i jalapeño — poskarżył się Al.

— Pff. Błagam, amatorze. To jest kiełbasa chorizo — powiedziała z naciskiem Lucille, wskazując na miskę po prawej.

— Jak dla mnie oba smakują jak z puszki — stwierdził Linc.

Rozdziawili usta w absolutnym przerażeniu.

— O Boże. Przecież żartowałem — roześmiał się Linc i otarł usta serwetką.

Rozległ się alarm.

— Do roboty — powiedział.

Wypadli z pokoju i zbiegli na dół po schodach.

Linc właśnie zakładał swój strój ochronny, gdy zadzwoniła jego komórka.

— Cholera. — Miał esemesa od Mackenzie. — Tak, tu Linc.

— Komendancie, mówi Cheryl z dyspozytorni. Mike jest na linii z połączeniem alarmowym. Zostało nawiązane spod adresu doktor O'Neil.

Jego palce zamarły na kurtce.

— Mackenzie.

— To w jej domu. Głosy są zniekształcone. Nie jest sama. Wygląda na to, że osoba, która podłożyła ogień, wciąż tam jest. Sąsiedzi właśnie dzwonią ze zgłoszeniem. Pożar budynku.

— Kurwa, Brody, pali się dom Mack! — zawołał Linc.

Spojrzeni sobie w oczy.

— Jedź — powiedział Lighthorse.

— Już jadę — powiedział Linc dyspozytorce, wsiadając za kierownicę swojego wozu. Wyjechał na sygnale z parkingu.

Strach był żywym stworzeniem, które rozdzierało go pazurami od środka, próbując się wydostać. Linc skręcił w ulicę z piskiem opon.

— Trzymaj się, Marzenie — szepnął. — Tylko się trzymaj.

— Komendancie, według Mike'a to brzmi tak, jakby doktorka mówiła coś o broni.

Widział już płomienie na końcu ulicy. Sąsiedzi zgromadzili się na chodniku, grupki ludzi w piżamach i zimowych płaszczach.

Usłyszał niewyraźny wystrzał.

— Padły strzały — rozległa się informacja z radiostacji. — Wszystkie jednostki na Rosebud Lane dwieście czternaście. Padły strzały. Pożar budynku mieszkalnego.

Zatrzymał się na ulicy i zostawił wóz z włączonym silnikiem, z otwartymi drzwiami. Słyszał dźwięk zbliżających się syren. Jakieś pół kilometra stąd. Nie mógł czekać. Wziął hełm, zarzucił butlę tlenową i przebiegł przez ogródek.

Słyszał szczekanie i wszystko się w nim zagotowało. Jego dziewczyna i pies tam byli. Nie miał zamiaru czekać.

— Komendant do dyspozytorni. Jestem na miejscu. Wchodzę.

— Powodzenia, komendancie — odpowiedziała dyspozytorka.

— Wóz dwieście trzydzieści jeden, jesteście za minutę.

— Wyciągnij ją, komendancie! — zawołał jeden z sąsiadów.

— Uważaj na siebie!

Z życzeniami powodzenia w uszach, Linc nałożył maskę i kopniakiem otworzył drzwi domku.

Gdyby chodziło o innego strażaka i o inny dom, Linc kazałby poczekać na przybycie posiłków. Na dowodzenie. Na plan. Ale chodziło o Mackenzie.

Płomienie objęły już salon i jadalnię. Linc padł na podłogę, bo dym wił się w hipnotyzujących falach, oślepiając go.

Jego rękawica natrafiła na coś, czego nie powinno było tam być. Puszka z gazem. Żeby przyspieszyć palenie. Jezu.

Zaczął pełznąć naprzód w sam środek piekła, kawałki sufitu spadały na niego w zwolnionym tempie. Pożar sam się rozpędzał. Płomienie i ocieplenie, płyty sufitowe. Makabryczna burza.

Nawet nie widział schodów.

— Mackenzie! — zawołał. Ale nie otrzymał odpowiedzi.

Przesuwając się naprzód, bezskutecznie próbował stłumić część płomieni liżących ściankę z regipsu, podłogę.

Schody. Namacał je rękami. Paliły się, niemal roztapiały na jego oczach. Musiał wejść na górę. Wpełznął na pierwszy stopień, potem na następny. Paliła się wykładzina na schodach. Wszystko się paliło.

Coś walnęło go w ramię, a potem chwyciło.

To byli Brody i Schodziarz. Ściągali go ze schodów. Odciągali od jego kobiety. Od jego przyszłości.

— Nie! — ryknął Linc. Zaczął się im wyrywać, ale go nie puścili.

Dotarli prawie do drzwi, a wtedy schody nie wytrzymały i zawały się, wzbijając chmurę pyłu, która wymieszała się z toksycznymi oparami gęstego dymu.

Wyciągnęli go siłą na zewnątrz.

— Komendant i grupa poszukiwawczo-ratownicza wyszli z budynku — oznajmiło dowodzenie z westchnieniem ulgi.

Linc zerwał hełm i maskę.

— Wracam do środka.

Brody zatrzymał go, kładąc mu rękę na piersi.

— Tam ktoś strzelał.

— Czy ja wyglądam, jakby mnie to, kurwa, obchodziło? Mackenzie jest w środku. Iskierka jest w środku. Muszę je wydostać.

— Schody się zawały — przypomniał Schodziarz.

— Nie obchodzi mnie, czy będę się musiał wspinać przy pomocy toporka. Nie pozwolę jej zginąć.

— Za mało miejsca. Nie możemy podjechać bliżej z drabiną i nie możemy wejść przez dach — zaraportował na wydechu jeden z ochotników.

— W takim razie weźmiemy drabinę od tyłu do sypialni.

— Ściągnijmy ją z wozu — powiedział Brody. — Gdzie on jest?

— Na końcu ulicy. Jednostki poustawiane jedna za drugą jak Tupperware.

Ale Linc nie mógł czekać na powrót wolontariusza z drabiną.

— Mam pomysł — powiedział i pobiegł do płotu, do domu.

Niecałą minutę później wycelował Betsy w ogrodzenie na tyłach swojego domu. Nie zastanawiał się. Po prostu przycisnął pedał gazu i roztrzaskał zabytkowym wozem płot.

Wcisnął hamulec. Pół tuzina strażaków przeskoczyło przez zamkniętą furtkę od frontu do bocznej części ogródka. Razem oparli drabinę Betsy o bok domu.

Linc miał serce w gardle, gdy zaczął wchodzić po drabinie.

Musiał uważać. Musiał działać mądrze. Jeśli podpalacz dalej był w środku, jeśli dalej był przytomny, to Linc wystawiał się na cel. Okno w sypialni było zamknięte. Nie było wentylacji. Cały trujący dym został uwięziony w tym maleńkim pomieszczeniu.

To mogła być pułapka, ale to nie miało, do cholery, znaczenia. Miał zamiar wejść do środka.

Poczuł, że drabina trzęsie się pod nim. Ktoś z jego jednostki wchodził za nim.

— Proszę — szepnął Linc. Poczuł pociąganie za nogawkę spodni.

Zatrzymał się, gotowy kopnąć w twarz kogokolwiek, kto tam był.

— Szefie, nie masz maski — powiedziała Skyler i podała mu swoją. — Bierz. Idź.

Nałożył maskę na twarz i wziął też hełm dziewczyny, a potem pokonał dwa ostatnie szczebelki i roztrzaskał pieprzoną szybę.

— Mackenzie! — ryknął.

Ale wystrzał z pistoletu był głośniejszy.

Wskoczył do pokoju, zdezorientowany. Upadł na czworaka. Coś tam było. Jakieś ciało. Jezu Chryste. Iskierka. Jego Iskierka.

— Mackenzie! — znów krzyknął, czując, jak pali go gardło.

— Jestem tutaj. Zabierz Iskrę!

Ona żyła. Ona żyła. Ona żyła.

Nie widział jej, ale Mackenzie żyła.

— Idź w moją stronę, jeśli jesteś w stanie — wrzasnął. — Idź za moim głosem.

Wsunął ręce pod bezwładne ciało Iskierki i podniósł ją do okna.

Czekały już tam ręce, żeby zabrać jego dziewczynkę. Zaczekał, aż ją przejmą, a potem się odwrócił. W pokoju było zupełnie ciemno. Przesunął się szybko na czworakach, macając podłogę. Płomienie już tu dotarły, wślizgiwały się pod drzwiami, pomarańczowe błyski w dławiącym dymie.

— Mackenzie!

— Tutaj!

Jakaś ręka złapała go za kurtkę. Złapał ją i pociągnął, ale się nie ruszyła.

— Utknęłaś?

Z radiostacji Linca rozlegały się powtarzające się prośby o raport sytuacyjny.

— Próbuję wyciągnąć też moją siostrę.

— Twoją siostrę?

— Jest nieprzytomna. Chyba straciła przytomność, kiedy ją uderzyłam!

— Puść ją, Mackenzie.

— Obiecuj, że ją stąd wyciągniesz.

— Przysięgam, że osobiście wyniosę ją z tego domu, ale musisz się w tej chwili ruszyć!

Pociągnął ją z całej siły, nie dając jej nawet możliwości podjęcia decyzji.

— Zabierzcie moją dziewczynę! — krzyknął i wypchnął kaszlącą Mackenzie głową naprzód przez okno. Zaczekał, aż zniknęła w ciemności nocy na drabinie, a potem przepętlzył z powrotem w głąb sypialni. W takim małym pomieszczeniu nie było trudno odnaleźć jej siostrę.

Jej ciało leżało bezwładnie na podłodze w nogach łóżka. Obok niej znajdowało się coś małego i metalowego. Pistolet. Zagroziła Mackenzie drzwi pistoletem. Schował go do jednej z zewnętrznych kieszeni w swoim kombinezonie.

Postanowił nie myśleć. Postanowił nie przyjmować do wiadomości wściekłości, która rozgorzała pod jego strojem ochronnym bardziej niż liżące go płomienie.

— Komendant Reed, wychodzę z budynku z trzecią poszkodowaną — warknął do radia.

Drabina była ustawiona zbyt stromo, żeby dwuosobowa ekipa mogła przejąć kobietę. Przerzucił ją sobie przez ramię i wszedł na drabinę Betsy.

— Linc, pospiesz się! — usłyszał z dołu krzyk Mackenzie.

Zaczął powoli schodzić. Tymczasem świat nad nim zamigotał w płomieniach. Zawalił się sufit pomiędzy parterem i piętrem. Kiedy jego stopy dotknęły ziemi, część dachu zapadła się na sypialnię.

Linc podał siostrę Mack załodze karetki i otworzył ramiona.

Mack wpadła w nie i wtuliła twarz w jego pierś.

— Mackenzie. Kotku. — Ściągnął maskę i pogładził jej twarz. — Otwórz oczy.

Kiedy to zrobiła, kiedy zobaczył ich butelkową zieleń i łuk jej ust, znów zaczęło mu bić serce.

— Przyszedłeś — szepnęła.

— Ma się rozumieć, że przyszedłem. Strasznie cię przepraszam, że mnie tu nie było.

— Ale teraz jesteś. — Jej ciałem wstrząsnął atak kaszlu.

Khalil, ratownik medyczny, uklęknął.

— Podłączyliśmy twoją blondynkę pod tlen — powiedział.
— Zerknijmy teraz na twoją brunetkę.

— Nic mi nie jest — powiedziała z naciskiem Mack. — Czy moja siostra żyje?

— Nie oddycha. Brak akcji serca — poinformował Khalil.

Mack rzuciła się na kolana obok deski ortopedycznej, na której ułożono Wendy, i przegoniła machnięciem ręki ratownika z karetki. Zaczęła nasłuchiwać oddechu.

Linc ściągnął swoją kurtkę i zarzucił jej na ramiona, a potem odsunął się i patrzył, jak Mack zaczęła wykonywać masaż serca kobiecie, która próbowała ją zabić.

— Nic ci nie jest, Komendancie Idioto, który nie potrafi trzymać się protokołu? — zapytał Ty, podchodząc do nich.

Linc przeczesał włosy trzęsącymi się dłońmi.

— Być może już do końca życia coś mi będzie — zawyrokował, ocierając nos ręką.

Ty przyciągnął go i przytulił mocno jedną ręką.

— Wystraszyłeś nas nie na żarty, kiedy wpadłeś przez okno do środka po tym wystrzale.

Linc poklepał się po ciele. Nie wyczuwał żadnej dziury.

— Musiała trafić w ścianę albo we framugę okna — stwierdził. — Masz rękawiczki?

— Mogę załatwić jedną parę.

— Mam w spodniach broń — powiedział Linc.

— Już się na to nie nabiorę — odparł Ty.

Dobrze było się roześmiać i rozluźnić trochę przerażenie, które wciąż ścisnęło go za serce.

Kiedy Ty wyciągnął pistolet z kieszeni spodni i włożył go do koperty dowodowej, Linc podszedł do swojej pierwszej dziewczynki.

Iskierka patrzyła na niego z koca, na którym jeden z jego strażaków i jakiś ratownik medyczny dotrzymywali jej towarzystwa. Zamachała ogonem, a maska na jej nosie zaparowała. Jego śliczna dziewczynka oddychała.

Położył się obok niej na zimnej ziemi.

— Cześć, ślicznotko.

Ogon zamerdał trochę mocniej, gdy suka przysunęła się do niego. Linc pogładził ją od głowy po sam ogon. Iskierka przytuliła się do niego.

Gdzieś za nim zrobiło się zamieszanie.

Wszyscy zdawali się mówić jednocześnie.

— Jest puls! — zawołała Mackenzie. Zrzuciła z siebie jego płaszcz i koc, który ktoś jej podał.

— Jest krwawienie! — krzyknął Khalil, ale nie patrzył na Wendy.

Ludzie zebrali się wokół nich, ale Linc zdążył wcześniej dostrzec czerwoną plamę poszerzającą się na białej koszulce Mack.

Znów zerwał się do biegu.

— O co wam wszystkim chodzi? — chciała wiedzieć Mack, gdy jakiś ratownik usiłował położyć ją na noszach. — Zostawcie mnie!

Linc zatrzymał się obok niej.

— Mackenzie, dlaczego ty, do cholery, krwawisz?

Podciągnęła koszulkę i spojrzała na nieduży otwór w brzuchu.

— O cholera.

— Jezu, Marzenie, zostałeś postrzelona.

— Yhy — powiedziała ze zdumieniem na twarzy. — Iskierka rzuciła się na nią, kiedy rozbiłeś szybę. Próbowałam ją zasłonić. Chyba mi się udało.

Miała całkiem potargane włosy. Na jej twarzy widniały smugi sadzy i brudu, a ona wyrywała się ratowniczcze, która usiłowała rozciąć jej koszulkę. Odepchnęła jej rękę.

— Nie odsłonisz moich cycków na oczach moich współpracowników! Zwłaszcza że za cztery godziny muszę upiec chleb kukurydziany na Święto Dziękczynienia! O cholera! Linc, możesz skoczyć do sklepu? Wszystkie składniki były tam. — Wskazała na dymiące morze ognia.

Jej dom spłonął doszczętnie. Strażacy przedostali się na tylne podwórko za pomocą toporków przez furtkę ogrodową. Jej siostra próbowała zamordować ich oboje. A ona martwiła się o Święto Dziękczynienia.

— Marzenie? — Linc ujął jej twarz w obie dłonie. Czuł strumień potu parujący w powietrze z jego głowy i szyi.

— Tak? — Skrzywiła się, bo ktoś ucisnął cholerną ranę postrzałową zadaną przez jej siostrę.

Ożeni się z tą kobietą. I w każde Święto Dziękczynienia będzie opowiadał ich dzieciom o tym, jakie mają szczęście, że ich mama jest bohaterką. Musiał natychmiast

przypieczętować sprawę. Nie zmarnuje ani jednej sekundy więcej na życie osobno, na mieszkanie w osobnych domach.

— Nie waż się tego robić, Lincolnie Reedzie — warknęła Mackenzie, celując palcem w jego twarz.

— Czego?

— Masz na twarzy wypisaną chęć oświadczyć. Jeśli mi się teraz oświadczysz, bez pierścionka, w chwili, gdy ta bardzo uparta kobieta próbuje pokazać wszystkim służbom ratowniczym w Benevolence moje cycki, to powiem „nie” i zrobię to z pełnym przekonaniem.

— Jedziesz z nami, komendancie? — zapytał Khalil, gdy zaczęli wieźć Mack na noszach w stronę rozwalonej furtki do jednej z czekających karetek.

— A żebyś wiedział, że jadę.

— Wszyscy przesadzacie. To powierzchowna rana, do cholery. Jezu, sama bym ją mogła opatrzyć — skarżyła się.

— Lepiej postaraj się o pierścionek — powiedział Brody, klepiąc Linca w ramię.

Linc przyciągnął go do siebie w mocnym uścisku.

— Dzięki, że przy mnie byłeś, bracie. Weźmiesz Iskierkę?

— Już dzwoniłem do żony. Właśnie smaży twojej malutkiej steka.

— Dzięki, stary.

— Wesołych świąt!

Linc wszedł do karetki i pochylił się nad Mackenzie. Ratownicy założyli jej maskę tlenową i podali środki przeciwbólowe. *Nie będzie z tego zadowolona*, pomyślał z uśmiechem.

— Marzenie, jeśli kiedykolwiek będziesz miała choć cień wątpliwości co do tego, jakim jesteś człowiekiem, to

trzepnę cię w łeb i przypomnę, że uratowałaś życie kobiecie, która próbowała cię zabić.

— I to wszystko w ciągu jednej zmiany — powiedziała sennym głosem Mack.

— Jesteś moją bohaterką, Marzenie.

— A ty moim bohaterem, Szpanerze.

Rozdział 60.

W szpitalu było jak w zoo. Można było odnieść wrażenie, że zjawilo się tam pół miasta, łącznie z przybranymi rodzicami i siostrą Mack, żeby sprawdzić, czy nic jej nie jest. Zanim wszyscy mieli pewność, że Mack żyje, i zanim w końcu ją wypisano, była dziewiąta rano i zarówno ona, jak i Linc byli wykończeni i głodni.

Zdaniem Mack zrobiono za duże zamieszanie o ranę postrzałową, która nie trafiła w żadne ważne organy.

Skyler i Zane podrzucili pod szpital samochód Linca i zapobiegliwie zostawili ubrania na zmianę dla nich obojga. Linc i Mack przebrali się w jednakowe bluzy z logo jednostki, a potem Linc wywiózł Mack ze szpitala na wózku, jakby była jakimś cennym ładunkiem.

Ziewnęła rozdzierająco na siedzeniu pasażera.

— *Nie* tak wyobrażałam sobie to Święto Dziękczynienia — westchnęła.

— Marzenie, każdy dzień z tobą jest darem — powiedział Linc, splatając się z nią palcami. — Podziurawionym kula, napędzanym pożarem darem, podczas którego wszyscy moi koledzy z pracy mogli zobaczyć idealne piersi mojej dziewczyny.

— Hura dla nich — skwitowała sarkastycznie.

— Jak za starych, dobrych czasów? — zapytał, wskazując na coś palcem przez przednią szybę.

— O tak.

Zatrzymali się w jadłodajni, usiedli przy „swoim” stoliku, tym razem po tej samej stronie boksu.

Kelnerka, ta sama kobieta, która obsługiwała ich za pierwszym razem, przerwała przedstawianie dania dnia, żeby im się przyjrzeć. Oboje mieli na twarzach siniaki, niektóre świeże, inne już blednące. Warstwę brudu. Linc miał też na szyi i brodzie zaschniętą krew Mack. Kelnerka chrząknęła.

— Niektórzy mają naprawdę ciężko w święta.

Mack prychnęła herbatą przez nos, a Linc położył głowę na stole i śmiał się tak długo, aż nie mógł złapać oddechu.

Po powrocie do domu — do tego, który nie został doszczętnie spalony — rozebrali się i padli na łóżko Linca. Wyczerpani zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Mack obudziła się kilka godzin później. Kręciło jej się w głowie i była dezorientowana, ale było jej ciepło i bezpiecznie w objęciach Linca. Bok bolał ją tak, jakby kilka tuzinów szerszeni przypuściło na nią atak, ale poza tym czuła się zdumiewająco radośnie.

Linc poruszył się przy niej i wtulił twarz w jej włosy.

— Śmierdzimy — westchnął, ale nie wykonał żadnego ruchu, żeby ją puścić.

— Pysznic? — zaproponowała.

— Pysznic.

Umyli się ostrożnie, delikatnie, a potem przez bardzo długi czas patrzyli przez okno na siłowni Linca na zwęglony szkielet budynku, który Mack nazywała domem przez ostatnie trzy miesiące, na zgruchotane pozostałości płotu.

— No to chyba się do ciebie wprowadzam — zauważyła znad zielonej herbaty.

— A żebyś wiedziała — powiedział.

— Biedna Betsy.

— Byłaby dumna z tego, że oddała życie w ten sposób — stwierdził. Choć Mack pomyślała, że miał trochę zaszklony wzrok, gdy patrzył na wrak swojego wozu. Ktoś zapobiegliwie przepchnął go na jego podwórko. Przednia część Betsy została zmiażdżona, nieskazitelna karoseria była odrapana. Zderzaki były wgniecione. Mack obstawiała, że ponowna renowacja wozu zajmie kolejne pięć lat.

— Wiesz, przyjechałam tu w poszukiwaniu spokoju — powiedziała.

— Przyjechałaś tu w poszukiwaniu nowej przygody — poprawił. — I znalazłaś mnie.

— Może nauczę się robić galaretkę.

— A ja zacznę brać udział w zawodach *cornhole* — postanowił.

Mack znów popatrzyła na zgliszcza.

— Nie mogę przestać myśleć o tych wszystkich koronkowych serwetkach, które zginęły w płomieniach.

Linc prychnął.

— Może to mogłoby być twoje nowe hobby. Niepalne serwetki koronkowe.

Odstawiła kubek i przesunęła dłonie w górę jego klatki piersiowej.

— Albo — tak tylko rzucam pomysł — moglibyśmy po prostu uprawiać cały czas dużo seksu.

— E-e, Marzenie. Zero seksu do czasu wizyty kontrolnej w związku z twoją raną. Zalecenie lekarza.

— Zapytałeś o to doktor Ling? — Mack była przerażona.

— Owszem. I dopytałem dla pewności Russella. Potwierdził. Miałem przecucie, że będziesz chciała mnie

uwieść.

Rozległo się pukanie do drzwi. Mack jęknęła.

— Domyślam się, że nie możemy się tu zaszyć na resztę weekendu, prawda?

— Kotku, zostałam postrzelona podczas pożaru, ratując mojego psa przed twoją szurniętą siostrą. Mamy szczęście, że dali nam spokój na aż tak długo.

— Przykro mi, że zepsuliśmy wszystkim święta — powiedziała. — Poza tym miałam naprawdę dobry przepis na chleb z mąki kukurydzianej. Z piwem i serem.

— Jestem pewny, że wszyscy sobie jakoś poradzili. Pewnie zamówili pizzę albo coś na wynos, a potem ucięli sobie drzemkę u kogoś przed telewizorem. Słyszałem, jak moja siostra rozmawiała w szpitalnianej poczekalni z twoimi rodzicami zastępczymi na temat piekarnika.

Na progu domu Linca zobaczyli szeryfa Tya Adlera w czystym mundurze. Przed budynkiem stał zaparkowany jego radiowóz.

— Soph przesyła ci to — powiedział, podając torbę z ubraniami. Wygodne getry, miękki sweter, stanik i szminka w intensywnym czerwonym kolorze.

— Dzięki — powiedziała Mack, przyciskając torbę z wdzięcznością do piersi. — Przyjechałeś zdać nam sprawozdanie?

— Mogę to zrobić po drodze.

— Po drodze dokąd? — zainteresował się Linc.

— Mamy do załatwienia jedną sprawę, to wszystko — wyjaśnił wymijająco Ty.

— Mack może złożyć zeznanie jutro — warknął Linc.

— W porządku — westchnęła Mack. — Miejmy to już za sobą.

— Zawiozę was — zaproponował Ty.

Najpierw się przebrali, a potem szeryf zgarnął ich szybko. Linc zgrywał nadopiekuńczego bohatera i nie odstępował Mack na krok. Uparł się, że oboje pojedą z tyłu.

— Więc w dużym skrócie — odezwał się Ty, zerkając na nich w lusterku wstecznym. — Wendy żyje dzięki naszej doktor O’Neil. Doznała zatrucia dymem i poparzeń. Ale mamy jej odciski palców na puszcze z gazem i nagranie z twojego własnego systemu dozorowego, zanim się stopił, na którym widać, jak wchodzi do twojego garażu. Ukradła dodatkowy pilot do bramy garażowej z szuflady w kuchni, kiedy włamała się do ciebie tydzień temu. Była agresywna i z tego, co wiem, najpierw spotka się ze szpitalnym psychiatrą w celu ewaluacji, a potem zostanie przewieziona do więzienia na bardzo, bardzo długo.

— Jesteś pewny, że on nie chce nas z jakiegoś powodu aresztować? — szepnęła Mack, przysuwając się do Linca.

— W Benevolence nigdy nic nie wiadomo. Ale myślę, że sobie z nim poradzimy, jeśli będzie próbował jakichś nieczystych zagrywek. — Linc pocałował ją w głowę i przyciągnął bliżej siebie.

Radiowóz zajechał przed remizę.

— To nie jest komenda policji, szeryfie Ciemnoto — zauważył Linc.

Ty zawył krótko syreną, a wtedy podniosła się środkowa brama garażowa.

— O Boże — powiedziała Mack i wyprostowała się na siedzeniu.

— Wygląda na to, że jednak będziesz miała swoje Święto Dziękczynienia — zauważył Linc.

— Przysięgam na Boga, że jeśli ktoś odkorkuje szampana, to spadam — szepnęła, gdy oboje wysiadali z samochodu.

Wszyscy tam byli. Dottie, Win i Violet. Siostry Linca z rodzinami. Strażacy i załoga pogotowia ratunkowego z rodzinami. Harper i Luke. Gloria i Aldo. Sophie i wszystkie dzieciaki. *Strasznie dużo dzieciaków*. Pani Moretta i jej chłopak futbolista gawędzili z matką Glorii oraz z Claire i Charliem Garrisonami. Russell i Denise stali razem ze Skyler. Freida i jej mąż. Tuesday i jej chłopak. Była też Joni z połową babek z babskiego wieczoru.

Iskierka, wyglądając paradnie w apaszcze z motywem indyków i dyni, podbiegła do nich. Ktoś musiał ją wykąpać.

— Cześć, dziewczynko! Byłaś bardzo dzielna — powiedziała Mack, zanurzając twarz w futrze psa.

W remizie pachniało domowym jedzeniem i szczęściem.

Ktoś przywiózł do garażu duży telewizor i włączył mecz.

— No proszę. W końcu użyliśmy tego przedłużacza — powiedział Linc.

Rozstawiono stoły i nakryto je brezentem. Stosy papierowych talerzy, kubków i sztućców czekały na użycie.

Nguyenowie praktycznie rzucili się na nią i nie cofnęli do czasu, aż Mack skrzywiła się przy jakimś zbyt mocnym uścisku. Przekazywano ją sobie z rąk do rąk, już ostrożniej, aż ktoś krzyknął:

— Czas na jedzenie!

Ellen i jej teść wprowadzili używany zwykle przez mechaników stół na kółkach z tacami pełnymi indyka, nadzienia, tłuczonych ziemniaków i wszystkich możliwych dodatków. Za sosjerkę posłużyła stara miska olejowa.

— Kto jest gotowy na małe Święto Dziękczynienia?

— To jest niesamowite. Nie wiem, co powiedzieć — odezwała się Mack. Odnalazła dłoń Linca i ścisnęła ją mocno.

Podniósł jej kłykcie do ust i pocałował je lekko.

— Będziemy musieli zaprosić wszystkich tych ludzi na ślub.

— Będzie nam potrzebna większa stodoła — stwierdziła przewidująco.

— Linc, mama i tata połączyli się przez FaceTime — powiedziała Christa, unosząc telefon.

— Idź — powiedziała Mack i popchnęła go lekko w stronę rodziny.

— Juhu, doktor Mack! — Freida zamachała palcami przed twarzą Mack i zachichotała.

— Mamy dla ciebie mały prezent. Skoro zostajesz z nami — powiedział Russell i puścił do niej oko. Wyglądał jak zwykle elegancko w swojej koszuli w kolorze ciemnego grafitu. Ale za to krawat miał motyw indyków z kreskówki. Wskazał na nakrytą brezentem górkę za swoimi plecami.

Tuesday zerwała teatralnym gestem plandekę i odsłoniła nowe krzesło biurowe z lśniąco białą skórzaną tapicerką.

— Ojej — powiedziała Mack i przycisnęła palce do ust.

— Cieszymy się, że postanowiłaś zostać. Odwalimy tu kawał dobrej roboty — stwierdził Russell.

— Tak będzie.

Usiadła na swoim nowym krześle i zjadła pełny świąteczny posiłek, podsuwając Iskierce kawałki indyka pod stołem. Nadrobiła wszystkie zaległości z Nguyenami i zaplanowała kolejne odwiedziny na wiosnę.

Linc trzymał cały czas rękę na jej kolanie pod stołem.

— To *najlepsze* Święto Dziękczynienia w moim życiu.

— Zostałaś postrzelona i spalił się twój dom — przypomniał jej.

— No cóż, poznałeś moją siostrę. Poprzeczka nie była ustawiona zbyt wysoko.

— Marzenie, obiecuję, że przed nami dużo dobrych chwil. Dużo miłości. Dużo śmiechu. Dużo tego wszystkiego. I dużo mniej pożarów i ran postrzałowych.

Wierzyła mu. Ufała, że dotrzyma obietnicy.

— Pojawileś się, kiedy cię potrzebowałam. Zawsze będę za to wdzięczna.

— A ja zawsze będę przy tobie, Marzenie.

Epilog

To był jeden z tych rześkich, zimnych wieczorów, dzięki którym każdy na pewno wiedział, że nadeszła zima. Lampki świąteczne zdawały się błyszczeć wyjątkowo jasno na zimnie, odbijając się od pięciocentymetrowej warstwy śniegu, który spadł wcześniej tego dnia w Benevolence. Nie na tyle dużo, żeby zablokować ruch drogowy albo zaprzepaścić świąteczne plany wyjazdowe. Ale wystarczająco, żeby poczuć prawdziwe białe święta.

— No dobrze, moi drodzy. Przechodzimy do następnego domu — powiedziała Mack przez megafon, który pożyczyła od Linca. Spacer Świątecznych Świątełek był pierwszym oficjalnym wydarzeniem w Klubie Wellness w Benevolence.

Mack nie była pewna, ilu uczestników się spodziewać, więc bardzo się ucieszyła, kiedy przed remizą strażacką zebrało się siedemdziesiąt pięć osób w zimowej odzieży.

— Naprawdę wspaniale, Marzenie — powiedział Linc, trzymając ją za rękę, gdy prowadzili grupę chodnikiem w kierunku migocącego widowiska na sąsiedniej ulicy.

Od Święta Dziękczynienia wszystko układało się naprawdę wspaniale.

Siniaki się wygoiły. Podobnie jak rana postrzałowa. Choć ta może trochę wolniej. Mack siedziała za biurkiem w gabinecie na nowym krześle. A każdego wieczora spotykała się z Linkiem w domu. Wspólne zamieszkanie było koniecznością, ale taką, do której oboje szybko przywykli. Iskierka — która w tej chwili gryzła swoje rogi renifera — była szczęśliwa, że w końcu ma dom z dwójką rodziców.

Członkowie Klubu Wellness zaczęli wyrażać głośno swoje zachwyty, gdy podchodzili bliżej domu Garrisonów.

— A niech to — powiedziała Mack. — Niezła robota, Szpanerze. Miło, że pomogłeś Luke'owi.

Linc wyszczerzył się w uśmiechu.

— Tak. Zrobiłem to, żeby poznać wszystkie jego tajemnice. W przyszłym roku skopię mu tyłek w dekoracjach świątecznych. Nawet nie będzie widział, skąd nadszedł cios.

Mack się roześmiała i wzięła Iskierkę, podczas gdy Linc poszedł poszukać Luke'a.

Harper zeszła szybko z ganku, otulona jasnoczerwoną parką.

— Twój dom wygląda niesamowicie — pochwaliła Mack.

Tak było. Znajdowały się na nim tysiące lampek. Każde okno, każda para drzwi były obramowane białymi świątecznymi światełkami. Kolumny na ganku zostały oplecione tak ciasno, że nie było nawet widać drewna. Dach był oświetlony jak pas startowy. Z każdego okna zwisały wieńce. Ścieżka od chodnika do ganku była rozjaśniona laskami cukrowymi.

— Dziękuję — powiedziała rozpromieniona. — Luke co roku posuwa się coraz dalej.

— Myślę, że robi to dla ciebie — stwierdziła Mack.

Oczy Harper wypełniły się łzami, w których odbiły się roztańczone światełka pokrywające każdy skrawek jej domu.

— Nie mogę uwierzyć, że mogło mnie to wszystko ominąć. Że mogłam odejść. *Zamierzałam* odejść. Wyjechać. Zacząć od nowa. A wtedy ominęłyby mnie najwspanialsze rzeczy w moim życiu.

Pitbull Lola w sweterku ze Świętym Mikołajem i maleńki Max z muszką czekały wesoło na dmuchanego bałwana w ogródku od frontu.

Dzieciaki wbiegały w tłum i wybiegały z niego, bawiąc się w ganianego z rękawiczką w reniferki. Luke i Linc stali obok siebie na szeroko rozstawionych nogach z rękami skrzyżowanymi na piersiach i podziwiali swoją pracę.

Po twarzy przyjaciółki spłynęły łzy. Łzy radości i wdzięczności, szczęścia, które aż się z niej wylewało.

— Cieszę się, że zostałam — powiedziała Mack, chrząkając.

— Cieszę się, że ty zostałam — powiedziała Harper i objęła ją mocno.

Mack otarła nos rękawem. Nie wypadało, żeby miejscowa lekarka rodzinna szlochala w Wigilię na chodniku.

— Marzenie, musimy wrócić do domu i jak najszybciej rozebrać się do naga, bo inaczej wpadnę w hipotermię — marudził Linc, gdy gdzieś go prowadziła. Nie był pewny gdzie, bo uparła się, żeby zamknął oczy. Wiedział tylko, że zaczęła go ciągnąć zaraz po zakończeniu Spaceru Świątecznych Świątełek.

— Tak, tak. Już niedługo. Obiecuję.

— Jest wigilia. Chcę odpakować swój świąteczny prezent.

— Już prawie jesteśmy — obiecała bez tchu.

— A przez „świąteczny prezent” mam na myśli ciebie, a przez „odpakowanie” rozumiem zdjęcie z ciebie ubrań.

— Dobrze. Możesz już otworzyć oczy. — Mack brzmiała niezwykle radośnie.

Linc otworzył oczy. Mack podskakiwała na palcach z dłońmi złożonymi pod brodą. Stali przed dawną remizą. Iskierka tańczyła obok z podekscytowaniem.

Popatrzył na okna na piętrze. Dokładnie tam, gdzie zaledwie kilka tygodni temu pieprzyli się bez opamiętania.

— Ponieważ twój dom jest za mały, a mój spłonął, pomyślałam, że potrzebujemy bardziej trwałej opcji — powiedziała radośnie.

— Kolejnej opcji? — powtórzył.

— Do zamieszkania.

— Chcesz tu mieszkać? Ze mną? — Był wniebowzięty. Absolutnie całkowicie wniebowzięty.

Pokiwała głową.

— Taki jest mniej więcej plan. To znaczy jeśli masz na tyle rozumu w głowie, żeby się zorientować, że to świetne rozwiązanie.

Linc miał trudności ze zrozumieniem tego, co mówiła.

— Wytlumacz mi to wszystko jeszcze raz — poprosił ochryłym głosem.

— Wybieram cię. Decyduję się na ciebie. I pytam cię, czy...
— Głos uwiązał jej w gardle. Słowa ją zawiodły.

Marzenie nigdy nie traciła opanowania.

— Wszystko w porządku? — Wyciągnął do niej rękę, ale cofnęła się o krok.

Pokręciła ze zniecierpliwieniem głową i nabrała powietrza.

— Pytam cię, Lincolnie Reedzie, czy się ze mną ożenisz. Czy wprowadzisz się ze mną do tej remizy. Czy pomożesz mi zapaść tutaj korzenie.

Iskierka zaszczekała radośnie, jakby rozumiała wszystko to, co z trudem docierało do Linka.

— Co? Czekał. Co? — Kiedy tym razem przyciągnął ją do siebie, pozwoliła mu na to.

— No przestań! Pytam, czy poprowadzisz mnie do ołtarza, Szpanerze. — Uśmiechnęła się do niego szeroko i zarzuciła mu ręce na szyję. — Powiedz „tak”.

Był najszczęśliwszym skurwysynem na świecie.

— A żebyś wiedziała, że się z tobą ożenię — powiedział, unosząc ją nad ziemią i kręcąc się razem z nią. Iskierka zataczała wokół nich szaleńcze kręgi.

— Wiedziała, że jesteś przystojny *oraz* mądry — roześmiała się Mack. Zaciśnęła mocniej ręce wokół niego, a on zauważył błyszczące łzy w tych pięknych butelkowozielonych oczach.

— Jesteś tego pewna?

Pokręciła głową.

— Robię w gacie ze strachu. I dlatego wiem, że będzie dobrze.

— Nie zawiodę cię, Marzenie — obiecał solennie.

Mack uśmiechnęła się pod nosem.

— Wiem, że *ty* nie zawiedziesz. A ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby odwzajemnić się tym samym. To będzie szalona przygoda.

— Dopilnuję, żeby tak było — zapewnił żarliwie.

— To jest ruina — uprzedziła. — Obeszłam już budynek z Lukiem. Trzeba będzie włożyć mnóstwo pracy w to, żeby to miejsce nadawało się do zamieszkania.

— Szalona przygoda — powtórzył Linc, czując, że coś go ściska za serce.

Wybrała go. Mackenzie O'Neil wybrała go, żeby spędzić z nim resztę życia. Nie był po prostu szczęściarzem. Był wybrańcem losu.

— Chyba naprawdę podoba ci się ten pomysł — szepnęła, przyciskając się do twardego wybrzuszenia w jego kieszeni.

Dopiero wtedy mu się przypomniało, co tam włożył.

— A skoro o tym mowa, Marzenie — powiedział i wsunął rękę do kieszeni.

— Ani się waż teraz obnażać — syknęła.

— Nie obnażam się.

Ale jego skarga utonęła w skrzypieniu podnoszącej się bramy garażowej w remizie. Zobaczył stopy. Dużo stóp. I opony. I lśniąca chromowaną kratkę.

— Co ty zrobiłaś? — zapytał. Iskierka wbiegła pod bramę i zniknęła.

Mack wyszczerzyła się do niego w uśmiechu i wtuliła twarz w jego pierś.

— To prezent z okazji zaręczyn.

Jego załoga, szczerząca się w uśmiechu jak wariaci, stała wokół jego ukochanej Betsy. Jego zabytkowego wozu strażackiego Mack B85 z 1954 roku. Ale pojazd nie był już wrakiem jak wcześniej. Był nieskazitelny, idealny.

— Jak? — Tylko to jedno słowo zdołał z siebie wydobyć.

— Abner Kersh i warsztat Shorty'ego pomogli przy nadwoziu, ale twoi ludzie zrobili resztę — wyjaśniła Mackenzie.

— Dużo dla nas robisz, szefie — powiedział mu Brody z doczepioną brodą świętego mikołaja. — To nasze podziękowanie.

— Zamknij się, do cholery — powiedział Linc, czując, jak coś go ściska za gardło.

— Sam się zamknij, do cholery — odparował Brody i przyciągnął go do siebie w uścisku.

— Dzięki, komendancie — powiedziała Kelly, przepychając się łokciami do grupowego uścisku.

Były objęcia, kilka męskich łez i mnóstwo zachwyconego kiwania głowami, gdy chodzili razem z nim wokół Betsy.

— Kto chce piwo? — zakrzyknął ktoś.

— Ja! — odpowiedzieli wszyscy jednym głosem.

Linc znów odnalazł drogę do Mackenzie. Zawsze ją odnajdzie.

— Chyba byłaś dosyć pewna tego, że powiem „tak” — zazartował, obejmując ją w pasie i opierając się czołem o jej czoło.

Uszczypnęła go w tyłek.

— To było tylko na zachętę. No bo już kupiłam remizę.

— Doktor Marzenie weszła w posiadanie nieruchomości?
— zakpił.

— Doktor Marzenie i Komendant Marzenie weszli w posiadanie nieruchomości — poprawiła.

— A skoro o tym mowa — odezwał się i znów wsunął rękę do kieszeni. — Iskra, do nogi.

Iskierka podbiegła do nich truchtem i posadziła zadek na zimnym betonie.

— Mackenzie O’Neil, czas dokonać formalności — powiedział Linc i wyciągnął z kieszeni pudełeczko.

— Zamknij się — powiedziała, przysuwając do ust dłoń w rękawiczce.

— Zamknę, kiedy już włożysz ten cholerny diament na palec — obiecał.

Mack zerwała z ręki rękawiczkę i rzuciła ją na ziemię.

Iskierka podniosła ją usłużnie i patrzyła maślanym wzrokiem, jak jej mamusia i tatuś dokonują formalności przy pomocy czegoś błyszczącego oraz długiego, słodkiego pocałunku.

Jeszcze jeden epilog

Kilka lat później...

— Pakujesz niezły sprzęt, Marzenie — powiedział Linc, patrząc, jak jego żona wpycha do torby lustrzaną kamerę z zoomem.

Spojrzała na niego.

— Czy muszę ci przypominać, że to pierwsze przedstawienie bożonarodzeniowe Casey i że Hadley dostała rolę pierwszego renifera? Nie możemy uronić ani sekundy. — Przerwała pakowanie i połaskotała niemowlę, które bujał. — Ty będziesz filmował, zgadza się?

— Nie, nie będę. A ty nie będziesz robiła zdjęć. — Uniósł dłoń, bo Mackenzie już otwierała usta, żeby mu powiedzieć, że zachowuje się jak idiota.

— Zapłaciłem Skyler i Zane'owi po pięćdziesiąt dolarów, żeby zajęli miejsca w pierwszym rzędzie i udokumentowali dla nas całe przedstawienie. Dzięki temu my będziemy mogli być w pełni obecni i pozwolić naszym dziewczynkom się zadziwić, a być może nawet zawstydzić — bo Hadley *nie* ćwiczyła do numeru tanecznego, póki nie zaangażowałem chłopaków.

Te zielone oczy spojrzały na niego, zapierając mu jak zawsze dech w piersiach.

— Komendancie Reedzie, jesteś geniuszem.

Niemowlak leżący obok nich na kocu zamachał pulchnymi rączkami i puścił bańkę ze śliny w ramach aprobaty.

— Widzisz? Lucas się zgadza — powiedziała i uśmiechnęła się do ich najmłodszego dziecka. Pół roku i już oficjalnie uzyskał tytuł Największego Flirciarza, poza swoim ojcem. Dorosłe kobiety rozpływały się nad jego niebieskimi oczkami i okrągłymi policzkami.

Zdaniem jego starszych sióstr był czarujący, z wyjątkiem momentów, gdy wchodził w tryb hysterii, co nie zdarzało mu się już aż tak często, jak w początkowych miesiącach. A teraz przyzwyczajili się do bycia pięcioosobową rodziną.

A w zasadzie siedmioosobową.

Iskierka, wciąż zwawa w wieku dwunastu lat, weszła, stukając pazurami, do pokoju. Po piętach dreptał jej Kundel. Kundel był bliżej nieokreśloną mieszanką siedmiu różnych ras — według badania genetycznego, przy którym uparła się Mackenzie — i miał jedno ucho na sztorc, a drugie oklapnięte. Trzy lata temu zakochał się w Iskierce, kiedy jednostka straży pożarnej i Klub Wellness zorganizowały wspólnymi siłami imprezę poświęconą adopcji zwierząt.

A wszyscy pozostali pokochali całym sercem jego baryłkowate ciało i uśmiech małego psiaka.

Wiedli naprawdę cholernie dobre życie. Dużo pracowali i jeszcze więcej się bawili. Żonglowali harmonogramami, zajęciami dzieci i czasem spędzonym nago. A pomiędzy tym wszystkim Mack nauczyła się robić galaretkę, a Linc spróbował swoich sił w ogrodnictwie i *cornhole*.

— Podejrzewam, że nie mamy pół godzinki...

— Nie — ucięła stanowczo. — Ale za jakieś cztery godziny Dottie i Win zabierają nasze trzy diabełki do siebie na noc.

Linc przeniósł Lucasa do nosidła i wziął Mackenzie w ramiona.

— Czy mówiłem ci już, jak bardzo cię Kocham?

Zaplotła ręce na jego szyi.

— Tylko raz od czasu śniadania.

— Rozejrzyj się wokół nas. Zobacz, co stworzyliśmy, doktor Reed.

Remiza była już domem. Betonowe podłogi i ceglane ściany zostały ocieplone wygodnymi meblami i przytulnymi dywanikami. Niekończąca się powódź dziecięcych zabawek, co wieczór zbieranych, w ciągu dnia zawsze w jakiś sposób rozlewała się po całym domu.

Kuchnia była jasnym, przestronnym pomieszczeniem, w którym dziewczynki siadały na stołkach do śniadania, a po południu opowiadały Lincowi o wszystkim, co przydarzyło im się w ciągu dnia w szkole podstawowej, podczas gdy on szykował im podwieczorek.

Stół jadalniany był duży, masywny i zdolny pomieścić obie rodziny na comiesięcznym brunchu.

Na tarasie na dachu urządzali imprezy grillowe. Czytali dzieciom na dobranoc w sypialniach, w których kiedyś strażacy ucinali sobie drzemki pomiędzy wezwaniem. Ich sypialnia była prawdziwą oazą z ciężkimi zasłonami, dużymi meblami i łóżkiem, w którym oboje z przyjemnością spędzali tak dużo czasu, jak tylko się dało.

Remiza, którą kiedyś traktował jak swój drugi dom, teraz naprawdę stała się domem. Wypełniła się miłością i śmiechem... a wzięwszy pod uwagę wiek jej mieszkańców, każdego dnia również obfitością łez. Ale Linc nie zmieniłby w swoim życiu absolutnie nic.

Co wieczór, kiedy kładł się do łóżka wycieńczony i wypompowany, wtulał twarz we włosy Mackenzie i wdychał jej zapach. Oboje wiedzieli, jak niewiele dzieli życie od śmierci. Zdrowie od choroby. I bardzo się starali, żeby utrzymać ten dystans.

Linc patrzył, jak jego harda, piękna lekarka ociera łzy, gdy pierwszy renifer wskoczył na scenę. Hadley miała ciemne, faliste włosy, jak jej matka, oraz jego własne niebieskie oczy, których używała, żeby wymusić przekąski i dodatkową bajkę w telewizorze. Odziedziczyła też po nich obojgu tendencję do uporu.

Casey była małą rozrabiaką, która wciąż musiała dawać upust swojej niezależności. Jej jasne włosy były obcięte na krótko po nieszczęśliwym, a jednocześnie zabawnym incydencie z gumą, któremu chciała sama zaradzić za pomocą dziecięcych nożyczek... na dzień przed robieniem zdjęć w przedszkolu.

Uwaga do wszystkich rodziców: takimi nożyczkami da się ciąć włosy.

Zastanawiał się, na kogo wyrośnie Lucas, gdy maluch podskakiwał radośnie na jego kolanach, robiąc słodkie oczy i śmiejąc się do rozpuku do babci Dottie.

— Och, nie wytrzymam ani sekundy dłużej — powiedziała Dottie i wcisnęła aparat w rękę Wina. — Daj mi tego ślicznego chłopczyka!

Linc przekazał Lucasa, a sam objął żonę za ramiona.

Jego mama podniosła się z siedzenia obok i wycelowała swój telefon w scenę. Jego tata odłożył krzyżówkę i patrzył z dumą na wnuczki.

Mack nachyliła się do niego.

— Czy przypuszczałeś w najśmielszych marzeniach, że będziesz brał pół dnia wolnego, żeby patrzeć, jak twoje dzieci zarzynają szkolne przedstawienie z okazji Bożego Narodzenia? — zapytała, gdy Casey odwróciła się w złą

stronę podczas bardzo łatwej przedszkolnej choreografii do *We Wish You a Merry Christmas*.

Najwyraźniej piosenka jej nie pasowała, bo zaśpiewała na cały głos fragment z *Krainy lodu*. Pozostałe dzieci musiały uznać, że to dużo lepszy wybór, bo przyłączyły się do niej. Dyrektorka muzyczna wzruszyła ramionami i wyrzuciła batutę przez ramię. Mack stłumiła śmiech, chowając twarz w piersi Linca.

— Kotku, myślę, że marzyłem o tym od bardzo, bardzo dawna.

— Mięczak. Ja po prostu uznałam, że do siedemdziesiątki będę ewakuować rannych, a potem spędzę emeryturę na Karaibach. Przedstawienia bożonarodzeniowe w podstawówce nie były w mojej strefie zainteresowań.

Plany się zmieniały. Marzenia rosły. A szczęście czasem podkradało się do człowieka, gdy najmniej się tego spodziewał.

— Skoro o tym mowa — powiedział. — Zrobiłem rezerwację. Dla ciebie i dla mnie. Cały tydzień w styczniu. Na tropikalnej wyspie.

— Po pierwsze, jesteś najbardziej niesamowitym mężem pod słońcem. Po drugie, będziemy pić zdecydowanie za dużo drinków z parasolką, uprawiać mnóstwo seksu i ucinać sobie leniwe drzemki przy basenie. — Westchnęła z rozmarzeniem.

— Zdecydowanie musimy zadbać o formę, żeby móc to wszystko robić. Nie chcemy jechać na takie wakacje jak amatorzy.

— Racja. Jesteś pewny, że twoi rodzice są gotowi zająć się trójką małych, ślicznych potworków? — zapytała.

— Będą się zmieniać z twoimi rodzicami w weekend, a potem moje siostry, które są mi winne dwa i pół roku

darmowej opieki nad dziećmi — policzyłem — zajmą się nimi przez resztę tygodnia. Dzieci zostaną u nas, tylko opiekunowie będą się wymieniać. Harper i Luke są rezerwową rezerwą.

— Pomyślałeś o wszystkim.

— Marzenie, nic nie oddzieli mnie od ciebie na plaży w bardzo skąpym, bardzo czerwonym bikini, które dla ciebie wczoraj zamówiłem.

— Cholera. Kąpielówki, które ci kupiłam, też są czerwone — zażartowała. — Będziemy bliźniakami.

Uśmiechnął się do niej i ścisnął jej dłoń.

Utwór dobiegł do wyczekiwanego i kompletnie fałszywego końca.

— Przypomnij mi, żebym porozmawiała z Ellen o noworocznym Rzucaniu — szepnęła Mack.

Dzięki wytrwałości Mackenzie i zdolnościom Linca do pozyskiwania dofinansowania, Benevolence zdobyło grant na rozwój Klubu Wellness. Stowarzyszenie rozrosło się i uwzględniało cotygodniowe aktywności towarzyskie z dziedziny fitness, wellness i dietetyki. Konkurs kroków, wyzwanie w odchudzaniu. A niech to, Abner Kersh zorganizował na Halloween całą trasę „cukierek albo psikus” dla dzieci z alergiami. Całe cholerne miasteczko miało niższe wyniki cholesterolu, ciśnienie krwi spadało. W podobny sposób zniknęła samotność i uczucie izolacji.

A wszystko to dzięki temu, że Mackenzie O’Neil sprowadziła się do miasta.

Sięgnął do jej obrączki ślubnej i zaczął się nią bawić. Kazał na niej wygrawerować słowa, które nosił w sercu. *Zawsze będę przy Tobie.*

Lucas klaskał w rączki na kolanach babci.

Linc zauważył pod ścianą kilka osób ze swojej załogi. Ich stopy poruszały się do wtóru stóp dzieci na scenie. Wszyscy nauczyli się choreografii, żeby pomóc Hadley ćwiczyć. Jego córka tańczyła z miną, którą nazywali w rodzinie zaciętą. Skupiona i poważna, tak jak jej piękna mama.

Kilka rzędów za nimi siedzieli Luke i Harper. Oraz Gloria i Aldo. Mimo że większość ich dzieci była starsza i już dawno opuściła mury szkoły podstawowej. James z mężem, Mannym, nagrywali jedno zdanie wypowiedziane w sztuce przez ich syna, drugoklasistę Olivera, oraz występ taneczny chodzącej do przedszkola córki Tate.

Czas płynął, rodziny się powiększały, miłość się pogłębiała. I Linc nie chciał, żeby było inaczej.

Przedstawienie litościwie dobiegło końca razem z utworem *Rudolf Czerwononosy* wykonanym przez czwartoklasistów, którzy fałszowali i zdecydowanie przesadzali z tubą. Dzieci dostały owacje na stojąco. Nie tyle ze względu na swój występ, ile na to, że wreszcie dobiegł on końca.

— Tatuś!

Hadley rzuciła się na niego, a on ją złapał, jak zawsze.

— Dobra praca nóg, mała!

Radośnie ścisnęła jego policzki w swoich siedmioletnich rączkach. Pomalował jej na występ paznokcie na czerwono i zielono, a Mack wzmocniła opadające rogi metalowymi wieszakami. Oba rogi dobrze się trzymały.

— Widziałeś mnie? Dałam czadu podczas obrotu.

— Widziałem! Zane i Skyler wszystko nagrali.

— Mamusia każe nam to oglądać sto milionów razy, prawda? — jęknęła Hadley.

— Na pewno.

— Ona jest taka śmieszna.

— Taaaaataaa! — Przybiegła Casey, a Linc wziął ją na rękę. Miał ramiona pełne chichoczących dziewczynek, które spierały się o to, co powinni zjeść na kolację. Nagle Marzenie zaczęła iść przez tłum w ich kierunku. Miała zaczerwienione policzki, promienny uśmiech.

Linc wiedział bez cienia wątpliwości, że nigdy nie czuł większej miłości, niż w tym właśnie momencie.

Wiedział też, że kolejny dzień udowodni mu, że jest inaczej. Bo każdy cholerny dzień był nowym szczęśliwym zakończeniem.

Historia prawdziwej Iskierki

Iskierka była prawdziwym psem. Moim psem. I dała mi największą życiową lekcję.

Przez kilka lat pan Lucy i ja prowadziliśmy dom tymczasowy dla porzuconych psów. Pomogliśmy połączyć kilka nieoczekiwanych par pies-człowiek. Był z nami Archer, szczeniak, którego moja koleżanka, pracownica społeczna, znalazła przywiązanego do ganku swojego podopiecznego, bez jedzenia. Maddie Mae, szczeniak z nielegalnej hodowli terierów Jack Russell, który nigdy nie oduczył się sikania na dywan. Sam, mieszaniec pitbulla i mastiffa, który teraz pływa na desce surfingowej z wiosłem ze swoim człowiekiem i nosi w sakwach szczeniaki.

I była też Iskierka.

Schronisko, z którym wcześniej nie współpracowaliśmy, zamieściło post z prośbą o pilną pomoc. Uwolnili ją z nielegalnej hodowli amiszów w hrabstwie Lancaster. Miała sześć lat i była zapasionym żółtym labradorem z najmiększym futrem, jakie kiedykolwiek miałam przywilej głaskać.

Okazało się, że miała też potworny lęk separacyjny.

Mała panna Iskierka wkroczyła do mojego życia w trudnym dla mnie momencie. Właśnie zostałam zwolniona z pracy w gazecie, miejsca, w którym marzyłam pracować, odkąd jako dziecko oglądałam w telewizji Lois Lane, uganiającą się za tematami dziennikarskimi.

Kończyły mi się oszczędności, a nowela, którą napisałam i wrzuciłam na Amazona jak rozgotowane spaghetti,

zakończyła się fiaskiem.

Czułam się przygnębiona, zagubiona i niepotrzebna.

Czwartego września 2013 roku pojawiła się Iskierka. Jakimś cudem nie zobaczyła smutnej, bezrobotnej, łatwej do zastąpienia Lucy. Popatrzyła na mnie i zobaczyła promieniejące źródło masła orzechowego... albo sera. Czy co tam psy lubią najbardziej.

Dopiero po kilku dniach zorientowaliśmy się o natężeniu lęku separacyjnego Iskierki. Ślady pazurów na framugach i gigantyczne kałuże siuszków na dywanie były dla nas pewną wskazówką. Ale dopiero, kiedy wróciliśmy któregoś dnia do domu z kolacji i zastaliśmy kanapę przesuniętą o pół metra do tyłu i wyryte na niej ślady psich pazurów, dotarła do nas w pełni ranga problemu.

Okazało się, że panna Iskierka związała swoją małą jasnowłosą osobę ze mną. I za każdym razem, kiedy nie było mnie tuż obok niej, była przekonana, że kończy się świat.

Poszliśmy więc na daleko idące ustępstwa. Staraliśmy się jak najrzadziej wychodzić z domu. Prowadziliśmy z nią raczej jednostronne rozmowy na temat tego, że przedmioty i ludzie dalej istnieją, mimo że zniknęli z zasięgu jej wzroku. Próbowaliśmy zamykać ją w transporterze. Dawać smaczki na uspokojenie. Zakładać kamizelki przeciwłękowe.

Ale najwidoczniej nic nie mogło się równać mojemu towarzystwu. Raj dla ego!

Pies-katastrofa przebywał u nas od kilku tygodni, gdy razem z panem Lucym zaczęliśmy rozmowy pod tytułem: „Nikt nie zaadoptuje tego psa”. Które przerodziły się w rozmowy: „A więc to takie uczucie, gdy zawodzi dom tymczasowy”.

Kochaliśmy ją. Pomimo jej katastrofalnych, świrniętych lęków była supergrzeczna (czytać głosem człowieka mówiącego do psa). Spała w naszych nogach i co rano wpełzała na brzuchu między nas. Wciskała nam w twarze swój wielki mokry nochal i merdała szaleńczo ogonem, bo po raz pierwszy w życiu miała ludzi, którzy jej nie porzucili, a do tego miękkie, przyjemne łóżko. Na zewnątrz miała niekończące się polacie zielonej trawy, codzienne spacerunki i tyle jedzenia i wody, ile tylko zapragnęła.

Miała też dziwną czworonożną poduszkę, która nie za bardzo ją lubiła. Do dnia dzisiejszego Iskierka jest jedyną żywą istotą, którą kot Cleo nauczył się tolerować. Gdzieś w rodzinnych archiwach istnieje zdjęcie, na którym Iskierka używa Cleo jako niezbyt entuzjastycznie do tego nastawionej poduszki.

Smycz służyła wyłącznie do celów dekoracyjnych, bo nasza puchata dziewczynka nigdy nie odstępowała mnie na krok. Nawet na wybiegu dla psów nie mogłam jej zmusić do zrobienia niczego poza siedzeniem przede mną i wpatrywaniem się we mnie jak w swoją własną Boginię Sera. Zabawki jej nie interesowały. Inne psy dla niej nie istniały. Tolerowała miłość ze strony innych ludzi, ale zawsze kierowała spojrzenie swoich brązowych oczu na mnie albo na pana Lucy'ego.

To mniej więcej wtedy pan Lucy zauważył, że jeden z psich sutków Iskierki wydaje się spuchnięty i wrażliwy na dotyk.

Schronisko, które na samym początku uwolniło Iskierkę, już nie sprawowało nad nią opieki, ale Central Pennsylvania Animal Alliance — Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami w Środkowej Pensylwanii — umówiło nas na wizytę u weterynarza. Po poważnej operacji i wizycie u specjalisty dostaliśmy diagnozę.

Nasza dziewczynka miała raka, a przerzuty były już wszędzie.

Naszej małej rodzinie nie zostało dużo czasu razem.

Pani weterynarz była niesamowitą kobietą — do jej pacjentów należały wilki z miejscowego azylu. Dała nam bardzo dokładną listę objawów, na które mieliśmy zwracać uwagę, żeby wiedzieć, kiedy nadejdzie koniec. Wyjaśniła, że psy ukrywają swój ból tak dobrze, że ludzie często nie są świadomi, jak bardzo cierpią, póki nie jest za późno.

Ponieważ Iskierka lubiła jeść, doktor poinstruowała nas, żeby zwracać uwagę na jej apetyt. Ponieważ gdy tylko się pogorszy, będzie to oznaczało, że jej stan jest poważny. W międzyczasie mieliśmy jej dawać wszystko, czego jej psia dusza zapragnie.

W drodze do domu wstąpiliśmy do sklepu i kupiliśmy specjalnie dla niej nuggetsy z kurczaka.

Od tego dnia Iskierka nigdy nie była sama. Na śniadanie dostawała jajecznicę, a na kolację mielonego indyka z warzywami. Chodziła ze mną na jogę i z panem Lucym do pracy. Czekwała w samochodzie, gdy szłam na zakupy... a potem zjadała cały bochenek chleba, jeśli zostawiłam ją choć na dwie minuty samą z torbami.

Tuliliśmy ją i dopasowywaliśmy do niej nasz plan dnia, nie martwiąc się, że ją zepsujemy. Nasi przyjaciele kupowali jej wyszukane frykasy i wymyślne zabawki. A ona pławiła się w całym tym zainteresowaniu kochających ją ludzi. I w pogardzie Cleo.

Dwudziestego trzeciego grudnia 2013 roku Iskierka zasnęła po raz ostatni z głową na moich kolanach w salonie, podczas gdy pewien weterynarz o dobrym sercu recytował jej wiersz i powtarzał, że jest śliczną, dobrą dziewczynką.

Moja najlepsza przyjaciółka odeszła. Ale już nie cierpiała. Już się nie bała.

A ja zrobiłam dla niej to, co najlepsze.

Tego właśnie nauczyła mnie Iskierka.

Mając w pamięci koniec, zrobiliśmy jak najlepszy użytek z terażniejszości. A kiedy nadszedł czas pożegnania, wszystko inne zostało już powiedziane. Bo nie zmarnowaliśmy ani jednej minuty z czasu, jaki był nam dany z Iskierką.

Iskierka wydobyła z nas to, co najlepsze. Naszą cierpliwość, nasze nieskomplikowane serca przepełnione bezwarunkową miłością. Zdolność, żeby być obecnym i dawać z siebie wszystko. A na koniec pokazała nam, jak piękne może być pożegnanie, kiedy niczego się nie żałuje.

Nauczyła mnie też, że nawet bezrobotna i z lekką depresją, wciąż zasługuję na bezwarunkową miłość.

I tyle. Z moich oczu tryskają w tej chwili gejzery słonej wody na wspomnienie ślicznej dziewczynki, która nie miała na tej ziemi wystarczająco dużo czasu wśród dobrych ludzi, którzy ją kochali.

Nigdy nie zapomnimy Iskierki. Niszczycielki dywanów i mebli, złodziejki masła orzechowego i kanapek z dżemem, wielbicielki chleba i łóżka.

Nigdy nie zapomnimy też dobrych ludzi z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Środkowej Pensylwanii, którzy umawiali wizyty u weterynarza, płacili za operacje i leki oraz płakali z nami, gdy Iskierka — pies, którego nawet sami nie ratowali — przeszła w podskokach na drugą stronę tęczy.

Pan Lucy i ja już nie prowadzimy domu tymczasowego dla zwierząt. Ale wypisujemy czeki. Jeśli szukacie sprawy godnej waszego wsparcia finansowego, program

edukacyjny Więzienne Psy prowadzony przez CPAA jest niesamowity. Łączy się w nim starannie wyselekcjonowanych więźniów z porzuconymi psami, które wymagają szczególnego szkolenia. I dzieje się magia między ludzkimi opiekunami i psami, które obdarzają ich bezwarunkową miłością. Oto adres:

<https://www.hopedogs.org/>

Po wszystkim, co dostałam od Iskierki, zawsze żałowałam, że nie mogłam dać jej więcej czasu. Najlepsze, co mogłam zrobić, to dać jej Lincolna Reeda i jej własne szczęśliwe zakończenie. Mam nadzieję, że pokochaliście moją fikcyjną dziewczynkę równie bardzo, co ja kochałam prawdziwą.

Pamiętajcie, wszystko, co mamy, to chwila obecna i tylko od nas zależy, czy w pełni ją wykorzystamy. Więc żyjcie tak, jak żyła Iskierka. Kochajcie kogoś tak mocno, że aż boli, kiedy go przy was nie ma. Wykradajcie kanapki z masłem orzechowym. Twórzcie wspomnienia. Pilnujcie, żeby pożegnania były wolne od żalu.

Od autorki

Droga Czytelniczko,

I jak Ci się podobało takie szczęśliwe zakończenie piątego stopnia? Uff! ***rozsmarowuje pot na twarzy koszulką noszoną od trzech dni***

Mam nadzieję, że polubiłaś Linca i Mack oraz powrót do Benevolence. To była jedna z tych książek, która po prostu spłynęła mi z palców na ekran komputera. Miałam wrażenie, że Linc od dawna marynował się gdzieś z tyłu mojej głowy! I świetnie się bawiłam, wracając do Luke'a i Harper oraz Glorii i Aldo. Serduszka w oczach!

Dość intensywnie zbierałam informacje potrzebne do tej książki i miałam obsesję na punkcie rozdziałów dotyczących pogotowia lotniczego. Na dodatek mogłam przerobić na fikcję wydarzenia, które naprawdę miały miejsce. Pierwsza scena, w której Linc jedzie kupić przedłużacz? To naprawdę się wydarzyło. Podobnie jak operacja na otwartym sercu na poboczu.

Nie udałooby mi się napisać tej książki bez pomocy Brooke Kell Morgan i jej trochę opornego brata Christophera Kella razem z całą resztą członków grupy „Pomóż Lucy — Grupa Badawcza Poświęcona Służbom Ratowniczym”. Dziękuję z całego serca za pomoc w napisaniu tej książki!

Pokochałaś Linca i chcesz napisać recenzję? Dziękuję! Jesteś najlepsza i widać, że masz rewelacyjny gust! Nie chcesz stracić ani słowa z tego, co jeszcze napiszę? Zapisz się do mojego rzadko kiedy irytującego, a zawsze zabawnego newslettera. Dziękuję, że poświęciłaś swój czas na przeczytanie tej książki. Jesteś najlepsza!

Buziaki

Lucy

O autorce

Lucy Score jest bestsellerową autorką „Wall Street Journal” i Amazona. Dorastała w rodzinie literatów, którzy z uporem twierdzili, że stół jadalniany służy do czytania. Ukończyła studia na wydziale dziennikarstwa. Jest pełnoetatową pisarką. Pracuje z domu w Pensylwanii, który dzieli razem z panem Lucym i ich wstrętnym kotem, Cleo. Kiedy nie poświęca akurat czasu na powoływanie do życia uwodzicielskich bohaterów i przebojowych bohaterek, można ją znaleźć na kanapie, w kuchni albo na siłowni. Marzy o tym, by któregoś dnia móc pisać z żaglówki, mieszkania z widokiem na ocean albo tropikalnej wyspy z dobrym Wi-Fi.

Zapisz się, by otrzymywać newsletter i pozostać na bieżąco z najnowszymi wiadomościami na temat powieści Lucy.

Śledź ją na:

Stronie internetowej: www.lucyscore.com

Facebooku: *lucyscorewrites*

Instagramie: *scorelucy*

Twitterze: *@LucyScore1*

Blogu: lucyscore.com/blog

Grupie czytelniczej: Lucy Score’s Binge Readers Anonymous

Podziękowania

- Brooke Kell Morgan i Christopherowi Kellowi za to, że pilnowali, abym nie popełniła gafy podczas opisywania jednostki straży pożarnej.
- Wszystkim członkom grupy „Pomóż Lucy – Grupa Badawcza Poświęcona Służbom Ratowniczym”.
- Pisarce Jamie Schlosser za to, że wyszukała prawdziwych komendantów straży pożarnej i uzyskała od nich odpowiedzi na moje najdziwniejsze pytania.
- Kari March z Kari March Designs za rewelacyjną okładkę, za wszystkie zapowiedzi i całą szatę graficzną. Oraz po prostu za to, że jest wspaniałym człowiekiem.
- Joyce i Tammy za to, że są takie ładne i śmieszne. I że nie pozwoliły mi za długo trwać w fazie: „ta książka jest do niczego”.
- Moim bystrookim recenzentkom i redaktorkom: Jessice Snyder, Dawn Harer i Amandzie Edens.
- Panu Lucy'emu za bycie panem Lucym. Jesteś moim prawdziwym brodatym bohaterem!
- Moim czytelniczkom. Miłościom mojego życia! Jesteście zbyt fantastyczne, żeby ująć to słowami. Dziękuję, że zawsze mi towarzyszycie!
- Funkcjonariuszom służb ratunkowych na całym świecie. Jesteście bohaterami dnia codziennego i dziękujemy Wam z głębi serca. Bądźcie bezpieczni.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

Grupa
Helion

Spis treści

[Rozdział 1.](#)
[Rozdział 2.](#)
[Rozdział 3.](#)
[Rozdział 4.](#)
[Rozdział 5.](#)
[Rozdział 6.](#)
[Rozdział 7.](#)
[Rozdział 8.](#)
[Rozdział 9.](#)
[Rozdział 10.](#)
[Rozdział 11.](#)
[Rozdział 12.](#)
[Rozdział 13.](#)
[Rozdział 14.](#)
[Rozdział 15.](#)
[Rozdział 16.](#)
[Rozdział 17.](#)
[Rozdział 18.](#)
[Rozdział 19.](#)
[Rozdział 20.](#)
[Rozdział 21.](#)
[Rozdział 22.](#)
[Rozdział 23.](#)
[Rozdział 24.](#)
[Rozdział 25.](#)
[Rozdział 26.](#)
[Rozdział 27.](#)
[Rozdział 28.](#)
[Rozdział 29.](#)
[Rozdział 30.](#)
[Rozdział 31.](#)
[Rozdział 32.](#)

[Rozdział 33.](#)

[Rozdział 34.](#)

[Rozdział 35.](#)

[Rozdział 36.](#)

[Rozdział 37.](#)

[Rozdział 38.](#)

[Rozdział 39.](#)

[Rozdział 40.](#)

[Rozdział 41.](#)

[Rozdział 42.](#)

[Rozdział 43.](#)

[Rozdział 44.](#)

[Rozdział 45.](#)

[Rozdział 46.](#)

[Rozdział 47.](#)

[Rozdział 48.](#)

[Rozdział 49.](#)

[Rozdział 50.](#)

[Rozdział 51.](#)

[Rozdział 52.](#)

[Rozdział 53.](#)

[Rozdział 54.](#)

[Rozdział 55.](#)

[Rozdział 56.](#)

[Rozdział 57.](#)

[Rozdział 58.](#)

[Rozdział 59.](#)

[Rozdział 60.](#)

[Epilog](#)

[Jeszcze jeden epilog](#)

[Historia prawdziwej Iskierki](#)

[Od autorki](#)

[O autorce](#)

[Podziękowania](#)